

JUDITH MCNAUGHT

COŚ WSPANIAŁEGO

ROZDZIAŁ 1

Zmysłowa blondynka wsparła się na łokciu okrywając prześcieradłem nagie piersi. Zmarszczyła brwi i odwróciła się w stronę przystojnego, ciemnowłosego osiemnastolatka, który oparty ramieniem o framugę wpatrywał się w okno. W ogrodzie za domem trwało przyjęcie z okazji urodzin jego matki.

- Czy widzisz tam coś bardziej interesującego niż ja? - spytała lady Katarzyna Harrington i owijając się prześcieradłem podeszła do okna.

Jordan Addison Matthew Townsende, przyszły książę Hawthorne, zdawał się jej nie słyszeć. Patrzył na ziemię rozciągającą się wokół pałacu; majątek, który po śmierci ojca miał mu przyspaść w udziale. Nagle zza splątanych krzewów żywopłotu wyłoniła się jego matka. Spojrzała uważnie na swoją suknię poprawiając gorset, po czym próbowała doprowadzić do porządku splątane włosy. W chwilę później pojawił się lord Harrington, kończył wiązanie krawata. Roześmiani, spleceni ramionami przeszli pod otwartym oknem Jordana.

Na widok matki i jej nowego kochanka Jordan uśmiechnął się cynicznie. Parę chwil później zza tego samego wysokiego żywopłotu wyłonił się ojciec. Rozejrzał się dookoła, a potem przywołał zza krzewów lady Milborne, swoją obecną kochankę.

- Najwyraźniej moja matka znalazła sobie nowego amanta - wycedził Jordan z sarkazmem.

- Naprawdę? - Lady Harrington wychyliła się przez okno. - A kogóż to?

- Twojego męża - odpowiedział spokojnie Jordan. Przez chwilę przyglądał jej się uważnie. Gdy nie dostrzegł śladu zdziwienia w jej oczach, jego rysy stwardniały. - Wiedziałś, że są razem w ogrodzie i stąd twoje nagłe zainteresowanie moim łóżkiem, nieprawdaż? - spytał ironicznie.

Surowe spojrzenie zimnych, szarych oczu wprawiło ją w zakłopotanie.

- Pomyślałam sobie - zaczęła wyciągając dłoń do jego muskularnej piersi - że byłoby zabawnie, gdybyśmy i my... hm... zeszli się ze sobą. Ale moje zainteresowanie twoim łóżkiem nie jest nagłe, Jordanie. Pragnęłam cię już od dawna. A skoro teraz mój mąż zabawia się z twoją matką, nie widzę powodu, dlaczego i ja nie miałabym wziąć sobie tego, co chcę. Czy to coś złego?

Jordan nie odpowiedział, lecz wciąż patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem oczu. Lady Harrington uśmiechnęła się nieśmiało.

- Czy jesteś zgorzony?

- Raczej nie. O romansach mojej matki wiem, odkąd skończyłem osiem lat. Wątpię, czy jakakolwiek kobieta mogłaby mnie zgorszyć swoim postępowaniem. Dziwię się tylko, że nie wpadłaś na pomysł, aby zaaranżować w ogrodzie małe spotkanie całej naszej szóstki. Wszystko odbyłoby się w rodzinnym gronie i milej, intymnej atmosferze - dodał z rozmyślną impertynencją.

- Teraz ty chcesz mnie zgorszyć!

Niedbale uniósł kciukiem jej brodę i spojrzał w twarz nad wiek dojrzałymi, twardymi oczami.

- Trudno mi uwierzyć, by w ogóle było to możliwe. Nagle zawstydzona lady Harrington cofnęła dłoń z jego piersi i szczerzej otuliła się prześcieradłem.

- Doprawdy, Jordanie, nie rozumiem, dlaczego traktujesz mnie z taką pogardą - powiedziała z goryczą. Jej twarz wyrażała szczerze zakłopotanie. - Nie jesteś żonaty, więc nie wiesz, jak nudne jest życie tych, którzy musieli z kimś się związać. Bez flirtów, które pozwalają zapomnieć choć na chwilę o nudzie, dawno byśmy powariowali.

Na tak tragiczną nutę brzmiącą w jej głosie jego twarz złagodniała, tylko zmysłowe usta wykrzywił szyderczy uśmiech.

- Biedna, mała Katarzyno - powiedział oschle i musnął grzbietem dłoni jej policzek. - Jakże nieszczęsne jest życie kobiety! Od dnia narodzin dostajecie wszystko, o co tylko poprosicie, na nic nie musicie pracować, a nawet gdybyście chciały i tak by wam nie pozwolono. Nie możecie studiować, zabrania się wam gimnastyki, tak więc nie macie szansy ćwiczyć ani umysłu, ani ciała. Odmawia się wam nawet prawa do honoru, który mógłby być waszą ostoją przez całe życie. Podczas gdy mężczyzna ma swój honor i walczy o niego, jak długo chce, wasza cześć kryje się między nogami i traciecie ją z pierwszym mężczyzną, jaki was posiadzie. Jakże niesprawiedliwy jest dla was los! - wykrzyknął dramatycznie. - Nic dziwnego więc, że jesteście takie znudzone, niemoralne i frywolne.

Katarzyna zawahała się przez chwilę, niepewna, czy Jordan się z niej nie naigrawa, a potem wzruszyła ramionami.

- Masz całkowitą rację. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby spróbować to zmienić?

- Nie - odparła krótko.

- Gratuluję szczerości. To rzadka cecha u waszej płci. Jordan Townsende, chociaż miał zaledwie osiemnaście lat, był już bohaterem głośnych skandali i przedmiotem plotek. Katarzyna poczuła nagle, że przyciąga ją do niego jakaś magnetyczna siła. W jego szarych, cynicznych oczach widziała zrozumienie, poczucie humoru i wiedzę o wiele za wielką jak na

tak młody wiek. Właśnie to ciągnęło ku niemu kobiety, może nawet bardziej niż jego uroda i prowokująca męskość. Jordan rozumiał kobiety; rozumiał także Katarzynę. Choć było jasne, że jej nie adorował i nie pochwalał jej postępowania, akceptował ją taką, jaka była, ze wszystkimi słabościami.

- Idziesz do łóżka, mój panie?

- Nie - odpowiedział spokojnie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie jestem jeszcze aż tak zepsuty, żeby spać z żoną kochanka mojej matki.

- Ty... ty nie masz zbyt dobrego mniemania o kobietach, prawda?

- A powinienem?

- Ja... - Katarzyna przygryzła wargę i z ociąganiem pokręciła głową. - Nie sędzę. Ale pewnego dnia będziesz musiał się ożenić, żeby mieć dzieci.

W jego oczach błysnęła wesoła iskierka. Skrzyżowawszy ręce na piersiach Jordan oparł się o framugę okna.

- Ożenić się? Naprawdę? To stąd się biorą dzieci? A ja przez cały czas myślałem...

- Ależ Jordanie! - roześmiała się rozbawiona jego żartem. - Będziesz musiał mieć legalnego dziedzica.

- Jeśli już będę zmuszony oddać komuś moją rękę, by wyprodukować potomka - odpowiedział ponuro - to wybiorę sobie naiwne dziewczątko prosto spod rodzicielskich skrzydeł, które będzie spełniać wszystkie moje zachcianki.

- A gdy się tobą znudzi i zapragnie odmiany, co wtedy zrobisz?

- A znudzi się?

Katarzyna zlustrowała wzrokiem jego szerokie ramiona, muskularną pierś, wąską talię, po czym spojrzała na twarz. Jordan był ubrany w ciasne bryczesy i białą, lnianą koszulę, a każdy milimetr jego ciała promieniował siłą i powściąganą wrażliwością. Popatrzyła w jego dojrzałe, szare oczy.

- Być może nie.

Podczas gdy ona się ubierała, Jordan znów odwrócił się do okna i wsparty o framugę patrzył beznamiętnie na eleganckich gości zebranych na przyjęciu urodzinowym jego matki. Komuś z zewnątrz Hawthorne w tym dniu musiało wydawać się bujnym, fascynującym rajem zamieszkanym przez cudowne i beztroskie egzotyczne ptaki paradujące w prześlicznych barwnych strojach. Jordan Townsende nie widział w tej scenie nic pięknego ani interesującego. Zbyt dobrze wiedział, co dzieje się za tymi murami, gdy odchodzą goście.

W wieku osiemnastu lat nie wierzył w istnienie naturalnego dobra w kimkolwiek, nawet w sobie samym. Niebiosa obdarzyły go świetnym pochodzeniem, wspaniałym wyglądem i bogactwem. Mimo to był już znużony otaczającym go światem, powściągliwy i ostrożny.

* * *

Z brodą wspartą na dłoniach Aleksandra Lawrence obserwowała błękitnego motyla, który przysiadł na parapecie. Po chwili odwróciła się do siwowłosego mężczyzny siedzącego naprzeciwko niej.

- Co mówiłeś dziadku? Nie słyszałam cię.

- Pytałem, dlaczego dzisiaj motyl jest ciekawszy od Sokratesa - powtórzył łagodnie staruszek. Spojrzał z czułością na swoją trzynastoletnią wnuczkę. Dziewczynka miała kasztanowe loki, które odziedziczyła po swojej matce, i błękitnozielone oczy po nim. Rozbawiony postukał w tom prac Sokratesa, z którego chciał ją dzisiaj uczyć.

Aleksandra posłała mu zniewalający, pełen skruchy uśmiech, ale nie zaprzeczyła. Jej uczony, ukochany dziadek często powtarzał: „Kłamstwo jest obrazą duszy oraz obelgą dla inteligencji tego, kogo chcemy okłamać”. Aleksandra zrobiłaby wszystko, aby nie obrazić tego łagodnego staruszka, który wpoił jej swoją własną mądrość życiową oraz uczył ją matematyki, filozofii, historii i łaciny.

- Zastanawiałam się - przyznała z westchnieniem - czy jest choć najmniejsza szansa, że jestem teraz w stadium gąsienicy, a więc, czy pewnego dnia przemienię się w motyla i będę piękna.

- A cóż jest złego w byciu gąsienicą? W końcu - zacytował przekornie - „piękno jest wyłącznie kwestią punktu widzenia”. - Z błyskiem w oku czekał, czy wnuczka rozpozna źródło cytatu.

- Horacy - szybko odpowiedziała Aleksandra, uśmiechając się do niego.

Zadowolony pokiwał głową.

- Nie musisz się martwić swoim wyglądem, prawdziwe piękno ma bowiem źródło w sercu, a siedzibę w oczach.

Aleksandra przechyliła głowę zastanawiając się. Nie mogła sobie przypomnieć, aby któryś z filozofów, czy to starożytnych, czy współczesnych, powiedział kiedyś coś takiego.

- Kto to powiedział? - zapytała w końcu. Dziadek zachichotał.

- Ja.

W odpowiedzi roześmiała się dźwięcznie, napełniając słoneczny pokój radością. Potem nagle posmutniała.

- Papa jest niezadowolony z tego, że nie jestem ładna. Widzę to zawsze, gdy przyjeżdża z wizytą. Ale są podstawy, aby przypuszczać, że mój wygląd się poprawi. W końcu mama jest piękna, a papa oprócz tego, że jest przystojny, jest spowinowacony w czwartej linii z lordem.

Ledwie skrywając obrzydzenie na wspomnienie zięcia razem z jego wątpliwymi roszczeniami co do niejasnego pokrewieństwa z jakimś tam lordem, Gimble uciekł się do cytatu.

- Urodzenie nie znaczy wiele tam, gdzie cnota nie ma wstępu.

- Molier - niemal odruchowo rzuciła Aleksandra - i zaraz wróciła do podjętego wcześniej tematu. - Musisz jednak przyznać, że to nieuczciwe ze strony losu, aby obdarzyć ojca tak pospolicie wyglądającą córką. Dlaczego nie miałabym być wysoka i jasnowłosa. Byłoby tak o wiele lepiej niż teraz, gdy papa często nazywa mnie Cyganiątkiem.

Odwróciła się z powrotem do okna, by przyglądać się motylowi, a Gimble patrzył na nią z miłością. Uważał, że o jego wnuczce można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że wygląda pospolicie. Kiedy miała cztery lata, zaczął ją uczyć podstaw czytania i pisania, tak zresztą jak i dzieci wieśniaków. Sandy miała jednak umysł bardziej chłonny, szybciej wszystko pojmowała. Dzieci chłopów były obojętnymi uczniami, po paru latach nauki dołączały do swoich rodziców w pracy w polu, żeniły się, rozmnażały w nieustannym odnawianiu się cyklu życia. Aleksandra zaś odziedziczyła po nim fascynację nauką.

Starszy pan uśmiechnął się patrząc na swoją wnuczkę. Ten „cykl” nie był wcale taki zły.

Gdyby pozostał kawalerem i poświęcił się wyłącznie studiom, Aleksandra Lawrence nigdy by się nie narodziła. A Sandy była darem dla świata. Jego darem. Myśl ta napełniła go dumą, a potem zawstydziła, jako że trąciła pychę. Nie mógł jednak powstrzymać się od radości, jaką czuł, gdy patrzył na dziecko siedzące naprzeciw niego. Aleksandra była uosobieniem wszystkich jego nadziei; natura obdarzyła ją łagodnością, poczuciem humoru, intelektem i niepokonanym duchem. Dziadek obawiał się nawet czasem, że jej duch jest zbyt wielki, podobnie jak jej wrażliwość. Wiele razy widział, jak dziewczynka starała się zadowolić swego powierzchownego ojca podczas jego rzadkich wizyt.

Zastanawiał się często, jakiego człowieka poślubi. Miał głęboką nadzieję, że nie będzie to ktoś taki jak mąż jej matki. Jego córka nie miała tak mocnego charakteru jak Aleksandra; nieraz myślał ze smutkiem, że zanadto ją rozpuścił. Matka Aleksandry była

samolubna i słaba. Poślubiła mężczyznę takiego jak ona, natomiast Aleksandra zasługiwała na znacznie lepszego towarzysza życia.

Z właściwą sobie wrażliwością dziewczynka natychmiast zauważyła przygnębienie dziadka.

- Dobrze się czujesz, dziadku? Znowu ból głowy? Pomasować ci kark?

- To tylko lekka migrena - odpowiedział Gimble. Gdy zanurzył pióro w kałamarzu, aby przelać na papier kolejne słowa tego, co w przyszłości miało się stać „Dziełem kompletnym o życiu Woltera”, Aleksandra stanęła za jego plecami i zaczęła masować mu kark i ramiona.

Kiedy przestała, poczuł coś łaskoczącego na policzku. Zaabsorbowany pracą z roztargnieniem podrapał podrażnione miejsce. Za chwilę załaskotało go na karku i podrapał się tam. Po chwili łaskotanie przeniosło się na prawe ucho i wywołało w końcu uśmiech na jego twarzy, gdy zdał sobie sprawę, że to jego wnuczka łaskocze go gęsim piórem.

- Aleksandro, kochanie - powiedział - gdzieś tu jest podstępny mały ptaszek, który odrywa mnie od pracy.

- To dlatego, że za ciężko pracujesz - odparła buntowniczo, po czym ucałowała jego pomarszczony policzek i wróciła na swoje miejsce, aby dalej studiować Sokratesa. Po chwili jej uwagę przyciągnęła dżdżownica pełznąca mozolnie obok drzwi domu.

- Skoro wszystko we wszechświecie Bóg stworzył w określonym celu, jak sądzisz, dlaczego stworzył węże? Są tak śliskie, obrzydliwe.

Gimble westchnął i odłożył pióro, ale nie mógł się oprzeć jej promiennemu uśmiechowi.

- Zapytam o to, jak tylko go zobaczę.

Myśl, że jej dziadek miałby umrzeć, sprawiła, że Aleksandra natychmiast spoważniała. W chwilę potem jednak odgłos powozu zajeżdżającego przed dom sprawił, że poderwała się na równe nogi i podbiegła do okna.

- To papa! - wykrzyknęła radośnie. - Wreszcie przyjechał z Londynu!

- Najwyższy czas! - wymamrotał Gimble, ale Sandy go nie usłyszała. Ubrana w ulubione bryczesy i prostą koszulę wybiegła przez drzwi i rzuciła się w niechętne ramiona ojca.

Jak się masz Cyganeczko? - zapytał obojętnie. Gimble wstał i podszedł do okna. Marszcząc brwi, patrzył, jak przystojny londyńczyk pomaga wsiąść swej córce do nowego, wytwornego powozu. Piękny zaprząg, piękne ubranie, ALE WCALE NIEPIĘKNA moralność, pomyślał gniewnie Gimble, przypominając sobie, jak wygląd i gładkość tego

mężczyzny zaślepiły jego córkę Felicję, gdy pewnego popołudnia zajechał zepsutym powozem przed ich dom. Gimble zaproponował mu nocleg, a po południu, wbrew złym przeczuciom, pozwolił, by Felicja „pokazała mu wspaniały widok ze wzgórza nad strumieniem”.

Kiedy zapadła ciemność, a oni wciąż nie wracali, Gimble zaczął ich szukać. Drogę oświetlał mu jasno świecący księżyc. Znalazł ich nad strumieniem, nagich, splecionych ramionami. Mniej niż cztery godziny zajęło George'owi Lawrence'owi uwiedzenie jego córki.

Choć na ten widok ogarnęła Gimble'a niepohamowana furia, opanował się i odszedł nie zauważony. Wrócił do domu dopiero dwie godziny później. Przyprowadził starego dobrego przyjaciela - miejscowego pastora. Duchowny trzymał pod pachą księgę, z której miał odczytać tekst przysięgi małżeńskiej.

Gimble miał przy sobie strzelbę, żeby zapewnić uczestnictwo nocnego uwodziciela w ceremonii.

Po raz pierwszy w życiu trzymał w ręku broń.

I co ten słuszny gniew przyniósł Felicji? To pytanie zachmurzyło twarz Gimble'a. George Lawrence kupił w jej rodzinnym hrabstwie duży walący się dom, zatrudnił służbę i rad nie rad mieszkał z nią przez dziewięć miesięcy po ślubie. Kiedy urodziła się Aleksandra, wrócił do Londynu, a w odwiedziny przyjeżdżał tylko dwa razy w roku na dwa - trzy tygodnie.

- Zarabia pieniądze najlepiej, jak potrafi - wyjaśniła Felicja Gimble'owi najwyraźniej powtarzając to, co mówił jej mąż. - Jest dżentelmenem i nie można oczekiwać, że będzie pracował jak zwykli ludzie. W Londynie jego urodzenie i koneksje umożliwiają kontakty z odpowiednimi ludźmi, którzy dają mu wskazówki, w co dobrze zainwestować i jakie konie obstawiać. Tylko tak może nas utrzymywać. Naturalnie wolałby, żebyśmy mieszkały z nim w Londynie, ale koszty utrzymania są tam horrendalnie wysokie, a on nie chciałby, abyśmy były zmuszone mieszkać w nędznych klitkach, w jakich on musi tam wegetować. Przyjeżdża do nas tak często, jak może.

Gimble nie wierzył w prawdziwość tych wyjaśnień; nie miał cienia wątpliwości, dlaczego zięć regularnie dwa razy do roku przyjeżdżał do Morsham. Otóż bywał tu dlatego, że on sam przyrzekł odnaleźć go w Londynie z pożyczoną strzelbą, jeżeli przynajmniej tak często nie będzie odwiedzał swojej żony i córki. Nie widział jednak powodu, żeby ranić tą prawdą swoją córkę, skoro ta była szczęśliwa. W przeciwieństwie do innych kobiet z ich małego hrabstwa wyszła za „prawdziwego dżentelmena” i w jej źle pojętej hierarchii wartości

tylko to się liczyło. Czuła, że w ten sposób osiągnęła lepszy status społeczny i może paradować wśród sąsiadów z poczuciem wyższości.

Tak jak Felicja, Aleksandra ubóstwiała George'a, a on podczas swoich krótkich wizyt pławił się w ich uwielbieniu. Felicja skakała koło niego, a Aleksandra chciała być dla niego jednocześnie synem i córką. Z jednej strony zamartwiała się brakiem urody, a z drugiej nosiła bryczesy i nieustannie ćwiczyła fechtunek, aby móc się z nim pojedynkować, gdy tylko przyjedzie.

Gimble patrzył przez okno na zaprzężony w cztery konie powóz stojący na podjeździe. Jak na człowieka, który mógł przeznaczyć na żonę i córkę tylko skromne fundusze, George Lawrence utrzymywał bardzo luksusową karetę i zaprzęg.

- Jak długo zostaniesz tym razem, tatusiu? - zapytała Aleksandra z niepokojem myśląc o strasznej chwili, gdy będzie musiał wyjechać.

- Tylko tydzień. Jadę do Landsdowne w hrabstwie Kent.

- Dlaczego tak często wyjeżdżasz? - Aleksandra nie byki w stanie ukryć swojego rozczarowania. Była przekonana, że i on nie lubi przebywać z dala od swojej żony i córki.

Bo muszę - uciał krótko, a kiedy zaczęła protestować, potrząsnął głową i sięgnął do kieszeni, aby wyjąć małe pudełeczko. - Masz Sandy, przywiozłem ci mały prezent na urodziny.

Aleksandra patrzyła na niego z uwielbieniem i szczęściem, którego nie mącił fakt, że jej urodziny minęły parę miesięcy temu i że wtedy dostała tylko list. Jej szmaragdowe oczy rozblęły, gdy otworzyła etui i wyjęła medalik w kształcie serca. Mimo że był cynowy i niezbyt ładny, zacisnęła go w dłoni jak jakiś bezcenny skarb.

- Będę go nosić każdego dnia mojego życia, papo - wyszeptwała, a potem uściśnęła go z całej siły. - Tak bardzo cię kocham!

Kiedy jechali przez malutką, senną wioskę, konie wzbijały chmury kurzu i Aleksandra machała do każdego napotkanego przechodnia, aby wszyscy zobaczyli, że wrócił jej wspaniały, przystojny papa.

Nie musiała tego robić, bowiem i tak do wieczora cała wioska rozprawiała nie tylko o jego przyjeździe, ale i o kolorze jego ubrania i tysiącu innych szczegółów. Morsham było senną, spokojną, zapomnianą przez Boga i ludzi wioską. Od wieków mieszkali tu prości ludzie, którzy ciężko pracowali i hołubili każde, nawet najdrobniejsze wydarzenie. Plotkowali o nim, aż huczało, ponieważ urozmaicało to monotonię ich szarej egzystencji. Wciąż jeszcze rozprawiali o panu z miasta, który trzy miesiące temu przejeżdżał przez wioskę, i miał nie

jedną, ale osiem peleryn. Teraz George Lawrence dostarczył im tematu do rozmów na najbliższe pół roku.

Komuś przyjezdnemu Morsham mogło wydawać się nudnym miejscem zamieszkanym przez plotkarzy, ale dla Aleksandry wioska i jej mieszkańcy byli czymś najpiękniejszym na świecie.

W wieku trzynastu lat wierzyła, że każde boże stworzenie obdarzone jest wrodzoną dobrocią, a uczciwość, poczucie więzi i radość charakteryzują wszystkich ludzi. Była wesołą, łagodną dziewczyną i niepoprawną optymistką.

ROZDZIAŁ 2

Książę Hawthorne opuścił dłoń, w której trzymał wciąż dymiący pistolet. Beznamiętnie spoglądał na kręłą sylwetkę lorda Grangerfielda leżącego nieruchomo na ziemi. Pomyślał przy tym, że zazdrośni mężowie to przekleństwo prawie tak samo dokuczliwe jak ich frywolne, skore do miłostek żony. Nieszczęśnicy ci nie tylko wysnuwali zbyt pochopne wnioski, ale na dodatek nalegali na dyskusję o nich o świcie z pistoletami w dłoniach. Jordan nadal patrzył na ranionego przeciwnika, wokół którego kręcił się lekarz i sekundanci. W myślach przeklinał piękną, wyrafinowaną kobietę, której pożądanie do niego spowodowało ten pojedynek.

W wieku dwudziestu siedmiu lat Jordan Townsende doszedł do wniosku, że kontakty z zamężnymi kobietami wywołują najczęściej zbyt daleko idące komplikacje, których nie mogą zrekompensować żadne nagrody. Dlatego starał się ograniczać swoje przygody do dam nie związanych małżeństwem. Było ich wcale niemało i chętnie zgadzały się ogrzać jego łóżko. Flirt był jednak czymś normalnym w towarzystwie, a jego ostatni związek z Elżbietą Grangerfield, którą znał od czasów, gdy oboje byli dziećmi, przerodził się w coś więcej, gdy wróciła do Anglii po ponadrocznych podróżach. Zaczęło się niewinnie - parę zdań o erotycznych podtekstach wymienionych między starymi znajomymi. Nie stałoby się nic więcej, gdyby Elżbiecie nie udało się wywieść w pole jego lokaja. Gdy Jordan wrócił do domu, zastał ją w łóżku - piękną, nagą, pożądającą go kobietę. Innego dnia wyrzuciłby ją z łóżka i odesłał do domu, ale tego wieczoru jego głowa była osłabiona nadmiarem brandy. Podczas gdy umysł zastanawiał się, co ma uczynić z tą niespodzianką, ciało podjęło decyzję i zdecydowało się przyjąć zaproszenie.

Jordan skierował się w stronę konia, którego uwiązał do drzewa, i spojrzął na pierwsze, blade promienie słoneczne. Wciąż jeszcze miał szansę przespać się parę godzin, zanim rozpocznie się kolejny dzień pełen pracy i towarzyskich zobowiązań, których szczyt miał nastąpić wieczorem na balu u Bildrupów.

Żyrandole iskrzyły się tysiącami kryształów w wielkiej, lustrzanej sali balowej. Tancerze w atlasach, jedwabiach i aksamitach wirowali w walcu. Przez otwarte francuskie drzwi prowadzące na tarasy wpadało świeże powietrze i wymykały się pary szukające chwili intymności w blasku księżyca.

Tuż za ostatnimi drzwiami, na balkonie, stało dwoje ludzi ukrytych w cieniu budynku, najwyraźniej nieświadomych poruszenia, jakie wywołała ich nieobecność na sali.

- To wstrętne - mówiła Letycja Bildrup do grupy młodych kobiet i mężczyzn, swej nieodłącznej świty. Spojrzała z otwartym potępieniem i skrywaną zazdrością na drzwi, za którymi właśnie zniknęła bulwersująca para. - Elżbieta Grangerfield zachowuje się jak ladacznica. Goni za Hawthorne'em, podczas gdy jej mąż leży ranny po pojedynku, który stoczył z nim dziś rano!

Sir Roderick Carstairs popatrzył na rozgniewaną pannę Bildrup z cynicznym rozbawieniem. Znany był z cierpkiego humoru i całe towarzystwo przed nim drżało.

- Oczywiście masz rację, moja piękna. Elżbieta powinna pójść za twoim przykładem i nękać Hawthorne'a na osobności, a nie publicznie.

Letycja popatrzyła na niego z wyższością, ale jej policzki zaczerwieniły się.

- Uważaj Roddy, tracisz zdolność odróżniania tego, co jest zabawne, od tego, co obraźliwe.

- Och nie, moja kochana. Zamierzałem zachować się obraźliwie.

- Nie porównuj mnie do Elżbiety Grangerfield - syknęła z furią Letycja. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

- Ależ macie. Obie chcecie Hawthorne'a. Czyli macie coś wspólnego z prawie setką kobiet, których nazwiska mógłbym wymienić, a w szczególności - skinął głową w stronę pięknej rudowłosej baleriny, która tańczyła na parkiecie z rosyjskim księciem - z Elizą Grandeaux. Chociaż zdaje się, że panna Grandeaux wysunęła się na czoło, jako że jest najnowszą kochanką Hawthorne'a.

- Nie wierzę ci! - wybuchła Letycja wbijając błękitne oczy w rudą piękność wirującą między hiszpańskim królem a rosyjskim księciem. - Hawthorne nie jest z nikim związany!

- O czym rozmawiacie, Letty? - zapytała jedna z młodszych dam odwracając się od swoich adoratorów.

- Rozmawiamy o tym, że on wyszedł na balkon z Elżbietą Grangerfield - rzuciła ostro Letycja. Nie musiała wyjaśniać, kim jest „on”. Każdy, kto się liczył w towarzystwie, wiedział, że „on” to Jordan Addison Matthew Townsende - markiz Landsdowne, wicehrabia Leeds, wicehrabia Reynolds, lord Townsende Marlow, baron Townsende of Stroleigh, Richfield i Monmart, i dwunasty książę Hawthorne.

On właśnie śnił się po nocach dziewczętom - wysoki, ciemny, zabójczo przystojny, obdarzony diabelskim urokiem. Wśród młodszych pań powszechna była opinia, że jego szare oczy mogły uwieść zakonnice lub zabić wroga. Starsze kobiety zgadzały się z tym pierwszym, natomiast z opowieści mężów wiedziały, że Jordan Townsende zabił tysiące francuskich wrogów nie wzrokiem, ale dzięki doskonałemu władaniu bronią. Niezależnie

jednak od wieku damy z towarzystwa zgadzały się co do jednego: wystarczyło na niego spojrzeć, żeby poznać, iż jest to mężczyzna z pozycją, elegancją i klasą, gładki i lśniący jak diament, i często jak diament twardy.

- Roddy mówi, że Eliza Grandeaux jest jego najnowszą kochanką - powiedziała Letycja kiwając w stronę baleriny, najwyraźniej nieświadomej wyjścia księcia Hawthorne'a z Elżbietą Grangerfield.

- Nonsens - zaprotestowała siedemnastoletnia debiutantka, która była bardzo wyczulona na dobre manieri. - Gdyby tak było, na pewno by jej tu nie przyprowadził. Nie mógłby.

- Mógłby i zrobiłby to - stwierdziła inna młoda dama spoglądając na francuskie drzwi w nadziei ponownego ujżenia wielkiego księcia Hawthorne'a. - Moja matka mówi, że Hawthorne robi zawsze to, na co ma ochotę i nie dba o opinię innych na ten temat.

Tymczasem przedmiot większości rozmów rozbrzmiewających w sali balowej stał na balkonie oparty o kamienną balustradę i patrzył z rozdrażnieniem w błękitne oczy Elżbiety Grangerfield.

- W tej chwili rozrywają tam na strzępy twoją reputację, Elżbieto. Jeśli masz choć trochę rozumu, powinnaś wyjechać ze swoim „niedysponowanym” mężem na wieś i przeczekać parę tygodni, aż ucichną plotki o naszym pojedynku.

Elżbieta wzruszyła ramionami starając się okazać bez troskę.

- Plotki mnie nie ranią, Jordanie. Jestem hrabiną. - W jej głos wkradła się gorycz. - Nieważne, że mąż jest ode mnie starszy o trzydzieści lat. Moi rodzice mają w rodzinie kolejny tytuł, a to jest wszystko, czego zawsze pragnęli.

- Rozdrapywanie wspomnień przeszłości nie ma żadnego sensu - powiedział Jordan z trudem hamując niecierpliwość. - Co się stało, to się nie odstanie.

- Dlaczego mi się nie oświadczyłeś przed wyjazdem na tę głupią wojnę do Hiszpanii?! - rzuciła Elżbieta zduszonym głosem.

- Ponieważ - odpowiedział brutalnie - nie chciałem się z tobą zenić.

Pięć lat temu Jordan myślał o oświadczeniu się jej w mgliście odległej przyszłości. Nigdy jednak nie spieszyło mu się do ożenku, i przed wyjazdem do Hiszpanii nic nie zostało między nimi ustalone. Rok później ojciec Elżbiety, pragnąc jak najszybciej dodać nowy tytuł do ich drzewa genealogicznego, nalegał, by poślubiła Grangerfielda. Kiedy Jordan dostał jej list, w którym napisała mu o swoim ślubie, nie czuł nawet odrobiny żalu. Ich znajomość trwała jednak od wczesnej młodości i Jordan żywił do Elżbiety sympatię. Być może, gdyby był w pobliżu, zdołałby ją przekonać, by sprzeciwiła się rodzicom i odrzuciła starego hra-

biego. A może i nie... Jak prawie wszystkie kobiety z wyższych sfer była od dzieciństwa uczona, że jej obowiązkiem jest poślubienie kandydata zgodnego z oczekiwaniami rodziców.

W każdym razie Jordana nie było w pobliżu. Dwa lata po śmierci ojca, nie zważając na to, że wciąż nie ma dziedzica swego majątku, Jordan został oficerem i wyjechał do Hiszpanii walczyć z wojskami Napoleona. Na początku jego odwaga i brawura wynikały po prostu z niezadowolenia z własnego życia. Potem, gdy dojrzał, umiejętności i wiedza, jaką zyskał w niezliczonych bitwach, utrzymywały go przy życiu i sprawiły, że zyskał opinię świetnego stratega i niepokonanego przeciwnika. Odszedł z wojska cztery lata po wyjeździe do Hiszpanii.

Jordan Townsende, który wrócił do Anglii, był zupełnie innym mężczyzną niż chłopak, który wyjechał. Kiedy po raz pierwszy wszedł do sali balowej, zwrócił uwagę swoim wyglądem. W przeciwieństwie do większości dżentelmenów o bladych twarzach Jordan był opalony, jego ciało stało się muskularne i sprężyste, a ruchy zdecydowane i pełne gracji. Choć w jego uśmiechu wciąż był legendarny urok Hawthorne'ów, miał teraz sławę człowieka, który stanął twarzą w twarz z niebezpieczeństwem - i któremu to się spodobało. Było to dla kobiet niezwykle pociągające i sprawiało, że znacznie zyskiwał w ich oczach na atrakcyjności.

- Czy możesz zapomnieć, ile dla siebie znaczyliśmy? - Elżbieta uniosła głowę i zanim Jordan zdolał zareagować, wspięła się na palce i pocałowała go, a jej chętne, zapraszające ciało przylgnęło do niego.

Złapał ją za ramiona i odsunął.

- Nie bądź głupia! - rzucił ostro wbijając palce w jej ramiona. - Byliśmy przyjaciółmi, niczym więcej. To, co się stało tydzień temu, było błędem. To koniec!

Elżbieta próbowała się oswobodzić.

- Mogę sprawić, że mnie pokochasz, Jordanie. Wiem, że mogę. Już prawie mnie pokochałeś parę lat temu. I pragnąłeś mnie tydzień temu...

- Pragnąłem twojego rozkosznego ciała, moja słodka - rzucił z rozmyślnym szyderstwem - nic innego. Tylko tego zawsze od ciebie chciałem. Nie zamierzałem zabić w pojedynku twojego męża, żeby cię oswobodzić, więc możesz o tym zapomnieć. Będziesz musiała znaleźć jakiegoś innego głupca, który kupi ci wolność pistoletem.

Zbladła polykając łzy, ale nie zaprzeczyła, że miała nadzieję, iż Jordan zabije jej męża.

- Nie chcę wolności, Jordanie, chcę ciebie... - powiedziała załamującym się od łez głosem. - Być może istotnie byłam dla ciebie tylko przyjaciółką, ale ja kochałam się w tobie, odkąd mieliśmy po piętnaście lat.

Uczyniła to wyznanie z taką pokorą, że każdy oprócz Jordana wiedziałby, że mówi prawdę i być może poruszyłoby go to lub wzbudziło współczucie. Jordan jednak już dawno temu stał się twardym sceptykiem, jeśli chodzi o kobiety. Po jej wyznaniu wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę.

- Osusz oczy.

Parę chwil później setki gości w napięciu obserwowały ich powrót na salę. Niczyjej uwagi nie uszło to, że lady Grangerfield była mocno poruszona i że niemal natychmiast opuściła bal.

Jednakże księżę Hawthorne jak zawsze wyglądał na niewzruszonego. Wrócił do pięknej baleriny, która była najnowszą zdobyczą na jego długiej liście kochanek. Gdy kilka minut później wyszli na parkiet, wszyscy zauważyli silny magnetyzm, który emanował z tej pięknej, pełnej uroku pary. Eliza Grandeaux była delikatna, krucha i pełna gracji - Jej jasna karnacja i żywy kolor włosów idealnie komponowały się z jego czarnymi włosami i ciemną cerą. Gdy wirowali na parkiecie, wydawali się stworzeni dla siebie.

- Zawsze tak jest - powiedziała panna Bildrup do przyjaciół, którzy zafascynowani patrzyli na tańczącą parę. - Hawthorne sprawia, że kobieta, z którą jest, wygląda na doskonałą dla niego partię.

- Cóż, na pewno nie poślubi zwykłej baletnicy, tylko dlatego, że ładnie razem wyglądają - powiedziała panna Morrison. - Mój brat obiecał, że przyprowdzi go do nas w tym tygodniu - dodała z nutą triumfu w głosie.

Panna Bildrup zmąciła jej radość.

- Moja mama mówiła, że on planuje wyjechać jutro do Rosemeade.

- Rosemeade? - powtórzyła jej rozmówczyni smutno.

- To posiadłość jego babki - wyjaśniła panna Bildrup. - Leży na północy, niedaleko jakiejś zapomnianej przez Boga wsi zwanej Morsham.

ROZDZIAŁ 3

- To naprawdę przechodzi ludzkie pojęcie, mój Filbercie! - oznajmiła Aleksandra leciwemu lokajowi, który szurając nogami wszedł do sypialni z kilkoma szczapami drewna pod pachą.

Filbert zerknął na siedemnastoletnią panienkę. Leżała w poprzek łóżka z brodą opartą na splecionych dłoniach, ubrana jak zwykle w bryczesy i spłowiwała od słońca koszulę.

- To się w ogóle nie mieści w głowie - dodała po chwili z oburzeniem.

- A co takiego, panienko Sandy? - zagadnął lokaj podchodząc do łóżka.

Mrużąc krótkowzroczne oczy zdołał dostrzec, że przed panienką leży rozpostarta biała płachta. Ręcznik czy gazeta? Nachylił się bliżej. Biała powierzchnia upstrzona była czarnymi plamkami. A więc gazeta!

Aleksandra postukała palcem w stronę tytułową, na której widniała data: 2 kwietnia 1813.

- Tutaj piszą, że lady Weatherford - Heath wydała bal na osiemset osób. Potem podano kolację, ni mniej, ni więcej, tylko czterdzieści pięć różnych dań. Czterdzieści pięć dań! Czy można wyobrazić sobie większą ekstrawagancję? A ponadto - ciągnęła Sandy przeczesując dłonią ciemne loki - w pozostałej części artykułu piszą tylko o tym, w co kto był ubrany. No, sama posłuchaj, Saro - spojrzała z uśmiechem na Sarę Withers, wchodzącą do pokoju z naręczem świeżo upranej bielizny.

Zanim trzy lata temu umarł ojciec Aleksandry, Sara zarządzała całym gospodarstwem. Później, w wyniku fatalnej sytuacji finansowej po śmierci pana domu, została zwolniona tak jak reszta służby z wyjątkiem Filberta i Penrose'a, którzy byli zbyt starzy, aby znaleźć nowe zajęcie. Przed miesiącem Sara wróciła jednak, i to w towarzystwie wiejskiej dziewczyny, która miała pomagać przy praniu i sprzątaniu.

Aleksandra zabrała się teraz do odczytywania jej co ciekawszych urywków artykułu, specjalnie nadając swojemu głosowi sztuczne i pretensjonalne brzmienie:

- „Pani Emily Welford towarzyszył hrabia Marcham. Przepiękna jedwabna suknia pani Welford ozdobiona była perłami i diamentami...”

Sandy zachichotała i złożyła gazetę.

- Czy dasz wiarę, że są ludzie, którzy gotowi są czytać podobne bzdury? - spytała. - Co kogo obchodzi, w jaką suknię ubrała się hrabina albo że książę Delton właśnie wrócił z

wywczasów w Szkocji i - sama tylko posłuchaj: „...dużą sensację wzbudziło jego aż nadto wyraźne zainteresowanie okazywane pewnej pannie o niemałej urodzie i majątku”.

Sara Withers uniosła brwi i spojrzała na dziewczynę.

- Pewno, że istnieją młode damy, które robią wszystko, by zadbać o swój wygląd - powiedziała z naciskiem.

Aleksandra przełknęła przytyk pogodnie, z istic filozoficznym spokojem.

- No tak, parę łokci satyny na suknię i odrobina pudru mogłyby sprawić, że wyglądałabym jak dama - stwierdziła.

Dawne marzenia, by na podobieństwo motyla wydobyć się pewnego dnia z kokonu dzieciństwa jako klasyczna blond piękność, niestety się nie spełniły. Jej włosy pozostały ciemnobrązowe; przycięte dość krótko wiły się w lokach wokół drobnej twarzy o lekko zadartym nosku. Miała szczupłą figurę i była zwinna jak chłopiec. Uwagę przyciągały jej oczy - olbrzymie, jasnozielone na tle opalanej od słońca i wiatru twarzy. Uznawszy ten fakt, Sandy przestała myśleć o swoim wyglądzie; w końcu wokół niej działo się tyle innych, znacznie ciekawszych spraw...

Trzy lata temu, kiedy to po śmierci dziadka tak nagle odszedł jej ojciec, Sandy została głową całego domu. Na jej barkach spoczęła odpowiedzialność za los dwóch starych służących, gospodarowanie nędznym rodzinnym budżetem tak, aby nikt nie był głodny, i znoszenie złych humorów matki.

Przeciętna dziewczyna, wychowywana w tradycyjny sposób, nigdy nie zdołałaby udźwignąć takiego ciężaru. Tylko że Aleksandra nie była zwykłą dziewczyną. Ani w jej wyglądzie, ani w sposobie myślenia nie było nic pospolitego. Już jako dziecko towarzyszyła ojcu w polowaniach i wyprawach na ryby podczas jego krótkich wizyt w domu. Znakomicie wyćwiczona w strzelaniu, potrafiła teraz sama zadbać o to, aby zawsze mieli co włożyć do garnka.

Głośny trzask drewnianych szczap wrzuconych do skrzynki w jednej chwili usunął z jej myśli sprawy balu i sukien obwieszonych diamentami. Drżąc z chłodu skrzyżowała ciasno ramiona na piersi. Zimno zdawało się przenikać na wskroś ściany tego domu, którego nawet letnie słońce nie zdołało nigdy ogrzać ani osuszyć.

- Daj sobie z tym spokój, Filbercie - powiedziała szybko widząc, jak stary sługa usiłuje jedną ze szczapek wskrzesić rachityczny płomień w palenisku. - Wcale nie jest tu tak zimno. Odrobina rześkiego powietrza jeszcze nikomu nie zaszkodziła, zresztą i tak zaraz wychodzę na przyjęcie do brata Mary Ellen. Nie ma potrzeby marnować dobrego drewna.

Filbert zerknął na nią i skinął głową. Drewnienko wyśliznęło mu się jednak z rąk i potoczyło po podłodze. Starzec wyprostował się i rozejrzał bezradnie.

- Jest pod sekretarzykiem - podpowiedziała łagodnie Aleksandra.

Ze współczuciem patrzyła, jak Filbert schyla się i wydobywa zgubę spod niewielkiego biureczka.

- Saro? - zagadnęła nagle po chwili namysłu. - Czy kiedykolwiek miałaś takie przeczucie, że już wkrótce wydarzy się coś niezwykłego?

Prawdę mówiąc, już od trzech lat dość często czuła się dziwnie podekscytowana.

- O tak, oczywiście - odparła Sara zamykając energicznie szuflady komody.

- A sprawdziło ci się to?

- No pewnie.

- Naprawdę? - Ogromne oczy Sandy stały się jeszcze większe i spytała niemal bez tchu: - I co się stało?

- Zawalił się komin, zaraz po tym, jak ostrzegłam ojca panienki, że tak będzie, jeśli nie dopilnuje, by go naprawiono.

Aleksandra wybuchnęła dźwięcznym śmiechem i potrząsnęła głową.

- Nie, nie miałam na myśli przewidywań tego typu - wyjaśniła zakłopotana. - Ja... czułam coś takiego tuż przed śmiercią dziadka i czasami potem, choć nigdy tak silnie jak w ostatnim tygodniu. Mam wrażenie, jakbym stała nad przepaścią czekając na coś, co ma się zdarzyć...

Zaskoczona niezwykle zadumą w głosie tak żywej i energicznej zazwyczaj dziewczyny, Sara przyjrzała się jej nieco baczniej.

- A co według panienki ma się wydarzyć? - spytała. Aleksandra zadrżała lekko.

- Coś wspaniałego - szepnęła.

Dodałaby coś więcej, lecz w tej samej chwili od strony sypialni wujka Monty'ego rozległ się przeraźliwy, kobiecy wrzask, po czym trzasnęły drzwi i poprzedzona szybkim tupotem obutych w drewniaki stóp do pokoju wbiegła Mary, młoda wieśniaczka, którą Sara najęła do pomocy w domu.

- On mnie walnął po tyłku! - krzyknęła pocierając krągły pośladek.

Uniosła rękę i wskazała Oskarżycielsko w stronę sypialni i wujka Monty'ego.

- Nie będzie mnie klepał ani taki, ani żaden inszy! Ja jestem porządna dziewczyna, ja...

- To zachowuj się jak porządna dziewczyna i trzymaj język za zębami - ucięła krótko Sara.

Aleksandra westchnęła ciężko, jakby nagle zważyło się na jej barki brzemie odpowiedzialności za ten dziwny dom. Daleko uleciały od niej problemy hrabin wydających kolacje z czterdziestu pięciu dań...

- Zaraz porozmawiam z wujkiem - zwróciła się do Mary.

- Powiem mu, żeby więcej tego nie robił. Jestem pewna, że rai to obieca, chociaż... - uśmiechnęła się nieco przekornie - nie zdołałby tego uczynić, gdybyś nie nachyliła się będąc w zasięgu jego ręki. Sir Montague zawsze był... hm... można powiedzieć znawcą damskiej anatomii. Kiedy widzi u kobiety dobrze zaokrąglone pośladki, nie może się powstrzymać, by nie wyrazić swej aprobaty przez grzeczne klepięcie. Tak jak hodowca koni chętnie poklepuje swą ulubioną rasową klacz...

Takie tłumaczenie jawnie niedżentelmeńskiej postawy Montague'a Marsha przemówiło do wieśniaczki, która niemal natychmiast uspokoiła się i ucichła. Kiedy wszyscy opuścili pokój, Sara zerknęła ponuro w stronę wciąż rozłożonej na łóżku gazety.

- Coś wspaniałego! - sarknęła gorzko.

Z bólem w sercu myślała o tej siedemnastoletniej dziewczynie, która bez słowa skargi próbowała znosić swój los w domu, gdzie całą służbę stanowili dwaj zniedołężniali starcy. Sara wiedziała jednak, że największym ciężarem jest dla Aleksandry jej własna rodzina. Ten wujek, wielki Montague Marsh, choć tak dobrze urodzony, rzadko bywa trzeźwy. Jednocześnie nigdy nie jest zbyt pijany, by nie uganiać się za każdą spódniczką. A matka Sandy? Po śmierci męża zmieniła się zupełnie. Beztrosko przerzucając na córkę obowiązki gospodyni i pani domu.

- Wujku Monty - zaczęła łagodnym głosem Sandy wchodząc do pokoju, gdzie przed ledwo żarzącym się kominkiem wpółleżał na sofie tęgi mężczyzna z nogami opartymi o stołek.

Montague Marsh, wuj jej ojca, zjawił się w tym domu blisko dwa lata temu, gdy okazało się, że żaden z bliższych lub dalszych krewnych nie ma najmniejszej ochoty wziąć go do siebie.

- Podejrzewam, że przysłaś wiercić mi dziurę w brzuchu o tę dziewczuchę - mruknął łypiąc na Aleksandrę przekrwionymi oczyma.

Wyglądał jak rozpieszczony, naburmuszony duży dzieciak. Patrząc na niego Aleksandra nie potrafiła udzielić mu surowej reprimendy, chociaż tym razem solennie obiecywała sobie, że to zrobi.

- Zgadłeś - powiedziała z uśmiechem. - Przy okazji możemy poruszyć sprawę butelki madery, którą ukryłeś po wczorajszej wizycie twego przyjaciela, pana Watterly.

Wuj Monty zdecydował się przybrać pozę obrażonej niewinności.

- A kto, jeśli wolno spytać, śmie twierdzić, że w tym pokoju w ogóle znajduje się jakaś butelka? - spytał z pretensją w głosie.

Nie zwracając uwagi na jego pytanie, Aleksandra przystąpiła do systematycznego przeszukiwania ulubionych skrytek starszego pana: między poduszkami, pod materacem i nad kominkiem. Wreszcie podeszła do sofy i po prostu wyciągnęła rękę mówiąc:

- Daj już spokój, wujku!

- Co takiego? - wymamrotał Monty unosząc się nieco, przy czym szyjka od butelki ukazała się pomiędzy poduszkami za jego plecami.

- Czyżbyś nie czuł, że na niej siedzisz? - zagadnęła przekornie.

- A, to? To moje lekarstwo - wyjaśnił wuj. - Doktor Beetle kazał mi je zażywać dla rozgrzania starych kości!

Aleksandra patrzyła przez chwilę z bliska na jego przekrwione oczy i żyworóżowe policzki, które świadczyły o nadmiernej gorliwości w stosowaniu kuracji przez całe lata. Taki już był ten wujek ojca - słaby, nieodpowiedzialny, lecz mimo wszystko bardzo kochany. Podsunęła mu odwróconą dłoń niemal pod nos, nie mając zamiaru ustąpić.

- Daj spokój, wujku - powtórzyła. - Mama zaprosiła na kolację sędziego z żoną i chce, żebyś także był przy stole. Słowem, musisz być dzisiaj trzeźwy jak...

- Muszę się czymś znieczulić, żeby w ogóle znieść tę wstrętą parę. Powiadam ci, Sandy, mój aniołku, że już z daleka widok tych dwojga przyprawia mnie o dreszcze. Nie mam nic przeciwko ludziom, którzy koniecznie chcą uchodzić za świętych, lecz prawdziwy mężczyzna z krwi i kości źle się czuje w ich towarzystwie.

Widząc, że Aleksandra nie zamierza opuścić wyciągniętej ręki, westchnął ciężko. Uniósł nieco biodro i wydobyl z za pleców do połowy opróżnioną butelkę madery.

- Porządny z ciebie człowiek - pochwaliła dziewczyna klepiąc go przyjacielsko po ramieniu. - Jeśli się jeszcze nie położysz, zanim wrócę, utniemy sobie partyjkę wista i...

- Zanim wrócisz? - zawołał sir Montague z nagłym przestraszeniem. - Czy to znaczy, że zostawiasz mnie samego z twoją matką i jej okropnymi gośćmi?

- Zgadłeś - rzuciła lekko Sandy całując go w przelocie, po czym wyszła z pokoju słysząc, jak mruczy „zanudzą mnie na śmierć, jak amen w pacierzu...”.

Przechodząc obok sypialni matki usłyszała nagle jej podniesiony głos.

- Aleksandro! - krzyknęła Felicja Lawrence z za drzwi. - Aleksandro, czy to ty?

Słyszając w tym wołaniu nutę zniecierpliwienia, Sandy przystanęła na chwilę i odetchnęła głęboko, surowo nakazując sobie spokój. Znowu będzie mowa o Willu Heimsleyu.

Wyprostowała szczupłe ramiona i nacisnęła klamkę. Matka siedziała przed toaletką ubrana w stary, spłowiały peniuar i krzywiąc się patrzyła w lustro. Aleksandra pomyślała ze smutkiem, że mimo iż od śmierci ojca minęły zaledwie trzy lata, patrząc na Felicję Lawrence miało się wrażenie, że było ich przynajmniej dwie dziesiątki. Oczy straciły blask, przygasły, cera poszarzała, a piękne niegdyś włosy o szlachetnym odcieniu mahoni wyglądały teraz jak przysypane popiołem. Jednak nie tylko smutek szpecił teraz rysy matki; zbyt często gościł na jej twarzy gniew.

W trzy tygodnie po śmierci George'a Lawrence'a przed ich dom zajechał wspaniały powóz. Wsiadła z niego druga żona ukochanego ojca Aleksandry, a tuż za nią - ich córka. Mieszkały w Londynie od ponad dwunastu lat, w dostatku i szczęściu, podczas gdy legalna rodzina sir George'a żyła na skraju nędzy w Morsham. Jeszcze dzisiaj Aleksandra czuła bolesny skurcz serca na wspomnienie chwili, gdy stanęła twarzą w twarz ze swoją przyrodnią siostrą. Dziewczyna miała na imię Rose i była niezwykle piękna. Jednak nie to stało się przyczyną cierpienia Sandy; najbardziej zraniło ją spostrzeżenie, że delikatną szyję tamtej otacza piękny, złoty naszyjnik. Niemal identyczny z tym, który sama dostała od ojca. Tylko że jej naszyjnik wykonany był z cyny.

W jednej chwili runęły wszystkie wyobrażenia Sandy i jej matki o panu tego domu, który gościł w nim tak rzadko, bo wybrał dostatnie życie u boku młodziutkiej, ślicznej blondynki w Londynie. W jednej tylko materii potraktował George Lawrence sprawiedliwie obie swoje rodziny: tę legalną i tę drugą - umarł zostawiając je niemal bez grosza przy duszy.

Dla dobra matki Aleksandra ukrywała głęboko w sercu ból, jaki sprawiło jej odkrycie zdrady ojca. Próbowała zachowywać się, jak gdyby nic nie zaszło. Felicja nie zdołała jednak opanować gniewu, który od tej pory zapanował całkowicie nad jej smutkiem. Rzadko kiedy opuszczała swoje pokoje, całymi dniami pielęgnując w samotności swoją złość i żal do świata. Zupełnie przestała zajmować się domem, przerzucając wszystko na barki dorastającej córki. Nikt nie słyszał od niej nic innego, poza utyskiwaniem i złorzeczeniami. Przez dwa i pół roku obwinała wszystkich dokoła o zły los, który przypadł jej w udziale.

Sześć miesięcy temu pani Lawrence doszła do wniosku, że może jej sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak się wydaje. Umyśliła sobie, że jest jednak sposób na wszystkie kłopoty; Aleksandra. Można by przecież postarać się dla córki o odpowiedniego męża, który ocali je obie od życia w nędzy. Przystąpiwszy do realizowania tych planów, Felicja zaczęła baczniej niż dotąd przyglądać się co znamienitszym rodzinom mieszkającym w okolicy. Spośród nich właśnie Helmsleyowie wydali się jej najbardziej odpowiedni; byli dostatecznie bogaci, a ich syn Will pasował idealnie do całego planu pomijając fakt, że był nieciekawym i zahukanym

przez rodziców młodzieńcem. Sędzia Helmsley wraz żoną ponad wszystko cenili sobie pobożność oraz życie w czystości i w takim duchu starali się wychować jedyne syna.

- Zaprosiłam państwa Helmsleyów na kolację - powiedziała matka patrząc w lustrzane odbicie Aleksandry. - Penrose obiecał ugotować coś wyjątkowego.

- Mamo, przecież Penrose jest lokajem i do jego obowiązków nigdy nie należało przygotowywanie posiłków dla gości.

- Doskonale wiem, jaka jest rola Penrose'a w tym domu, moja droga - ucięła chłodno pani Lawrence. - On po prostu lepiej gotuje niż Filbert lub ty i tego wieczoru będzie musiał wykazać się swoimi umiejętnościami. Oczywiście, będzie ryba - Felicja wzdrygnęła się lekko. - Czy my musimy jeść aż tyle ryb? To chyba przesada!

Aleksandra, która sama łowiła ryby i polowała na wszystko, cokolwiek potem trafiło na stół w tym domu, spłonęła nagłym rumieńcem, jak gdyby zawstydzona wymówką brzmiącą w głosie matki.

- Przepraszam, mamo, ale ostatnio jakoś mało zwierzyny w okolicy. Jutro pojedę nieco dalej i na pewno zdobędę coś lepszego. Teraz wychodzę i wrócę chyba dość późno.

- Późno? - zachnęła się matka. - Ależ ty musisz być dziś wieczór w domu. Musisz! I masz zachowywać się najlepiej, jak tylko potrafisz! Wiesz przecież, jaką wagę przywiązują sędziostwo do ubioru i skromności młodych panien. Chociaż rani to moją duszę, przypomnę ci, że naszym obowiązkiem jest odzyskać poważanie i szacunek ludzi, mimo że ten człowiek pozostawił nas w tak rozpaczliwym położeniu!

Aleksandra nie musiała pytać, kogo dotyczy określenie „ten człowiek”. Matka mówiła tak ostatnio o swym zmarłym mężu, chyba że określała go mianem „twój ojciec” - tak jakby Aleksandra była w jej oczach winna tego, że została jego córką. Można było odnieść wrażenie, że pani Lawrence padła przy tym ofiarą jakiegoś spisku, w którym odegrała rolę bezwolnej, skrzywdzonej przez los ofiary.

- Wcale nie musisz starać się o względy Helmsleyów - powiedziała Aleksandra łagodnie, choć stanowczo. - Ja i tak nie wyjdę za Willa Helmsleya, nawet jeśli miałyby to nas uratować od nędzy. Myślę, że głodowanie nie jest najgorszą rzeczą, która może nam się przydarzyć w życiu!

- Ależ tak, zrobisz to - wycedziła matka. W jej głosie słychać było desperację i wzbierający gniew. - I odtąd będziesz zachowywać się jak dobrze urodzona, młoda dama, którą zresztą jesteś. Od tej chwili nie życzę sobie żadnych więcej polowań po lasach. Helmsleyowie nie znieśliby ani cienia skandalu wokół ich przyszłej synowej!

- Nie jestem ich przyszłym niczym! - odparła Aleksandra, starając się zapanować nad drżeniem głosu. - Brzydzą się Willem Helmsleyem i powiem ci coś w tajemnicy - dodała zapominając na chwilę, że powinna chronić tę słabą, kruchą istotę przed okrutnymi faktami. - Mary Ellen twierdzi, że Will Helmsley woli młodych chłopców od dziewcząt!

To straszliwe wyznanie, które Aleksandra nie całkiem nawet pojmowała, chybiło jednak celu. Pani Lawrence nie wydawała się wstrząśnięta.

- No, oczywiście - powiedziała po chwili. - Bardzo wielu młodzieńców woli towarzystwo swoich rówieśników od rówieśnic. Chociaż... może dzięki temu Will nie odrzuca myśli o małżeństwie z tobą!

Jej spojrzenie przesunęło się z wolna po szczupłej sylwetce córki, ubranej w obcisłe bryczesy, rozpiętą pod szyją białą koszulę i brązowe buty do konnej jazdy, noszące ślady częstego czyszczenia. Prawdę mówiąc Aleksandra wyglądała jak młody chłopak, pochodzący z rodziny, której niegdyś nieźle się wiodło, lecz ostatnio popadła w tarapaty, tak że przyszły dziedzic majątku musiał donaszać swoje ubrania sprzed kilku lat.

- Musisz zacząć teraz nosić suknie, nawet jeśli Will Helmsley nie ma nic przeciwko twoim bryczesom - dodała matka.

Aleksandra z trudem powstrzymywała gniew.

- Mamo, przecież wszystkie moje suknie sięgają mi zaledwie kilka centymetrów poniżej kolan!

- Mówiłam ci już, że możesz dopasować sobie którąś z moich.

- Ale ja nie potrafię szyć i...

Pani Lawrence spojrzała na nią surowo.

- Muszę przyznać, że potrafisz wyznajdywać rozmaite przeszkody stojące na drodze do twojego małżeństwa. Wiedz jednak, że syn sędziego Helmsleya jest dla nas jedynym wyjściem z rozpaczliwego położenia, w którym się znalazłyśmy.

Zmarszczyła brwi patrząc na córkę, która stojąc przy drzwiach demonstrowała postawę buntu i oporu. Gorzki uśmiech pojawił się na chwilę na bladej twarzy siwowłosej kobiety.

- Myślę, że nigdy nie byliśmy sobie szczególnie bliskie, Aleksandro - dodała. - Jednak to ten człowiek jest winien temu, że wyrosłaś tu na wsi niemal na dzikuskę. Nie umiesz się zachować, nosisz spodnie i jeździsz konno ze strzelbą, zamiast oddawać się zajęciom, które przystoją młodej, dobrze urodzonej pannie.

Aleksandra nie była w stanie wysłuchiwać dłużej wymówek matki i odparowała cierpko:

- Gdybym była taka, jaką chcesz mnie widzieć: skromną, mdłą i bezsilną istotą, już dawno wszyscy umarlibyśmy z głodu!

Pani Lawrence wyglądała na trochę zakłopotaną.

- To prawda, co mówisz - przyznała z ociąganiem. - Tak dalej jednak być nie może. Mimo twoich wysiłków toniemy w długach. Wiem, że przez ostatnie lata nie byłam najlepszą matką, ale teraz to się zmieni. Muszę wydać cię dobrze za mąż i zabezpieczyć twój byt aż do końca życia.

- Ale ja nie kocham Willa Helmsleya! - wybuchnęła Aleksandra z rozpaczą.

- Tym lepiej dla ciebie - oświadczyła Felicja twardo. - Przynajmniej nie będzie cię mógł zranić tak, jak twój ojciec uczynił ze mną. Will pochodzi z zacnej, solidnej rodziny. Nigdy nie okaże się, że utrzymuje drugą żonę w Londynie i przepuszcza pieniądze w kasynach gry.

Aleksandra aż skrzywiła się na to wspomnienie, podczas gdy matka mówiła dalej:

- Spotkało nas to szczęście, że sędzia Helmsley wydaje się sprzyjać moim planom. Śmiem twierdzić, że bardzo chętnie przyjmie cię do swojej rodziny jako synową.

- Ciekawe tylko, dlaczego mogłoby mu na tym zależeć? Lady Lawrence wyglądała przez chwilę na zaskoczoną.

- No cóż, moja droga, w końcu jesteśmy spokrewnione z księciem i z szambelanem królewskim - odparła godnie, tak jakby wyjaśniało to całą sprawę, po czym pogrzyła się w pełnym zadumy milczeniu.

Aleksandra wzruszyła ramionami mówiąc:

- Jadę teraz do Mary Ellen. Dzisiaj są urodziny jej brata.

- Może to i lepiej, że nie będzie cię na kolacji - stwierdziła lady Lawrence ujmując w dłoń jedną z leżących na toalecie szczotek i nieuważnymi ruchami przesuwając nią po włosach.

- Mam wrażenie, że dzisiaj przy stole dojdzie wreszcie do omawiania warunków waszego małżeństwa. Nie chciałabym, abyś siedziała przy tym z niezadowoloną miną.

- Mamo - zaczęła Aleksandra głosem, w którym drżała panika. - Wolę głodować, niż wyjść za Willa!

Wyraz twarzy lady Lawrence świadczył jednak o tym, że jest przeciwnego zdania.

- To są sprawy, o których decydują dorośli, moje dziecko. Jedź teraz do Mary Ellen, ale włóż suknię.

- Nie mogę. Na cześć solenizanta Johna O'Toole'a zamierzamy urządzać turniej rycerski, tak jak w dawnych czasach. W ich rodzinie zawsze urządzało się turnieje przy takich okazjach.

- Jesteś już za duża, Aleksandro, żeby paradować w tej starej, zardzewiałej zbroi. Lepiej zostaw ją w hallu; tam, gdzie jej miejsce.

- Nic jej się nie stanie - obiecała Sandy. - Zresztą wezmę tylko tarczę, hełm, lancę i napierśnik.

- No dobrze już, dobrze - powiedziała matka, wzruszając ramionami.

ROZDZIAŁ 4

Koń, który niósł Aleksandrę kamienistą drogą ku zrujnowanej chacie O'Toole'ów, nazywał się Grom i był starszy od niej. Należał jeszcze do jej dziadka. Zarzuciwszy futerał ze strzelbą na plecy, dziewczyna zerkała bacznie na boki z nadzieją, że wysledzi coś, co przy okazji mogłaby upolować. Tego popołudnia nie miała jednak wielkich szans na zaskoczenie jakiegokolwiek zwierzęcia, gdyż długa lanca, ściskana mocno pod pachą, czyniła straszliwy hałas, uderzając to o tarczę, to o napierśnik, który Aleksandra założyła na siebie.

Mimo nieprzyjemnej rozmowy z matką Sandy czuła, jak napęnia ją radość życia. Był piękny wiosenny dzień, a ekscytujące przecucie, że wkrótce zdarzy się coś niezwykłego, nie opuszczało jej ani na chwilę.

Na lewo rozciągała się zielona dolina, wypełniona bujnym kwieciami we wszystkich kolorach tęczy. Na prawo zaś las rozsiewał upajające, wiosenne zapachy, od których mogło zakręcić się w głowie. Na skraju wioski stała niewielka gospoda. Aleksandra, która знаła wszystkich w tej okolicy, uniosła przyłbicę hełmu, by pozdrowić karczmarza, pana Tilsona.

- Dzień dobry, panie Tilson! - zawołała.

- Dzień dobry, panienko Sandy! - pomachał jej dłonią w odpowiedzi.

Mary Ellen O'Toole wraz z sześcioma braćmi stała już przed swoim dość osobliwym domostwem i wydawało się, że akcja turnieju rycerskiego osiągnęła punkt kulminacyjny.

No dalej, Sandy! - zawołał czternastoletni Tom z grzbietu wiekowej chabety swego ojca. - Zmier się ze mną, jeśli masz odwagę!

- Nie, najpierw pojedynek ze mną! - zaproponował jego trzynastoletni brat wymachując antyczną szablą. - Dzisiaj na pewno będę lepszy. Ćwiczyłem dzień i noc!

Śmiejąc się, Aleksandra zeskoczyła z Groma, klepnęła Mary Ellen przyjacielsko po ramieniu, po czym dziewczęta rzuciły się w wir zabawy, która odbywała się tradycyjnie przy okazji rocznicy urodzin każdego z siedmiorga rodzeństwa O'Toole'ów.

Zaciekle walki, pełne śmiechu i pisku, trwały aż do wieczora i Aleksandra z rozkoszą dawała się wciągnąć w tę niezwykłą rodzinną wspólnotę, za którą w cichości ducha tęskniła przez całe dzieciństwo. Wracając do domu czuła przyjemne znużenie i spory ciężar w okolicy żołądka; zacna pani O'Toole nalegała, by próbowała wszystkich starannie przygotowanych potraw.

Grom człapał powoli po piaszczystej drodze i dziewczyna poddała się skwapliwie usypiającemu kołysaniu jego kroków. Powieki opadały jej ze zmęczenia i coraz bardziej

ciężła zbroja, którą przywdziała na siebie uznając to za najlepszy sposób przetransportowania jej z powrotem do domu.

Aleksandra minęła gospodę Tilsona i skierowała Groma na szeroką leśną ścieżkę, która dwa kilometry dalej krzyżowała się ponownie z główną drogą. Na podjeździe przed karczmą stało przywiązanych kilka koni i wciąż jeszcze paliła się latarnia nad gankiem. Z otwartego okna płynęła ku Sandy fala wesołych, męskich głosów. Zawadiacka pieśń niosła się po lesie, ginąc ponad gałęziami starych dębów. Aleksandra wiedziała, że jest już późno, nie chciała jednak zmuszać Groma do szybszego biegu. Po pierwsze, konisko miało już ponad dwadzieścia lat, a po drugie., dziewczyna nie była całkiem pewna, czy państwo Helmsleyowie opuścili już progi jej domu.

Obluzowana przyłbica hełmu ponownie opadła z trzaskiem na jej twarz. Dziewczyna westchnęła ze zniecierpliwieniem marząc o tym, by jak najszybciej pozbyć się tego ciężaru ze swojej głowy. Zatrzymała Groma i licząc na to, iż wyczerpany turniejami koń będzie zachowywał się spokojnie, puściła wodze, by przełożyć ciężką tarczę pod drugie ramię. Właśnie zamierzała ściągnąć hełm i umieścić go pod pachą, kiedy uwagę jej przykuły dziwne odgłosy dochodzące spomiędzy drzew od strony głównej drogi.

Marszcząc brwi, Aleksandra starała się odgadnąć, co to też może być. Jeśli to dzik, prawdopodobnie byłoby lepiej uniknąć tego spotkania. Biorąc jednak pod uwagę możliwość polowania, dziewczyna zdjęła z ramienia strzelbę starając się zachowywać przy tym najciszej, jak tylko mogła.

Nagle sielską ciszę wiosennej nocy rozdarły odgłosy dwóch wystrzałów - najpierw jeden, a zaraz potem - drugi. Zanim Aleksandra zdążyła się ruszyć, stary Grom podskoczył jak piorunem rażony i rzucił się w stronę, z której dobiegały wystrzały. Puszczone wolno wodze dyndały tuż przy śmigających nad ziemią kopytach. Aleksandra mogła tylko trzymać się kurczowo nogami boków wierzchowca.

Słyszając za plecami głośny tętent, połączony z dziwnym szczękiem metalu, jeden z bandytów odwrócił gwałtownie głowę. Jordan Townsende oderwał wzrok od lufy pistoletu, którą drugi bandyta wycelował wprost w jego pierś. Nie wierzył własnym oczom. Zza drzew wyłonił się rycerz w średniowiecznej zbroi. Siedział w wysokim siodle na koniu, miał opuszczoną przyłbicę, w jednej ręce trzymał tarczę, a w drugiej strzelbę.

Aleksandra stłumiła krzyk, gdy z łomotem wpadła w środek oświetlonej blaskiem księżyca polany. To, co zobaczyła, było bardziej przerażające niż senny koszmar. Obok powozu leżał ranny stangret, a dwóch rabusiów z twarzami ukrytymi pod czerwonymi

chustkami trzymało na muszce wysokiego mężczyznę. Jeden z bandytów odwrócił się i wymierzył broń w Sandy.

Nie było czasu na myślenie, trzeba było działać. Aleksandra zacisnęła dłoń na strzelbie. Miała nadzieję, że tarcza i pancerz uchronią ją przed kulą. Pochyliła się nieco w prawo, chcąc rzucić się na zbira i powalić go. W tym momencie jego broń wypaliła.

Oszalały ze strachu Grom stanął dęba zrzucając bezradną Sandy razem z całym zardzewiałym żelastwem wprost na bandytę. Upadek zamroził dziewczynę, a jej strzelba poszybowała w górę.

- Co u diabła! - zaklął rabuś.

Odepchnął mocno Aleksandrę i ruszył z pomocą kamratowi, który walczył o pistolet z napadniętym.

Otumaniona bólem Sandy z przerażeniem zobaczyła, że obaj bandyci rzucili się na wysokiego mężczyznę. Strach wyzwolił w niej nowe siły. Czołgając się po nierównym gruncie, dotarła do leżącej na drodze strzelby i chwyciła ją kurczowo. Zaledwie jej dłoń dotknęła zimnego metalu, napadnięty wyrwał pistolet chudszeemu z bandytów, w mgnieniu oka strzelił do niego z bliska, po czym kocim ruchem zwrócił się do drugiego rabusia.

Zahipnotyzowana zwinnością, z jaką ofiara przeistoczyła się nagle w wymierzającego sprawiedliwość, Aleksandra patrzyła szeroko otwartymi oczyma, jak lufa pistoletu mierzy wprost w pierś bandyty. Przywarła do ziemi i zamknęła oczy, oczekując drugiego wystrzału, lecz słyszała jedynie suchy trzask opadającego zamka spustu. Pistolet nie był nabit!

- Ty głupcze! - zarechotał bandyta na całe gardło, powoli sięgając za pazuchę po drugi samopał. - Tyś naprawdę myślał, że pozwolę ci odebrać mu dwakroć nabitą pukawkę? A teraz umrzesz powoli za to, żeś zabił mojego brata. Każdy, komu strzelę w brzuch, umiera długo i...

Czując, jak przerażenie niemal odbiera jej rozum, Aleksandra przeturlała się na bok i starannie wymierzyła w napastnika. Kiedy tylko uniósł pistolet, wystrzeliła. Uderzona boleśnie w pierś siłą odrzutu, upadła na plecy. Kiedy uniosła głowę, ujrzała leżącego nieruchomo na ziemi bandytę z zakrwawioną głową.

Przez moment miała nadzieję, że tylko go zraniła. Jednak po chwili zrozumiała. Zabiła człowieka! Żałosny jęk wydarł się z jej zakrytej zbroją piersi i dziewczyna poczuła, że świat zaczyna krążyć wokół niej coraz szybciej i szybciej. Jak przez mgłę dostrzegła jeszcze, że wysoki mężczyzna odsuwa nogą ciało napastnika na bok i rusza w jej kierunku. Potem wszystko zasnęła ciemność. Po raz pierwszy w życiu Aleksandra zemdlą.

Jordan nachylił się nad swoim niezwykłym wybawcą. Stwierdził, iż jest to młody chłopak, który widocznie dla żartu lub zabawy wybrał się na przejażdżkę w stroju śre-

dniowiecznego rycerza. Trzeba było teraz jak najszybciej ściągnąć z niego tę absurdalną zbroję i sprawdzić, czy nie został ciężko ranny.

- Prędko, Grimm! - zawołał Jordan stangreta. Ten chwiał się jeszcze po ciosie w głowę, który pozbawił go przytomności. - Pomóż mi przy tym diabelnym żelastwie!

- Czy on jest ranny, wasza miłość? - spytał sługa, przyklękając obok swego pana.

- Chyba sam widzisz - burknął Townsende wskazując krwawiącą szramę po lewej stronie szczupłej twarzy leżącego.

- Chyba go nie postrzelili?

- Mam taką nadzieję. Podtrzymaj mu głowę... ostrożnie na Boga! Ja zdejmę z niego to paskudztwo.

Jordan uwolnił głowę Sandy od hełmu, a potem rozluźnił rzemienie pancerza.

- Mój Boże, któż to widział zakładać na siebie coś takiego - utyskiwał, choć jego w głosie brzmiała nuta niepokoju.

W świetle księżycy szukał na bezwładnym ciele śladów po kuli lub świeżo krwawiącej rany.

- Jest za ciemno, żeby stwierdzić, co mu się stało - mruknął wreszcie. - Zawróć powóz. Zabierzemy go do tej gospody, którą mijaliśmy niedawno. Ktoś tam powinien wiedzieć, kim są jego rodzice i gdzie szukać najbliższego lekarza.

Mówiąc to Jordan nachylił się mocniej i ostrożnie podźwignął z ziemi bezwładne ciało swego młodego wybawcy. Okazało się, że chłopak jest dużo lżejszy, niż przypuszczał.

- To jeszcze dziecko. Nie ma więcej niż trzynaście lub czternaście lat - mruknął z poczuciem winy, przypomniawszy sobie, z jaką odwagą ten wyrostek rzucił się na ratunek.

Nie tracąc ani chwili więcej, zaniósł go czym prędzej do powozu.

* * *

Przybycie Jordana z nieprzytomną Aleksandrą w ramionach wzbudziło sensację wśród bywalców karczmy, którzy kiwali się sennie nad szklanicami. W szynku rozległ się gwar podnieconych i zaciekawionych głosów. Jordan, z wyższością właściwą tym, którzy nie zwykli zniżać się do rozmów z pospólstwem, skierował się wprost do szynkarki.

- Zaprowadźcie mnie zaraz do najlepszego pokoju i przyślijcie natychmiast gospodarza!

Szynkarka rzuciła okiem na ciemną główkę Sandy spoczywającą na ramieniu wysokiego, wytwornie ubranego dżentelmena. Natychmiast spełniła żądania przybysza w ta-

kiej kolejności, w jakiej zostały wydane, poczynając od wskazania mu najlepszej sypialni w gospodzie.

Jordan delikatnie ułożył chłopca na łożu i rozluźnił mu koszulę pod szyją. Chłopak jęknął, powoli uniósł powieki i nagle Jordan spojrzał w ogromne oczy o niespotykanym kolorze czystego szmaragdu, ocienione długimi, podwiniętymi rzęsami. Przez chwilę patrzyły przed siebie nieprzytomnie, lecz gdy Jordan nachylił się jeszcze bardziej, dostrzegł w nich wyraz zdumienia i zakłopotania.

- Witaj z powrotem na świecie, Galahadzie - powiedział Townsende uśmiechając się pokrzepiająco.

- Gdzie... - spróbowała dobyć głosu Aleksandra, lecz wyschnięte gardło jedynie zachrypiało. Odchrząknawszy, wyszeptala jeszcze raz: - Gdzie ja jestem?

- W gospodzie, niedaleko miejsca, gdzie cię raniono.

I nagle Sandy przypomniała sobie wszystko. Wydarzenia ostatnich chwil przed utratą przytomności powróciły do niej tak wyraźnie, że poczuła, jak oczy wzbierają jej łzami.

- On... on nie żyje, prawda? I to ja...

- I to tobie właśnie zawdzięczamy życie - wpadł jej w słowo Jordan. - Ja i mój stangret.

Wciąż jeszcze czując zamęt w głowie, Aleksandra skwapliwie uchwyciła się tego wyjaśnienia, gdyż uwalniało ją na razie od konieczności rozważań nad spowodowaniem czyjejś śmierci. Teraz należało skupić się na czymś innym, czego jej zmacony umysł nie był w stanie pojąć. Jakby z wielkiego oddalenia patrzyła, jak dłonie nieznanego mężczyzny przesuwały się z wolna najpierw po jej rękach aż do ramion, a potem po nogach, coraz wyżej i wyżej. Nigdy niczyje ręce nie dotykały jej ciała w ten sposób - no, z wyjątkiem może rąk matki, ale to było tak bardzo dawno temu... Aleksandra sama nie wiedziała, co odczuwa - czy niezwykłą przyjemność, którą sprawiał sam kontakt z dłońmi tego mężczyzny, czy okropne zmieszanie, spowodowane jego niezrozumiałym zachowaniem. Kiedy jednak ręka tamtego przeniosła się na okolice jej dolnych żeber, dziewczyna wydała stłumiony okrzyk i przytrzymała go oburącz za nadgarstek.

- Ależ sir! - wychrypiała Sandy rozpaczliwie. - Co pan robi?

Jordan popatrzył ze zdumieniem na szczupłe palce, które ścisnęły jego muskularne przedramię z siłą spotęgowaną zapewne strachem.

- Badam, czy nie masz złamanych żeber - wyjaśnił. - Posłałem już po gospodarza i po medyka. Skoro jednak możesz już mówić, chciałbym się dowiedzieć się, kim jesteś i czy wiesz, jak dostać się do najbliższego lekarza?

Aleksandra, przestraszona samą myślą o tym, ile też taki medyk może zażądać za swe usługi, wybuchnęła gwałtownie:

- Czy pan w ogóle wie, ile kosztuje wezwanie lekarza? Jordan patrzył w zamyśleniu na bladą twarz tego chłopca o zadziwiających oczach i czuł, jak ogarnia go fala nagłego współczucia połączonego z niezwykłą sympatią dla odważnego dzieciaka, który najwyraźniej pochodził z mocno zubożałej rodziny. Obydwa te odczucia były mu do tej pory zupełnie obce - nigdy dotąd nie spotkał nikogo, komu mógłby współczuć lub czerpać niezrozumiałą przyjemność z samego faktu przebywania w czyimś towarzystwie.

- Twoje obrażenia powstały z mojej winy - powiedział wreszcie. - Oczywiście poniosę wszelkie koszty twojego leczenia.

Mówiąc to uśmiechnął się najmilej, jak tylko potrafił. Aleksandra poczuła, że powraca jej całkowita przytomność umysłu. Nieznajomy, który pochylał się nad nią i z uśmiechem patrzył jej prosto w oczy, był bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, ba, jakiego kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić! Jego szare oczy miały szlachetny błysk jak jedwab lub stal, szerokie ramiona były silne i wytrzymałe, a niski głos brzmiał jak cudowna muzyka. Gdy się uśmiechał, w mocno opalanej twarzy błyszcząły bielą mocne, równe zęby i chociaż twarda linia szczęk oraz podbródka świadczyła o nieustępliwym charakterze, dotyk jego dłoni był zaskakująco delikatny, a wokół oczu widniały drobniutki zmarszczki świadczące o poczuciu humoru.

Spoglądając na tego dużego, silnego mężczyznę, pochylonego nad nią w czułym geście, Aleksandra poczuła się nagle bardzo mała i krucha. I co dziwniejsze, było jej z tym dobrze i bezpiecznie. Bardziej bezpiecznie niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzech lat. Dziewczyna uniosła rękę i delikatnie dotknęła jego policzka.

- Pan też jest ranny - powiedziała uśmiechając się nieśmiało.

Na widok zmiany, jaka zaszła w oczach i twarzy chłopca pod wpływem uśmiechu, Jordan aż wstrzymał oddech z wrażenia. Drgnął zaskoczony czując, jak pod wpływem dotyku tego dzieciaka serce zaczyna żywiej bić mu w piersi. Co się z nim dzieje? Przecież to tylko młody chłopak. Odtrąciwszy od siebie drobną dłoń, Jordan pomyślał gorzko, że najwidoczniej nuda, którą przepełnione były wszystkie jego dotychczasowe związki miłosne, zaczyna popychać go w kierunku zachowań bardziej perwersyjnych.

- Nie wiem jeszcze, jak się nazywasz - powiedział tonem rozmyślnie obojętnym, wracając do sprawdzania, czy żebra dzieciaka nie są złamane.

Aleksandra już otworzyła usta, by się sprzeciwić, lecz nagle krzyknęła z zaskoczenia i strachu, gdy dłoń Jordana dotknęła jej piersi.

Jordan cofnął rękę jak oparzony.

- Ty... jesteś dziewczyną!

- Nic na to nie poradzę - rzuciła Aleksandra, cofając się szybko ku wezglowiu łoża, zaskoczona oskarżycielskim tonem jego głosu.

Niemal równocześnie oboje zauważyli, że ta szybka wymiana zdań była pozbawiona sensu. Nachmurzona twarz Jordana rozjaśniła się w uśmiechu, a Sandy cicho chichotała. W tym właśnie momencie do sypialni weszła pani Tilson. Nie mogła uwierzyć własnym oczom; oto Aleksandra Lawrence leżała w łóżku rozmawiając z jakimś obcym mężczyzną, oboje rozbawieni, roześmiani... Ręka tamtego spoczywała na pościeli w niepokojącej bliskości rozchylonej na piersi koszuli dziewczyny.

- Aleksandro Lawrence! - wybuchła ruszając ku bezwstydnej parze, manifestując całą swoją bujną sylwetką najwyższe oburzenie. - Co to ma znaczyć?

Aleksandra spojrzała na nią ze zdziwieniem, zupełnie nie rozumiejąc przyczyny gniewu gospodyni. Jordan wiedział niestety, o co chodzi pani Tilson. Zrobiło mu się nie-dobrze na myśl o tym, że to babsko o brudnych myślach oskarży teraz tę dziewczynę, która miała nie więcej niż trzynaście lat, o to, co najchętniej zrobiłaby sama, gdyby tylko mogła. Rysy jego twarzy stwardniały, a usta zacisnęły się wyrażając stanowczość.

- Panna Lawrence została ranna w wypadku, który zdarzył się niedaleko stąd na drodze - oświadczył. - Trzeba natychmiast posłać po lekarza.

- Nie, proszę tego nie robić, pani Tilson - zaproponowała dziewczyna, siadając na łóżku mimo zawrotów głowy. - Czuję się znakomicie i chcę już jechać do domu.

- Jeśli tak, to odwozę pannę Lawrence swoim powozem - rzucił Jordan gospodyni, która wciąż zerknęła na niego podejrzliwie. - Wy zaś pošlijcie lekarza na zakręt drogi, o kilka mil na południe. Znajdzie tam dwóch opryszków, którzy co prawda nie potrzebują już jego pomocy, lecz trzeba się o tym upewnić.

Jordan wyjął z kieszeni kartę wizytową, na której widniało jego nazwisko tłoczone ozdobnie pod niewielkim, złotym krzyżykiem.

- Gdyby miejscowy sędzia i lekarz mieli do mnie jakieś pytania, wróć tutaj zaraz po odwiezieniu panny Lawrence do jej rodziców.

Pani Tilson wzięła kartę i mrużąc coś pod nosem na temat bandytyzmu i ogólnego upadku obyczajów, zerknęła raz jeszcze na rozpięte guziki koszuli Sandy, po czym wymaszerowała z pokoju.

- Wydawał się pan zaskoczony... no tym, że jestem dziewczyną - zaczęła Aleksandra niepewnie.

- Istotnie, dzisiejsza noc jest pełna niespodzianek - odparł Jordan starając się jak najszybciej usunąć osobę pani Tilson ze swoich myśli. W tej chwili Aleksandra zajmowała go o wiele bardziej. - Czy nie okażę się natrętem pytając, co robiłaś w lesie ubrana tak osobliwie?

Sandy powoli opuściła stopy na podłogę i spróbowała wstać. Wydawało jej się, że podłoga w pokoju kołysze się niczym pokład okrętu.

- Ależ ja mogę iść sama! - zaprotestowała widząc, że tamten wyciąga ramiona, jakby chciał ją wziąć na ręce.

- A ja wolę cię nieść - uciął krótko Jordan.

Gdy niosąc ją szedł zdecydowanym krokiem przez szynk, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami wieśniaków, Aleksandra z trudem tłumiała śmiech. Kiedy jednak ułożył ją ostrożnie na miękkim siedzeniu wygodnego powozu, rozbawienie dziewczyny zniknęło jak zdmuchnięty płomyk świecy. Przed jej oczyma pojawiły się raz jeszcze wszystkie przeżycia minionego wieczoru.

- Zabiłam człowieka - szepnęła boleśnie, podczas gdy powóz zbliżył się do nieszczęsnego zakrętu. - Nigdy sobie tego nie daruję.

- A ja nigdy bym ci nie darował, gdybyś tego nie zrobiła - powiedział Jordan z przekorną nutą w głosie.

W słabym świetle palącej się w powozie lampki dojrzał duże, błyszczące od łez oczy, które wpatrywały się w niego ufnie, szukając pocieszenia. Zareagował zupełnie automatycznie; pochylił się i wziął dziewczynę na kolana, po czym przytulił do piersi, jak przestraszone dziecko.

- To, co zrobiłaś, było bardzo odważne - mruknął w miękkie, pachnące kurzem loki, które łaskotały go w policzek.

Kołysząc ją w ramionach, przyłapał się na zdumiewającej myśli, że może kiedyś będzie miał swoje własne dziecko, które mógłby tulić. Było coś niezmiernie wzruszającego w tym, jak ta mała ufnie przywarła do niego, jakby oddając mu się w opiekę. Przypomniał sobie jednak, że wszystkie milutkie dziewczynki prędzej czy później nieuchronnie staną się rozkapryszonymi pannami. Postanowił więc czym prędzej wymazać te głupie mrzonki ze swego umysłu.

- Dlaczego ubrałaś się w tę starą zbroję? - powtórzył wcześniejsze pytanie..

W odpowiedzi Aleksandra opisała mu dokładnie zasady rycerskich turniejów, które tradycyjnie odbywały się z okazji rocznicy urodzin każdej z latorośli O'Toole'ów. Słuchając

jej opowieści o dzisiejszych pojedynkach i potyczkach na udeptanej ziemi, Jordan nie mógł powstrzymać się od głośniego śmiechu.

- Czyżby poza Morsham nigdzie nie urządzano turniejów? - zdziwiła się Sandy widząc jego rozbawienie. - Zawsze wydawało mi się, choć nie byłam tego całkiem pewna, że ludzie wszędzie są jednakowi. Nigdy nie wyjeżdżałam poza granice Morsham. I pewnie nigdy nie wyjadę.

Zaszokowany Jordan milczał przez chwilę. Ludzie żyjący w jego bliższym i dalszym otoczeniu podróżowali często i dokąd tylko chcieli. Wydało mu się strasznie niesprawiedliwe, że to bystre dziecko nie ujrzy nigdy żadnego innego miejsca na świecie poza swoją zabita deskami wioską, leżącą w zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku kraju. Spojrzał w dół na skrytą w cieniu twarz Aleksandry. Dziewczyna wpatrywała się w niego z przyjaznym zainteresowaniem, a nie z pełną lęku unізonością, do której przywykł w swoim otoczeniu. Nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o wiejskich dzieciach, walczących z zapalem w zainscenizowanym turnieju. Jakże bardzo musiało się różnić ich dzieciństwo od tego, które było udziałem potomków arystokracji. On sam, tak jak i jego szlachetnie urodzeni rówieśnicy dojrzewali wśród guwernerów i płatnych wychowawców, stale upominani i karceni, jeśli próbowali zachować się niestosownie lub choć trochę pobrudzić ubranka. Nie było dnia, by nie przypominano im, kim są i jakie zajmują miejsce na tym świecie. Być może dzieci dorastające w takich odległych miejscach jak to są lepsze. Może są po prostu inne - szczerze i odważne tak jak Aleksandra. Może wiejskie dzieci są po prostu szczęśliwe? Słuchając opowieści Sandy, Jordan zauważył, że w jej sposobie mówienia nie ma nic pospolitego. Ani jednego słowa, które raziłoby uszy nadmierną prostotą lub śladem gwary. Czy Aleksandrę naprawdę można było nazwać wiejskim dzieckiem?

- Dlaczego stangret mówił do pana „wasza wysokość”? - spytała Sandy i uśmiechnęła się ukazując rozkoszne dołeczki w policzkach.

Jordan z trudem oderwał wzrok od jej twarzy.

- Bo tak ludzie zwykli zwracać się do książąt - wyjaśnił krótko.

- Książąt? - powtórzyła jak echo Aleksandra.

W jej głosie brzmiało nie tajone rozczarowanie, bo oto nagle okazało się, że ten wspaniały nieznajomy należy do świata odległego od niej o tysiące tysięcy mil, co oznaczało, że niebawem zniknie z jej życia na zawsze.

- To pan naprawdę jest księciem?

- Niestety tak - odparł, zauważywszy jej nagłe przygnębienie. - Czy czujesz się rozczarowana?

- Tak, trochę - odparła szczerze, co zbiło go z tropu. - A... jak ludzie do pana mówią? Oczywiście wtedy, gdy nie zwracają się do pana per „książę”.

- Och, mam chyba z tuzin różnych przezwisk - powiedział Jordan lekko rozbawiony, i zaskoczony jej oryginalnymi pytaniami. - Niektórzy mówią do mnie Hawthorne lub po prostu Hawk*. Najbliżsi przyjaciele zaś zwracają się do mnie po imieniu - Jordan.

- Hawk pasuje do pana - stwierdziła poważnie, lecz w tej samej chwili jej bystry umysł podążył już za inną myślą. - A czy nie wydaje się panu, że ci bandyci napadli was właśnie dlatego, że jest pan księciem? Myślę, że ryzykowali bardzo wiele, obierając za miejsce napadu ten zakręt, położony niezbyt daleko od gospody.

- Chciwość jest chyba wystarczającym usprawiedliwieniem dla ryzyka - zauważył Jordan.

Aleksandra skinęła głową w odpowiedzi i zacytowała cicho:

- „Nie istnieje namiętność bez ognia, rekin bez nienawiści i rwący potok bez zachłanności”.

Jordan spojrzał na nią z najwyższym zdumieniem.

- Co powiedziałaś? - spytał wreszcie.

- To nie ja, lecz Budda - wyjaśniła Sandy.

- Znam ten cytat - odparł, z trudem zachowując zimną krew. - Jestem tylko zaskoczony, że ty go znasz.

W tej samej chwili dojrzał słabe światła w oknach ocienionego domu i domyślił się, że są na miejscu.

- Posłuchaj, Aleksandro - rzekł szybko, choć stanowczo, gdy powóz zajechał przed drzwi frontowe. - Nie wolno ci winić siebie o to, co stało się dzisiejszej nocy. Nikt nie ma prawa zarzucić ci, że postąpiłaś niewłaściwie lub nagannie. Pamiętaj!

Sandy odpowiedziała mu uśmiechem, lecz nagle rzuciła okiem na podjazd przed domem.

- Och, nie! - krzyknęła cicho widząc elegancki powozik Helmsleyów.

Serce ścisnęło się jej z rozczarowania. Liczyła na to, że goście już dawno odjechali!

Stangret otworzył drzwiczki i opuścił schodki. Kiedy jednak Aleksandra zamierzała wysiąść w ślad za księciem, on odwrócił się i wziął ją na rękę.

- Ależ ja mogę iść sama! - zaprotestowała dziewczyna. Jordan uśmiechnął się tak czarująco, że aż zapało jej dech w piersiach.

* *Hawk* (ang.) - sokół

- Powinnaś zrozumieć, jak bardzo upokarzający jest dla mężczyzny takiego jak ja fakt, że uratowało go od śmierci słabe i bezbronne dziewczę, nawet jeśli było przyodziane w groźną zbroję. Przez wzgląd na moją zranioną dumę pozwól, że choć teraz okażę się szarmancki!

- No dobrze - zgodziła się Aleksandra i westchnęła zrezygnowana. - A kimże ja jestem, że potrafiłam tak bardzo zranić dumę szlachetnie urodzonego księcia?

Jordan jednak już jej nie słuchał. Rozglądał się ciekawie po zaniedbanych trawnikach i otoczeniu świetnego niegdyś dworu. Ze zdumieniem patrzył na wyrwane z zawiasów okiennice, odpadające tynki i inne aż nadto widoczne dowody, że dom ten rozpaczliwie wymagał natychmiastowego remontu. Prawdę mówiąc, spodziewał się raczej jakiejś ubogiej chaty; to miejsce zaś świadczyło o minionej świetności rządzącego nim rodu, którego potomkowie nie byli w stanie utrzymać swojej siedziby.

Przytrzymując Sandy lewą ręką, Jordan zapukał mocno do drzwi. Z bliska dojrzał, że były odarte z farby niemal do żywego drewna. Z domu nie dochodził żaden odgłos.

- Musi pan zapukać mocniej - powiedziała Aleksandra.

- Penrose jest niemal zupełnie głuchy, choć duma nie pozwala mu się do tego przyznać.

- Kto to jest Penrose? - spytał Jordan i załomotał do drzwi, aż zadrżały zawiasy.

- To nasz lokaj. Kiedy umarł mój ojciec, musiałam zwolnić całą służbę. Penrose i Filbert byli zbyt starzy, by szukać sobie pracy gdzie indziej. Nie mieli dokąd iść, więc zgodzili się zostać tutaj za dach nad głową i strawę. Penrose także gotuje i pomaga przy sprzątnięciu.

- To dość osobliwe - mruknął Jordan czekając, aż drzwi zostaną otwarte.

Aleksandra zwróciła ku niemu twarz i w nikłym świetle lampy tłącej się nad gankiem usiłowała odczytać wyraz jego oczu.

- A cóż, według waszej wysokości, jest osobliwego w całej tej sytuacji?

- Sam fakt istnienia głuchego lokaja.

- W takim razie jeszcze większą osobliwością wyda się panu Filbert.

- Naprawdę? - rzucił sucho Townsende. - A któż to jest Filbert?

- Nasz drugi lokaj.

- A jemu co dolega, jeśli wolno spytać?

- Jest bardzo krótkowzroczny - wyznała szczerze Sandy.

- Tak bardzo, że nie dalej jak wczoraj pomylił drzwi do pokoju z drzwiami do szafy i usiłował do niej wejść.

Ku swemu przerażeniu Jordan poczuł, jak gdzieś w głębi narasta w nim chęć do niepowstrzymanego śmiechu. Próbując ratować sytuację, oświadczył z powagą, którą jakimś cudem udało mu się zachować:

- Hm... jeden lokaj głuchy, a drugi ślepy. Jakież to... oryginalne.

- Prawda, że tak? - ucieszyła się Aleksandra, po czym dodała niemal z dumą: - Zawsze chciałam, żeby inni uważali mnie za oryginalną. „Konwencjonalność jest schronieniem dla pospolitych umysłów” - zakończyła cytatem.

Jordan uniósł pięść i uderzył w drzwi tak, że aż z głębi domu odpowiedziało mu grzmiące echo. Wciąż nie mógł oderwać wzroku od roześmianej twarzy dziewczyny.

- A czyje to są słowa? - spytał zdezorientowany.

- Moje - oświadczyła Sandy nieskromnie. - Ja to wymyśliłam.

- Jesteś po prostu małym, nieznośnym łobuziakiem - stwierdził Jordan z uśmiechem i zanim Aleksandra zdołała się zorientować w jego zamiarach, złożył na jej czole czuły, niemal ojcowski pocałunek. Dziewczyna nie miała czasu zareagować na ten niespodziewany książęcy kaprys, gdyż nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich siwowłosy Penrose. Spojrzawszy z oburzeniem na Jordana, powiedział:

- Nie ma potrzeby tak walić do drzwi, jakby się chciało pobudzić umarłych, sir. W tym domu nikt nie jest głuchy!

Zbesztany w ten sposób książę Hawthorne zaniemówił na chwilę, po czym otworzył usta, żeby udzielić bezczelnemu słudze surowej reprimendy, na którą ten niewątpliwie zasłużył. Staruszek jednak nie zwracał już na niego uwagi, tylko przyglądał się z przerażeniem zadrapaniu na policzku Sandy.

- Co pan zrobił naszej panience? - syknął sędziwy lokaj z furią i uczynił gest, jakby chciał czym prędzej pochwycić Aleksandrę, którą Jordan wciąż trzymał na rękach.

- Zaprowadźcie mnie natychmiast do pani Lawrence, dobry człowieku - uciął Jordan krótko, ignorując wyciągnięte ramiona tamtego.

Lokaj ani drgnął.

- Powiedziałem - ryknął książę Hawthorne pełnym głosem - żebyście zaprowadzili mnie do swojej pani!

Stary sługa spojrzął na niego spod oka.

- Słyszałem, co pan mówił już za pierwszym razem - oświadczył ze złością, po czym odwrócił się. - Umarły by słyszał... - mruczał człapiąc powoli przez hall.

To, co zaszło w salonie, gdy pojawili się w drzwiach, przeszło najgorsze oczekiwania Sandy. Matka zerwała się z miejsca z okrzykiem przerażenia. Gruby sędzia i jego jeszcze

grubsza połowica aż wychylili się ze swych foteli, z ciekawością i zgorzaniem spoglądając na wciąż głęboko rozpiętą koszulę Sandy.

- Co się stało? - wybuchnęła pani Lawrence. - Mój Boże, Aleksandro, co się stało z twoją twarzą?

- Pani córka uratowała mi życie, pani Lawrence. Podczas tego zdarzenia doznała zadrapania na policzku. Zapewniam panią, że nie jest tak groźne, na jakie wygląda.

- Proszę mnie już postawić - zażądała Sandy widząc, że matka jest bliska omdlenia.

Kiedy Jordan spełnił jej życzenie, zdecydowała, że mimo wszystko dokona spóźnionej prezentacji i choć trochę rozładuje napiętą atmosferę.

- Mamo - zaczęła spokojnym głosem - to jest książkę Hawthorne.

Nie zważając na stłumiony okrzyk matki, ciągnęła rzeczowym tonem:

- Jego wysokość był uprzejmy odwieźć mnie tu swoim powozem. Obaj ze stangretem zostali napadnięci na gościńcu przez bandytów i... i ja zastrzeliłam jednego z napastników. - Po czym zwróciła się do Jordana: - Wasza wysokość, to jest moja matka, pani Lawrence.

Po jej słowach zapadła głucha cisza. Pani Lawrence wyglądała na lekko zamroczoną, a oboje sędziostwo gapili się na Jordana z otwartymi ustami. Zakłopotana przedłużającym się milczeniem Aleksandra powitała z prawdziwą ulgą przybycie wujka Monty'ego, który chwiejnym krokiem w maszerował właśnie do pokoju. Jego szklisty wzrok wyraźnie świadczył o tym, iż nie przestrzegał zbyt skrupulatnie zakazu raczenia się maderą.

- Wujku Monty - powiedziała Sandy desperacko. - Przyprowadziłam ze sobą gościa. To jest książkę Hawthorne.

Wujek Monty wsparł się na rzeźbionej z kości słoniowej rączce laski i przez chwilę uważnie studiował twarz księcia, jak gdyby usiłował ją sobie przypomnieć.

- Dobry Boże! - wykrzyknął nagle, zaszokowany. - To rzeczywiście jest Hawthorne! Prawdziwy Hawthorne, na Jowisza!

Przypomniawszy sobie o dobrych manierach, zgiął się w niezgrabnym ukłonie i przedstawił się serdecznym tonem:

- Wasza wysokość pozwoli; sir Montague Marsh, do usług.

Aleksandra, która wydawała się zakłopotana jedynie z powodu przedłużającego się niezręcznego milczenia, uśmiechnęła się promiennie do Jordana, tak jakby zaniedbane domy, niedołęzni słudzy czy osobliwie zachowujący się krewni byli rzeczą najzupełniej normalną.

W tej samej chwili do salonu przyczłapał Filbert, niosąc ostrożnie tacę z filiżankami herbaty. Sandy zwróciła głowę w jego kierunku i pod wpływem nagłego impulsu oznajmiła:

- A to jest Filbert, który zajmuje się w tym domu wszystkim, w czym nie ubiegnie go Penrose. Filbercie, oto księżę Hawthorne.

Nawet do głowy jej nie przyszło, że przedstawianie wysoko urodzonego arystokraty zwykłemu lokajowi jest niewybaczalną gafą. Stary sługa postawił ostrożnie tacę na stole i mrużąc krótkowidzące oczy, zwrócił się do wujka Monty'ego, zamiast do właściwej osoby.

- Moje uszanowanie...

Aleksandra dostrzegła, jak kąciki ust Jordana krzywią się w ironicznym półuśmiechu.

- Czy zechce pan zasiąść z nami do herbaty? - spytała patrząc mu prosto w oczy. Zauważyła w jego spojrzeniu wesołe ogniki.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i z zalem pokręcił przecząco głową.

- Niestety, nie mogę, moja mała. Czeka mnie długa podróż, a powinienem jeszcze wrócić do gospody, by spotkać się z miejscowym sędzią i lekarzem. Muszę wyjaśnić im, co się wydarzyło.

Skinął głową na pożegnanie reszcie towarzystwa, które nadal siedziało w osłupieniu, i ponownie zwrócił się do Sandy:

- Czy zechcesz mnie odprowadzić?

Dziewczyna potaknęła i ruszyła ku drzwiom. Nie zwróciła uwagi na nagłe poruszenie przy stole i na to, że sędzina piskliwym głosem zapytała:

- Co on powiedział? Musi wrócić do gospody? Ależ pani Lawrence, to chyba nie oznacza, że Aleksandra była tam z tym...

Kiedy byli już pośrodku hallu, księżę przystanął nagle i spojrzał na Sandy z niespodziewaną tkliwością. Uniosła odważnie oczy, lecz gdy napotkała jego wzrok, poczuła, jak robi się jej gorąco. Stała nieruchomo, czując łomotanie serca gdzieś w gardle. Jordan uniósł dłoń i delikatnie musnął palcami zadraśnięcie na jej policzku.

- Dokąd... dokąd pan jedzie? - spytała, chcąc jeszcze choć o chwilę przedłużyć to pożegnanie.

- Do Rosemeade.

- A co to jest?

- Niewielki majątek ziemski mojej babki. Spędza w nim większość czasu, gdyż jak mówi, dom jest bardzo przytulny.

- Och... - powiedziała Aleksandra zamierającym głosem. Miała wrażenie, że jest jej trudno nie tylko mówić, ale nawet oddychać. Dłoń Jordana błędziła teraz jakby od niechcenia po jej policzku, a w jego oczach odbijała się głęboka sympatia i chyba szacunek.

- Nigdy cię nie zapomnę, malutka - powiedział książę Hawthorne cichym, głębokim głosem, po czym pochylił się i złożył na czole Sandy gorący pocałunek. - Nie pozwól im, aby cię zmienili. Pozostań na zawsze taka, jaka jesteś teraz...

Kiedy wyszedł, Aleksandra stała przez chwilę nieruchomo, wciąż jeszcze czując dotyk jego warg. Nawet do głowy jej nie przyszło, że ujmujące zachowanie Jordana mogło być z jego strony jedynie zwykłą uprzejmością. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z mężczyznami, którzy rozmyślnie albo całkiem automatycznie stosowali uwodzicielskie sztuczki.

W tym domu była jednakże osoba, która wiedziała aż za wiele o rozpustnych arystokratkach i bezwzględnych uwodzicielach niewinnych dziewcząt; pani Lawrence. Była przecież niewiele starsza od Aleksandry, kiedy uległa urokowi jednego z takich niegodziwców. Człowiek ten, który został później jej mężem, tak jak książę Hawthorne miał ujmującą powierzchowność, był bardzo przystojny, znakomicie ubrany i pozbawiony wszelkich skrupułów.

Oto dlaczego następnego ranka Aleksandra została nagle wyrwana ze snu przez matkę, która wpadła jak burza do jej pokoju.

- Aleksandro, obudź się natychmiast! - krzyknęła drżącym z gniewu głosem.

Sandy usiadła na łóżku i odgarnęła krótkie loki, które opadły jej na oczy.

- Czy stało się coś złego?

- I ty o to pytasz? - wybuchnęła matka kipiąc z wściekłości. - Od rana mieliśmy już czworo gości. Pierwsza przyszła żona właściciela gospody, aby poinformować mnie, że ostatniej nocy dzieliłaś sypialnię z tym podłym, nikczemnym uwodzicielem niewinnych dziewcząt. Następnym dwoje przybiegło tu szukać sensacji i plotek. Czwartym zaś gościem - i tu głos pani Lawrence łzawo się załamał - czwartym gościem był sędzia, który przybył mi oznajmić, że uważa twoje skandaliczne zachowanie, twój niekompletny ubiór i ogólny brak skromności oraz rozsądku za wystarczające powody do wykluczenia możliwości twojego małżeństwa z jego synem lub z jakimkolwiek innym rozsądnym młodym człowiekiem.

Widząc, że Aleksandra spogląda na nią z wyraźną ulgą, matka straciła do reszty kontrolę nad sobą. Chwyciwszy córkę za ramię, potrząsnęła nią z całej siły.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, coś narobiła? - wrzasnęła. - Wiesz? Jeśli nie, to ci powiem: Pogrzebałaś swoje szanse bez reszty! Gdzie się nie obrócić, ludzie plotkują tylko o tobie, jak gdybyś była jakąś ladacznicą. Widzieli, jak na wpół rozebraną przyniesiono cię do gospody, gdzie potem zamknęłaś się w sypialni sama z mężczyzną. Wiesz, co oni wszyscy myślą?

- Pewnie, że byłam zmęczona i musiałam odpocząć - odparła Aleksandra, bardziej zaniepokojona bladością matki niż jej słowami.

- Ty bezmyślna dziewczyno! Jesteś jeszcze głupsza niż ja kiedyś. Żaden przyzwoity młodzieniec już nigdy na ciebie nie spojrzy!

- Uspokój się, mamó - powiedziała Sandy spokojnie, lecz stanowczo; tak jak to robiła w krytycznych chwilach przez ostatnie trzy lata.

- Jak śmiesz mówić do mnie takim tonem! - krzyknęła pani Lawrence gniewnie. - Powiedz: czy ten mężczyzna cię tknął?

Słyszac narastającą w głosie matki histerię, Aleksandra odpowiedziała natychmiast z całkowitą szczerością:

- Dobrze wiesz, że tak. Sama widziałaś, że mnie tu przyniósł i...

Nie to mam na myśli! - zawołała matka trzęsac się ze złości. Czy dotykał cię rękami? A może cię całował? Odpowiedz mi, Aleksandro!

Sandy zastanawiała się gorączkowo, czy ma postąpić wbrew zasadom, które wpoił jej dziadek. Zanim jednak otworzyła usta, aby skłamać, matka dostrzegła zdradziecki rumieniec, który zabarwił jej policzki.

- A więc zrobił to! - jęknęła głośno. - Wystarczy spojrzeć na twoją twarz!

Zerwała się z łóżka i zaczęła przemierzac niewielką przestrzeń pokoju szybkimi krokami, niby zwierzę zamknięte w klatce. Aleksandra widywała już kobiety tak zrozpaczone, że rwały sobie włosy z głowy, a jej matka wyglądała tak, jakby za chwilę miała zrobić to samo.

Wyskoczywszy szybko z łóżka, dziewczyna podeszła do Felicji i położyła jej rękę na ramieniu.

- Mamó, proszę, nie denerwuj się tak. Proszę! Książę i ja naprawdę nie zrobiliśmy niczego złego.

Pani Lawrence zgrzytnęła zębami z wściekłości.

- Ty nic nie rozumiesz. Nie wiesz nawet, że to, co uczyniłaś, jest złe! Ale on, ten podły, zepsuty degenerat, on wiedział! Wiedział bardzo dobrze! Pewnie kręcił jak szczwany lis i prawil ci słodkie słówka. Dobrze wiedział, że jesteś zbyt naiwna, by zrozumieć, co on robi. Boże, jak ja nienawidzę mężczyzn!

Nagle i zupełnie niespodziewanie chwyciła Aleksandrę w ramiona i przycisnęła do siebie w konwulsyjnym uścisku.

- Nie jestem już taka niemądra jak kiedyś. Pozwoliłam, żeby twój ojciec nas oszukał i bawił się naszym kosztem, ale Hawthorne'owi się to nie uda! On zniszczył twoją przyszłość i słono za to zapłaci! Sprawię, że uczyni, co powinien.

- Proszę cię, mammo! - krzyknęła Sandy uwalniając się siłą z dławiącego uścisku. - On naprawdę nie zrobił nic złego. Dotykał tylko moich rąk i nóg, i badał, czy nie złamałam sobie żeber. Na pożegnanie pocałował mnie w czoło. Nie ma w tym przecież nic niestosownego!

- Zniszczył twoją reputację. Po co zabierał cię do gospody, gdzie wszyscy mogli was zobaczyć? Przez niego nigdy nie wyjdiesz za mąż. Teraz już nikt cię nie zechce. Od dziś cień tego skandalu będzie się włókł za tobą w całej okolicy. Za to jego wysokość musi zapłacić i to drogo. Wczoraj wieczorem zostawił swój adres lekarzowi, z którym rozmawiał w gospodzie. Pojedziemy za nim, aby żądać zadośćuczynienia!

- Nie! - krzyknęła Aleksandra, lecz matka nie zwracała już na nią uwagi, upojona nadzieją zemsty za minione trzy lata.

- Jestem pewna, że nie zdziwi go zbytnio nasza wizyta - stwierdziła Felicja nie zważając na sprzeciw córki. - Teraz już wiemy, dlaczego tak szybko uciekł stąd wczorajszej nocy!

ROZDZIAŁ 5

Stara księżna Hawthorne przyglądała się wnukowi z dumą i rozczuleniem. Mimo siedemdziesięciu lat wciąż jeszcze była piękną kobietą o śnieżnobiałych włosach i isticie królewskiej postawie. Emanowała z niej niewzruszona pewność siebie, zawsze była powściągliwa i pełna rezerwy.

Pomimo posągowej godności, która charakteryzowała każdy jej ruch, księżna dobrze wiedziała, co to smutek i przygnębienie. Zarówno jej mąż, jak i synowie już nie żyli. Księżna była jednak tak wyniosła i niedostępna, że nawet najbliżsi nie zdawali sobie sprawy z tego, jak bardzo ich kochała.

Teraz również nie zdradzała żadnych oznak trwogi, gdy jej starszy wnuk, rozparty nonszalancko na jednej z sof, opowiadał spokojnie, jak dwóch opryszków próbowało go zabić zeszłej nocy na gościńcu.

Jej drugi wnuk także sprawiał wrażenie, jakby nie przejęła go zbyt opowieść kuzyna.

- Przyznaj się Jordanie - rzekł Anthony unosząc szklaneczkę z brandy do ust. - Twoje spóźnienie wynikało raczej z tego, że chciałeś spędzić jeszcze jeden uroczy wieczór ze swoją śliczną baletnicą. O przepraszam, babciu - dorzucił w odpowiedzi na lodowate spojrzenie, które posłała mu babka. - No powiedz: tak naprawdę nie było żadnych bandytów ani dwunastoletniej dziewczynki, która pospieszyła ci z pomocą. Mam rację?

- Nie masz - odparł Jordan z niewzruszonym spokojem. Stara księżna obserwowała spod oka przekomarzających się kuzynów. Byli sobie tak bliscy jak bracia i jednocześnie tak różni od siebie jak dzień i noc. Bardziej podobny do niej Jordan - chłodny, odnoszący się do wszystkiego z rezerwą, i łatwy do rozszyfrowania, dobroduszny Anthony. Oboje rodzice młodszego wnuka darzyli go bezgraniczną miłością, podczas gdy Jordan nigdy nie zaznał od swoich żadnych cieplejszych uczuć. Babka w pełni aprobowała pełne dystansu zachowanie Jordana, natomiast nadmierna wylewność Anthony'ego tylko ją drażniła. Dezaprobata była jednym z nielicznych uczuć, na których uzewnętrznianie księżna pozwalała sobie od czasu do czasu.

- Było dokładnie tak, jak powiedziałem, chociaż wyznanie wam tego rani moją dumę - stwierdził Jordan kwaśno, po czym wstał i podszedł do małego stoliczka, by dolać trunku do swej szklaneczki. - Gapilem się wprost w lufę pistoletu i nagle ona wypadła z lasu na koniu, z opuszczoną przyłbicą i tarczą w jednej, a strzelbą w drugiej ręce.

Uraczywszy się portugalskim winem, które szczególnie lubił, wrócił na sofę i podjął swoją opowieść rzeczowym tonem:

- Jej zbroja była stara i zardzewiała, a dom, do którego potem ją odprowadziłem, wyglądał jak żywcem wyjęty z ponurej średniowiecznej powieści: cały w pajęczynach i oberwanych tapetach. Wszystkie drzwi są tam wypaczone, a ściany zieją wilgocią. Mają tam jednego lokaja, głuchego jak pień, i drugiego, który tak niedowidzi, że nie trafia do drzwi. Zostałem też przedstawiony jakiemuś dziwnemu osobnikowi, który tytułował siebie sir Montague Marsh...

- Interesująca rodzinka - mruknął Anthony. - Nic dziwnego, że panienka zachowuje się nieco... hm... niekonwencjonalnie.

- Konwencjonalność jest właściwa umysłom ograniczonym - zacytował Jordan chłodno.

Stara księżna, której całe życie upłynęło na niemal religijnym przestrzeganiu rozmaitych konwenansów, spojrzała groźnie na starszego wnuka.

- A któż to głosi tak niemądre słowa?

- Aleksandra Lawrence.

- Tak, tak. Bardzo niekonwencjonalna istota - zachichotał Anthony. Jego uwagi nie uszedł fakt, że surowa twarz kuzyna rozjaśniła się niemal czułym uśmiechem, kiedy mówił o tej małej. Jordan rzadko się uśmiechał i chyba nikt nie mógł się pochwalić, że słyszał jego śmiech. Jeśli twarz księcia rozjaśniała się na chwilę, był to uśmiech albo uwodzicielski, albo cyniczny. Nie na próżno ojciec wychowywał go w pogardzie dla wszystkiego, co sentymentalne. Wpajał synowi, że okazywanie przyjaznych uczuć jest niewłaściwe, gdyż czyni człowieka bezbronny. Dotyczyło to również miłości.

- Jak wygląda to niezwykle kobiece zjawisko? - spytał Anthony, rad dowiedzieć się czegoś więcej o dziewczynie, która zrobiła takie wrażenie na jego kuzynie.

- Jest mała - odparł Jordan mając przed oczyma roześmianą buzię Aleksandry. - Mała i trochę za chuda. Ale jej uśmiech potrafiłby stopić górę lodową, a oczy... są doprawdy niezwykle. Mają kolor czystego szmaragdu i kiedy patrzysz na nią, widzisz tylko te oczy. Jej manieri i sposób wysławiania się nie są gorsze od naszych. I co najdziwniejsze; mimo iż żyje w tak nędznych warunkach, jest bardzo zycziwa i serdeczna.

- I zapewne odważna - dorzucił Anthony. Jordan skinął głową i dodał:

- Postanowiłem wysłać jej weksel, płatny na żądanie w banku, jako nagrodę za uratowanie mi życia. Bóg jeden wie, z czego oni żyją. Z tego, co powiedziała - a raczej z tego, czego starała się nie mówić - domyśliłem się, że utrzymanie tego niesamowitego domu wraz z

mieszkańcami spoczywa na jej barkach. Jestem pewien, że gdybym zaproponował jej pieniądze wczoraj wieczorem, poczułaby się obrażona. Mam nadzieję, że mój weksel ulży jej choć trochę w ciężkim położeniu.

Księżna prychnęła pogardliwie, wciąż jeszcze rozdrażniona zapatrywaniami panny Lawrence na konwenanse.

- Niższe klasy są zawsze bardzo łase na pieniądze, Jordanie, i wszystko im jedno, kto im je daje i za co. Jestem zaskoczona tym, że wczoraj wieczorem nie wręczyłeś jej od razu właściwej sumy.

- Stajesz się cyniczna, babciu - stwierdził przekornie Jordan. - Zapewniam cię jednak, że się mylisz co do tej dziewczyny. Ona nie jest ani nieszczerą, ani chciwą.

Anthony znał niezbyt pochlebną opinię swego kuzyna o całym żeńskim rodzie. Rzucił więc usłużnie:

- Czemu nie miałbyś zajrzeć do niej za kilka lat; zabrać ją z tej nędznej nory, przenieść do jakiegoś zacisznego mieszkanka w Londynie jako...

- Anthony! - syknęła księżna z dezaprobatą. - Nie w mojej obecności, jeśli łaska!

- Nawet nie ma co marzyć o tym, by zabrać ją z miejsca, w którym wyrosła - powiedział Jordan, któremu niestraszne były gromiące spojrzenia babki. - Aleksandra jest jak klejnot rzadkiej urody, ale w Londynie nie wytrzymałaby ani jednego dnia. Nie jest na to dość twarda lub może dość ambitna. Ona... - przerwał spoglądając na lokaja, który właśnie zgiął się przed nim w ukłonie. - Tak Ramsey, słucham.

Ramsey stanął wyprostowany jak struna. Na jego twarzy malował się niesmak, a brwi uniesione były wysoko, co u służących oznacza zwykle najwyższą formę protestu. Zwracając się do Jordana, lokaj oznajmił:

- W hallu są trzy osoby, które uparczywie nalegają na to, aby wasza wysokość zechciał z nimi porozmawiać. Przyjechali czymś w rodzaju powozu, a koń, który go ciągnął, omal nie wyzionął ducha na podjeździe. Ich ubrania zaś...

- Kim są ci ludzie? - przerwał mu Jordan niecierpliwie.

Mężczyzna twierdzi, że nazywa się sir Montague Marsh, a kobiety, które mu towarzyszą to jego szwagierka, pani Lawrence i jej córka, panna Aleksandra Lawrence. Mówią, że przyjechali, bo wasza wysokość jest im coś winien.

Słyszając słowo „winien” Jordan ściągnął brwi.

- Wprowadź ich - zażądał krótko. Tym razem księżna zrezygnowała na chwilę ze swej godnej postawy i rzuciła Jordanowi pełne satysfakcji spojrzenie typu „a nie mówiłam?”

- Panna Lawrence jest nie tylko chciwa, ale do tego nachalna i źle wychowana. Jak ona śmie nachodzić cię tutaj i żądać zapłaty?

Jordan nic nie odpowiedział, tylko przeszedł przez pokój i usiadł za rzeźbionym dębowym biurkiem, które stało w rogu.

- Nie ma potrzeby, byście uczestniczyli w tej rozmowie - rzucił oschle. - Sam to załatwię.

- A ja uważam - odparła lodowato babka - że Anthony i ja powinniśmy tu zostać jako świadkowie, w razie gdyby te osoby zachowały się niegodnie.

Aleksandra szła potulnie za matką i wujkiem Monty. Wlepiała wzrok w plecy lokaja, który dumnie kroczył przed nimi. Serce zamierało w niej ze wstydu i przerażenia, a wspaniałe otoczenie, w którym nagle się znalazła, sprawiło, że odczuła swoją nędzę tysiącrotnie bardziej dotkliwie niż kiedykolwiek do tej pory.

Spodziewała się wprawdzie, że dom babki księcia jest duży, ale to, co ujrzała, przeszło jej najśmielsze wyobrażenia. Pośród hektarów ogrodów i wypielęgnowanych trawników wznosił się ogromny pałac. W chwili, w której Sandy to ujrzała, prysnęło jej wyobrażenie o księciu, jako o kimś przyjacielskim i dostępnym. Jakże bardzo była naiwna myśląc o nim w ten sposób! Ten człowiek należał do innego świata. Dla niego Rosemeade było jedynie „niewielką wiejską posiadłością”, podczas, gdy jej to miejsce wydawało się cudem z baśni tysiąca i jednej nocy. Myślała o tym ze smutkiem stąpając po miękkim dywanie, w którym jej stopy tonęły niemal po kostki. Czuła się jeszcze mniejsza niż zazwyczaj i zupełnie nieważna.

Lokaj pchnął rzeźbione dębowe drzwi i wprowadził przybyszów do sali, w której na ścianach wisiały rzędem portrety w ozdobnych ramach. Stłumiwszy odruch, by skinąć głową wyniosłemu słudze, Aleksandra postąpiła kilka kroków do przodu. Drżała na myśl o chwili, gdy ujrzy swego nowo poznanego przyjaciela i odczyta z jego twarzy to, czego obawiała się najbardziej.

Jej przeczucia okazały się słuszne. Mężczyzna, który siedział za bogato zdobionym biurkiem, nie był tym samym miłym, uśmiechniętym dżentelmenem, którego poznała za ledwie dwa dni temu. Chłodnym, pogardliwym wzrokiem mierzył teraz całą jej rodzinę, jakby patrzył na robaki pełzające po pięknym dywanie. Nie okazał nawet tyle uprzejmości, by wstać i przedstawić gości pozostałym dwóm osobom, które znajdowały się w pokoju. Skinął tylko głową wujkowi Monty'emu i pani Lawrence, po czym wskazał im krzesła stojące naprzeciwko biurka.

„ Kiedy Aleksandra napotkała jego wzrok, kamienne rysy twarzy Jordana złagodniały nieco, a oczy nabrały cieplejszego wyrazu, jakby doskonale rozumiał, jakim upokorzeniem

był dla Sandy przyjazd tutaj. Obszedł biurko dookoła i specjalnie dla niej przyniósł dodatkowe krzesło.

- I co moja mała; policzek jeszcze cię boli? - spytał przyglądając się z bliska jej skaleczeniu.

Aleksandra, ostatecznie już onieśmielona tymi przejawami troski i uprzejmości z jego strony, potrząsnęła przecząco głową.

- To nic, już wcale nie boli - odpowiedziała, czując nagły przypływ ulgi.

A więc wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie ma do niej pretensji o tę niespodziewaną wizytę i nie widzi w niej tylko intruza! Aleksandra przysiadła na brzegu krzesła. Kiedy jednak zechciała przesunąć się odrobinę do tyłu, suknia matki, w którą była ubrana, zaczepiła się o aksamitne pokrycie mebla. Zbyt luźny gorset przesunął się do góry, a wysoki kołnierz wbił jej się w szyję tak, że musiała wysoko unieść podbródek. Nie mogąc się ruszać, Sandy patrzyła teraz prosto w nieodgadnione, szare oczy księcia Hawthorne'a.

- Czy ci wygodnie? - spytał nie mrugnawszy nawet powieką.

- Zupełnie wygodnie, dziękuję - skłamała. Była pewna, że doskonale wiedział o jej nieszczęsnym położeniu i ostatkiem sił powstrzymywał się od śmiechu.

- A może wstaniesz i spróbujesz usiąść raz jeszcze?

- Czuję się świetnie tam, gdzie jestem. Rozbawienie zniknęło jednak z jego oczu, gdy usiadł z powrotem za biurkiem. Patrząc raz na wujka Monty'ego, raz na matkę, powiedział bez ogródek:

- Mogliście oszczędzić sobie kłopotów, związanych z tą wizytą. Miałem właśnie wysłać Aleksandrze weksel na sumę tysiąca funtów, jako wyraz mojej wdzięczności. Przesyłka dotarłaby do was w ciągu tygodnia.

Aleksandrze zakręciło się w głowie od wysokości tej sumy. Tysiąc funtów! Wystarczy, aby utrzymać dom na przyzwoitym poziomie przez następne dwa lata. Jeśli zechce, będzie mogła palić w kominkach, nawet przez cały rok! Oczywiście, że nie można marnować drewna i...

- Chcemy tego, co się należy - rzekł wujek Monty i odchrząknął głośno. - Nasza Aleksandra uratowała życie waszej wysokości.

- Za co jestem gotów sownie ją wynagrodzić. A więc? - powiedział książę, a każde jego słowo brzmiało jak trzaśnięcie biczem. - Ile żądacie ode mnie?

Wujek Monty aż pochylił się pod lodowatym spojrzeniem mężczyzny z drugiej strony biurka, lecz desperacko mówił dalej:

- W zamian za uratowanie życia, pan zrujnował jej przyszłość!

- Co takiego? - Jordan wyglądał, jakby za chwilę miał stracić panowanie nad sobą.

- Zabrał pan tę młodą pannę o nieposzlakowanej opinii do gospody, gdzie dzieliliście wspólnie pokój.

- Zaniósłem to dziecko do gospody, to prawda - oświadczył dobitnie Jordan. - Nieprzytomne dziecko, które wymagało opieki lekarza!

- Nie, Hawthorne, posłuchaj dobrze - powiedział Montague Marsh niespodziewanie silnym głosem. - Zabrał pan do tej gospody nie dziecko, lecz młodą pannę, zaniósł ją do sypialni na oczach połowy wioski, po czym wyprowadził stamtąd w pół godziny później ubraną bardzo niedbale. Żaden lekarz nie był wzywany. Ci wieśniacy mają niewzruszone zasady, a pan publicznie zakpił z ich moralności. Cała ta historia stała się u nas strasznym skandalem.

- Jeśli ci niesłuchanie moralni mieszkańcy waszej wioski widzą coś złego w tym, że ktoś zaopiekował się rannym dzieckiem i przyniósł je do gospody, niech lepiej zrobią rachunek własnego sumienia! A teraz, pomijając nieistotne szczegóły tej sprawy, proszę mi wreszcie powiedzieć, ile ode mnie żądacie?

- Nieistotne szczegóły! - krzyknęła ze złością pani Lawrence i pochyliwszy się do przodu, chwyciła blat biurka tak silnie, że aż zbieleły jej kostki palców. - Dlaczego? Ty zepsuty, pozbawiony zasad rozpustniku! Aleksandra ma siedemnaście lat, a pan zniszczył jej życie. Kiedy przyjechaliście do naszego domu, w salonie siedzieli rodzice jej narzeczonego. Już zerwali wszelkie rozmowy na temat warunków małżeństwa! Takich jak pan powinno się wieszać! Nie, nawet szubienica jest dla pana za dobra...

Księżę sprawiał jednak wrażenie, jakby nie słyszał tych gniewnych słów. Zwrócił się gwałtownie ku Aleksandrze i przez chwilę przyglądał się bacznie jej twarzy, tak jakby ujrzał ją po raz pierwszy w życiu.

- Ile masz lat? - spytał, jak gdyby słowa jej matki nie wydały mu się dość wiarygodne.

Jakimś cudem udało się Aleksandrze dobyć głosu z boleśnie ściśniętego gardła. To, co się tu działo, przekroczyło jej najgorsze oczekiwania.

- Siedemnaście - odrzekła cicho, po czym dodała: - W przyszłym tygodniu skończę osiemnaście...

Zaczerwieniła się gwałtownie widząc, jak jego wzrok prześlizguje się z wolna po całej jej postaci, nie pomijając fatalnie leżącego gorsetu, który w sposób aż nadto wyraźny był niegdyś szyty dla kobiety o dojrzałych kształtach. Uznała, że powinna wytłumaczyć się jakoś ze swojej chłopięcej sylwetki i szepnęła:

- Dziadek mówił mi, że w naszej rodzinie kobiety późno dojrzewają i ...

Nagle pojęła, jak bardzo niewłaściwe jest to wyznanie i ciemny rumieniec wstydu zalał jej policzki. Rzuciła spłoszone spojrzenie na dwoje milczących dotąd świadków całej rozmowy, jak gdyby spodziewając się od nich zrozumienia lub wybaczenia. Młody mężczyzna przyglądał się jej odrobinę zaszokowany, lecz i rozbawiony. Starsza dama wyglądała natomiast tak, jakby wykuto ją z granitu.

Kiedy Aleksandra popatrzyła znowu na księcia, sprawiał wrażenie kogoś, kto pogodził się już z wszelkimi niespodziankami zgotowanymi przez los.

- No dobrze; załóżmy, że popełniłem pomyłkę - zwrócił się do pani Lawrence. - Czego zatem chcecie ode mnie?

- Oczekujemy, że ożeni się pan z Aleksandrą, ponieważ żaden inny szanujący się młodzieniec nie zechce poślubić jej po tym, co zaszło. Jej pochodzenie jest nie do podważenia, a w naszym rodzie mamy i księcia, i kilku hrabiów. Nie powinien pan mieć zastrzeżeń co do jej urodzenia i pozycji.

Oczy Hawthorne'a zapłonęły gniewem.

- Żadnych zastrzeżeń... - zaczął groźnie, po czym opamiętał się i zdławił w sobie resztę słów, zacisnął tylko zęby tak mocno, że napięły się mu ścięgna na szyi. - A jeśli odmówię? - dorzucił po chwili już spokojniej.

- Wtedy ja pozwę pana przed sąd w Londynie. I proszę nie myśleć, że tego nie zrobię! - krzyknęła pani Lawrence.

- Jestem pewien, że właśnie tego pani nie uczyni - zwrócił się do niej Jordan. - Gdyż w ten właśnie sposób wasz lokalny skandal zostanie podany do wiadomości publicznej, co rzeczywiście poważnie zaszkodziłoby Aleksandrze.

Pani Lawrence, dla której ten siedzący przed nią, bezczelny młody człowiek był uosobieniem wszelkich niegodziwości, jakie spotykają kobiety ze strony męskiego rodu, zerwała się z miejsca, drżąc z bezsilnego gniewu.

- Niech pan posłucha uważnie, co powiem - syknęła. - Aleksandra może odzyskać dobre imię na dwa sposoby. Albo przyjmie pańskie nazwisko, albo kupi sobie ludzki szacunek za pieniądze. Pańskie pieniądze! I dopóki mi życia starczy, dopilnuję, by wypłacił jej się pan co do pensa. Tak czy inaczej, my nie mamy nic do stracenia! - podniosła gwałtownie głos aż do krzyku. - Nie dopuszczę do tego, żeby nas pan niecznie wykorzystał, tak jak to zrobił mój mąż. Jest pan potworem, tak jak on. Wszyscy mężczyźni to potwory, egoistyczne bestie...

Jordan zmierzył chłodnym wzrokiem szalejącą kobietę. Patrząc w jej nieprzytomne z wściekłości oczy, stwierdził, że ona na pewno spełni swoją groźbę. Tak bardzo nienawidziła

swego męża, że gotowa była zemścić się za swoją krzywdę na innym mężczyźnie, nawet jeśli miałoby to się dokonać kosztem Aleksandry.

- Całował ją pan! - wrzasnęła Felicja. - Dotykał ją rękami na całym ciele. Wszystko mi opowiedziała!

- Mamo, proszę. Nie! - splótłszy mocno ręce Aleksandra aż zgięła się wpół z bólu i wstydu. - Proszę, nie rób mi tego... - szepnęła.

Jordan patrzył na nią myśląc, że pomimo wszystko to jeszcze dziecko. Ta żałosna, skulona na krzesle postać, w niczym nie przypominała odważnej, roześmianej dziewczyny, która dwa dni temu uratowała mu życie.

- Bóg jeden wie, co jeszcze pozwoliłaś mu zrobić... - wrzeszczała pani Lawrence.

Nagle Jordan trzasnął pięścią w stół z taką siłą, że aż echo poszło po całym pokoju.

- Dosyć! - ryknął nie panując już nad zniecierpliwieniem. - Proszę siadać! - rzucił w stronę Felicji, a gdy ta usłuchała go, zerwał się z krzesła i podszedł do Sandy. Ująwszy ją bez ceregieli za ramię, pociągnął za sobą w stronę drzwi.

- Pójdiesz ze mną - oznajmił krótko. - Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

Pani Lawrence już otworzyła usta, aby zaprotestować, lecz w tej samej chwili odezwała się stara księżna.

- Spokój, pani Lawrence! - powiedziała lodowatym tonem. - Dość już usłyszeliśmy od pani!

Chcąc dotrzymać kroku księciu, Aleksandra niemal biegła za nim do drzwi salonu, potem przez hall, aż do niewielkiego pokoju, w którym wszystkie obicia i draperie były w delikatnym kolorze lawendy. Dopiero tutaj Jordan puścił jej ramię i podszedł szybkim krokiem do okna. Zapadło ciężkie milczenie. Zerkając na jego surowy profil na tle rozświetlonych słońcem trawników, Aleksandra domyślała się, że ksiązę szuka najlepszego wyjścia z wysoce niewygodnej sytuacji. Pod maską spokoju czaił się gniew, który lada chwila gotów był wybuchnąć z siłą wulkanu. Struchlała z niepewności i wstydu patrzyła, jak Jordan machinalnie pociera dłońią napięte mięśnie policzków i podbródka. Jego twarz z minuty na minutę stawała się coraz bardziej nachmurzona.

Nagle odwrócił się ku niej tak gwałtownie, że zaskoczona cofnęła się o krok.

- Przestań wreszcie zachowywać się jak przestraszony królik! - ofuknął ją. - To ja jestem tym, którego schwymano w sidła, a nie ty.

Na te słowa Aleksandra wyprostowała się dumnie, uniosła podbródek i przez chwilę widać było wyraźnie, jak zмага się z gniewem i nieśmiałością. Stała teraz przed Jordanem jak pełna godności, piękna królowa, a jej oczy błyszczały jak dwa klejnoty.

- Nie prosiłam o rozmowę na osobności, bo wiedziałam, że moja matka nigdy mi na to nie pozwoli - powiedziała dźwięcznym, lekko drżącym głosem. - Skoro jednak znaleźliśmy się tutaj z pańskiej woli, zamierzam powiedzieć, jakie jest moje zdanie o całej tej sprawie.

- A więc mów, co masz do powiedzenia i skończmy z tym wreszcie.

Słyszając te gorzkie słowa, Aleksandra uniosła głowę jeszcze wyżej. Miała nadzieję, że Jordan nie potraktuje jej tak obcesowo, jak resztę jej rodziny.

- Ten pomysł z naszym małżeństwem to absurd - zaczęła.

- Zgadzam się z tobą całkowicie - odparł Jordan bez ogródek.

- Oboje należymy do dwóch całkiem różnych światów.

- Masz rację.

- A pan wcale nie chce mnie poślubić.

- Kolejny strzał w dziesiątkę, panno Lawrence - wycedził zjadliwie.

- Ja też nie mam na to ochoty - odparowała, ugodzona do żywego jego tonem.

- To bardzo mądrze z twojej strony - stwierdził cierpko. - Byłbym bardzo złym mężem.

- Ja nie chcę wychodzić za nikogo. Pragnę uczyć tak jak mój dziadek i sama zarabiać na swoje utrzymanie.

- Jakież to niezwykle. Proszę, proszę, a ja byłem przekonany, że wszystkie dziewczęta marzą tylko o tym, żeby złapać bogatego męża!

- Nie jestem taka jak inne dziewczęta.

- Wiedziałem o tym od pierwszej chwili, kiedy cię poznałem.

Aleksandra zdała sobie sprawę z tego, że kpi z niej w żywe oczy i poczuła bolesne ukłucie żalu gdzieś w głębi serca.

- A więc postanowione; nie bierzemy ślubu - oznajmiła tonem sztucznie ożywionym.

- Nie tak prędko, panno Lawrence - Hawthorne nie krył rozdrażnienia. - Wydaje się, że nie mamy innego wyjścia. Ta pani miła mamusia bez wątpienia uczyni to, czym mi grozi. Pozwie mnie przed sąd w Londynie i cała sprawa znajdzie się na ustach wszystkich. Chcąc zemścić się na mnie, zniszczy ciebie.

- Nie! Nie! - wybuchnęła Sandy. - Nie zrobi tego. Pan nic nie wie o mojej matce. Ona... jest chora. Nigdy nie doszła do siebie po śmierci mego ojca! - w zapale, sama nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, Sandy chwyciła Jordana za rękaw jego nieskazitelnie skrojonego żakietu i szybko mówiła dalej żarliwym głosem: - Nie wolno dopuścić do tego, by zmusili pana do małżeństwa ze mną. Gdyby tak się stało, znenawidziłby mnie pan za to do końca życia. Dobrze pan wie, że tak by było. Wie pan, ci wieśniacy z czasem zapomną o

całym skandalu. Zapomną i przebaczą mi. To wszystko stało się z mojej winy, bo tak głupio wypadłam z tego lasu i potem musiał mnie pan zabrać do gospody. Ale widzi pan, ja nigdy przedtem nie walczyłam naprawdę i...

- Przestań już! - warknął Jordan ze złością. Czuł jak niewidzialna małżeńska pętla zaciska się wokół jego szyi.

Zanim Aleksandra zaczęła mówić, gorączkowo szukał rozwiązania niespodziewanego problemu. Omal nie uwierzył w jej zapewnienia, że groźby pani Lawrence są rzucone na wiatr i chętnie wysłuchałby całej listy powodów, dla których Sandy nie miała ochoty go poślubić. Udało mu się nawet zapomnieć na chwilę, że zawdzięcza tej dziewczynie życie. Nie przewidział tylko jednego: że zacznie go prosić, by się dla niej nie poświęcał.

Spoglądał z góry na to dumnie wyprostowane dziecko, ubrane w zniszczoną suknię swej matki. W jego obronie Sandy zabiła człowieka i narażała własne życie, a on w zamian zaprzepaścił jej szansę na jakiegokolwiek małżeństwo. Bez męskiej pomocy, czułości i opieki dalej będzie dźwigała na swych wątłych barkach brzemień utrzymania tego dziwaczного domu, w którym przyszło jej żyć. Prawda była jedna: Jordan rzeczywiście zniszczył jej przyszłość, mimo iż nastąpiło to w wyniku fatalnego zbiegu okoliczności i nieporozumienia.

Niecierpliwie strząsnął jej dłoń ze swego rękawa.

- Nie ma innego wyjścia dla nas obojga - zakończył wszelkie rozważania. - Postaram się o specjalne zezwolenie od biskupa i weźmiemy ślub w ciągu tygodnia. Jeśli zaś chodzi o twoją matkę i wuja - rzucił z miażdżącą pogardą - to mogą zatrzymać się w miejscowej gospodzie. Nie zniosę ich obecności pod tym dachem ani chwili dłużej!

Ostatnia uwaga uraziła Aleksandrę bardziej, niż wszystko, co Jordan powiedział do tej pory.

- Zapłacę za ich pobyt i utrzymanie - pospieszył z wyjaśnieniem księżę mylnie tłumacząc sobie nagłe poruszenie dziewczyny.

- Nie o to chodzi! - Aleksandra gwałtownie potrząsnęła głową.

- Cóż więc cię niepokoi?

- Ja... - Sandy odwróciła nagle głowę i zaczęła rozglądać się po pokoju, jak gdyby szukając czegoś przyjaznego.

- To wszystko jest nie tak! - wybuchnęła nagle. - Nie tak wyobrażałam sobie wychodzenie za mąż - mówiła gwałtownie szukając w myślach przyczyn swego niepokoju. - Zawsze marzyłam, że wezmę ślub w naszym wiejskim kościółku i że Mary Ellen będzie moją druhną i...

- No dobrze - przerwał jej Jordan. - Jeśli pomoże ci to znieść jakoś tych kilka dni przed ślubem, zaprosz tutaj swoją przyjaciółkę. Podaj lokajowi, gdzie można ją znaleźć, a ja wyślę po nią powóz ze stangretem. Papier i atrament do pisania listów znajdziesz w szufladzie biurka. Mam nadzieję, że umiesz pisać?

Sandy drgnęła jak uderzona w twarz i rzuciła mu krótkie, miażdżące spojrzenie. Przez moment Jordanowi wydawało się, że widzi w niej dumną, wspaniałą kobietę, którą być może miała się stać pewnego dnia.

- Tak milordzie, umiem pisać...

Jordan spojrzał z sympatią na jej zaperzoną twarzyczkę i zadarty wysoko noseć. Ta dziewczyna budziła w nim coś w rodzaju szacunku, mimo iż mocno podszytego rozbawieniem.

- To ci się chwali - stwierdził uprzejmie.

- ...w trzech językach - dokończyła z królewską miną. Jordan poczuł, że jeszcze chwila, a będzie musiał się uśmiechnąć.

Kiedy wyszedł, Aleksandra podeszła sztywno do niewielkiego sekretarzyka i usiadła przy nim. Wyciągnęła z szuflady kartkę papieru listowego, pióro i kałamarz, i namyślała się przez chwilę. Była zbyt wyczerpana, by skupić się na wyjaśnianiu swego kłopotliwego położenia. Napisała więc po prostu:

Najdroższa Mary Ellen!

Bardzo Cię proszę, żebyś udała się w drogę z tym, który odda Ci ten list. Przybywaj do mnie jak najszybciej! Nigdy nie uwierzysz, co się stało. Jestem taka osamotniona! Wraz ze mną jest tutaj moja matka i wujek Monty, więc Twoja Mama nie powinna się lękać o Ciebie. Błagam Cię, spiesz się. Niewiele czasu zostało już nam do chwili, kiedy Was opuszczę...

Dwie wielkie łzy zawisły na długich rzęsach Sandy, a potem polały się strumieniami po policzkach i zaczęły kapać na list. Aleksandra przestała z tym walczyć i oparła głowę na splecionych ramionach, a plecy drgały jej od tłumionego szlochu.

- Coś wspaniałego? - szepnęła z wyrzutem, unosząc oczy ku niebu. - Boże, czy tak według ciebie wygląda coś wspaniałego?

* * *

W trzy kwadranse później Ramsey odprowadził do drzwi wyjściowych panią Lawrence i sir Montague'a. Oboje byli już znacznie spokojniejsi, można nawet powiedzieć - usatysfakcjonowani. Kiedy stara księżna została znowu sama ze swoimi dwoma wnukami, wstała powoli z miejsca i unosząc ramiona, zwróciła się do Jordana:

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że naprawdę to zrobisz!

- Zamierzam postąpić dokładnie tak, jak powiedziałem. Babka wyraźnie pobladła.

- Ale dlaczego? - spytała tonem pełnym pretensji. - Nie próbuj mi tylko wmawiać, że rzeczywiście masz ochotę na małżeństwo z tą prowincjonalną gęsią!

- Istotnie, nie mam ochoty.

- Więc dlaczego to robisz, na litość boską?

- Żal mi jej - odparł z brutalną szczerością. - I czy mi się to podoba, czy nie, rzeczywiście jestem odpowiedzialny za przykrości, które ją spotkały. To wszystko nie jest takie proste...

- Ale czemu jej po prostu nie zapłacisz?

Jordan odchylił się leniwie na fotelu, z obiema rękami w kieszeniach.

- „Dlaczego jej nie zapłacisz...” - powtórzył z goryczą w głosie. - Bóg jeden wie, jak bardzo chciałbym rozwiązać to w ten łatwy sposób, ale nie mogę. Ona ocaliła mi życie, a ja w zamian zniszczyłem jej szanse na ułożenie sobie przyszłości. Słyszałaś, co powiedziała matka - jej narzeczony wycofał się z danego słowa, ponieważ uznał, że jest skompromitowana. Kiedy wróci do swej wioski, każdy z tamtejszych mężczyzn będzie patrzył na nią jak na łatwą zdobycz. Nigdy nie odzyska ludzkiego szacunku, nigdy nie będzie miała męża ani dzieci. Może się i tak zdarzyć, że za rok lub dwa będzie zmuszona sprzedawać swe wdzięki w tej samej gospodzie, do której ją wtedy zabrałem!

- Bzdury! - zaprzeczyła babka z mocą. - Jeśli jej godziwie zapłacisz, może udać się tam, gdzie plotki jej nie dosięgną. Chociażby do Londynu...

- W Londynie mogłaby liczyć tylko na to, że zostanie czyjąś utrzymanką, zakładając, że uda się jej złowić jakiegoś bogatego, starego głupca lub młodego paniczyka. Widziałas ją sama, więc powiedz - czy jest to typ dziewczyny, która już na pierwszy rzut oka wzbudza męskie pożądanie?

- Nie bądź wulgarny! - prychnęła księżna pogardliwie. Usta Jordana skrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Szczerze mówiąc, uważam, że wulgarny jest sam pomysł wyznaczenia sumy, która miałaby być nagrodą za ocalenie mi życia i umożliwić tej dziewczynie egzystencję luksusowej prostytutki. Czyż nie to właśnie sugerowałaś mi przed chwilą?

Przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem; dwoje ludzi obdarzonych silnymi charakterami, z których żadne nie miało zwyczaju dawać za wygraną. W końcu księżna ogłosiła kapitulację ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy.

- Będzie, jak sobie życzysz, Hawthorne - oświadczyła dając do zrozumienia, że należy mu się ostatecznie zdanie z tej sprawie, ponieważ jest głową rodu.

Po chwili opadła jednak na fotel z twarzą bladą jak ściana.

- Mój Boże! Przez siedem wieków ród nasz nie skalał się związkami z osobami niższego stanu. W naszych żyłach płynie krew królów i imperatorów. A ty chcesz, żeby to jakieś nic dało ci spadkobiercę! - w najwyższym gniewie zwróciła się do drugiego wnuka: - Nie siedź tak Anthony, powiedz coś!

Lord Anthony Townsende odchylił się na krześle, a w jego oczach zaigrały wesołe ogniki.

- No cóż - powiedział kiwając z rezygnacją głową. - Kiedy wreszcie zostanę przedstawiony mojej przyszłej kuzynce? A może aż do wesela zamierzasz trzymać ją z daleka od salonu?

Księżna rzuciła mu mordercze spojrzenie, lecz nie powiedziała już nic. Swoim zwyczajem usiadła sztywno w fotelu i znów przybrała pozę granitowego posągu. I tylko jej twarz sprawiała wrażenie, jakby przez ostatnią godzinę przybyło jej z dziesięć lat.

Anthony zerknął na Jordana i uniósł szklanę.

- Za twoje przyszłe szczęście małżeńskie, Hawk - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Oczy Jordana zwęziły się na moment z ironią, chociaż jego twarz pozostała niewzruszona. Nie dziwiło to Anthony'ego. Dostatecznie długo znał swego kuzyna oraz babkę, by wiedzieć, że trzymali oni swoje uczucia mocno na wodzy, starannie ukrywając je przed światem. W przeciwieństwie do księżnej Jordan czynił to bez żadnego wysiłku. Prawdę mówiąc, Anthony zastanawiał się czasem, czy on w ogóle jest zdolny do odczuwania czegokolwiek poza gniewem.

Tym razem nie mylił się zbyt w ocenie stanu uczuć kuzyna. Sama myśl o niedalekim małżeństwie wywoływała w Jordanie grymas niechęci. Rozważał to z rezygnacją i odrobiną bezsilnej złości. Popijając porto zastanawiał się nad tym, jak kapryśny bywa czasem los. Po latach przebywania wśród najbardziej wyrafinowanych, doświadczonych i biegłych w sztuce uwodzenia kobiet z całej Anglii, fortuna złośliwie przeznaczyła mu życie u boku niemal nieletniej narzeczonej, naiwnej i prostolinijnej jak dziecko. Instynkt uwodziciela podpowiadał mu, że brak wyrafinowania nie wynikał u Sandy z niedoświadczenia, ale miał przyczynę głębszą, leżącą w jej naturze. Ona była po prostu inna.

Jordan był pewien, że w jego rękach dziewczyna straci już wkrótce sporo ze swej niewinności. Wątpił jednak, aby kiedykolwiek przestała patrzeć na świat oczyma, w których każdy mógł czytać jak w otwartej książce. Nie przypuszczał, by nabrała gładkich manier,

nauczyła się prowadzić dystygowane rozmowy o niczym i w ogóle przejęła ton obowiązujący w sferach, w jakich miała się odtąd obracać.

Nie dawała mu spokoju myśl o tym, że być może ona nigdy nie przystosuje się do świata i do życia, do którego on przywykł. Nie przejmował się tym jednak, gdyż i tak nie miał zamiaru przebywać zbyt wiele w jej towarzystwie, podobnie jak nie planował zmiany stylu życia. Zdecydował, że zostawi ją w starym domu w Devon i będzie ją tam odwiedzał od czasu do czasu.

Westchnął na myśl, że będzie musiał uprzedzić swoją kochankę, iż nie będzie mu mogła towarzyszyć w podróży do Devon, tak jak wcześniej planowali. Dzięki Bogu, że Eliza jest równie mądra jak piękna i czuła, pomyślał. Z pewnością nie urządzi mu sceny, kiedy dowie się o jego małżeństwie.

- No więc, kiedy zostaniemy jej oficjalnie przedstawieni? - powtórzył Anthony.

Jordan sięgnął za jego plecami i zadzwonił na służbę.

- Ramsey - powiedział, kiedy lokaj pojawił się w drzwiach. - Proszę przyprowadzić tu pannę Lawrence.

- Gdzie jest moja mama i wujek Monty? - spytała niemal trwoźliwie Sandy, wchodząc do salonu.

Jordan podniósł się z miejsca i podszedł do niej.

- Przenieśli się do miejscowej gospody, gdzie szczęśliwie doczekają naszej ceremonii ślubnej - wyjaśnił ironicznym tonem. - Ty natomiast zostaniesz tutaj.

Zanim Aleksandra zdążyła się nad tym zastanowić, już przedstawiono ją starej księżnej, która przystąpiła do dokładnego oglądania jej przez lorgnon badawczym, krytycznym wzrokiem. Trwało to trochę za długo i Aleksandra, dla której sytuacja ta była upokarzająca, uniosła dumnie głowę i bez mrugnięcia powieką patrzyła hardo wprost w oczy staruszki.

- Nie gap się na mnie w tak bezczelny sposób! - syknęła babka.

- Och, czyżbym była niegrzeczna, milady? - spytała niewinnie Sandy. - W takim razie proszę o wybaczenie. Ale widzi pani, ja wiem, że to niegrzecznie gapić się na kogoś. Nie uczono mnie jednak etykiety i zupełnie nie wiem, co należy robić, kiedy ktoś gapi się na mnie...

Lorgnon wysliznęło się z palców księżnej, a jej oczy zwęziły się z gniewu.

- Jak śmiesz mnie pouczać! Ty - osoba nie wiadomo skąd, bez żadnego pochodzenia i koligacji!

- „Miło jest móc pochwalić się dobrym pochodzeniem” - zacytowała Aleksandra dobitnie. - „Ale sława przynależy naszym przodkom, nie nam”.

Anthony prychnął cicho, co brzmiało jak tłumiony śmiech. Zdecydował się wkroczyć pomiędzy kipiącą ze złości babkę a to niemądre dziecko, które ośmieliło się wyzywać ją na słowną potyczkę.

- To Platon, prawda? - spytał z uśmiechem, serdecznie wyciągając dłoń do Sandy.

Aleksandra potrząsnęła przecząco głową, ale w oczach jej zajaśniała nadzieja, że oto udało się jej jednak znaleźć sprzymierzeńca w tym gnieździe szerszeni.

- Nie, to Plutarchos.

- W każdym razie byłem blisko - zachichotał Anthony. - Ponieważ mam wrażenie, że Jordan zamienił się chwilowo w słup soli, pozwól, iż sam ci się przedstawię. Jestem Tony, kuzyn obecnego tu księcia Hawthorne'a.

Aleksandra ujęła jego dłoń i uścisnęła ją z sympatią.

- Miło mi pana poznać.

- Dygnij! - rzuciła krótko stara księżna.

- Słucham? - Sandy zwróciła ku niej szeroko otwarte ze zdumienia oczy.

- Młoda dama składa ukłon, kiedy jest przedstawiana osobie przewyższającej ją wiekiem i pozycją!

ROZDZIAŁ 6

Aleksandra stała w oknie sypialni i poprzez zapadający zmrok wpatrywała się w głąb alei prowadzącej do podjazdu. W końcu dostrzegła z daleka słabe światełka nadjeżdżającego powozu.

- Mary Ellen! - krzyknęła niemal bez tchu. Wybiegła z pokoju i przemknęła jak strzała przez długi korytarz na trzecim piętrze aż do schodów.

Ledwo Ramsey zdążył otworzyć drzwi powozu, Mary Ellen wyskoczyła z niego jak szalona i pognąła ku drzwiom frontowym. Rude włosy powiewały jej dziko wokół głowy. Jedną ręką przyciskała do siebie ubogi tobołek, w drugiej dzierżyła mocno wytarty kapelusik. W hallu stanęła nagle jak wryta i skłoniwszy się niezgrabnie zaskoczonemu lokajowi, którego z powodu bardzo pańskiej miny wzięła w prostocie ducha za Bardzo Ważną Osobę, spytała ledwie dysząc z przejęcia:

- Proszę, milordzie, powiedzcie mi, gdzie jest Aleksandra? Czy jeszcze żyje?

Lokaj zagapił się na nią, kompletnie osłupiały, wobec czego dziewczyna zwróciła się do odzwiernego, dygając w kolejnym osobliwym ukłonie:

- Gdzie jest Aleksandra, sir? Proszę, powiedzcie mi!

W tej samej chwili Aleksandra niemal sfrunęła ze schodów. Podbiegła do przyjaciółki i chwyciła ją mocno w objęcia razem z tobołkiem i kapeluszem.

- Mary Ellen! - zawołała radośnie. - Jakże się cieszę, że przyjechałaś!

Echo hałaśliwego powitania rozległo się w majestatycznej rezydencji, w której panowała zazwyczaj grobowa cisza. Nic dziwnego więc, że po chwili w hallu pojawiło się nie tylko jeszcze troje służby, ale także księżna wraz ze swym starszym wnukiem.

Mary Ellen pochodziła ze skromnej rodziny, w której nie zwracano uwagi na dobre manieri. Nie liczono się też ze zdaniem wyżej postawionych członków społeczeństwa z tego prostego powodu, że nigdy nie było żadnych z nimi kontaktów. Mary Ellen była więc zupełnie nieświadoma tego, że każdy jej ruch jest bacznie obserwowany przez mieszkańców Rosemeade, nie wyłączając służby. Chociaż gdyby wiedziała o tym, też niewiele by to ją obchodziło. Jedyne jej zmartwieniem była teraz Aleksandra, która znalazła się tu z powodu jakichś tajemniczych kłopotów.

- Och, Sandy! - wykrzyknęła pospiesznie. - Myślałam, że coś ci się stało! Widzę jednak, że dobrze wyglądasz, jak zwykle zresztą. Może tylko jesteś trochę bledsza. To pewnie dlatego, że przebywasz w tym okropnie ponurym domu, gdzie mieszkają tacy smutni ludzie...

- przerwała na chwilę, by zaczerpnąć oddech, po czym trajkotała dalej: - Twój list był taki smutny, że mama chciała jechać razem ze mną. Nie mogła jednak, bo tacie znowu zrobiło się gorzej. A ten okropny stangret nie chciał mi powiedzieć, co się z tobą stało. Dosłownie nic, chociaż zaklinałam go na wszystkie świętości! Zadarł tylko ten swój wielki nochał do góry i burknął, że to nie jego sprawa. Nie jego sprawa, pojmujesz? A teraz powiedz mi, zanim pęknę z ciekawości: dlaczego jesteś „osamotniona”? I co to za kłopoty, w których się znalazłaś? I kim są ci wszyscy ludzie?

Nagle tuż za dziewczętami rozległ się karcący głos starej księżnej:

- Mam wrażenie, że panna Lawrence jest tak straszliwie „osamotniona”, gdyż właśnie zamierza wyjść za mąż za pana tego „okropnie ponurego” domu. Tak się przy tym składa, że jest on moim wnukiem.

Mary Ellen obejrzała się nagle za siebie z ustami otwartymi ze zdumienia.

- Och nie! - krzyknęła obdarzając spłoszonym spojrzeniem Ramseya, którego z powodu lśniącej liberii wzięła mylnie za właściciela posiadłości. - Sandy, ty nie możesz posłubić tego człowieka! Nigdy ci na to nie pozwolę. On jest taki gruby!

Widząc, że jeszcze chwila, a babka eksploduje ze złości, Jordan odchrząknął głośno i ruszył od drzwi, przy których przyglądał się całej scenie z mieszanymi uczuciami irytacji i rozbawienia.

- Aleksandro - powiedział łagodnie. - Może pozwolisz, że twoja przyjaciółka złoży gdzieś swoje bagaże, a potem ją nam przedstawię?

Słyszac jego głęboki głos, Aleksandra drgnęła gwałtownie.

- Ależ tak, oczywiście - powiedziała prędko, podczas gdy Ramsey odbierał od Mary Ellen nieforemny tobolek. Widząc go, Sandy nie mogła powstrzymać ciekawości.

- Co tam masz? - spytała.

- Och, różne rzeczy - odparła wymijająco dziewczyna, po czym dodała nieco głośniejszym głosem: - Mama ugotowała dla ciebie nalewkę na świńskich jelitach na wypadek, gdyby ci tu coś zaszkodziło...

Widząc, że Ramsey natychmiast odsuwa od siebie tobolek na całą długość ramienia, obie dziewczyny zachichotały zgodnie. Rozbawienie Aleksandry zniknęło jednak tak samo szybko, jak się pojawiło. Ścisnąwszy przyjaciółkę ostrzegawczo za ramię, odwróciła ją w stronę Jordana i jego babki. Mary Ellen rzuciła tylko jedno spojrzenie na kamienną twarz starej księżnej i spłoszona natychmiast cofnęła się o krok. Widząc to, Aleksandra przystąpiła do pospiesznej prezentacji.

Księżna zignorowała powitanie, bąkane nieskładnie przez nowo przybyłą.

- Irlandka? - przerwała jej w pół słowa.

Mary Ellen skinęła głową, bardziej zmieszana niż zawstydzona.

- Tego się właśnie spodziewałam - oświadczyła jej wysokość zjadliwie. - I oczywiście katoliczka?

Kolejny potakujący ruch głową.

- Naturalnie - rzuciwszy Jordanowi długie, bolesne spojrzenie, babka odwróciła się na pięcie. Pozeglowała do salonu majestatycznie niczym królowa, która nie może znieść ani chwili dłużej obecności prostych, budzących w niej odrazę śmiertelników.

Mary Ellen patrzyła za nią i na jej miłej buzi odbiło się zakłopotanie. Po chwili jednak zwróciła się do Sandy, która teraz przedstawiała jej wysokiego mężczyznę, nazywając go księciem Hawthorne'em.

- Książę? - spytała cicho przyjaciółkę, zbyt onieśmielona, aby do niego coś powiedzieć, podczas gdy on wyraźnie czekał na jakieś dowody czci z jej strony.

Aleksandra potwierdziła to ruchem głowy zastanawiając się, czy sprowadzenie tutaj Mary Ellen nie było z jej strony grubym nietaktem wobec prostej, wiejskiej dziewczyny.

- Naprawdę, autentyczny nie udawany książę? - szeptała tamta, nagle tak onieśmielona, że zabrakło jej odwagi, by unieść ku niemu wzrok.

- Prawdziwy, autentyczny, z krwi i kości - potwierdził oschle Jordan. - A teraz, kiedy już ustaliliśmy, kim właściwie jestem, dlaczego nie mielibyśmy dowiedzieć się tego samego o tobie?

Zaczerwieniwszy się aż po nasadę rudych włosów, Mary Ellen dygnęła, odchrząknęła głośno, po czym oznajmiła:

- Jestem Mary Ellen O'Toole, sir. To jest milordzie. To znaczy... wasza miłość - dygnęła znowu. Do usług, sir... to jest milor...

- Wystarczy „wasza wysokość” - przerwał jej Jordan.

- Co takiego? - wyjąkała Mary Ellen czerwieniąc się jeszcze bardziej.

- Wyjaśnię ci to na górze - szepnęła Sandy i starając się zebrać rozproszone myśli zerknęła niepewnie w stronę Jordana, który stał nieruchomo jak posąg ogromnego, chmurnego boga. Daleki, niedostępny i godzien uwielbienia.

- Jeśli wasza wysokość pozwoli, zabiorę teraz Mary Ellen do mojego pokoju.

- Proszę bardzo - wycedził Hawthorne.

Przez chwilę Sandy miała wrażenie, że przygląda się im obydwu z pogardliwym rozbawieniem, jak ktoś, kto przypadkiem znalazł się na jarmarcznym przedstawieniu teatryku marionetek.

- Ukłon! - dobiegł ich ostry głos z głębi salonu, gdy przechodziły obok prowadzących do niego drzwi.

Obydwie odwróciły się jednocześnie i dygnęły w stronę, skąd padł rozkaz.

- Czy ona ma bzika? - wybuchnęła Mary Ellen, gdy tylko znalazły się w bezpiecznym schronieniu sypialni Sandy.

Rozglądała się wokoło oczyma wciąż jeszcze szeroko otwartymi ze strachu i urazy, jakby w obawie, że stara księżna zmaterializuje się nagle w którymś z kątów.

- Czy oni zawsze wyrzucają z siebie po jednym słowie? Irlandka? Katoliczka! Ukłon!
- przedrzeźniała jej wysokość Mary Ellen.

- To istny dom wariatów - zgodziła się z nią ochoczo Sandy, mimo iż wcale nie było jej do śmiechu. - A ja po ślubie znajdę się wśród nich.

- Ale dlaczego? - zawołała Mary Ellen ze zgrozą. - Sandy, co się z tobą stało? Zaledwie cztery dni temu bawiłyśmy się w turniej rycerski i było tak wesoło. Potem nagle zniknęłaś i teraz w całej wiosce mówi się tylko o tobie. Mama twierdzi, że nie wolno mi wierzyć w ani jedno słowo z tych plotek, zanim nie porozmawiam z tobą osobiście, ale żona sędziego powiedziała Horacemu, który mi zaraz to powtórzył, że nie mogę już nigdy się do ciebie odezwać. Ona twierdzi, że musimy na twój widok przechodzić na drugą stronę ulicy i w ogóle cię unikać, ponieważ jesteś zbrukana.

Aż do tej chwili Aleksandra była przekonana, że nie będzie już nigdy bardziej przygnębiona i samotna. Po wysłuchaniu tych wieści zrozumiała jednak, że można czuć się o wiele gorzej. Chciało się jej krzyczeć z żalu i rozpacz. Ci ludzie, wśród których wzrastała od małości, tak łatwo uwierzyli w najgorsze! Tak łatwo wykreślili ją ze swego życia, nie czekając nawet na jej wyjaśnienia! Tylko rodzina Mary Ellen pozostała jej wierna na tyle, by wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Wtuliwszy się w puszystą narzutę, która przykrywała łożo, Sandy popatrzyła poważnie na przyjaciółkę.

- Powiem ci, co się stało...

Kiedy po kilku minutach wszystko zostało już powiedziane, Mary Ellen siedziała nadal nieruchomo, patrząc na nią w osłupieniu. Potem twarz jej przybrała zamyślony wyraz, który z wolna ustąpił miejsca bezgranicznemu zachwytowi.

- Ależ Sandy! - szepnęła rozjaśniając się cała w szczęśliwym uśmiechu. - Ten, z którym jesteś zaręczona, to nie tylko prawdziwy książę, ale też najwspanialszy mężczyzna na świecie. Nawet nie próbuj zaprzeczać! Tak właśnie sobie o nim pomyślałam, kiedy go tylko zobaczyłam tam, na dole.

Wiedząc o zainteresowaniu, jakim Mary Ellen darzyła płęć przeciwną, Sandy odpowiedziała lekko zażenowana:

- No tak, przyznaję. Zewnętrznie nie jest odpychający...

- Nie jest odpychający? - wykrzyknęła Mary Ellen z niedowierzaniem i wzięła się pod boki. W jej oczach pojawiło się rozmarzenie.

- Mogłabym przysiąc, że jest nawet bardziej przystojny od Henry'ego Beechleya, a do tej pory myślałam, że to niemożliwe. Kiedy widzę Henry'ego, to aż mi dech w piersiach zapiera!

- Pół roku temu uważałaś, że najprzystojniejszym chłopcem na świecie jest George Larson - wytknęła jej Aleksandra z uśmiechem. - I to na jego widok brakowało ci tchu!

- Tylko dlatego, że nie przyjrzałam się jeszcze dobrze Henry'emu - broniła się Mary Ellen.

- A jeszcze pół roku wcześniej twierdziłaś stanowczo, że nikt nie dorówna Jackowi Sandersowi i wtedy to zaczęły się twoje kłopoty z oddechem!

- Ale tylko dlatego, że tak naprawdę nie znałam jeszcze dobrze ani George'a, ani Henry'ego - odparła Mary Ellen, nieco urażona aż nadto widocznym rozbawieniem Sandy.

- Myślę, że twoje wszystkie rozterki biorą się stąd, że zbyt długo przesiadujesz z nosem w romansach. W rezultacie zepsujesz sobie tylko wzrok, a każdy napotkany chłopiec będzie ci się wydawał wspaniałym bohaterem z takiej powieści.

Mary Ellen już otworzyła usta, żeby ostro zaprotestować przeciwko znieważaniu jej miłości do Henry'ego Beechleya, lecz nagle zmieniła zdanie.

- Niewykluczone, że masz trochę racji - powiedziała uśmiechając się figlarnie i usiadła po drugiej stronie łóżka. - Muszę ci powiedzieć, że ten twój książę to też nic nadzwyczajnego.

- Nic nadzwyczajnego! - zawołała Sandy z oburzeniem. - Czy nie zauważyłaś jak szlachetne i męskie są rysy jego twarzy? I... i w ogóle, jak przyjemną ma powierzchowność?

- Doprawdy? - spytała Mary Ellen oglądając sobie uważnie paznokcie. - A nie uważasz, że jego włosy są trochę za ciemne? Twarz też wydaje się nazbyt opalona, a oczy... są jakiegoś dziwnego koloru!

- Są szare! I to w wyjątkowym, rzadkim odcieniu szarości!

Spojrzawszy prosto w jej rozgniewane oczy, przyjaciółka ciągnęła niewinnie:

- Nie sądzę, aby któraś z nas posunęła się tak daleko, żeby stwierdzić, iż ten mężczyzna przypomina w czymkolwiek któregoś z greckich bogów...

- Któregoś z greckich bogów! - zadrwiła Aleksandra. - Oczywiście, że nie!

- A więc jak byś go opisała? - drążyła Mary Ellen nie kryjąc już triumfalnego uśmiechu.

Aleksandra także nie potrafiła ukrywać zbyt długo swych prawdziwych uczuć.

- Och, Mary Ellen - szepnęła drżącym głosem. - On wygląda zupełnie jak Dawid Michała Anioła!

Przyjaciółka pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Jesteś w nim zakochana, tylko nie zaprzeczaj. Bardzo łatwo można to wyczytać z twojej twarzy. A teraz powiedz mi - z ożywieniem nachyliła się ku Aleksandrze. - Jak to jest, kiedy się naprawdę zakochasz?

- No cóż - mimo powagi tematu Sandy uśmiechnęła się do niej - to nieco dziwne uczucie, choć bardzo ekscytujące. Kiedy widzę go w hallu, serce drży mi tak samo jak wtedy, gdy widziałam powóz mojego ojca, zajeżdżający przed dom. Z jednej strony jest to wielkie szczęście, że go widzę, a z drugiej - trochę obawy i smutku, że jeśli nie okaże się taka, jakiej on się mnie spodziewa, odejdzie i utracę go na zawsze.

- Nie bądź niemądra - zachnęła się Mary Ellen, nieco rozczarowana tym wyznaniem. - Jak możesz go utracić, jeśli właśnie wychodzisz za niego za męża?

- Tak samo, jak moja mama utraciła swego męża.

W oczach Mary Ellen zabłysło współczucie, lecz po chwili twarz jej się rozjaśniła.

- Nie powinnaś tak się tym przejmować. To wszystko wydarzyło się w odległej przeszłości. Poza tym za cztery dni kończysz osiemnaście lat i wtedy ostatecznie staniesz się kobietą...

- Ale ja wcale nie czuję się jak kobieta! - poskarżyła się Aleksandra, którą właśnie ta myśl niepokoiła najbardziej od chwili, gdy spojrzała po raz pierwszy w oczy Jordana. - Posłuchaj, Mary Ellen, ja nawet nie wiem, o czym mam z nim rozmawiać. Nigdy nie interesowałam się chłopcami i teraz, kiedy jestem w jego towarzystwie, myślę bez przerwy, że powinnam coś zrobić albo powiedzieć, tylko nie wiem co. W rezultacie albo plotę, co mi ślina na język przyniesie i robię z siebie idiotkę, albo stoję jak słup przy drodze. Co mam robić?

Oczy Mary Ellen załśniły triumfem. Aleksandra znana była w całej wiosce ze swej wiedzy i bystrego umysłu, nikt natomiast nie powiedział o niej nigdy, że jest ładna. Ją zaś, Mary Ellen, dawno już okrzyknięto miejscową pięknoscią, nie podejrzewając nawet, że i ona może mieć olej w głowie. Nawet jej własny ojciec nie zwracał się do niej inaczej jak tylko: „Mój śliczny głuptasku”.

- O czym rozmawiasz z chłopcami, którzy przychodzą odwiedzać cię w domu? - zapytała Aleksandra niecierpliwie.

Mary Ellen zmarszczyła brwi. Ze wszystkich sił starała się służyć przyjaciółce swoim intelektem, skoro już jego istnienie tak nagle wyszło na jaw.

- No cóż - powiedziała powoli. - Już dawno temu zauważyłam, że chłopcy uwielbiają mówić o sobie i że jest to właściwie jedyna rzecz, która ich interesuje. - Rozjaśniła się w uśmiechu, jakby nagle znalazła znakomite rozwiązanie. - Jedyne, co powinnaś zrobić, to zadać chłopcu właściwe pytanie, a on już sam zagada cię na śmierć. Nie istnieje nic prostszego.

Aleksandra rozłożyła ręce z rozpaczą.

- A skądże ja mogę wiedzieć, czym on się interesuje? Poza tym to nie chłopiec, lecz dwudziestosiedmioletni mężczyzna!

- To prawda - zgodziła się Mary Ellen. - Moja mama mówi jednak bardzo często, że każdy mężczyzna w głębi serca przez całe życie pozostaje chłopcem. Zgodnie z tym mój plan powinien działać na każdego z nich. Trzeba tylko znaleźć temat najbliższy jego zainteresowaniom, a potem już on sam zajmie się prowadzeniem rozmowy.

- Ale ja nie wiem, jakie są jego zainteresowania - powtórzyła Sandy wzdychając ciężko.

Mary Ellen milczała przez chwilę, intensywnie myśląc nad pokonaniem tej przeszkody.

- Już mam! - krzyknęła nagle. - On z pewnością lubi te rzeczy, które lubi większość mężczyzn; na przykład mój tata. Spytaj go o...

- O co? - spytała niecierpliwie Aleksandra widząc, że przyjaciółka znowu się zamyśla.

- Wiem! O szkodniki! - rozpromieniona Mary Ellen klasnęła w dłonie. - Spytaj go, jak mu się udały zbiory w majątku i czy nie ma problemów ze szkodnikami. Te różne żuczki i liszki - dodała pouczającym tonem - są stałym tematem mężczyzn, którzy mają choć trochę ziemi.

Sandy zmarszczyła jednak czoło, jakby ta rada niezbyt przypadła jej do gustu.

- Mam z nim mówić o robakach? - spytała z powątpiewaniem. - To niezbyt przyjemny temat.

- Och, tematy, o których mężczyźni lubią mówić, wcale nie bywają przyjemne ani interesujące. Na przykład jeśli opowiesz im o pięknym kapeluszu, który właśnie widziałas na wystawie, zaczynają ziewać co minutę. A gdy ośmielisz się skierować rozmowę na modne w tym sezonie suknie, gotowi są usnąć, zanim jeszcze dojdiesz do połowy!

Aleksandra zanotowała pilnie w pamięci te uwagi razem z radą dotyczącą szkodników.

- Pod żadnym pozorem - upomniła ją surowo przyjaciółka - nie zaczynaj rozmowy o tym przemądrzałym Sokratesie razem z jego całym nudnym Platonem. Mężczyźni nie cierpią kobiet zbyt mądrych. I jeszcze jedno, Sandy - dodała, coraz bardziej zapalając się do tematu. - Musisz się nauczyć flirtować!

Aleksandra skrzywiła się mocno, lecz nie powiedziała ani słowa. W końcu to Mary Ellen zawsze była otoczona wianuszkiem chłopców w różnym wieku, którzy potrafili godzinami wyczekiwać na nią przed domem. Wszelkie więc jej rady dotyczące spraw sercowych miały bez wątpienia swoją wagę.

- No dobrze - powiedziała Sandy niechętnie. - To jak mam się zabrać do tego flirtowania?

- Najlepiej będzie, jeśli użyjesz do tego oczu. Masz wspaniałe oczy.

- W jaki sposób mam ich użyć?

- Najpierw patrz długo w oczy księcia. Potem zatrzepocz rzęsami, żeby pokazać, jakie są długie.

Aleksandra eksperymentalnie „zatrzepotała” rzęsami, po czym opadła ze śmiechem na poduszki.

- Będę wyglądać jak niezła idiotka!

- Nie w oczach mężczyzny. Oni to lubią.

Sandy uspokoiła się i spojrzała poważnie na przyjaciółkę.

- Czy jesteś tego całkiem pewna?

- Absolutnie tak. I jeszcze jedno; oni lubią wiedzieć, że się ich podziwia. To znaczy, kiedy im się mówi: „Och, jaki jesteś silny...” albo mądry, albo odważny... czują się wtedy kimś o wiele lepszym. Czy mówiłaś już księciu, że go kochasz?

Milczenie.

- No jak, mówiłaś?

- Oczywiście, że nie!

- A powinnaś. Wtedy on też powie, że cię kocha.

- Jesteś tego pewna?

- Oczywiście!

ROZDZIAŁ 7

- Mówię ci, że tego nie zrobię! - wybuchnęła Aleksandra, a policzki poróżowiły jej z gniewu.

Z niechęcią spojrziała na szwaczki; od trzech dni zajmowały się mierzeniem, upinaniem i krojeniem kilometrów różnokolorowych materiałów, które powoli zmieniały się w suknie, ubiory do konnej jazdy, kostiumy i wieczorowe kreacje. Sandy czuła się jak manekin, którego zadaniem było jedynie stać bez ruchu, chyba że od czasu do czasu kazano mu podnieść rękę lub przechylić głowę. Była zmęczona i rozdrażniona; zwłaszcza że stara księżna zaglądała tu dość często tylko po to, żeby krytykować wszystko, co się da.

Przez minione trzy dni prosiła, by pozwolono jej porozmawiać z księciem, lecz Ramsey, lokaj o kamiennym obliczu, za każdym razem informował ją niezmiennie, że pan jest „zajęty czym innym”. Sandy widziała jednak pewnego popołudnia, jak Jordan dyskutował w bibliotece z jakimiś dżentelmenami. Pomyślała wtedy, że wszystkie posiłki jedzą zapewne razem z babką i kuzynem, podczas gdy jej i Mary Ellen przynoszono jedzenie do pokoju. Prawdopodobnie słowa „zajęty czym innym” oznaczały po prostu, że księżę nie ma ochoty zawracać sobie nią głowy.

Aleksandra była napięta i podenerwowana, a co najgorsze - miała wrażenie, że zaczyna się bać. Na pomoc matki i wujka Monty'ego nie mogła liczyć; mimo że mieszkali w niedalekiej gospodzie, nie pozwalano im odwiedzać rezydencji w Rosemeade. W tych okolicznościach przyszłość jawiła się Sandy jako przerażająca, mroczna czeluść, w którą zostanie niebawem wepchnięta zupełnie sama, bez rodziny, Mary Ellen ani nawet starych sług, którzy towarzyszyli jej od dnia narodzin.

- To przecież zupełna farsa! - powiedziała do Mary Ellen i tupnęła nogą ze złości. Rzuciła groźne spojrzenie szwaczce, która kończyła właśnie obszywanie rąbka żółtej muślinowej sukni.

- Stój spokojnie, moja panno! I skończ z tymi przedstawieniami!

Przez całe trzy dni księżna nie odezwała się do Aleksandry inaczej, jak tylko pouczając, karcąc i wydając krótkie komendy.

- Przedstawieniami! - powtórzyła jak echo Sandy, dając upust swemu oburzeniu. - Jeśli uważa pani, że to tylko przedstawienie, proszę wysłuchać reszty tego, co mam do powiedzenia!

Księżna zignorowała jej słowa i odwróciła do niej plecami, zamierzając wyjść z pokoju. Tego już było Aleksandrze za wiele.

- Radzę pani, milady, zatrzymać się i pozwolić mi skończyć!

W jej głosie brzmiała taka determinacja, że księżna stanęła i uniosła wysoko arystokratyczne brwi. W całej postawie staruszki było tyle pogardy i lekceważenia, że Sandy aż zadrżała z gniewu.

- Proszę uprzejmie powiadomić swego niewidzialnego wnuka, że ze ślubu nic nie będzie. Jeśli zaś zechce się wreszcie zmaterializować, niech przyjdzie do mnie, to powiem mu to sama!

Czując, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem, co niewątpliwie dałoby księżnej sporą satysfakcję, Sandy wypadła z pokoju. Przemknęła przez korytarz na schody, którymi zbiegła aż do hallu.

- Co mam powiedzieć jego wysokości, gdy spyta, dokąd się panienka udała? - spytał lokaj otwierając jej drzwi frontowe.

Aleksandra zatrzymała się i spojrzała Ramseyowi prosto w oczy naśladując jego majestatyczną minę.

- Proszę mu powiedzieć, że jestem „zajęta czym innym” - rzuciła.

Godzinę później wciąż jeszcze spacerowała po ogrodzie różanym. Czuła, jak w jej umyśle histeria powoli ustępuje miejsca twardej determinacji. Wciąż jeszcze rozdrażniona, urwała jedną ze szkarłatnych róż. Powąchała ją, a potem z roztargnieniem zaczęła obrywać płatki, które opadały powoli na ścieżkę dzieląc los białych, żółtych i różowych, już zaścielających dróżkę.

- Ramsey przekazał mi wiadomość od ciebie - usłyszała nagle za plecami niski, spokojny głos. - Czy mi się tylko wydaje, czy rzeczywiście jesteś z czegoś niezadowolona?

Aleksandra odwróciła się, zaskoczona, mimo że jej żądaniu stało się zadość. Wreszcie mogła z nim porozmawiać. Czuła przy tym, że znów narasta w niej ten dziwny niepokój, który bezskutecznie starała się stłumić od trzech dni.

- Jestem niezadowolona ze wszystkiego. Rozbawione spojrzenie Jordana zatrzymało się na rozrzuconych wokoło płatkach.

- Z róż mojej babki także - zauważył z ironią, chociaż sumienie podpowiadało mu natarczywie, że istotnie zaniedbywał ją przez ostatnie dni.

Aleksandra podążyła wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem i spłonęła ciemnym rumieńcem zmieszania, po czym zaczęła się tłumaczyć:

- Te róże są bardzo piękne, chociaż...

- ...choć nudzi cię ich wygląd, kiedy tak sobie rosną, odziane w płatki, czyż nie tak?

Aleksandra stwierdziła nagle, że ta rozmowa zmierza donikąd. Jak może pleść o kwiatach, kiedy całe jej życie legło w gruzach? Zdobyła się na odwagę i oświadczyła twardo:

- Wasza wysokość, ja nie zamierzam pana poślubić! Jordan wsunął obie ręce do kieszeni i zerknął na Sandy z nie tajoną ciekawością.

- Doprawdy? A dlaczegoż to?

Szukając najbardziej trafnych słów, Aleksandra przesunęła z zakłopotaniem dłonią po ciemnych lokach, nie zauważając nawet, że Jordan przygląda się jej z nagłym zachwytem. W jej nieświadomym geście było tyle wdzięku, że książę miał wrażenie, iż tak naprawdę dostrzega tę dziewczynę po raz pierwszy w życiu. W promieniach słońca jej włosy migotały złotawym blaskiem, a cudowne oczy zmieniły odcień na turkusowozielony. Żółta suknia podkreślała jej jasną karnację i brzoskwiniowe rumieńce.

- Czy byłby pan uprzejmy nie przyglądać mi się w tak krępujący sposób? - zażądała nagle Sandy. - Wydaje mi się, że analizuje pan każdy szczegół mojej twarzy zastanawiając się, co by tu warto zmienić!

- Naprawdę sprawiam takie wrażenie? - spytał nieobecny głosem Jordan. Dopiero teraz zwrócił uwagę na doskonały owal jej twarzy i pociągającą miękkość ust. Przyglądał się z bliska delikatnej twarzy Sandy i nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że kiedyś wziął ją za chłopca.

- Nie podoba mi się to, że próbuje pan bawić się ze mną w Pigmaliona!

- W co? - zdumiał się Jordan, niechętnie odrywając się od studiowania jej rysów.

- To z mitologii. Pigmalion był...

- Wiem, kim był Pigmalion! - przerwał jej niecierpliwie. - Ale skąd ty o tym wiesz, na miłość boską? Czyżby tego właśnie uczono dziewczęta w Morsham?

- A jeśli nawet, to co w tym złego? - spytała Aleksandra. - Widzę, że ma pan niezbyt pochlebną opinię na temat kobiet. A mój dziadek mawiał, że większość z nich dorównuje inteligencją mężczyznom.

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. Aleksandra pomyślała ze smutkiem, że on po prostu traktuje ją jak dziecko.

- Niech pan przestanie odnosić się do mnie w ten sposób! - zawołała z oburzeniem. - Wszyscy w tym domu patrzą na mnie jak na jakiegoś dziwoląga! Nawet służba jest dla mnie bardzo nieprzyjemna!

- Czy twoje samopoczucie poprawiłoby się, gdybym kazał jednemu lokajowi napchać sobie waty do uszu, a drugiemu zakryć oczy przepaską? - zadrwił Jordan. - Może poczułabyś się wtedy jak w domu?

- Gdyby był pan uprzejmy traktować mnie poważnie! Jordan nachmurzył się nagle, ściągając brwi.

- Zamierzam się z tobą ożenić - powiedział chłodno. To jest chyba wystarczająco poważne.

Po wyznaniu księciu, że go nie poślubi, Aleksandra czuła się w jego towarzystwie znacznie mniej skrępowana i onieśmielona jak niegdyś.

- Zastanawiam się dlaczego wymawiając słowo „ożenić się” robi pan jeszcze bardziej ponurą minę niż zazwyczaj - powiedziała Sandy przechylając przekornie głowę.

Tak jakby byli starymi przyjaciółmi, położyła mu dłoń na ramieniu i zajrzała z bliska w nieodgadnione, szare oczy. Wydawało jej się, że dostrzega w nich błysk cynizmu.

- Nie chcę być niedyskretna - zagadnęła - ale czy wasza wysokość jest człowiekiem szczęśliwym? To znaczy, czy jest pan zadowolony ze swojego życia?

Jordana najwyraźniej zirytowało to pytanie, lecz zdecydował się odpowiedzieć:

- Nieszczególnie.

- No widzi pan? W ogóle do siebie nie pasujemy. Pan jest rozczarowany życiem, a ja nie. Ja kocham życie, nawet wtedy gdy przytrafi mi się coś złego. I wcale nie zamierzam przestać!

Jordan mimowolnie zagapił się na tę dziewczynę, która stała przed nim na kobiercu z płatków różanych jak uosobienie radości życia. Już wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, przeczuwał, że to pogodna, silna osobowość, wyjątkowa pod każdym względem. Unosząc twarz ku niebu, mówiła dalej łagodnym, melodyjnym głosem:

- Każda pora roku przynosi ze sobą obietnicę, że pewnego dnia przydarzy mi się coś wspaniałego. Miałam to przeczucie nawet wtedy, gdy umarł mój dziadek; tak jakby chciał mi powiedzieć, że mam czekać. W zimie przychodzi to wraz z pierwszym śniegiem, a w lecie - z gromem pierwszej burzy. Najbardziej jednak jest wyraźne teraz, na wiosnę, kiedy wszystko jest zielone i czarne...

Głos jej ucichł nagle i Jordan powtórzył niepewnie:

- Czarne?

- Tak, czarne, no wie pan, jak mokre pnie drzew albo świeżo zaorane pole, które pachnie jak... - wciągnęła nosem powietrze chcąc lepiej opisać to wrażenie.

- Jak ziemia - odpowiedział Jordan mało romantycznie. Aleksandra odwróciła się i spojrzała na księcia.

- Pan uważa, że jestem głupia - westchnęła. Wyprostowała się i dodała poważnie: - Naprawdę nie możemy się pobrać!

Jordan ściągnął brwi.

- I tak postanowiłaś tylko dlatego, że śmiem twierdzić, iż mokra ziemia nie pachnie perfumami?

- Nie zrozumiał pan ani słowa z tego, co powiedziałam - odparła zrezygnowana. - Chodzi o to, że jeśli pana poślubię, już wkrótce stanę się istotą tak nieszczęśliwą jak pan. W rezultacie będzie pan jeszcze bardziej nieszczęśliwy, a po kilku latach staniemy się oboje tacy okropni jak pańska babka. Niech pan tylko nie waży się śmiać! - ostrzegła widząc rozbawienie na twarzy księcia.

Wziąwszy Sandy pod ramię, Jordan poprowadził ją ścieżką, która oddzielała różany ogród od zagajnika, ukrytego teraz za bujnymi kwiatami.

- W swoich wywodach zapomniałaś o najważniejszym - zauważył. - Otóż od chwili, kiedy zabrałem cię do tej nieszczęsnej gospody, twoje życie zmieniło się już nieodwracalnie. Nawet jeśli twoja matka nie odważy się postawić nas obojga przed londyńskim sądem, nic nie przywróci ci dobrego imienia. - Jordan oparł się o pień drzewa i mówił dalej beznamiętnym głosem: - Obawiam się, że nie masz innego wyboru, jak tylko uczynić mi ten zaszczyt i zostać moją żoną.

Aleksandra roześmiała się cicho. Ten arystokrata nie zamierzał rezygnować ze swego formalnie uprzejmego tonu nawet w obliczu kosza, którego właśnie usiłowała mu dać.

- Poślubienie biednej dziewczyny z Morsham nie jest żadnym „zaszczytem” dla waszej wysokości - stwierdziła pogodnie. - Dlaczego używa pan takich słów, skoro nie wyrażają one tego, co pan naprawdę myśli?

- Z przyzwyczajenia - mruknął uśmiechając się.

Przechyliwszy głowę na bok pytała dalej - zachwycająca, bystra dziewczyna, która miała dość odwagi, aby wyzwąć go na słowną potyczkę:

- Nigdy pan nie mówi tego, na co ma pan ochotę?

- Bardzo rzadko.

Aleksandra pokiwała głową robiąc minę stuletniego mędrca.

- No tak, ujawnianie swoich myśli jest zapewne przywilejem tych, których pańska babka nazywa „ludźmi niższego stanu”. Dlaczego słuchając mnie wygląda pan zawsze tak, jakby miał ochotę się roześmiać?

- Powód jest niezwykle prosty - wyjaśnił Jordan z rozbawieniem. - Lubię cię.

- To bardzo miłe z pana strony, ale chyba nie wystarczy, by mówić o małżeństwie - upierała się Sandy. - Są przecież inne, ważniejsze rzeczy, jak na przykład... - urwała, zmieszana nagłą ciszą.

Jak miłość - pomyślała. - Miłość jest najważniejsza.

- Jak na przykład co?

Nie mogąc wykrztusić ani słowa, Aleksandra odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami.

Miłość... - westchnął w duchu Jordan z utęsknieniem myśląc o przerwany spotkaniu z zarządcą dóbr babki. A więc Aleksandra pragnęła miłości i romansu. A on już zapomniał, że nawet niewinne, chowane z dala od świata dziewczęta pragną być gorąco kochane przez tych, których mają poślubić. Jordan nie miał zamiaru ani stać tu dłużej jak głupiec, ani przekonywać jej do małżeństwa słodkimi słówkami. Uznał więc, że najlepszym zakończeniem ich rozmowy będzie pocałunek, najszybsze i najmniej kłopotliwe spełnienie choć części jej oczekiwań.

Aleksandra drgnęła nerwowo, gdy dłoń Jordana dotknęła jej policzka.

- Spójrz na mnie - powiedział księżę Hawthorne zmienionym głosem, tak aksamitnym, że aż ciarki przebiegły jej po plecach.

Sandy spojrzała wprost w męską, opaloną twarz i chociaż nikt do tej pory nie próbował jej ani uwodzić, ani całować, z wyrazu lekko przymkniętych oczu Jordana odgadła jego zamiary.

- O czym pan teraz myśli? - spytała bez ogródek. Jordan musnął palcami jej policzek.

- Myślę o tym, żeby cię pocałować - powiedział uśmiechając się leniwie.

Aleksandra poczuła, jak serce trzepocze jej gdzieś w gardle i przez chwilę rozważała gorączkowo, czy nie rzucić się do ucieczki. Potem przypomniała sobie nagle, jak to było w czytanych przez nią powieściach. Kiedy któraś z bohaterek została pocałowana przez mężczyznę, w którym była sekretnie zakochana, zwykle albo mdlała, albo oboje wyznawali sobie wieczną miłość. Przerazona tym, że i ona mogłaby zachować się równie idiotycznie, Aleksandra z całej siły potrząsnęła głową.

- Nie, nie - wyszeptała nieswoim głosem. - Myślę, że nie powinien pan tego robić. Nie teraz. To bardzo miło, że mi pan to proponuje, ale może nie teraz. Kiedy indziej, gdy ja...

Nie zważając na jej protesty i walcząc ze sobą, by się nie roześmiać, Jordan ujął ją za podbródek i uniósł twarz dziewczyny ku swojej.

Kiedy zamknął oczy, Aleksandra otworzyła szeroko swoje. Jordan zniżył głowę i lekko dotknął jej ust wargami. I już było po wszystkim.

Jordan spojrział szybko na Sandy, ciekaw reakcji. Zamiast naiwnego entuzjazmu ujrzał jednak na jej twarzy zdumienie i - ależ tak - rozczarowanie!

Zadowolona, że nie przytrafiło jej się nic z tych rzeczy, które spotykały bohaterki romansów, Sandy zmarszczyła nos.

- Czy to już wszystko? - spytała arystokratę, którego namiętne pocałunki sprowadziły z drogi cnoty niejedno dziewczę i niejedną zameżną damę.

Przez chwilę Jordan stał nieruchomo i wpatrywał się w tę dziwną dziewczynę spod lekko zmrużonych powiek. Nagle Aleksandra dostrzegła w jego szarych oczach niepokojące iskry.

- Nie - mruknął. - Jest jeszcze coś więcej.

Zdecydowanym ruchem ogarnął szczupłe ramiona i przyciągnął ją blisko do siebie. Raptem poczuł, że po latach milczenia ocknęło się w nim sumienie.

Uważaj, Hawthorne! Chcesz uwieść dziecko? - spytało z niesmakiem.

Słyszac ten dawno zapomniany wewnętrzny głos, Jordan zawahał się przez chwilę.

Robisz to specjalnie, żeby postawić na swoim - drążyło sumienie dalej. - Nie masz innych argumentów, żeby ją przekonać?

- A teraz o czym pan myśli? - spytała ostrożnie Aleksandra.

Jordanowi natychmiast przyszło na myśl kilka zgrabnych, wykrętnych odpowiedzi, lecz nagle zdecydował się powiedzieć prawdę.

- Myślę o tym, że zachowuję się w sposób niedopuszczalny. Nie wolno uwodzić dzieci...

Aleksandra, którą doświadczenie z pocałunkiem uwolniło od obaw dotyczących omdleń i tym podobnych bzdur, była w znakomitym nastroju.

- Pan chce mnie uwieść? - spytała z uśmiechem i potrząsnęła ciemnymi lokami, burząc je nieodwołalnie. - Och nie, niech pan lepiej da sobie z tym spokój! Sądzę, że stworzono mnie z nieco twardszego kruszcu niż większość kobiet, którym wystarczy jeden pocałunek, aby się zapomnieć. Ja... wcale nie czuję się specjalnie poruszona pańskim pocałunkiem. Nie znaczy to wcale, że nie było mi przyjemnie - dodała pospiesznie. - Wręcz przeciwnie, zapewniam pana.

- O, dziękuję ci - powiedział Jordan z kamiennym wyrazem twarzy. - Jesteś bardzo miła.

Chwyciwszy ją mocno pod ramię, pociągnął za sobą w głąb zagajnika.

- Dokąd mnie pan prowadzi? - spytała Sandy z zainteresowaniem.

- Tam, gdzie nie będą nas mogli dostrzec z domu - odparł zwięźle i przystanął pod gałęziami kwitnącej jabłoni. - Do niewinnego muskania się dzióbkami wystarczy ogród różany, jednak bardziej namiętne pocałunki wymagają ukrycia, na przykład pośród drzew.

Rzeczowy ton tego pouczenia zmylił Aleksandrę, tak że treść słów księcia dotarła do niej z niejakim opóźnieniem.

- To zabawne! - wykrzyknęła. - Czy wśród arystokracji wszystko podlega jakimś z góry ustalonym prawom? Czy można to wyczytać w kodeksach i innych księgach? - I nagle jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Pan chce mnie całować namiętnie? Dlaczego?

Jordan rozejrzał się szybko wkoło, by upewnić się, że są sami, po czym skierował całą uwodzicielską moc swego spojrzenia i uśmiechu na stojącą przed nim dziewczynę.

- To przez moją męską próżność - zażartował ścisząc głos jeszcze bardziej. - Zaprotestowała na wieść, że omal nie usnęłaś w połowie mego pocałunku. Zobaczmy więc, czy potrafię cię obudzić.

Co ty wyprawiasz, stary draniu? - sumienie ryczało w nim jak ranny tygrys. Tym razem jednak Jordan był zdecydowany.

- A więc zacznijmy od początku - powiedział patrząc wprost w ogromne, niebieskozielone oczy. - W pocałunku powinniśmy uczestniczyć oboje. Położę ci teraz ręce na ramionach i przyciągnę cię bliżej do siebie.

Tyle skomplikowanej nauki dla jednego pocałunku - pomyślała Sandy patrząc, jak silne dłonie zaciskają się na jej przedramionach.

Następnie przeniosła wzrok na śnieżnobiały przód jego koszuli, po czym zmieszana, zajrzała Jordanowi w oczy.

- A co ja mam zrobić z rękami? - spytała.

Jordan z trudem powstrzymał się zarówno przed wybuchnięciem śmiechem, jak i natychmiastowym zasugerowaniem jej kilku rozwiązań, które natrętnie cisnęły mu się na myśl.

- A gdzie chciałabyś je umieścić?

- Może w kieszeniach? - zasugerowała Sandy tonem odkrywcy.

Księżę Hawthorne poczuł, że zamiast uwodzić ją, najchętniej pośmiałyby się teraz z całego serca. Konsekwentnie jednak brnął dalej:

- Właśnie próbuję cię uświadomić - mówił łagodnym tonem - że dotykanie mnie może być dla ciebie bardzo przyjemne.

Ja nie chcę! - pomyślała Sandy w popłochu.

Zrobisz to - odpowiedział w duchu, czytając w jej twarzy jak w otwartej książce.

Ujął ją delikatnie za podbródek i spojrzał z bliska w niezwykle oczy. Zrozumiał, że ciepło, które pojawiło mu się w okolicy serca, to po prostu czułość. A był taki pewien, że usunął na zawsze ze swego życia podobnie sentymentalne bzdury! Tak, był tego pewien, dopóki nie spotkał tej nieodgadnionej, nieskalanej sztucznością i fałszem istoty, której nie można było nazwać ani dzieckiem, ani kobietą.

Te oczy mogłyby należeć do anioła - pomyślał dotykając jej gładkiego policzka niemal ze czcią.

- Nie masz nawet pojęcia - mruknął - jak bardzo jesteś niezwykła i czarująca....

Słowa te, wypowiedziane miękkim, aksamitnym głosem oraz pieszczotliwie muśnięcie policzka zrobiły na Aleksandrze większe wrażenie niż wcześniejszy pocałunek. Poczula, że drży i wcale nie próbowała tego opanować. Szare oczy Jordana miały hipnotyczną moc; nie mogła oderwać od nich wzroku - zresztą nawet nie próbowała. Zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, uniosła lekko drżącą dłoń i pogładziła jego opalony policzek oraz podbródek o mocnej, upartej linii.

- Myślę - szepnęła cicho - że pan jest piękny. - Aleksandro... - powiedział Jordan mieszcząc w tym słowie chyba całą czułość, której brakowało mu przez te wszystkie długie lata. Sandy wyczuła zupełnie nową nutę w jego głosie i nagle zapragnęła otworzyć przed nim serce. Całkiem nieświadoma tego, jak wielkie wrażenie wywołuje delikatna pieszczota jej palców, mówiła dalej:

- Myślę, że jest pan tak piękny jak Dawid Michała Anioła...

- Nie... - wyszeptał jak gdyby z bólem i przygarnął ją do siebie w pocałunku, który w niczym nie przypominał tego sprzed kilku chwil. Jego usta zagarnęły jej wargi czule i władczo zarazem, a dłonie zacisnęły się wokół wiotkiej talii. Lekko pieścił jej ciało przez cienki materiał sukni czując, jak ona garnie się ku niemu zupełnie instynktownie. Nagle podniosła obie ręce i wsparła rozpostarte dłonie na jego szerokiej piersi, a potem, jakby robiła to już tysiące razy, zarzuciła mu ramiona na szyję. Poczul ucisk jej jędrnych, kształtnych piersi, co sprawiło, że krew zawrzała mu w żyłach, a serce zabiło jak szalone. Najbardziej poruszyło go to, że wszystko, cokolwiek robiła, wydawało się zupełnie naturalne, bez cienia kokieterii czy wystudiowanej sztuki uwodzenia. Obezwładniony dziwnym uczuciem ciepła koło serca, Jordan przytulił ją jeszcze mocniej. W geście tym było tyleż tkliwości co pożądania. Nagle odsunął twarz i spojrzał z bliska w jej nieodgadnione oczy. Ona także uniosła wzrok czując, jak powoli uspokaja się jej serce i równy, mocny rytm pulsuje w każdej, nawet najmniejszej żyłce w jej ciele. Stopniowo opuszczało ją wrażenie, że stoi na czymś niesłychanie chwiejnym, o ile w ogóle stopy jej nie straciły już dawno oparcia i unosiły się

wraz z nią, wysoko nad ziemią, tak że po prostu musiała przytulić się z całej siły do tego mężczyzny, bo tylko on dawał jej poczucie pewności i całkowitego bezpieczeństwa...

Uniosła ku niemu oczy i po chwili już wiedziała.

Stało się coś wspaniałego. Ten cudowny, piękny i zupełnie niepojęty mężczyzna okazał się podarunkiem dla niej od losu. Opatrzność zesłała jej Jordana, by mogła go pokochać.

Myśl ta napełniła jej serce tak nagłą radością, że z trudem łapiąc oddech spojrzała mu ponownie prosto w twarz szukając potwierdzenia, że to prawda, że to właśnie przeczuwała od tylu lat, czekając i marząc w samotności. I nagle, bez żadnego zakłopotania ani fałszywej nieśmiałości, szepnęła głosem płynącym wprost z głębi duszy:

- Kocham cię...

Jordan spodziewał się, że usłyszy jakieś wyznanie. Wiedział, że wzbudził w niej pożądanie i myśl ta mile łechtwała jego męską dumę. Zdawał sobie sprawę z tego, jak naiwna i niedoświadczona jest Aleksandra i choć nie był to dla niego podbój zbyt trudny, zapisał go w myślach jako kolejne zwycięstwo. Zdołał się już przyzwyczaić do tych zwycięstw, tak że nie cieszyły go ani nie przynosiły satysfakcji. Ta dziewczyna patrzyła jednak na niego inaczej niż kobiety, z ust których słyszał tak wiele razy słowo „kocham”. Jordan odniósł wrażenie, że ona na coś czeka i że jest to dla niej z jakiegoś powodu bardzo ważne. Mógłby jej przecież odpowiedzieć cokolwiek, co zwykł mówić w takich momentach, kiedy jednak spróbował odnaleźć w pamięci najbardziej właściwe w tej chwili słowa, poczuł w głowie pustkę. Te jej oczy, te niesamowite, urzekające oczy... Uśmiechnął się więc tylko bezradnie i spuścił wzrok. Potem sam nawet nie wiedział dlaczego, wyszeptał: - Dziękuję...

ROZDZIAŁ 8

Następnego ranka Anthony, huśtając się w fotelu na biegunach, obserwował swojego kuzyna z wyraźnym niedowierzaniem, choć i odrobiną podziwu w oczach.

- Człowieku - zaśmiał się cicho - widzę, że to prawda, co o tobie mówią, że jesteś kompletnie pozbawiony nerwów. Dziś jest twój ślub, a ja jestem bardziej tym przejęty niż ty.

Prawie ubrany już na uroczystość - w białą elegancką koszulę, czarne spodnie i srebrną brokatową kamizelkę - Jordan kończył jeszcze rozmowę z doradcą prawnym swojej babki. W tej chwili właśnie chodził po sypialni spoglądając na raport dotyczący jednego z licznych przedsięwzięć finansowych rodziny.

Krok w krok za nim dreptał zafrasowany lokaj; wyglądał niewidoczne zmarszczki na koszuli swojego chlebodawcy i usuwał mikroskopijne włoski z jego spodni.

- Stój spokojnie, Jordanie - powiedział ze śmiechem Tony. - Biedny Mathison padnie przez ciebie trupem z wyczerpania!

- Hm? - Jordan przystanął, żeby spojrzeć badawczo na Tony'ego, a dzielny lokaj korzystając z nadarzającej się okazji chwycił wspaniale uszytą marynarkę i przytrzymał przed Jordanem w sposób nie pozwalający mu uciec.

- Czy mógłbyś mi zdradzić, jak możesz być tak piekielnie spokojny w dzień własnego ślubu? Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że to stanie się już za kwadrans?

Skończywszy rozmowę z prawnikiem, Jordan odłożył raport i w końcu wsunął się w podsuniętą marynarkę, wciąż cierpliwie trzymaną przez Mathisona. Potem odwrócił się do lustra i przejechał wierzchem dłoni po twarzy sprawdzając dokładność golenia.

- Nie traktuję tego jako małżeństwo - stwierdził z lekką ironią - raczej jako adopcję.

Anthony roześmiał się z tego dowcipu i Jordan kontynuował już bardziej poważnie:

- Aleksandra nie rości sobie żadnych pretensji do wprowadzania zmian w moim życiu, a moje małżeństwo nic nie zmieni. Najpierw więc pojedę do Londynu, aby spotkać się z Elizą, a potem zabiorę Aleksandrę do Portsmouth, skąd poześlujemy wzdłuż wybrzeża, żeby wypróbować nowy statek pasażerski. Na końcu odstawię ją do mojego domu w Devon. Wiem, że Sandy polubi Devon. Dom nie jest na tyle duży, żeby ją kompletnie przytłoczyć. Oczywiście, od czasu do czasu będę ją odwiedzał.

- Oczywiście - sarkastycznie mruknął Anthony.

Nie trując się odpowiedzią, Jordan podniósł porzucony raport i ponownie się w niego zagłębił. Po kilku minutach Tony nie wytrzymał.

- Twojej pięknej balerinie to się nie spodoba.

- A więc to tak! - zdenerwowana księżna wsunęła się do pokoju, gładząc nerwowo fałdy swej eleganckiej sukni z brązowej satyny z kremowymi lamówkami. - Więc naprawdę zamierzasz popełnić tę parodię małżeństwa. Zamierzasz wprowadzić to wiejskie nie wiadomo co do towarzystwa i zaprezentować jako pełną wdzięku i kultury młodą damę.

- Wręcz przeciwnie - spokojnie zaprzeczył Jordan. - Zamierzam umieścić ją w Devon, a tę ostatnią przyjemność zostawię tobie. Ale nie ma pośpiechu. Przez rok albo dwa możesz uczyć ją wszystkiego, co powinna wiedzieć, zanim wystąpi u mojego boku jako księżna.

- Na to i dziesięciu lat nie wystarczy! - prychnęła babka.

Do tej pory traktował jej głośno wypowiedane uwagi z kamiennym spokojem, ale ta uwaga okazała się kroplą, która przepełniła czarę zniecierpliwienia. Głos Jordana błyskawicznie ochłódł do temperatury, która mroziła zarówno służbę, jak i znajomych z towarzystwa.

- Czy tak trudno jest nauczyć młodą, inteligentną dziewczynę, żeby zachowywała się jak nadęta, egocentryczna kwoka?!

Niepokonana starsza pani zachowała kamienny spokój, choć popatrzyła bacznie na swojego wnuka ze zdziwieniem w oczach.

- Więc tak postrzegasz kobiety ze swojej sfery? Jako nadęte i egocentryczne?

- Nie - zimno odrzekł Jordan. - Tak postrzegam kobiety z mojej sfery, gdy są w wieku Aleksandry. Potem większość z nich staje się jeszcze mniej pociągająca.

Tak jak twoja matka, pomyślała babka. Tak jak moja matka, pomyślał Jordan.

* * *

Przygotowania do ślubu zajęły Aleksandrze i jej dwóm pokojówkom trzy godziny, a sam ślub trwał mniej niż dziesięć minut.

Godzinę później, z przejściem trzymając kieliszek szampana w dłoni, Sandy stała u boku pana młodego pośrodku olbrzymiego błękitno - złotego salonu. Mimo rozpaczliwych starań, by o tym nie myśleć, Aleksandra wciąż miała wrażenie, że znalazła się pośrodku jakiegoś absurdalnego, choć całkiem interesującego snu.

Zarówno jej matka, jak i wujek Monty byli całkowicie ignorowani zarówno przez księżną, jak i jej wnuka. A przecież wujek Monty zachowywał się jak najbardziej poprawnie: dzielnie odmawiał sobie spoglądania na kuszące wypukłości obecnych pań - nawet księżnej. Przyjechali również lord Anthony Townsende i Mary Ellen, ale przyjęcie dobiegało już końca.

Onieśmiewiona niesłychanym przepychem salonu i wtłoczona we wspaniałą, wyszywaną perłami suknię ślubną matki Jordana, Aleksandra czuła się intruzem bardziej niż kiedykolwiek od przybycia do Rosemeade. Dławiło ją poczucie, że wtargnęła do świata, który nie tolerował ani jej, ani jej krewnych.

Głęboko zamyślona zastanawiała się, jakie to dziwne, że czuje się tak niepewnie i nie na miejscu właśnie teraz, kiedy ma na sobie suknię piękniejszą niż w najśmielszych marzeniach i wygląda ładniej niż kiedykolwiek.

Jej poranną toaletę osobiście nadzorowała pani Craddock, osobista pokojówka księżnej. Zgodnie z jej ścisłymi wskazówkami niepokorne loki Aleksandry szczotkowano tak długo, dopóki nie zaczęły lśnić, następnie zebrano na czubku głowy i ułożono po bokach przytrzymując je pięknymi, perłowymi grzebykami idealnie dopasowanymi do pereł w jej małych, zgrabnych uszach.

Aleksandra patrzyła na swoje odbicie w olbrzymim lustrze i nie wierzyła własnym oczom. Nawet pani Craddock musiała przyznać, że panna młoda wygląda „naprawdę bardzo dobrze, zważywszy na...” i tu urwała z zakłopotaniem. Natomiast Jordan jak dotąd nie skomentował jej wyglądu nawet jednym słowem. Uśmiechnął się tylko opiekuńczo, gdy wujek Monty przekazywał mu ją na początku ślubu i to musiało wystarczyć, by podtrzymać ją na duchu przez ostatnią godzinę.

Teraz zaś po raz pierwszy stali obok siebie jako mąż i żona. Wokół panowało milczenie i słychać było kroki służby znoszącej tylko ciężkie pakunki do dwukółki, którą mieli udać się w podróż poślubną.

Nie bardzo wiedząc, co zrobić z szampanem, Sandy wybrała najprostsze wyjście - upiła troszkę, a kieliszek odstawiła na wspaniałe rzeźbiony połączony stolik. Kiedy się odwróciła, uchwyciła wzrok Jordana, który patrzył na nią tak, jakby ujrzął ją pierwszy raz w życiu.

Mierzył ją od czubka wyszukanej fryzury po rąbek strojnej sukni i Aleksandra poczuła, że wreszcie zamierza coś powiedzieć o jej wyglądzie. W oczekiwaniu wstrzymała oddech.

- Jesteś wyższa, niż mi się wydawało.

To niespodziewane spostrzeżenie w połączeniu z jego naprawdę zdziwioną miną sprawiło, że Sandy mimo woli wybuchnęła śmiechem.

- Nie sądzę, abym przez ostatni tydzień urosła więcej niż kilka cali.

Jordan skwitował ten żart nieobecny uśmiechem i w zamyśleniu mówił dalej:

- Z początku wziąłem cię za chłopaka, pamiętasz? Jak na chłopaka jednak nie byłabyś zbyt wysoka.

Z mocnym postanowieniem wprowadzenia do swego związku humoru Aleksandra odpowiedziała przekornie:

- Nie jestem jednak chłopcem.

Mimo że Jordan nie zamierzał traktować Sandy jak kobietę, nawet on nie oparł się jej promiennemu uśmiechowi. Ze zdumieniem zauważył, że nie czuje już niesmaku na wspomnienie ceremonii ślubnej.

- Nie, istotnie nie jesteś - on również się uśmiechnął. - Nie jesteś też już dziewczynką, ale także nie jesteś jeszcze kobietą.

- To niezwykle interesujące, prawda? - spytała, a w jej oczach zabłyśły żartobliwe iskierki.

- Na to wygląda - roześmiał się. - Jak należy opisać młodą damę, która ma prawie osiemnaście lat?

- Dokładnie osiemnaście. - Aleksandra spoważniała. - Dzisiaj są moje urodziny.

- Nie miałem pojęcia - powiedział Jordan przepraszająco. - Kupię ci coś podczas wycieczki. Co lubią dziewczęta w twoim wieku?

- Na pewno nie lubimy, kiedy nam się nieustannie wypomina nasz wyjątkowo młody wiek - lekko, ale z naciskiem odparła Aleksandra.

W salonie rozległo się echo gromkiego śmiechu Jordana.

- Taki cięty język u takiej mł... ładnej pani - poprawił się gładko. - Jeszcze raz przepraszam za kpiny z twojego wieku i za to, że zapomniałem o prezencie.

- Obawiam się, że niezależnie od tego, czy ci się to podoba czy nie, ty jesteś moim prezentem urodzinowym.

- Ładnie powiedziane - zaśmiał się z uznaniem. Aleksandra zerknęła na zegar. Nie dalej jak pół godziny temu Jordan mówił, że chciałby, by ta podróż się już zaczęła.

- Lepiej pójść się przebrać - powiedziała.

- Gdzie się podziewa moja babka? - zapytał Jordan, gdy była już przy drzwiach.

- Sądzę, że się położyła, powalona śmiertelnym ciosem, jaki jej zadałeś popelniając ten mezalians - odpowiedziała Aleksandra próbując zachować lekki nastrój. Po chwili już poważniej dodała: - Myślisz, że dojdzie do siebie?

- Żeby ją pokonać, trzeba by było o wiele więcej niż nasze małżeństwo - stwierdził Jordan tonem, w którym pobrzmiwał podziw. - Moja babka wyszłaby zwycięsko nawet z utarczki z samym Napoleonem. Gdyby się spotkali, skakałby dookoła niej i przepraszał, że

był tak źle wychowany i wypowiedział nam wojnę. Coś tak drobnego jak mój „mezalians” nie jest w stanie jej zaszkodzić. A skoro teraz nosisz moje nazwisko, będzie walczyć z każdym, kto ośmieli się powiedzieć o tobie coś złego.

* * *

Pół godziny później ubrana w wiśniowy kostium podróżny Aleksandra wsiadła do lśniącej, czarnej karocy ze srebrnym herbem Hawthorne'ów nad drzwiami. Z westchnieniem zagłębiła się w szary aksamit kanapy. Woźnica odsunął schodki i zamknął drzwi. Cztery piękne kasztany pociągnęły karetę, eskortowaną przez sześciu jeźdźców w liberii. Tak rozpoczęła się podróż poślubna Aleksandry i Jordana.

Sandy rozglądała się po karecie podziwiając ciężkie, srebrne uchwyty u drzwi i kryształowo - srebrne lampy.

Rozkoszując się niespodziewanym komfortem, Aleksandra powoli oswajała się z myślą, że jest już mężatką i właśnie odbywa swoją podróż poślubną.

Naprzeciw niej Jordan z ulgą rozprostował nogi, krzyżując je w kostkach i w milczeniu wyglądał przez okno.

Przebrał się do podróży i Aleksandra obserwowała go z niemym podziwem. Jasne bryczesy i błyszczące buty podkreślały jego długie, smukłe nogi. Kołnierzyk kremowej koszuli był rozpięty, tak że widać było opaloną szyję, a marynarka koloru palonej kawy wspaniale opinała jego umięśnione barki. Aleksandra modliła się w duszy, by pewnego dnia spodobała mu się równie mocno jak on jej. Po dłuższej chwili milczenia uznała, że może dobrze byłoby choć trochę porozmawiać.

- Suknia ślubna twojej matki jest naprawdę prześliczna - podjęła miękko. - Bałam się, że ją czymś pobrudzę, ale na szczęście nic takiego się nie wydarzyło.

Jordan popatrzył na nią.

- Nie trzeba było się martwić - rzucił sucho. - Jestem przekonany, że byłaś o wiele bardziej godna nosić ten symbol niewinności i czystości niż moja matka w chwili swojego ślubu.

- Och... - Sandy nie wiedziała, jak zareagować na ten niewątpliwy komplement, którego kontekst raczej wykluczał zwykłe „dziękuję”.

Jordan nie starał się podtrzymać konwersacji. Aleksandra wyczuła, że męczy go jakiś przytłaczający problem i nie przerywała już milczenia. W ciszy podziwiała wspaniały krajobraz, który przesuwiał się za oknami.

O trzeciej zatrzymali się na obiad. Zjedli go w olbrzymim zajęzdzie obrośniętym bluszczem i z rozległym dziedzińcem otoczonym białym płotkiem. Jeden z jeźdźców eskorty pojechał najwyraźniej przodem, ponieważ zostali powitani zarówno przez gospodarza, jak i jego żonę, którzy głęboko się kłaniając zaprowadzili ich do przytulnej niszy, gdzie tylko we dwoje mogli cieszyć się wspólnym posiłkiem.

- Musiałaś być bardzo głodna - zauważył Jordan, gdy Aleksandra wreszcie odłożyła nóż i widelec.

- Umierałam z głodu - potwierdziła Aleksandra. - Mój żołądek nie jest przyzwyczajony do rozkładu posiłków w Rosemeade. Wy o dziesiątej wieczorem jecie kolację, a ja o tej porze z reguły śpię.

- Na noc zatrzymamy się około ósmej, więc na następny posiłek nie będziesz musiała tak długo czekać - obiecał.

Kiedy powoli sączył wino, Aleksandra zaproponowała:

- Czy mogłabym poczekać na ciebie na zewnątrz? Chciałabym przejść się, zanim znów ruszymy w drogę.

- Oczywiście. Dołączę do ciebie za parę minut.

Aleksandra spacerowała rozkoszując się blaskiem słońca pod baczynym okiem woźnicy. Na podjazd wjechały dwa powozy, oba zgrabne i lśniące, ale nawet w drobnej części nie tak imponujące jak karoca jej męża.

Stajenni wybiegli, by zająć się końmi i przez kilka chwil Aleksandra obserwowała tę scenę.

Akurat zaprzęgano konie Jordana, gdy zauważyła małego chłopca, który poruszał się na czworakach w stronę płotu; wyglądał tak, jakby rozmawiał z ziemią. Zaintrygowana zbliżyła się do niego i uśmiechnęła radośnie, gdy odkryła, że chłopczyk rozmawia nie z ziemią, lecz z gromadką rozbrykanych, długowłosych szczeniaków.

- Jakie one słodkie! - wykrzyknęła. Łepki i przednie łapki szczeniaczków były białe, a reszta tułowia brązowa.

- Chciałaby pani kupić jednego, a może wszystkie? - zapytał chłopczyk. - Czysta rasa, a niedrogo.

- A jaka to rasa? - zapytała Aleksandra z rozbawieniem starając się wydobyć rąbek swojej sukni z zębów najmniejszej puchatej kulki, która oddzieliwszy się od rodzeństwa toczyła teraz z nią zawziętą walkę.

- Owczarek angielski. Będą bardzo mądre.

- Nie wątpię. - W chwili gdy palce Aleksandry zanurzyły się w miękkim futerku, szczeniak całkowicie ją zauroczył. Dawno temu miała collie, ale po śmierci ojca żywność stała się zbyt cenna, by marnować ją dla zwierzęcia, które nie zarabiało na swoje utrzymanie. Sandy musiała go oddać bratu Mary Ellen.

Podniosła szczeniaka, który natychmiast zaczął beztrudnie obgryzać jej dłoń. Wciąż dyskutowała z chłopcem o psiakach, gdy podszedł jej mąż.

- Musimy już jechać.

Aleksandrze nie przyszłoby do głowy prosić go o zgodę na kupno szczeniaka, ale gdy odwróciła się, jej oczy błyszczały i słodko się uśmiechała. - Miałam kiedyś collie, dawno temu.

- Ach tak? - zapytał z rezerwą.

Aleksandra skinęła głową, postawiła szczeniaka i uśmiechnęła się do chłopca.

- Życzę ci, byś dobrze sprzedał wszystkie.

Nie uszła trzech kroków, gdy poczuła, że coś ją ciągnie za spódnicę. Kiedy odwróciła się, szczeniak puścił rąbek materiału i z wyczekiwaniem wysunął różowy języczek; wyglądał przy tym komicznie.

- Lubi mnie - bezsilnie stwierdziła Aleksandra. Pochyliwszy się, odwróciła szczeniaka w stronę właściciela i lekko popchnęła zmuszając do powrotu. Szczeniak jednak wcale nie zamierzał jej posłuchać. Nie mając wyboru Aleksandra uśmiechnęła się przepraszająco i razem z Jordanem ruszyła do powozu.

Jordan na chwilę się zatrzymał, by udzielić wskazówek stangretowi, po czym dołączył do niej. Po kilku minutach powóz ruszył.

Po godzinie jazdy Aleksandra rzuciła:

- Droga musi być tu o wiele gorsza niż na północy. Powodem jej nerwowej uwagi było kolejne już szarpnięcie powozu.

- Wcale nie - odpowiedział siedzący ze skrzyżowanymi rękami i wyciągniętymi nogami Jordan.

- To dlaczego tak rzuca? - wybuchnęła po paru minutach Aleksandra.

Zanim Jordan zdążył odpowiedzieć, usłyszeli głośnie „prrr” i powóz stanął.

Aleksandra wyjrzała przez okno i ujrzała gęsty las.

Po chwili w drzwiach karety pojawił się zakłopotany stangret.

- Błagam o wybaczenie - zaczął przepraszająco. - Ale nie mogę jednocześnie powozić i uważać na to zwariowane zwierzę. O mały włos wjechałbym do rowu.

Mówiąc to ścisnął pod pachą kłębek białego - brązowego futerka.

Jordan westchnął i pokiwał głową.

- No dobrze, Grimm, daj to zwierzę tu, do środka. Albo nie, najpierw wyprowadź je na spacer.

- Ja to zrobię! - wykrzyknęła Aleksandra, a za nią z powozu wysiadł Jordan i razem ruszyli na małą polankę widoczną zza drzew. Aleksandra podniosła głowę i patrząc swojemu mężowi w oczy wyszeptała: - Myślę, że jesteś najwspanialszym mężczyzną na świecie.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - westchnął zrezygowany.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - powiedziała Sandy z wdzięcznością. Wyczuła jak nisko sobie cenił ten prezent, który dla niej znaczył tak wiele. - Zobaczysz, że nie będzie sprawiał kłopotów.

Jordan z niedowierzaniem popatrzył na szczeniaka, który entuzjastycznie obwąchiwał wszystko dookoła, a w końcu uniósł tylną łapę i zaczął podlewać malutkie drzewko.

- Chłopiec powiedział, że jest bardzo mądry. Mieszkańce z reguły takie są.

- To nie jest mieszaniec - zaprzeczyła Aleksandra zrywając rosnące dookoła różowe kwiatki. - To owczarek.

- Co takiego? - wykrzyknął Jordan zaskoczony.

- Owczarek angielski - powtórzyła cierpliwie, mylnie przypisując jego zdziwienie nieznamości psich ras. - Są bardzo mądre i nie rosną duże. Ten miły chłopiec wszystko mi o nich opowiedział - dodała wyjaśniająco, kiedy Jordan nadal patrzył na nią, jakby postradała zmysły.

- Ten miły, szczerzy chłopiec? - powtórzył sarkastycznie Jordan. - Ten sam, który gwarantował, że to szczeniak czystej rasy?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Aleksandra zastanawiając się, coż może znaczyć ton jej męża. - Ten sam.

- Mam nadzieję, że skłamał i na temat rasy.

- Skłamał? - zdziwiła się Aleksandra.

- Prosto w oczy - uświadomił ją Jordan. - Jeżeli ten psiak jest owczarkiem, to za parę miesięcy będzie wielkości kucyka z łapami jak talerze. Miejmy nadzieję, że jego ojciec był raczej terierem.

Wyglądał na tak zde gustowanego, że Aleksandra przykłękała, aby ukryć uśmiech.

Jej wiśniowa suknia wspaniale kontrastowała z zielenią trawy i różowym bukietem.

Jordan patrzył na tę już nie dziewczynkę, a jeszcze nie kobietę, którą poślubił, i podziwiał jej wspaniałe kasztanowe włosy, rozwiewane teraz przez lekki wiatr. Klęczała ścisnąc w ramionach szczeniaka i kwiaty, otoczona jasną poświatą.

- Wyglądasz jak portret Gainsborougha - powiedział miękko.

Zdumiona czułym tonem jego głosu i podziwem w oczach, Aleksandra wstała.

- Nie jestem zbyt ładna.

- Doprawdy? - w jego głosie zadźwięczał śmiech.

- Chciałabym być, ale obawiam się, że jestem dość pospolitej urody.

Jego usta zadrżały od skrywanej wesołości.

- Nie ma w tobie nic pospolitego, Aleksandro.

Miał zamiar pozostawić ją w spokoju, dopóki nie dojrzejemy świadomie uczestniczyć w sztuce miłości, ale nagle poczuł nieodpartą chęć doświadczenia dotyku jej ust na swoich. Jeszcze tylko ten jeden raz - pomyślał.

Ruszył powoli w jej stronę. Im bardziej się zbliżał, tym szybciej biło serce Aleksandry. Domyśliła się, co oznacza jego zamglony wzrok i gardłowy głos. Podeszedł do niej i ujął jej twarz w swoje dłonie. Pod palcami czuł jej gładką skórę i jedwabiste włosy.

Gdy ją całował, wyrzucał sobie w duchu, że jest szaleńcem, ale słodki dotyk jej ust sprawił, że ten wewnętrzny głos umilkł jak niepyszny.

Kiedy jednak zechciał mocniej ją przytulić, powstrzymało go ostrzegawcze piśnienie szczeniaka, którego ona wciąż tuliła w objęciach. Jordan gwałtownie odskoczył.

Wsiadając do powozu, Aleksandra nie starała się ukryć rozczarowania, że pocałunek trwał tak krótko. Natomiast Jordan odczuwał głównie ulgę. Obawiał się, że dłuższy pocałunek sprowokowałby kolejne wyznanie miłosne ze strony Aleksandry, a nie sądził, by tym razem zadowolilo ją „dziękuję”. Gdyby zamiast tego milczał lub wygłosił napuszoną mowę, mogłoby jej to sprawić przykrość. Zdecydował, że uwiedzie Aleksandrę dopiero za rok lub dwa, gdy wrośnie w towarzystwo i będzie miała bardziej realistyczne podejście do małżeństwa.

Podjęcie tej decyzji zdecydowanie poprawiło mu humor.

- Wybrałaś już imię dla szczeniaka? - zapytał, gdy karetka ruszyła. Spoglądał na psiaka, który radośnie obwąchiwał wszystkie kąty poznając nowe otoczenie.

Aleksandra spojrzała na niego z czułością.

- Może... Przylepka?

Jordan wzniosł oczy z udawanym obrzydzeniem.

- Stokrotka?

Na jego twarzy malowało się rozbawienie.

- Z takim imieniem nie będzie mógł spojrzeć innym psom w oczy.

Aleksandra zeszywniała.

- Chłopiec mówił, że to „ona”.

- Na pewno nie.

Aleksandra nie chciała uwierzyć we własną naiwność; najchętniej podniosłaby szczeniaka, aby sprawdzić, ale nie zdobyła się na taką odwagę.

- Jesteś pewny?

- Jak najbardziej.

- Siad! - rzuciła ostro, gdy poczuła jak szczeniak szarpie ją za suknię. Jedynym rezultatem było to, że szczeniak zwiększył swoje wysiłki.

- Spokój! - książę wydał tę komendę cicho, ale stanowczo. Szczeniak najwyraźniej wyczuł władczy ton w jego głosie, bowiem zaprzestał szamotaniny. Machając wesoło ogonkiem potoczył się pod nogi Jordana i oparł łepki na jego stopach. Ten wyraz sympatii wywołał u jej męża taki grymas obrzydzenia, że Aleksandra poczuła rozbawienie.

- Czyżbyś nie lubił zwierząt? - zapytała wesoło.

- Owszem, ale nie takie niewychowane i niezdyscyplinowane bestie jak ta. - Miało to zabrzmieć surowo, ale nawet Jordan nie potrafił się oprzeć jej radosnemu uśmiechowi.

- Nazwę go Henryk - powiedziała Aleksandra nagle.

- Dlaczego?

- Bo jak wyrośnie na dużą, włochatą bestię, będzie mi się kojarzył z Henrykiem VIII.

- Prawda - zgodził się Jordan z uśmiechem, a jego humor polepszał się z minuty na minutę.

Resztę podróży spędzili rozmawiając. Aleksandra z zadowoleniem odkryła, że jej mąż jest bardzo inteligentny i oczytany, a przy tym szczerze zaangażowany we właściwe zarządzanie swoimi dobrami.

Jordan należał do mężczyzn, dla których poczucie odpowiedzialności jest czymś zupełnie naturalnym. Gdy Sandy to odkryła, jej podziw dla niego wzrósł jeszcze bardziej.

Przypuszczenia Jordana co do Aleksandry także się potwierdzały ku jego zadowoleniu. Okazała się wrażliwa, mądra i dowcipna. Natomiast niewiarygodna była jej naiwność w dziedzinie uczuć. Stało się to oczywiste po wspaniałej kolacji zjedzonej w zajezdzie, w którym zatrzymali się na noc. Im dłużej Jordan sączył swoje porto, tym bardziej rosło zdenerwowanie Aleksandry. W końcu wstała, wygładziła niewidoczne fałdki na sukni i nie bardzo wiedząc, co robić, podeszła do prostego dębowego stolika.

- Wspaniała robota, prawda? - zapytała okrążając go.

- Nieszczególnie.

- Kiedy patrzę na mebel, zawsze wyobrażam sobie stolarza, który się trudił, aby go wykonać. Czy był wysoki, niski, gruby czy chudy... no i takie różne rzeczy - brnęła desperacko.

- Ach tak - zauważył obojętnie.

- Oczywiście tobie się to nie zdarza... - Nie.

Sztywno odwróciła się do niego.

- Sądzę, że muszę wyprowadzić Henryka - powiedziała pośpiesznie.

- Aleksandro - odwróciła się gdy cicho, ale stanowczo wypowiedział jej imię. - Nie musisz przeżywać takich katuszy. Nie zamierzam spędzić dzisiejszej nocy w twoim pokoju.

Aleksandra, którą od dłuższego czasu pochłaniało gorączkowe rozważanie, gdzie tutaj może znajdować się pewien przybytek, niezbędny dla załatwienia naturalnej potrzeby, spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ależ wcale tak nie myślałam. Dlaczego chciałby pan spać w moim pokoju, skoro jest tu mnóstwo wolnych miejsc, a pana na nie stać?

Tym razem to Jordan osłupiał.

- Słucham? - wykrztusił w końcu, nie wierząc własnym uszom.

- Nie znaczy to, że nie jesteś mile widziany - zapewniła pośpiesznie - ale nie mogę sobie wyobrazić dlaczego chciałbyś dzielić ze mną pokój. Sara, nasza gospodyni, zawsze powtarzała, że w nocy rzucam się jak ryba wyciągnięta z wody. Na pewno byłoby ci bardzo niewygodnie. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdę już na górę, dobrze?

Przez chwilę Jordan wpatrywał się w nią, siedząc nieruchomo z kieliszkiem uniesionym do ust. Potem potrząsnął głową, jakby zbierając rozproszone myśli.

- Ależ oczywiście - odparł dziwnie stłumionym głosem.

ROZDZIAŁ 9

Jordan krzyknął do stangreta, żeby zatrzymał się przy najbliższej polanie wśród drzew. Aleksandra westchnęła z ulgą. Podróżowali bez chwili przerwy już od obiadu i marzyła o choćby króciutkim spacerze, by rozprostować nogi.

Po Jordanie absolutnie nie było widać trudów podróży, być może dlatego, że miał na sobie o wiele wygodniejsze ubranie niż ona. Dzięki miękkim bryczesom, brązowym butom z cholewkami i wspaniale skrojonej białej koszuli sprawiał wrażenie człowieka, któremu podróż nie przysparza zbyt wiele trudu.

Tymczasem Sandy pod szeroką spódnicą żółtego podróżnego kostiumu miała trzy halki i białą jedwabną koszulę, a na to jeszcze dopasowaną pelisę wykańczaną białą - granatową tasiemką. Jej szyję okalała szarfa w białą - żółto - niebieskie pasy, ręce okrywały rękawiczki, a bujne loki osłaniał schludny słomkowy czepeczek ozdobiony żółtymi wstążeczkami, z żółtą jedwabną różą przypiętą nie wiadomo po co nad uchem. Wystrojonej w ten sposób Aleksandrze było nieznośnie gorąco, czuła się spętana i kipiała z irytacji zastanawiając się, dlaczego współczesna moda każe młodym damom ubierać się tak idiotycznie, podczas gdy młodzi dżentelmeni mogą nosić, co chcą.

Skoro tylko powóz stanął przy najbliższym rozszerzeniu drogi i spuszczone schodki, Aleksandra chwyciła Henryka i wychodząc w pośpiechu wpadła na Jordana.

W każdym innym przypadku podałby jej ramię, ale teraz spojrzał na nią tylko wyrozumiale i opadł na poduszki. Odczekał chwilę, by nie zakłopotać jej podczas spełniania osobistych potrzeb, które jak sądził, były powodem jej pośpiechu. Potem wysiadł z powozu i powoli ruszył w stronę widocznej za drzewami małej polany.

- Czy to nie wspaniałe uczucie, Henryku? - Sandy stała pośrodku polanki przeciągając się, z rękoma uniesionymi wysoko nad głową. Widząc to, już po raz drugi Jordan pomyślał, że taka scena to marzenie każdego malarza. W jasnożółtym stroju, na tle zielonych wzgórz porośniętych białymi i żółtymi kwiatami Sandy była uosobieniem wdzięku, młodości... i ukrytej energii. Leśna nimfa ubrana zgodnie z najnowszą modą.

Uśmiechnął się bezwiednie, sam nie wiedział, skąd biorą mu się tak poetyckie porównania, a potem wyszedł na polankę.

- Ach, to ty! - wykrzyknęła, gwałtownie opuszczając ręce i najwyraźniej tłumiąc przestרח.

- A kogóż innego się spodziewałaś?

Pragnąc odwlec chwilę, gdy zmuszeni będą wrócić do powozu, Aleksandra pochyliła się i oderwała długą, wąską gałąź od uschłego drzewa.

- Nikogo, ale podróżujemy z taką armią ludzi, że trudno zgadnąć, kto się pojawi. - Powodowana nagłym impulsem wykonała gest pozdrowienia szermierza i oparła gałąź o pierś Jordana. - *En garde!* - wykrzyknęła wyzywająco, a potem skierowała „szablę” w dół, położyła na niej dłoń i wdzięcznie wysunęła jedną stópkę krzyżując ją w kostce z drugą.

Wyglądała jak wyjątkowo ładny młody szermierz. Nagły ruch drewnianą „szablą” był wykonany bezbłędnie. Jordanowi trudno było uwierzyć, że Aleksandra zaledwie naśladuje ruchy, które przy jakiejś okazji podpatrzyła. Z drugiej strony, nawet nie przypuszczał, że ta dziewczyna kiedykolwiek miałaby okazję uczyć się szermierki.

- Umie się pani fechtować? - spytał ironicznie, unosząc brwi z niewiarą.

Skinęła głową uśmiechając się łobuzersko.

- Czy jesteś panie na tyle odważny, by stawić mi czoło? Jordan wahał się, świadom faktu, że dzień dobiega już końca, ale jego fascynacja wygrała ze zdrowym rozsądkiem. Poza tym miał już dość siedzenia w powozie.

- Muszę się zastanowić - drażnił się z nią celowo - czy warto?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Przyjmując jej wyzwanie, sam tym nieco zaskoczony, zaczął rozglądać się w poszukiwaniu odpowiedniej gałęzi, która i jemu miałaby zastąpić szpadę. W tym czasie Aleksandra zdjęła czepek i narzutkę. Zdumiony patrzył, jak odwija szarfę okalającą jej szyję i odpina górne guziki strojnej bluzki. Słyszając jego kroki, odwróciła się ku niemu, szeleszcząc suknią. Na policzkach miała wypieki, a w oczach blask oczekiwania.

- Chciałabym móc zdjąć te wszystkie halki, a szczególnie pantofle. - Mówiąc to uniosła suknię pokazując Jordanowi zaskakująco szczupłe i zgrabne łydki. Przez chwilę oglądała sobie stopę rozważając możliwość zdjęcia z niej złotego pantofelka. - Obawiam się, że gdybym je zdjęła, całkowicie zniszczyłabym pończochy, prawda?

Spojrzała na niego, oczekując, że wypowie się na ten temat, ale on opętany był jedną myślą - jak pięknie wygląda Sandy w takiej pozie. W chwilę później poczuł, że ogarnia go inne, dobrze mu znane uczucie - pożądanie. Jego ciało aż pulsowało z pragnienia jej ciała, było to niespodziewane, nie chciane, choć niezaprzeczalne.

- Mój panie?

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.

- Dlaczego muszę męczyć się w tym tak okrutnie modnym stroju?

Jordan z trudem oderwał się od swoich wizji i powrócił do bardziej przyziemnych problemów. Tak czy inaczej, pomyślał spokojnie, ich małżeństwo i tak spełni się przed końcem tej podróży.

- Jeżeli martwisz się o swoje pończochy, to je zdejmij - powiedział, po czym zaskoczony patrzył, jak postępując zgodnie z jego radą Sandy odwraca się do niego plecami i podskakując ściąga pończochy.

Skończywszy podniosła swoją zaimprovizowaną szpadę i przyłożyła ją do czoła w pozdrowieniu. Jordan oddał salut lekko roztargniony, pochłonięty myślą, jak wspaniale błyszczą jej głębokie szmaragdowe oczy i jak piękny jest koloryt jej wspaniale wyrzeźbionej twarzy. Zanim zdołał skoncentrować się na walce, Sandy zdobyła już dwa punkty, a i wtedy kiedy zaczął traktować ją poważniej, okazała się godnym przeciwnikiem. Brak siły nadrabiała błyskawicznymi ruchami i pracą stóp, co ją zresztą ostatecznie zgubiło. Podążała za Jordanem po całej polanie szybko się zbliżając, dotrzymując mu kroku i nigdy nie ustępując pola, chyba że fizycznie ją pokonał. Jeszcze tylko jeden punkt miał zadecydować o zwycięstwie, gdy dostrzegła lukę w jego obronie i uderzyła. Niestety, kiedy zrobiła krok do przodu, nastąpiła na suknię, co pozbawiło ją równowagi i wystawiło prosto na cios Jordana.

- Przegrałaś! - roześmiał się łapiąc ją w ramiona.

- Tak, ale przez tę długą spódnicę, a nie błąd w fechtunku! - odpowiedziała ze śmiechem. Wysunęła się z jego ramion, a jej pierś gwałtownie wznosiła się i opadała, gdy próbowała złapać oddech. To nie wysiłek jednak, lecz dotyk Jordana był przyczyną jej zaróżowionych policzków i nierównego oddechu.

- Powinnaś dostać na początku fory - stwierdziła. — W końcu jesteś dwa razy silniejszy ode mnie.

- To prawda - zgodził się. - Ale nie korzystałem z tej przewagi. Poza tym zechciej pamiętać o moim wieku.

Śmiejąc się oparła dłonie na smukłych biodrach.

- Istotnie, wasza wysokość jest chodzącym antykiem. Za rok czy dwa, gdy nadejdą już twoje ostatnie dni, będziesz się grzał przy kominku otulony szalem, z Henrykiem drzemiącym u stóp.

- A gdzie ty wtedy będziesz? - spytał z udaną powagą, marząc, by porwać ją w ramiona.

Cofnęła się z szelmowskim uśmiechem.

- W pokoju dziecięcym, tam gdzie można bawić się lalkami - będzie to nagroda za moje cierpienia.

Wybuchnął śmiechem zastanawiając się, co by powiedzieli jego arystokratyczni kompani zabaw, widząc, z jakim brakiem szacunku traktuje go ta osiemnastoletnia wiejska dziewczyna.

- Gdzież by indziej jak nie w pokoju dziecięcym - prowokowała.

U mnie na kolanach - pomyślał - albo w łóżku. Nagle jej śmiech zamarł, zasłoniła sobie usta dłonią i przerażona patrzyła mu przez ramię.

- Mój Boże...

Jordan odwrócił się szybko, aby odkryć powód jej przerażenia i zobaczył dwóch woźniców, dwóch pocztylionów i sześciu jeźdźców eskorty stojących ramię w ramię na skraju polany. Wszyscy przyglądali im się z wyrazem twarzy świadczącym dobitnie o tym, że byli świadkami zarówno walki jak i ich gry słownej.

Jordan jednym lodowatym groźnym spojrzeniem zmroził ich bardziej niż mogłyby to zrobić jakiegokolwiek słowa.

- To bardzo imponujące - powiedziała Aleksandra powoli zbierając rozrzucone części swojej garderoby. - Mówię o tym, co potrafisz zrobić ze swoimi oczami - dodała rozglądając się w poszukiwaniu Henryka. - Można powiedzieć, że tniesz wzrokiem. Nie potrzebujesz szpady. Czy to naturalny dar przynależny wysokiemu urodzeniu, czy umiejętność ta nabywana jest wraz z pozycją? - Wreszcie znalazła Henryka, który pieczołowicie obwąchiwał jakiś krzaczek. - Twoja babka też to potrafi. O, ona dobrze wie, jak mnie przerazić. Możesz to przez chwilę potrzymać?

Zanim Jordan się zorientował, trzymał w ramionach jej czepek, narzutkę i futrzastego szczeniaka.

- Czy mógłbyś się odwrócić, gdy będę zakładała pończochy?

Jordan posłusznie odwrócił się, ponownie wyobrażając sobie komicznie zaszokowane miny znajomych, gdyby zobaczyli jego - dwunastego księcia Hawthorne'a, pana najwspanialszych ziem i największej fortuny w Europie - stojącego pośrodku polanki z naręczem ubrań i szczeniakiem w ramionach. W dodatku ten zwierzak uparczywie starał się polizać go po twarzy.

- Kto cię nauczył szermierki?

- Mój ojciec. Ćwiczyliśmy zawsze, ilekroć przyjeżdżał, a gdy go nie było, trenowałam z bratem Mary Ellen i z każdym innym, kogo zdołałam namówić. Ojciec bardzo chwalił moje umiejętności. Sądzę, że skoro nie zapowiadałam się na piękność, uznał, że będzie zabawnie przerobić mnie na syna. Z drugiej strony, może po prostu lubił się fechtować i traktował nasze

walki jako sposób na zabicie nudy. - Sandy zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że ból i żal, jakie wciąż czuła do ojca, wyraźnie brzmiały w jej głosie.

- Aleksandro?

Aleksandra oderwała wzrok od okna powozu. Od mniej więcej dwóch godzin, czyli od chwili, gdy odbył się ich udawany pojedynek, książę przyglądał jej się zupełnie innym niż do tej pory wzrokiem. Wprawiało ją to w coraz większe zakłopotanie.

- Tak?

- Powiedziałaś, że twój ojciec niezbyt często bywał w domu. Gdzie więc przebywał?

W jej oczach pojawił się cień, ale natychmiast zniknął pod uprzejmym uśmiechem.

- Przyjeżdżał dwa lub trzy razy do roku i zostawał na dwa tygodnie. Przez resztę czasu mieszkał w Londynie. Był raczej gościem w naszym domu.

- Tak mi przykro - powiedział Jordan nierad, że poruszył temat, który sprawiał jej ból.

- Nie powinno być ci przykro. Byłabym tylko bardzo wdzięczna, gdybyś znalazł w sercu trochę wyrozumiałości dla mojej matki. Kiedyś była czarująca i wesoła, ale śmierć ojca całkowicie ją załamała.

- A ciężar opieki nad domem i służbą zrzuciła na barki czternastoletniego dziecka. - Jordan wpadł jej w słowo. - Byłem u ciebie w domu i poznałem twoją matkę i wuja. Mogę się tylko domyślać, jak wyglądało twoje życie przez wszystkie te lata.

W jego głosie słychać było gniew i współczucie. Aleksandra poczuła, jak robi się jej ciepło gdzieś koło serca. Jakże miło było odczuć, że mu na niej zależy! Pokręciła szybko głową.

- Nie było tak źle.

Tak cudowna była świadomość, że komuś na niej zależało. Aleksandra nie wiedziała, jak ma wyrazić mu swą czułość i uwielbienie. Nie była w stanie wyznaczyć uczuć, które przepełniały jej serce, zrobiła więc coś innego. Sięgnęła do małej torebki, którą miała przy sobie i wyjęła ciężki zegarek na łańcuszku. Dla Aleksandry był on niemal święty; najcenniejsza rzecz, jaką miał człowiek, którego wielbiła. Wyciągnęła dłoń w kierunku Jordana, a gdy on wielce zdumiony przyjął ten dziwny prezent, wyjaśniła:

- Należał do mojego dziadka. Dostał go od szkockiego hrabiego, który podziwiał jego filozoficzną wiedzę.

Sam widok zegarka, leżącego na dłoni Jordana spowodował, że oczy Sandy napełniły się łzami. W jej głosie usłyszeć można było ból, który wywołały wspomnienia.

- On na pewno bardzo by chciał, żebyś teraz ty go dostała. Zaakceptowałby cię bez zastrzeżeń.

- Nie jestem tego taki pewien - odparł z wahaniem Jordan.

- Och, bez wątpienia! Zawsze powtarzał, że powinnam pokochać szlachetnego człowieka.

- Kazał ci zakochać się w szlachcicu? - z niedowierzaniem powtórzył Jordan.

- Nie, nie w szlachcicu, lecz w człowieku o szlachetnym charakterze, a ty taki właśnie jesteś.

Nieświadoma tego, że miał już wiele innych i to o wiele piękniejszych złotych zegarków, Aleksandra powiedziała:

- Posłałam jednego z twoich służących do domu i Penrose wydał mu ten zegarek. Twoja babka wyraziła na to zgodę.

Dłoń Jordana zamknęła się na zegarku, a wszystko, co miał do powiedzenia, zamknęło się w jednym słowie:

- Dziękuję.

Sandy oddała mu dwie najcenniejsze rzeczy, jakie miała, swoją miłość i złoty zegarek ukochanego dziadka, a w obu wypadkach jego reakcja była taka sama - „dziękuję”. Najwyraźniej jej prezenty wprawiały go w zakłopotanie.

W powozie zapadła ciężka cisza, jak zwykle bywa, gdy ktoś uzmysławia sobie, że zbyt odsonił swoją duszę.

W końcu łagodne kołysanie powozu w połączeniu z gorącym posiłkiem, który zjadła wcześniej, spowodowały, że Aleksandra poczuła się śpiąca. Mimo wygodnych poduch, jakimi były pokryte siedzenia, nie mogła jednak znaleźć wygodnej pozycji do snu. Gdy odchyliła się na bok, każdy najmniejszy nawet podskok powozu odrywał jej głowę od poduszki i budził z drzemki. Kiedy zaś usiadła prosto z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i głową odchyloną do tyłu, nagle szarpnięcie powozu sprawiło, że omal w ogóle nie spadła z kanapy. Siedzący naprzeciw niej Jordan roześmiał się i wskazał na siedzenie obok siebie.

- Milady, będę szczęśliwy mogąc ofiarować pani moje ramię.

Aleksandra z wdzięcznością przyjęła jego propozycję i usiadła obok niego. Jordan nie tylko podał jej swoje ramię, ale objął ją, tak że jej głowa znalazła się w miękkim zagłębieniu między jego ramieniem a piersią. Jak to cudownie móc tak się wtulić, pomyślała sennie Sandy. Po chwili już spała.

Było już ciemno, gdy się obudziła i przerażona odkryła, że prawie leży na Jordanie. Podczas jej snu, on zmieniał powoli pozycję, tak że teraz jego głowa opierała się o bok powozu, a nogi spoczywały wyciągnięte na przeciwległej kanapie. Ona sama leżała na boku,

opieczona jego ramionami, mocno obejmując go w pasie, podczas gdy ich nogi dziwnie się ze sobą splątały.

Przerażona na myśl, że mógłby się teraz obudzić i zobaczyć ją w takiej pozie, Aleksandra ostrożnie uniosła głowę z jego piersi. Gorączkowo myślała, w jaki sposób uwolnić się z jego uścisku nie budząc go przy tym. Nie mogła się jednak oprzeć pokusie, by popatrzeć na niego trochę, gdy spał. Sen wygładził ostre rysy jego opalonej twarzy i złagodził twarde zarysy jego podbródka. Śpiący Jordan wydawał się jej taki bliski, niemal chłopiący i... o Boże, on wcale nie spał!

Opuścił brodę, żeby na nią popatrzeć. Przez chwilę zdawał się jej nie rozpoznawać, ale za chwilę uśmiechnął się ciepło i zapytał:

- Czy dobrze spałaś?

Zmartwiła ze wstydu Sandy, pokiwała głową i próbowała się podnieść, lecz wtedy jego uścisk zwiększył swą siłę.

- Nie odchodź.

Jego wzrok zatrzymał się na jej ustach, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Zostań ze mną.

Pragnął, aby go pocałowała. Aleksandra z radosnym zdziwieniem odkryła to nieme zaproszenie w jego wspaniałych szarych oczach. Nieśmiało zbliżyła swoją twarz do jego twarzy, a on zaczął zachęcająco gładzić ją po plecach. Jego usta mocno przywarły do jej warg wzmacniając pocałunek i zachęcając ją do tego samego. Gdy poczuł jej reakcję, jedną ręką objął jej szyję, a drugą nadal pieścił jej plecy.

Całował ją długo, tak długo, że w końcu Sandy nie wiedziała już sama, czy to powóz tak kołysze, czy może ziemia zadrzała pod nimi. Chciała, by ten pocałunek trwał wieki. Jego język wśliznął się między jej wargi zmuszając je do rozstąpienia się przed nim, a potem pieścił ją i kusił, aż płonąca z pożądania Aleksandra delikatnie podała mu swój język pragnąc, aby i Jordan czuł to co ona. W tej chwili ich namiętność sięgnęła zenitu. Jordan objął ją mocno przyciągając do siebie, a ona przywarła do jego twardego ciała. Ciałem Aleksandry wstrząsnął dreszcz nie znanego jej dotąd pragnienia i rozkoszy.

Zatraciła się bez reszty w tej szalonej grze, wolna od wszelkich zahamowań, dopóki nie poczuła jego ręki wślizgującej się pod koszulę i gładzącej jej biust. Gwałtownie szarpnęła się do tyłu, bardziej zdziwiona i pełna poczucia winy niż przestraszona. Oparła się dłońmi o jego pierś i próbując złapać oddech, zawstydzona spojrzała w jego płonące oczy.

- Przestraszyłem cię... - mruknął cicho.

Była to prawda, ale Aleksandra widząc rozbawienie w jego oczach, nie chciała się do tego przyznać. Przyjmując jego nieme wyzwanie pocałowała go, a kiedy poczuła jego język odruchowo przywarła do niego całym ciałem. Mruknął cicho, ale kiedy chciała się wyrwać, nie wypuścił jej z ramion, tylko całował jeszcze gwałtowniej. Aleksandra poddała się jego pocałunkom i dłoniom, czując, jak dziwny ogień rodzi się gdzieś w środku jej ciała i powoli ogarnia ją całą.

Kiedy w końcu ją puścił, jego oddech był prawie tak gorączkowy jak jej. Podniósł dłoń i opuszkami palców pogładził policzek Sandy.

- Jaka ty jesteś łagodna - wyszeptał. - I jak niewiarygodnie niewinna...

Aleksandra zamiast słowa „niewinna” zrozumiała „naiwna” i wyrwała się z jego uścisku.

- Muszę być śmiertelnie nudna dla kogoś tak wyrafinowanego jak ty.

Jego ręce natychmiast ją pochwyciły.

- To był komplement - rzucił gwałtownie. Jego usta były znów tylko o milimetry od jej twarzy, a wibracja głosu sprawiła, że Aleksandra pomyślała, jaki też musi być, gdy jest naprawdę zły.

Potrząsnął nią lekko i wyjaśnił:

- Nie zepsuta i nieskażona, pozbawiona sztuczności i pretensjonalności, rozumiesz to?!

- Doskonale! - wykrzyknęła nie zwracając uwagi na treść, ale na ton, jakim wypowiadał te słowa. Nagle wybuchnęła śmiechem.

- Czy musimy się sprzeczać nawet o to, jaka jestem wspaniała?

Jej młodzieńczy uśmiech sprawił, że jego gniew błyskawicznie ulotnił się, a w oczach błysnęła iskierka humoru.

- Na to by wyglądało - odparł miękko. W tym samym momencie z rezygnacją uznał, że nie może dłużej walczyć z nieujarzmionym pożądaniem, jakie czuł wobec tej dziewczyny. Sandy tymczasem oparła policzek na jego piersi. Ponad jej głową Jordan patrzył w przestrzeń, rozważając wszystkie „przeciw” uprawiania z nią teraz miłości.

Ona - jest młoda, naiwna i pełna marzeń. On - dawno nie ma już żadnej z tych cech.

Ona - chce mu ofiarować swoją miłość. On - chce tylko jej ciała.

Ona - pragnie, by ją kochał.

On - jedyną miłością, w którą wierzy, jest ta fizyczna.

Ona - jest najwyraźniej w nim zadurzona. On - ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzy, jest związek z zadurzonym dzieciakiem.

Z drugiej strony jednak:

Ona go pragnie. On pragnie jej.

Podjąwszy decyzję zwrócił się do niej.

- Aleksandro? - a gdy spojrzała na niego pytająco, zagadnął bardzo trzeźwym i rzeczowym tonem: - Czy wiesz, skąd się biorą dzieci?

To niespodziewane pytanie sprawiło, że zakłopotana zaśmiała się nerwowo, a jej policzki zaróżowiły się.

- Czy... czy musimy o tym rozmawiać? Złożył usta z udaną powagą.

- Wczoraj powiedziałbym jeszcze, że nie ma takiej potrzeby, ba, jeszcze godzinę temu też bym tak powiedział. Teraz jednak obawiam się, że musimy poruszyć ten temat.

- Co wpłynęło na tę zmianę? Teraz Jordan był lekko zakłopotany.

- Nasze pocałunki - wykrztusił po dłuższej chwili.

- A jaki to ma związek z dziećmi?

Jordan odchylił się do tyłu, zamknął oczy i zrezygnowany, choć rozbawiony, powiedział:

- Wiesz, domyślałem się, że o to zapytasz. Aleksandra przez chwilę myślała głęboko o tym, co chciał wyrazić mówiąc w ten sposób, po czym wyprostowała się i dumnie poprawiła ubranie.

Dwa lata temu Mary Ellen próbowała ją przekonać, że dzieci powstają tak samo jak szczeniaki, ale inteligencja kazała Aleksandrze odrzucić tak oczywisty nonsens. Istoty ludzkie nigdy by się tak nie zachowywały i tylko taki głuptas jak Mary Ellen mógł uwierzyć w coś tak absurdalnego. Mary Ellen wierzyła przecież także i w to, że jeśli odwrócić się, żeby przez ramię spojrzeć na tęczę, niechybnie ściągnie się na siebie nieszczęście, a pod kapeluszami grzybów kryją się wróżki. Dlatego Mary Ellen zawsze chodziła tyłem, gdy padało, i nie chciała jeść grzybów.

Aleksandra ukradkiem spojrzała na swojego męża i postanowiła zadać to pytanie zakazane młodym panienkom, na które chyba należała jej się jakaś odpowiedź - teraz, kiedy jest już zamężna.

- A więc, skąd się biorą dzieci?

Zadziwiony Jordan odwrócił się w jej stronę i nawet otworzył już usta z wyraźnym zamiarem powiedzenia czegoś, ale z jakiegoś powodu nic nie powiedział. W pierwszej chwili Aleksandrę zdziwiło to milczenie, ale potem zrozumiała. Pokiwała głową ze współczuciem dla pokrewnej duszy.

- Ty też nie wiesz, prawda?

Nagły śmiech Jordana zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Odrzucił głowę niemalże płacząc ze śmiechu, w końcu udało mu się złapać dość powietrza, żeby wykrztusić:

- Nie, Aleksandro... ja wiem.

Uświadomił sobie, że przez ostatni tydzień, czyli od czasu, gdy się poznali, śmiał się więcej niż przez cały rok.

Zraniona jego reakcją, Aleksandra powiedziała urażonym tonem:

- Więc dlaczego mi nie powiesz?

Ostatnie iskierki wesołości gasły w jego oczach, gdy rozmarzony dotknął jej policzka i przesunął dłoń po głowie gładząc jej włosy. Cichym, pełnym pożądania głosem powiedział:

- Pokażę ci dziś wieczorem.

Potem nie rozmawiali już prawie, gdy powóz zjechał z drogi na podjazd do okazałej, rzęsiście oświetlonej oberży.

ROZDZIAŁ 10

Zostawione przez pokojówkę świece rzucały chybotliwe cienie. Otulona w miękkim, ciepłym kocu, ze stopami podwiniętymi pod siebie i przytulona do obejmującego ją Jordana, Aleksandra nigdy nie czuła się tak pewnie i bezpiecznie.

Sącząc powoli wino, zastanawiała się, kiedy jej mąż zamierza iść do swojego pokoju. Tak naprawdę, nie była nawet pewna, czy on ma swój pokój na dzisiejszą noc. Kiedy odświeżała się przed kolacją, Jordan przebierał się w małej klitce przylegającej do jej pokoju, ale stało tam tylko wąskie łóżko najwyraźniej przeznaczone dla pokojówki lub osobistego służącego. Aleksandra nie miała pokojówki i sama świetnie dawała sobie radę; Jordan zaś powiedział, że podczas krótkich podróży woli nie zabierać lokaja, tak więc oboje byli bez służby. Po namyśle Sandy doszła do wniosku, że najwidoczniej zajazd jest pełny i dlatego Jordan jest zmuszony zadowolić się tym maleńkim pokoikiem.

Na kominku płonął ogień łagodząc chłód wiosennej nocy i sprawiając, że pokój stawał się bardzo przytulny. Aleksandra pomyślała o dzieciach. Jordan obiecał, że dziś w nocy nareszcie wyjaśni jej, skąd się biorą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego małżeństwa trzymają ten sposób w takiej tajemnicy. W końcu nie mogło to być nic strasznego, skoro Anglia była stale zamieszкана, a dzieci wciąż przybywało.

Być może wiedza ta była trzymana w sekrecie, ponieważ ludzie nie chcieli, by dziewczyny, które tak jak ona lubiły dzieci i którym było obojętne, czy miały przy tym męża, samodzielnie nie sprawiały sobie niemowlęcia.

Ostatecznie Sandy doszła do wniosku, że takie właśnie wyjaśnienie jest najbardziej logiczne. Przecież od początku świata to mężczyźni ustalali reguły. Najwyraźniej oni orzekli, że choć posiadanie dziecka odbywa się przy ich udziale, jeśli staje się to bez męża, rujnuje kobiecie opinię. To miało sens. A jednak w jej teorii były jeszcze luki...

Dziecko - pomyślała Sandy czule. - Niemowlę...

Była jedynaczką i myśl o małym ciemnowłosym chłopczyku, którego mogłaby kołysać, tulić i z którym by się bawiła, napełniała ją ciepłem i radością. Poza tym wystarczająco знаła historię, aby wiedzieć, jak ważny jest męski potomek dla mężczyzn z tytułami - szczególnie z tak wspaniałymi tytułami jak Jordan. Nagle zdała sobie sprawę, że to ona obdarzy go dzieckiem i myśl ta napełniła ją szczęściem i dumą.

Spojrzała na niego kątem oka i na chwilę wstrzymała oddech. Pod rozpiętą do połowy koszulą widać było umięśnioną, opaloną na złocisty brąz pierś. Jego czarne, lekko faliste

włosy, muskularna sylwetka i wspaniały wygląd sprawiały, że w oczach Aleksandry wyglądał jak starożytny bóg.

Zastanowiła się przez moment, czy nie wykazuje szokującego braku manier przytulając się tak do niego i radośnie przyjmując jego czułości. Stwierdziła jednak, że nie jest w stanie mu się oprzeć. Poza tym w obliczu Boga i ludzi był jej mężem i nie wiedziała dlaczego miałyby udawać, że jej się nie podoba. Przecież nawet jej dziadek, najwyraźniej zaniepokojony wizją małżeństwa, jaką mogła sobie wyrobić patrząc na rodziców, często opowiadał jej, jak powinien wyglądać związek dwojga kochających się ludzi.

- Jeżeli chodzi o małżeństwo, ludzie często popełniają dwa błędy - powtarzał. - Po pierwsze, poślubiają niewłaściwą osobę. Po drugie, nawet gdy wybiorą tę właściwą, wypierają się albo części samych siebie, albo miłości do tej drugiej osoby. A przecież kiedy okażesz swojemu mężowi miłość, będzie musiał odpowiedzieć ci tym samym.

Myśli Jordana były o wiele bardziej konkretne i praktyczne. Rozmyślał właśnie nad tym, jak najszybciej skłonić Aleksandrę do rozebrania się, nie przerażając jej przy tym na śmierć.

Sandy poczuła delikatny dotyk ust swojego męża na włosach i uśmiechnęła się do siebie, bowiem nie był to pierwszy pocałunek tego wieczora. Chwilę później jednak była trochę zaskoczona, gdyż Jordan wyjął jej kieliszek z dłoni, nagłym ruchem posadził ją sobie na kolanach i zaczął namiętnie całować. Gdy wiele minut później oderwał usta od jej warg, jej oszołomienia dopełniła jego cicha, ale stanowcza propozycja, aby przebrała się za parawanem w koszulę nocną i peniuar.

Aleksandra wstała powoli, w myślach przeszukując swój bagaż, aby z danych przygotowanych przez francuską krawcową wybrać najmniej nieprzyzwoite.

- A ty... gdzie będziesz spał? - zapytała nieśmiało.

- Z tobą - odpowiedział cicho.

Aleksandra zmrużyła podejrzliwie oczy. Wyczuwała instynktownie, że ma to jakiś związek z sekretem powstawania dzieci i nagle, sama nie wiedząc dlaczego, przestała tak bardzo palić się do tego, aby to odkryć. Jeszcze nie teraz.

- Nie wolałbyś mieć wygodnego, miękkiego łóżka tylko dla siebie? - zaproponowała z nadzieją.

- Żeby mieć dzieci, trzeba spać w jednym łóżku - wyjaśnił cierpliwie - nie w dwóch.

Aleksandra znów poczuła się zaniepokojona.

- Dlaczego?

- Za parę minut ci pokażę.

- Nie mógłbyś mi po prostu opowiedzieć?

Jordan miał ochotę się roześmiać, ale pozostał niewzruszony.

- Obawiam się, że nie.

Aleksandra ruszyła niechętnie za parawan. Gdy Jordan patrzył na jej szczupłe ramiona i kołyszące się biodra, na jego twarz wypłynął uśmiech, który do tej pory próbował ukryć. Poczł współczucie na myśl, że Aleksandra już wpada w panikę, choć nawet jeszcze jej nie dotknął. Pomyślał, że najwyraźniej kobiety rodzą się z szóstym zmysłem, który ostrzega je, że gdy są pozbawione ochrony swoich wielowarstwowych sukien, mężczyzna robi się niebezpieczny i nie można mu ufać. Zadumany patrzył na parawan zastanawiając się nad pełną niespodzianek naturą Aleksandry. Miała umysł filozofa, serce dziecka i inteligencję mędrca. W jednej chwili dawała popis odwagi strzelając do mężczyzny, który próbował go zabić, a w następnej mdlała przerażona swoim postępkiem. Drażyla temat miłości fizycznej z niepowstrzymaną ciekawością naukowca, a teraz, gdy miała jej doświadczyć na własnej skórze, drżała z niepokoju i starała się zyskać na czasie.

Jej strach trafił Jordana, nie dość jednak, aby powstrzymać go od zaspokojenia potężnej, choć niewytłumaczalnej żądzy. Mimo iż Aleksandra nie dorastała ani wiekiem, ani doświadczeniem do wyrafinowanych, światowych kobiet, z jakimi dzielił do tej pory łożo, była wystarczająco dorosła, aby mógł ją osiąść, a nawet, by obdarzyć ją dzieckiem. Co więcej, za przywilej rozkoszowania się jej ciałem zapłacił słoną cenę - dał jej swój tytuł i nazwisko.

Kiedy tak siedział rozważając wszystko, co zdarzyło mu się do tej pory, zaczęły przeważać w nim argumenty zniechęcające go do miłości dzisiejszej nocy. Po pierwsze: Aleksandra nie zdaje sobie sprawy z tego, co będą dziś robić, a gdy to odkryje, będzie przerażona i oporna. A nawet jeśli tak się nie stanie, niezbyt pociąga go uprawianie miłości z niedoświadczoną dziewczyną, która nie ma o tym żadnego pojęcia.

W przeciwieństwie do innych mężczyzn, których podniecały niewinne dziewczęta, Jordan zawsze wolał kobiety mające pewną wiedzę o sztuce kochania - doświadczone, wrażliwe partnerki, które wiedziały, jak go zaspokoić i bez wstydu czy nieśmiałości przyjmowały rozkosz, jaką im dawał.

Fakt, że większość z nich szukała jego towarzystwa z wyrachowania - pragnąc jego tytułu lub chociaż części blasku jego sławy i popularności - szczególnie Jordanowi nie przeszkadzało. W końcu i on czegoś od nich chciał, a wymiana usług była osią, wokół której obracał się cały pełen blichtru świat arystokracji. Niezależnie jednak od tego, z jakich powodów uwodził kobietę, spać wolał sam.

Odgłosy dochodzące zza parawanu ucichły i Jordan wiedział, że Aleksandra skończyła się przebierać. Był pewien, że nie wychodzi, bo wstydzi się pokazać w nocnej koszuli.

Zdecydował, że najlepszym sposobem będzie traktowanie kwestii ubrania - lub jego braku - w sposób rzeczowy, jak gdyby nie było to nic rewelacyjnego. Wstał i przeszedł przez pokój zamierzając nalać sobie szklankę wina.

- Aleksandro - zapytał spokojnie - może potrzebujesz pomocy przy rozbieraniu?

- Nie! - wykrzyknęła przerażona. - Właśnie skończyłam.

- Więc wyjdź zza parawanu.

- Nie mogę. Ta francuska krawcowa twojej babki jest szalona! We wszystkim, co dla mnie uszyła, są dziury!

- Dziury? - powtórzył Jordan pytająco. Nalał sobie wina i spojrzał na parawan. - Jakiego rodzaju dziury?

Wyszła z ukrycia i Jordan spojrzał na jej zaróżowioną z oburzenia twarz, a potem przeniósł wzrok na apetycznie wycięty dekolt w jej lśniącej satynowej koszuli nocnej.

- Ta koszula - poinformowała oskarżycielsko wskazując na dekolt - ma wyciętą dziurę z przodu, a niebieska ma kwadratową dziurę na plecach. Najgorsza jest żółta - kontynuowała cierpko - ma dziurę na plecach, drugą na piersiach, a boki są podcięte aż do kolan. Tej Francuzce - zakończyła ponuro - nie powinno się dawać nożyczek do rąk.

Jordan wybuchnął śmiechem i porwawszy ją w ramiona ukrył twarz w jej włosach.

W tej chwili ściana bezdusznego cynizmu, jaką starannie budował przez całe swoje życie, zaczęła się kruszyć.

- Och, Sandy - powiedział - nie mogę uwierzyć, że istniejesz naprawdę.

Jako że to nie ona była odpowiedzialna za projekt tych absurdalnych ubrań, Aleksandra nie przejęła się jego śmiechem, ale postanowiła go ostrzec.

- Nie będziesz się tak śmiał, kiedy zobaczysz resztę ubrań, za które zapłaciłeś tej kobiecie fortunę.

Jordan nadludzkim wysiłkiem zdusił śmiech i spojrzał na nią z rozbawieniem.

- A to dlaczego? - zapytał.

- Ponieważ - wyjaśniła ponuro - przez suknie, które nie mają wyciętych dziur, można patrzeć jak przez okno, są tak cienkie.

- Okno... - Jordan ponownie wybuchnął śmiechem. Przytulił ją do siebie radując się tym prostym, niespodziewanym żartem.

Chwycił ją na ręce i postawił koło łóżka. Gdy opuszczał ją na ziemię, wyczuła jego erekcję i natychmiast zeszytywniała. Niepewna, nagle przerażona - jak gdyby przewidywała, co znaczy ta dziwna sztywność jego ciała - szukała oczami jego oczu.

- Co chcesz mi zrobić? - wyszeptwała.

- Zamierzam się z tobą kochać - odpowiedział łagodnie. Całe jej ciało drżało.

- Dlaczego?

Jordan uśmiechnął się opiekuńczo, w takim samym stopniu poruszony jej strachem, jak i niewinnością olbrzymich zielonych oczu.

- Powiem ci, gdy zaczniemy. - Zauważył, że taka odpowiedź jej nie wystarcza. - Najprościej mówiąc, nasiona dziecka są we mnie i za chwilę oddam je tobie. Nie będziemy wiedzieć, czy tym razem powstanie dziecko - dodał uczciwie, przewidując, że pewne rzeczy mogą się jej wydać grzeszne - ale zapewniam cię, że w tym, co będziemy robić, nie ma nic złego. Ludzie robią to niezależnie od tego, czy chcą mieć dziecko, czy też nie.

- Tak? - zapytała z bezmiernym zaufaniem. - Dlaczego? Kryjąc uśmiech Jordan zaczął rozwiązywać sznurki przy jej koszuli.

- Ponieważ to wspaniałe uczucie - odpowiedział po prostu. Położył dłonie na jej ramionach i zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, koszula zsunęła się z jej piersi i spadła na ziemię. Na widok niespodziewanego piękna jej ciała Jordan wstrzymał oddech. Choć szczupła, piersi miała zadziwiająco pełne, smukłą talię i długie, kształtne nogi.

Zmrożona i zawstydzona spojrzeniem swojego męża Aleksandra pochyliła głowę i patrzyła na leżącą u jej stóp koszulę. Poczwała ogromną ulgę, gdy Jordan podniósł ją i położył na łóżku. Zadowolona z osłony, jaką dawała jej kołdra, naciągnęła ją pod samą brodę i szybko odwróciła wzrok, gdy Jordan zaczął się rozbierać.

Usiłowała przekonać sama siebie, że ludzie mają dzieci od początku świata, więc w tym, co zamierza zrobić jej Jordan, nie ma nic dziwnego ani brzydkiego. Co więcej, wiedziała, że jej obowiązkiem jest dać mężowi potomka i nie miała najmniejszego zamiaru zaczynać małżeństwa nieposłuszeństwem.

- Co mi zrobisz? - zapytała lękliwie.

Nie była w stanie podnieść wzroku ponad wznoszącą się nad nią opaloną, muskularną pierś. Jordan delikatnie unióś jej podbródek zmuszając do spojrzenia mu w twarz.

- Będę cię całował i przytulał - zaczął głosem miękkim jak aksamit - i będę cię dotykał. Potem zrobię coś, co cię zabol, ale tylko przez chwilę. Uprzedzę cię, zanim to się stanie - dodał przewidując, że być może zechce wmawiać sobie ból, nim cokolwiek się stanie.

Na wzmiankę o bólu oczy Sandy rozszerzyły się w przerażeniu, ale kiedy się odezwała, jej głos pełen był troski o niego.

- Czy cię też będzie bolało? - Nie.

Dziewczyna, która, jak myślał, miała z nim walczyć i opierać mu się, uśmiechnęła się z ulgą i nieśmiało dotknęła jego policzka.

- Cieszę się - powiedziała miękko - nie chciałabym, by i cię bolało.

W gardle wezbrały mu czułość i wzruszenie. Nachylił się nad nią i całował każdy zakamarek jej ust. Zmuszał się, aby działać powoli, delikatnie pieścił jej usta, dłonią muskał jej szyję. Jego język obrysował kontur jej warg, delikatnie spróbował je rozdzielić, a potem wślizgnął się między nie głębiej, podczas gdy dłonie pieściły jej kark.

Wiedziona instynktem Aleksandra zwróciła się w jego stronę. Jego ramiona natychmiast zacisnęły się wokół niej, a usta zmiażdżyły jej delikatne wargi. Kiedy czując jego twardą męskość zeszytywniała i próbowała się cofnąć, zaczął pieszczotliwie gładzić ją po plecach i delikatnie, choć stanowczo przytrzymał przy sobie.

Ucichła w jego ramionach, ale gdy przeniósł dłoń na jej pierś szarpnęła się i tym razem Jordan z ociąganiem oderwał od niej usta. Uniósł głowę i spojrzał w jej pytające oczy gładząc kciukiem miękką linię jej podbródka.

- Nie bój się mnie, najśłodsza.

Aleksandra wahała się patrząc mu głęboko w oczy i Jordan miał niesamowite wrażenie, że zagłębia w głąb jego mrocznej duszy.

Sądząc po jej słowach to, co zobaczyła, nie było takie złe.

- Wiem, że nigdy nie zrobiłbyś nic, by mnie zranić. Chociaż wszystkim z zewnątrz wydaje się, że jesteś nieustępliwy i bezwzględny, tak naprawdę wewnątrz jesteś piękny.

Słowa te poruszyły wrażliwą nutę skrytą głęboko w jego duszy. Z pomrukiem nagłego pożądania wpił się w jej usta. Tym razem odpowiedziała na jego namiętność, zapraszająco rozchyliła usta, a potem przytuliła się do niego.

Nie odrywając ust od jej warg Jordan przesunął dłoń na jej pierś i zaczął pieścić twardniejący sutek. Całował jej skronie, oczy, policzki, szyję, a gdy wsunął język w jej ucho, zadrżała z rozkoszy. Drażnił wrażliwe płatki jej uszu, a ona jęcząc z podniecenia wbiła paznokcie w jego plecy. Potem przeniósł pocałunki na jej płaski brzuch, jego dłonie gładziły jej biodra i piersi, aż w końcu uniósł głowę.

Oszołomiona z rozkoszy i zadziwienia Aleksandra spojrzała w jego błyszczące oczy. Wyczuwała instynktownie, że jest mu bardzo droga. Nie zdawała sobie sprawy z jego praktycznego doświadczenia w doprowadzaniu kobiecego ciała do wrzenia. Miała

świadomość tylko tego, że płonie z miłości i pragnie dać mu taką rozkosz, jaką on daje jej. A jako zaproszenie wystarczył jego namiętny szept.

- Pocałuj mnie, kochana.

Wiedziona instynktem i niejasnym przekonaniem, że to, co sprawiało jej przyjemność, sprawi ją i jemu, Aleksandra obróciła całą jego uwodzicielską siłę przeciw niemu. Całowała go z uwielbieniem, pieszcząc dłonią jego kark, jej język drażnił jego wargi zmuszając je do rozstąpienia się, a potem wślizgnął się między nie, co wydarło Jordanowi z piersi jęk rozkoszy.

Nacisk jej ust sprawił, że opadł na poduszki, a Aleksandra uniosła się na łokciu i pochyliła nad nim. Całowała delikatnie jego czoło, oczy, policzki, dłonią pieszcząc mu tors. Drażniła palcami jego piersi i pieściła językiem uszy. Wyczuła, że szybciej zaczęło bić mu serce, i zachęcona tym podążyła za swoją dłonią całując jego tors.

Jego skóra była jak satyna i Aleksandra rozkoszowała się jej zapachem i dotykiem. Czuła, jak jego palce wpijają jej się we włosy, gdy pieściła i drażniła jego ciało. Jordan jęknął cicho, po czym nagle pociągnął ją do góry i położył na plecach.

Pełen żądy wibrującej w każdej komórce ciała Jordan nie miał pojęcia, jak to się stało, że z uwodziciela stał się uwodzonym. Wiedział tylko jedno: że ta czarująca dziewczyna, z którą leżał w łóżku, okazała się być najbardziej podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Sprawiała, że z pożądania niemal tracił zmysły.

Z dziką namiętnością całował teraz jej usta, błędząc dłonią po jej biodrach i udach. Na ten tak niesłychanie intymny dotyk Aleksandra zeszywniała gwałtownie.

Z nadludzkim wysiłkiem Jordan uniósł głowę patrząc jej w twarz.

- Nie obawiaj się mnie, kochana - wyszeptał czule. - Zaufaj mi.

Po chwili wahania Aleksandra rozluźniła się. W chwili gdy zaczął ostatnią batalię, Jordan był pewien, że będzie opierała się, ona tymczasem oddawała mu się bez reszty, nic przed nim nie chowając, walcząc z własnymi obawami, ufając, że jej nie zrani.

Czułość, jaką w tej chwili poczuł dla tej niewinnej kusicielka była niemal nie do zniesienia. Patrzył na nią, wzruszony jej bezgranicznym oddaniem. Zamknęła oczy i skryła spłonioną twarz na jego piersi.

Czując jednocześnie płonące pożądanie i smutną świadomość, że będzie musiał sprawić jej ból, Jordan ujął twarz Aleksandry w dłonie.

- Sandy - powiedział pełnym bólu głosem. Otworzyła oczy i zrozumiał, że ona już wie.

Jej płytki oddech naładowany był przerażeniem. Patrzyła rozpaczliwie prosto w oczy Jordana, jakby szukając pocieszenia i otuchy u tego samego mężczyzny, który miał ją zranić.

- Przepraszam, najdroższa - wyszeptał chrapliwie całując ją. Ciało Sandy wygięło się w łuk, a jęk bólu, jaki wyrwał się z jej ust sprawił, że serce Jordana skurczyło się z żalu. Ani razu nie próbowała go odepchnąć, lecz pozwoliła mu trzymać się w ramionach i szeptać uspokajające czułe słowa.

Otworzyła pełne łez oczy, z ulgą i zdziwieniem, gdy ból zaczął opadać. Ujrawszy, że twarz jej męża pociemniała z pożądania i żalu, objęła go ramionami.

- Nie bolało tak bardzo - wyszeptała.

To, że ona próbowała pocieszyć jego, było zbyt trudne do zniesienia. Cynizm i zimna rezerwa otaczające Jordana przez niemal dwadzieścia siedem lat jego życia zaczęły kruszeć rozmywane przez namiętność wypełniającą wszystkie pory jego ciała. Patrzył na jej kochaną, zaróżowioną twarz, a ona instynktownie zaczęła poruszać się wraz z nim. Wbiła w jego plecy paznokcie prężąc się i garnąc do niego.

- Nie walcz z tym, kochanie - wyszeptał Jordan. Jego ramiona i ręce naprężone były z wysiłku, podczas gdy oddech stał się krótki, urywany, jak po długim biegu. - Pozwól, by to się stało.

Aleksandra wracała powoli do rzeczywistości z gorącej krainy rozkoszy. Leżąc w opiekuńczym uścisku Jordana z głową przytuloną do jego brody pomyślała, że wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że można być z kimś aż tak blisko. Wciąż jeszcze czuła jego ciepło i namiętne pocałunki.

Prawie od chwili gdy dołączył do niej w łóżku, wiedziała, że on jej pożąda i potrzebuje, ale nie całkiem rozumiała, czego szukał. Teraz już wiedziała. Pragnął eksplozji rozkoszy i tego, by ona też to czuła. Uczuła radość i dumę, że była w stanie dać mu to, czego tak pragnął. Sprawiała, że jego silne ciało drżało jak jej własne i potrafiła wyrwać mu z piersi jęk rozkoszy.

Nie przyszło jej nawet do głowy, by czuć wstyd z powodu radości, z jaką odwzajemniła jego namiętność. Tak jak mówił jej dziadek, miłość oznaczała oddanie wszystkiego i nieskrywanie niczego. Oznaczało to zawierzenie swojego szczęścia drugiej osobie, a w zamian przyjęcie pełnej odpowiedzialności za jej szczęście. Dziś w nocy to właśnie się stało.

Pomyślała o dzieciach. Nigdy nie rozumiała par, które miały dzieci, choć zdawały się wcale ich nie pragnąć. Bez wątplenia działało się tak dlatego, że leżąc razem w łóżku ludzie ci

nie mogli po prostu nie robić tej wspaniałej rzeczy, którą Jordan nazywał Kochaniem się ze sobą.

Jordan poruszył się lekko i spojrzał czule na swoją żonę. W blasku świec niewinność jej twarzy była porażająca. Nieprawdopodobnie długie rzęsy ocieniały jej policzki, wyglądała bardzo krucho, delikatnie i niesamowicie pięknie. Zamierzał zapoznać ją z namiętnością, a zamiast tego ona nauczyła go pozbawionego egoizmu, bezinteresownego dawania. Była niewinna i podniecająca, pozbawiona fałszu, ufna, szczerza i słodka. Urodzona uwodzicielka.

Uśmiechnął się słabo przypomniawszy sobie, jak sprytnie użyła jego własnych technik miłosnych, aby się z nim kochać, i że dodała coś jeszcze, coś ulotnego i bardzo wzruszającego. To coś sprawiało, że czuł się jednocześnie dumny i pokorny, władczy, a jednocześnie niegodny. I co dziwne, zakłopotany.

Zastanawiając się, czy Aleksandra śpi, musnął ustami jej czoło i wyszeptał jej imię, a potem uniosł dłoń zamierzając odgarnąć jej niesforne loki z twarzy.

Otworzyła oczy i w ich błyszczącej głębi zobaczył coś, co sprawiło, że jego ręka zamarła, a ciało znów zaczęło drżeć - tak jak wtedy, gdy go całowała i dotykała.

W jej oczach błyszczała cała miłość wszechświata.

- O mój Boże - szepnął z jękiem.

Wiele godzin później, kiedy skończyli się kochać po raz drugi, Jordan tulił ją w ramionach i patrzył zadumany na gasnące świece. Nie mógł stłumić rodzącej się w nim zazdrości.

- Aleksandro - zaczął bardziej surowo, niż zamierzał - nigdy nie wierz mężczyźnie, który mówi: „zaufaj mi”, zwłaszcza gdy tak się zdarzy, że będziesz naga.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Mój panie, naprawdę sądzisz, że będę rozmawiała nago z mężczyznami?

- Nie - odparł niezadowolony. - To ostatnie to był żart. - Nie był w stanie powiedzieć jej brutalnie, żeby nie ufała ani jemu, ani żadnemu innemu mężczyźnie. - To głupie zbytnio ufać ludziom. Jeśli to zrobisz, zranią cię.

Jej uśmiech zbladł.

- Jeżeli tego nie zrobię, sama się zranię. Czy ty w ogóle nie ufasz ludziom?

- Ufam tylko niewielu i nie do końca.

Aleksandra uniosła dłoń i obrysowała nią kontur jego ust.

- Jeżeli nie będziesz ufał - zaczęła z tą mieszaniną mądrości i naiwności, którą uwielbiał - nigdy się nikim nie rozczarujesz. Ale jednocześnie sam siebie pozbawisz szansy, żeby być szczęśliwym. - Nie przestawała gładzić jego twarzy, nieświadoma pożądanego, jakiego

znów rozbłysło w jego oczach i jakie zaczęło budzić się w niej. - Jesteś piękny, łagodny, mądry i silny - szeptała widząc, jak jego oczy ciemnieją, gdy przesunęła dłoń na jego gardło i pierś. - Ale musisz się nauczyć ufać ludziom, a szczególnie mi. Bez całkowitego zaufania miłość nie przetrwa, a ja ciebie ko...

Przerwał jej zamykając usta pocałunkiem i znów wysyłając ją do ciepłego, słodkiego świata, gdzie nie istniało nic poza dzikim pięknem ich rozkoszy.

ROZDZIAŁ 11

Następnego popołudnia na krótko zatrzymali się w Londynie. Podczas gdy Jordan pojechał na spotkanie z jakimś znajomym, Aleksandra odbyła dwuipółgodzinną przejażdżkę po ulicach, utwierdzając się w przekonaniu, że jest to najwspanialsze miasto świata.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, tonąc w morzu, gdy wreszcie dotarli do statku, którym mieli się udać w podróż. Aleksandra chłonęła widok i odgłosy portu; przyglądała się robotnikom noszącym ładunki, obserwowała też, jak olbrzymie dźwigi przenoszą wielkie paki na pokłady statków. Majestatyczne okręty wojenne zaopatrywały się tutaj w żywność, szykując się do wsparcia swoich współtowarzyszy, którzy bądź to uczestniczyli w blokadach dostaw do Ameryki, bądź walczyli z Francuzami. Aleksandra patrzyła na marynarzy obejmujących kobiety o uróżowanych policzkach, ubranych w suknie, przy których jej peniuary wyglądały jak strój zakonnicy.

Zostali osobiście powitani przez kapitana „Pomyślnych Wiatrów”, który zaprosił ich na skromną kolację do swojej kabiny. Owa „skromna” kolacja składała się z czternastu dań, a do każdego z nich serwowano inne wino. Podczas posiłku rozpoczęła się ożywiona rozmowa o wojnach z Francją i Ameryką. W Morsham Aleksandra czytała o bitwach toczonych przez Anglię zarówno na lądzie, jak i na morzu, lecz wtedy wydawały się jej one takie dalekie i nierealne.

Teraz, mając świadomość, że obok w porcie zakotwiczone są wielkie okręty wojenne, walka nabrała bardzo realnych, przerażających kształtów. Kiedy jednak Jordan odprowadzał ją po kolacji do ich wspólnej kabiny, była już na tyle odurzona winem, że czuła tylko pustkę w głowie i senność. Zauważywszy w kabinie rzeczy Jordana, trochę zażenowana, trochę radośnie podniecona, Aleksandra zastanawiała się, co będą robili dzisiejszej nocy. Od czasu gdy wrócił z tego spotkania z kimś w Londynie, traktował ją z rezerwą, a gdy zatrzymali się na noc w zajeździe, pocałował ją tylko na dobranoc i trzymał w ramionach, dopóki nie zasnęła.

- Czy mam zastąpić pokojówkę? - zapytał i nie czekając na odpowiedź zaczął rozpinać długi rząd guzików.

- Czemu ta łódź tak kołysze? - spytała Aleksandra, przytrzymując się stojącego obok stoliczka.

Śmiech Jordana był głośny i szczery.

- To nie „łódź”, tylko statek, i to nie on się kołysze, tylko ty, kochanie. Obawiam się, że zbyt pofołgowałam sobie dzisiaj w kosztowaniu trunków.

- Kapitan tak namawiał, że musiałam spróbować wszystkich - broniła się Sandy. - Był bardzo miły - dodała stwierdzając jednocześnie, że jest w znakomitym wprost humorze.

- Rano nie będziesz taka zachwycona - upomniał ją Jordan.

Z galanterią odwrócił się, gdy zdejmowała z siebie resztę ubrań i zakładała nocną koszulę, a potem pomógł jej położyć się do łóżka i aż po samą brodę przykrył kołdrą.

- A ty, mój panie, nie kładziesz się jeszcze? Aleksandra zwracała się do niego w ten sposób tylko wtedy, gdy ogarniała ją nieśmiałość. Prawdę mówiąc, był to ten właśnie sposób, w który księżna przykazała jej zwracać się do niego zawsze i w każdej sytuacji.

- Chcę jeszcze wyjść na pokład, zaczerpnąć świeżego powietrza przed snem - wyjaśnił. Zanim jednak wyszedł, wyjął z torby pistolet i włożył go sobie za pas.

Aleksandra już dawno spała, gdy Jordan doszedł do schodków wiodących na górny pokład. Stanąwszy przy relingu, wyjął jedno z cygar, które lubił palić po kolacji. Podpalił je i zapatrzył się na morze, rozmyślając, jak wybrnąć z problemu, jakim stała się dla niego Aleksandra. Po latach obcowania z kobietami wyrafinowanymi, chciwymi i płytkimi, na podstawie których oceniał całą ich pleć, niespodziewanie wziął ślub z dziewczyną, która okazała się prostolinijna, bezpośrednia, inteligentna i hojna w uczuciach.

Nie miał pojęcia, co teraz ma uczynić.

Aleksandra nabrała nie wiadomo skąd tego głupiego przekonania, że jest szlachetny, delikatny i „piękny”, podczas gdy tak naprawdę był wyrachowany, cyniczny i moralnie zepsuty. W ciągu swojego krótkiego życia zabił więcej ludzi, niż można policzyć i spał ze zbyt dużą liczbą kobiet, by je wszystkie pamiętać. Aleksandra wierzyła w szczerość, zaufanie i miłość, i chciała, aby on uwierzył w to samo. A on nie wierzył w żadną z tych rzeczy. Ona była marzycielką, on cynicznym realistą.

W dodatku okazała się na tyle niepoprawną marzycielką, by wierzyć, że za chwilę wydarzy się coś wspaniałego, co wcale nie dziwiło, zważywszy, że wierzyła również w to, iż mokra ziemia pachnie jak perfumy...

Aleksandra chciała, aby ujrzał świat jej oczami - świeży, pulsujący życiem i nie zepsuty, ale dla niego było już za późno. Jedyne, co mógł teraz uczynić, to podtrzymywać jej złudzenia najdłużej, jak tylko się da. Nie był jednak żadną miarą zdolny dzielić jej rojeń. Nie chciał. On nie miał już wstępu do jej idealnego świata.

W Devon będzie bezpieczna, rozmyślał dalej, kiedy znajdzie się z daleka od niszczącego świata arystokracji, świata wyrachowanego i nieczułego, świata, do którego on

świetnie pasował. Tam nikt nie wymagał od niego uczuć takich jak miłość, a zaufanie i wyrażanie prawdziwych uczuć było czymś nieznanym.

Bał się wyrazu bólu na twarzy Sandy, gdy dowie się, że on nie zostaje z nią w Devon, ale wiedział, że inaczej nie może być. Po prostu nie może.

Patrzył jeszcze przez chwilę na atramentowe morze oświetlone tylko blaskiem księżycy, po czym wyrzucił cygaro za burtę. Przypomnił sobie, że to było już ostatnie, a złota cygarnica została w Londynie, w domu Elizy.

Wyczerpany długą podróżą powozem i rozpaczliwymi rozmyślaniami nad rozwikłaniem sytuacji, w której nagle się znalazł, zwrócił wzrok ku nabrzeżu, gdzie widać było zapalone światła w tawernach, przy których kręcili się marynarze ściskający ulicznice.

Niedaleko dwaj mężczyźni ukryli się spieszenie w głębokim cieniu, panującym na statku i zniknęli wśród zwojów lin.

W nadziei, że będzie mógł kupić cygara, Jordan powoli zszedł po trapie i skierował się w stronę najbliższej tawerny. Dwa cienie niemal natychmiast wyłoniły się zza lin i ostrożnie ruszyły za nim.

Jordan zdawał sobie sprawę, że port o tej porze jest bardzo niebezpiecznym miejscem. Zwłaszcza od kiedy powstały oddziały wcielające do wojska, które w dość szczególny sposób werbowały rekrutów; ogłuszano nieostrożnych na ulicy i nieprzytomne ofiary pakowano na okręty wojenne Jego Królewskiej Mości, co miało zapewnić nieszczęśnikom „honor” służby morskiej na długie miesiące lub nawet lata, dopóki okręt nie wrócił do portu. Jednak Jordan miał przy sobie broń, w zasięgu wzroku nie było nikogo oprócz kilku pijanych marynarzy, a od tawerny dzieliło go tylko parę kroków.

- Stój, ty głupcze, niech dojdzie do brzegu - szepnął jeden z cieni do swojego towarzysza, gdy ten ruszył raptownie w stronę Jordana.

- Na co, do licha, mamy czekać?! - zbuntował się ten drugi, czekając w mroku, podczas gdy ich zdobycz zniknęła w tawernie. - Mieliśmy mu dać po łbie i wrzucić do wody, a lepiej było to zrobić na łajbie.

Pierwszy z mężczyzn uśmiechnął się chytrze.

- Mam lepszy pomysł. Mniej roboty, a więcej korzyści. Jordan wyszedł z tawerny z trzema ogromnymi cygarami w wewnętrznej kieszeni marynarki. Teraz jednak, gdy już je miał, przeszła mu ochota na palenie. Za jego plecami dwa cienie gwałtownie ruszyły do przodu. Słyszac za sobą hałas Jordan sięgnął za pas. Nim zdążył wyciągnąć pistolet, poczuł, jak jego czaszka eksploduje nieopisanym bólem, po czym pogrążył się w ciemności.

Potem było już tylko falowanie, kołysanie się i powolny ruch w kierunku jasnego światła na końcu tunelu, którym, jak mu się zdawało, płynął w nieskończoność.

* * *

Aleksandrę obudziły pokrzykiwania marynarzy, którzy przygotowywali statek do wypłynięcia. Mimo uczucia, że jej głowę wypchano wełną, Sandy koniecznie chciała być na pokładzie, gdy zostanie podniesiona kotwica i statek ruszy w morze. Szybko założyła świeżą suknię i pasującą do niej lawendową pelerynę. Pomyślała, że jej mąż miał pewnie taki sam pomysł, skoro już wstał i opuścił kabinę. Szare i różowe wstęgi świtu znaczyły już horyzont, gdy Aleksandra w końcu wyszła na pokład. Dookoła niej uwijali się zapracowani marynarze, a odwrócony tyłem bosman wykrzykiwał komendy swoim ludziom, którzy wspinali się na maszty. Rozejrzała się, szukając męża, ale oprócz niej nie było na pokładzie żadnego z pasażerów. Wczoraj podczas kolacji Jordan powiedział kapitanowi, że lubi być na pokładzie, gdy statek odpływa. Zauważywszy więc kapitana, Aleksandra uniosła suknię i ruszyła w jego stronę.

- Czy nie widział pan mojego męża?

Dostrzegając na jego twarzy zniecierpliwienie, szybko wyjaśniła:

- Nie ma go w kabinie i nie ma go na pokładzie. Czy jest na tym statku jakieś inne miejsce, gdzie mógłby przebywać?

- Wysoce nieprawdopodobne, wasza wysokość - powiedział z roztargnieniem żeglarz, kierując wzrok w jaśniejące niebo i oceniając, ile jeszcze czasu pozostało do pełnego świtania. - A teraz, jeżeli mi pani wybaczy...

Zaniepokojona Aleksandra starała się ignorować syrenę alarmową, jaka brzęczała jej w głowie. Zeszła do kabiny i stanęła pośrodku nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Doszła do wniosku, że Jordan spaceruje po pokładach i podniosła płaszcz, który wczoraj zostawił na oparciu krzesła. Zanim odwiesiła do go szafy, wtuliła policzek w miękki materiał i napawała się tak miłym dla niej zapachem Jordana. Z wyrozumiałym uśmiechem uświadomiła sobie, że był przyzwyczajony do służącego, który zawsze zbierał po nim garderobę. Podniosła jeszcze jego podróżne spodnie i zaczęła rozglądać się za marynarką, którą miał na sobie, gdy wychodził wieczorem na pokład. Nigdzie jej nie było, podobnie jak reszty ubrania, w którym widziała go po raz ostatni.

Kapitan Farraday oczywiście rozumiał jej troskę o męża, ale nie zamierzał zmarnować odpływu. Aleksandra zadrzała przeczuwając coś strasznego. Wyczuwała jednak, że trudno będzie zmienić decyzję tego człowieka.

- Kapitanie Farraday - zaczęła naśladować ton, którym, zawsze mówiła babka Jordana - jeżeli mój mąż leży w tej chwili ranny gdzieś na tym statku, to będzie pan odpowiedzialny nie tylko za jego ranę, ale również za to, że wypłynął pan w morze, zamiast odnaleźć go i odwieźć do doktora. Co więcej - całym wysiłkiem woli powstrzymywała głos od drżenia - jeśli jestem dobrze poinformowana, mój mąż jest właścicielem części firmy, do której należy ten statek.

ROZDZIAŁ 12

Przy trapie „Pomyślnych Wiatrów” zatrzymał się czarny powóz, którego przybycia oczekiwali w galowych mundurach: kapitan Farraday i jego pierwszy oficer.

- To ona? - wyszeptał z niedowierzaniem pierwszy oficer spoglądając na drobną, dumnie wyprostowaną kobietę, którą prowadził pod ramię sir George Bradburn, najbardziej wpływowy człowiek w Admiralicji.

- Czy chce pan powiedzieć, że to na żądanie tej siwowłosej staruszki minister zarekwirował nam statek? Tylko po to, żeby tu przyjść i wysłuchać, co mamy do powiedzenia?

Aleksandra podskoczyła gwałtownie, słysząc pukanie do drzwi. Jej serce waliło jak oszalałe na wół ze strachu, na wół z nadziei, tak jak przez ostatnie pięć dni od czasu zaginięcia Jordana. Jednak to nie jej mąż stał w drzwiach, ale stara księżna, której Sandy nie widziała od dnia swego ślubu.

- Są jakieś wieści? - załkała Aleksandra, zbyt przejęta, by przywitać gościa.

- Kapitan i pierwszy oficer nic nie wiedzą - odpowiedziała księżna krótko. - Pozwól ze mną.

- Nie! - histeria, tłumiona starannie przez ostatnie pięć dni, nie dała się dłużej opanować. Aleksandra potrząsnęła gwałtownie głową. - On chciałby, żebym tu została.

Księżna wyprostowała się dumnie i spojrzała na Aleksandrę z góry.

- Mój wnuk - zaczęła najzimniej, jak tylko potrafiła - pragnąłby, aby jego żona zachowywała się z godnością i opanowaniem, jak przystoi księżnej Hawthorne.

Słowa te były dla Aleksandry jak policzek, ale dzięki nim odzyskała równowagę. To prawda, jej mąż właśnie tego by oczekiwał. Starając się opanować panikę, podniosła szczeniaka, wygładziła ubranie i sztywno ruszyła za księżną i sir George'em Bradburnem do powozu. Gdy wchodziła po schodkach, służący chciał pomóc przytrzymując ją za łokieć. Ona jednak szarpnęła się gwałtownie do tyłu i po raz ostatni spojrzała wokół, przeszukując wzrokiem tawerny i magazyny. Jordan gdzieś tu jest. Chory lub ranny. Musi tu być... Jej serce odrzucało każdą inną możliwość.

Wiele godzin później, gdy ich powóz zwolnił na ulicach Londynu, Aleksandra podniosła przygnębione spojrzenie na księżną. Starsza pani siedziała naprzeciw niej nieruchomo, z miną tak obojętną i zimną, że Aleksandra zastanawiała się, czy ona w ogóle jest zdolna

do jakichkolwiek uczuć. W grobowej ciszy panującej w powozie suchy szept Aleksandry zabrzmiał jak krzyk.

- Dokąd jedziemy?

Po długiej pauzie, która miała dać Aleksandrze do zrozumienia, że księżna nie musi jej niczego wyjaśniać, starsza pani cierpko odparła:

- Do mojej londyńskiej posiadłości. Ramsey już tam pewnie dojechał razem z kilkorgiem służących. Ich zadaniem będzie zapewnienie nam spokoju i informowanie wszelkich odwiedzających, że jesteśmy w Rosemeade. Wiadomość o zniknięciu mojego wnuka jest we wszystkich gazetach, a nie chcę być nagabywana przez żądnych sensacji łobuzów.

Ton księżnej najwyraźniej wzbudził współczucie w ministrze, który po raz pierwszy się odezwał:

- Zapewniam waszą wysokość, że poruszymy niebo i ziemię, by odnaleźć pani wnuka. Setki ludzi z Bow Street przeszukują doki i prowadzą dochodzenie. Prawnicy waszej rodziny wynajęli kolejne setki ludzi polecając im nie szczędzić środków na zdobycie informacji. Do tej pory nie zgłoszono żądania okupu, więc sądzimy, że księżę Hawthorne nie został porwany.

Połykając łzy, które chciała ukryć przed księżną, Aleksandra odważyła się zadać pytanie, mimo że obawiała się odpowiedzi na nie.

- Jakie są szanse odnalezienia go? - Nie mogła zmusić się do dodania „żywego”.

- Ja... - zawahał się. - Ja nie wiem.

Jego ton nie wskazywał na to, by te szanse były zbyt wielkie, więc Sandy szybko wtuliła twarz w miękkie futerko Henryka, skrywając łzy i dławiąc krzyk rozpaczy.

* * *

Przez cztery długie dni Aleksandra mieszkała pod jednym dachem z księżną, która wytrwale ją ignorowała. Nie odzywała się do niej, a nawet nie patrzyła w jej stronę. Piątego dnia Aleksandra stała w oknie swojej sypialni, gdy zobaczyła wychodzącego sir George'a.

Zbyt podekscytowana, by czekać na wezwanie, zbiegła po schodach do salonu i wpadła prosto na księżną.

- Widziałam ministra. Co powiedział?

Księżna obrzuciła Aleksandrę wzrokiem, w którym wyraźnie malowała się niechęć do jej niesubordynacji.

- Wizyty sir George'a ciebie nie dotyczą - powiedziała zimno i odwróciła głowę na znak, że audiencja została skończona.

Jej słowa spowodowały, że Aleksandra po wielu dniach tłumienia emocji straciła panowanie nad sobą. Chwyciwszy się pod boki zawołała:

- Czy się pani to podoba czy nie, on jest teraz moim mężem i najważniejszą osobą na świecie. Nie wolno pani... zabraniam pani pozbawiania mnie informacji!

Kiedy księżna nie zareagowała na jej wybuch, Aleksandra zaczęła ją błagać.

- Proszę powiedzieć mi prawdę. Nie mogę znieść tego oczekiwania, proszę mi tego nie robić. Nie zawstydzę pani wybuchem hysterii, potrafię dużo znieść. Gdy zmarł mój ojciec, a matka nie mogła się pozbierać, przejęłam prowadzenie domu, choć miałam tylko czternaście lat, a gdy zmarł mój dziadek...

- Nie ma żadnych wiadomości - rzuciła sucho księżna. - Jeśli będzie wiadomo coś nowego, dam ci znać.

- Ale to trwa już tak długo! - wybuchnęła Aleksandra. Księżna spojrzała na nią z lekkim podziwem.

- Niezła z ciebie aktoreczka. Wciąż boisz się o swoje pieniądze? Nie martw się, przed ślubem spisano intercyzę pomiędzy moim wnukiem a twoją matką. Ma ona zapewniony dostatni byt do końca swoich dni i wystarczająco dużo pieniędzy, by się z tobą podzielić.

Aleksandra ze zdziwienia szeroko otworzyła usta. Zdała sobie sprawę, że księżna naprawdę wierzyła, że ona martwi się o pieniądze, a nie o swojego męża, który mógł teraz leżeć na dnie kanału La Manche.

Zaniemówiła z oburzenia, podczas gdy księżna kończyła:

- Zejdź mi z oczu. Nie mogę dłużej znieść twojej obłudnej troski. Prawie go nie znałaś, nic dla ciebie nie znaczył.

- Jak pani śmie! - wykrzyzczała Aleksandra. - Jak pani śmie mówić takie rzeczy. Nigdy nie zrozumie pani, co do niego czuję, bo jest pani pozbawiona wszelkich uczuć. A jeśli nawet tak nie jest, to jest już pani... jest za stara, by pamiętać, co to znaczy miłość!

Księżna wstała, jakby chciała zmiażdżyć Aleksandrę jednym gestem, ale ta była zbyt oszalą z gniewu i rozpaczy, by przestać.

- Nie wie pani, co czułam, gdy się do mnie uśmiechał albo gdy śmieliśmy się razem. Nie może pani wiedzieć, jakie to uczucie patrzeć mu w oczy. - Ucisk w gardle stał się zbyt mocny i po policzkach Aleksandry zaczęły spływać łzy. - Nie chcę jego pieniędzy. Chcę, żeby znów się do mnie uśmiechnął. - Kolana ugięły się pod nią nagle i łkając uklękła. - Chcę tylko znów spojrzeć mu w oczy...

Księżna zawahała się, a po chwili obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zostawiając Aleksandrę, by w samotności wypłakała swoją żalność i ból. Dziesięć minut później do pokoju wszedł Ramsey niosąc srebrny serwis do herbaty.

- Jej wysokość przekazała mi, że pani osłabła z głodu i pragnie się odświeżyć - powiedział.

Wciąż klęcząc na podłodze, z twarzą ukrytą w ramionach opartych o sofę, Aleksandra powoli uniosła głowę i zdecydowanie otarła łzy.

- Proszę to zabrać. Nie mogę patrzeć na jedzenie. Zgodnie z poleceniem księżnej lokaj zignorował prośbę Aleksandry i postawił tacę na stoliku. Wyprostował się i po raz pierwszy, odkąd Aleksandra go poznała, wyglądał niepewnie i niezdecydowanie.

- Nie zamierzam rozsiewać plotek - sztywno zaczął po chwili wahania - ale usłyszałem od Craddock, pokojowej księżnej, że jej wysokość prawie nic nie jadła przez ostatnie pięć dni. Właśnie zanieśli jej tacę do małego pokoju... Być może, gdyby zaproponowała jej pani wspólny posiłek, przekonałaby się do zjedzenia czegoś.

- Ta kobieta nie potrzebuje jedzenia - odpowiedziała gorzko Aleksandra wstając. - Ona nie jest taka jak zwykli śmiertelnicy.

Ramsey aż zeszywniał słysząc taką krytykę swojej chlebodawczyni.

- Jestem z księżną Hawthorne od czterdziestu lat. Moja głęboka troska o nią skłoniła mnie do przyjęcia błędnego mniemania, że i pani, jako nowy członek naszej rodziny, również się o nią troszczy. Proszę o wybaczenie mi tej pomyłki.

Majestatycznie opuścił pokój, zostawiając Aleksandrę ogromnie zdumioną. Ramsey, co właśnie udowodnił, był bardzo przywiązany do księżnej. Aleksandra doskonale знаła stosunek babki swego męża do służby. Dwukrotnie starsza pani udzieliła jej reprimendy za „plotkowanie ze służbą”, chociaż jedynym „plotkowaniem”, jakiego dopuściła się Aleksandra, było zapytanie Ramseya, czy jest żonaty, a pokojówki, czy ma dzieci. Księżna uważała, że Sandy traktowała ich jak odpowiednie do rozmów towarzystwo, co było niedopuszczalne. Mimo to Ramsey naprawdę był do swej pani bardzo przywiązany. Mogło to oznaczać, że za dumą i arogancją księżnej kryło się jednak coś więcej.

Z takiego przypuszczenia wynikało następne i Aleksandra nieco zmieszana spojrzała na tacę, zastanawiając się, czy nie była to przypadkiem „gałązka oliwna”. Nigdy przedtem księżna nie wykazywała żadnej troski o to, czy Aleksandra cokolwiek je, czy też nie. Z drugiej strony, może księżna chciała dać jej wyraźnie do zrozumienia, że powinna wziąć się w garść.

Słowa Ramseya dźwięczały jej w głowie. Pięć dni... księżna nie jadła już od pięciu dni. Aleksandra też nie, ale była młoda, zdrowa i silna. Stosunek Aleksandry do księżnej łagodniał coraz bardziej; zrozumiała, że skoro nie była w stanie jeść, to przejmowała się losem swojego zaginionego wnuka bardziej, niż chciała to okazać.

Sandy z determinacją odgarnęła włosy z czoła i zdecydowała, że tackę z herbatą potraktuje jako dar przyjaźni. Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu nie mogła znieść myśli o nieszczęściu tej starej kobiety.

Przez otwarte drzwi błękitnego salonu Aleksandra zobaczyła księżną, jak siedzi w wysokim fotelu i spogląda nieruchomo w ogień. Nawet w czasie odpoczynku jej sylwetka sprawiała dumne wrażenie. Teraz jednak było w niej coś, co przypomniało Aleksandrze jej matkę tuż po śmierci ojca, zanim przyjechała jego druga żona, a ból zmienił się w nienawiść.

Sandy weszła cicho do pokoju. Księżna zauważyła jej cień i obejrzała się. Równie szybko odwróciła się, ale Aleksandra dostrzegła w jej bladych oczach błysk nieufności.

Delikatnie zwróciła się do księżnej:

- Wasza wysokość?

- Nie po to cię odesłałam, byś przeszkadzała mi tutaj. Po raz pierwszy Aleksandry nie zmylił szorstki ton. Tak samo miękko, jak zwracała się do swojej matki, powiedziała:

- Nie, pani. Wiem, że to nieprawda.

- Odejdź.

Niezrażona Aleksandra brnęła jednak dalej.

- Nie zajmę pani dużo czasu, ale nie mogę odejść nie przeprosiwszy za to, co mówiłam parę minut temu. Było to z mojej strony zaiste niewybaczalne.

- Przeprosiny przyjęte. Teraz idź już.

Ignorując groźne spojrzenie swojej rozmówczyni Aleksandra postąpiła do przodu.

- Pomyślałam, że skoro obie musimy jeść, może łatwiej by nam to przyszło, gdybyśmy wspólnie odbywały posiłki.

W oczach księżnej pojawił się gniew.

- Jeżeli pragniesz towarzystwa, to powinnaś pojechać do swojej matki. Sugerowałam ci to kwadras temu.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie? - ostro spytała księżna.

- Bo muszę być blisko kogoś, kto również go kocha - zduszonym szeptem odrzekła Aleksandra.

Przez mgnienie oka spod pancerza sztywnej godności Aleksandra dojrzała obnażony, nieopisany ból, zanim księżna zdołała się opanować.

Pełna współczucia, które starannie jednak kryła, Aleksandra usiadła naprzeciwko księżnej i uniosła pokrywę jednej z tac. Mimo że na widok jedzenia poczuła bolesny skurcz żołądka, zdołała przywołać na twarz uśmiech.

- Wasza wysokość życzy sobie pierś kurczęcia czy tę wspaniałą wołowinę?

Księżna wahała się, świdrując wzrokiem Aleksandrę.

- Mój wnuk żyje - powiedziała wyzywająco, jakby chcąc, żeby Aleksandra zaprzeczyła.

- Oczywiście, że tak. - Aleksandra wykrzyknęła z głębi serca, świadoma, że gdyby tylko śmiała w to zwątpić, nie miała już czego szukać w tym pokoju. - Wierzę w to całą duszą.

Księżna wpatrywała się w Aleksandrę oceniając jej szczerość, w końcu z wahaniem skinęła głową.

- Sądzę, że mogłabym się skusić na kawałeczek kurczęcia.

Jadły w całkowitej ciszy przerywanej tylko od czasu do czasu trzaskaniem polan w kominku. Księżna odezwała się dopiero, gdy Aleksandra, życząc jej dobrej nocy zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Aleksandro... - po raz pierwszy zwróciła się do niej po imieniu.

- Tak, wasza wysokość?

- Czy ty... - księżna ze świstem wciągnęła powietrze. - Czy ty się modlisz?

Aleksandra poczuła ucisk w gardle, a w oczach zapiekły ją łzy. Zrozumiała, że starszą panią nie interesuje jej religijność, jej pytanie było prośbą o modlitwę.

Z trudem przełykając ślinę pokiwała głową.

- Tak. Bardzo, bardzo mocno - wyszeptwała.

Przez następne trzy dni Aleksandra i księżna spotykały się w błękitnym salonie. Ich zdania były urywane, głosy sztucznie podniesione - dwie obce sobie kobiety, które łączył tylko strach i ból.

Trzeciego dnia po południu Aleksandra zapytała księżną, czy posłała po Anthony'ego, lorda Townsende'a.

- Tak, prosiłam go, by do nas dołączył, ale... - przerwała gdy w drzwiach pojawił się Ramsey. - Tak, Ramsey?

- Przyjechał sir George Bradburn, wasza wysokość. Aleksandra zerwała się na równe nogi, odrzucając w okamgnieniu wszystkie kanony narzucone przez księżną. Jednak gdy

dystyngowany starszy pan wszedł do pokoju i spojrzała na jego wypraną z uczuć twarz, opanował ją strach.

Księżna najwyraźniej czuła to samo; z pobladłą twarzą wolno wstała z fotela opierając się ciężko na lasce, której używała, odkąd przybyły do Grosvenor Square.

- Jakie wiadomości przynosisz, George?

- Nasi detektywi ustalili, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi księcia Hawthorne przebywał w tawernie na nabrzeżu tuż przed północą tego wieczoru, gdy zniknął pani wnuk. Pokażna łapówka odświeżyła pamięć właściciela tawerny. Zeznał jeszcze, że mężczyzna ten był niezwykle wysoki; miał ponad sześć stóp wzrostu i był ubrany jak dżentelmem. Kupił kilka cygar i wyszedł. Tawerna leży dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie zacumowane były „Pomyślne Wiatry” i jesteśmy pewni, że tym mężczyzną był lord Hawthorne.

Bradburn przerwał na chwilę i ze smutkiem w głosie dodał:

- Czy nie wołałyby panie usiąść, zanim przekazę resztę wiadomości?

Ta sugestia sprawiła, że Aleksandra z niemym krzykiem chwyciła oparcie fotela, przy którym stała, kręcąc przecząco głową.

- Proszę mówić dalej - głucho powiedziała księżna.

Dwaj marynarze widzieli z pokładu stojącego obok „Sokoła”, jak wysoki, dobrze ubrany mężczyzna wyszedł z tawerny, a za nim podążyło dwóch ludzi, którzy wyglądali na pospolitych rzezimieszków. Owi marynarze nie przyglądali się zbyt uważnie, poza tym sami trochę przeholowali z winem, ale jeden z nich mówi, że ktoś uderzył wysokiego mężczyznę czymś w głowę. Drugi z marynarzy nie widział, jak to się stało, ale ujrzał potem, jak tych dwóch rzezimieszków ciągnęło dżentelmena, który wyglądał tak, jakby nie mógł iść sam z nadmiaru trunków - wzdłuż brzegu.

- I ci ludzie nie zrobili nic, by mu pomóc!? - wykrzyknęła Aleksandra.

- Żaden z nich nie czuł się na siłach, aby to uczynić, poza tym w dokach każdy jest niestety przyzwyczajony do tego typu scen.

- Jest coś jeszcze, prawda? - księżna wyczekująco wpatrywała się w twarz ministra.

Sir George głęboko odetchnął.

- Wiemy, że tamtej nocy grupy rekrutacyjne były bardzo aktywne. Po dalszym dochodzeniu udało nam się ustalić, że jedna z takich grup miała u siebie mężczyznę o rysopisie księcia Hawthorne'a. Sądzieli, że upił się do nieprzytomności i nie znaleźli przy nim żadnych dokumentów. Odkupili go od dwóch opryszków i dostarczyli na pokład jednego z okrętów wojennych Jego Królewskiej Mości, konkretnie na „Lancastera”.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła z wdzięcznością Aleksandra, a w jej sercu zapanowała błogość. Nie myśląc, co robi, chwyciła chłodną dłoń księżnej i mocno uścisnęła. Ale dalsze słowa Bradburna zgasiły jej radość i strąciły w otchłań rozpacz.

- Cztery dni temu „Lancaster” walczył z francuskim okrętem „Versaille”. Inny z naszych statków „Carlisle” korzystając z osłony mgły płynął, by skryć się w porcie z Amerykanami. Kapitan nie był w stanie ruszyć na pomoc siostrzanemu okrętowi i mógł tylko obserwować całą bitwę przez lunetę. Po bitwie „Versaille” ledwie utrzymywał się na wodzie ...

- A „Lancaster” ? - z obawą wyszeptała Aleksandra. Sir George przełknął ślinę i wyprostował się.

- Mam przykry obowiązek poinformować panie, że „Lancaster” zatonął wraz z całą załogą, wśród której bez wątpienia znajdował się książę Hawthorne.

Pokój zawirował. Czując, że w piersiach narasta jej straszny krzyk, Sandy zdławiła go zakrywając usta dłonią i popatrzyła na nagle zmartwiałą księżną. Starsza pani słaniała się i Aleksandra odruchowo wyciągnęła ramiona, by ją pochwycić, po czym zaczęła ją tulić kołysząc jak niemowlę. Jej ciałem wstrząsał szloch, gdy szeptała bezsensowne pocieszenia, a po jej policzkach nieustannie płynęły łzy.

ROZDZIAŁ 13

Koszmary nie dawały Aleksandrze spokoju aż do rana, gdy wreszcie obudziła się zlaną zimnym potem. Starła się wyrzucić z pamięci sen, w którym stała na dziedzińcu kościoła, a wokół niej wirowały tysiące nagrobków; a na każdym z nich wyryte było nazwisko jej męża, ojca lub dziadka.

Powieki ciążyły jej, jakby były z ołowiu, siłą zmusiła się, by je otworzyć i natychmiast tego pożałowała. Głowę rozsadzał jej potworny ból, a słońce wpadające przez okno boleśnie raniło oczy. Mrużąc powieki odwróciła głowę od okna. Jej wzrok spoczął na szczupłej kobiecie ubranej w schludną czarną suknię, biały fartuszek i takiż czepeczek, która drzemała w fotelu obok łóżka. To pokojówka - uświadomiła sobie mgliście Aleksandra.

- Co tutaj robisz? - z trudem rozpoznała swój własny głos. Pokojówka spała dalej lekko pochrapując. Aleksandra opuściła głowę na poduszkę. Błądziła wzrokiem po pokoju, aż zauważyła, że na stolyczku obok łóżka stoi buteleczka i łyżeczka.

- Co to jest? - wyszeptwała, tym razem głośniejszym głosem. Służąca ocknęła się, a kiedy zobaczyła, że Aleksandra już nie śpi, wyskoczyła z fotela.

- Laudanum, psze pani, a dochtor powiedział, że ma pani jeść zawsze, jak się pani obudzi. Polecę zara po tacę i biegiem wracam z jedzeniem.

Zbyt śpiąca, aby zareagować, Aleksandra pozwoliła powiekom opaść. Kiedy znów się ocknęła, obok łóżka stała taca, a słońce przebyło już spory kawałek nieba. Aleksandra, teraz już trochę wypoczęta, skonstatowała ze zdziwieniem, że było już popołudnie.

Pokojówka tym razem nie spała, za to intensywnie się w nią wpatrywała.

- O mój Boże, spała pani jak martwa! - wybuchnęła i natychmiast zakryła usta dłonią, a jej oczy rozszerzył strach.

Sandy spojrzała na nią ze zdziwieniem i usiadła, tak aby pokojówka mogła postawić jej tacę na kolanach. Na tacy, oprócz jedzenia, leżała czerwona róża i „Times” złożony na pół.

- Dlaczego podawano mi laudanum? - zapytała Aleksandra zdenerwowana swoją nieborną mową i niemożnością koncentracji.

- Dochtor tak kazał.

Aleksandra prychnęła zdziwiona, a potem odruchowo zadała pytanie, jakie zadawała zawsze, odkąd tu przyjechali.

- Czy był sir George...? - urwała oślepiona wybuchem bólu i nagłym nawrotem pamięci. Jej głowa pulsowała, a przez jej mózg przelatowały urywki zdań „Mam smutny

obowiązek poinformować, że nikt nie przeżył”... „Szybko, doktora”... „Władze z przykrością informują”... „Ramsey, połóż ją do łóżka”...

- Nie! - wykrzyknęła Aleksandra, ale na jej kolanach leżał „Times”. Wpatrywała się w grube litery na pierwszej stronie.

- Co się stało, psze pani? Co ja złego powiedziałam? - pytała przerażona pokojówka, gapiąc się na niezrozumiałe słowa.

Za to Aleksandra rozumiała je aż za dobrze. Mówiły, że Jordan Addison Matthew Townsende, dwunasty książę Hawthorne, markiz Landsdowne, lord Marlow, baron Richfield, nie żyje.

Głowa opadła jej na poduszki. Zamknęła oczy, obojętna na wszystko poza cierpieniem.

- Panienko... wasza wysokość, nie chciałam pani zdenerwować - wyszeptała służąca załamując ręce. - Sprowadzę doctora. Jej wysokość też jest w łóżku, taka chora, że docthor powiedział, że jej nie zostawi...

Ostatnie słowa przebiły się do Aleksandry.

- Zaraz do niej pójde - powiedziała pokojówce.

- Nie, nie, wasza wysokość. Pani sama jest chora, chodzenie nie przyniesie nic dobrego. Craddock powiedziała panu Ramseyowi, że jej wysokość nic nie mówi, nie może. Nikogo nie poznaje i tylko się patrzy...

Alarm w jej mózgu był silniejszy od własnej rozpacz i mimo protestów służącej Aleksandra wstała i przytrzymując się łóżka włożyła szlafrok.

W odpowiedzi na jej pukanie do sypialni księżnej, w drzwiach pojawił się lekarz. Kiedy zobaczył Aleksandrę, wyszedł na korytarz.

- Jak ona się czuje? - z troską spytała Aleksandra. Lekarz potrząsnął głową.

- Źle, bardzo źle. Nie jest już młoda, a przeżyła ogromny wstrząs. Nic nie je i nic nie mówi. Po prostu leży i patrzy w przestrzeń.

Aleksandra pokiwała głową, przypominając sobie, jak zachowywała się jej matka, gdy krótko po śmierci ojca pojawiła się jego kochanka. Ona również leżała w łóżku nic nie jedząc i nie mówiąc. A kiedy w końcu przezwyciężyła ten letarg, już nigdy nie była sobą. Cały żal i gorycz pozostały w środku, tocząc jej serce i umysł.

- Czy płakała? - spytała Aleksandra wiedząc, że najgorzej jest dławić ból w sobie.

- Ależ oczywiście, że nie! Dama o jej urodzeniu i pozycji nie folguje sobie płaczem. Zarówno Craddock jak i ja powtarzaliśmy jej wiele razy, że musi być silna i z ufnością patrzeć na życie. W końcu, ma jeszcze jednego wnuka, tak więc tytuł rodowy nie przepadnie.

Zdanie Aleksandry o medykach, które skądinąd nigdy nie było wysokie, jeszcze bardziej się pogorszyło, kiedy patrzyła na nadętego bufona przed sobą.

- Jeśli pan pozwoli, chciałabym ją zobaczyć.

- Proszę spróbować ją rozweselić - poradził, nie dostrzegając w głosie Aleksandry pogardy. - I broń Boże nie wspominać o księciu Hawthornie.

Aleksandra cicho weszła do zaciemnionego pokoju. Jej serce ścisnął ból, gdy spojrzała na tę tak dumną i dostojną kobietę, która leżała ciężko wsparta na poduszkach; wyglądała jak swój własny cień. Pod koroną siwych włosów widać było bladą jak kreda twarz, z oczami tak podkrążonymi, że przypominały dwie czarne studnie. Żaden, nawet najdrobniejszy błysk nie pojawił się w nich, gdy Aleksandra podeszła do łóżka i usiadła na jego skraju.

Przeżrana chwyciła leżącą bezwładnie na łóżku białą, błękitno pożyłkowaną dłoń.

- Ależ, wasza wysokość, tak nie można - wyszeptła żarliwie pełnym współczucia głosem. - Tak nie można, Jordan by tego nie zniósł.

Nadal nie było żadnej reakcji i Aleksandra w desperacji ścisnęła dłoń księżnej.

- Czy nie zdaje sobie pani sprawy, jak dumny był z pani siły i ducha? Wiem, że tak było, bo bardzo się tym chełpił.

W wyblakłych błękitnych oczach nie pojawiała się żadna oznaka życia. Niepewna, czy księżna jej nie słyszała, czy nie uwierzyła, czy po prostu nie dbała o to, Aleksandra podwoiła wysiłki, by dotrzeć do chorej.

- To prawda. Pamiętam dokładnie, kiedy to było. Po naszym ślubie szykowaliśmy się do wyjazdu z Rosemeade, zapytał wtedy, gdzie pani jest. Odparłam, że prawdopodobnie na górze i że pewnie nie dojdzie już pani do siebie przez nasze małżeństwo. Kiedy to powiedziałam, uśmiechnął się, wie pani, tym swoim uśmiechem, który powoduje, że natychmiast chce się również uśmiechnąć. I wie pani, co powiedział?

Księżna nawet nie drgnęła..

- Powiedział - nie rezygnowała Sandy - że potrzeba czegoś o niebo gorszego niż to małżeństwo, żeby panią złamać. Że nawet gdyby przyszło pani stawić czoło Napoleonowi, to po chwili błagałby o wybaczenie i przeproszał, że był tak niegrzeczny i wypowiedział nam wojnę. Dokładnie tak powiedział ...

Leżąc nieruchomo stara kobieta zamknęła oczy, a serce Aleksandry na chwilę zamarło. Dwie łzy wolno potoczyły się po zwiędłych policzkach księżnej. Wiedząc, że to dobry znak, Sandy ciągnęła więc dalej.

- Zawsze mówił, że jest pani silna i odważna. Także lojalna. Powiedział kiedyś coś takiego, z czego wynikało, że jest pani jedyną kobietą zdolną do lojalności.

Księżna otworzyła oczy, a kiedy spojrzała na Aleksandrę, było w nich niedowierzenie, ale i niema prośba.

Aleksandra chciała przekonywać starszą kobietę jeszcze mocniej, ale sama zaczynała tracić panowanie nad sobą i było jej coraz trudniej mówić.

- To prawda. Powiedział, że jest pani tak lojalna, że nawet jeśli nie pochwała pani tego małżeństwa, będzie pani walczyć z każdym, kto mnie skrytykuje - tylko dlatego, że noszę jego nazwisko.

Łzy toczyły się coraz szybciej, spływając po palcach Aleksandry. Po dłuższym milczeniu księżna ciężko przełknęła i spojrzała Aleksandrze w oczy. Wreszcie złamanym głosem spytała:

- Naprawdę tak powiedział... to o Napoleonie? Aleksandra pokiwała głową skwapliwie i spróbowała się uśmiechnąć, ale następne słowa księżnej wywołały łzy u niej samej.

- Kochałam go bardziej nawet od moich synów.

Objęła płaczącą dziewczynę, która tak bardzo pragnęła ją pocieszyć, i przyciągnęła ją do siebie.

- Aleksandro, ja... nigdy nie powiedziałam mu, że go kocham. A teraz jest już za późno.

Przez resztę dnia i przez cały następny Aleksandra pozostała przy księżnej. Teraz, gdy tama bólu została zerwana, starsza pani bez przerwy mówiła o Jordanie.

* * *

Następnego wieczoru, około ósmej, Sandy zostawiła drzemiącą księżną i przeszła do błękitnego salonu, nie chcąc sama pozostawać w izolacji swojej sypialni. Starając się zagłuszyć ból, sięgnęła po książkę.

W drzwiach pojawił się Ramsey i ogłosił przybycie gościa.

- Jego wysokość, książę Hawthorne.

Aleksandrze wyrwał się krzyk radości i podbiegła do drzwi. Ramsey odszedł od drzwi i do salonu wszedł książę Hawthorne, a Aleksandra poczuła się jak martwa. Podchodził do niej Anthony Townsende. Teraz on był księciem Hawthorne.

Piersi Aleksandry wypełniła dzika, nieracjonalna furia. Jak ten człowiek śmiał używać tytułu Jordana po tak nieprzyzwoicie krótkim czasie? Anthony Townsende skorzystał po prostu z tej tragedii, pewnie nawet się z niej cieszył.

Anthony zatrzymał się w pół kroku i smutno patrzył na gniewną twarz Sandy.

- Mylisz się - wyszeptał smutno. - Dałbym wszystko, żeby to on wszedł teraz do pokoju. Gdybym wiedział, że Ramsey zaanonsuje mnie w ten sposób, zabroniłbym mu.

W jego głosie brzmiała taka rozpacz, a oczy wyrażały tak bezmierny żal, że gniew Aleksandry stopniał. Była zbyt uczciwa, by zaprzeczyć jego słowom, więc powiedziała po prostu:

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość.

- Tony - poprawił przyjacielsko ściskając jej dłoń. - Jak się czuje moja babka?

- Teraz śpi, ale z każdym dniem jest coraz lepiej.

- Ramsey mi mówił, jak wielką pomocą i pocieszycielką jesteś dla niej. Dziękuję ci za to.

- Jest bardzo dzielna. I dba o siebie.

- A ty? - zapytał nalewając sherry do kieliszka. - Czy ty o siebie dbasz? Wyglądasz strasznie.

W jej oczach na chwilę zabłysł dawny humor.

- Wasza wysokość ma krótką pamięć. Mój wygląd zawsze był nie lepszy niż „do przyjęcia”.

- Tony - znów ją poprawił. Milcząc wpatrywał się w płonący na kominku ogień.

- Twoja babka nie życzy sobie jechać do Londynu i przyjmować setek nieszczerych kondolencji - zaczęła Aleksandra po paru minutach. - Chce skromnego pogrzebu, po którym od razu powróci do Rosemeade.

Słyszac nazwę Rosemeade Anthony potrząsnął głową.

- Nie powinna zamykać się tam jak w samotni, a ja nie będę mógł jej towarzyszyć dłużej niż przez okres żałoby. Hawthorne - siedziba Jordana - to przeogromna posiadłość z tysiącem służby, którą trzeba będzie pokierować. Staralem się właściwie pokierować wszystkimi jego inwestycjami i zapoznać się z prowadzeniem posiadłości. Będę nalegał, by babka pojechała ze mną do Hawthorne i tam pozostała.

- Tak byłoby dla niej lepiej - zgodziła się Aleksandra. Aby uspokoić go co do swoich planów, dodała, że zamierza wrócić do domu po pogrzebie.

- Moja matka miała zamiar rozpocząć podróże i zabawy zaraz po moim ślubie - wyjaśniła. - Obiecała do mnie pisać z każdego miejsca, w którym się zatrzyma. Jeśli byłbyś miły, aby kazać odsyłać te listy do mnie do domu, to napiszę jej, że mój mąż nie... - próbowała powiedzieć „nie żyje”, ale nie mogła. Nie mogła uwierzyć, że ten wspaniały, pełen życia mężczyzna jest martwy.

Następnego ranka z wyrazem determinacji na twarzy i Ramseyem deptającym jej po piętach księżna weszła do żółtego salonu, gdzie Anthony czytał gazetę, a Aleksandra patrzyła w przestrzeń nieobecny wzrokiem.

Wzrok księżnej złagodniał, gdy patrzyła na tę dzielną dziewczynę z zapadniętymi policzkami, która wyciągnęła ją z otchłani żalu, mimo że sama się w nim pogрузyła. Potem raptownie wyraz jej oczu zmienił się, gdy przeniosła spojrzenie na Henryka próbującego złapać swój własny ogon i miętoszącego żałobną suknię Aleksandry.

- Spokój - rzuciła szybką komendę.

Aleksandra wzdrygnęła się, Anthony podskoczył, a Henryk tylko radośnie pomachał ogonem i nie spieszony kontynuował zabawę. Wytracona z równowagi tak jawnym przejawem niesubordynacji, starsza pani próbowała zahipnotyzować szczeniaka wzrokiem, a gdy i to nie przyniosło efektów, odwróciła się do lokaja.

- Ramsey, dopilnuj, aby wyprowadzono to żalosne stworzenie na długi, wyczerpujący spacer.

- Tak, wasza wysokość. Już idę.

Stary lokaj uklonił się z twarzą pozbawioną emocji. Schylił się i chwycił szczeniaka za kark drugą ręką przytrzymując go za brzuszek i niósł jak najdalej od siebie.

- Aleksandro - zaczęła księżna energicznie i Sandy szybko stłumiła uśmiech. - Anthony powiedział, że zamierzasz wrócić do domu.

- Tak, chciałabym odjechać już jutro, po ceremonii pogrzebowej.

- Nic podobnego. Będziesz towarzyszyć mi i Anthony'emu do Hawthorne.

Aleksandrę przerażał projekt powrotu do dawnego życia, jak gdyby Jordana nigdy nie było. Jednak w swych planach w ogóle nie brała pod uwagę zamieszkania w Hawthorne.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś księżną Hawthorne i twoje miejsce jest przy rodzinie męża.

Sandy wahała się przez chwilę, a potem pokręciła przecząco głową.

- Nie, moje miejsce jest w domu.

- Bzdura! - dziarsko wykrzyknęła księżna, a Aleksandra nie mogła powstrzymać uśmiechu widząc jej dawne wyniosłe maniery. Była to dobra oznaka powrotu do zdrowia.

- W dniu, w którym poślubiłaś Jordana, powierzył mi twoją edukację, żebyś mogła zająć należne ci miejsce w towarzystwie. Chociaż mojego wnuka nie ma już między nami, mam nadzieję, że okażę się teraz wystarczająco lojalna, aby zadośćuczynić jego życzeniom.

Specjalnie podkreślone słowo „lojalna” przypomniało Aleksandrze - i taki był zamiar starszej damy - że nie tak dawno ona sama powiedziała księżnej, że tę cechę Jordan cenił

wyjątkowo. Aleksandra wahała się, gnębiona poczuciem winy, odpowiedzialnością i chęcią ułożenia sobie życia, niepewna, czy powinna spróbować żyć w Hawthorne z dala od wszystkich i wszystkiego, co znała i kochała. Księżna walczyła z własnym bólem, nie mogła więc pomóc Aleksandrze w zmaganiu się z jej własnym. Z drugiej strony, Aleksandra nie była wcale pewna, czy zdoła znieść to cierpienie w samotności, tak jak wtedy, gdy umarł jej dziadek, a potem ojciec.

- Jest to bardzo uprzejma propozycja z pani strony, ale obawiam się, że nie mogę jej przyjąć - odpowiedziała po dłuższym zastanowieniu. - Teraz, gdy moja matka wyjechała, mam zobowiązania wobec innych, które stoją na pierwszym miejscu.

- Jakie zobowiązania? - władczo zapytała księżna.

- Penrose i Filbert. Skoro zabrakło mojej matki, nie ma się kto nimi zaopiekować. Zamierzałam poprosić mojego męża, by znalazł dla nich kącik w swoim domu, ale teraz...

- Kto to są Penrose i Filbert? - przerwała księżna niecierpliwie.

- Penrose to nasz lokaj, a Filbert... był ostatnio odźwiernym...

- Do tej pory żyłam w przekonaniu, że to służba ma za zadanie zajmować się swoimi chlebobawcami, a nie odwrotnie. Jednakże cieszy mnie twoje poczucie odpowiedzialności. Możesz zabrać ich do Hawthorne - wspaniałomyślnie zezwoliła księżna. - Zawsze przyda się dodatkowy służący lub dwóch.

- Oni są bardzo starzy - szybko wtrąciła Aleksandra. - Nie mogą już ciężko pracować, ale są bardzo dumni i chcą czuć się niezbedni. Muszę przyznać, że sama pielęgnowałam w nich to złudzenie.

- Ja również zawsze uważałam za mój chrześcijański obowiązek pozwalanie starym służącym pracować tak długo, jak chcieli i byli w stanie - dzielnie kłamała księżna posyłając miażdżące spojrzenie swemu nie dowierzającemu wnukowi. Przemiana Aleksandry w młodą, światową damę była zadaniem do wykonania, jej wyzwaniem, obowiązkiem, celem. Nie chciała się przyznać nawet przed samą sobą, że ta dzielna dziewczyna z cygańskimi lokami na stałe zajęła miejsce w jej sercu i nie bardzo miała ochotę się z nią pożegnać.

- Nie sądzę... - zaczęła Aleksandra.

Wyczuwając, że dziewczyna znów chce odmówić, księżna zaapelowała raz jeszcze.

- Jesteś teraz członkiem rodziny Townsende'ów i twoje miejsce jest wśród nas. Co więcej, twoim świętym obowiązkiem jest wypełnić życzenie męża, aby stać się godną jego nazwiska.

Gdy do Aleksandry dotarły ostatnie słowa, jej opór został przełamany. Uświadomiła sobie z dumą i radością, że faktycznie - nazywała się teraz Townsende, nie Lawrence.

Straciwszy jego, nie straciła wszystkiego, przekazał jej swoje nazwisko! W zamian za to przyrzekła przecież, co przypomniała sobie teraz z bolesnym ukłuciem nostalgii, że nie zhańbi jego nazwiska i będzie mu posłuszna. Jednym z jego życzeń było najwyraźniej, by stała się damą godną jego nazwiska i zajęła należną pozycję w towarzystwie.

- Będzie tak, jak sobie życzył - powiedziała cicho.

- Doskonale - odetchnęła księżna.

Kiedy Aleksandra opuściła pokój, by się spakować, Anthony odchylił się na krześle i ze zdumieniem przyglądał się swojej babce. Czując jego wzrok na sobie, staruszka wyprostowała się i wzrokiem próbowała wytrącić go z równowagi. Ale to nie zadziało.

- Powiedz mi - zaczął głosem, w którym dźwięczał śmiech - kiedy to rozwinęło się w tobie pragnienie zatrudniania starych służących?

- Kiedy okazało się, że jest to jedynym sposobem na zatrzymanie Aleksandry - odparła bez cienia konsternacji. - Nie pozwolę temu dziecku pogrążyć się w jakiejś zapomnianej przez Boga wiosce, gdzie przez resztę życia będzie nosiła żałobę. Ona ma zaledwie osiemnaście lat.

ROZDZIAŁ 14

Do Hawthorne, od dwunastu pokoleń rodowej siedziby rodziny Townsende'ów, należało 50 tysięcy akrów lasów, parków, wzgórz i pól uprawnych. Żelazna brama z herbem Hawthorne'ów strzegła wjazdu na teren posiadłości. Zawsze ilekroć zajeżdżały przed posiadłość eleganckie powozy, z kamiennej budki wychodził odźwierny w liberii i rozchyłał ciężkie wrota, aby wpuścić podróżnych.

Siedząc obok księżnej Aleksandra wyglądała przez okna, podczas gdy powóz wolno sunął wysypaną żwirem aleją wśród zielonych aksamitnych trawników.

Olbrzymie drzewa rosły po obu stronach drogi rozpościerając nad powozami swoje gałęzie jak olbrzymie, zielone parasole. Choć teraz posiadłość stanowiła własność Anthony'ego, Aleksandra myślała o niej, jakby wciąż należała do Jordana. Tutaj był jego dom, to tu się urodził i dorastał. Gdyby dano jej tę szansę, to tutaj poznałaby wreszcie prawdę o nim. Na razie, przez sam fakt przebywania tutaj, czuła jego bliskość.

- Hawthorne jest piękniejsze, niż można sobie wyobrazić - szczerze wyznała.

Słyszając jej zachwyt, Anthony uśmiechnął się.

- Poczekaj, aż zobaczysz dom. - Z tonu jego głosu Aleksandra domyśliła się, że musi być naprawdę niezwykły. Ale nawet przygotowana w ten sposób nie mogła powstrzymać okrzyku, gdy powóz zajechał przed zabudowania. Przed nią rozpościerała się w całym swym splendorze olbrzymia, dwupiętrowa i przeszło dwustupokojowa posiadłość, zbudowana z kamienia i szkła, a za nią widać było soczyste zielone wzgórza poprzecinane błękitnymi wstęgami strumieni. Obok błyszczał krystalicznie czysty staw z majestatycznymi łabędziami. Nad parkiem i wodą górował biały grecki pawilon ze smukłymi kolumnami.

- To wykracza poza pojęcie piękna - wyszeptała Aleksandra. - To wykracza poza jakiegokolwiek pojęcie...

Na schodach wiodących do drzwi czekało na nich sześcioro służących. Aleksandra miała poczucie, że jest niewychowana, gdy za przykładem księżnej minęła ich, jakby byli niewidzialni.

Służący, który przedstawił się jako główny lokaj i zarządca służby, szeroko otworzył główne drzwi. Księżna rzuciła, że nazywa się on Higgins, i Aleksandra podążyła za nią przez hall.

Rzeźbione, marmurowe schody wiodły na pierwsze piętro i dalej przez galerię na drugie. Wspięły się po nich obie i Aleksandra ujrzała szereg pokoi w różnych odcieniach różu.

Kiedy pokojówka zostawiła je same, księżna zwróciła się do Sandy.

- Czy chcesz odpocząć? Wczorajszy dzień był wyczerpujący dla nas obu.

Dla Aleksandry wczorajszy symboliczny pogrzeb Jordana był jednym pasmem udręki - ponury nastrój stworzony przez setki twarzy gapiących się na nią ciekawie i wcale niewspółczująco. Stała milcząc obok księżnej, u której drugiego boku stał Anthony ze swoją matką i chromym bratem. Pół godziny temu odjechali do dawnego domu Anthony'ego. Aleksandra bardzo polubiła obu braci i cieszyła się, że będą w pobliżu.

- Wolalabym zobaczyć jego pokój. Byłam żoną Jordana, a nie miałam szansy poznać go naprawdę. Tutaj mieszkał, gdy dorastał i do chwili, gdy się poznaliśmy.

W gardle uczuła znajomy ucisk i z trudem utrzymując równowagę dokończyła:

- Chciałabym go odnaleźć, poznać... a tutaj mam na to szansę. Między innymi dlatego zgodziłam się tu przyjechać.

W jej głosie brzmiała taka czułość, że księżna uniosła swoją dłoń, aby pogłodzić ją po bladym policzku, po czym przywołała się do porządku i rzekła z żartobliwą szorstkością:

- Przywołałam już Gibbonsa, naszego zarządcę, aby cię zaprowadził.

Gibbons, zasuszony starszy mężczyzna, pojawił się parę minut później i zaprowadził Aleksandrę do, jak je nazywał, „komnat jaśnie pana”. Były to wspaniałe pokoje na drugim piętrze z jedną ścianą ze zdobionego szkła od podłogi po sufit, przez którą roztaczał się wspaniały widok na posiadłość.

Zaraz po wejściu do pokoju Aleksandra poczuła tak dobrze znany, oszałamiający zapach wody toaletowej Jordana, ten sam, który czuła zasypiając w jego ramionach. Świadomość jego śmierci wypełniła bólem każdą komórkę jej ciała, ale mimo to czuła się lepiej będąc tutaj niż gdziekolwiek indziej. Jej nagłe, czterodniowe małżeństwo z przystojnym nieznajomym tutaj dopiero nabierało realności.

Obracała się, chłonąc wzrokiem każdy cal tego pokoju, od wspaniałych tynków na wysokim suficie do błękitno - złotych perskich dywanów pod stopami. Na przeciwległych ścianach ogromnego pokoju stały zrobione z różowego marmuru kominki. Ich wnętrza były jak jaskinie, w których bez trudu mogłaby się wyprostować.

- Chciałabym się rozejrzeć - wyjaśniła służącemu nabożnym szeptem, jak gdyby znajdowała się w jakimś szczególnie uświęconym miejscu, zresztą tak właśnie się czuła. Podeszła do toaletki z drzewa różanego, pogłodziła dłonią szczotki z czarnego onyksu, które

czekały, jakby lada chwila miała je znów ująć dłoń właściciela. Stała na palcach starając się przejrzeć w lustrze. Było zawieszone na wysokości odpowiedniej dla wzrostu właściciela i nawet wspinając się na czubki palców widziała tylko swoje czoło i oczy.

Był taki wysoki - pomyślała ze smutną czułością.

Z sypialni były wejścia do dalszych trzech pokoi. Pierwsze drzwi prowadziły do garderoby, a drugie do gabinetu. Ściany w gabinecie były zakryte półkami pełnymi książek, a przy nich stały obite miękką skórą fotele. Trzeci pokój wprowadził Aleksandrę w szczerze zdumienie. Była to półkolista sala, ze ścianami z czarnego marmuru zdobionego złotem, z ogromną okrągłą niecką pośrodku.

- A cóż to jest, na Boga? - nie próbowała nawet ukryć swej niewiedzy Aleksandra.

- Łazienka, wasza wysokość - z ukłonem odpowiedział służący.

- Łazienka? - z niewiarą powtórzyła Aleksandra patrząc na płataninę dziwnych błyszczących rurek, o zupełnie niezrozumiałym dla niej przeznaczeniu.

- Pan Jordan wierzył w nowoczesność, wasza wysokość - dodał wyjaśniająco służący i Aleksandra, aż się odwróciła słysząc dumę i uwielbienie w jego głosie.

- Wolalabym, aby nazywano mnie po prostu panną Aleksandrą - zaproponowała z ciepłym uśmiechem. Wyglądał na tak przerażonego, że ustąpiła. - Dobrze, niech będzie pani Aleksandra. Czy dobrze znałeś mojego męża?

- Lepiej niż kto inny ze służby. Chyba tylko Smarth, główny stajenny. - Widząc, że ma w Aleksandrze wdzięcznego słuchacza Gibbons zaoferował się, że oprowadzi ją po domu i pobliskich gruntach. Wędrówka zajęła im trzy godziny, obejmowała zwiedzanie ulubionych miejsc Jordana z dzieciństwa, zaznajomienie się ze stajennym Smarthem, który zaoferował się opowiedzieć o Jordanie w każdej chwili, gdy tylko młoda pani zejdzie do stajni.

Późnym popołudniem zakończyli wycieczkę, ale przedtem Gibbons pokazał jej dwa miejsca, z których jedno natychmiast stało się jej ulubionym. Była to długa galeria, na której ścianach wisiały w identycznych połączonych ramach portrety poprzednich jedenastu książąt Hawthorne. Poniżej wisiały portrety ich żon i dzieci.

Aleksandra przyjrzała się dokładnie wszystkim obrazom.

- Mój mąż był najprzystojniejszy z nich wszystkich.

- Pan Higgins i ja wiele razy mówiliśmy sobie to samo. Słyszałem, jak mówił paniczowi Anthony'emu, że ma ważniejsze rzeczy do roboty niż stać i wyglądać ważnie jak nadęta purchawka. - Kiwnął w stronę dwóch obrazów. - Jest tutaj, na tym jako mały chłopiec, a na tamtym jak miał szesnaście lat. Jego ojciec nalegał na ten drugi obraz i panicz Jordan był o to wściekły jak sam diabeł.

Aleksandra z ciepłym uśmiechem patrzyła na chłopca o czarnych kędziorach, który sztywno stał obok pięknej jasnowłosej damy o chłodnych zielonych oczach. Siedziała na wspaniałym, podobnym do tronu fotelu z czerwonego aksamitu, a u jej drugiego boku wspierał się o fotel postawny mężczyzna o minie tak dumnej, że Aleksandra jeszcze nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

Ostatnim miejscem, które pokazał jej Gibbons, był mały, zakurzony pokój na trzecim piętrze, do którego dawno już nikt nie zaglądał. Stały tam trzy małe stoliki, a naprzeciw, na podwyższeniu jeden wielki.

- A to pokój do nauki. Młody panicz Jordan spędził więcej czasu starając się stąd wymknąć, niż na nauce. Bliżej znał różgę pana Rigly'ego niż jego mądrości. Ale i tak nauczył się tego, co trza. Bystry był, jak nie wiem co.

Aleksandra błędniała wzrokiem po tym surowym, małym pokoju, aż zatrzymała spojrzenie na biurku tuż obok niej. Wryte były na nim inicjały J.A.M.T. - inicjały Jordana. Pogładziła je czule, nadal rozglądając się wokół z mieszaniną czułości i bólu. Jakże niepodobne do tej nauki były jej zabawne, nie uporządkowane lekcje z dziadkiem, kiedy to radośnie chłoneła wiedzę. Nauczyciel powinien dawać uczucie, a nie różgi.

Kiedy wreszcie rozstała się ze służącym, poszła jeszcze na chwilę do galerii, aby spojrzeć na szesnastoletniego Jordana. Patrząc na jego portret uroczyście wyszeptwała:

- Będziesz ze mnie dumny najdroższy, przyrzekam ci to.

* * *

Przez następne dni Aleksandra bez wytchnienia dążyła do tego celu, z całą swoją determinacją i wolą. Zapamiętywała całe strony podręcznika najlepszych manier Debretta i przedzierała się przez natłok zasad, konwenansów i dobrego zachowania, jakie wpajała jej księżna. Jej pilność zyskała uznanie księżnej podobnie jak zachowanie Aleksandry - z dwoma znaczącymi wyjątkami, za które zresztą w tydzień po przyjeździe do Hawthorne Anthony trafił do pokoju księżnej na dywanik.

- Aleksandra zniża się do poziomu służby - zaczęła księżna grobowym tonem. - Do tej pory rozmawiała z Gibbonsem i Smarthem więcej niż ja przez czterdzieści lat.

Anthony uniósł brwi.

- Ona traktuje służbę jak rodzinę. Powinnaś się tego spodziewać po tym, jak prosiła, aby jej dwaj służący mogli tu przyjechać. To nieszkodliwy nawyk.

- Poczekaj, aż zobaczysz Filberta i Penrose'a. Wtedy na pewno nie użyjesz słowa „nieszkodliwi”.

Anthony przypomniał sobie, że Aleksandra mówiła, że obaj są już bardzo starzy.

- Oni są...

- Ślepi i głusi - wpadła mu w słowo księżna. - Jeden z nich nic nie słyszy, chyba że mu się wrzaśnie do ucha, a drugi wpada na drzwi i wchodzi do szafy! Niezależnie od uczuć Aleksandry będziemy musieli trzymać ich z daleka podczas przyjmowania gości. Nie możemy pozwolić sobie na nieprzewidziane atrakcje w postaci służby objijającej się o wszystko i przyzywanej głosem, który obala mury.

Anthony wyglądał raczej na rozbawionego niż zaniepokojonego, więc jego babka wyciągnęła kolejną strzałę.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym, abyś zaprzestał porannego fechtunku z Aleksandrą. Jest całkowicie niedopuszczalne, żeby młoda dama robiła takie rzeczy, poza tym to wymaga noszenia bry... bryczesów!

Anthony nie podzielał jej zdania jeszcze bardziej niż w przypadku bratania się ze służbą.

- Przez litość dla mnie i dla dobra Aleksandry mam nadzieję, że jej tego nie zabronisz. Jest to zupełnie nieszkodliwe i bardzo to lubi. Mówi, że dzięki temu utrzymuje dobrą kondycję.

- A przez litość dla ciebie... ? Anthony uśmiechnął się.

- Jest wspaniałym przeciwnikiem i dzięki tym walkom jestem w najwyższej formie. Jordan i ja uważaliśmy się za najlepszych szermierzy w Anglii, a z nią muszę się naprawdę starać, a i tak połowę walk przegrywam.

Kiedy wnuk wyszedł, księżna spoglądała przez chwilę zamyślona na puste krzesło. Bardzo dobrze zdawała sobie sprawę z tego, dlaczego wezwała Anthony'ego zamiast porozmawiać bezpośrednio z Aleksandrą. Nie mogła gasić radosnego ducha Aleksandry, nie teraz, gdy wiedziała, jaki wysiłek wkłada w to, by być radosną. Przez tydzień jej ciepły uśmiech i dźwięczny śmiech rozjaśniły atmosferę w Hawthorne. A księżna wiedziała, że Aleksandra nie śmieje się dlatego, że jest wesoła, ale po to, by podnieść wszystkich - i siebie samą - na duchu. Ta młoda dziewczyna stanowiła niezwykłą kombinację łagodności, determinacji i odwagi.

Nieświadoma trosk, o jakie przyprawiała księżną, Aleksandra przystosowywała się do sztywnej rutyny życia w książęcej posiadłości. Wiosna powoli przeradzała się w lato, a ona nadal pilnie studiowała podręczniki dobrych manier, wolny czas spędzając na wędrówkach i często zaglądając do stajni, gdzie Smarth opowiadał jej mnóstwo wspaniałych historyjek z dzieciństwa i wczesnej młodości Jordana. Podobnie jak Gibbons był bez reszty oddany

paniczowi Jordanowi i w krótkim czasie czarująca dziewczyna, którą panicz Jordan poślubił, całkowicie go podbiła.

Aleksandra była bardzo zajęta, ale cały czas pamiętała o Jordanie. Miesiąc po jego śmierci, na jej prośbę przygotowano małą marmurową płytę z jego imieniem i nazwiskiem oraz datami urodzin i śmierci. Nie ustawiono jej, jak to było w zwyczaju, na cmentarzu rodzinnym, ale w dalekim zakątku nad jeziorem, tam gdzie zaczynał się las, przy pawilonie.

Aleksandrze takie usytuowanie wydawało się bardzo piękne, zwłaszcza w porównaniu z samotnym cmentarzem poza wzgórzem za domem. Ale gdy już ustawiono płytę, czegoś jej brakowało. Od ogrodnika wzięła bulwy kwiatów i posadziła je między drzewami. Co kilka dni wracała do niego po więcej. Dopiero gdy dzieło było skończone, zrozumiała, że podświadomie starała się odtworzyć polanę, na której Jordan powiedział, że wygląda jak portret Gainsborougha.

Pokochała to miejsce i spędzała wiele szczęśliwych godzin siedząc w pawilonie i przypominając sobie każdą chwilę, jaką spędzili razem.

Samotnie rozczułała się nad każdym gestem Jordana - od kupna szczeniaka, którego nie chciał, aż do ślubu, który zawarł, by uchronić ją od ruiny. Najczęściej przywoływała jego głodne, intensywne pocałunki. Z udręką wspominała dotyk jego czułych, błędzących rąk. Kiedy starała się przypomnieć sobie ich rzeczywiste pocałunki, coraz bardziej je koloryzowała - wspaniałe pieszczoty, które kończyły się tym, że Jordan klękał przed nią i trzymając dłoń na sercu wyznawał jej miłość. Im dłużej wspominała ich wspólne chwile, tym bardziej pewna stawała się tego, że zaczął ją kochać przed śmiercią.

Wzbożona barwnymi opowieściami Gibbonsa i Smartha o umiejętnościach i zaletach Jordana idealizowała go w swoim sercu, przypisując mu cnotę świętego, odwagę wojownika i urodę anioła. W swojej pamięci unieśmiertelniła każde jego dobre słowo, każdy ciepły uśmiech, każdy oszałamiający pocałunek - a potem je udoskonalała.

Nie zdawała sobie sprawy, że Gibbons i Smarth mogą być zaślepieni uczuciem do panicza lub że celowo mogą nie przytaczać jakichś postępów mogących zepchnąć go z piedestału w oczach jego żony. Nie wspomnieli pewnej uroczej baleriny ani jej wielu poprzedniczek, np. guwernantki, która dzieliła z nim łóżko w tym domu.

Na podstawie opowieści Smartha i Gibbonsa Aleksandra naturalnie przyjęła, że jej mąż był przez wszystkich podziwiany za odwagę, troskliwość i honor. Nie miała skąd dowiedzieć się, że był równie dobrze znany ze swych licznych flirtów, podbojów i związków z kobietami, których jedyną wspólną cechą była wielka uroda.

I tak z całym zapalem osiemnastolatki Aleksandra ćwiczyła na fortepianie, zapamiętywała tomy zasad dobrego wychowania, szlifowała towarzyską konwersację i przyswajała sobie maniere księżnej - korzystając z jedyne go przykładu jaki był jej dostępny - babki Jordana. Robiła to wszystko po to, by gdy pojedzie do Londynu i zostanie wprowadzona do towarzystwa, uznano ją za godną nazwiska i reputacji Jordana Townsende'a.

Podczas gdy Aleksandra tak wytrwale starała się osiągnąć cechy młodej damy, które nawiasem mówiąc zanudziłyby Jordana na śmierć, natura - jakby kpiąc z jej wysiłków - już obdarzyła ją tą jedną cechą, dzięki której arystokracja uznałaby ją za „godną” Jordana Townsende'a - urodą.

Anthony stał w oknie i patrzył na Aleksandrę galopującą wzdłuż podjazdu. Po chwili odwrócił się do swojej babki.

- To zadziwiające! Minął zaledwie rok, a rozkwitła w piękną, młodą kobietę.

- To nie jest w najmniejszym stopniu zadziwiające - lojalnie zaprzeczyła księżna. - Zawsze miała wspaniałą sylwetkę. Była po prostu zbyt szczupła i zbyt młoda. Ja na przykład również byłam późnym kwiatem.

- Doprawdy? - uśmiechnął się Anthony.

- Naprawdę - odrzekła z naciskiem. Potem nagle spoważniała.

- Nadal codziennie przynosi kwiaty na grób Jordana. W zimę chciało mi się płakać, jak przedzierała się przez śnieg z bukietem kwiatów z cieplarni.

- Wiem - smutno odparł Anthony. Ponownie odwrócił się do okna. Aleksandra pomachała im i przekazała Szatana stajennemu. Jej kręcone, zwichrzone włosy były teraz długie i spływały czarną kaskadą na plecy. Cerę miała jak płatek róży, a okolone długimi rzęsami oczy wyglądały jak dwa szmaragdy.

Jordan, który wziął ją niegdyś za chłopca, teraz na pewno by się nie pomylił. Białe - niebieski strój do jazdy konnej podkreślał jej kobiecą sylwetkę i krągłości we właściwych miejscach. Anthony przyglądał się łagodnemu kołysaniu bioder, gdy wchodziła po schodach, podziwiając naturalną grację, z jaką szła. Wszystko w jej ciele przyciągało i zatrzymywało wzrok mężczyzny.

- Za parę tygodni, gdy zadebiutuje w towarzystwie - myślał głośno - starający będą się pchali drzwiami i oknami.

ROZDZIAŁ 15

Londyn

Anthony - zaczęła księżna, nerwowo chodząc po pokoju - czy uważasz, że popełniłam błąd nie wynajmując młodszej kobiety, by nauczyła Aleksandrę jak zachowywać się w towarzystwie?

Anthony odwrócił się od lustra, przed którym bezskutecznie próbował wygładzić chustę na szyi i uśmiechnął się współczująco do swojej babki, walczącej z paniką na chwilę przed debiutem Aleksandry.

- Teraz jest już za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

- Cóż, kto jednak inny mógłby ją lepiej nauczyć dobrych manier. - Księżna wyprostowała się dumnie - W końcu jestem uznawana za wyrocznieść dobrego tonu, czyż nie?

- Oczywiście, że tak - zgodził się Anthony powstrzymując się od wypomnienia jej, że niedawno sama mówiła, iż Aleksandra nie powinna być uczona towarzyskiej konwersacji przez siedemdziesięcioletnią kobietę.

- Nie mogę na to patrzeć - wykrzyknęła w końcu desperacko i zagłębiła się w fotelu.

Na ten niespotykany widok wątpliwości i niepewności Tony zachichotał i księżna posłała mu gniewne spojrzenie.

- Za parę godzin nie będziesz się śmiał - przepowiedziała ponuro. - Dzisiaj będę próbowała przekonać całą śmietankę towarzyską, by zaakceptowała kobietę bez majątku, rodzinnych koneksji ani pochodzenia, które by za nią przemawiały. Szanse na katastrofę są olbrzymie. Będę ośmieszona i okrzyczana oszustką!

Anthony podszedł do roztrzęsionej kobiety, której groźny wzrok, cięty język i zimne postępowanie od pięciu dekad terroryzowały całą arystokrację i rodzinę z wyjątkiem Jordana. Po raz pierwszy w życiu spontanicznie pocałował ją w czoło.

- Nikt nie ośmieliłby się ci przeciwstawić odrzucając Aleksandrę, nawet gdyby domyślali się jej pochodzenia. Wszystko pójdzie gładko. Komuś gorszemu mogłoby się nie powieść, ale nie tobie, babciu - nie takiej kobiecie jak ty.

Księżna trawiła przez chwilę te słowa, po czym wolno pokiwała siwą głową.

- Oczywiście, masz całkowitą rację.

- Pewnie, że tak - Anthony ukrył uśmiech. - A ty nie musisz się obawiać, że Aleksandra zdradzi swoje pochodzenie.

- Równie mocno obawiam się, by nie zdradziła swoich myśli. Nie wyobrażasz sobie, jakich książkowych nonsensów nakładł jej do głowy ten jej dziadek. Wiesz - kontynuowała z podnieceniem - chciałabym, by to był dla niej wspaniały sezon, by wszyscy ją adorowali i aby potem wyszła dobrze za mąż. Och, gdyby ten Galverstron nie oświadczył się tydzień temu Waverly! Był ostatnim nieżonatym markizem w Anglii, a to oznacza, że Aleksandra będzie musiała się zadowolić najwyżej lordem albo nawet czymś znacznie gorszym.

- Jeżeli takie są twoje nadzieje, to się faktycznie rozczarujesz - westchnął Anthony. - Aleksandry nie interesują rozrywki ani admiracja tutejszych bawidamków.

- Absurd, ciężko pracowała i uczyła się czekając na te miesiące.

- To prawda, ale wcale nie z powodów, o których myślisz - poważnie powiedział Anthony. - Robiła to, ponieważ przekonałaś ją, że Jordan chciał, by godnie reprezentowała jego nazwisko w towarzystwie. Pracowała tak ciężko, bo chciała udowodnić, że jest godna tego honoru. Nie chce ponownie wychodzić za mąż. Powiedziała mi to zeszłej nocy. Jest przekonana, że Jordan ją kochał i najwyraźniej chce się poświęcić jego pamięci.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła księżna, podskoczywszy jak rażona piorunem. - Przecież ona ma dopiero dziewiętnaście lat! Oczywiście, że musi wyjść za mąż. Co jej powiedziałaś?

- Nic! - odparł Anthony sardonicznie. - Jak miałem jej powiedzieć, nie burząc świętości Jordana, że powinna raczej studiować flirt i sztukę usidlenia mężczyzn niż konwersacje i dobre maniery Debretta.

- Och, odejź! - sapnęła księżna. - Przygnębiasz mnie. Idź i zobacz, co zatrzymuje Aleksandrę. Czas wychodzić.

W hallu przed sypialnią Aleksandra stała przed portretem Jordana. Po przyjeździe do Londynu odkryła go w zaniedbanym pokoiku i kazała go tu powiesić, by widzieć go za każdym razem, gdy będzie tędy przechodzić. Obraz został namalowany przed dwoma laty, Jordan siedział oparty o drzewo, z jedną nogą podciągniętą i dłonią swobodnie opartą o kolano. Aleksandrze podobała się naturalna poza, w jakiej został sportretowany, ale najbardziej pociągał i wprawiał ją w drżenie wyraz jego twarzy - dokładnie tak patrzył na nią wtedy, gdy chciał ją pocałować.

Aleksandra wyciągnęła dłoń i dotknęła drżącymi palcami jego ust na portrecie.

- Dzisiaj jest nasza noc, najdroższy - szepnęła. - Nie będziesz się mnie wstydził, obiecuję ci to.

Kątem oka zobaczyła nadchodzącego Anthony'ego i szybko cofnęła rękę. Nie odrywając wzroku od obrazu rzuciła:

- Autor tego obrazu ma wielki talent, ale nie mogę odczytać jego nazwiska, któż to?

- Allison Whitmore - odparł Anthony krótko. Zdziwiona tym, że artysta okazał się kobietą, i szorstkim tonem Anthony'ego Aleksandra wahała się przez chwilę, po czym odsunęła na bok tę kwestię i wolno obróciła się do przyjaciela.

- Spójrz na mnie. Czy byłby ze mnie zadowolony, gdyby mógł mnie zobaczyć?

Tłumiąc ochotę, by powiedzieć jej, że pani Allison Whitmore namalowała ten obraz, gdy przeżywała płomienny romans z Jordanem, Anthony oderwał wzrok od obrazu i spełnił prośbę Aleksandry. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Stała przed nim ciemnowłosa piękność ubrana w delikatną suknię z błyszczącego szyfonu w takim samym szmaragdowym kolorze jak jej niezwykle oczy. Suknia opinała jej piersi, podkreślała smukłą talię i łagodnie opływała biodra. Mahoniowe włosy Sandy odgarnięte były z czoła i w nieujarzmionych skrętach opadały na ramiona i plecy. Na jej szczupłej, długiej szyi i smukłym nadgarstku lśniły jak gwiazdy diamenty. Ale to nie one, lecz piękna twarz Aleksandry odebrała Anthony'emu oddech.

Chociaż Aleksandra Lawrence Townsende nie była klasyczną piękną o złotych włosach i jasnej karnacji, można było uznać ją bez wątpienia za najbardziej pociągającą i godne pożądania stworzenie, jakie kiedykolwiek widział. Pod długimi rzęsami lśniły szmaragdowe, magnetyzujące oczy, które mogły czarować i rozbrajać, zupełnie nieświadome swojej mocy. Jej pełne, różane usta wydawały się stworzone do pocałunków, jednak trzeźwy uśmiech ostrzegał tego, który zbliżyłby się za bardzo. Była jednocześnie uwodzicielska i czysta, dziewicza i kusząca. Właśnie ten kontrast sprawiał, że była tak pociągająca - oraz to, że pozostawała zupełnie nieświadoma wrażenia, jakie mogła wywołać.

Jej delikatne policzki pobladły, gdy czekała, aż ten milczący mężczyzna przed nią wreszcie wypowie swoją opinię.

- Aż tak źle? - żartem próbowała stłumić niepokój. Anthony uśmiechnął się i ujął jej dłonie skryte w rękawiczkach.

- Gdyby Jordan cię teraz zobaczył, oszalałby na twoim punkcie tak jak ta cała reszta, gdy zobaczą cię dziś wieczorem. Zachowasz dla mnie jeden taniec? Walc? - dodał patrząc w jej piękne oczy.

W drodze na bal księżna udzielała Aleksandrze ostatnich wskazówek.

- Nie musisz się obawiać o tańce, moja droga, jak również o wszystkie te inne towarzyskie rytuały, które należy odbyć podczas tego wieczoru. Jednakże - dodała surowszym już tonem - muszę cię prosić, aby nie zwiódł cię zachwyty Anthony'ego - tu posłała mu potępiające spojrzenie - nad twoim intelektem. Uważaj, by nie powiedzieć czegoś, co

brzmiałoby zbyt intelektualnie lub książkowo. Jak już ci mówiłam, mężczyźni nie lubią zbyt wykształconych kobiet.

Gdy wysiadali z powozu Tony uściśnął dłoń Aleksandry dodając jej w ten sposób otuchy.

- Pamiętaj, że należy mi się jeden taniec - przypomniał z uśmiechem.

- Możesz mieć je wszystkie, jeśli chcesz - zaśmiała się i wsunęła mu rękę pod ramię zupełnie nieświadoma swojej urody i wrażenia, jakie na nim robiła.

- Będę musiał stać w długiej kolejce, ale i tak będzie to mój najwspanialszy wieczór od lat.

W ciągu pierwszej półgodziny balu u lorda i milady Wilmerów przepowiednia Anthony'ego zaczęła się sprawdzać. Tony specjalnie wyprzedził je i pierwszy wszedł do sali balowej, by obserwować ich wielkie wejście. A było na co patrzeć. Dumna księżna Hawthorne wyglądała jak kwoka zaganiająca kurczaka - pierś wypięta, plecy wyprostowane i podbródek wysunięty władczo do przodu, wyzywając każdego, kto by tylko spróbował zakwestionować prawo Aleksandry do olśnienia tego towarzystwa.

Gdy weszły na salę, wszyscy dosłownie zamarli. Przez dobrą minutę pięćset najpopularniejszych i najbardziej szacownych przedstawicieli arystokracji przypatrywało się w milczeniu, jak jedna z najbardziej szanowanych i wpływowych kobiet biega troskliwie wokół kompletnie nieznannej młodej dziewczyny. Po sali przebiegła fala szeptów, uniosły się monokle, uwaga wszystkich skupiła się na młodej damie, która w najmniejszym stopniu nie przypominała spłoszonej bladej dziewczyny, jaka mignęła im wszystkim na pogrzebie Jordana.

Stojący obok Anthony'ego sir Roderick Carstairs uniósł swoje arystokratyczne brwi i wycedził:

- Hawthorne, mam nadzieję, że oświecisz nas, kim jest ta ciemnowłosa piękność u boku twojej babki.

Anthony obojętnie odpowiedział:

- To wdowa po moim kuzynie, obecna księżna Hawthorne.

- Żartujesz! - okrzyk ten był bardzo zbliżony do zdziwienia, którego Anthony nigdy nie widział na wiecznie znudzonej twarzy Roddy'ego. - Chyba nie mówisz poważnie, że to oszałamiające stworzenie jest tym żalonym, wypłowiałym wróblem, który był na pogrzebie Hawka.

Walcząc z ogarniającą go niechęcią Tony odparł:

- Była wtedy bardzo młoda i w szoku.

- Wyładniała z wiekiem - zauważył unosząc monokl do oka. - Zupełnie jak wino - im starsze tym lepsze. Twój kuzyn zawsze był znawcą wina i kobiet. A ona jest godna jego reputacji. Czy wiesz - obojętnie zmienił temat - że piękna balerina Hawka nie wpuściła po nim do łóżka żadnego mężczyzny? Czyż to nie zabawne, że jego kochanka jest wierniejsza niż żona?

- Co to ma oznaczać? - słowa Tony'ego były jak smagnięcie biczem.

- Ależ nic - odpowiedział Roddy sardonicznie. - Ale jeśli nie chcesz, żeby inni doszli do takiego wniosku, musisz przestać wodzić za nią wzrokiem w ten władczy sposób. Przecież mieszkacie razem, prawda?

- Zamknij się! - z furią rzucił Tony.

W sposób dla siebie typowy Roddy zmienił ton i ze śmiechem powiedział:

- Zaczynają się tańce. Chodź, przedstawiś mnie jej. Zamawiam pierwszy taniec.

Anthony wahał się, w duchu zgrzytając zębami. Nie miał powodu, aby odmówić. Co więcej, gdyby to zrobił, Carstairs mógłby rozpowszechnić pomówienie, które w tej chwili stworzył. A Roddy był najbardziej wpływowym członkiem grupy Anthony'ego.

Tony odziedziczył tytuł Jordana, ale zdawał sobie dobrze sprawę, że nie miał jego cynicznej arogancji i zimnej pewności siebie, które sprawiały, że to on był najbardziej wpływowym arystokratą. Wiedział, że księżna była dość silna, żeby zagwarantować Aleksandrze poparcie swych rówieśników, ale nie byłaby w stanie zapewnić jej pełnej akceptacji przyjaciół Tony'ego. Tony również nie. Za to Roddy Carstairs mógł. Całe młode pokolenie drżało ze strachu przed jego zjadliwym językiem i nawet paczka Tony'ego nie chciała stać się przedmiotem jego gryzących ataków.

- Oczywiście - zgodził się Tony w końcu.

Poważnie zaniepokojony przedstawił Roddy'ego Aleksandrze i cofnął się do tyłu. Roddy uklonił się elegancko i poprosił o honor pierwszego tańca.

Dopiero pod koniec walca Aleksandra uspokoiła się i przestała liczyć w myśli kroki. Kiedy doszła do wniosku, że z tym elegancko wyglądającym partnerem na pewno nie zgubi kroku i go nie podepcze, powiedział on coś, co ją zaskoczyło.

- Powiedz mi, moja droga - zaczął sardonicznie - jak zdołałaś tak pięknie rozkwitnąć w zamrażającym towarzystwie księżnej Hawthorne?

Pod koniec walca muzyka nasiliła się, więc Aleksandra myślała, że musiała się przesłyszeć.

- Przepraszam?

- Wyrażam mój podziw, że byłaś tak odważna i przetrwałaś rok z najbardziej szanowanym soplem lodu. Szczerze ci współczuję tego, co na pewno musiałaś przeżyć.

Aleksandra, która nigdy nie zetknęła się z takimi wyrafinowanymi, zimnymi rozmówkami, nie wiedziała, że są one dyktowane modą i zareagowała z lojalnością względem kobiety, którą zdążyła pokochać.

- Najwyraźniej nie jest pan dobrze zaznajomiony z księżną.

- Ależ tak. I dlatego głęboko pani współczuję.

- Nie potrzebuję pańskiego współczucia. Gdyby pan naprawdę znał księżnę, nie mówiłby pan tak o niej.

Roddy Carstairs przyglądał się jej z zimnym niezadowoleniem.

- Ośmielam się powiedzieć, że znam ją wystarczająco dobrze, by nie raz doświadczyć z jej strony odmrożenia. Ta kobieta to smok.

- Jest hojna i uczynna.

- Albo obawia się pani powiedzieć prawdę - zaczął drwiąco - albo jest pani najbardziej naiwnym kociakiem, jaki żyje.

- A pan - odpowiedziała Aleksandra posyłając mu spojrzenie, które zyskałoby aprobatę samej księżnej - jest albo zbyt ślepy, żeby dostrzec prawdę, albo wyjątkowo złośliwy.

W tym momencie walc dobiegł końca i Aleksandra popełniła niewybaczalny i niezaprzeczalny afront - odwróciła się do swojego partnera plecami i odeszła.

Nieświadoma obserwujących ją oczu wróciła do księżnej i Anthony'ego. To, co zrobiła, widziało wielu gości, którzy nie tracili czasu wyśmiewając się z dumnego rycerza i jego braku powodzenia u młodej księżnej. W zamian za to sir Roderick odplacał jej głosząc wszem i wobec, że podczas ich krótkiego tańca znalazł w niej partnerkę śmiertelnie nudną, która nie potrafi konwersować.

W ciągu godziny Aleksandra nieświadomie przekonała wszystkich, że jest wyjątkowo głupiutka. Stała pośród grupy eleganckich młodych ludzi w wieku do trzydziestu lat. Kilku z gości entuzjasmowało się baletem, na którym byli poprzedniego wieczoru, a zwłaszcza niebiańskim tańcem baleriny Elise Grandeaux. Aleksandra odwróciła się do Anthony'ego i lekko podnosząc głos, by być słyszana, niewinnie zapytała go, czy Jordan lubił balet. Ponad dwadzieścia osób przerwało rozmowy i wpatrywało się w nią z minami, które wyrażać mogły wszystko - od zakłopotania do rozbawienia.

Niedługo potem zdarzył się drugi wypadek. Anthony zostawił ją z grupą znajomych, wśród których znajdowały się dwie młode damy, które omawiały dopuszczalną długość stójki

przy stroju do konnej jazdy w tym sezonie. Dla Aleksandry były to dwie najpiękniejsze kobiety, jakie kiedykolwiek widziała w życiu. Stały bardzo blisko i choć niemal zwrócone plecami do siebie, przed chwilą przez ramię drobiazgowo obmawiały Aleksandrę. Jedna była zimną blondynką przed trzydziestką, a druga - bujną brunetką parę lat młodszą.

Aleksandra przypomniała sobie z czułością, że Jordan kiedyś porównał ją do portretu Gainsborougha, a tamte dwie były godne co najmniej mistrza Rembrandta. Uświadomiwszy sobie po chwili, że stojący przy niej pan Warren coś właśnie powiedział, przeprosiła go za brak uwagi i skinęła głową w kierunku dwóch kobiet, które ją tak pochłonyły.

- Czyż to nie najbardziej urocze istoty, jakie kiedykolwiek widzieliście? - dodała do przeprosin z uśmiechem szczerego podziwu i kompletnym brakiem zazdrości.

Grupa osób, wśród których stała, spojrzała najpierw na owe dwie kobiety, a potem na nią. Brwi uniosły się, oczy rozszerzyły, a wachlarze uniosły, by pokryć zdziwienie. Przed końcem balu czterysta osób wiedziało, że wdowa po Hawku podziwiała dwie jego poprzednie kochanki, lady Allison Whitmore i lady Elizabeth Grangerfield. Był to tak smaczny kąsek, że dotarł nawet do uszu obu kobiet, których przyjaźń zniszczyło dawno temu pożądanie skierowane ku temu samemu mężczyźnie. I po raz pierwszy od wielu lat śmiały się obie beztrąsko jak najlepsze przyjaciółki.

Aleksandra była zupełnie nieświadoma swej ostatniej gafy, ale w miarę upływu wieczora wyczuwała, że ludzie śmieją się z niej za jej plecami.

Już w powozie wypytywała Anthony'ego, co poszło nie tak, ale on zaledwie poklepał ją po ramieniu i powiedział, że odniosła wielki sukces, a i księżna zapewniała, że zrobiła bardzo dobre wrażenie.

Mimo to Aleksandra instynktownie czuła, że stało się coś bardzo złego. Przez cały następny tydzień wypełniony balami, wieczorkami, występami długie drwiące spojrzenia, jakie jej rzucano, stawały się niemal nie do zniesienia. Zraniona i zakłopotana zaszyła się wśród znajomych księżnej, którzy, mimo że dzieliły ich dziesiątki lat, zdawali się nie postrzegać jej jako żalosnej i zabawnej istotki. Co więcej - mogła im opowiadać historie o umiejętnościach Jordana, które zasłyszała od jego lokaja i stajennego - tak jak ta, gdy uratował tego ostatniego od utonięcia.

Nie przyszło jej do głowy, że wszyscy ci mili starszankowie, którzy tak uprzejmie słuchali jej opowieści uznawali, że została smutno i żałośnie zauroczona przez Hawthorne'a. Nie przyszło jej również do głowy, że mogą oni przekazać swoje spostrzeżenia swoim młodym kuzynom, a ci swoim z kolei znajomym.

Z rzadka Aleksandrę proszono do tańca, ale robili to tylko mężczyźni, których interesował jej wysoki posąg, lub tacy, których pociągało młode ciało wdowy po jednym z najbardziej znanych lowelasów Anglii. Aleksandra wyczuwała, nie wiedząc dlaczego, że żaden z tych mężczyzn jej nie lubi, i robiła jedyną rzecz, jaka przychodziła jej do głowy, by ukryć swoje zmieszanie i ból: unosiła wysoko podbródek i z zimną uprzejmością jasno dawała do zrozumienia, że woli przebywać w towarzystwie księżnej i jej znajomych.

W rezultacie obwołano ją Lodową Królową i przezwisko to przyłgnęło do niej na stałe. Zaczęły krążyć dowcipy, że Jordan Townsende wolał utonąć, niż zamarznąć na śmierć w łóżku swojej żony. Ze złośliwą satysfakcją zaczęto wspominać, że widziano go wychodzącego z apartamentów pięknej baleriny tego samego popołudnia, gdy ogłoszono jego ślub w „Timesie”.

Co więcej roznosiła się wieść, że tego samego wieczora jego kochanka ze śmiechem mówiła, że jego małżeństwo jest niczym więcej jak małą „niedogodnością” i w niczym nie przeszkadza ich związkowi.

W ciągu dwóch tygodni Aleksandra stała się towarzyskim odrzutkiem, ale ponieważ nie słyszała plotek, nie miała pojęcia dlaczego. Wiedziała tylko, że wszyscy traktują ją albo protekcjonalnie, albo z rozbawieniem, czasami tylko otwarcie wrogo i że całkowicie zawiodła Jordana. To raniło ją najbardziej. Spędzała długie godziny przed jego wizerunkiem starając się nie płakać i niemo przepaszając go za niepowodzenie.

* * *

- Hej, Hawthorne, słyszysz mnie?! Wstawaj, chłopie.

Z wysiłkiem, który prawie pozbawił go sił, Jordan w odpowiedzi na wyszeptaną prośbę spróbował unieść powieki. Dalekie światło słoneczne wpadało przez wysokie otwory w ścianach i boleśnie raniło mu oczy. Ból ponownie zepchnął go w ciemną otchłań nieświadomości.

Kiedy ponownie się obudził, była już noc. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył była usmolona twarz George'a Morgana, innego pojmanego z „Lancastera”, którego nie widział od trzech miesięcy, to jest od czasu, jak zabrano ich ze statku.

- Gdzie ja jestem? - zapytał i poczuł, jak z jego spierzchniętych warg zaczyna płynąć krew.

- W piekle - ponuro odrzekł Amerykanin. - Dla ścisłości, we francuskim lochu.

Jordan spróbował unieść ręce i odkrył ciężkie łańcuchy, które mu to uniemożliwiały. Powiódł wzrokiem za łańcuchem aż do żelaznego pierścienia przytwierdzonego do kamiennej

ściany. Przyglądał się temu ze zdziwieniem, starając się domyślić, dlaczego on sam był przykuty, a George Morgan nie.

Rozumiejąc jego błędzące spojrzenie, towarzysz niedoli zdecydował się odpowiedzieć na nieme pytanie.

- Nie pamiętasz? Łańcuchy to część nagrody za to, że rzuciłeś się na strażnika i złamałeś mu nos, nie mówiąc już o tym, że mało nie poderżnąłeś mu gardła jego własnym nożem, kiedy cię tu dziś wprowadzali.

Jordan zamknął oczy próbując się skupić, ale nie mógł sobie przypomnieć bójki.

- A jaka jest reszta mojej nagrody? - wychrypiał nie poznając swojego głosu.

- Trzy czy cztery złamane żebra, poprawiona twarz i plecy, które wyglądają jak kawał żywego mięsa.

- Uroczo - twardo odparł Jordan. - Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego mnie nie zabili, a tylko okaleczyli?

Jego chłodny, pozbawiony uczuć ton wywołał szczerzy śmiech George'a.

- Wy piekielne brytyjskie paniczyki, nic nie jest w stanie was poruszyć, co? Zimni jak ryby. - Sięgnął poza siebie i napełnił blaszany kubek mętą wodą z wiadra. Zebrał z wierzchu jak najwięcej szlamu i przytknął kubek do krwawiących warg Jordana.

Ten przełknął, po czym zaczął prychać i pluć z obrzydzeniem. Ignorując jego gwałtowną reakcję George ponownie przysunął kubek do jego ust i powiedział:

- Wiem, że ten napitek nie ma tak delikatnego bukietu jak twoja ulubiona madera i nie podaję jej w czystym, kryształowym kielichu, ale jeśli tego nie wypijesz, pozbawisz naszych strażników przywileju zabicia cię, a swoje niezadowolenie wyładują na mnie.

Jordan zmarszczył brwi, ale widząc, że jego towarzysz żartuje, pociągnął parę łyków wstrętnego spleśniałego płynu.

- Teraz lepiej. Chłopie, z ciebie naprawdę twarda sztuka - ciągnął George lekko. Jednocześnie z troską owijał tors Jordana paskami materiału oderwanymi z własnej koszuli. - Mogłeś sobie oszczędzić tego lania, gdyby matka nauczyła cię być grzecznym dla dwóch mężczyzn, którzy mają pistolety, noże i paskudne charaktery.

- Co robisz?

- Próbuję utrzymać twoje żebra w kupie. A teraz odpowiem, dlaczego cię nie zabili. Żabojady trzymają cię żywego na wszelki wypadek, gdyby Brytyjczycy złapali jednego z nich. Słyszałem, jak jeden z oficerów powiedział, że jesteś ich kartą przetargową, gdyby przyszło do wymiany. No, ale ty nie trzymasz się roli i chcesz dać się zabić. Jak będziesz dalej obrażał strażników i niegrzecznie próbował ukraść im broń, to na pewno ci się to uda.

Tak po wyglądzie, to kiedy cię ciągnąłem po oceanie na francuską fregatę, która nas tu przywiozła, nie dawałem ci wielkich szans.

- Jak źle wyglądam? - zapytał Jordan bez zbytniego zainteresowania.

- Powiedzmy, że jeszcze jedna taka bijatyka, a żadna z tych dwóch uroczych pań nie będzie taka skora do figlowania jak wtedy, gdy je zostawiałeś.

Wokół niego zamykała się czarna otchłań próbując znowu wciągnąć go w czarną nieświadomość, ale walczył, by się jej nie poddać, wołąc ból od omdlenia.

- Jakie dwie panie?

- Chyba powinienes wiedzieć lepiej ode mnie. Jedna ma na imię Eliza. Czy to twoja żona?

- Kochanka.

- A Aleksandra?

Jordan zamrugał starając się rozjaśnić umysł. Aleksandra, Aleksandra ... - Dziecko - powiedział, a przed jego oczami wirowała wizja ciemnowłosej dziewczyny z gałęzią udającą szpadę. - Nie - wyszeptał ze smutkiem, a przed oczami przeleciało mu życie, zmarnowane na pustych flirtach i hulankach, życie, którego bezsensowną kulminacją było jego podyktowane kaprysem, impulsywne małżeństwo z czarującą dziewczyną, z którą spędził tylko jedną noc. - Moja żona.

- Naprawdę? - na George'u zrobiło to wrażenie. - Masz kochankę, żonę i dziecko? Każdego po trochu, co?

- Nie - zaprzeczył zamyślony Jordan. - Nie mam dziecka. Jedną żonę, kilka kochanek.

George wyszczerzył się i podrapał po zarośniętej brodzie.

- Nie chcę cię krytykować. Podziwiam mężczyzn, którzy wiedzą, jak korzystać z życia. Ale - kontynuował, mimo wszystko zaszokowany - żeby aż kilka kochanek?

Nie - zaprzeczył Jordan zagryzając z bólu wargi. - Nie jednocześnie.

- Gdzie cię trzymali do tej pory? Nie widziałem cię, odkąd zabójcy zabrały nas ze statku trzy miesiące temu.

- Miałem prywatne apartamenty i osobistą opiekę - z goryczą zażartował Jordan, mając na myśli ponurą studnię, w której przebywał pomiędzy regularnymi torturami, które niemal doprowadziły go do obłądu.

Jego towarzyszy z celi z niepokojem patrzył na zmaltretowanego kolegę, ale próbował zachować lekki ton.

- Co takiego powiedziałaś zabójcom, że znienawidzili cię o tyle mocniej niż mnie?

- Moje nazwisko. - I...?

- I pamiętali je - walczył z nieświadomością - z Hiszpanii.

George z zakłopotaniem zmarszczył brwi.

- Tak cię zmasakrowali za coś, co zrobiłeś im w Hiszpanii?

Na wpół przytomny mężczyzna pokiwał głową. - I ponieważ... myślą, że ja nadal znam... plany militarne.

- Posłuchaj mnie Hawthorne - desperacko podjął George. - Kiedy cię tu wsadzili, mamrotałeś coś o ucieczce. Masz jakiś plan?

Kolejne prawie niewidoczne skinięcie.

- Chcę uciec razem z tobą. Ale nie przeżyjesz jeszcze jednego takiego bicia. Mówię poważnie. Nie narażaj się więcej strażnikom.

Głowa Jordana opadła na bok, gdy on sam wreszcie przegrał walkę o pozostanie przytomnym.

Przykucając nad nim George z rozpaczą potrząsnął głową. Podczas krwawej bitwy „Lancastera” z „Versailles” Francuzi zostali zdziesiątkowani i ich kapitan wyłowił trzech z ocalałych przeciwników, aby mieć żer dla reszty swoich żołnierzy. Jeden z nich umarł od ran już następnego dnia. George zastanawiał się, czy i jego towarzyszy podzieli ten sam los.

ROZDZIAŁ 16

W noc balu u ich lordowskich gości Donleigh, w trzecim tygodniu po swoim debiucie Aleksandra czuła się tak nieszczęśliwa i napięta, że zdawało się jej, że już nigdy nie zaśmieje się radośnie i nie znajdzie pocieszenia we łzach. Ale już tej samej nocy miało okazać się, jak bardzo była w błędzie.

Ponaglana szeptem przez księżną Aleksandra zgodziła się zatańczyć z pompatycznym pyszałkiem, lordem Ponsonby, który ubrany jak papuga oznajmił jej podczas tańca, że jest podziwiany za swoją niebywałą inteligencję. Tego wieczoru miał na sobie pomarańczowe satynowe pantalone do kolan, śliwkową kamizelę i długi żółty brokatowy surdut. Kombinacja ta przywołała na myśl stertę przejrzałych owoców.

Po zakończeniu tańca lord, o którym mówiono, że potrzebuje bogatej żony, by odpędzić od siebie widmo karcianych długów, zamiast odprowadzić Aleksandrę na powrót do księżnej, powiódł ją w całkowicie przeciwnym kierunku.

- Pozwoli pani, że będę jej towarzyszył. Chętnie zamieniłbym kilka słów w zaciszu tamtej alkowy. Księżna wspominała mi wczoraj, że interesuje się pani filozofią, dlatego spróbuję panią oświecić o największym filozofie starożytności - Horacym.

Sandy pomyślała natychmiast, że księżna musi być naprawdę zdesperowana, skoro wspomniała Ponsonby'emu o jej upodobaniach intelektualnych.

- Proszę się nie lękać - zapewnił ją pospiesznie lord Ponsonby fałszywie odczytując powód jej konsternacji. - Nawet na chwilę nie zapomnę, że mam do czynienia z kobietą, istotą niezdolną pojąć zawiłości subtelności logiki. Może pani na mnie polegać, postaram się utrzymać konwersację na bardzo prostym poziomie.

Zbyt zrozpaczona, aby wyrazić oburzenie jego ubliżającą opinią o kobietach, Sandy była zbyt zobojętniała, by czuć cokolwiek więcej niż lekkie przygnębienie, że jest tak traktowana przez mężczyznę, którego celem życiowym było wyglądać jak taca pełna owoców.

Z wyrazem uprzejmej ciekawości podążyła za lordem do alkowy oddzielonej od sali balowej aksamitnymi kotarami, teraz odsuniętymi i przytrzymywanymi ozdobną wstęgą. Gdy już weszli do alkowy, okazało się, że przebywa tam jeszcze jedna osoba. Była to wspaniale ubrana młoda kobieta o patrycjuszowskim profilu i lśniących włosach w kolorze starego złota. Stała w otwartych drzwiach na taras odwrócona plecami do wchodzących - najwyraźniej rozkoszując się samotnością i świeżym powietrzem.

Gdy Aleksandra i jej towarzysz pojawili się w pokoju, odwróciła głowę w ich kierunku i Aleksandra natychmiast ją poznała. Lady Melania Camden, piękna młoda żona hrabiego Camdena, powróciła przed kilku dniami do Londynu ze wsi, gdzie przebywała z wizytą u swojej siostry. Aleksandra została jej przedstawiona podczas pierwszego balu, w którym uczestniczyła lady Camden po swoim powrocie. Potem z daleka przyglądała się, jak tłum barwnych postaci radośnie się z nią wita. Ona jest jedną z nich - uświadomiła sobie wtedy Sandy z ukłuciem zazdrości w sercu.

Zdając sobie sprawę, że naruszyli prywatność lady Camden, Aleksandra uśmiechnęła się niezobowiązująco, w milczeniu przeprasząc za najście. Hrabina zaaprobowała uśmiech skinieniem głowy i z gracją odwróciła się do francuskiego okna.

Lord Ponsonby albo nie zauważył hrabiny, albo nie życzył sobie, by jej obecność mu przeszkodziła. Nalał sobie ponczu i oparł się o jedną z marmurowych kolumniek obok zasłon. Następnie rozpoczął pompatyczny monolog - w większej części pełen błędów, na temat filozoficznych wzmianek Horacego o ambicji, choć przez cały czas zdawało się, że nie może oderwać wzroku od wdzięków Aleksandry.

Sandy była tak zmieszana faktem, że pierwszy raz w życiu taksuje ją wzrokiem jakiś mężczyzna - nawet jeśli miałby to być bardzo nędzny przedstawiciel swojej płci - że gdy Ponsonby przypisał Horacemu jedną z uwag Sokratesa ledwie to dostrzegła, jak również to, że hrabina obejrzała się przez ramię, jakby przerażona.

Minutę później lord zadeklarował z ważną miną:

- Zgadzam się z Horacym, że „ambicja jest tak potężną pasją w ludzkim sercu, że niezależnie jak wysoko sięgniemy, nigdy nas to nie zadowoli”.

Kompletnie speszona jego uporczywym spojrzeniem i nieświadoma tego, że lady Camden stoi całkiem już zwrócona ku nim, oraz że słucha Ponsonby'ego z mieszaniną niedowierzania i fascynacji ze źle skrywaną wesołością, Aleksandra nieśmiało zaprzeczyła:

- To Machiavelli...

- Horacy! - autorytatywnie oświadczył lord Ponsonby i ku przerażeniu dziewczyny uniósł do oka monokl i bez pardonu obejrzał ją dokładnie od stóp do czubka głowy. By zachować niezwykle godny wygląd, chciał oprzeć się nonszalancko o kolumnę za sobą. Niestety, zbyt zajęty studiowaniem biustu Aleksandry, nie miał czasu obejrzeć się, by ustalić dokładne położenie punktu oparcia.

- Teraz, być może, zaczyna pani pojmować - zaczął odchylając się do tyłu i szeroko rozkładając ramiona - dlaczego uwagi Horacego sprawiły... aaaaah... - Zamachał ramionami i

poleciał do tyłu przewracając stół z ponczem. Ciągnąc za sobą kotarę wylądował u stóp trzech gości jak kolorowa taca z owocami pod fontanną z ponczu.

Nie mogąc powstrzymać szaleńczego śmiechu Aleksandra zakryła usta dłonią i obróciła się na pięcie po to tylko, by znaleźć się twarzą w twarz z lady Camden. Ona również przykrywała usta i patrzyła na Aleksandrę, a jej ramionami wstrząsał śmiech. Obie razem pobiegły do wyjścia na taras, zderzyły się w pośpiechu, po czym ramię w ramię wybiegły na zewnątrz i schroniły za węglem domu. Tam dopiero radośnie wybuchnęły śmiechem.

Stały tuż obok siebie opierając się o zimne kamienie za plecami i z trudem łapały oddech chichocząc szaleńczo, a po ich policzkach płynęły łzy.

Hrabina Camden odwróciła się w stronę Aleksandry i co chwila przerywając powiedziała:

- Ja... jak tak le.. leżał na plecach, wy... wyglądał jak ogromna pa... papuga, która spadła z drzewa.

Aleksandra również z trudem dobywała głos.

- Mi... mi... przypominał raczej tacę z owocami albo nie... poncz owocowy!

Obie ponownie wybuchnęły śmiechem.

- Biedny Ponsonby - chichotała lady Camden. - Powalony podczas swojej tyrady przez ducha Machiavellego za przypisanie jego słów Horacemu.

- To była iście machiavelliczna zemsta! - roześmiała się Aleksandra.

I pod ciemnym aksamitnym niebem usianym gwiazdami dwie młode elegancko ubrane damy śmiały się niepowstrzymanie jak bose dzieci po igraszkach na łące.

Kiedy wreszcie przestały ocierać łzy śmiechu, lady Camden spojrzała na Aleksandrę z ciekawością.

- Skąd wiedziałas, że ten wstrętny Ponsonby myli Machiavellego z Horacym?

- Ponieważ czytałam ich obu - przyznała się Aleksandra rzucając na nią spojrzenie pełne poczucia winy.

- Niesamowite! - wykrzyknęła hrabina patrząc na nią zaskoczona. - To zupełnie tak jak ja.

Oczy Aleksandry rozszerzyły się ze zdumienia:

- Wydawało mi się, że większość ludzi twierdzi, iż kobieta, która czyta klasyków, jest strasznie przemądrzała.

- Zwykle tak jest - przyznała lady Camden - ale w moim przypadku towarzystwo zdecydowało się nie dostrzegać moich hm... niekobiecych zainteresowań i darować mi tę fanaberię.

Aleksandra przechyliła głowę i przyglądała się swojej rozmówczyni z podziwem.

- Jak to się pani udało? Głos lady Camden złagodniał.

- Ponieważ mój mąż rozszarpałby na sztuki każdego, kto ośmieliłby się zakwestionować fakt, że jestem damą. - Nagle spojrzała podejrzliwie na Aleksandrę i spytała:

- Czy grasz na jakimś instrumencie? Jeśli tak, to ostrzegam, że nie mam zamiaru cię słuchać. Najmniejsza wzmianka o Bachu czy Beethovenie powoduje, że natychmiast uciekam w drugą stronę, a widok harfy budzi we mnie mordercze instynkty.

Aleksandra prawie rok próbowała nauczyć się grać na fortepianie. Księżna powiedziała jej, że umiejętność gry na przynajmniej jednym instrumencie jest niezbędna do zaakceptowania młodej damy w towarzystwie. Nie mogła więc uwierzyć, że tak negatywne komentarze słyszy z ust kobiety, którą wszyscy wokół uważają za wyrocznie w sprawach dobrego tonu.

- Brałam lekcje gry na pianinie, ale nie jestem tak dobra, by występować - przyznała niepewnie.

- Wspaniale - odpowiedziała hrabina z zadowoleniem. - Powiedz mi jeszcze, co sądzisz o zakupach.

- Szczerze mówiąc, nudzą mnie.

- Idealnie - ucieszyła się, ale zaraz dodała podejrzliwie: - Nie śpiewasz, prawda?

Aleksandra, która jeszcze chwilę temu tak niechętnie przyznawała się do swojej znikomej umiejętności gry na fortepianie, teraz również z ociąganiem przyznała się do swoich zdolności wokalnych.

- Cóż, obawiam się, że tak.

- Nikt nie jest idealny - beztrąsko powiedziała lady Camden, wspaniałomyślnie wybacząc Aleksandrze. - Poza tym od wieków marzyłam, że spotkam wreszcie kobietę, która czytała Horacego i Machiavellego. Nie przepuszczę okazji zaprzyjaźnienia się z tobą tylko dlatego, że umiesz śpiewać. Chyba że robisz to naprawdę dobrze.

Ramionami Aleksandry znowu wstrząsnął śmiech, bo faktycznie śpiewała dobrze.

Ujrawszy odpowiedź w jej oczach, Melania zapytała z udanym przerażeniem:

- Ale nie śpiewasz często, mam nadzieję?

- Nie - przyznała Aleksandra dławiąc chichot, po czym dodała niedbale: - Jeżeli to podniesie mnie w pani oczach, przyznaję, że wypadam z uprzejmej konwersacji gdzieś po pięciu minutach.

Po złamaniu większości z najświętszych zasad dobrego tonu obie dziewczęta ponownie wybuchnęły śmiechem.

Wewnątrz posesji przy Regent Street nr 45 goście nadal tańczyli, rozmawiali i śmiali się nieświadomi doniosłych rzeczy, jakie rozgrywały się poza francuskimi oknami. I tylko mrugające gwiazdy były świadkami tego, jak w opuszczonym Londynie odnalazły się dwie pokrewne dusze.

- W takim wypadku - stwierdziła hrabina, gdy wreszcie przestały chichotać - uznaję cię za najbardziej pożądaną i lubianą towarzyszkę. - I porzucając resztki formalności dodało cicho: - Moi najbliżsi przyjaciele mówią do mnie: Melanio.

Przez małą chwilkę dusza Sandy wypełniła się szczęściem, ale zaraz dziewczyna uświadomiła sobie brutalną rzeczywistość; przyjaciele Melanii Camden nie będą chcieli nawet widzieć jej wśród siebie. Całe towarzystwo już ją osądziło i wydało wyrok. Została uznana za nudną i beznadziejną. Najwyraźniej Melania Camden nie przebywała w Londynie wystarczająco długo, aby się o tym dowiedzieć. Żołądek Sandy skurczył się boleśnie, gdy pomyślała o pogardliwych spojrzeniach, jakie powitają hrabinę, gdy wejdzie z nią do sali balowej.

- A jak ciebie nazywają przyjaciele? - spytała Melania.

Już nie mam przyjaciół - pomyślała Aleksandra i zaczęła pospiesznie wygładzać fałdy na sukni starannie skrywając łzy.

- Mówią do mnie Sandy.

Uznała, że lepiej będzie, jeśli sama zakończy już teraz tę znajomość, niż gdyby miała zostać spiorunowana wzrokiem przez lady Camden, gdy spotkają się następnym razem. Wzięła więc głęboki oddech i zaczęła:

- Doceniam pani propozycję przyjaźni, lady Camden, ale widzi pani, ostatnio jestem bardzo zajęta, te wszystkie bale, wizyty... wszystkie te rozrywki... Dlatego sądzę, że nie znajdzie pani... że my obie nie znajdziemy dość czasu... i jestem pewna, że ma już pani mnóstwo przyjaciół, którzy...

- ...którzy myślą, że jesteś nie z naszej sfery? - podpowiedziała łagodnie Melania.

Zanim Aleksandra miała okazję zareagować, z cienia wyłonił się nagle Anthony, a ona podbiegła do niego z ulgą, paplając bez przerwy, aby nie mógł zaprzeczyć.

- Czy pan może mnie szuka? Musi być już najwyższa pora, abyśmy wyszli. Dobranoc, lady Camden.

- Dlaczego odrzuciłaś przyjaźń Melanii Camden? - zapytał Anthony ze złością, kiedy tylko znaleźli się w powozie.

- Ja... I tak by z tego nic nie wyszło - skłamała Sandy myśląc o słowach Melanii na temat towarzystwa. - Nie obracamy się w tych samych kręgach... czy jak wy tutaj na to mówicie.

- Wiem. I wiem również, dlaczego tak uważasz - sucho odparł Tony. - Częściowo winny jest Roddy Carstairs.

Aleksandra zdała sobie sprawę z tego, że Tony jest świadomy jej braku popularności. Do tej pory miała nadzieję, że on nie zauważa upokarzającej sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Poprosiłem Carstairsa, aby zjawił się u mnie jutro rano - sztywno ciągnął Tony. - Będziemy musieli zrobić coś, co zmieni jego opinię na twój temat i załagodzić zniewagę, jaką było dla niego to, że zostawiłaś go na parkiecie tamtej pierwszej nocy.

- Załagodzić! - wykrzyknęła Aleksandra. - Ależ Anthony, on mówił takie okropne rzeczy o twojej babce!

- Carstairs ciągle mówi wszystkim okropne rzeczy. - Anthony uśmiechnął się pocieszająco. - Szczególnie lubi szokować i frustrować onieśmiałe kobiety, a kiedy mu się to uda, gardzi swoją ofiarą za tchórzostwo i głupotę. Carstairs jest jak kukułka, która lata od drzewa do drzewa i podrzuca jaja niezgody go wszystkich gniazd. Większość z tego, co mówi, jest bardzo zabawna; oczywiście dopóki nie dotyczy samych zainteresowanych. W każdym razie musiałaś go od razu wyprowadzić z równowagi lub powiedziałaś coś szokującego.

- Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy...

- Jest jeszcze wiele rzeczy, z których nie zdajesz sobie sprawy - przerwał jej Tony, kiedy podjechali pod dom przy Upper Brook Street. - Ale kiedy już będziemy w domu, trzeba będzie nad tym popracować.

Aleksandra czuła przemożne, obezwładniające przeczucie, że stanie się coś złego, a wrażenie to rosło w miarę, jak zbliżali się do salonu. Tony usadził ją na zielonej brokatowej kanapie i nalał sobie whisky. Kiedy odwrócił się do niej, wyglądał na złego i nieszczęśliwego.

- Sandy - zaczął szorstko - wszystko wskazywało na to, że staniesz się największym sukcesem sezonu. Bóg jeden wie, że masz po temu wszelkie warunki - zostałaś bardzo szczerze obdarzona przez niebiosa. A tymczasem cóż się stało? Największa klęska nie tylko tego, ale i wszystkich poprzednich sezonów...

Aleksandra zaczerwieniła się ze wstydu, ale Anthony szybko wyciągnął rękę, niezręcznie wyjaśniając:

- To moja wina, nie twoja. Ukryłem przed tobą pewne fakty, które powinnaś poznać wcześniej. Zrobiłem to zresztą dlatego, że zabroniła mi mówić o tym babka. Nie mogła znieść

myśli o twoim rozczarowaniu. Teraz jednak oboje się zgadzamy, że musisz wiedzieć o wszystkim, zanim zaprzepaścisz resztki szansy na swoje szczęście wśród nas... jeśli nie jest już za późno.

Duszką wychylił whisky, jakby w ten sposób zbierając się na odwagę.

- Odkąd przyjechałaś do Londynu, słyszałaś, że wielu przyjaciół i znajomych Jordana mówi o nim Hawk, czyli sokół, prawda? - kiedy skinęła twierdząco, mówił dalej: - Jak myślisz, skąd się to wzięło?

- To chyba skrót od Hawthorne.

- Niektórzy tak właśnie je odbierają, ale szczególnie wśród mężczyzn znaczy to zupełnie co innego. Sokół to drapieżnik obdarzony wyjątkowym wzrokiem, prawda? Potrafi upatrzeć sobie ofiarę, zanim zorientuje się ona, że jest w niebezpieczeństwie.

Aleksandra patrzyła na niego spokojnie nic nie rozumiejąc i Anthony nerwowo potarł ręką czoło.

- Jordana obdarzono tym przezwiskiem już dawno temu, kiedy podbił serce wyjątkowo dumnej młodej piękności, o względy której bezskutecznie starała się połowa kawalerów. Jemu wystarczył jeden wieczór i jeden taniec.

Anthony pochylił się i oparł ręce na oparciach jej fotela.

- Sandy - powiedział ostro - wmówiłaś sobie, że kochałaś i byłaś kochana przez człowieka, którego uważałaś za świętego. W rzeczywistości w sprawach kobiet był bardziej podobny do diabła. I wszyscy o tym wiedzą. Aleksandro, czy ty mnie rozumiesz? - spytał gorzko zbliżając się do niej tak, że jego twarz znalazła się zaledwie o kilka centymetrów od jej twarzy. - Każdy, kto słyszy, jak wspominasz Jordana, jakby był jakimś przeklętym rycerzem w lśniącej zbroi, wie, że jesteś jedną z jego ofiar... Po prostu jedna z niezliczonego szeregu kobiet, które padły ofiarą fatalnego uroku Hawka. Nie starał się ich uwodzić; w połowie przypadków był bardziej zirytowany niż zadowolony, gdy się w nim zakochiwały, ale i tak to robiły. Tak jak ty. W przeciwieństwie jednak do reszty jego zdobyczy ty jesteś zbyt otwarta i prostolinijna, by ukryć swoje uczucia.

Aleksandra poczerwieniała jeszcze bardziej, choć wcale nie uważała, że należy obarczać Jordana winą za to, iż kochały się w nim kobiety.

- Kochałem go jak brata, ale to nie zmienia faktu, że był zatwardziałym uwodzicielem, słusznie posądzanym o niemoralność.

Przeklinając w duchu jej lojalność i niewinność Anthony wyprostował się nagle.

- Nie wierzysz mi, prawda? Dobrze, będę mówił dalej. Pamiętasz, na swoim pierwszym balu zachwycałaś się głośno urodą dwóch kobiet - lady Allison Whitmore i lady

Elżbiety Grangerfield. Obie były niegdyś jego kochankami. Czy rozumiesz, co mam na myśli? Rozumiesz?

Z jej policzków powoli odpłynęły kolory. Kochanka to przecież ktoś, kto dzieli łożę z mężczyzną, który robi jej tak intymne rzeczy, jak niegdyś jej robił Jordan!

Ujrzawszy, jak bardzo zbladła, Anthony postanowił powiedzieć jej od razu wszystko.

- Tej samej nocy zapytałaś, czy Jordan lubił balet. Wszyscy zrywali boki ze śmiechu, bo każdy wie, że Eliza Grandeaux była jego kochanką do dnia jego śmierci. Sandy, kiedy zatrzymaliście się w Londynie w drodze na statek, on był u niej, a przecież było to już po waszym ślubie. Widziano go, jak wychodził z jej domu. A ona powtarzała wszystkim, że traktował wasze małżeństwo jako jedną z niewygód.

Aleksandra zerwała się i gwałtownie potrząsnęła głową, jakby zaprzeczając temu, co właśnie usłyszała.

- Mylisz się. Nie wierzę ci. Powiedział, że ma interesy do załatwienia. Nie byłby zdolny do...

- Był i zrobił to, do diaska! Co więcej, zamierzał zostawić cię w Devon i wrócić do Londynu, gdzie wiódłby dalej wcześniejsze życie. Sam mi to powiedział. Jordan ożenił się z tobą, ponieważ uważał, że powinien, ale ani nie chciał, ani nie zamierzał żyć z tobą jak z żoną. Jedyne, co do ciebie czuł, to współczucie, bo było mu ciebie żal.

Aleksandra szarpnęła głową, jakby dostała policzek.

- Było mu mnie żal? - wstrząśnięta i upokorzona mięła materiał sukni, aż zbieleły jej kostki palców. - Uważał, że jestem godna współczucia?

Nagle zdała sobie sprawę z jeszcze jednej sprawy, która ją poraziła tak, że była bliska mdłości. Jordan zamierzał postąpić z nią tak, jak jej ojciec z matką: poślubić, zostawić swoją żonę w jakimś zapadłym miejscu i wrócić do swojej kobiety!

Anthony wyciągnął ręce, jakby chciał ją objąć i przytulić, ale Sandy gwałtownie odepchnęła jego dłonie i odsunęła się patrząc na niego gniewnie.

- Jak mogłeś! - wykrzyknęła z goryczą i żalem. - Jak mogłeś patrzeć, jak go oplakuję i robię z siebie idiotkę?! Jak mogłeś być tak nieludzko okrutny, by pozwolić mi wierzyć, że zależało mu na mnie?

- Wydawało nam się wtedy, że tak będzie najlepiej - powiedziała księżna wchodząc do pokoju. Lekko kuląca, a była to oznaka jej zakłopotania.

Aleksandra była zbyt poruszona, by się tym martwić.

- Jadę do domu - powiedziała walcząc, by utrzymać na wodzy rozzwierający szloch.

- Nie! - warknął Anthony. - Twoja matka odbywa rejs po wyspach. Nie możesz mieszkać sama...

- Nie muszę mieć twojego pozwolenia, by jechać do domu. Jak również nie potrzebuję materialnego wsparcia. Zgodnie z tym, co mówiła twoja babka, mam swoje pieniądze od tego... Hawka - powiedziała Sandy z goryczą wypowiadając przewisko swojego zmarłego męża.

- Które są pod moją kontrolą jako twojego opiekuna - przypomniał jej Anthony.

- Nie chcę ani nie potrzebuję opiekuna. Dawałam sobie radę sama, odkąd skończyłam czternaście lat.

- Aleksandro, posłuchaj mnie - powiedział Tony nerwowo, chwytając ją za ramiona i lekko potrząsając. - Wiem, że jesteś rozgniewana i rozczarowana, ale nie możesz od nas tak po prostu uciec, nie możesz wymknąć się po cichu z Londynu. Jeżeli to zrobisz teraz, cała ta historia będzie cię prześladować do końca życia. Nie kochałaś Jordana.

- Ach nie? - przerwała Aleksandra z furią. - To może mi wyjaśnisz, z jakiego to powodu przez ostatni rok starałam się stać godną miana wdowy po nim!

- Kochałaś złudzenie, a nie Jordana. Złudzenie, które stworzyłaś ze skrawków Jordana, ponieważ jesteś niewinna i nieświadoma życia!

- I łatwowierna, i ślepa, i głupia, tak? - syknęła.

Upokorzenie i rozpacz nie pozwalały jej przyjąć oferowanego przez Anthony'ego współczucia. Łamiącym się głosem przeprosiła go i uciekła do swojego pokoju.

Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi od sypialni, wybuchnęła płaczem. Płakała nad swoją łatwowiernością, głupotą i nad czasem zmarnowanym na staraniach, aby się stać godną mężczyzny, który nawet nie zasługiwał na miano dżentelmena.

W końcu usiadła, osuszyła łzy i przywoływała wspomnienia, jakie wytworzyła o Jordanie: Zobaczyła siebie na dzień przed ślubem, jak stoi w ogrodzie i pyta: „Masz zamiar mnie pocałować?” a kiedy to zrobił, prawie utonęła w jego ramionach i szybko wyznała mu swoją miłość.

Mary Ellen powiedziała jej, że dżentelmeni lubią być adorowani i podziwiani, a ona z pewnością wzięła wtedy tę radę do serca! „Myślę, że jesteś piękny jak Dawid Michała Anioła”. Pamiętała dobrze, jak mówiła to Jordanowi zaraz po pocałunku.

Całym jej ciałem targnął bolesny paroksyzm wstydu. Jęknęła głośno, aż zginając się wpół, ale upokarzające obrazy z przeszłości nie chciały dać jej spokoju. O Boże! Dała mu zegarek dziadka. Co więcej - powiedziała, że tego właśnie chciałby jej dziadek, bo Jordan to taki szlachetny człowiek. Chciałby pewnie być taki! Jej dziadek, gdyby tylko mógł, z

pewnością zagroziłby drogę temu perfidnemu, pysznemu arystokracie, kiedy tylko pojawił się w drzwiach.

W powozie znów pozwoliła, aby ją całował. Leżała na nim jak głupia, odurzona ladacznica! W łóżku pozwalała mu na wszystkie intymne rzeczy, jakich tylko zapragnął, a on już następnego wieczora poszedł robić to samo ze swoją kochanką.

Tej nocy, gdy uratowała mu życie zabijając rozbójnika, powinna była zabić i jego - Jordana Townsende'a! Jakże nudne musiało mu się jawić jej niedoświadczenie, nic dziwnego, że nie chciał słuchać jej wyznań miłosnych!

* * *

- Jak długo jeszcze? - wyszeptał w ciemności George Morgan.

- Jeszcze godzina i możemy ruszać - odpowiedział krótko Jordan starając się rozruszać bolące mięśnie, by nie zawiodły go, gdy przyjdzie na to pora.

- Na pewno dobrze słyszałeś, że wasze wojska walczą sto kilometrów na południe? Nie chciałbym, żeby potem okazało się, że szliśmy sto kilometrów nie w tym kierunku, co trzeba, ja z chorą nogą, a ty z dziurą w swojej.

- To tylko draśnięcie - odpowiedział Jordan. Rozmawiali o ranie, jaką odniósł wieczorem, gdy obezwładnili strażnika.

Jaskinia, w której ukrywali się od wczoraj, była tak mała, że obaj musieli leżeć zgięci w pół. Jordan czuł potworny ból w zranionej nodze. Starał się nie ruszać, oddychając płytko i szybko, koncentrując wszystkie swoje myśli na Aleksandrze. Usiłował wyobrazić sobie, jak ona wygląda teraz, ale jedyne wyobrażenie, które był w stanie przywołać, to młoda dziewczyna wśród drzew ze szczeniakiem w ramionach, w której oczach błyszczała cała miłość świata. Ze szczelnie zamkniętymi oczami, Jordan w myślach badał każdy rys jej twarzy. Ból w nodze powoli zmniejszał się, aż zelżał do dalekiego ćmienia w zakamarkach świadomości, wciąż obecny, choć teraz już do zniesienia. Stosował ten sposób w przeszłości i zawsze skutkował, tak jak poskutkował i teraz.

Na początku jego uwięzienia, gdy tygodnie upodlenia i tortur doprowadziły go na skraj szaleństwa, właśnie wspomnienie Aleksandry utrzymywało go przy zdrowych zmysłach i odsuwało uczucie bólu. Przywoływał do pamięci każdą sekundę, jaką z nią spędził, koncentrował się na chwilach, gdy się poznali, wspominał każde słowo, każde drgnięcie. Kochał się z nią w zajeździe, wciąż od nowa, rozbierał ją powoli w myślach tysiące razy, trzymając się wspomnienia jej słodczy jak ostatniej deski ratunku.

W miarę jednak, jak tygodnie męki przedłużały się w nieskończoność, wspomnienia wspólnych chwil przestawały mu wystarczać do zagłuszenia bólu i rozpacz. Potrzebował coraz silniejszej broni, by nie ulec zabójczo słodkiemu głosowi, który w środku namawiał go, by poddał się i pogрузzył w błogosławionej nieświadomości, jaką niesie śmierć. Jordan zaczął więc wymyślać sceny wokół rzeczywistych wydarzeń i wzmacniał tym słabnącą siłę woli. Wiedział z doświadczenia, jakie wyniósł z Hiszpanii, że tam, gdzie zagości rozpacz, wkrótce przychodzi unicestwienie.

W wyobraźni stwarzał wszelkie możliwe sytuacje - przyjemne, kiedy to Aleksandra biegła przed nim śmiejąc się radośnie, aż w końcu odwracała się i wyciągała do niego ramiona czekając na niego. Czasami widział także i przerażające sceny, kiedy to przedstawiał ją sobie opuszczoną przez Tony'ego, jak tuła się po ulicach Londynu, mieszka w slumsach i czeka na niego, aby ją uratował. Zaraz potem uciekał w czułe sceny, kiedy to leżała olśniewająca w swej nagości na satynowych prześcieradłach - czekając, by się z nią kochał.

Wymyślał tysiące takich wizji, a ich cechą wspólną było to, że zawsze Aleksandra na niego czeka. Potrzebuje go. Wiedział, że to tylko fantazje, ale i tak się na nich skupiał, ponieważ była to jego jedyna broń przeciwko demonom w jego mózgu, które szeptały mu, by zaprzestał walki, pogрузzył się w szaleństwo, a potem w śmierci.

I tak w ciemnościach swojej zatęchłej nory zamykał oczy i planował ucieczkę, by wrócić do domu, do niej. Teraz, kiedy przez rok wspominał pustkę swojego poprzedniego życia, gotów był pozwolić Aleksandrze, by pokazała mu swój świat, gdzie wszystko było świeże, pełne życia i nieskażone - gdzie za każdym rogiem czekało coś wspaniałego. Chciał pogрузzyć się w jej słodyczy, zapomnieć się w jej radosnym śmiechu i *joie de vivre*. Tak bardzo pragnął zmyć z siebie brud tego więzienia, a potem wyzwolić się z okowów swojego dotychczasowego, bezmyślnego i bezsensownego życia.

Poza tym miał jeszcze jeden cel, mniej szlachetny, ale równie istotny - chciał odkryć tożsamość tego, który dwukrotnie próbował pozbawić go życia. A potem pragnął już tylko zemsty. Tony? Miał istotnie najwięcej do zyskania na jego śmierci, ale o tym Jordan nie chciał jeszcze teraz myśleć. Nie tutaj. Nie bez dowodu. Zbyt blisko byli ze sobą przez te wszystkie lata.

ROZDZIAŁ 17

Aleksandra obudziła się zadziwiająco rześka jak na kogoś, kto spędził większą część nocy na łzawych samooskarżeniach. Wiedza o zdradzie Jordana zniszczyła jej iluzje, lecz okazało się, że życie toczy się dalej i wszystko wokół niej jest takie samo jak zawsze. Myjąc się i ubierając uświadamiała sobie powoli, że to, czego dowiedziała się ostatniej nocy, wyzwoliło ją z okowów lojalności i poświęcenia, które trzymały ją przy pamięci Jordana przez ponad rok.

Teraz była wolna od Jordana Townsende'a. Nikły, gorzki uśmiech wykrzywił jej usta, gdy usiadła przy toalecie i zaczęła szczotkować swoje długie, gęste włosy. Jakie to zabawne, że starając się stać godną miana żony księcia Hawthorne'a zmieniła się w poważną kobietę o niezwykle surowych zasadach, która pasowałaby idealnie do pastora, ale przenigdy do prowadzącego skandalizujące życie, pozbawionego zasad hultaja. A najbardziej zabawne było to, myślała gorzko, że jej prawdziwej naturze obca była wszelka sztywność i surowość.

Uświadomiła sobie nagle, że zawsze próbowała być taka, jaką chcieli ją widzieć ci, których kochała: dla ojca starała się być bardziej synem niż córką, dla matki była raczej rodzicem niż dzieckiem, dla Jordana... stała się chwilową ucieczką od życia, jakie wiódł na co dzień.

Od dzisiaj wszystko miało się jednak zmienić. Nieważne, na lepsze czy na gorsze. Od tej chwili Aleksandra Lawrence Townsende zamierzała się dobrze bawić.

Aby to zrobić, najpierw musiała zmienić opinię słodkiej idiotki, jaką miała w towarzystwie. Ponieważ jej najgłośniejszym i najbardziej wpływowym oponentem był sir Roderick Carstairs, to właśnie od niego należało zacząć. Anthony zamierzał wprawdzie porozmawiać z nim dzisiejszego ranka, ale być może mogłaby sama powiedzieć lub zrobić coś, co zmieniłoby jego opinię o niej. Skoro i tak już tu będzie...

Podczas gdy zastanawiała się nad tym problemem, nagle przypomniała sobie końcówkę swojej rozmowy z Melanią Camden. Lady Camden powiedziała coś, co świadczyło o tym, iż doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Aleksandra jest *persona non grata* w towarzystwie, a jednak mimo to chciała się z nią zaprzyjaźnić. Co więcej, sugerowała to, co Tony zdecydował się jej później wyznać o Jordanie. Aleksandra przerwała na chwilę szczotkowanie włosów, a na jej twarzy zajaśniał zdziwiony uśmiech. Może jednak będzie miała w Londynie prawdziwą przyjaciółkę.

Czując się lżej niż kiedykolwiek przez ostatni rok, szybko upięła włosy i wciągnęła ciasne bryczesy oraz jedną z koszul, które nosiła zwykle podczas porannych ćwiczeń fechtunku z Tonym. Chwyciła swój rapier i maskę ochronną, po czym wyszła z pokoju nucąc lekką melodię, beztroska i radosna.

Tony stał pośrodku pustej sali balowej, w której ćwiczyli co rano, uderzając rapierem o podeszwę swojego buta. Odwrócił się na odgłos jej szybkich kroków na polerowanej posadzce, a na jego twarzy odmalowała się aż nadto widoczna ulga.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz dzisiaj, po ostatniej nocy...

Jej uśmiech powiedział mu jednak, że nie żywi do niego żadnej urazy. Anthony przyglądał jej się zdziwiony zmianą, jaka nagle w niej zaszła. Zdawało mu się, że nie jest to ta sama Sandy, przed którą obnażył wczoraj niecne postęпки jej męża. Podniosła z podłogi ochroniacz na piersi, założyła go, następnie nasunęła maskę i dotknęła rapierem czoła w szermierskim pozdrowieniu.

- *En garde* - rzuciła radośnie.

- Na Boga, Hawthorne! - okrzyk Roddy'ego Carstairsa przerwał Anthony'emu i Aleksandrze bardzo zażarte starcie. - Czy nie jest trochę za wcześnie, aby miotać się ze szpadą i to jeszcze w tak energiczny sposób? - Carstairs przeniósł leniwy wzrok na niezanego mu partnera Tony'ego i rzekł z podziwem. - Kimkolwiek pan jesteś, bez wątpienia diabelnie dobry z pana szermierz.

Czekając, aż jej przyspieszony oddech wróci do normy, Aleksandra stała trzymając ręce na biodrach i rozważała, czy lepiej zdjąć maskę i pokazać się Carstairsowi tak jak stała, czy też poczekać i spotkać się z nim później w salonie, tak jak planowała pierwotnie. Przypominając sobie jednak to, co słyszała o Carstairsie od Tony'ego, postanowiła wybrać raczej brawurę niż trzórzostwo.

Szybko odwiązała więc sznurek przytrzymujący z tyłu jej maskę. Niechcący wytrąciła spinki przytrzymujące splecione z tyłu głowy włosy. Jednym ruchem ściągnęła maskę i potrząsnęła głową, a wtedy jej ciężkie loki opadły na ramiona bujną kasztanową kaskadą.

- Nie wierzę - niewzruszony sir Roderick wrósł w podłogę, gapiąc się na stojącą przed nim roześmianą kobietę. Jego twarz przybrała dość komiczny wyraz, kiedy to próbował pogodzić się z myślą, że sztywna, bezbarwna gęś, jaką poślubił Hawk, to ta sama osoba, która stoi oto przed nim w bryczesach bardziej uwodzicielskich niż najgłębiej wycięta suknia balowa. Co więcej, błękitnozielone oczy tej kobiety iskrzyły się śmiechem, kiedy patrzyła na jego zaskoczoną minę.

- Niech nie wyjdę z piekła... - zaczął, ale przerwał mu niski, gardłowy śmiech Aleksandry. Nigdy dotąd u niej takiego nie słyszał.

- Nie wątpię, że tak będzie - wtrąciła z udawanym współczuciem podchodząc do niego z naturalną gracją młodego sportowca. - A jeżeli nie, to na pewno powinno tak być - dodała i wyciągnęła dłoń, jak gdyby wcale nie życzyła mu przed chwilą wiecznego potępienia.

Podejrzewając jakiś podstęp, może nawet bliźniaczki, Roddy odruchowo ujął jej wyciągniętą dłoń.

- Dlaczegoż to? - zapytał zły na siebie za to, że nie jest w stanie zapanować nad wyrazem twarzy.

- Ponieważ - powiedziała Aleksandra lekko - uczynił pan ze mnie przedmiot żartów, na co zresztą częściowo zasłużyłam. Jednakże, być może zechce pan rozważyć możliwość poprawy, tak aby mieć szansę na spędzenie wieczności w wygodniejszych warunkach? - jedna z wygiętych w łagodny łuk brwi uniosła się, gdy Aleksandra czekała na odpowiedź i wbrew samemu sobie Roddy prawie zachichotał.

Anthony stał cicho, z zadowoleniem obserwując reakcję Carstairsa na objawienie się Sandy w całkiem nowej postaci.

- Domyślam się, że obwinia mnie pani za swój brak... hm... powiedzmy... popularności? - zapytał Roddy Carstairs wracając powoli do siebie po szoku.

- Obwiniam samą siebie - odpowiedziała młoda piękność ze słodkim uśmiechem, nieświadomie uwodzicielskim. - Proszę pana o pomoc, aby zmienić ten stan rzeczy jak najprędzej.

- Dlaczegoż miałbym to zrobić? - zapytał otępiały. Aleksandra uniosła brwi, uśmiechając się niewinnie.

- Żeby udowodnić, że potrafi pan tego dokonać, oczywiście.

Wyzwanie zostało rzucone łagodnie jak rękawiczka, a Roddy zawahał się, czy je przyjąć. Z czystej perwersji i potwornej nudy bez skrupułów niszczył reputacje dziesiątek pretensjonalnie dumnych kobiet, ale nigdy nie próbował odbudować którejs z tych zniszczonych reputacji. Taka próba byłaby testem ogniowym jego wpływów w towarzystwie. A gdyby miała to być porażka... Mimo to wyzwanie wydawało mu się pociągające. Księżna była na tyle wpływowa, by zmusić starsze pokolenie do zaakceptowania Aleksandry, ale tylko dzięki Roddy'emu mogła stać się popularna wśród młodzieży, która podążała zawsze za jego wskazówkami.

Spojrzał na Sandy i dostrzegł, że przygląda mu się spod zmrużonych powiek, a na jej ustach igra uśmiech. Ze zdziwieniem zauważył, jak niesamowicie długie i podwinięte są jej

rzęsy, i jak dwa czarne wachlarze rzucają długie cienie na jej delikatne policzki. Prawie wbrew własnej woli i zdrowemu rozsądkowi Roddy Carstairs podał jej swoje ramię.

- Czy możemy omówić naszą strategię później, powiedzmy dziś wieczorem, gdy przyjadę po panią, aby ją zabrać na bal u Tinsleyów?

- A więc pomoże mi pan?

Sir Roderick uśmiechnął się z wyższością i odpowiedział filozoficznym cytatem:

- Nic nie jest zbyt wysokie dla śmiertelników, w swej głupocie wzburzamy nawet niebo. To cytat z Homera, jeśli się nie mylę - dodał wyjaśniająco.

Dziewiętnastoletnia ruda łobuzica u jego boku pokręciła przecząco głową, posyłając mu impertynencki uśmiech.

- Z Horacego.

Carstairs patrzył na nią nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Ma pani rację - powiedział wolno, a w jego oczach widać było rodzące się uwielbienie.

* * *

Jakie to było proste, myślała Aleksandra z uśmiechem cztery tygodnie później, stojąc otoczona tłumem przyjaciół i wielbicieli. Zgodnie z radą Melanii wymieniła całą swoją garderobę, kupiła sukienki w pastelowych kolorach wiosny, które podkreślały jej figurę i łagodziły żywe kolory, jakimi obdarzyła ją natura. Poza tym nie musiała wiele zmieniać. Wystarczyło tylko zapomnieć o wszystkich sztywnych zaleceniach księżnej, co należy mówić i zamiast tego pleść to, co jej tylko przyszło do głowy.

Reszty dokonał Roddy pojawiając się z nią publicznie i tym samym oficjalnie ją aprobując. Udzielił jej przy tym kilku cennych rad, takich jak ta, aby utrzymywała dobre stosunki z dawnymi metresami Jordana, lady Whitmore i lady Grangerfield.

- Przez pani niewyobrażalnie naiwne uwagi na temat cnót swojego męża - instruował ją podczas drogi na ich pierwszy bal - jak również wyrażenie absurdalnych komplementów o urodzie jego dawnych kochanek, nie pozostaje pani nic innego jak to, aby widziano, że pozostajesz w dobrych stosunkach z tymi damami. Wszyscy wtedy będą musieli przyznać, że nie jesteś wcale naiwną gęsią, lecz młodą damą z jak dotąd niedocenionym, wysoko rozwiniętym poczuciem humoru.

Aleksandra posłuchała jego rady, jak również wszystkich pozostałych wskazówek i w ciągu czterech krótkich tygodni osiągnęła sukces.

Na tle młodych dziewcząt rozpoczynających swój pierwszy sezon w towarzystwie, naturalny wdzięk Aleksandry i jej inteligencja sprawiały, że zdawała się być wyrafinowana i godna pożądania. Wśród prawdziwie doświadczonych mężatek jej otwartość i szczerzy uśmiech sprawiały, że wydawała się bardziej delikatna, kobieca, mniej wyrachowana. W morzu blondynek o mlecznej cerze Aleksandra ze swoją śniadą karnacją i kasztanowymi włosami, lśniła jak klejnot na tle bladej satyny.

Była impulsywna, dowcipna i wesoła, ale swojej popularności nie zawdzięczała, o dziwo, ani swojej urodzie i wdziękowi, ani olbrzymiemu posagowi, jakim obdarzył ją Anthony, ani nawet koneksjom z rodziną Townsende'ów, jakie przyniosłaby swojemu nowemu mężowi.

W krótkim czasie stała się dla wszystkich intrygującą zagadką, tajemnicą. Była żoną najbardziej pożądanego i największego uwodziciela w Anglii, a więc każdy przyjmował za pewnik, że jest niedościgniona w sztuce miłości. Mimo to, gdy była nawet w najlepszym humorze, wyczuwało się w niej świeżość i niewinność, które hamowały większość mężczyzn w zbyt śmiałych poczynaniach. Roztaczała wokół siebie dyskretną aurę dumy i godności, co ostrzegało mężczyzn, by nie podchodzili zbyt blisko.

Jeden z zadurzonych w niej admiratorów, lord Merriweather określił to w ten sposób:

- Sprawia, że chcę wiedzieć o niej wszystko, a jednocześnie mam wrażenie, że nigdy mi się to nie uda. Ośmielam się powiedzieć, że nikt nie zna prawdziwej Aleksandry Townsende, tej, która istnieje realnie. Wdowa po Hawthornie jest zagadką. Jest piekielnie intrygująca.

Kiedy Roddy powtórzył słowa lorda Merriweathera Aleksandrze, jej wargi zadrżały od powstrzymywanego śmiechu. Wiedziała, dlaczego dżentelmeni z towarzystwa uważają ją za „tajemniczą” i trudną do rozszyfrowania. Pod starannie skonstruowaną skorupą wyrafinowania Aleksandra Lawrence Townsende grała starannie obmyślaną rolę.

Z pozoru częściowo przyjęła niedbale nonszalancką pozę, co było rygiorem w towarzystwie - zwłaszcza w kręgu znajomych Jordana - ale ani wymagania towarzyskie, ani ona sama nie mogły wykorzenić jej wigoru i wrodzonego zdrowego rozsądku. Nie potrafiła zgasić iskerek śmiechu, które pojawiały się w jej oczach, gdy ktoś powiedział jej szczególnie płytkie komplementy. Nie mogła też zapobiec rumieńcom podniecenia, którymi zabarwiały się jej policzki, gdy rzucono jej wyzwanie konnego wyścigu przez Hyde Park. Nie umiała również całkowicie ukryć fascynacji opowieściami znajomego odkrywcy o jego ostatniej wyprawie przez dżungle dalekiego kontynentu, gdzie tubylcy używali zatrutych strzał.

Świat i ludzie, którzy go zamieszkiwali, ponownie stali się dla niej podniecający i interesujący tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i siedziała na kolanach dziadka.

Stojący obok niej jeden z wielbicieli zaoferował jej kieliszek szampana i Aleksandra przyjęła go z łagodnym uśmiechem. Uniosła trunek do ust obserwując jednocześnie wirujących w walcu tancerzy. Po przeciwnej stronie sali Roddy uniósł swój kieliszek w niemym toaście, a ona odpowiedziała mu tym samym. Roddy Carstairs nadal pod wieloma względami był dla niej zagadką, choć na swój sposób lubiła go i była mu wdzięczna.

Tylko raz w ciągu całego tego czasu Roddy dał jej powód do gniewu i dąsów. Było to wtedy, gdy opowiedział wszystkim historię o tym, jak poznała Jordana. Powierzyła mu ją w sekrecie, a on dał jej słowo, że nikomu tego nie powtórzy.

W ciągu dwudziestu czterech godzin Londyn zahuczał plotkami, że Aleksandra Townsende, jako siedemnastoletnia dziewczyna ocaliła życie Hawka.

W ciągu dalszych czterdziestu ośmiu godzin, aura „tajemniczości” otaczająca Aleksandrę zwiększyła się dziesięciokrotnie, tak samo jak jej popularność i krąg wielbicieli.

Kiedy Aleksandra wypomniała Roddy'emu jego perfidię, popatrzył na nią z politowaniem.

- Moja droga dziewczyno - wycedził powoli. - Dałem słowo, że nikomu nie powiem, jak to zabiłaś człowieka, aby uratować życie drogiego Jordana, ale nie przypominam sobie, abym przysięgał komukolwiek, że nikomu nie powiem, iż ocaliłaś mu życie. Ten smaczny kąsek był absolutnie zbyt przepyszny, by zatrzymać go dla siebie. Twój zmarły mąż - wyjaśniał z ironicznym uśmiechem - był uznawany raczej za takiego, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Wszyscy wiedzieli, że jest świetnym strzelcem i doskonałym szermierzem. Wielu mężów, w tym małżonkowie lady Whitmore i lady Grangerfield, przekonało się o tym na własnej skórze.

Aleksandrę oburzała taka hipokryzja, choć starała się nie oceniać nikogo zbyt surowo. Zbyt dobrze pamiętała, jak czuje się człowiek, odrzucony przez innych.

W rezultacie młodzi mężczyźni lgnęli do niej, ponieważ wiedzieli, że prześliczna księżna Hawthorne nigdy nie upokorzy ich szyderczym spojrzeniem czy złośliwym żartem. Starsi, inteligentni mężczyźni przepychali się także, aby zaprosić ją na obiad lub zatańczyć z nią, ponieważ nie musieli przy niej głosić absurdalnych, choć towarzysko koniecznych uprzejmości, a zamiast tego mogli z nią dyskutować na wiele interesujących tematów.

Wszyscy młodzieńcy uznani za dobre partie podziwiali nie tylko jej oryginalną urodę, ale również słynne umiejętności szermierskie. Dobijali się do domu ulicy Upper Brook Street

w nadziei, że uda im się zobaczyć Aleksandrę, jak fechtuje, a może nawet, że sami dostąpią zaszczytu walki z nią i oczarują ją umiejętnościami w tej dziedzinie.

Jeśli zaś chodzi o starania mające na celu zwrócenie jej uwagi, młody lord Sevely, który był zbyt flegmatyczny, by fechtować, i zbyt nieśmiały, by poprosić ją do tańca, przebił wszystkich. Zauważył, że lady Melania Camden i stary kamerdyner w domu przy Brook Street (który zdawał się niedosłyszeć) zwracają się do Aleksandry pewnym zdrobnieniem. Napisał poemat, który następnie opublikował. Zatytułował go „Oda do Sandy”.

Aby nie zostać pokonanym przez takiego półgłówka jak Sevely, starszy sir Dilbeck, którego hobby była botanika, uhonorował Aleksandrę nowo wyhodowaną odmianą róż, nazywając ją „Cudowna Sandy”.

Reszta wielbicieli Aleksandry, oburzona postępami, dokonanymi przez tamtych dwóch, natychmiast poszła w ich ślady. Oni również zaczęli nazywać ją Sandy.

ROZDZIAŁ 18

W odpowiedzi na wezwanie babki Anthony wszedł do pokoju rysunków. Księżna stała przy oknie, patrząc na modne powozy wracające na Upper Brook Street z rytualnej popołudniowej przejażdżki do parku.

- Podejdz tu na chwilę, Anthony - odezwała się najbardziej królewskim ze swoich tonów. - Wyjrzyj na ulicę i powiedz, co widzisz.

Anthony wyjrzał przez okno.

- Powozy wracające z parku, taki sam widok jak co dzień.

- A co jeszcze widzisz?

- Widzę Aleksandrę jadącą w jednym z nich z Johnem Hollidayem. W dwukółce za nimi jedzie Peter Weslyn, razem z nim jest Gordon Bradford. Powóz przed Hollidayem należy do lorda Tinsdale'a, który jest już w salonie czekając razem z Jimmym Montfortem. Biedny Holliday - zachichotał Anthony. - Przysłał mi bilet, w którym prosi mnie dziś po południu o prywatną rozmowę. Tak samo jak Weslyn, Bradford i Tinsdale. Oczywiście, zamierzają poprosić o rękę Aleksandry.

- Oczywiście - zawtórowała zdenerwowana księżna. - I o to mi właśnie chodzi. Dzisiejszy dzień jest dokładnie taki sam jak inne od blisko miesiąca - adoratorzy przybywają parami i grupami, powodują zatory na pobliskich ulicach, tłoczą się we wszystkich pokojach na dole, a Aleksandra nie ma zamiaru wychodzić za mąż, co już dała jasno do zrozumienia wielu z nich. A oni mimo to nadal ściągają do tego domu z bukietami kwiatów i wychodzą potem z chęcią mordy w oczach.

- Ależ, babuniu - próbował łagodzić Anthony.

- Żadne „ależ, babuniu” - przerwała mu z groźnym sapnięciem. - Może jestem stara, ale nie głupia. Na moich oczach dzieje się coś niedobrego i niebezpiecznego. Aleksandra zaczyna stanowić coś w rodzaju wyzwania dla całej waszej głupawej płci. Odkąd odkryła uczucia Jordana względem niej, a Carstairs wziął ją pod swoje skrzydła, zaczęła się zmieniać i błyszczeć niemal z dnia na dzień. Kiedy to się stało, jej koligacje z naszą rodziną wraz z olbrzymim posagiem, jaki dla niej ustanowiliśmy, stworzyły wyjątkowo łakomy kąsek dla wszystkich kawalerów potrzebujących pieniędzy lub pragnących mieć utytułowaną żonę.

Księżna przerwała czekając na kontrargumenty ze strony swojego wnuka, ale on trwał w milczeniu.

- Jeśli Aleksandra wyróżniłaby któregoś z mężczyzn, czy też choćby preferowała jakiś określony typ mężczyzny - mówiła księżna dalej - być może reszta dałaby spokój i odeszła, ale ona tak nie zrobiła. W efekcie jesteśmy na straconej pozycji, za co winię całą twoją płęć.

- Moją płęć? - tępo powtórzył Anthony. - Co masz przez to na myśli?

- Mam na myśli to, że kiedy mężczyzna widzi coś, co jest także w zasięgu ręki innego mężczyzny, natychmiast to musi mieć, tylko po to, żeby udowodnić, że może. - Przerwała, aby spojrzeć oskarżycielsko na zdumionego Anthony'ego. - Jest to obrzydliwy nawyk, który przynależy mężczyźnie już od chwili jego narodzin. Idź do jakiegokolwiek ochronki, a sam zobaczysz, jak zachowuje się niemowlę płci męskiej. Jeżeli w pobliżu znajduje się inny osesek, nieważne, czy młodszy czy starszy, chłopczyk będzie zawsze próbował mu zabrać zabawkę, którą ten się bawi. Nie żeby mu na niej zależało, on chce tylko udowodnić, że potrafi ją zdobyć!

- Dziękuję, babciu - wpadł jej w słowo Anthony - za tak rozległą krytykę połowy rodzaju ludzkiego.

- Po prostu stwierdzam fakt. Moja płęć nie ustawia się w kolejkach, gdy tylko zostaje ogłoszony jakikolwiek konkurs.

- To prawda.

- A właśnie z tym mamy tu do czynienia. Coraz więcej zawodników przyciągniętych wyzwaniem. Mam wrażenie, że stawiają już zakłady, kto wygra Aleksandrę. Było wystarczająco źle, gdy się z niej śmiali, ale teraz sytuacja staje się jeszcze gorsza, znacznie gorsza.

- To znaczy? - zapytał Anthony marszcząc brwi. Okazało się, że babka sprawnie oszacowała sytuację, która stała się wyjątkowo delikatna i skomplikowana.

- Aleksandra stała się nagrodą - powiedziała ponuro. - Jest nagrodą do wygrania - lub zdobycia w jakikolwiek inny sposób - przez pierwszego mężczyznę, który będzie wystarczająco śmiały, aby po nią sięgnąć.

Anthony otworzył usta, ale babka machnęła tylko ku niemu upierścienioną dłonią.

- Nie sil się, by zaprzeczyć, bo wiem, że pierwsza próba miała już miejsce. Trzy dni temu Marbly zaproponował mały wypad do Cadbury, na co Aleksandra z chęcią przystała. Jeden z odrzuconych wielbicieli słyszał, jak Marbly mówił, że zamiast do Cadbury ma zamiar zabrać Aleksandrę do swojej wiejskiej siedziby w Wilton i zatrzymać na noc. Ów wielbiciel przekazał tę informację tobie. Wiem, że dogoniłeś Marbly'ego i Aleksandrę, gdy byli godzinę drogi stąd, przed skrzętem na Wilton. Przywiozłeś ją z powrotem pod pozorem, że ja zażyczyłam sobie jej obecności - co było naprawdę sprytne. Gdybyś zażądał satysfakcji,

skandal, jakim stałby się pojedynek, fatalnie wpłynąłby na reputację Aleksandry i zwiększył nasze problemy dziesięciokrotnie.

- W każdym razie - wtrącił Anthony - Aleksandra nic nie wiedziała o zamiarach Marbly'ego i do tej pory nie widziałem powodu, by ją tym niepokoić. Poprosiłem tylko, żeby się z nim więcej nie widywała, a ona przystała na to bez oporu.

- A co z Ridgelym? Co mu strzeliło do głowy, że zabrał ją na jarmark! Cały Londyn aż huczy.

- Aleksandra chodziła na jarmarki, gdy była dzieckiem. Nie miała pojęcia, że nie powinna być z nim iść.

- Ridgely jest podobno dżentelmenem - ucięła księżna. - Powinien wiedzieć lepiej. Co go opętało, żeby zabrać niewinną, młodą damę w takie miejsce?

- To właśnie reszta naszego problemu - odparł Anthony zmartwiony, pocierając z zakłopotaniem kark. - Aleksandra jest wdową, nie panną. Te nieliczne skrupuły, jakie posiadają „dżentelmeni” rzadko odnoszą się do doświadczonych kobiet - zwłaszcza jeżeli kobieta poraża ich dowcipem, tak jak Aleksandra.

- Nie powiedziałabym, że Aleksandra jest doświadczoną osobą. Ona... dopiero niedawno stała się kobietą.

Mimo powagi problemu Anthony uśmiechnął się na tak wyraźnie nieadekwatne określenie oszałamiającej młodej piękności o zniewalającym uśmiechu i powabnej figurze. Ale zaraz uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Ta cała sprawa jest tak piekielnie skomplikowana, bo Aleksandra jest taka młoda, a już miała męża. Gdyby wciąż była mężatką, tak jak hrabina Camden, nikt nie mrugnąłby okiem na jej zarciki. Gdyby była starsza, towarzystwo nie spodziewałoby się po niej, że będzie zachowywać się, tak jak młodsze dziewczęta. Gdyby była pospolita, wszyscy ci odrzuceni kawalerowie nie staraliby się tak usilnie zepsuć jej reputacji, powodowani złośliwością i zazdrością.

- A robią to?

- Tylko dwóch czy trzech, ale są bardzo zajęci szeptaniem do właściwych uszu. A wie babcia równie dobrze jak ja, jak łatwo plotka rodzi plotkę, a kiedy złapie wiatr w żagle, rozprzestrzenia się we wszystkich kierunkach. W końcu każdy będzie słyszał wystarczająco wiele, aby zacząć wierzyć, że musi być w tym przynajmniej ziarno prawdy.

- Jak jest źle?

- Jeszcze nie jest źle. W tej chwili odrzuceni wielbiciele zdołali jedynie przedstawić w bardzo niepochlebnym świetle niewinne przygody Aleksandry.

- Na przykład? Anthony chrząknął.

- Aleksandra spędziła ostatni weekend w Southeby i była tam na przyjęciu. Umówiła się z pewnym dżentelmenem na poranną przejażdżkę i opuścili stajnię około ósmej. Wrócili dopiero wtedy, gdy już szarzało, a wszyscy widzieli, że suknie Aleksandry były podarte i w nieładzie.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła księżna łapiąc się nerwowo za serce.

Anthony uśmiechnął się.

- Ów dżentelmen ma siedemdziesiąt pięć lat i jest wikarym w Southeby. Chciał pokazać Aleksandrze stary cmentarz, który odkrył przypadkiem tydzień wcześniej, aby i ona mogła podziwiać jakieś fascynujące epitafia, które tam widział. Niestety nie pamiętał dokładnego położenia cmentarza i kiedy wreszcie tam dotarli, Aleksandra zgubiła drogę, a starszek był tak wyczerpany długą jazdą, że bał się wracać konno. Naturalnie Aleksandra nie mogła bez niego wrócić, nawet gdyby chciała.

- A co z jej suknią?

- Tren od jej stroju do konnej jazdy był oberwany.

- Więc cała sprawa była zbyt trywialna, by o niej wspominać?

- Tak jest, ale historia została powtórzona i wyolbrzymiona tak wiele razy, że stała się przykładem niewłaściwego prowadzenia. Najbardziej oczywistym rozwiązaniem jest wynajęcie jakiejś starej smoczycy, *pardon*, chciałem powiedzieć dostatecznie godnej starszej damy, która towarzyszyłaby Aleksandrze we wszystkich jej wyjściach, ale jeżeli to zrobimy - zwłaszcza w świetle ostatnich plotek - wszyscy pomyślą, że jej nie ufamy. Poza tym zepsułoby to jej całkowicie pierwszy sezon w Londynie.

- Bzdura! - stanowczo stwierdziła księżna. - Aleksandra wcale nie bawi się dobrze i właśnie dlatego cię tutaj poprosiłam, żeby udowodnić Jordanowi, że potrafi tego dokonać, że jest w stanie pobić go w jego własnej grze. Gdyby jej adoratorzy zniknęli z powierzchni ziemi, nawet by nie zauważyła, a poza tym nic by jej to nie obeszło. Anthony westchnął.

- Nie nazwałbym niewinnej wyprawy na jarmark czy wyścigu przez Hyde Park na koniu Jordana, czy też jakiegokolwiek innej nieszkodliwej rozrywki próbą pobicia Jordana w jego własnej grze.

- Mimo to - odpowiedziała księżna, aby mieć ostatnie słowo - ona to właśnie robi, chociaż wątpię, czy zdaje sobie z tego sprawę.

Tony zawahał się, po czym potrząsnął głową.

- Chyba ma babcia rację.

- Oczywiście, że mam - odparła z naciskiem. - Zgodzisz się również, że obecna sytuacja wystawia opinie i przyszłość Aleksandry na poważne niebezpieczeństwo a co więcej, stan ten wciąż się pogarsza. Pod władczym spojrzeniem babki po tak trafnej ocenie sytuacji Anthony schował ręce do kieszeni i pokiwał głową.

- Zgadzam się z babcią.

- Doskonale - odpowiedziała zadowolona. - W takim razie zrozumiesz, kiedy ci powiem, że nie chcę spędzić reszty życia w londyńskim domu obleżonym przez wielbicieli Aleksandry, czekając, aż wreszcie któremuś z nich uda się to co próbował zrobić Marbly, lub coś nawet gorszego. Chcę przeżyć te lata, które mi jeszcze pozostały w Rosemeade. Ale nie mogę tego zrobić, ponieważ Aleksandra musiałaby mi towarzyszyć, a to uczyniłoby jej przyszłość jeszcze smutniejszą niż tu, chociaż z całkiem innych powodów. Jedynym wyjściem, jakie pozostaje, byłoby zostawić ją tutaj z tobą, ale to jest wykluczone. Wywołałoby to taki skandal, że aż strach pomyśleć. - Przerwała na chwilę, by przypatrzeć się uważnie Anthony'emu czekając na jego odpowiedź, jakby miała ona wyjątkowe znaczenie.

- Żadne z tych rozwiązań nie jest dobre - zgodził się Tony. Księżna przyjęła jego odpowiedź z wyraźnym zadowoleniem.

- Wiedziałam, że będziesz myślał tak jak ja. Jesteś człowiekiem o wyjątkowym darze zrozumienia i współczucia, Anthony.

- E... dziękuję babciu - odpowiedział Tony najwyraźniej zaskoczony takimi komplementami ze strony swej zawsze zgryźliwej babki.

- A teraz, kiedy już okazało się, że jesteśmy zgodni - kontynuowała księżna - muszę cię prosić o przysługę.

- Cokolwiek tylko zechcesz, babciu.

- Ożeń się z Aleksandrą.

- Cokolwiek oprócz tego - gładko poprawił się Anthony, ponuro marszcząc brwi.

W odpowiedzi księżna pogardliwie uniosła brwi i popatrzyła na niego wzrokiem, który mówił aż nadto dobitnie, że jej jedyny wnuk właśnie stracił wszystko w jej oczach. Spojrzenie to stosowała od pięćdziesięciu lat - zawsze z powodzeniem - aby zastraszyć lordów, trzymać w ryzach służbę, uciszać dzieci i dławić w zarodku sprzeciwy, gdy ktoś ośmielił się jej przeciwstawić, łącznie z mężem i synami. Tylko Jordan był odporny na to spojrzenie. Jordan i jego matka.

Anthony jednakże nie był na nie bardziej odporny niż wtedy, gdy miał dwanaście lat i to spojrzenie uciszało jego płaczliwe protesty przeciw nauce łaciny i sprawiało, że trwożliwie

zamykał się w swoim pokoju, aby pilnie studiować księgi. Teraz westchnął tylko i rozpaczliwie szukał sposobu ucieczki z pułapki, w której się znalazł. Bo była to pułapka.

Księżna czekała w milczeniu.

Milczenie było jej następną bronią, o czym Anthony doskonale wiedział. Zawsze w takich chwilach czekała w milczeniu. Było o wiele przyjemniej, a także bardziej dystyn-
gowanie, czekać uprzejmie, aż ofiara przestanie się miotać, niż dobijając ją lawiną
niepotrzebnych słów.

- Chyba babcia sobie nie zdaje sprawy, o co mnie prosi - odpowiedział Anthony ze
złością.

Jego opór zamiast pełnej entuzjazmu natychmiastowej zgody sprawił, że jej brwi
uniosły się jeszcze wyżej, dając do zrozumienia, że jej własny wnuk nie tylko ją
rozczarowuje, ale również denerwuje, zmuszając do oddania ostrzegawczego strzału. Skoro
już do tego doszło, wystrzeliła wcale się nie wahając i waląc prosto z mostu, tak jak się tego
zresztą Anthony spodziewał. Cel jej werbalnego ataku był ściśle namierzony.

- Mam szczerą nadzieję - zaczęła z idealnie zaakcentowaną pogardą - że nie
zamierzasz mi wmawiać, iż Aleksandra ci się nie podoba.

- A gdybym to właśnie powiedział?

Jej brwi powędrowały jeszcze wyżej, niemo ostrzegając, że jest skłonna otworzyć
zmasowany ogień, gdyby nadal się upierał.

- Nie ma potrzeby wyciągać armat - uprzedził Anthony unosząc ręce w geście
poddania. Chociaż czuł się urażony w swej wolnej woli faktem, że jednym spojrzeniem spra-
wiała, iż czuł się jak mały chłopiec, był jednocześnie wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że
prawdziwą dziecinadą jest kłótnia z nią, zwłaszcza kiedy miała rację.

- Nie przeczę, że sam myślałem o tym, i to więcej niż jeden raz.

Jej brwi opadły do normalnego poziomu. Nagrodziła go ledwie dostrzegalnym
kiwnięciem siwej głowy; był to gest, który oznaczał, że być może istnieje szansa na pokój.

- Jesteś bardzo wrażliwy. - Zawsze była wspaniałomyślna wobec tych, których pobiła.

- Nie zgadzam się na twoją propozycję, ale zgadzam się przedyskutować ją z
Aleksandrą i jej pozostawić decyzję.

- Aleksandra nie ma w tej kwestii większego wyboru niż ty, mój drogi - powiedziała
tak uradowana swym zwycięstwem, że użyła wobec niego czułego słowa, nie czekając
tygodni czy nawet miesięcy z wybaczeniem mu jego opornej kapitulacji.

- I nie ma potrzeby się kłopotać, kiedy i gdzie z nią porozmawiasz. Poinstruowałam już Higginsa, by ją do nas przyprowadził - przerwała słysząc pukanie do drzwi - właśnie teraz.

- Teraz! - wybuchnął Anthony. - Nie mogę tego zrobić teraz. Na dole czeka trzech mężczyzn, którzy przyszli prosić mnie o jej rękę!

Oddaliła ten problem jednym kiwnięciem palca.

- Powiem Higginsowi, by ich odprawił. - I nie czekając na protesty Anthony'ego, otworzyła Aleksandrze drzwi. Jej wnuk w zadziwieniu patrzył, jak na widok młodej kobiety łagodnieją rysy twarzy księżnej, tak zacięte w walce, która odbyła się przed chwilą.

- Aleksandro - zaczęła surowo, choć nie bez uczucia - twoje zachowanie przysparza nam wielu trosk. Wiem, że nie chcesz mnie martwić, bo nie jestem już młodą kobietą...

- Martwić panią? - Aleksandra powtórzyła zaniepokojona. - Moje zachowanie? Cóż takiego zrobiłam?

- Powiem ci - odparła babka, po czym bezlitośnie zaczęła tyradę mającą wzbudzić w Aleksandrze niepokój, zastraszyć ją i wepchnąć w ramiona Anthony'ego.

- Ta potworna sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się wszyscy, nie jest całkowicie twoją winą. Ale pozostaje faktem, że gdyby Anthony nie dowiedział się na czas o twojej eskapadzie do Cadbury z sir Marblym, znalazłabyś się w Wilton, nie mając odwrotu i będąc zmuszoną poślubić tego nikczemnika. Te wszystkie przejażdżki, zmiany adoratorów, muszą się wreszcie skończyć. Wszyscy myślą, że świetnie się bawisz, ale ja wiem lepiej! Jesteś taka dzika i niepokorna tylko po to, by dokuczyć Jordanowi! Chcesz pokazać mu, że możesz robić to, co on. Co więcej - dodała podnosząc głos i dając do zrozumienia, że teraz powie coś naprawdę ważnego - Jordan nie żyje.

Aleksandra patrzyła na nią zakłopotana.

- Wiem.

- To dobrze. W takim razie nie ma powodu, byś dalej tak się zachowywała.

W rzadkim u niej geście czułości pogładziła Aleksandrę po policzku.

- Przestań, zanim zrobisz coś, co nieodwracalnie zniszczy twoją dumę i reputację, a przy okazji godność całej rodziny. Musisz wyjść za mąż, moja droga, a moja rada, jako osoby, której szczerze na tobie zależy, jest taka, aby był to Anthony, który zresztą również tego pragnie.

Cofnęła rękę, po czym wypaliła resztą swojej amunicji.

- Potrzebujesz kogoś, kto zajmie twoje myśli, Aleksandro. Bardzo dobrze zrobią to mąż i dzieci. Do tej pory tańczyłaś sobie beztrudnie, a teraz obawiam się, że nadszedł czas,

aby zapłacić skrzypkowi. Suknie na londyński sezon kosztują fortunę, a my nie jesteśmy stworzeni z pieniędzy. Zostawię was teraz z Anthonym, abyście omówili szczegóły.

Posłała Aleksandrze opiekuńczy uśmiech, taki sam Anthony'emu i dostojnie ruszyła do drzwi. Przed wyjściem odwróciła się jeszcze na chwilę i rzuciła im obojgu:

- Zaplanujcie bardzo miły, tym razem duży ślub, ale bez dalszej zwłoki, oczywiście.

- Oczywiście - automatycznie odparł Anthony. Aleksandra nie odpowiedziała nic, stała wrośnięta w podłogę.

Księżna uśmiechnęła się do swojego wnuka i skierowała do Aleksandry ostatnią uwagę.

- Nigdy przedtem tego nie mówiłam, ale jestem przesadna. Wydaje mi się, że coś, co się źle zaczyna, rzadko kończy się dobrze. A twój ślub z Jordanem był taką małą, niezobowiązującą sprawą. Duży kościelny ślub będzie tym, co powinno mieć miejsce w tej rodzinie. Towarzystwo będzie nim zachwycone, będą pamiętali o czymś lepszym niż to całe gadanie do tej pory. Trzy tygodnie od dzisiaj to bardzo dobra data. Nie czekając na odpowiedź zamknęła za sobą drzwi, skutecznie zapobiegając próbom protestów ze strony Tony'ego lub Aleksandry.

Kiedy wyszła, Aleksandra opadła na krzesło i powoli odwróciła się do Anthony'ego, który uśmiechał się do drzwi.

- Jest bardziej przebiegła, niż kiedykolwiek przypuszczałem - zauważył z podziwem i złością odwracając się do Aleksandry. - Hawk był jedynym, którego nie mogła pokonać jednym z tych swoich spojrzeń. Mój ojciec bał się jej śmiertelnie, tak samo jak ojciec Jordana. I mój dziadek...

- Tony - przerwała mi Aleksandra żałościwie, pogrążona w wyrzutach sumienia i zakłopotaniu. - Co ja zrobiłam? Nie miałam pojęcia, że przynoszę wam ujmę. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że wydaję za dużo na suknie? - Nie mogła dalej mówić płonąca ze wstydu, gdy zobaczyła siebie w nowym świetle, jako wiodącą frywolne, kosztowe i bezsensowne życie.

- Aleksandro! - wykrzyknął, a ona patrzyła tępo na jego uśmiechniętą twarz. - Zostałaś właśnie poddana najbardziej zmasowanemu atakowi celowych oskarżeń oraz manipulacji. Poza tym był to najbardziej bezwstydnym emocjonalny szantaż, jaki kiedykolwiek widziałem. Moja babka nie pominęła żadnej sztuczki. - Wyciągnął rękę uśmiechając się ośmielająco, a Aleksandra ujęła jego opiekuńczą dłoń. - Nic jej nie jest, nie przywodziś nas na skraj ruiny finansowej i na pewno nie narażasz na niebezpieczeństwo nazwiska Townsende'ów.

Aleksandra nie wyglądała jednak na przekonaną. Zbyt wiele z tego, co mówiła księżna, przychodziło i jej do głowy. Przez ponad rok żyła wśród ludzi, którzy traktowali ją jak członka rodziny i którzy podnieśli ją do pozycji społecznej, która jej się nie należała. Z początku uciszała sumienie świadomością, że księżna potrzebuje jej towarzystwa po śmierci Jordana. Ale ostatnio Aleksandra nie była dobrą towarzyszką księżnej. Zaledwie miała czas na to, aby pomachać jej ręką, gdy ich powozy mijały się na ulicy, albo na krótką wymianę zdań w hallu, gdy szły każda do swoich rozrywek.

- Ta część o Marblym była jednak prawdziwa? - zapytała żałośnie.

- Tak.

- Marbly nie wyobraża sobie, że jest we mnie zakochany tak jak niektórzy z tych młodych dandysów. Nie mam pojęcia, dlaczego mógłby chcieć mnie uprowadzić.

- Moja babka ma na ten temat pewną teorię. Chodzi o małych chłopców i ich zabawki. Zapytaj ją o to kiedyś.

- Och, nie mów do mnie zagadkami - poprosiła. - Powiedz mi tylko, co się dzieje.

Tony opowiedział jej więc w dużym skrócie, o czym rozmawiał ze swoją babką.

- Prawdą jest - zakończył - że stałaś się zbyt pożądanym kąskiem.

- Ale cios - zachichotała. - Musi być w tym coś więcej.

- Tak naprawdę, to jak się bawisz?

- Jest tak jak mówiłeś, ekscytująco i elegancko, i tacy są ludzie, ekscytujący i eleganccy. Nigdy w życiu nie widziałam takich wytwornych powozów i dwukółek ani takich...

Tony wybuchnął śmiechem.

- Okropnie kłamiesz.

- Wiem - przyznała otwarcie.

- Więc chyba pozostaniemy oboje przy prawdzie. Aleksandra pokiwała głową, choć wciąż się wahała.

- Jak mi się podoba londyński sezon? - powtórzyła, poważnie rozważając pytanie. Tak jak każda dobrze urodzona młoda kobieta w Londynie wstawiała koło południa i zmieniała strój co najmniej pięć razy w ciągu dnia - na poranne spotkania, przechadzki po parku, przyjęcia, kolacje i bale.

Nigdy nie była tak obłądnie zajęta. Ale mimo że oddawała się zajęciom, które miały wypełnić każdą chwilę jej dnia - nieubłaganie powracało do niej jedno pytanie: Czy to wszystko? Czy nie ma w tym nic więcej?

Aleksandra nie była w stanie spojrzeć Tony'emu w twarz. Podeszła do okna i wyglądając przez nie odpowiedziała:

- Sezon jest fascynujący, tyle urozmaiceń, ale czasem wydaje mi się, jakby dla wszystkich zabawa była ciężką pracą. Będę tęskniła za Londynem, gdy wyjadę, i z niecierpliwością czekała na powrót, ale czegoś tu brakuje. Ciągłe wydaje mi się, że mam pracę do zrobienia. Czuję się tu niespokojna, chociaż nigdy nie byłam tak zajęta. Czy mówię od rzeczy?

- Nigdy nie mówisz od rzeczy, Aleksandro. Ośmielona jego łagodnym głosem Aleksandra odwróciła się i dzielnie spojrzała na niego.

- Aleksander Pope powiedział, że zabawa jest szczęściem tych, którzy nie potrafią myśleć. Nie zgadzam się z nim całkowicie, ale jako cel sam w sobie i dla samego siebie znajduję konieczność zabawy, cóż... jako niezadowolającą. Tony, czy ty nigdy nie masz dosyć tych bezcelowych rozrywek?

- W tym roku prawie nie miałem czasu na rozrywki - potrząsnął głową i wykonał bezładny gest dłonią. - Kiedyś zazdrościłem Jordanowi tego wszystkiego - jego domów, ziemi, inwestycji. Teraz, gdy już należą do mnie, są jak klejnoty, które ważą tonę. Zbyt cenne, by je wyrzucić, zbyt ogromne, by je zignorować i zbyt ciężkie, aby je nosić. Nie masz pojęcia, jak jego inwestycje są zróżnicowane i ile czasu zajmuje mi zastanawianie się, co zrobić z każdą z nich. Gdy Jordan w wieku dwudziestu lat odziedziczył tytuł, posiadłości Townsende'ów były znaczne, ale nie ogromne. W ciągu siedmiu lat zwiększył je dziesięciokrotnie. Jordan pracował jak demon, ale miał też czas na rozrywki. Ja nie potrafię jakoś tego wyważyć.

- Czy to dlatego odrzucasz wszystkie te młode damy, które mnie oblegają, starając się wy badać, gdzie planujesz pójść, by i one się tam udały?

Tony roześmiał się.

- Nie. Odrzucam je z tego samego powodu, z którego ty odrzucasz swoich piękności. Czuję się mile pochlebiony, ale nie jestem zainteresowany.

- Czy przez wszystkie te lata nie podobała ci się żadna młoda dama?

- Jedna - przyznał z uśmiechem.

- Kim ona jest? - zapytała Sandy ciekawie. - I co się stało? Chyba że to zbyt osobiste pytanie.

- Ależ nie. Nie jest to nawet wyjątkowa historia. Zdawało się, że ona pragnie mnie równie mocno jak ja jej. Poprosiłem o jej rękę, ale jej rodzice chcieli poczekać do końca sezonu, zanim przyjmą taką niepewną partię, jak ja - mężczyzna dobrze urodzony, z dobrej

rodziny, ale bez tytułu i bez prawdziwej fortuny. Tak więc postanowiliśmy nie okazywać naszych uczuć do końca sezonu.

- A wtedy co? - zapytała Aleksandra intuicyjnie wyczuwając, że Tony chce o tym rozmawiać.

- I wtedy ktoś z tytułem, fortuną i bardzo eleganckim adresem zwrócił na nią przelotnie uwagę. Adorował ją na kilku balach, spotkał się z nią raz czy dwa. Sally zakochała się w nim bez pamięci.

Głos Aleksandry zniżył się do współczującego szeptu.

- I wyszła za niego zamiast za ciebie? Tony zaśmiał się gorzko i potrząsnął głową.

- Dla owego dżentelmena znajomość z Sally była tylko kolejnym głupim, pustym i bezsensownym flirtem.

- To... to nie był Jordan? - zapytała Aleksandra z obawą w głosie.

- Cieszę się, że mogę odpowiedzieć przecząco.

- W każdym razie lepiej ci bez niej - oznajmiła Aleksandra lojalnie. - Najwyraźniej była albo bardzo wyrachowana, albo niestała.

Na jej ustach pojawił się jeden z jej nieodparty uśmiechów i zaśmiała się z nagłą radością.

- Teraz gdy jesteś najważniejszym księciem w Anglii, na pewno żałuje, że cię odrzuciła.

- Być może.

- Mam nadzieję, że tak! - wykrzyknęła, a potem dodała z poczuciem winy:

- To bardzo podłe z mojej strony, że tak mówię.

- Oboje jesteśmy podli - zaśmiał się Tony - bo ja też mam taką nadzieję.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, czując tę przyjacielską więź, jaka ich zawsze łączyła. W końcu Tony odetchnął i powiedział:

- Wracając do poprzedniego tematu, chciałem ci tylko powiedzieć, że za dużo pracy jest równie niesatysfakcjonujące jak za dużo rozrywki.

- Oczywiście masz rację. Nie pomyślałam o tym.

- Jest jeszcze coś, o czym powinnaś pomyśleć - dodał Tony łagodnie.

- Co takiego?

- Być może tą nieznaną rzeczą, której brakuje w twoim życiu, jest miłość.

Niespodzianie radosna reakcja Aleksandry sprawiła, że Tony zamarł z wyciągniętą ręką.

- Dobry Boże, mam nadzieję, że właśnie tego mi brakuje! - powiedziała, a jej śpiewny śmiech zabrzmiał w całym pokoju tak radośnie, że Anthony uspokoił się, wiedząc, że nie jest to jeden z wybuchów chwilowej goryczy z powodu zachowania Jordana. - Już byłam zakochana, wasza łaskawość, i wcale mi się to nie podobało - zaśmiała się. - Wolałabym już dostać bólu brzucha, dziękuję bardzo.

Mówiła całkiem szczerze, z czego zdał sobie sprawę Tony patrząc na jej piękną, promienną twarz. Naprawdę tak myślała, a świadomość tego okazała się tak gorzka, że Anthony po raz kolejny wspomniął z furią swego zmarłego kuzyna.

- Poznałaś tylko niewielką część miłości.

- Wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, że mi się nie podoba.

- Może następnym razem bardziej ci się spodoba.

- Miałam potem potworny niesmak. Zupełnie jak po zjedzeniu węgorka - zaśmiała się.

- Ja...

Nagle Anthony wydał okrzyk, który sprawił, że przerwała w pół słowa.

- Przeklęty Jordan! Gdyby żył, zadusiłbym go gołymi rękami.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś! - zaprzeczyła Aleksandra patrząc mu w oczy i starając się, by tym razem pojął ją dobrze. - Nawet gdy niemądrze wierzyłam, że mu na mnie zależy, nie byłam całkiem szczęśliwa. Nie przestawałam martwić się o każde słowo. Chciałam go zadowolić i kompletnie zmieniałam się dla niego. Myślę, że musiałam to odziedziczyć. Kobiety w mojej rodzinie zawsze zakochiwały się w nieodpowiednich mężczyznach i czciły ich ślepym uwielbieniem. Zadręczały się, by ich zadowolić - uśmiechnęła się. - Tak naprawdę przyprawia mnie to o mdłości.

Jego głośny śmiech zabrzmiał jak wystrzał. Tony przytulił ją do siebie i śmiał się w jej miękkie włosy. Kiedy ich rozbawienie zmalowało zapytał:

- Aleksandro, czego pragniesz od życia? Patrzył prosto w jej oczy, tak że nie mogła drgnąć.

- Nie wiem - wyszeptła patrząc na mężczyznę, którego traktowała jak starszego brata. Anthony ujął jej twarz w dłonie.

- Powiedz mi, jak czuje się teraz jedna ze wspaniałych królowych towarzystwa?

Aleksandra nie drgnęłaby nawet wtedy, gdyby ktoś teraz krzyknął, że dom stanął w płomieniach.

- Pusta - przyznała szeptem - i zimna.

- Wyjdź za mnie, Aleksandro.

- Ja... nie mogę!

- Oczywiście, że możesz - uśmiechnął się oczekując jej oporu i rozumiejąc go. - Dam ci to wszystko, co cię naprawdę uszczęśliwi. Wiem, czego pragniesz, nawet jeśli ty sama jeszcze tego nie wiesz.

- A cóż to jest? - wymamrotała Aleksandra patrząc na niego, jakby widziała go po raz pierwszy.

- To samo, czego i ja potrzebuję; dzieci, rodzina, ktoś, o kogo można się troszczyć - powiedział niskim, miękkim głosem.

- Nie - zaprzeczyła Aleksandra czując, jak jej opór słabnie i pęka. - Sam nie wiesz, co mówisz. Nie kocham cię ani ty mnie nie kochasz.

- Ale nie kochasz też nikogo innego.

Aleksandra gwałtownie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Widzisz, to czyni decyzję jeszcze łatwiejszą - ciągnął dalej. - Ja też nie kocham nikogo innego. Już poznałaś najlepsze partie tego sezonu. Ci, których tu nie ma, nie są wcale lepsi. Możesz mi wierzyć na słowo.

Kiedy Aleksandra zagryzała wargi nadal się wahając, potrząsnął nią lekko.

- Aleksandro, przestań śnić. Takie właśnie jest życie. Już je znasz. Wszystko jest bez sensu, chyba że masz dla kogo żyć. Chyba że masz rodzinę.

Rodzina. Prawdziwa rodzina. Aleksandra nigdy nie była częścią prawdziwej rodziny, takiej z ojcem, matką i dziećmi, z kuzynami, wujkami i ciociami. Oczywiście, jedynym wujkiem ich dzieci byłby wprawdzie młodszy brat Anthony'ego, ale zawsze...

Czego więcej mogła pragnąć kobieta, niż to, co jej oferował Tony? Uświadomiła sobie po raz pierwszy, że chociaż zawsze kpiała z Mary Ellen za jej romantyczne uniesienia, sama nigdy nie zachowywała się jak romantyczny podłotek. Tony'emu naprawdę na niej zależało. A ona mogła dać mu szczęście. Ta świadomość sprawiła, że zalało ją wewnętrzne ciepło i poczucie dobra, uczucie, jakiego nie zaznała od wieków. Mogła przecież poświęcić się zadaniu uszczęśliwienia Tony'ego, mogła dać mu dzieci, które oboje będą kochać.

Dzieci... Myśl o jej własnym maleństwie w ramionach była silnym argumentem za poślubieniem tego kochanego, łagodnego, przystojnego mężczyzny. Ze wszystkich mężczyzn, jakich spotkała w Londynie, Tony zdawał się być jedynym, który podzielał jej pogląd na życie.

* * *

Z wielkim wysiłkiem Jordan pomógł swojemu omdlałemu przyjacielowi stanąć i zaplątał jego ręce wokół swoich ramion biorąc cały ciężar jego ciała na plecy. Na wpół go wlo-

kąc za sobą, na wpół niosąc pomógł mu wyjść nad wąską zatoczkę. Radosny, choć wyczerpany, Jordan spojrział w górę starając się ustalić czas na podstawie położenia słońca, które było już nisko nad horyzontem, niewidoczne zza drzew i wzgórz. Chciał wiedzieć, która jest godzina, było to dla niego ważne. Piąta po południu - zdecydował wreszcie.

O piątej po południu po raz pierwszy zobaczył wojskowe oddziały poruszające się ukradkowo między drzewami przed nim. Angielskie oddziały. Wolność. Dom.

Jeżeli będzie miał szczęście, dotrze do domu za trzy, cztery tygodnie.

ROZDZIAŁ 19

Wszyscy byli oczarowani, gdy Aleksandra zeszła ze schodów w jasnoblękitnej satynowej sukni, wyszywanej perłami i diamentami dookoła szyi i na końcu szerokich rękawów.

Penrose otworzył przed nią drzwi tak, jak robił to przez całe jej życie, ale dzisiaj, gdy wychodziła do olbrzymiego gotyckiego kościoła, by poślubić Anthony'ego, jego stara twarz rozplywała się w uśmiechu. Ukłonił się jej w pas.

Niedowidzące oczy Filberta zaszczyły łzami, gdy Aleksandra odwróciła się w drzwiach, aby go uścisnąć.

- Niech panienka dba o siebie - wyszeptał. - I uważa panienka, żeby nie pobrudzić sukni. - Strofował ją tak od zawsze i w jej oczach również pojawiły się łzy czułości.

Tych dwóch starców i wuj Monty byli jej jedyną rodziną, jaką miała teraz w Anglii. Matka sprzedała dom w Morsham i wyruszyła w długi rejs po wyspach, tak że nie mogła nawet przybyć na ślub Aleksandry. Mary Ellen i jej mąż oczekiwali w każdej chwili narodzin pierwszego dziecka, więc oni również nie mogli przyjechać do Londynu. Ale był tu przynajmniej wujek Monty, aby przekazać ją nowemu mężowi. Melania właśnie odkryła, że jest w ciąży, lecz nie była ona jeszcze na tyle widoczna, żeby uniemożliwić hrabinie przyjazd na ślub przyjaciółki. Lady Camden była druhną Aleksandry.

- Czy jesteś gotowa, moja droga? - rozpromienił się wujek Monty, podając jej ramię.

- Proszę uważać na tren - upomniała srogo stara księżna, obrzucając go krytycznym spojrzeniem od jego białej głowy po czubki czarnych, wspaniale wypastowanych butów. Przez ostatnie trzy dni dawała wykłady sir Montague'owi na temat jego zachowania, powinności podczas ślubu oraz zachowania trzeźwości. Teraz był już przez nią całkowicie zastraszone. Nagle oczy księżnej zwęziły się podejrzliwie, dostrzegając kolor jego okrągłych policzków.

- Sir Montague - zapytała piorunując go wzrokiem - czy pił pan dziś wino?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył wujek Monty z urazą. - Nie mogę pić tutejszego wina. Żadnego bukietu, żadnej treści - powiedział, nadymając się jak obrażony kogut, chociaż przez cały ranek pociągał sobie sekretnie maderę.

- Nieważne - przerwała księżna niecierpliwie. - Proszę tylko pamiętać to, co panu mówiłam. Jak odprowadzi pan Aleksandrę do ołtarza, zostawia ją pan tam i wraca do naszej ławki. Usiądzie pan obok mnie i ani drgnie, dopóki nie wstanę, gdy zakończy się ceremonia.

Czy rozumie to pan? Dam panu znak, gdy przyjdzie czas, abyśmy wstali i wyszli. Wszyscy inni pozostaną na swoich miejscach, dopóki my nie wstaniemy. Czy to jasne?

- Nie jestem idiotą, moja pani. Jestem potomkiem rycerzy i szlachciców.

- Będzie pan martwym i zhańbionym czyimkolwiek potomkiem, jeżeli popełni pan choć jeden błąd - obiecała starsza pani wciągając na ręce długie srebrnoszare rękawiczki, które wręczył jej Penrose.

- Nie będę drugi raz tolerować takich upokarzająco fatalnych manier, jakich pokaz dał pan ostatniej niedzieli - mówiła dalej przez całą drogę do powozu. - Nie wierzyłam własnym oczom, gdy usnął pan w środku ceremonii i zaczął chrapać w ten szczególnie głośny sposób.

Wujek Monty wdrapał się do powozu i posłał swojej siostrzenicy udęczone spojrzenie, które mówiło „nie wiem, jak wytrzymałaś tyle czasu z tą starą harpią, moja droga”.

Aleksandra uśmiechnęła się. Oboje wiedzieli, że jego czerwone policzki świadczą o tym, iż pochłonął już większą część butelki madery.

Sandy oparła się wygodnie o miękkie oparcie przepysznego powozu i nachylając głowę do swego przyszłego męża, wyglądała przez okna na zwykły ruch i gwar Londynu. Melania jechała w powozie przed nimi razem z Roderickiem Carstairssem, który był drużbą Anthony'ego.

Przed i za tymi dwoma powozami jechała prawdziwa rzeka eleganckich ekwipaży, a wszystkie zdążyły do kościoła.

Jakie to dziwne, że czuła się taka zdenerwowana, poruszona i podekscytowana wtedy, gdy wychodziła za Jordana. Piętnaście miesięcy temu wchodziła do cichego salonu, aby połączyć swoje życie z Jordanem. Dobrze pamiętała, że wtedy drżały jej nogi, a serce mało nie wyskoczyło z piersi, waląc głośno jak młot.

A teraz, za niecałą godzinę miała poślubić Tony'ego w obliczu trzech tysięcy arystokratów i była całkowicie spokojna. Nieporuszona. Nie zalękniona. Nie podekscytowana.

Aleksandra szybko odsunęła od siebie te myśli jako zbyt nielojalne w stosunku do Tony'ego.

* * *

- Dlaczego jedziemy tak wolno? - zapytał Jordan woźnicy. Powóz, który oddał mu do dyspozycji kapitan „Jastrzębia”, nieprawdopodobnie wolno jechał do jego domu przy Upper Brook Street.

- Nie wiem, wasza miłość. Chyba coś ważnego dzieje się w tamtym kościele.

Jordan spojrział znów na słońce, starając się określić czas. Nie używał zegara przez ponad rok, chociaż miał niegdyś trzy złoczone, których nigdy w pełni nie doceniał. Wszystko, co było jego własnością, przyjmował wtedy jako rzecz oczywistą. Przez ponad rok nie miał jednak nic własnego i to nauczyło go wielu rzeczy, których dotąd nawet nie podejrzewał.

Widoki i odgłosy Londynu, które tak bardzo ucieszyły go, odkąd przed godziną wjechał do miasta, powoli przestały do niego docierać. Oczyma wyobraźni widział już, jakiego szoku na jego widok doznają ci, którzy go kochają.

Jego babka wciąż żyła - przynajmniej tyle dowiedział się od kapitana „Sokoła”, który przypomniał sobie, że czytał przed paru miesiącami w gazecie, iż stara księżna zamierza na sezon zamieszkać w Londynie. Jeżeli będzie miał szczęście, być może okaże się, że mieszka jeszcze w swoim miejskim domu, a nie w jego pałacu. Mógłby wtedy najpierw posłać jej bilecik, a nie pojawiać się bez ostrzeżenia. Tony oczywiście, jeżeli jest w Londynie, na pewno mieszka przy Upper Brook, w przekonaniu, że dom należy teraz do niego.

Nieraz przychodziło Jordanowi do głowy, że być może Tony będzie wściekły, bo powrót kuzyna pozbawi go tytułu książęcego i ziemi. Jednak była to równie niedorzeczna myśl, jak ta, że Tony może być zamieszany w spisek mający na celu pozbawienie Jordana życia.

Jordan bardzo chciał uwierzyć w to, że tak jest w istocie, ale niestety nie mógł wyrzucić z myśli niewyraźnego podejrzenia, tak jak nie mógł zapomnieć głosu, który tamtego wieczoru na nabrzeżu powiedział: - Ten facet zapłacił nam, żebyśmy go zabili, a nie wsadzili na statek.

Jordan starał się odsuwać od siebie te myśli. Było całkiem możliwe, że za zamach na jego życie odpowiedzialny był któryś z rozwścieczonych mężów, takich jak na przykład Grangerfield. Istniały przecież sposoby, by dowiedzieć się, kto jest jego wrogiem. Dzisiaj chciał się po prostu cieszyć powrotem do domu.

Myślał o swoim triumfalnym przybyciu na Upper Brook Street. Pragnął zrobić wszystko naraz: wejść do domu i uścisnąć dłoń Higginsa, ucałować babkę i otrzeć jej z twarzy łzy szczęścia i ulgi. Chwyciłby w ramiona Tony'ego i podziękował mu za opiekę nad jego sprawami. Nieważne, że Tony na pewno narobił niezłego bałaganu - tego Jordan był pewien - ale i tak zawsze będzie mu wdzięczny.

Później pragnął gorącej kąpieli i czystych ubrań. A potem... Potem chciał Aleksandry.

Ze wszystkiego, co jak mniemał, oczekiwało go w najbliższej przyszłości, tylko rozmowa z jego młodą „wdową” naprawdę go martwiła. Bez wątplenia jej dziecinne przy-

wiązanie do niego przysporzyło jej potwornego bólu, gdy dowiedziała się o jego śmierci. Kiedy widział ją ostatni raz, była szczuplutka jak gałązka, a teraz pewnie już całkiem wychudła. Jakże niewesołe życie wiodła od chwili, gdy go spotkała!

Zdawał sobie sprawę z tego, że musiała się bardzo zmienić w tym czasie, gdy go nie było. Miał jednak nadzieję, że tych zmian nie było zbyt wiele i nie były zbyt drastyczne. Do tej pory na pewno wydorosła i stała się kobietą wystarczająco dojrzałą, by przyjąć na siebie obowiązki związane z małżeństwem i posiadaniem dzieci. Teraz on sam przywiezie ją do Londynu i wprowadzi w towarzystwo.

Nie zabawią jednak długo w Londynie. Stracił ponad rok życia i miał mnóstwo czasu, aby zdecydować, jak spędzić resztę lat. Wiedział już teraz dobrze, co ma w życiu znaczenie. Wiedział też, czego chce, czego być może zawsze pragnął. Teraz chciał życia, które by miało sens, prawdziwego małżeństwa, nie płytkich, pustych związków, jakie udawały w towarzystwie małżeństwo. Chciał, by Aleksandra ofiarowała mu jeszcze więcej miłości, niż próbowała, miłości, która dała mu siłę do walki o przeżycie. W zamian za to chciał ją rozpieszczać i trzymać ją przy sobie z dala od niszczących wpływów świata zewnętrznego. Być może miłość okaże się odporna na zewnętrzny świat. A może ma to coś wspólnego z zaufaniem? Może mężczyzna powinien ufać swojej żonie tak, by się nie zmieniła i pozostała lojalna niezależnie, gdzie i z kim była? Najwyraźniej właśnie tak musi być, zdecydował Jordan. Nie wiedział wiele o zaufaniu, jeszcze mniej o miłości, ale Aleksandra była uosobieniem obu tych darów niebios. Zresztą sama chciała go tego nauczyć. Pragnął jej teraz na to pozwolić.

Starał się wyobrazić sobie, jak teraz wygląda, ale wszystko, co widział zamknawszy oczy, to jej roześmiana twarz, w której królowały jej wspaniałe szmaragdowe oczy. Twarz, która była prawie, choć nie całkiem ładna. Jego ukochana „zabawna buzia”.

Wiedział, że spędziła pierwszy rok w żałobie, a następne sześć miesięcy z jego babką ucząc się życia w towarzystwie. Teraz pewnie przygotowywała się do debiutu podczas jesienno-małego sezonu, oczywiście, pod warunkiem, że babka spełniła jego życzenie, by zająć się towarzyską edukacją Sandy.

Bardziej jednak prawdopodobne i niepokojące, myślał smutno Jordan, jest to, że Aleksandra mogła tak pogрузić się w ból, iż szukając samotności zapragnęła wrócić do Morsham lub całkiem uciec od ludzi... lub nawet postradać zmysły po tym, co przeszła.

Powóz stanął przy numerze 3 na Upper Brook Street i Jordan wysiadł. Zatrzymał się na chwilę na stopniach, by spojrzeć w górę na wspaniałą trzypiętrowy budynek z pysznymi

płaskorzeźbami od frontu i wymyślnym kształcie łukowatych okien. Były takie znajome, a jednocześnie dziwnie obce.

Uniósł ciężką metalową kołatkę i opuścił ją przygotowując się na powitanie Higginsa, który otworzy mu drzwi, by rzucić się ku niemu z radością.

Drzwi uchyliły się.

- Tak? - zapytała nieznana twarz z drucianymi okularami na nosie.

- Kim jesteś? - zapytał Jordan zdumiony.

- Mógłbym zadać to samo pytanie, sir - odparł dumnie Filbert rozglądając się w poszukiwaniu Penrose'a, który nie słyszał kołatania.

- Nazywam się Jordan Townsende - odpowiedział Jordan szorstko, wiedząc, że tylko traciłby czas usiłując przekonać tego nieznanego służącego, że to on, a nie Tony jest księciem Hawthorne. Odsuwając odźwiernego wszedł do marmurowego hallu.

- Przyślij do mnie Higginsa.

- Pana Higginsa nie ma.

Jordan zmarszczył brwi. Wolałby, żeby był tu Higgins lub Ramsey, aby pomóc mu przygotować babkę na jego nagły powrót. Idąc szybko dalej, zajrzał najpierw do dużego salonu na prawo od hallu, a potem do mniejszego po lewej stronie. Oba były wypełnione kwiatami i całkiem puste. Na całych schodach ustawiono kosze białych róż.

- Wydajemy jakieś przyjęcie?

- Tak, proszę pana.

- W takim razie przerodzi się ono w przyjęcie powitalne - zawyrokował Jordan śmiejąc się, a potem zapytał:

- Gdzie twoja pani?

- W kościele - odpowiedział Filbert zezując na wysokiego, mocno opalonego dżentelmena.

- A twój pan? - zapytał Jordan, mając na myśli Tony'ego.

- Też w kościele, oczywiście.

- Na pewno modlą się za moją nieśmiertelną duszę - zażartował Jordan. Wiedząc, że Tony na pewno zatrzymałby na służbie Mathisona, osobistego pokojowca Jordana, zapytał:

- Czy jest gdzieś w pobliżu Mathison?

- Tak - potwierdził Filbert, a potem patrzył ze zdziwieniem, jak ten nieznaną członek rodziny Townsende'ów wchodzi po schodach wydając przez ramię polecenia, jakby ten dom należał do niego.

- Przyślij do mnie natychmiast Mathisona. Będę w złotym gabinecie. Powiedz mu, że chcę kąpiel i golenie, natychmiast. I czyste ubranie. Najchętniej moje, jeżeli jeszcze gdzieś jakieś jest. Jeżeli nie, założę Tony'ego lub jego własne albo jakiegokolwiek inne, jakie uda mu się ukraść.

Jordan przeszedł obok sypialnianego apartamentu pana domu, który na pewno zajmował Tony. Otworzył drzwi do złotego apartamentu gościnnego. Nie był wcale taki przepyszny, ale w tej chwili wydawał mu się najpiękniejszym pokojem, jaki kiedykolwiek miał. Ściągnął z siebie kurtkę, którą pożyczył mu kapitan „Sokoła”, rzucił ją na krzesło i zaczął rozpinać koszulę.

Zrzucił ją i położył na kurtce, a kiedy zaczął rozpinać również spodnie, do pokoju wszedł Mathison wyglądając jak zagniewany pingwin. Czarne poły fraka łopotały za nim z furją.

- Sir, obawiam się, że zaszło jakieś nieporozumienie co do pana nazwiska... dobry Boże! - Lokaj wrósł w ziemię i gapił się bezmyślnie na swojego pana. - Dobry Boże, wasza wysokość! Dobry Boże!

Jordan uśmiechnął się. To już bardziej przypominało jego wizję powrotu do domu.

- Jestem pewien, że wszyscy jesteśmy wdzięczni Wszchemogącemu za mój powrót, ale w obecnej chwili byłbym skłonny podziękować po prostu za kąpiel i przyzwoite ubranie.

- Oczywiście, wasza wysokość. Natychmiast wasza wysokość. I proszę mi pozwolić powiedzieć jak niewypowiedzianie jestem szczęśliwy, jak jestem zachwycony mogąc... dobry Boże! - wybuchnął tym razem z przerażeniem lokaj.

Jordan jeszcze nigdy nie widział swojego nienagannego służącego w takim stanie, nawet w najtrudniejszych warunkach. Patrzył oszołomiony, jak jego pokojowiec pędem pokonuje hall, aby zniknąć w sypialni i wybiega stamtąd trzymając koszulę Tony'ego oraz bryczesy i buty Jordana.

- Znalazłem je na dnie szafy tydzień temu - wyjaśnił Mathison. - Szybko! Musi się pan pośpieszyć - poganiał. - Kościół! - wykrzyknął dziko. - Ślub!

- Ślub? Więc to dlatego wszyscy są w kościele - powiedział Jordan zamierzając odłożyć spodnie, jakie wciskał mu Mathison, i upierać się przy kąpeli. - Kto się żeni?

- Lord Anthony - rzucił pośpiesznie Mathison próbując zmusić ręce Jordana, aby jak najszybciej wsunęły się w rękawy.

Jordan uśmiechnął się ignorując koszulę, która wisiała na nim jak flaga. - Z kimże to?

- Z pańską żoną!

Przez chwilę do Jordana nie docierało to, co usłyszał. Przychodziło mu w tej chwili do głowy tylko to, że skoro Tony się zenił, musiał dojść do ugody z narzeczoną i jej rodziną jako księżę Hawthorne i złożyć obietnice, których nie będzie mógł dotrzymać.

- Bigamia! - wykrzyknął Mathison.

Jordan aż podskoczył, gdy dotarło do niego pełne znaczenie tego, co usłyszał.

- Wychodź na ulicę i zatrzymaj, cokolwiek się rusza - szybko rozkazał Jordan, sam naciągając czym prędzej koszulę. - Kiedy to się stanie i gdzie?

- Za dwadzieścia minut w katedrze św. Piotra.

* * *

Jordan wskoczył do bryczki, którą Mathison porwał przed nosa wściekłego starszego pana na środku Upper Brook Street.

- Kościół św. Piotra - zażądał, po czym dodał natychmiast: - Jeżeli zawieszysz mnie tam w piętnaście minut, zapłacę ci tyle, że do końca życia nie będziesz musiał pracować.

- Nie uda się - odpowiedział woźnica. - Teraz tam ślub i od rana wiele powozów w całym mieście.

Minuty dłużyły się, a przez głowę Jordana przelatywały tysiące chaotycznych myśli i uczuć, większość z nich sprawiała, że wciąż miał ochotę popędzać woźnicę. Przez miasto istotnie trudno było przejechać i nie mając na to żadnego wpływu, mógł tylko siedzieć i ponuro rozmyślać nad tą potworną klęską.

Rozwahał wprawdzie nieprawdopodobną możliwość, że gdy minął wymagany rok żałoby, Tony mógł znaleźć sobie narzeczoną i zechcieć ją poślubić, ale tak naprawdę nie brał tego poważnie. Jego kuzyn, jeszcze bardziej niż on sam, nie spieszył się do małżeńskich więzów, nawet jeśli miałyby to być nowoczesne stadło, które pozostawiało całkowitą swobodę obojgu małżonkom.

Rozwahał również możliwość, że Aleksandra może kogoś spotkać pewnego dnia i poślubić go, ale nie tak diabelnie szybko. Nie wtedy, kiedy powinna być jeszcze pogrążona w żałobie. Nie, jeśli podobno była w nim tak szaleńczo zakochana...

Nigdy nie przyszłoby mu jednak do głowy, nawet w najbardziej koszmarnych snach, że źle pojęte poczucie honoru każe poślubić Tony'emu biedną wdowę po swoim zmarłym kuzynie.

Niech to diabli! - pomyślał Jordan, gdy już dojeżdżali do katedry. - Co mogło pchnąć Tony'ego do takiego głupiego postępuku?

Odpowiedź nasunęła mu się w tej samej chwili. Współczucie. Takie samo współczucie, jakie i on czuł wobec uroczej małej biedaczki, która uratowała mu życie i patrzyła na niego olbrzymimi, pełnymi uwielbienia oczami.

Współczucie, jakie budziła Aleksandra, mogło więc doprowadzić do katastrofy! Jordan nie miał wyboru, jak tylko zapobiec temu małżeństwu, niezależnie od tego, na jakim etapie będzie ślub. W przeciwnym wypadku Aleksandra i Tony publicznie popełnią bigamię. Pomyślał, że biedna Aleksandra już po raz drugi w życiu traci pana młodego. Przez krótką chwilę czuł nawet żal, że znów musi zniszczyć jej spokój.

Zanim bryczka zdążyła się zatrzymać przed kościołem, Jordan biegł już po wysokich schodach, modląc się, żeby ślub się jeszcze nie zaczął. Nadzieja ta skonała w nim jednak, gdy otworzył wielkie skrzypiące drzwi i zobaczył państwa młodych stojących przy ołtarzu, tyłem do gości.

Jordan stłumił wiązaną barwnych przekleństw, jakie cisnęły mu się na usta, i nie mając innego wyboru, zaczął iść wzdłuż rzędów. Odgłos jego kroków odbijał się echem w zatłoczonym kościele.

Blisko ołtarza zatrzymał się i czekał na moment, gdy będzie się musiał odezwać. Dopiero wtedy, gdy stał w tłumie wystrojonych gości, wśród których była jego rodzina, przyjaciele i znajomi, w końcu olśniło go, że wcale tak bardzo po nim nie płakano i właśnie dlatego stanie się za chwilę sprawcą tej dramatycznej komedii, która miała się tu rozegrać. Świadomość ta sprawiła, że uczuł, jak ogromny gniew rozsadza mu piersi, chociaż on sam pozostał niewzruszony i skrzyżowawszy ręce na piersi czekał na swój moment.

Po obu jego stronach goście zaczęli go rozpoznawać i w kościele zaczęły rozlegać się coraz głośniejsze szepty, rozszerzając się jak ogień. Aleksandra słyszała poruszenie za sobą i spojrzała niepewnie na Tony'ego. On jednak zdawał się być całkowicie skoncentrowany na postaci arcybiskupa, który właśnie mówił:

- Jeżeli jest na tej sali ktokolwiek, kto zna jakikolwiek powód, z którego ten mężczyzna i ta kobieta nie mogliby połączyć się świętym węzłem małżeństwa, niech przemówi teraz lub na wieki zamilknie...

Przez mgnienie oka panowała cisza, całkowita, głęboka cisza, jaka zawsze zapada po tej starodawnej formule. Tym razem jednak odpowiedziano na nią, a ciszę przerwał głęboki, ironiczny baryton:

- Jest jeden powód...

Tony błyskawicznie odwrócił się, arcybiskup zapomniał zamknąć otwarte ze zdziwienia usta, Aleksandra zamarła, a trzy tysiące gości poruszyło się niespokojnie.

Pospieszne szepty przeleciały jak fala po tłumie. Przy ołtarzu bukiet róż wysunął się ze zmartwiałych rąk Melanii Camden, podczas gdy Cairstairs uśmiechał się szeroko. Aleksandra stała przekonana, że to nie dzieje się naprawdę, mając gwałtowną nadzieję, że to sen, gdyż w przeciwnym razie pozostanie jej już tylko szaleństwo.

- Na jakiej podstawie zostaje zgłoszony protest przeciw temu małżeństwu?

- Na takiej podstawie, że panna młoda ma już męża - odpowiedział Jordan, jakby sam lekko zdumiony. - Mnie.

Tym razem realność tego boleśnie znajomego głosu była niezaprzeczalna i Aleksandra poczuła jak dziwny chłód pełznie jej wzdłuż kręgosłupa, by za chwilę wypełnić ją całą. I nagle odczuła, jak ogarnia ją fala niespodziewanej radości. Na chwilę zapomniała o jego zdradzie i oszustwach. Bała się spojrzeć w tę stronę, skąd dobiegł głos, w obawie, że okaże się to być kolejnym okrutnym żartem opatrności. Potem powoli podniosła na niego spojrzenie. To Jordan! Żyje! Widok jego przystojnej, mocno rzeźbionej twarzy sprawił, że zakreśliło się jej w głowie. Stał patrząc na nią, a na jego ustach drgał słaby uśmiech.

Ogarnęło ją zupełnie niezrozumiałe uczucie szczęścia. Tak bardzo chciałyby wyciągnąć do niego rękę, aby dotknąć tej ukochanej twarzy i upewnić się, że jest prawdziwy. Jego oczy wędrowały po jej twarzy odnotowując każdą zmianę w jej wyglądzie, a potem oczy Jordana zlodowaciały, gdy spojrzał oskarżycielsko na Tony'ego.

We frontowej ławce księżna znieruchomiała, wpatrując się w Jordana szeroko otwartymi oczyma i zakrywając dłonią usta. W pełnej napięcia ciszy tylko wujek Monty zdawał się zdolny do mowy i ruchu; bez wątpienia dlatego, że po butelce madery, którą sekretnie się uraczył, nie rozpoznał Jordana. Ponieważ wyraźnie pamiętał jednak wykłady starej księżnej o swoich powinnościach, uznał za swój obowiązek poinstruowanie nowo przybyłego. Pochylając się w jego kierunku, sir Montague ostrzegł go ożywionym głosem:

- Siadaj człowieku. I ani drgnij, dopóki nie odejdzie arcybiskup, bo dostanie ci się od księżnej.

Jego głos jakby zerwał zakłęcie, które trzymało wszystkich na uwięzi. Arcybiskup nagle ogłosił, że ceremonia nie może być kontynuowana i wyszedł, Tony chwycił drżącą dłoń Aleksandry i pociągnął ją za sobą do wyjścia, Jordan odsunął się na bok, aby ich przepuścić, podczas gdy księżna powoli wstała nie spuszczać z niego wzroku. Wujek Monty uznał, że ślub dobiegł szczęśliwego końca i pomny swoich obowiązków zaoferował księżnej ramię, po czym wolno ruszył z nią za młodą parą dumnie rozglądając się wśród tłumy gości, którzy wstali i ze zdziwieniem graniczącym z szokiem przyglądali się całej sytuacji.

Przed kościołem wujek Monty głośno cmoknął Aleksandrę, chwycił rękę Tony'ego i właśnie nią potrząsał, gdy zmroził go ostry głos Jordana.

- Ty stary głupcze, ślubu nie było! Zrób coś pożytecznego i zabierz moją żonę do domu.

Chwyciwszy pod ramię babkę, Jordan ruszył w stronę czekających powozów. Przez ramię rzucił krótko do Tony'ego:

- Proponuję, byśmy się stąd wynieśli, zanim żądny sensacji tłum wyleje się na nas. W porannych gazetach będzie wyjaśnienie mojego cudownego powrotu. Wtedy się dowiedzą. Spotkamy się w moim... w domu przy Upper Brook Street.

- Nie ma jak złapać bryczki, Hawthorne - powiedział wujek Monty przejmując dowodzenie, jako że i Aleksandra, i Anthony wydawali się niezdolni do wykonania jakiegokolwiek ruchu. - Nie widać ani jednej dorożki. Pojedźcie z nami. - Władczo ujął Aleksandrę jedną ręką, Anthony'ego drugą i zaczął ich prowadzić do powozu Tony'ego.

Jordan usadził babkę w jej powozie, wydał polecenia oszołomionemu stangetowi i usiadł koło niej.

- Jordan? - wyszeptała w końcu, patrząc na niego pełnymi radości i wypełnionymi łzami szczęścia oczami. - To naprawdę ty?

Pełen współczucia uśmiech rozjaśnił jego ponurą twarz. Objął ją i czule pocałował w czoło.

- Tak, moja kochana.

Ulegając niespodziewanej czułości, łagodnie przytuliła dłoń do jego policzka, a potem gwałtownie ją cofnęła pytając władczo:

- Hawthorne, gdzie ty się podziewałeś!? Myśleliśmy, że nie żyjesz! Biedna Aleksandra mało nie umarła z rozpacz, a Anthony...

- Oszczędź mi tych kłamstw - przerwał jej zimno Jordan. - Po Tony'm było widać wszystko, tylko nie radość z mojego powrotu, a moją pogrążoną w rozpacz żonę zastałem tu dziś jako promienną pannę młodą.

W jego pamięci odżyło wspomnienie, jak piękną istotę ujrzał przy boku kuzyna przed ołtarzem. Przez jedną wspaniałą, choć upokarzającą chwilę myślał, że trafił na zły ślub lub że Mathison pomylił się co do osoby panny młodej, bowiem Jordan nie poznał jej - do chwili, gdy spojrzała na niego tymi swoimi niezapomnianymi szmaragdowymi oczami. Wtedy zdał sobie sprawę z tego, że to naprawdę ona. Jednocześnie uświadomił sobie, że Tony nie żeni się z nią ze współczucia czy litości. Jej uroda mogła wzbudzić w każdym mężczyźnie jedynie żądę, a nie litość.

- Do tej pory wydawało mi się, że rok żałoby to zwyczajowy okres po śmierci członka najbliższej rodziny - zauważył ze zjadliwym sarkazmem.

- Tak, i pilnie go przestrzegaliśmy! - zaproponowała księżna. - Nie wychodziliśmy nigdzie do kwietnia, kiedy to Aleksandra pierwszy raz pokazała się publicznie, a ja...

- A gdzie mieszkała moja nieszczęśliwa żona przez ten tragiczny czas?

- Oczywiście w Hawthorne, razem ze mną i Anthonyem.

- Oczywiście - ironicznie powtórzył Jordan. - Dziwi mnie, że Tony'ego nie zadowolili moje tytuły, moje ziemie i moje pieniądze, tak że koniecznie musiał posiadać również moją żonę.

Księżna zbladła uświadamiając sobie, jak to wyglądało w jego oczach. Równocześnie zdała sobie sprawę z tego, że w jego obecnym humorze fatalnym błędem byłoby mu wyjaśnić, że to powodzenie Aleksandry wymusiło tak szybkie małżeństwo.

- Mylisz się Hawthornie. Aleksandra...

- Aleksandra - przerwał - najwyraźniej polubiła tytuł księżnej Hawthorne i dlatego zrobiła jedyną rzecz, która mogła zapewnić jej ten tytuł na stałe. Postanowiła wyjść za obecnego księcia Hawthorne'a.

- Ona jest...

- Podstępą oportunistką? - zasugerował zjadliwie, podczas gdy furia i obrzydzenie zżerały mu duszę jak kwas. Kiedy on gnął w więzieniu martwiąc się, że Aleksandra tonie w rozpacz i szaleje z bólu, ona razem z Tonym korzystali hojnie ze wszystkich jego ziemskich dóbr, a teraz postanowili korzystać również z siebie nawzajem.

Widząc surowość w jego napiętej twarzy, księżna westchnęła z bezradnym zrozumieniem.

- Wiem, że dla ciebie wyglądało to okropnie - powiedziała czując się trochę winna - i wierzę, że nie jesteś jeszcze gotowy, aby wysłuchać jakichkolwiek argumentów. Jednakże byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś przynajmniej opowiedział, co działo się z tobą przez cały ten czas.

Jordan streścił jej pokrótce szczegóły związane ze swym uwięzieniem. Wspomnienia te wprawiły go jednak w jeszcze większy gniew, gdyż zaostrzyły świadomość ironii całej sytuacji. Podczas gdy on był w łańcuchach, Tony radośnie przywłaszczył sobie jego tytuły, dobra, pieniądze, a potem postanowił uraczyć się również jego żoną.

Za nim, w powozie zdobionym złotym herbem księcia Hawthorne'a - insygniami, do których Anthony utracił już prawo - Aleksandra siedziała całkowicie nieruchomo obok wujka Monty'ego i naprzeciwko swego niedoszłego męża, który milcząc wyglądał przez okno. Jej

myśli wirowały jak szalone, goniąc jedna drugą. Jordan żył i miał się dobrze, poza tym, że był znacznie szczuplejszy, niż go zapamiętała. Czy rozmyślnie zniknął, ponieważ chciał uciec od żalosnego dziecka, które poślubił, a powrócił dopiero dowiedziawszy się, że jego żona zamierza popełnić bigamię? Radość z faktu, że Jordan żyje, ustąpiła miejsca zmieszaniu. Jak ma mu się wytłumaczyć z sytuacji, w której ją zastał? Równocześnie pojawiły się inne myśli, ostrzejsze. Mężczyzna, z którego powrotu tak się ucieszyła, był tym samym, który się nad nią litował, uznając jednocześnie w swoim życiu za zbędną. Drwił z niej razem ze swoją kochanką. Jordan Townsende, o czym już teraz wiedziała i nie powinna nigdy zapominać, to człowiek pozbawiony zasad, niewierny, bez żadnych ludzkich uczuć. A ona jest jego żoną!

W myślach określała go najgorszymi słowami, jakie знаła, ale w miarę jak powóz zbliżał się do Upper Brook Street jej furia nikła coraz bardziej. Gniew wymaga energii i koncentracji, a ona wciąż była niemalże sparaliżowana oszołomieniem.

Naprzeciw niej Tony uniósł się z miejsca i Sandy nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie jest jedyną osobą, której przyszłość miał zmienić powrót Jordana.

- Tony - powiedziała współczująco. - Ja... przepraszam - dokończyła niezgrabnie. - Dobrze przynajmniej, że twoja matka została w domu z twoim bratem. Szok z powodu nagłego powrotu Jordana na pewno wywołałby atak.

Ku jej zdziwieniu Tony uśmiechnął się.

- Rola księcia Hawthorne'a nie była wcale tak wspaniała, jak mi się to kiedyś wydawało. Tak jak ci powiedziałem kilka tygodni temu, posiadanie bogactwa nie cieszy, gdy nie ma czasu się nim radować. Jednak właśnie przyszło mi do głowy, że tobie los wyświadczył niezłą przysługę.

- Cóż to znaczy? - zapytała, patrząc na niego, jakby zwariował.

- Pomyśl tylko - mówił dalej i ku jej zdziwieniu zaczął się głośno śmiać. - Jordan wrócił, a jego żona jest teraz jedną z najbardziej pożądanych kobiet w Anglii! Bądź szczerą - czy nie tego pragnęłaś?

Zamiast tego Aleksandra pomyślała smutno o szoku, jaki przeżyje Jordan, gdy dowie się, że jego mała, biedna żona jest teraz na szczycie towarzystwa.

- Nie mam zamiaru pozostać jego żoną - powiedziała stanowczo. - Jak najszybciej powiem mu, że chcę rozwodu.

Tony rzeczowo odpowiedział:

- Nie mówisz chyba serio. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jaki skandal wywoła wasz rozwód? Nawet jeśli go uzyskasz, w co wątpię, zostaniesz poddana w towarzystwie ostrej krytyce. Znow cię odrzucą.

- Nie dbam o to.

Popatrzył na nią, a jego głos złagodniał.

- Doceniam twoją troskę o moje uczucia, Aleksandro, ale nie ma sensu myśleć o rozwodzie ze względu na mnie. Nawet gdybyśmy byli rozpaczliwie zakochani, chociaż nie jesteśmy, nie miałyby to znaczenia. Jesteś żoną Jordana. Nic tego nie może zmienić.

- Nie pomyślałeś, że on może chcieć to zmienić?

- Nie - beztrząsco stwierdził Tony. - Stawiam na to, że wszystko, czego on teraz pragnie, to zażądać satysfakcji i wyzwąć mnie na pojedynek. Nie widziałaś tego morderczego spojrzenia, jakim obrzucił mnie w kościele? Ale nie bój się - zaśmiał się widząc w jej oczach przerażenie. - Jeżeli Hawk zdecyduje się na pojedynek, wybiorę rapiery i wyślę cię w moim imieniu. Nie będzie w stanie rozlać twojej krwi, a ty będziesz miała o wiele większą szansę na zranienie go niż ja.

Aleksandra chętnie podyskutowałaby żywo o tym, czy Jordana w ogóle obchodziło to, że mieli się właśnie pobrać. Jednak argumentowanie wymaga czystego, racjonalnego myślenia, a ona nie mogła się do końca wyzbyć poczucia nierealności, jakie wiązało się z całą sytuacją.

- Pozwól, że to ja powiem mu, że chcę rozwodu. Dla przyszłego spokoju rodziny on musi zrozumieć, że to wyłącznie moja decyzja i nie ma nic wspólnego z tobą.

Na pół zdziwiony, na pół zaniepokojony Tony chwycił ją za ramiona i śmiejąc się potrząsnął nią mocno.

- Sandy, posłuchaj. Wiem, że jesteś w szoku i nie sędzę, że powinnaś paść Jordanowi w ramiona od razu w tym tygodniu, czy nawet miesiącu, ale rozwód to zbyt wielka zemsta.

- Przynajmniej jednego nie może się wyprzeć - odpowiedziała Aleksandra z nagłym ożywieniem - nigdy mu na mnie nie zależało.

Tony potrząsnął głową, a na usta wypłynął mu uśmiech, który bezskutecznie próbował ukryć.

- Wcale nie rozumiesz mężczyzn i ich dumy. Nie znasz Jordana, jeżeli sądzisz, że pozwoli ci odejść. On... - Nagle jego oczy rozbłysły wesołością i opadł na poduszki chichocząc radośnie. - Jordan - zaczął ze śmiechem - nienawidził dzielić się z innymi swoimi zabawkami i nigdy nie przepuścił żadnego wyzwania.

Wujek Monty patrzył to na jedno, to na drugie, a w końcu sięgnął za pazuchę i wyciągnął małą flaszkę.

- W takich warunkach - ogłosił pociągając niezły łyk - konieczna jest odrobina czegoś na wzmocnienie.

Na dalszą rozmowę nie było już czasu, ponieważ powóz właśnie stanął za powozem Jordana przed jego domem przy Upper Brook Street.

Starannie unikając wzroku Jordana, który właśnie pomagał swojej babce wysiąść z powozu, Aleksandra ujęła dłoń Tony'ego i zeskoczyła ze schodków. Ale gdy podążał za nią do domu trzymając księżną pod ramię, szok, który do tej pory tłumił reakcje Sandy, zaczął powoli znikać. Słyszała dobrze, jak obcasy jego butów głośno stukają sprawiając, że wzdłuż całego kręgosłupa wędrowały jej ciarki lęku. Jego wysokie ciało i szerokie ramiona rzucały ogromny cień na jej drogę i zasłaniały słońce. Jest realny i żywy, uświadomiła sobie, i zaczęła drżeć. To nie sen, z którego można by się obudzić.

Cała grupa zadziwiająco zgodnie skierowała się do salonu. Zmysły Aleksandry wyostrzyły się przez rosnącą świadomość zagrożenia, jakie niósł dla jej przyszłości Jordan, oraz obawę przed pojedynkiem z Tonym. Po wejściu do pokoju Aleksandra zatrzymała się i rozglądając po krzesłach starała się wybrać neutralną pozycję. W końcu zdecydowała się na jeden z dwóch stojących naprzeciw siebie przy kominku foteli bujanych. Aleksandra usiadła i całą siłę woli skoncentrowała na powstrzymaniu walącego jak młot serca. Najwyraźniej i księżna chciała pozostać neutralna, bo wybrała drugi fotel.

Pozostawiło to wolną sofę, stojącą na wprost kominka prostopadle do foteli. Nie mając innego wyboru Tony usiadł na niej, a zaraz dołączył do niego wujek Monty. Pospieszył on do salonu w nadziei, że odbędzie się tam jakaś libacja, którą będzie się mógł cieszyć, udzielając jednocześnie Aleksandrze psychicznego wsparcia. Jordan podszedł do kominka, oparł rękę o okap i zimnym, pełnym zastanowienia wzrokiem obserwował całe towarzystwo.

Podczas gdy księżna w wielkim skrócie opowiadała o przeżyciach Jordana, do pokoju wszedł błogo uśmiechnięty Filbert z tacą, na której stał szampan i kieliszki. Nieświadom zmiany nastroju ani związku Jordana z Aleksandrą, lojalny sługa zaniósł tacę prosto do Aleksandry i napełnił pięć kieliszków. Skoro tylko księżna skończyła mówić, wręczył Aleksandrze pierwszy kieliszek i powiedział:

- Oby panienska była zawsze taka szczęśliwa jak w tej chwili, panno Aleksandro.

Aleksandra czuła, jak narasta w niej histeria na równi z paniką. Filbert odwrócił się, aby dolać szampana do pozostałych kieliszków, a potem wręczył je milczącym osobom w pokoju, nie wyłączając Jordana.

Sekundy mijały i nikt, włączając w to wujka Monty'ego, nie miał na tyle stalowych nerwów, aby unieść kieliszek z szampanem przyniesionym rano z piwnicy, by uczcić ślub, który się nie odbył... nikt poza Jordanem.

Jakby nieświadom napięcia panującego w pokoju, obrócił kieliszek w rękach studiując widok szampana w kryształowym szkłe, a potem wziął duży łyk. Opuszczając rękę drwiąco spojrzał na Tony'ego.

- Dobrze wiedzieć - zauważył zimno - że ból spowodowany moją śmiercią nie powstrzymał was od cieszenia się moją piwniczką.

Księżna wzdrygnęła się, Aleksandra zeszywniała, ale Tony zareagował na tę zjadliwą uwagę nonszalanckim uśmiechem.

- Możesz być pewny, że wznosiliśmy toast na twoją cześć za każdym razem, gdy otwieraliśmy nową butelkę.

Spod przymkniętych powiek Aleksandra spojrzała na tego wysokiego, mrocznego mężczyznę przy kominku zastanawiając się trochę histerycznie, kim tak naprawdę on jest. Zdawało się, że nie miał nic przeciwko temu, że Tony przywłaszczył sobie jego tytuły, ziemie i jego żonę, a był wściekły o to, że dobrano się mu do wina w piwnicy.

Następne słowa Jordana miały ją jednak szybko wyprowadzić z błędu.

- Jak powodziło się w Hawthorne podczas mojej nieobecności? - zapytał i przez następną godzinę trzymał Anthony'ego w krzyżowym ogniu pytań. Żądał szczegółów dotyczących każdej z jego jedenastu posiadłości, sprawozdania ze stanu tysięcy swoich interesów, prywatnych udziałów. Pytał nawet o zdrowie niektórych ze swoich służących.

Za każdym razem, gdy Jordan się odezwał, jego głęboki głos denerwował Aleksandrę. W tych rzadkich chwilach, gdy ukradkiem na niego spojrzała, strach sprawiał, że szybko odwracała wzrok. Ubrany w ciasne bryczesy uwypuklające muskularne nogi i białą, rozpiętą pod szyją koszulę, opinającą mu ramiona, Jordan wyglądał na całkiem zrelaksowanego, a jednocześnie była w nim jakaś siła, moc - teraz osłabła, ale już wracająca moc - jak u sokoła, który czeka, aby spaść na swoją ofiarę. Sandy pamiętała, że był przystojny, ale nie tak... nie tak surowo męsko pociągający. Mimo że teraz nieco zbyt szczupły, ale dzięki opaleniznie, jaką zdobył na statku po ucieczce, wyglądał o wiele zdrowiej niż bladzi panowie z towarzystwa. Stojąc niemal w zasięgu jej ramion górował nad nią jak przerażające widmo; niebezpieczny, niszczycielski olbrzym, który ponownie zawładnął jej życiem, na tyle potężny, by wydrzeć z jej przyszłości całe szczęście. Nie była tak nieczuła, by żałować, że żyje, ale szczerze pragnęła, by nigdy już nie musiała na niego spoglądać.

Przez cały ten czas, który zdawał się jej wiecznością, Aleksandra siedziała nieruchomo we wstrząsającym napięciu, walcząc, by zachować pozorny spokój, trzymając się swojej zimnej krwi, jakby był to mur chroniący ją przed Jordanem. Z mieszaniną śmiertelnego przerażenia i niecierplivej determinacji czekała na ten nieuchronny moment, gdy Jordan

wreszcie podnieść kwestię jej istnienia. Jednak gdy Jordan skończył wypytywać Tony'ego o nieruchomości, zaczął badać stan innych swoich przedsięwzięć, niecierpliwość Aleksandry osiągnęła szczyty. Kiedy i ten temat został wyczerpany, a Jordan wypytywał o lokalne wydarzenia, Aleksandra była zdezorientowana i zakłopotana. Gdy zaś przeszedł do plotek i zapytał o wyścigi konne zeszłej wiosny, jej zakłopotanie przerodziło się w gniew.

Zdała sobie sprawę, że najwyraźniej uważał, iż jest mniej ważna niż dwuletnia klacz lorda Wedgeleya czy świetnie zapowiadający się żreback sir Markhama. Nie, że powinna być tym zdumiona, przypomniała sobie gorzko, bo przecież nie tak dawno odkryła ku swemu upokorzeniu, że Jordan Townsende nigdy nie uważał jej za nic innego, jak kłopotliwy obowiązek.

Kiedy wszystkie tematy, łącznie z tymi najbardziej trywialnymi, zostały omówione, w pokoju zapadła ciężka cisza i Aleksandra pomyślała, że wreszcie nadeszła jej chwila. Właśnie gdy spodziewała się, że Jordan wyrazi życzenie porozmawiania z nią w cztery oczy wyprostował się i stwierdził, że wychodzi.

Chociaż ostrożność podpowiadała jej, że powinna milczeć, Aleksandra nie mogła znieść kolejnej godziny, kolejnego dnia w tym potwornym napięciu. Zmuszając się do spokojnego, wypranego z uczuć głosu powiedziała:

- Sądzę, że jest jeszcze jedna rzecz, którą należałoby omówić.

Nie wysilając się nawet, aby spojrzeć na nią, Jordan uścisnął wyciągniętą dłoń Tony'ego.

- To może poczekać - powiedział zimno. - Gdy dopilnuję paru ważnych spraw, porozmawiamy oboje na osobności.

Wniosek, że ona nie jest dla niego „ważną sprawą”, był oczywisty i Aleksandra zeszywniała słysząc tę rozmyślną, choć sprowokowaną obelgę. Była teraz dorosłą, młodą kobietą, a nie zakochanym do szaleństwa, łatwo dającym się manipulować dzieckiem, które zrobiłoby wszystko, by go zadowolić. Nakładając najsilniejsze więzy na swój temperament, powiedziała z niezaprzeczną logiką:

- Czyżby istota ludzka nie zasługiwała na tyle uwagi, ile żreback sir Markhama? Wołałabym porozmawiać teraz, gdy jesteśmy tu wszyscy.

Głowa Jordana gwałtownie odwróciła się w jej stronę, a Aleksandra zamarła widząc nienawiść w jego oczach.

- Powiedziałem „na osobności” - rzucił Jordan uświadamiając jej, że pod tą beznamiętną, zimną powłoką aż kipi z gniewu. Zanim miała czas odpowiedzieć mu w jakikol-

wiek sposób, księżna wstała szybko i gestem przywołała wujka Monty'ego i Tony'ego, by wyszli z nią z pokoju.

Drzwi salonu zamknęły się za nimi ze złowieszczym skrzypnięciem i po raz pierwszy od piętnastu miesięcy Aleksandra została sama z mężczyzną, który był jej mężem.

Kątem oka obserwowała, jak podchodzi do stołu i nalewa sobie kolejny kieliszek szampana. Korzystając z tego, że był zajęty, spojrzała na niego otwarcie. To, co zobaczyła, sprawiło, że zaczęła drzeć w przewidywaniu najgorszego. Zastanawiała się w popłochu, jak kiedykolwiek mogła być tak naiwna czy zadurzona, żeby uważać, że Jordan Townsende jest łagodny.

Patrząc na niego teraz oczami dorosłej kobiety, nie widziała ani śladu czułości i łagodności w jego twardych, ostrych rysach. Jak to się stało, myślała zdumiona, że mogła kiedykolwiek przyrównać go do Dawida Michała Anioła?

Zamiast łagodnego piękna w jego opalonych rysach widać było bezwzględną dumę, w twardej linii szczęki i prostym nosie - niezaprzeczalny autorytet, a w mocnym podbródku - zimne zdecydowanie. Aż zadrżała wspominając okrutny cynizm, jaki widziała w jego oczach i gryzącą drwinę w głosie. Dawno temu uważała, że jego szare oczy są miękkie, jak niebo po letnim deszczu, ale teraz widziała, że są zimne i nieprzyjazne jak lód. Oczy pozbawione ciepła i zrozumienia. Och, z pewnością jest przystojny, przyznała niechętnie - przystojny tą wyniszczającą urodą atrakcyjną tylko dla kobiet, które pociągali mroczni, bezwstydnie agresywni, pokrętnie zmysłowi mężczyźni. Ona jednak do tych kobiet zdecydowanie nie należała.

Starając się uporządkować myśli, jak najlepiej rozpocząć temat, podeszła do stołu i naląła sobie kolejny kieliszek szampana, nie pamiętając, że jej pierwszy kieliszek był wciąż pełny. Potem rozejrzała się szukając najlepszego miejsca dla siebie i w końcu zdecydowała pozostać na stojąco, by on nie wydawał się taki wysoki i przytłaczający.

Przy kominku Jordan uniósł kieliszek do ust, obserwując ją spod oka. Myślał, że są tylko dwa możliwe powody, dla których nalegała na tę rozmowę. Pierwsza możliwość była taka, że mogła szczerze wierzyć, iż jest zakochana w Anthonym i dlatego chciała za niego wyjść. Gdyby tak było, zaczęnie mu to mówić - prosto i szczerze - tak jak to miała w zwyczaju. Druga możliwość była taka, że chce być żoną księcia Hawthorne'a niezależnie od tego, kto używa tego tytułu. Jeżeli taki jest powód jej nalegań, będzie się starała zmiękczyć go tymi czułymi, kobiecymi gierkami. Każda mądra kobieta najpierw poczekałaby, aż opadnie jego furia - i dokładnie to właśnie Sandy robiła.

Jordan wypił szampana do końca i z głośnym stuknięciem odstawił kieliszek na kominek.

- Czekam - rzucił niecierpliwie.

Aleksandra aż podskoczyła, po czym i odwróciła się, aby spojrzeć mu w twarz, strwożona jego ostrym tonem.

- Wiem - odpowiedziała zdecydowana za wszelką cenę zachować dojrzały spokój i niepodważalnie jasno poinformować go, że nie musi już dłużej troszczyć się o nią. Z drugiej strony, nie chciała zrobić ani powiedzieć czegoś, co mogłoby mu uświadomić, jak bardzo była zraniona, gniewna i rozczarowana, gdy dowiedziała się prawdy o jego uczuciach względem niej lub jak okropnie się czuła, gdy uświadomiono jej, że oplakiwała najbardziej niesławnego uwodziciela Londynu. Dodatkowo jej dylemat zwiększał fakt, że w obecnym nastroju Jordan nie będzie w stanie zareagować racjonalnie na skandaliczną perspektywę rozwodu. Co więcej, instynktownie wiedziała, że zareaguje w sposób zupełnie nieobliczalny.

- Nie jestem pewna, od czego zacząć - powiedziała z wahaniem.

- W takim razie - podpowiedział sarkastycznie, ślizgając się wzrokiem po jej przepysznej sukni ślubnej - pozwól, że zaoferuję ci pewne wskazówki. Jeżeli masz zamiar powiedzieć mi, jak potwornie za mną tęskniłaś, obawiam się, że ta suknia zepsuje całe wrażenie. Powinnaś być na tyle mądra, aby ją przedtem zmienić. Zresztą jest bardzo urocza. - Jego głos stał się szorstki. - Czy to ja za nią płaciłem?

- Nie... to znaczy... nie wiem dokładnie jak...

- Nieważne - przerwał brutalnie. - Kontynuujmy naszą szaradę. Jako że nie bardzo możesz rzucić mi się w ramiona i wycierać łzy szczęścia z powodu mojego powrotu będąc ubrana w suknię ślubną przeznaczoną dla innego, będziesz musiała wymyślić coś innego, by postarać się uzyskać moje przebaczenie.

- Uzyskać twoje przebaczenie? - wykrzyknęła Aleksandra, gdy furia wzięła górę nad jej strachem.

- Dlaczego nie zaczniesz od powiedzenia mi, jak bardzo rozpaczałaś, gdy dowiedziałaś się o moim ostatecznym zejściu? - mówił dalej ignorując jej sprawiedliwy wybuch zdumionego gniewu. - To by było bardzo chwytliwe. Potem, gdybyś zdołała wycisnąć moją łzę albo dwie, mogłabyś powiedzieć, jak bardzo mnie oplakiwałaś i odmawiałaś modlitwy za moją...

Jego słowa były tak bliskie prawdy, że głos Aleksandry drżał od piekącego wstydu i gniewu.

- Przestań! Nie mam zamiaru mówić niczego w tym rodzaju! Co więcej, ty arogancki hipokryto, twoje przebaczenie jest ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy.

- To bardzo niemądrze z twojej strony, moja słodka - mówił jedwabnym głosem odchodząc od kominka. - Przy takich okazjach wskazane są czułość i łzy, a nie obelgi. Co więcej, twoją pierwszą troską powinno być złagodzenie mojego stosunku do ciebie. Dobrze urodzone kobiety, które aspirują do tytułu księżnej, muszą ciągle się starać, aby być zadowolającymi dla każdego dostępnego księcia. A teraz, skoro nie możesz zmienić sukni ani płakać, może powiesz mi, jak bardzo za mną tęskniłaś - zaproponował obraźliwie. - Bo przecież tęskniłaś, nieprawdaż? Ośmielę się powiedzieć, że nawet bardzo. Tak bardzo, że zdecydowałaś się wyjść za Tony'ego tylko dlatego, że mnie... hm... przypominał. Czyż nie? - drwił.

- Dlaczego się tak zachowujesz? - zapytała Aleksandra głosem przepełnionym bólem.

Nie trudząc się odpowiedzią, podszedł bliżej górując nad nią jak mroczna, złowieszczą chmura.

- Za dzień albo dwa powiem ci, co zdecydowałem z tobą zrobić.

Gniew i zmieszanie walczyły w duszy Aleksandry sprawiając, że jej myśli zaczęły wirować. Jordanowi Townsende'owi nigdy na niej nie zależało. Nie miał prawa ani powodu zachowywać się jak prawowity, zazdrosny mąż.

- Nie jestem bezmyślnym przedmiotem - wybuchła. - Nie możesz mną rozporządzać jak... jak meblem!

- Nie mogę? Przekonamy się - uciał krótko.

Myśli Aleksandry galopowały pospiesznie w poszukiwaniu jakiegoś sposobu na złagodzenie jego irracjonalnego gniewu i ugłaskanie tego, co mogło być tylko jego zranioną dumą. Przesuwając dłonią po włosach szukała rozpaczliwie jakiejś pomocnej logiki. To ona była niewinną i zranioną stroną w ich związku, ale w tej chwili on był tak silny i niebezpieczny, że jedyną ucieczkę widziała w logicznym postępowaniu.

- Widzę, że jesteś bardzo zły ...

- Spostrzegawcza jak zwykle - drwił.

Ignorując jego sarkazm Aleksandra zachowała to, co miała nadzieję, że było rozsądnym tonem.

- ...i widzę, że nie ma sensu dyskutować z tobą, gdy jesteś w tym nastroju.

- Ależ proszę, próbuj - zapraszał, ale jego wzrok przeczył jego słowom, gdy zrobił krok w jej stronę.

Aleksandra pospiesznie cofnęła się.

- To nie będzie miało sensu. Nie posłuchasz mnie. „Gniew gasi lampę umysłu ...”

Ten cytat z Ingersolla kompletnie zaskoczył Jordana. Przypomniał mu boleśnie uroczą, ciemnowłosą dziewczynę, która w zależności od okazji potrafiła zacytować Buddę lub Jana Chrzciciela. Niestety, wprawilo go to w jeszcze większy gniew, bowiem nie stała już przed nim tamta dziewczyna. Teraz okazała się sprytną oportunistką. Wiedział, że jeśli chciałaby wyjść za Tony'ego z miłości, do tej pory już by mu o tym powiedziała. Skoro tego nie zrobiła, najwyraźniej chciała pozostać księżną Hawthorne.

Nie jest w zbyt łatwej sytuacji, rozmyślał cynicznie Jordan. Nie może przekonująco rzucić się mu w ramiona szlochając z radości, ponieważ był świadkiem, jak prawie poślubiła innego mężczyznę. Nie może sobie również pozwolić na ryzyko, że pozwoli mu wyjść, zanim ona podejmie pierwszy z wielu łatwych do przewidzenia kroków mających na celu przywrócenie jej do łask. Nie, jeżeli chce pozostać w towarzystwie i utrzymać prestiż i honor swojego tytułu. Wymagało to, aby towarzystwo widziało, że jest w dobrych stosunkach z obecnym księciem.

Dostrzegał teraz, co budziło w nim gwałtowną pogardę, że przez ostatnie piętnaście miesięcy stała się ambitna. I piękna. Oszłamiająca, z kasztanowymi włosami spływającymi jej na ramiona w falach i lokach, kontrastując żywo z lśniąca, alabastrową skórą, błyszczącymi szmaragdowymi oczami i miękkimi, różowymi ustami. W porównaniu z bladymi blondynkami, które zapamiętał, a które zazwyczaj obwoływane były pięknosciami, Aleksandra była o wiele bardziej pociągająca.

Patrzył na nią twardo, przekonany o jej oportunistycznym, ale mimo wszelkich dowodów, nie mógł znaleźć nawet śladu podstępności w tych jej błyszczących oczach czy gniewnej teraz twarzy. Zły na swój wewnętrzny opór przed tym, aby ujrzeć ją taką, jaką się stała, odwrócił się na pięcie i zaczął iść do drzwi.

Aleksandra patrzyła, jak wychodzi, wypełniona tysiącami sprzecznych emocji, w tym furią, ulgą i zaniepokojeniem. Jordan zatrzymał się w drzwiach, a ona momentalnie zeszywniała.

- Wprowadzę się tutaj jutro. W międzyczasie pozwól, że zostawię ci pewne instrukcje: Nie wolno ci towarzyszyć Tony'emu gdziekolwiek.

Jego ton zapowiadał przeraźliwe konsekwencje, gdyby ośmieliła się zignorować to polecenie. Chociaż nie mogła sobie wyobrazić, jakie kary mogłby zastosować, lub dlaczego miałyby chcieć wyjść właśnie z Tonym, Aleksandra zadrżała słysząc wyraźną groźbę w jego głosie.

- Co więcej, nie opuścisz tego domu. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Ze wspaniałym gestem, który całkowicie przeczył stanowi jej ducha, niedbale wstała i powiedziała:

- Mówię płynnie trzema językami, wasza wysokość. Angielski jest jednym z nich.

- Czy kpisz sobie ze mnie? - zapytał jedwabistym, ostrzegawczym tonem.

Odwaga i zdrowy rozsądek walczyły w Aleksandrze. Żadna z tych cech jednak nie wygrała. Bojąc się postąpić do przodu i nie chcąc się wycofać, starała się dotrzymać pola zwracając się do niego jak dorosły do niegrzecznego, nierozsądnego dziecka:

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać na ten ani na żaden inny temat, gdy jesteś w tak nie zrównoważonym nastroju.

- Aleksandro - powiedział przerażającym głosem - jeżeli zastanawiasz się, na jak wiele możesz sobie pozwolić informuję, że właśnie osiągnęłaś granicę. W moim obecnym „niezrównoważonym nastroju” nic nie sprawiłoby mi większej satysfakcji, jak zamknięcie tych drzwi i przez następne dziesięć minut dokładanie wszelkich starań, abys przez najbliższy tydzień nie mogła usiąść. Czy wiesz, co mam na myśli?

Groźba zbita jej jak małe dziecko zabiła z takim trudem zdobytą pewność siebie Aleksandry. Jak kiedyś w jego obecności poczuła się mała i bezradna. Uniosła podbródek i nic nie odpowiedziała, ale na jej policzki wypłynęły gorące rumieńce upokorzenia, a w oczach błysnęły łzy.

Patrzył na nią milczeniu, a potem usatysfakcjonowany jej ukaraniem, łamiąc wszelkie zasady dobrego zachowania, wyszedł nawet bez kiwnięcia głową.

Dawniej zupełnie nie znała zasad etykiety, według których zawsze postępowali uprzejmi dżentelmeni i damy. Nie zdawała sobie wtedy sprawy, że nie traktował jej jak trzeba, nigdy się jej nie kłaniając, nie całując jej dłoni czy nie traktując z należytą kurtuazją. Teraz, gdy stała sama pośrodku salonu, była dokładnie i boleśnie świadoma wszystkich tych towarzyskich niuansów, jak również tych nowych form uprzejmego poniżenia, których nauczyła się dzisiaj.

Czekała, dopóki nie zamknęły się drzwi frontowe, a potem sztywnym krokiem opuściła salon i weszła po schodach do swojego pokoju. Rozpacz wypełniała nadal jej duszę, gdy oddaliła pokojówkę i bezmyślnie zdjęła suknię ślubną. Wrócił! I jest jeszcze gorszy, niż zapamiętała, a raczej niż to sobie wyobrażała - bardziej arogancki, bardziej władczy, kompletnie bez serca. A jest jego żoną! Jej serce krzyczało z bólu.

A jeszcze rano wszystko było takie proste i przewidywalne. Obudziła się, ubrała w suknię ślubną, poszła do kościoła. A teraz, trzy godziny później, okazało się, że jest żoną niewłaściwego mężczyzny.

Całą wolą walczyła, by się nie rozplakać, usiadła na sofie i starała się przestać o tym myśleć, ale bez powodzenia. Myśli wciąż krążyły jej w głowie, torturując żywymi wspomnieniami zadurzonego, naiwnego dziecka, jakim kiedyś była. Widziała siebie stojącą z Jordanem w ogrodzie w Rosemeade i słyszała, jak mówi „Myślę, że jesteś piękny jak Dawid Michała Anioła. Kocham cię”. A potem, kiedy się kochali, omal nie omdlała w jego ramionach z rozkoszy i szeptała mu gwałtownie, jaki jest silny, mądry i przecudowny!

- Dobry Boże! - jęknęła głośno na kolejne wspomnienie. Naprawdę powiedziała najgorszemu rozpustnikowi Londynu, że najwyraźniej nie miał za wiele do czynienia z kobietami. Nic dziwnego, że się uśmiechał.

Po policzkach spływały jej gorące łzy upokorzenia. Otarła je gniewnie. Nie miała zamiaru płakać przez tego potwora. Z furią myślała, że wystarczy już morze łez, jakie przez niego wylała.

Wróciły do niej słowa Tony'ego sprzed kilku tygodni: „Jordan ożenił się z tobą, ponieważ uważał, że powinien. Jednak nie chciał ani nie zamierzał żyć z tobą, jak z żoną. Było mu ciebie żal. Co więcej, zamierzał zostawić cię w Devon i wrócić do Londynu, gdzie wiódłby dalej wcześniejsze życie. Był ze swoją kochanką już po waszym ślubie. Powiedział jej, że wasze małżeństwo to tylko drobna niewygodą”.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, ale Aleksandra była tak pogrążona w rozpacz, że nic nie słyszała. Do pokoju weszła Melania i zamknęła za sobą drzwi.

- Sandy?

Wyrwana ze wspomnień Aleksandra uniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Melania tylko raz spojrzała na zmartwiałą, zalaną łzami twarz przyjaciółki i natychmiast do niej podbiegła.

- Dobry Boże - wyszeptała z przerażeniem klękając przed Aleksandrą i wyciągając chusteczkę. - Dlaczego płaczesz? Czy on ci coś zrobił? Czy był brutalny, uderzył cię?

Aleksandra spojrzała na przyjaciółkę, ale nie mogła z siebie wydobyć głosu. Wiedziała, że mąż Melanii jest jednym z najbliższych przyjaciół Jordana i zastanawiała się, po czyjej stronie opowie się Melania. Potrząsnęła głową i wzięła chusteczkę.

- Sandy! - wykrzyknęła Melania z rosnącym zaniepokojeniem - odezwij się do mnie, proszę! Jestem twoją przyjaciółką i zawsze nią będę - powiedziała właściwie interpretując zaniepokojenie Aleksandry. - Nie możesz tego w sobie tłamsić. Jesteś blada jak duch i wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć.

Aleksandra opowiedziała kiedyś krótko Melanii o swoim zaślepieniu Jordanem, ale nigdy nie mówiła o jego kompletnym braku uczuć wobec niej i kryła swój wstyd za fasadą

autoironii. Jednak teraz cały jej ból i nieszczęście były obnażone, podczas gdy Aleksandra ujawniła wszystkie poniżające szczegóły swojego związku z Hawkiem, nic nie ukrywając. Wiele razy podczas tej opowieści Melania kręciła głową ze współczuciem, nie wierząc, jak Aleksandra mogła być tak naiwna, by zaoferować swoje serce Jordanowi. Gdy jednak usłyszała o zamiarze Jordana zostawienia Aleksandry w Devon, spoważniała na dobre.

Kiedy Sandy skończyła opowiadać, Melania pogłaskała ją po ręce.

- To już przeszłość. A co z przyszłością? Masz już jakieś plany?

- Tak - odpowiedziała Aleksandra cicho, ale z mocą. - Chcę rozwodu!

- Co? - wykrzyknęła Melania. - Nie mówisz chyba poważnie?

Aleksandra była śmiertelnie poważna i nie omieszkała tego powiedzieć.

- Rozwód jest nie do pomyslenia - powiedziała Melania odrzucając tę możliwość kilkoma krótkimi zdaniami. - Stałabyś się wyrzutkiem, Aleksandro. Nawet mój mąż, który pozwala mi prawie na wszystko, zabroniłby mi się z tobą widywać. Zostałabyś odrzucona przez całe przyzwoite towarzystwo i odcięta od wszystkich.

- To i tak lepiej, niż być jego żoną i dać się zamknąć gdzieś w Devon.

- Być może tak ci się dzisiaj wydaje, ale w żadnym wypadku nie ma znaczenia to, co czujesz. Jestem całkiem pewna, że twój mąż musiałby się zgodzić na rozwód, ale zupełnie nie wyobrażam go sobie w tej roli. Nawet ze zgodą męża bardzo trudno jest uzyskać rozwód, a ty potrzebowałabyś jeszcze podstaw do uzasadnienia swych żądań.

- Myślałam o tym, gdy weszłaś i wydaje mi się, że już mam podstawy i może nie będę potrzebowała jego zgody. Po pierwsze zostałam popchnięta w to małżeństwo przez... przez okoliczności. Po drugie na naszym ślubie przysięgał kochać mnie i szanować, ale nie miał zamiaru robić ani jednego ani drugiego. Jeśli udowodnię, że tak myślał już w dniu ślubu, to na pewno wystarczy, aby uzyskać unieważnienie albo rozwód. Jednakże nie widzę powodu, dla którego miałby odmówić swojej zgody. - Potem dodała z nagłym gniewem. - Przede wszystkim nigdy nie chciał mnie poślubić.

- Cóż - odparła Melania. - To nie znaczy, że będzie chciał, by każdy się dowiedział, że ty nie pragniesz już jego.

- Kiedy będzie miał czas na rozważenie tego planu, poczuje ulgę, że ma okazję się mnie pozbyć.

Melania potrząsnęła głową.

- Nie jestem pewna, czy chce się ciebie pozbyć. Widziałam, jak patrzył dziś w kościele na lorda Anthony'ego. Nie dostrzegłam w jego wzroku ulgi, tylko furię.

- Z natury ma wybuchowy charakter - powiedziała Aleksandra z obrzydzeniem, wspominając ich rozmowę na dole. - Jak do tej pory nie ma powodu, aby być złym na mnie czy Anthony'ego.

- Nie ma powodu? - powtórzyła Melania z niedowierzaniem. - Przecież miałaś właśnie wyjść za innego mężczyznę.

- Nie widzę, jaką różnicę miałyby mu to uczynić. Tak jak powiedziałam, na początku wcale nie chciał mnie poślubić.

- Ale to nie znaczy, że chciałby, by ktokolwiek inny się z tobą ożenił - roztropnie odpowiedziała Melania. - W żadnym wypadku to nie ma znaczenia. Rozwód jest całkowicie wykluczony. Musi być jakieś inne wyjście. Mój mąż wrócił dzisiaj ze Szkocji - dodała z zapalem. - Zapytam Johna o radę. Jest bardzo mądry. - Jej twarz wydłużyła się. - Niestety jest też najlepszym przyjacielem Jordana i może to mieć niejaki wpływ na to, co powie. Jednakże rozwód jest zdecydowanie nie do przyjęcia. Musi być jakieś inne rozwiązanie.

Przez dłuższą chwilę milczała ze zmarszczonym czołem, pograżona we własnych myślach.

- Nic dziwnego, że tak się w nim zadurzyłaś - powiedziała z łagodnym, współczującym uśmiechem. - Tuziny najbardziej wyrafinowanych dam z towarzystwa szalały za nim. Ale poza okazjonalnymi flirtami z którąś z nich, nigdy nie okazał, że odwzajemnia ich uczucia. Naturalnie teraz, gdy wrócił, każdy spodziewa się, że wpadniesz mu prosto w ramiona. Szczególnie, że wszyscy właśnie teraz przypominają sobie, jak bardzo byłaś w nim zakochana, gdy przyjechałaś do Londynu.

Aleksandra uświadomiła sobie, że Melania ma całkowitą rację i to sprawiło, że poczuła się chora. Położyła się na sofie i z bólem zamknęła oczy.

- Nie pomyślałam o tym, masz absolutną rację.

- Oczywiście, że mam - nieobecnym głosem zgodziła się Melania. - Z drugiej strony - jej oczy zaczęły błyszczeć - czy nie byłoby przepysznie, gdyby stało się coś całkowicie odwrotnego?

- Co masz na myśli?

- Idealnym rozwiązaniem całego problemu byłoby, gdyby to on zakochał się w tobie. To pozwoliłoby zatrzymać ci dumę. I męża.

- Melanio - zaczęła Aleksandra - po pierwsze nie sędzę, że ktokolwiek mógłby sprawić, aby ten mężczyzna się zakochał, ponieważ on jest pozbawiony serca. Po drugie, nawet jeśli je ma, jest ono na mnie odporne. Po trzecie ...

Melania śmiejąc się ściągnęła Aleksandrę z sofy i zaprowadziła przed lustro.

- To było przedtem. Popatrz w lustro, Sandy. Kobieta, która na ciebie patrzy, ma cały Londyn u stóp. Mężczyźni walczą o ciebie...

Aleksandra sapnęła patrząc na Melanię, a nie na swoje odbicie.

- Tylko dlatego, że stałam się absurdalnie modnym towarzystwem i wypada się ze mną pokazywać. Nie wiesz? To jest teraz w modzie, aby mężczyźni wyobrażali sobie, że są we mnie zakochani.

- Jak uroczo - powiedziała Melania, jeszcze bardziej zadowolona. - Hawthorne przeżyje największy szok w swoim życiu, gdy to odkryje.

Krótki błysk zrozumienia zamigotał w oczach Aleksandry, ale szybko zgasł.

- To nie ma znaczenia.

- Owszem ma - zaśmiała się Melania. - Wyobraź sobie tylko. Po raz pierwszy w życiu Hawthorne ma konkurencję i to w osobie własnej żony! Pomyśl, jak towarzystwo przyjmie ten spektakl, w czasie którego najbardziej doświadczony lowelas Anglii próbuje bez sukcesu uwieść i pokonać własną żonę.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego ten plan się nie powiedzie - powiedziała rzeczowo Aleksandra.

- To znaczy?

- Nie zrobię tego. Nawet gdybym umiała, ale nie umiem, nie chcę próbować.

- Ale dlaczego? - wybuchnęła Melania. - Dlaczego nie?

- Ponieważ - gwałtownie powiedziała Aleksandra - nie lubię go! Nie chcę, żeby mnie kochał, nie chcę nawet, by był blisko mnie. - Mówiąc to podeszła do dzwonka, by zadzwonić po herbatę.

- Mimo to jest to jedyne i najlepsze rozwiązanie. - Chwyając rękawiczki i torebkę Melania wycisnęła całusa na czole Aleksandry. - Jesteś teraz zaszokowana i wyczerpana, nie myślisz jasno. Zostaw wszystko mnie.

Była już w połowie drogi do drzwi, gdy Aleksandra zdała sobie sprawę, że Melania ma jakiś określony cel, do którego jej teraz spieszą. - Dokąd idziesz? - zapytała podejrzliwie.

- Spotkać się z Roddym - odparła Melania odwracając się do drzwi. - Na nim można polegać, jeśli chodzi o to, żeby Hawthorne dowiedział się przy najbliższej okazji, że nie jesteś już naiwną, głupiutką wiejską gąską, tak jak on może myśleć. Roddy'emu bardzo spodoba się ta rola - przewidywała Melania. - To ten rodzaj podjudzania, jaki najbardziej lubi.

- Melanio, zaczekaj! - zaczęła Aleksandra ze znużeniem, ale nie protestowała już przeciwko tej części planu Melanii. Nie w tej chwili, gdy jej wyczerpanie dawało o sobie znać. - Obiecuj, że nie zrobisz nic więcej bez mojej zgody.

- Bardzo dobrze - radośnie powiedziała Melania i pomachała ręką na pożegnanie.

Aleksandra odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, jako że zwyciężyła senność.

Zegar wybijający dziesiątą i gwar spowodowany przybywającymi ciekawskimi całkowicie ją obudziły. Oparła się na łokciu i mrużąc oczy przed światłem świec w swojej sypialni ze zdziwieniem stwierdziła, że zasnęła na sofie o tak wczesnej - według norm przyjętych w towarzystwie - porze wieczora. Wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z dołu, bez przerwy otwierane i zamykane drzwi, po czym usiadła zaspana zastanawiając się, dlaczego całe towarzystwo dziś tutaj przyjeżdża... I wtedy sobie przypomniała.

Hawk wrócił.

Najwyraźniej wszyscy myśleli, że go tu znajdą. Tak bardzo chcieli go zobaczyć i z nim porozmawiać, że nie przejmowali się zasadami dobrego wychowania, które zalecały powściągnięcie ciekawości przynajmniej do jutra.

Hawk musiał to przewidzieć, z irytacją pomyślała Aleksandra. Wstała i przebrała się w jedwabny peniuar, po czym położyła się do łóżka. Prawdopodobnie właśnie dlatego wybrał na tę noc dom księżnej, zostawiając ich tutaj samym sobie, aby walczyli z nawałą gości.

Jej mąż, nie miała wątpliwości, spał teraz spokojnie w swoim łóżku ciesząc się niezakłóconym snem.

ROZDZIAŁ 20

Aleksandra myliła się w obu przypadkach. Jordan nie spał i nie cieszył się spokojem.

Siedział właśnie w barokowym salonie domu swojej babki z nogami wyciągniętymi do przodu i nieco oszołomionym wyrazem twarzy. Towarzyszyło mu trzech przyjaciół, którzy przyszli go powitać, i Roddy Carstairs, który najwyraźniej przyszedł zabawiać go ciekawymi historyjkami eskapad Aleksandry.

Po godzinnym słuchaniu opowieści Carstairsa Jordan nie był wcale zniecierpliwiony ani poirytowany, ani zły. Był wściekły. Podczas gdy on spędzał bezsenne noce, martwiąc się, że jego wspaniała młoda żona odchodzi od zmysłów, ona przemeblowywała cały Londyn. Gdy on gnił w więzieniu, Aleksandra prowadziła tuzin publicznych flirtów. Gdy on leżał w kajdanach, „Sandy” najwyraźniej odniosła zwycięstwo w Gresham Green. Przeprowadziła pojedynek z lordem Mayberry ubrana w obcisłe, męskie bryczesy, które tak rozproszyły jej przeciwnika, że ów sławny szpadzista przegrał. Zabawiała się na jarmarkach i uczestniczyła w jakiejś niecnej przygodzie z wikarym z Southeby, o którym Jordan by przysiągł, że ma co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. A to był dopiero początek!

Jeżeli Carstairs mówił prawdę, Tony otrzymał co najmniej sto oświadczeń o jej rękę, a odrzuceni adoratorzy najpierw kłócili się o nią, potem walczyli, a w końcu jeden z nich, Marbly, próbował ją uprowadzić. Jakiś młody niezgrabiasz o nazwisku Sevely opublikował wiersz w uwielbieniu dla jej wdzięków zatytułowany „Oda do Sandy”, a stary Dilbeck nazwał nową różę „Cudowna Sandy”...

Jordan oparł się wygodnie o swoje krzesło, skrzyżował nogi w kostkach, uniósł brandy do ust i słuchał paplaniny Carstairsa starannie kryjąc wszelkie uczucia i symulując jedynie średnie zainteresowanie wyczynami swojej żony.

Wiedział, że była to dokładnie taka reakcja, jakiej oczekiwali trzej towarzyszący mu przyjaciele, było bowiem przyjęte w towarzystwie i rozumiałe samo przez się, że oboje małżonkowie mogli czynić to, co chcieli, dopóki zachowywali dyskrecję. Z drugiej strony, w najściślejszym gronie męskiego braterstwa, rozumiało się samo przez się, że najbliżsi przyjaciele mężczyzny informowali go, jak najdelikatniej i nie wprost, gdy wyczyny jego żony mogły wykroczyć poza dopuszczalne granice i spowodować zgorszenie. I jak Jordan przypuszczał, właśnie dlatego jego przyjaciele niezbyt próbowali powstrzymywać Roddy'ego.

Gdyby Carstairsowi nie udało się przyjechać równocześnie z jego przyjaciółmi, nie zostałby wpuszczony do domu. Dla Jordana był nikim więcej jak dalekim znajomym i iry-

tującym plotkarzem, ale trzech pozostali mężczyźni byli jego przyjaciółmi. I chociaż wielokrotnie usiłowali zmienić temat, z ich neutralnych wypowiedzi widać było, że większość z tego, co mówi Carstairs jest prawdą.

Jordan patrzył na niego uważnie, zastanawiając się, co sprawiło, że tak szybko przybył on do niego, aby zabawić go tymi historyjkami. Całe towarzystwo wiedziało, że dla Jordana kobiety były niczym więcej, jak miłą rozrywką i chwilowymi gośćmi w łóżku. Hawthorne był ostatnim człowiekiem na ziemi, którego można by podejrzewać, że stracił rozum dla ładnej buzi czy ponętnej ciała. Wszyscy byliby niezmiernie zdumieni, gdyby porzucił swój styl bycia dla uroczego, ciemnowłosego podlotka na długo przedtem, zanim pojawiły się jakiegokolwiek oznaki, że stanie się piękną.

Czterej mężczyźni w salonie przy Gloucester Street byliby równie zdziwieni wiedząc, że Jordan, który tak obojętnie słuchał monologu Carstairsa, wewnątrz wrzał jak czynny wulkan. Był wściekły na Tony'ego, że dał Aleksandrze taką swobodę, zły na swoją babkę, że nie sprawowała nad nią jakiegokolwiek kontroli. Najwidoczniej tytuł księżnej Hawthorne ułatwiał Sandy zabawę. Czuli się zupełnie bezkarna. Jordan nie mógł już zmienić przeszłości, ale mógł całkowicie odmienić przyszłość Aleksandry. Jednak to nie jej wybryki ani nawet jej flirty wprawiły go w największy gniew.

Irracjonalnie, tym, co wywołało w nim furię, był fakt, że oni nazywali ją Sandy.

Najwyraźniej wszyscy nazywali ją Sandy. Całe towarzystwo zdawało się być w jak najbardziej zażyłych więzach przyjaźni z jego żoną - zwłaszcza męska połowa towarzystwa.

Jordan spojrzał na służącego, który zmaterializował się w drzwiach i pokręcił głową na znak, aby nie napełniać już kieliszków jego gości. Poczekał, aż Carstairs przerwał, aby zaczerpnąć oddechu i uprzejmie skłamał:

- Mam nadzieję, że nam wybaczysz Carstairs. Ci panowie i ja mamy interesy do omówienia.

Roddy przyjacielsko pokiwał głową i wstał, aby wyjść, ale przedtem nie omieszkał wygłosić jeszcze jednej uwagi.

- Dobrze mieć cię znowu wśród nas, Hawk. Chociaż szkoda biednego Tony'ego. Szaleje na punkcie Sandy, tak jak Wilston, Gresham, Fites, Moresby i parę tuzinów innych...

- W tym ty? - chłodno zapytał Jordan. Brwi Roddy'ego uniosły się bez troski.

- Oczywiście, że tak.

Gdy Roddy wyszedł, dwaj jego przyjaciele, lordowie Hastings i Fairfax, również wstali szykując się do wyjścia, z przeproszącymi i zakłopotanymi minami. Lord Hastings,

starając się rozładować napięcie, rozpoczął temat Wyścigu Królowej - dwudniowej gonitwy z przeszkodami, której tradycyjnie wszyscy byli uczestnikami bądź widzami.

- Zamierzasz wystartować w Wyścigu Królowej na tym swoim czarnym ogierze, Hawk? - zapytał lord Hastings.

- Na pewno wystartuję, ale nie wiem jeszcze, na jakim koniu - odpowiedział Jordan starając się trzymać swój gniew na wodzy i przywołać na myśl bujną radość jazdy konnej w najważniejszej gonitwie roku.

- Wiedziałem, że pojedziesz. Jeśli pojedziesz na Szatanie, postawię na ciebie.

- A ty startujesz?

- Naturalnie. Ale jeżeli dosiędziesz tej czarnej bestii, stawiam na ciebie, nie na siebie. To najszybszy diabeł, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Jordan zmieszany zmarszczył brwi. Gdy rok temu zaginął, Szatan był jeszcze dzikim, nieprzewidywalnym trzylatkiem.

- Widziałeś, jak biega?

- W rzeczy samej. Twoja żona ścigała się na nim... - urwał z przerażeniem widząc, że Jordan zacisnął szczęki tak mocno, że aż zgrzytnęło.

- Ona... yyy... prowadziła go bardzo dobrze i zbyt go nie forsowała - wtrącił się desperacko Fairfax widząc reakcję Jordana.

- Jestem pewny, że twoja żona ma tylko bujny temperament - pospieszył z pomocą lord Hastings bardziej głośno niż z przekonaniem i klepnął Jordana po ramieniu.

Lord Fairfax nieustannie potakiwał.

- Po prostu bujny temperament. Skróć jej trochę rzemień, a będzie pokorna jak owieczka.

- Właśnie, pokorna jak owieczka - szybko podchwycił lord Hastings.

Na zewnątrz obaj mężczyźni, którzy byli zapalonymi hodowcami koni i nałogowymi hazardzistami, zatrzymali się na schodach, aby wymienić niepewne spojrzenia.

- Pokorna jak owieczka? - lord Hastings powtórzył niedowierzająco słowa swojego przyjaciela. - Jak tylko Hawk ściągnie jej wodze?

Lord Fairfax uśmiechnął się.

- Oczywiście. Ale najpierw będzie musiał wepchnąć jej uzdę w zęby, a żeby to zrobić, będzie musiał ją spętać. Ale ona będzie walczyć, gdy on spróbuje ją okiełznać, daję ci słowo. Ma więcej ducha niż przeciętna kobieta i podejrzewam, że więcej dumy.

Hastings zamknął oczy z niedowierzaniem.

- Zapominasz o wyjątkowym wpływie, jaki ma Hawk na kobiety. Za parę miesięcy Sandy będzie jeść mu z ręki. W dniu Gonitwy Królowej przywiąże mu szarfę na ramieniu i będzie wiwatować na jego cześć. Młody Wilson i jego przyjaciel Fairchild zrobili już na to zakłady. Stawka u White'a jest już cztery do jednego na korzyść Hawka i tego, że Aleksandra przywiąże mu szarfę.

- Mylisz się, przyjacielu. Jeszcze da mu się we znaki - Nie ma mowy. Była nim zauroczona, gdy przyjechała do miasta. Nie pamiętasz, jaką gęś z siebie robiła przez niego przez parę tygodni? Odkąd Hawk wszedł dziś rano do kościoła, nikt nie mówi o niczym innym.

- Wiem, i stawiam na to, że ona też o tym nie zapomniała - powiedział Fairfax spokojnie. - Znam żonę Hawka i wiem, że jest dumną kobietą. I ta duma nie pozwoli jej paść łatwo w jego ramiona, zapamiętaj moje słowa.

Wyzywająco unosząc brwi Hastings zaproponował - - Stawiam 1000 funtów na to, że Sandy w dniu Gonitwy Królowej przywiąże szarfę Jordanowi.

- Zgoda - powiedział Fairfax bez wahania i ruszyli w stronę White'a, aby odpocząć i pograć w karty w tym ekskluzywnym klubie dla dżentelmenów. Ale nie po to aby wpisać ten zakład. Miał on pozostać tylko między nimi' a to z szacunku dla przyjaciela.

Kiedy Fairfax i Hastings wyszli, Jordan podszedł do stolika z alkoholem i uzupełnił swój kieliszek. Gniew, który skrywał przed innymi, był teraz wyraźnie widoczny w twardej linii zaciśniętej szczęki. Spojrzał na swojego najlepszego przyjaciela Johna Camdena.

- Mam szczerą nadzieję - zaczął z gryzącą ironią - że nie zostałeś tutaj, aby ujawnić mi dalsze niedyskretne rewelacje na temat Aleksandry, które chciałeś przekazać mi w cztery oczy.

Lord Camden zaśmiał się krótko.

- Raczej nie. Kiedy Carstairs opowiadał o wyścigu twojej żony w Hyde Parku i o jej pojedynku z Mayberrym, mglście wspomniiał imię „Melania”. Wydaje mi się, że zaznaczył, iż owa Melania głośno zagrzewała Aleksandrę do zwycięstwa w obu tych przypadkach.

Jordan opróżnił kieliszek.

- I co z tego?

- Melania - wyjaśnił John - to moja żona. Ręka trzymająca kieliszek znieruchomiała.

- Co takiego?

- Jestem żonaty.

- Naprawdę? - bezmyślnie zdziwił się Jordan. - Dlaczego?

Lord Camden uśmiechnął się.

- Zdaje się, że nie mogłem się tym razem oprzeć.

- W takim razie przyjmij moje spóźnione gratulacje - powiedział sardonicznie Jordan. Podniósł swoją szklankę w parodii toastu, a potem zreflektował się, gdy do głosu doszło jednak dobre wychowanie.

- Przepraszam za moje grubiaństwo. Akurat w tej chwili małżeństwo nie stoi na szczycie listy rzeczy, które lubię. Czy Melania to ktoś znajomy? Widziałem ją kiedyś?

- Mam nadzieję, że nie! - wykrzyknął John z wesołą przesadą. - Wkroczyła do towarzystwa zaraz po twoim zniknięciu, co wyszło jej tylko na dobre. Nie mógłbyś się jej oprzeć i musiałbym cię wyzwawać na pojedynkę, teraz gdy już wróciłeś.

- Twoja reputacja wcale nie była dużo lepsza niż moja.

- Nie byłem godny być nawet twoim cieniem - zażartował John starając się rozweselić przyjaciela. - Kiedy ja zawieszałem oko na jakiejś pannie, jej matka fundowała kolejną przyzwoitkę. Gdy ty spojrzełeś na pannę, wszystkie matki w zasięgu wzroku zaczynały spazmować ze strachu i dzikiej nadziei. Oczywiście ja nie miałem księstwa do zaoferowania, na karb czego należy złożyć połowę ich podekscytowania i chęci współpracy.

- Nie przypominam sobie, abym miał zbyt wiele do czynienia z młodymi niewiniątkami - powiedział Jordan siadając i patrząc w szklankę.

- Nie miałeś. Ale jeżeli nasze żony mają ze sobą na tyle dużo wspólnego, aby się zaprzyjaźnić ze sobą, oznacza to, że są do siebie bardzo podobne. W każdym razie, czeka cię życie pełne rozpaczy.

- Dlaczego? - uprzejmie zapytał Jordan.

- Ponieważ z dnia na dzień nie będziesz wiedział, co jej strzeli do głowy i co będzie chciała zrobić, a kiedy już to odkryjesz, śmiertelnie cię to przerazi. Melania powiedziała mi dziś po południu, że spodziewa się dziecka, a ja już przeżywam najgorsze tortury strachu, że kiedy urodzi się dziecko, ona zostawi je gdzieś przez nieuwagę.

- Jest zapominalska? - spytał Jordan bez powodzenia starając się wyglądać na zainteresowanego opowieścią przyjaciela o nowej żonie.

John uniósł brwi i pokiwał potakująco.

- Musi być. Jakie inne może być wytłumaczenie, że zapomniała mi wspomnieć, gdy wróciłem dziś ze Szkocji, że wraz z żoną mojego najlepszego przyjaciela - której jeszcze nie poznałem - była zamieszana w różne pyszne zabawy i rozrywki.

Camden zdał sobie sprawę, że jego próby poprawienia nastroju Jordana nie przynoszą żadnych rezultatów.

- Co zamierzasz zrobić ze swoją żoną?

- Mam parę dróg do wyboru i w tej chwili każda z nich wydaje się atrakcyjna - uciął Jordan. - Mogę złamać jej kark, obstawić ją strażą albo wysłać ją do Devon, gdzie znajdzie się wreszcie z dala od ludzkich oczu.

- Dobry Boże, Hawk, nie możesz tego zrobić! Po tym, co stało się dzisiaj w kościele, ludzie pomyślą...

- Mam to gdzieś, co ludzie pomyślą! - przerwał mu Jordan, ale w tym przypadku nie była to prawda, o czym obaj wiedzieli. Jordana coraz bardziej gryzła myśl, że stanie się publicznym pośmiewiskiem, bo nie umie poradzić sobie z własną żoną.

- Może ma po prostu bujny temperament - zasugerował lord Camden. - Melania zna ją bardzo dobrze i bardzo ją lubi.

Wstał szykując się do wyjścia.

- Jeżeli będziesz w nastroju, wpadnij jutro wieczorem do White'a. Będziemy świętować moje zbliżające się ojcostwo.

- Będę - odpowiedział Jordan zmuszając się do uśmiechu. Kiedy Camden wyszedł, Jordan niewidzącym wzrokiem zapatrzył się na pejzaż wiszący nad kominkiem i zastanawiał się, ilu też kochanków miała do tej pory Aleksandra. Dzisiaj, gdy byli sami w salonie, widział w jej oczach straconą niewinność i brak złudzeń. Kiedyś jej piękne oczy były szczere, ufne i miękkie, gdy na niego patrzyła. Teraz ich dawny blask zakłóciła zimna niechęć.

Gniew Jordana rósł jak dziki ogień w miarę, jak uświadamiał sobie powód, dla którego Aleksandra traktowała go dzisiaj tak wrogo: żałowała, że on nie żyje. To proste, adorujące go dziecko, jakie poślubił, było teraz rozczarowane tym, że on żyje! Uroczą młodą dziewczyną, która została rok temu jego żoną, zmieniła się w zimną, wyrachowaną, piękną... dziewczkę.

Przez kilka chwil rozważał możliwość rozwodu, ale szybko odrzucił ten pomysł. Przeciw temu przemawiał nie tylko skandal, ale również długotrwałe oczekiwanie na decyzję, a on potrzebował potomka. Mężczyźni z rodu Townsende'ów zdawali się być dotknięci klątwą krótkiego życia i nawet jeśli okazało się, że Aleksandra pozbawiona jest cnót i przyzwoitości tak jak to się wydawało, nadal mogła dać mu dzieci - jeśli trzeba w odosobnieniu, aby mieć pewność, że będą to jego dzieci, a nie kogoś innego.

Oparł głowę o krzesło, zamknął oczy i głęboko odetchnął starając się zapanować nad gniewem. Kiedy wreszcie mu się to udało, pomyślał, że potępia Aleksandrę i decyduje o jej przyszłości na podstawie zwykłych plotek. W końcu zawdzięczał przecież życie tej prostej, nie zepsutej dziewczynie, więc mógł jej przynajmniej dać prawo do obrony.

Zdecydował, że jutro otwarcie powie jej o rewelacjach, jakie usłyszał od Carstairsa i da jej szansę, aby im zaprzeczyć. Miała do tego prawo, oczywiście pod warunkiem, że nie będzie na tyle głupia, by kłamać. Ale gdyby to była prawda i stałoby się jasne, że naprawdę jest szczwaną oportunistką albo sprytną małą szachrajką, wtedy zamierzał potraktować ją z całą surowością, na jaką zasługuje.

Albo ona postąpi wedle jego woli, albo on i tak zmusi ją do tego, ale na pewno nauczy się zachowywać jak dobra i obowiązkowa żona, zdecydował zimno.

ROZDZIAŁ 21

Aleksandrę zbudziły odgłosy szybkich kroków biegnących w dół i w górę po schodach i przytłumionych, podnieconych szeptów służby spieszącej do swoich obowiązków. Wciąż senna przekręciła się na plecy i spojrzała na zegar. Nie było jeszcze dziewiątej; o tej porze służba nigdy nie kręciła się na piętrze rezydencji, świadoma, że jej mieszkańcy często spali do jedenastej po powrocie z balów o świcie.

Ze wstydem pomyślała, że na pewno służy szykowali się na spodziewany przyjazd swojego pana.

Nie dzwoniąc na pokojówkę, wyskoczyła z łóżka i zaczęła poranną toaletę nasłuchując odgłosów niezwyklej aktywności za drzwiami.

Ubrała się w ładną poranną sukienkę w kolorze lawendy z krótkimi bufiastymi rękawkami. Gdy otworzyła drzwi, wpadła na czterech służących. Pędzili do sypialni pana ze stosami pudeł z inicjałami najlepszych krawców i szewców Londynu.

Z dołu dochodziły powtarzające się uderzenia kołatki i raz po raz otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych, a potem przyciszone męskie głosy. Dzisiejsza wrzawa była o wiele gorsza niż to, co się działo wczoraj. Ciekawscy znajomi przybywali stadami w nadziei ujrzenia Hawka. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. W przeszłości zarówno Aleksandrę, jak i księżnę każdego dnia odwiedzało sporo gości, ale nigdy aż tak wielu i o tak wczesnej porze.

Zaciekawiona podeszła do balustrady i wyjrzała do hallu. Ze zdziwieniem zauważyła, że nie Penrose, lecz Higgins otwierał drzwi. Wpuścił właśnie trzech mężczyzn, których Aleksandra знаła tylko z widzenia. Dwaj kolejni, którzy najwidoczniej dopiero co przyjechali, cierpliwie czekali, aż zostaną zaproszeni do właściwego salonu. Dookoła nich uwijali się ubrani w jednakowe uniformy podekscytowani służący, pogrążeni w swoich obowiązkach.

Podczas gdy Higgins prowadził ostatnich gości do biblioteki, Aleksandra zawołała jedną z pokojówek śpieszących hallem z naręczem świeżej pościeli.

- Lucy!

Pokojówka zatrzymała się.

- Tak, psze pani?

- Dlaczego służący krzątają się o tak wczesnej porze? Młoda pokojówka wyprostowała plecy i dumnie powiedziała:

- Książę Hawthorne wrócił nareszcie do domu. Aleksandra chwyciła balustradę i zszokowana spojrzała w głąb hallu.

- Już tu jest?

- Tak, psze pani. W rzeczy samej.

Aleksandra zerknęła jeszcze raz na dół. Właśnie z salonu wyszedł Jordan, ubrany we wspianale skrojone granatowe spodnie i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Za nim wyłoniła się charakterystyczna sylwetka George'a, księcia regenta; wystrojony jak paw w satynę i aksamit, opowiadał coś Jordanowi. Jak zwykle, mówiąc o sobie, używał królewskiej liczby mnogiej.

- To był dla nas czarny dzień, gdy zniknąłeś, Hawthorne. Rozkazujemy ci, żebyś w przyszłości bardziej na siebie uważał. Twoją rodzinę nawiedziła istna plaga tragicznych wypadków. Oczekujemy, że w przyszłości podejmiesz wszelkie możliwe środki ostrożności. Co więcej - władczo zażądał - chcielibyśmy, byś zaczął płodzić potomków dla zapewnienia sukcesji.

Jedyną odpowiedzią Jordana był lekki uśmiech. Potem dodał coś niewyraźnie, na co książę odrzucił głowę do tyłu i potężnie zarechotał.

Klepiąc Jordana po ramieniu przeprosił, że przyjechał niespodziewanie. Zaraz żwawo przybiegł Higgins, by otworzyć mu drzwi. Trwało dobrą chwilę, zanim Aleksandra otrząsnęła się z szoku, jakim był widok brytyjskiego regenta przebywającego w tym samym domu, co ona. Jordan traktował go tak zwyczajnie, że graniczyło to z przesadną poufałością.

Kiedy w hallu został tylko lokaj, Aleksandra powoli zeszła po schodach starając się odzyskać wewnętrzną równowagę. Odsunęła od siebie zadziwiający spektakl z udziałem regenta i skoncentrowała się na nie mniej zajmującej perspektywie spotkania z Jordanem.

- Dzień dobry, Higgins. Gdzież to się podziewają Filbert i Penrose? - zapytała rozglądając się po hallu.

- Jego książęca mość odesłał ich na dół do kuchni, jak tylko zajechał dziś rano. Nie sądził aby... yyy... tutaj było miejsce gdzie by... yyy... mogli... potrafili...

- Chciał się ich pozbyć z widoku, prawda? - domyśliła się Aleksandra. - Dlatego odesłał ich na wygnanie do kuchni?

- Całkiem tak. Aleksandra zeszywniała.

- Czy powiedziałeś księciu, że Penrose i Filbert są moimi przy... - powstrzymała odruch nazwania ich przyjaciółmi i gładko zakończyła - służącymi?.

- Tak, wspomniałem o tym.

Całą siłą swojej woli Aleksandra powstrzymała ogarniającą ją nieposkromioną furję. Najwyraźniej dwaj starsi panowie nie byli zdolni zająć się księciem regentem ani zwiększoną

liczbą wizytujących. W tych kwestiach nie miała zamiaru się sprzeczać z Jordanem. Poniżenie ich przed resztą służby wygnaniem do kuchni, zamiast odesłaniem do innej części domu, było jednak niesprawiedliwe i złośliwe.

Aleksandra podejrzewała, że był to ze strony Jordana rodzaj osobistej zemsty.

- Czy mógłbyś przekazać księciu, że chciałabym się z nim spotkać? - spytała Aleksandra spokojnie, starając się nie wyładowywać gniewu na Higginsie. - Najwcześniej, jak można.

- Księżę również wyraził życzenie zobaczenia się z panią, milady. O wpół do drugiej w jego gabinecie.

Aleksandra spojrzała na ogromny zegar w hallu. Do spotkania pozostały jeszcze trzy godziny i piętnaście minut. Trzy godziny i piętnaście minut czekania, by powiedzieć mężczyźnie, którego kiedyś poślubiła, że chce teraz naprawić ten błąd. Zanim to jednak nastąpi, musiała zobaczyć się z Tonym i księżną.

- Sandy! - zawołał Tony z przeciwnego końca korytarza, gdy właśnie unosiła dłoń, by zapukać do apartamentów księżnej. - Jak się dzisiaj czujesz?

Aleksandra uśmiechnęła się z siostrzanym uczuciem.

- W porządku. Przespałam całe popołudnie i noc. A ty?

- Prawie nie zmrużyłem oka - przyznał Anthony. - Widziałaś to już? - zapytał wręczając jej poranną gazetę.

Aleksandra pokręciła przecząco głową. Przebiegła wzrokiem pierwszą stronę poświęconą historii uwięzienia Jordana i jego ucieczki. Zamieszczono nawet pełną peanów na temat Jordana opowieść współwzięnia i współluciekiniera, Amerykanina, którego Hawthorne uratował i to wielokrotnie, z narażeniem własnego życia.

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju księżnej. Dwóch służących wynosiło na ramionach ciężkie kufry. Księżna stała pośrodku saloniku i wydawała polecenia trzem pokojówkom, które pakowały jej rzeczy do kufrów i pudeł.

- Dzień dobry, moi kochani - powitała Aleksandrę i Tony'ego zapraszając ich gestem do środka. Odprawiła pokojówki i opadła na fotel uśmiechając się do dwojga młodych ludzi siedzących naprzeciw niej.

- Dlaczego się pani pakuje? - zapytała Aleksandra zdziwiona.

- Anthony i ja przenosimy się do mojej londyńskiej rezydencji - odpowiedziała, jakby to było oczywiste. - Nie będzie ci już potrzebna przyzwoitka. Mieszkasz przecież z własnym mężem.

Słowa „własny mąż” sprawiły, że serce Aleksandry skurczyło się boleśnie.

- Biedne dziecko - rzekła współczująco księżna właściwie odczytując reakcję Aleksandry. - Twoje krótkie życie to prawdziwa seria tragicznych zdarzeń. Dom jest obleżony przez plotki. Emocje szybko jednak opadną. Za dzień lub dwa wszyscy wrócimy do swoich zajęć, jakby nie stało się nic szczególnego, co mogłoby kogokolwiek obchodzić. Ludzie uznają za naturalne to, że Anthony chciał poślubić cię z obowiązku wobec rzekomo zmarłego kuzyna. Kiedy jednak kuzyn powrócił, sytuacja została rozwiązana w sposób zadowalający wszystkich.

Aleksandra nie wierzyła, że ktokolwiek mógłby uwierzyć w coś takiego. Tak dalece w to nie wierzyła, że ośmieliła się to powiedzieć.

- Tak będzie - odparła księżna z pewnością siebie graniczącą z arogancją. - Bo dokładnie tak powiedziałam pewnym moim przyjaciołom. Co więcej, Anthony był w zeszłym roku zakochany w Sally Farnsworth. To uwiarytelnia tezę, że ożenił się z tobą z obowiązku. Moi przyjaciele szepną, co trzeba, do właściwych uszu i ta wersja się rozpowszechni.

- Skąd ma pani pewność, że tak się stanie? - zapytała Aleksandra.

Księżna uniosła brwi i uśmiechnęła się.

- Ponieważ moi przyjaciele mają zbyt wiele do stracenia, gdyby nie postąpili zgodnie z moimi zaleceniami. Widzisz, moja droga, stare powiedzenie, że „liczy się, kogo znasz” jest niezbyt dokładne. Tak naprawdę liczy się tylko to, co o kim wiesz. A ja wiem wystarczająco wiele, żeby zakłócić spokojne życie większości moich przyjaciół.

Tony zaśmiał się.

- Babciu, jesteś pozbawiona skrupułów.

- To prawda - przyznała dumnie. - Aleksandro, ciągle wyglądasz, jakbyś miała wątpliwości.

- W jednej kwestii, ponieważ pani plan opiera się na założeniu, że zaraz wrócimy do życia towarzyskiego. Pani starszy wnuk - specjalnie mówiła o Jordanie w tej bezosobowej formie, która miała podkreślić, że nie życzy sobie znać go z imienia, tytułu czy ich chwilowego prawnego statusu - rozkazał mi wczoraj, bym pozostała w tym domu. Zresztą jest to rozkaz, którego nie zamierzam posłuchać - zakończyła buntowniczo.

Księżna zmarszczyła czoło.

- Nie myślał wtedy jasno - powiedziała po chwili namysłu. - Takie postępowanie wyraźnie pokazałoby wszystkim, że wstydzisz się swojej próby poślubienia Tony'ego. Poza tym sugerowałoby to dziwny stosunek pomiędzy tobą a twoim mężem. Nie, moja droga. Jordan nie przemyślał tego do końca. Za dzień czy dwa wrócimy do życia towarzyskiego. Nie może się temu przeciwstawić. Porozmawiam z nim w twoim imieniu.

- Nie - zaprotestowała Aleksandra łagodnie - proszę. Jestem teraz dorosłą kobietą i nie potrzebuję, by ktokolwiek za mnie mówił. Co więcej, nie mam zamiaru pozwolić, by mi rozkazywał. Nie ma do tego prawa.

Księżna oburzyła się na tak nielojalne, niegodne dobrej żony stwierdzenie.

- Cóż za bzudry! Mąż ma pełne legalne prawo do tego, by rozkazywać żonie. A skoro już o tym mowa, czy pozwolisz mi udzielić sobie dobrej rady, jak postępować z twoim mężem w przyszłości?

Aleksandra zacisnęła zęby, gdy księżna powiedziała o Jordanie „twój mąż”, ale grzecznie potaknęła w odpowiedzi.

- Dobrze. Zrozumiałe jest, że byłaś wczoraj zdenerwowana, gdy nalegałaś na natychmiastową rozmowę z nim. Rozgniewałaś go, a to było bardzo niemądre. Nie znasz go tak dobrze jak ja. Jordan potrafi być straszny, gdy się złości, a wczoraj było oczywiste, że jest rozsierdzony tym, że miałaś poślubić Anthony'ego.

Aleksandra poczuła się urażona i zraniona tym, że księżna, którą pokochała, zdaje się całkowicie stać po stronie Jordana.

- Zachował się wczoraj niewybaczalnie grubiańsko - odparła sztywno. - Przykro mi, jeśli znienawidzi mnie pani za moje słowa, ale nie mogę udawać, że jestem jego szczęśliwą żoną. Najwidoczniej zapomniała pani, jaki był jego stosunek do mnie i do naszego małżeństwa. Co więcej, zrobił rzeczy, których nie mogę wybaczyć, a jego charakter nie jest bez skazy! - skończyła z furią.

Niespodziewanie księżna uśmiechnęła się.

- Nie mogę cię nienawidzić, moje dziecko. Jesteś wnuczką, której zawsze pragnęłam - objęła Aleksandrę i dodała z uśmiechem: - Byłabym ostatnią osobą, która mogłaby udawać, że sposób, w jaki Jordan obchodził się z kobietami, wydaje się czymś wspaniałym. Ale pozostawiam tobie zadanie odmienienia tego. I pamiętaj, moja droga, nawrócone hulaki często są najlepszymi mężami.

- Kiedy już i jeżeli się nawrócą - kwaśno odpowiedziała Aleksandra - a ja nie chcę być jego żoną.

- Oczywiście, że nie. Przynajmniej nie w tej chwili. Ale nie masz wyboru, bo już jesteś jego żoną. Nie mogę się doczekać, kiedy weźmiesz go pod pantofel.

Na takie oświadczenie Aleksandra otworzyła usta. Prawie dokładnie to samo słyszała od Melanii.

- Nie mogę i nawet jeśli...

- Możesz i zrobisz to - przerwała jej księżna tonem dającym do zrozumienia, że dość już nonsensów. Po chwili jej wzrok złagodniał i dodała znacząco: - Zrobisz to Aleksandro, choćby po to, by wyrównać z nim rachunki. Jesteś dumna, odważna i wielka duchem.

Aleksandra otworzyła usta chcąc zaprotestować, ale księżna odwróciła się już do Tony'ego.

- Anthony, nie ma wątpliwości, że Hawthorne będzie chciał usłyszeć od ciebie jakieś wyjaśnienie powodów, dla których zdecydowałeś się poślubić Aleksandrę. Musimy się dokładnie zastanowić, co mu powiedzieć.

- Już za późno, droga babciu. Dzisiaj o barbarzyńskiej porze, czyli o ósmej rano, Hawk wezwał mnie do siebie i była to pierwsza rzecz, jaką chciał wiedzieć.

Po raz pierwszy księżna wyglądała na zaniepokojoną.

- Mam nadzieję, że wytłumaczyłeś mu, że... że był to rodzaj kontynuacji tradycji rodowej. Takie wyjaśnienie dobrze brzmi. Albo mogłeś mu powiedzieć, że nie było to nic więcej jak tylko kaprys albo...

- Nic takiego mu nie mówiłem - szatańsko uśmiechnął się Tony. - Powiedziałem mu, że musiałem się ożenić z Aleksandrą, ponieważ najlepsi kawalerowie w Londynie robili wszystko prosząc mnie o jej rękę, walczyli o nią i knuli nieczne plany, by ją zdobyć.

Księżna podniosła dłoń do czoła.

- Nie zrobiłeś tego!

- Zrobiłem.

- Na litość boską, dlaczego?!

- Bo taka jest prawda - roześmiał się Anthony. - Poza tym i tak wkrótce dowiedziałby się prawdy.

- Ale to wkrótce byłoby bardziej stosowne!

- Ale nie tak satysfakcjonujące - zażartował Tony - ponieważ usłyszałyby to od kogoś innego. Mnie by przy tym nie było i nie zobaczyłbym jego reakcji.

- A jaka była jego reakcja? - zapytała Aleksandra z zainteresowaniem.

- Żadna - Anthony uniósł ręce go góry. - Ale taki już jest Hawk. Nigdy nie okazuje swoich uczuć. Jest lepiej znany ze swojej zimnej krwi niż z roman...

- Wystarczy, Anthony - wpadła mu w słowo księżna i wstała, by zadzwonić na pokojówki.

Aleksandra i Tony również wstali.

- Czy czujesz się na siłach, by fechtować? - zapytał Tony.

Aleksandra twierdząco skinęła głową. Fechtowanie było najlepszym sposobem zabicia czasu przed rozmową z Jordanem.

Krótko przed dwunastą trzydzieści w gabinecie Jordana pojawił się Higgins z bilecikiem od dzentelmena, który miał swoje biuro na Bow Street. Dzentelmen ów zawiadomił, że nie czuje się najlepiej i wolałby przełożyć ich poufne spotkanie na dzień następny.

Jordan postanowił więc przyspieszyć rozmowę z Aleksandrą.

- Gdzie jest twoja pani? - zapytał lokaja.

- W sali balowej, fechtuje z lordem Anthonyem.

Jordan otworzył drzwi do ogromnej sali balowej na trzecim piętrze i wszedł do środka nie zauważony przez parę szermierzy. Ich szpady krzyżowały się z iskrzeniem, a potem z jękiem odrywały się od siebie, podczas gdy oni zbliżali się i oddalali od siebie z gracją i doświadczeniem.

Jordan oparł się o ścianę i z kamienną miną przyglądał się szczupłej sylwetce kobiecej ubranej w męskie bryczesy ciasno przylegające do jej wąskich bioder i smukłych nóg. Musiał przyznać, że jest doskonałym szermierzem z bezbłędnym wyczuciem chwili, błyskawicznym refleksem i idealnie wykonywanymi ruchami.

Wciąż nieświadoma jego obecności Aleksandra przerwała walkę. Ciężko oddychając i śmiejąc się zdjęła maskę i potrząsnęła głową. Jej długie, kasztanowe włosy spłynęły wijącą się kaskadą na plecy.

- Stajesz się powolny, Tony - droczyła się roześmiana zdejmując ochraniacz na piersi. Przyklękła, by oprzeć go o ścianę. Anthony odpowiedział jej coś wesoło, a ona uśmiechając się spojrzała na niego przez ramię. Nagle Jordan poczuł, jak cofa się w czasie, tą oszałamiającą piękną zastępuje uroczą, ciemnowłosa dziewczyna, z którą walczył w lesie na drewniane szpady. Tak samo przyklękła wtedy wśród kwiatów i trzymając w ramionach szczeniaka patrzyła na niego z miłością w błyszczących oczach.

Poczuł ukłucie tęsknoty połączone z żalem, ponieważ tamtej dziewczyny już nie było.

W tej chwili dostrzegł go Tony.

- Hawk - żartobliwie zaczął - czy sądzisz, że to starość sprawia, że jestem wolniejszy?

Po drugiej stronie pokoju Aleksandra zamarła.

- Mam nadzieję, że nie - sucho odpowiedział Jordan. - Ja jestem od ciebie starszy.

Odwrócił się do Aleksandry.

- Jestem wolny wcześniej, niż się spodziewałem, pomyślałem więc, że moglibyśmy porozmawiać teraz.

W przeciwieństwie do zimnej niechęci, jaką prezentował wczoraj, jego głos był bezbarwny, bezosobowy i pozbawiony jakichkolwiek uczuć. Wciąż zaniepokojona Aleksandra popatrzyła na swoje obcisłe spodnie. Pomyślała, że nie jest to najkorzystniejszy strój na taką rozmowę.

- Wolałabym się najpierw przebrać.

- To nie jest konieczne.

Nie chcąc drażnić go upieraniem się przy szczegółach, gdy mieli do omówienia o wiele ważniejsze rzeczy, z zimną uprzejmością skinęła głową. W ciężkiej ciszy podążyła za nim do gabinetu, w myśli powtarzając to, co chce powiedzieć.

Jordan zamknął podwójne drzwi i zczekał, aż Aleksandra zasiądzie w jednym z krzeseł ustawionych półkolem przed jego masywnym, dębowym biurkiem. Oparł się o biurko krzyżując ramiona na piersiach i obojętnie patrzył na nią.

Zdawało się, że minęła wieczność, zanim się wreszcie odezwał. Jego głos brzmiał spokojnie i autorytatywnie.

- Dwa razy coś razem zaczynaliśmy. Pierwszy raz ponad rok temu w domu mojej babki, a drugi wczoraj w tym domu. Żaden z nich nie był niestety obiecujący. Dzisiaj spróbujemy trzeci, i ostatni raz. Za kilka minut zdecyduję o naszej przyszłości. Przedtem jednak chciałbym wiedzieć, co masz do powiedzenia na ten temat... - sięgnął za siebie i spokojnie podał jej jakiś papier z biurka.

Zaciekawiona Aleksandra zaczęła go czytać i prawie podskoczyła na krześle ze złością. Na kartce papieru Jordan wypisał jej „budzące wątpliwości zachowania”, a w tym jej pojedynki z Roddym, wyścig w Hyde Parku, niechlubne porwanie lorda Marbly'ego i kilka innych eskapad, które same w sobie były niewinne, ale wyliczone w ten sposób brzmiały jak akt oskarżenia.

- Zanim zdecyduję o naszej przyszłości - kontynuował Jordan bezbarwnie, zupełnie odporny na gniew malujący się na jej twarzy - uznałem, że powinienem dać ci szansę na zaprzeczenie jakiegokolwiek rzeczy, która nie jest prawdziwa, jak również na ich wyjaśnienie.

Obezładniający, przemożny gniew sprawił, że Aleksandra poderwała się na równe nogi zaciskając pięści. W najgorszych snach nie przypuszczała, że będzie na tyle bezczelny, by krytykować jej zachowanie. W końcu w porównaniu z życiem, jakie on wiódł, ona była całkowicie niewinna.

- Ze wszystkich najbardziej nieprzyjemnych, zakłamanych, aroganckich...! - wybuchnęła, a potem nadludzkiem wysiłkiem zapanowała nad ogarniającą ją furią. Dumnie

uniosła brodę i patrząc w jego tajemnicze oczy z satysfakcją potwierdziła całą, wyolbrzymioną listę występków.

- Jestem winna - przyznała z gniewem. - Winna każdej z tych niewinnych, pozbawionych znaczenia rzeczy wymienionych na tej liście.

Jordan patrzył na piękną kobietę, która stała przed nim. Jej oczy lśniły jak gniewne klejnoty, pierś falowała skrywanym wzburzeniem. Mimo gniewu niechętnie podziwiał ją za szczerość i odwagę, z jaką przyznała się do winy.

Aleksandra jednak jeszcze nie skończyła.

- Jak pan śmie przedstawiać mi listę takich oskarżeń i stawiać mi ultimatum co do mojej przyszłości! - wykrzyknęła i zanim zdążył zareagować odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

- Wracaj tutaj! - zażądał Jordan.

Aleksandra obejrzała się przez ramię, a jej włosy rozsypały się kasztanową, pobłyskującą złotem falą.

- Wróć - zapewniła z gniewem. - Za dziesięć minut.

Jordan zmarszczył brwi patrząc na drzwi, które zatrzasnęła za sobą z impetem. Nie sądził, że taką furią zareaguje na wymienione na kartce rzeczy. Nie był pewien, co chce osiągnąć pokazując jej tę listę poza samą ciekawością jej reakcji. Gdyby tylko to było wszystko, co robiła podczas jego nieobecności... Jedyne, co tak naprawdę chciał wiedzieć, co musiał wiedzieć, to z kim dzieliła łóżko.

Sięgnął do stosu papierów leżących na biurku. Czekał na jej powrót zaczął nieuważnie przeglądać umowę transportową.

Musiał przyznać, że pokazanie jej tej listy nie było najlepszym pomysłem.

Potwierdziło się to już po paru chwilach, gdy bez pukania do pokoju wkroczyła Aleksandra i rzuciła mu na biurko kartkę papieru.

- Skoro chce pan licytować się oskarżeniami i dawać szansę na zaprzeczenie - zaczęła z furią - i ja uczynię panu tę grzeczność, zanim to ja przedstawię panu ultimatum na temat naszej przyszłości.

Jordan przeniósł wzrok z jej pięknej, rozognionej twarzy na papier, który leżał na jego biurku. Skinął Aleksandrze, by usiadła, po czym przeczytał kartkę.

Było na niej tylko szesnaście słów. Osiem imion i nazwisk. Nazwisk jego dawnych kochanek. Odłożył listę, popatrzył uważnie na Aleksandrę i nic nie powiedział.

- Cóż? - zapytała w końcu. - Czy coś się w tej liście nie zgadza?

- Jedna rzecz - powiedział zimno. - Poza tym jest kilka pominięć.

- Co to za rzecz? - zapytała Aleksandra speszona nagłym błyskiem rozbawienia w jego oczach.

- Imię Maryanny Winthrop pisze się przez „y” a nie przez „i”.

- Dziękuję za tę bezcenną informację - zaripostowała Aleksandra. - Kiedy będę chciała dać jej diamentową bransoletę, która pasowałaby do naszyjnika podarowanego przez pana, upewnię się, że na bileciku jej imię będzie napisane właściwie.

Tym razem na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech i Aleksandra zerwała się na równe nogi. Dumna rozzłoszczona bogini dręczona przez mrocznego, aroganckiego olbrzymia.

- Teraz skoro i pan przyznał się do winy, to ja powiem panu, jak będzie wyglądała nasza przyszłość - przerwała, aby złapać oddech i dumnie zakończyła. - Zamierzam wystarać się o unieważnienie naszego małżeństwa.

Jej szorstkie słowa zdawały się odbijać od ścian w ciężkiej ciszy, jaka nagle zapanowała w pokoju. Jordan nadal nie okazywał jakichkolwiek emocji.

- Unieważnienie - powtórzył w końcu. - Czy mogłabyś łaskawie oświecić mnie, w jaki sposób zamierzasz je zdobyć? - zapytał tonem, jakim nauczyciel przemawia do niepokornego ucznia, który wdał się w absurdalną dyskusję.

Jego zimny spokój sprawił, że Aleksandra miała ochotę kopnąć go w kostkę.

- Nic takiego nie zrobię. Dowiesz się o tym od... od kogokolwiek, kto się zajmuje takimi rzeczami.

- Prawnicy - uczynnie podpowiedział Jordan. - To prawnicy „zajmują się takimi rzeczami”.

Aleksandra z trudem powstrzymywała gniew spowodowany jego rosnącą dominacją. Jordan tymczasem spokojnie dodał:

- Mogę polecić ci paru dobrych prawników, mam ich zawsze w zanadru.

Ta niesłychana sugestia była dla niej tak obraźliwa, że Aleksandra poczuła, jak do oczu cisną się jej łzy upokorzenia.

- Czy naprawdę wydawałam ci się taka głupia? - zapytała bolesnym szeptem. - Czy naprawdę wydawałam się taka głupia, że sądzi pan, iż poprosiłabym pańskich prawników o radę dla mnie?

Jordan zmarszczył brwi, gdy dotarło do niego parę rzeczy. Po pierwsze, mimo wspaniałego pokazu siły i determinacji Aleksandra była najwyraźniej na krawędzi płaczu. Po drugie, odważna, niewinna, urocza dziewczyna, którą poślubił ponad rok temu, stała się cudowną istotą obdarzoną egzotyczną urodą i duchem, który ujawnił się w ognistym buncie.

Po trzecie, co było najbardziej zadziwiające, pociągała go fizycznie tak samo jak wtedy. Nawet bardziej. O wiele bardziej.

Spokojnie odpowiedział na jej wyrzut.

- Chciałem ci po prostu oszczędzić oczywistego wstydu i daremnego trudu, gdy udasz się do jakiejś nieznannej i prawdopodobnie niedyskretnej firmy prawniczej.

- Nie będzie to daremny trud!

- Będzie - odparł pewnie. - Małżeństwo zostało skonsumowane, a może zapomniałaś?

Wspomnienie tamtej nocy, gdy leżała naga w jego ramionach, to już było więcej, niż mogły znieść jej napięte nerwy.

- Nie mam jeszcze sklerozy - odparła cierpko, a błysk humoru w jego oczach sprawił, że zdecydowała się poinformować go w końcu, na jakich zasadach zamierza zdobyć unieważnienie.

- Nasze małżeństwo jest nieważne, ponieważ nie zdecydowałam się na nie z własnej woli!

Zamiast okazać zaniepokojenie, Hawk wydawał się być jeszcze bardziej rozbawiony.

- Powiedz to adwokatowi, a pęknie ze śmiechu. Jeżeli małżeństwo uznawano by za nieważne tylko dlatego, że panna młoda miała wobec pana młodego inne zobowiązania niż jej własny wybór, większość arystokratycznych par żyłaby w grzechu.

- Nie tylko miałam „zobowiązania” - odparowała Aleksandra. - Zostałam zauroczona, otumaniona i niejako zmuszona do tego małżeństwa.

- Więc idź do adwokata i powiedz mu to. Ale pamiętaj, żeby wziąć ze sobą sole trzeźwiące, bo będą ci potrzebne, żeby go ocucić.

Sandy z przerażeniem zdała sobie sprawę, że Jordan ma rację i jej serce zamarło. Przez ostatnie piętnaście minut wyładowała całą swoją furię i podała mu wszystkie argumenty, a po nim nie widać było nawet śladu uczuć. Poczula się pozbawiona wszystkiego, nawet nadziei i nienawiści. Pusta. Spojrzała na niego jak na kogoś obcego. Jak na człowieka, do którego zupełnie nic już nie czuła.

- Skoro nie mogę dostać unieważnienia, wystąpię o rozwód.

Jordan zacisnął szczęki myśląc, że Tony najwyraźniej kłamał mówiąc o braku gorących uczuć między nimi.

- Bez mojej zgody ci się to nie uda - uciał. - Możesz więc zapomnieć o ślubie z Tonym.

- Nie zamierzam wychodzić za Tony'ego! - wykrzyknęła z takim oburzeniem, że Jordan odetchnął z ulgą. - Ale nie mam też zamiaru pozostać pańską żoną.

Po wyraźnym oświadczeniu, że nie ma zamiaru poślubić Tony'ego, humor Jordana znacznie się poprawił, więc patrzył na nią bez gniewu.

- Wybacz, że trudno mi to pojąć, ale zaskakuje mnie twoja chęć uzyskania unieważnienia.

- Nie dziwi mnie, że zaskakuje pana fakt, iż istnieje na świecie kobieta, na którą pański urok nie działa - odpowiedziała kwaśno.

- Więc dlatego chcesz rozwodu? Ponieważ „mój urok na ciebie nie działa”?

- Chcę unieważnienia - zaczęła patrząc mu prosto w oczy, a jej spokojny głos przeczył słowom, jakie wypowiadała - ponieważ pana nie lubię.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się.

- Nie znasz mnie na tyle, by mnie nie lubić - droczył się z nią.

- Och, tak - ponuro odpowiedziała. - I nie mam ochoty być pana żoną.

- Nie masz wyboru, kochanie.

To nic nie znaczące, banalne słowo sprawiło, że jej policzki zarumieniły się z gniewu. Jego zachowanie było dokładnie takie, jakiego należałoby się spodziewać po zatwardziałym uwodzicielu. Teraz pewnie powinna paść mu do stóp.

- Proszę nie mówić do mnie „kochanie”. Nieważne, czego to będzie wymagało, ale w końcu uwolnię się od pana. Poza tym mam wybór - dodała pod wpływem nagłego impulsu. - Mogę kupić dom w Morsham i zamieszkać tam.

- A powiedz mi - zaczął sucho - jak zamierzasz za niego zapłacić? Nie masz przecież pieniędzy.

- Kiedy się pobieraliśmy, powiedział pan, że ustanowił dla mnie znaczną sumę pieniędzy.

- Które możesz wydawać - wyjaśnił Jordan - jeśli ja akceptuję cele, na jakie je przeznaczasz.

- Jakie to dla pana wygodne - odcięła się Aleksandra kąśliwie. - Dał pan pieniądze samemu sobie.

Powiedziane w ten sposób, było to tak bliskie prawdy, że Jordan prawie się roześmiał. Patrzył w jej błyszczące szmaragdowe oczy i zastanawiał się, jak to się działo, że zawsze, od samego początku potrafiła go rozśmieszyć. Zastanawiał się, dlaczego miał przemożną chęć pojąć ją teraz i ułagodzić bez łamania jej ducha. Przez ostatni rok ogromnie się zmieniła, ale nadal ze wszystkich kobiet, jakie znał i miał nadzieję kiedykolwiek poznać, była tą, która mu najbardziej odpowiadała.

- Nasza rozmowa o formalnościach prawnych przypomniła mi, że mam wiele legalnych praw, których nie egzekwowałem przez ponad rok - powiedział i przyciągnął ją do siebie ściskając udami.

- Czy nie ma pan krzty przyzwoitości? - wybuchnęła Sandy próbując uwolnić się z jego uścisku. - Wciąż jestem po słowie z pańskim kuzynem.

Zaśmiał się głośno i szczerze.

- To przekonujący argument!

- Nie chcę, by mnie pan całował! - ostrzegła z furią odpychając go z całych sił.

- To niedobrze - miękko opowiedział ściskając ją mocno, aż przyłgnęła do jego piersi, a jej ręce zostały uwięzione między ich ciałami - ponieważ zamierzam się przekonać, czy nadal potrafię cię rozpalić.

- Traci pan czas! - wykrzyknęła rozpaczliwie Aleksandra odwracając twarz i zwijając się z upokorzenia na wspomnienie swojego zadurzenia w nim. Wyznała mu wtedy, że jego pocałunki ogrzewają jej ciało i serce. Zgodnie z tym, co słyszała, pocałunki Jordana Townsende'a były odpowiedzialne za wzrost temperatury połowy kobiet w Anglii.

- Byłam naiwnym dzieckiem. Teraz jestem dorosłą kobietą i całowali mnie mężczyźni, którzy robili to tak dobrze jak ty. Nawet lepiej!

W odpowiedzi Jordan chwycił ją za włosy na karku i szarpnięciem zmusił, aby odchyliła głowę do tyłu.

- Ilu ich było? - zapytał, a na jego szczęce drgały mięśnie.

- Tuziny! Setki! - krzyknęła.

- W takim razie - powiedział dziko i miękko jednocześnie - chyba się nauczyłaś wystarczająco wiele, by mnie doprowadzić do gorączki.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usta Jordana zmiążdżyły jej wargi z agresywną chęcią posiadania. Jego pocałunek był gwałtowny i bezwzględny, zupełnie inny niż łagodne pocałunki Tony'ego lub skradzione ukradkiem całusy nadmiernie śmiałych adoratorów, którzy mieli nadzieję, że Aleksandra pozwoli im na coś więcej. Jordan był inny; pod jego brutalnością kryła się tak wielka namiętność, że odmowa oddania pocałunku była niemożliwa. Kryła się w nim obietnica, że jeżeli podda mu się, on stanie się delikatniejszy i całkiem inny ale... później.

Aleksandra zrozumiała tę niemą obietnicę. Nie miała pojęcia, kiedy jej ciało zaczęło drżeć w zadziwieniu i lęku, podczas gdy jego usta pieściły ją, delikatnie dotykały każdego skrawka jej warg, kusiły, by oddała pocałunek.

Nagły ruch za ich plecami sprawił, że ucisk Jordana zelżał. Aleksandra próbowała się wyslizgnąć z jego objęć, ale chwycił ją mocno i przycisnął do swojego boku. Patrzyli oboje na drzwi, w których stał przerażony Higgins. Miał właśnie wprowadzić do pokoju trzech mężczyzn, w tym lorda Camdena.

Wszyscy czterej stali wrośnięci w ziemię.

- Ja... ja błagam o wybaczenie, wasza wysokość - wybuchnął Higgins tracąc zimną krew po raz pierwszy, odkąd Aleksandra go poznała.

- Zrozumiałem, że mam pana natychmiast powiadomić, gdy przybędzie hrabia...

- Dołączę do was za kwadrans - przerwał mu Jordan zwracając się do trzech przyjaciół.

Odeszli, ale przedtem Aleksandra dostrzegła wyraz rozbawienia na ich twarzach. Odwróciła się rozwścieczona i upokorzona do Jordana.

- Pomyślałam, że przez ten kwadrans będziemy się dalej całować! - wykrzyknęła. - Mam nadzieję, że jest pan zadowolony...

- Zadowolony? - przerwał rozbawiony patrząc na tę nieznaną, obdarzoną bujnym temperamentem i tak pociągającą kobietę, która kiedyś patrzyła na niego pełnymi uwielbienia dziecięcymi oczami. Zniknęły niepokorne loki. Zniknęło uwielbienie w jej oczach. Zniknął zabawny łobuziak, którego poślubił. Zamiast tego stała przed nim rozkoszna młoda piękność o szalonym temperamencie. Czuł nieujarzmione, irracjonalne pragnienie, by ją oswoić i sprawić, by była mu oddana jak kiedyś.

- Zadowolony? - powtórzył. - Tą żalną namiastką pocałunku? Raczej nie.

- Nie to miałam na myśli! - żałośnie zaprzeczyła Aleksandra. - Trzy dni temu stałam przy ołtarzu z innym mężczyzną. Czy nie sądzi pan, że nasz pocałunek mógł im się wydać dziwny?

- Nie sądzę, aby cokolwiek mogło się wydawać dla kogokolwiek dziwne - odpowiedział Jordan z rozbawieniem połączonym z ironią. - Nie po tym, jak byli świadkami wspaniałego przedstawienia, jakie dałem pojawiając się na twoim ślubie, by go przerwać.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak komicznie musiało to wyglądać i jakie musiało być upokarzające dla niego. Myśl ta sprawiła jej niejaką satysfakcję.

- Proszę bardzo, śmieć się - zaproponował sucho, widząc, jak Sandy walczy ze sobą, aby zachować chłodny spokój. - Było to zabawne jak diabli.

- Nie - zaprzeczyła Aleksandra skrupulatnie zachowując kamienną twarz - zwłaszcza nie wtedy.

- Nie - zgodził się, a na jego twarzy pojawił się leniwy, niszczycielski uśmiech. - Powinnaś widzieć siebie, gdy odwróciłaś się od ołtarza i mnie zobaczyłaś. Wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha.

Przypomniał sobie, że przez krótką chwilę wyglądała na wniebowziętą, jakby zobaczyła kogoś bardzo jej drogiego.

- Wyglądał pan jak gniew Boga.

- A czułem się jak głupiec.

Aleksandrze zawsze podobało się w nim to, że umiał śmiać się z samego siebie. Na chwilę zapomniała o wszystkim, czego się o nim dowiedziała. Czas cofnął się i oto stał przed nią uśmiechnięty, wyzywający, przystojny mężczyzna, którego poślubiła, z którym się droczyła i toczyła udany pojedynek na drewniane szpady. Nieświadoma mijających sekund patrzyła w jego fascynujące, szare oczy, a do jej oszołomionego umysłu w pełni docierała świadomość, że on naprawdę żyje, że nie jest to sen, który zakończy się tak jak wszystkie poprzednie. Żył. I nie do wiary, ale był jej mężem. Przynajmniej w tej chwili.

Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła jak jego wzrok przesunął się na jej usta, a ramiona otoczyły ją twardą otoczką.

- Nie! Ja...

Zduślił jej protest głodnym, pożądliwym pocałunkiem. Na moment gniew Aleksandry zmalował zmniejszając jej opór i własne ciało zdradziło ją. Protesty wysyłane przez jej rozum zostały zagłuszone przez walące serce i niespodziewaną rozkosz ponownego znalezienia się w ramionach męża. Duża mocna dłoń gładziła ją po karku, a druga ślizgała się po jej plecach delikatnie przyciągając ją do siebie.

Jego ciepłe usta, cudowne uczucie, gdy jego naprężone ciało tuliło ją do siebie, wszystko to było tak boleśnie znajome, ponieważ przeżywała to tysiące razy w snach. Zdając sobie sprawę, że igra z ogniem, pozwalała mu się całować, dała sobie ten jeden raz pozwolenie na zakazaną rozkosz dotyku jego ust, dłoni i ciała. Nie śmiała jednak odpowiedzieć mu tym samym.

Jordan nagle pocałował ją w skroń.

- Pocałuj mnie - wyszeptał kusząco, a ciepło jego oddechu rozpalilo w żyłach Aleksandry ogień.

- Pocałuj mnie - powtórzył namiętnie przesuwając ustami wzdłuż jej policzka, ucha, szyi. Jego dłonie pociągnęły jej ciężkie włosy, tak że musiała unieść twarz do góry i spojrzeć mu prosto w oczy. - Zapomniałaś, jak to się robi?

Sandy prędeż by umarła, niż przyznała się, że był jedynym mężczyzną, jaki przez ostatnie piętnaście miesięcy ją całował. Jednocześnie wiedziała, że już wyczuwał, iż tak właśnie jest.

- Nie - opowiedziała drżącym głosem.

Ich usta ponownie złączyły się w długim, niecierpliwym pocałunku.

- Pocałuj mnie księżniczko - naglił chrapliwie, całując całą jej twarz. - Chcę się przekonać, czy będzie to tak dobre, jak zapamiętałem.

To było boleśnie cudowne odkrycie, że i on rachował wspomnienie ich nielicznych pocałunków. Aleksandra przechyliła do niego głowę, ich usta spotkały się, a jej ręce objęły jego muskularne ramiona. Usta Jordana dziko przyłgnęły do jej warg i teraz odpowiedziała na jego twarde, a jednocześnie czuły pocałunek poddając się uczuciu.

Aleksandra pogrzyła się w morzu pożądania i rozkoszy. Czowała jego dłonie na biodrach, przyciągał ją do siebie, a ona nie opierając się objęła go mocniej, ściśle przyłgnęła rozpalonym ciałem do jego twardych ramion. Jego ciało przeszył dreszcz, uścisk zwiększył się, a dłoń objęła jej pierś. Kciukiem pieścił twardniejący sutek, a jednocześnie całował ją doprowadzając niemal do ekstazy. Ten nie kończący się rozkoszny pocałunek, prowokujące ciepło jego dłoni na jej plecach i piersiach, wszystko to dokonało niemal pogańskiej magii na Aleksandrze, oddała mu pocałunek z całym bezradnym uwielbieniem, jakie czuła do niego dawno temu. Teraz jej wstyd i niepewność zostały pokonane przez ogromne pragnienie, by był taki, jakim kiedyś go sobie wyobrażała.

Jordan zdawał sobie sprawę tylko z tego, że kobieta w jego ramionach całuje go z o wiele większym uwielbieniem niż kiedykolwiek przedtem. Miało to niesamowity wpływ na jego wyposzczone ciało. Kiedy jej język wsunął się w jego usta, przyłgnął do niej z całej siły. W jego żyłach dzikim nurtem płynęło gorące pożądanie. Walcząc z przemożną ochotą, by rzucić ją na dywan i wziąć tu i teraz, powoli oderwał usta od jej warg. Kwaśno zdał sobie sprawę, że jego żona najwyraźniej bardzo wiele się nauczyła o całowaniu.

Aleksandra powoli wracała do rzeczywistości z oparów pożądania. Patrzyła, jak jego hipnotyzujące oczy odzyskują tajemniczy odcień jasnego srebra. Ręką nadal obejmowała go za szyję. Dotarło do niej, że pod jej palcami jego skóra jest paląco gorąca. „Spraw, bym płonął” - zdawał się mówić jego wzrok.

Poczuła satysfakcję, gdy uświadomiła sobie, że właśnie się jej to udało, a na ustach pojawił się nieświadomie prowokujący uśmiech. Jordan zmarszczył brwi i spojrzał jej w oczy, jego szczęka zacisnęła się i puścił ją cofając się nagle.

- Moje gratulacje - powiedział cierpko. Aleksandra zauważyła, że znowu pogarsza mu się humor. - Wiele się nauczyłaś przez ten rok.

Przypomniała sobie, że kiedyś uważał ją za bardzo naiwną, pożałowania godną, kłopotliwą istotę. Uśmiechnęła się ze sztucznym rozbawieniem.

- Rok temu uważał pan, że jestem wyjątkowo naiwna. Teraz narzeka pan, bo tak nie jest. Trudno pana zadowolić - powiedziała lekko.

Ku jej zmartwieniu Jordan nie zaprzeczył, że uważał ją za naiwną, gdy się poznali.

- O tym, jak możesz mnie zadowolić porozmawiamy w łóżku dzisiaj wieczorem, gdy wrócę od White'a. Tymczasem - mówił dalej autorytatywnym tonem władcy wydającego edykt - chcę, żebyś dobrze zrozumiała pewne zasady. Po pierwsze, unieważnienie nie wchodzi w grę. Tak samo jak rozwód. Po drugie, żadnej szermierki, żadnego paradowania w tych spodniach, żadnych gonitw po parku, żadnych publicznych wystąpień z jakimkolwiek mężczyzną u boku poza mną. Czy to jasne? Nie wolno ci wychodzić z tego domu w towarzystwie żadnego mężczyzny poza mną.

Aleksandra eksplodowała.

- Za kogo pan się ma?! - syknęła, a jej twarz stawała się coraz bardziej purpurowa. Zdała sobie sprawę, że przez ostatni rok nie zmienił się ani na jotę. Nadal chciał ją zamknąć z dala od ludzi. Bez wątplenia jego plany wywiezienia jej do Devon nie uległy zmianie.

- Wiem kim jestem, Aleksandro - odpowiedział cynicznie. - Ale nie wiem już, kim ty jesteś.

- Oczywiście, że pan nie wie - powiedziała przez zaciśnięte zęby, mądrze powstrzymując ochotę, aby uprzedzić go że zamierza z nim walczyć. - Myślał pan, że ożenił się z pokorną, uwielbiającą pana kobietką, która na paluszkach będzie spełniać najdrobniejsze pana życzenia, czyż nie tak było?

- Coś w tym stylu - przyznał szyderczo.

- Otóż nie ma pan takiej żony.

- Ale będę miał.

Aleksandra potrząsnęła głową i odwróciła się odmawiając dalszej dyskusji.

- Wasza wysokość się myli - rzuciła jeszcze i ruszyła w stronę drzwi.

- Na imię mam Jordan - poinformował ją sucho. Aleksandra przystanąła i obejrzała się w zdziwieniu unosząc brwi. Kiedyś tak bardzo lubiła mówić do niego po imieniu, że teraz tym większą przyjemność sprawiła jej odmowa.

- Wiem o tym... wasza wysokość - dodała rozmyślnie wyzywająco.

Poinformowała go tym samym, że nie chce, aby między nimi zaistniała jakakolwiek bliższa niż porozumienia i wyszła z pokoju. Na plecach czuła jego palący wzrok i modliła się, aby jej drżące kolana nie załamały się pod nią ze zdenerwowania, które tak bardzo próbowała ukryć.

Gdy już chwyciła za klamkę, by otworzyć drzwi, jego cichy, ostrzegawczy głos przeciął ciszę.

- Aleksandro!

Wbrew samej sobie podskoczyła.

- Tak? - zapytała patrząc na niego przez ramię.

- Zastanów się dobrze, zanim sprzeciwisz się moim poleceniom. Będiesz tego potem żałować, obiecuję ci to.

Mimo jego wyraźnej groźby Aleksandra uniosła brodę.

- Skończyłeś?

- Tak. I przyślij do mnie Higginsa.

Wzmianka o lokaju przypomniła Aleksandrze upokorzenie, jakiego doświadczyli jej dwaj służący. Odwróciła się na pięcie gotowa do jeszcze jednego pojedynku.

- Kiedy następnym razem będziesz chciał się na mnie odegrać za jakieś moje wydumane przestępstwa, proszę nie mieszaj w to moich służących. Ci dwaj starsi panowie, których odesłałeś do kuchni, zastępowali mi ojca. Penrose nauczył mnie pływać i łowić ryby. Filbert własnymi rękami zbudował mi domek dla lalek, a później tratwę, na której nauczył mnie żeglować. Nie pozwolę ci ich maltretować ani poniżać...

- Powiedz Higginsowi - przerwał jej chłodno - żeby dał ich do pracy, gdziekolwiek sobie zażyczysz... Byle nie przy drzwiach frontowych.

Kiedy za Aleksandrą zamknęły się drzwi, Jordan zmarszczył w mrocznej zadumie brwi. Osiągnął cel, jaki miało to spotkanie, uświadomił jej reguły, według jakich miała od tej pory żyć. Był pewny, że ich nie złamie. Opór ze strony młodej kobiety, zwłaszcza takiej, która go kiedyś idealizowała, był nie do pomyślenia. Co więcej, nieopanowane pożądanie, jakiego doświadczył parę chwil temu, zdziwiło, poruszyło i rozgniewało go, chociaż zdawał sobie sprawę, że częściowo spowodowane było jego długim postem.

Aleksandra nigdy nie będzie uległą żoną, rozważał, lecz wynagrodzi mu to jej ognisty temperament. Nigdy go nie znudzi, nie jest zakłamana ani tchórzliwa. W ciągu ostatniej półgodziny przedstawiła mu listę jego kochanek i otwarcie przyznała się do swojego zachowania przez ostatni rok. Poza tym rozgniewała, zadziwiła i erotycznie pobudziła go w ciągu zaledwie kilku minut. O tak, z pewnością nie będzie się z nią nudził.

Podniósł z biurka pióro i bawił się nim z nieobecna miną, a niechętny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Była urocza z tymi błyszczącymi jak dwa gniewne zielone płomienie oczyma i alabastrowymi policzkami zaróżowionymi złością.

Tak długo, jak będzie zachowywała się odpowiednio, miał zamiar pozwolić jej cieszyć się wszystkimi przywilejami, jakie daje pozycja księżnej Hawthorne. Tak długo, jak będzie się odpowiednio zachowywała...

W drzwiach pojawił się Higgins, a za nim lord Camden.

- Wnioskuje - zaczął lord uśmiechając się - że czynisz postępy w rozmowach z żoną.
- Będzie się zachowywać, jak należy - zapewnił sucho Jordan.
- W takim razie, może jesteś w nastroju, aby dołączyć do nas dziś wieczorem u White'a?
- Świetnie - zgodził się Jordan, po czym przeszli do interesów.

ROZDZIAŁ 22

Prosto z gabinetu Jordana Aleksandra poszła do głównego hallu. Poinstruowała Higginsa, że Penrose i Filbert zostają odwołani z pracy w kuchni. Poprosiła, by wezwał ich obu do jej porannego pokoju, a potem uśmiechając się szeroko poszła dalej.

Zazwyczaj utrzymany w jasnożółtych kolorach pokój poranny, z którego roztaczał się widok na ogród, poprawiał jej humor. Tym razem jednak, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, jej uśmiech, przybrany tylko dla służby, natychmiast zniknął. Nie było również śladu po wymuszonej energii, z jaką stawiała kroki idąc korytarzem. Powoli podeszła do okna i niewidzącym wzrokiem spojrzała na ogród. Czuła się zupełnie tak, jakby właśnie stoczyła bitwę z armią gigantów i przegrała.

Pełna wstydu i przerażenia zakryła twarz dłońmi. Z goryczą stawiała czoło okropnej prawdzie: nie jest wcale bardziej odporna na czar Jordana Townsende'a niż rok temu. Mogła znieść jego gniew, ale nie jego uśmiech, nie jego pocałunek. Jego brutalne, ale słodkie pocałunki siały zniszczenie w jej ciele, duszy, sercu. Mimo doświadczenia, jakie nabyła przez ostatnie miesiące, mimo wszystkiego, co o nim wiedziała, Jordan Townsende nadal potrafił sprawić, że płonęła dokładnie tak jak wtedy, gdy była niedoświadczoną osiemnastolatką.

Po przeszło roku jego uśmiech nadal sprawiał, że topniała, a jego pocałunki wprowadzały ją w ekstazę, w której pragnęła całkowicie poddać się jego woli.

Z piersi wyrwało jej się ponure westchnienie, gdy z ulgą przytknęła rozpalone czoło do chłodnej szyby. Od chwili, gdy wczoraj opuścili kościół, była pewna, że już nigdy nic do niego nie poczuje. Wystarczyło kilka leniwych uśmiechów, parę pocałunków i dotyk jego rąk, aby udowodnić jej, jak bardzo się myliła. Jeżeli chodziło o Jordana Townsende'a była tak samo wrażliwa jak zawsze.

Dobry Boże! - wyrwało się jej z głębi duszy - jaki rodzaj diabelskiej magii uprawia ten człowiek, że takie wrażenie wywiera na kobietach. Nawet teraz, gdy straciła już wszelkie złudzenia co do jego prawdziwych uczuć wobec niej.

Co w nim jest takiego, że ona czuje się, jakby osiągnęła coś wielkiego, za każdym razem, gdy on się uśmiechnie. Dlaczego wciąż musi walczyć z tą głupią, naiwną mrzonką, że jeżeli będzie się bardzo mocno starała, pewnego dnia może stać się dla niego kimś wyjątkowym. Tą, która zmiękczy go i złagodzi, roztopi lód cynizmu w jego oczach. Bez wątplenia na wszystkie kobiety wywierał taki sam wpływ, one też myślały, że jeżeli się postarają, mogą stać się tymi jedynymi dla Jordana Townsende'a. Prawdopodobnie dlatego

najbardziej doświadczone kochanki topniały w jego ramionach i robiły wszystko, by go zadowolić. Ale żadna z nich nie była narażona na takie niebezpieczeństwo jak ona, żadna z nich nie była bowiem jego żoną. A teraz Jordan oczekuje od niej, jako od swojej żony czegoś więcej niż tylko pocałunki. O tym, jak możesz mnie zadowolić porozmawiamy w łóżku dzisiaj wieczorem.

W łóżku... w łóżku... w jej myśli wkradło się zdradliwe wspomnienie ich nocy w zajeździe i Aleksandra gniewnie potrząsnęła głową, choć jej ciało zaczęła już ogarniać błoga gorączka. Nie mogła mu na to pozwolić, nie pozwoli mu spędzić z nią tej nocy ani żadnej następnej. Jak on śmie wracać do jej życia, nawet nie udając zalotów. Teraz, nauczona dobrych manier wiedziała już, jak powinien zachowywać się dżentelmen. Jordan nigdy się do niej nie zalecał, pomyślała gniewnie.

Jeśli zaś chodzi o Jordana, dzisiejszą noc może spędzić z jedną z wielu pięknych dam, które tylko czekają na jego „uczucie”. Bez wątpienia tak postąpił zeszłej nocy. A i dzisiejszej prawdopodobnie też tak zrobi, zanim przyjdzie do niej.

Myśląc o tym, Sandy wpadła w jeszcze większy gniew. Oderwała dłonie od twarzy i rozejrzała się po tym przytulnym pokoju, jakby szukając ucieczki. Zdecydowała rozpaczliwie, że dla własnego spokoju i zachowania rozumu, w jakiś sposób musi stąd uciec. Uciec od niego. Nie jest w stanie przeżyć jeszcze jednej burzy uczuć. Jedyne, czego pragnie, to spokój. Spokój, cisza i poczucie realności na resztę życia.

Myśl o opuszczeniu Londynu i nowych przyjaciół sprawiła jej ból. Szybko jednak zgasiła go świadomość, że wtedy odzyska wewnętrzną równowagę. Jordan był w domu dopiero jeden dzień, a już dręczyła ją zazdrość. Pomysł powrotu do Morsham, który przyszedł jej wczoraj do głowy podczas rozmowy z Melanią, zaczynał się jej coraz bardziej podobać. Morsham jawiło się teraz jako ziemia obiecana po długiej, bolesnej uczuciowej pustce.

Jeżeli jednak chce wrócić do dawnego życia, nie ma sensu czekanie, aż opatrzność wyciągnie pomocną dłoń. Opatrzność nigdy nie była jej najlepszym sprzymierzeńcem. Czyż to nie ona popchnęła ją do małżeństwa z mężczyzną, który jej nie chciał, a co więcej, okazał się gburem i bawidamkiem? Ta sama opatrzność sprowadziła go z powrotem, a teraz ona posłusznie i ochoczo ma spełniać jego życzenia - kaprysy aroganckiego, zimnego tyraana!

Sandy zdążyła już się nauczyć, że kobiety, zwłaszcza w wyższych sferach, są niczym więcej jak pięknymi przedmiotami codziennego użytku. Mężczyźni wybierają je jak dobrze urodzone klacze tylko po to, by uzyskać arystokratycznego potomka, a potem w ogóle przestają się z nimi liczyć. Ale ona nie jest bezradną, wysoko urodzoną kobietką. Sandy

pomyślała z dumą, że od czternastego roku życia zajmowała się sobą, matką, domem oraz dwoma podstarzałymi służącymi i całkiem dobrze jej to szło.

Z pewnością teraz, gdy jest już dorosłą kobietą, mogłaby wrócić do poprzedniego stylu życia i radziłyby sobie jeszcze lepiej. Będzie robiła to, czego pragnął dziadek. Podejmię jego nie dokończone dzieło, będzie uczyła dzieci czytać i pisać. Jest teraz szanowaną mężatką, a więc wieśniacy nie odrzucają jej za to, co kiedyś stało się w gospodzie. Nawet gdyby nie zdołali jej tego wybaczyć, wołała żyć wśród nich jako wygnaniec, niż dalej wieść życie takie jak do tej pory, jak piórko targane kapryсами opatrności i pewnego grubiańskiego, zarozumiałego mężczyzny.

Zdecydowała stanowczo, że nadszedł czas, by wziąć swój los we własne ręce i obrać nowy kierunek. Wydawało się to bardzo proste, jedynym wyjściem był bowiem powrót do Morsham. Wróci do domu i będzie panią swego losu. Przedtem jednak musi przekonać swojego nie chcianego męża, by pozwolił jej odejść. Poza tym potrzebuje pieniędzy.

Właśnie brak pieniędzy martwił ją najbardziej. Wciąż miała całą pensję z ostatniego kwartału, którą wypłacił jej Anthony. Niestety, nie była to wystarczająca suma, by wynająć chatę, kupić drewno na zimę i jedzenie, którego zarówno ona, jak i Filbert oraz Penrose będą potrzebować, zanim założą ogród warzywny. Na to wszystko potrzebowała co najmniej dziesięć razy większej sumy. Nie mogła sprzedać biżuterii, którą dostała od księżnej i Tony'ego, ponieważ były to klejnoty rodzinne i tak naprawdę nie należały do niej. Jedyną wartościową rzeczą, jaką posiadała, był zegarek dziadka. Z bólem zdecydowała więc, że go sprzeda. I musi to zrobić jak najprędzej. Przekonała się już, że czas jest sprzymierzeńcem Jordana. Mając wystarczająco dużo czasu, Jordan sprawiłby na pewno, że stopniałaby w jego ramionach.

Teraz, gdy obmyśliła plan, poczuła się znacznie lepiej. Podeszła do stolika, przy którym zwykle pili herbatę z Tonym, i uspokojona usiadła. Akurat nalewała sobie herbaty z przygotowanego dla niej wcześniej dzbanka, gdy weszli jej dwaj starzy przyjaciele.

- Och, panienko Aleksandro, tym razem wdała się panienka w porachunki z samym czartem - zaczął Filbert bezceremonialnie. Zmrużył oczy za grubymi okularami, które kupiła mu Aleksandra; widział przez nie o wiele lepiej niż przedtem. Załamując ręce usiadł naprzeciw niej przy stoliku, tak jak zawsze robił w Morsham, gdzie byli niemalże rodziną. Penrose usiadł koło niego i pochylił się, żeby lepiej słyszeć to, co mówił dalej jego towarzysz.

- Słyszałem, co panience powiedział wczoraj ksiązę, i powtórzyłem to Penrose'owi. Mąż panienki to twardy człowiek, inaczej tak by jej nie potraktował. I co teraz zrobimy? - zapytał troskliwie, łącząc nierozzerwalnie ich losy.

Aleksandra popatrzyła na dwóch starych mężczyzn, którzy troszczyli się o nią, rozbawiali i dotrzymywali jej towarzystwa przez całe jej życie i uśmiechnęła się słabo. Wiedziała, że kłamstwo nie ma sensu. Chociaż nie całkiem sprawni fizycznie, wciąż byli prawie tak bystrzy jak kiedyś, gdy zawsze przewidywali wszystkie jej sztuczki.

- Chcę, byśmy wrócili do Morsham - oznajmiła nerwowo odsuwając włosy z czoła.

- Morsham - szepnął z nabożeństwem Penrose, jakby wymawiał słowo „raj”.

- Ale potrzebuję pieniędzy, a wszystko, co mam, to moja pensja z ostatniego kwartału.

- Pieniądze! - wykrzyknął z niechęcią Penrose. - Tego panience zawsze brakowało.

Nawet gdy żył ojciec panienki, niech będzie przeklęty ten niewierny...

- Nie - przerwała Aleksandra odruchowo - nie godzi się mówić źle o zmarłych.

- Moim zdaniem - stwierdził Penrose - niepotrzebnie panienka ratowała życie Hawthorne'a. Zamiast strzelać do tego bandyty, trza było strzelać do niego.

- A potem - wtrącił Filbert - trza było wbić mu osinowy kolek w serce, coby ten wampir nie mógł wrócić, tak jak to zrobił i nękać panienki.

Ta krwawa przemowa sprawiła, że Aleksandra miała jednocześnie ochotę wzdrygnąć się i zaśmiać. Potem wróciła do równowagi, odetchnęła i przybrała rzeczowy stanowczy ton.

- Złoty zegarek mojego dziadka jest w szufladzie przy moim łóżku. Chcę, byś zaniósł go na Bond Street i sprzedał jubilerowi, który da najwięcej - poleciła Penrose'owi.

Penrose otworzył usta, by zaprotestować, ale widząc znany mu dobrze upór w zarysie podbródka swojej panienki, tylko kiwnął potakująco głową.

- Zrób to teraz, Penrose - dodała z bólem. - Zanim zmienię zdanie.

Kiedy Penrose wyszedł, Filbert wyciągnął do Aleksandry dłoń i dotknął lekko jej ręki.

- Penrose i ja mamy małą sumkę, którą żeśmy odkładali przez ostatnie dwadzieścia lat.

Nie jest to dużo, siedemnaście funtów i dwa szylingi na nas obu.

- Nie. W żadnym wypadku - stanowczo zaprotestowała Aleksandra. - Musicie zatrzymać swoje...

Z korytarza dobiegł odgłos dostojnych kroków Higginsa. Filbert zaskakująco zwinnie poderwał się z krzesła.

- Higgins aż czerwienieje ze złości, gdy widzi, jak przyjacielsko rozmawiamy - wyjaśnił chwytając ze stolika serwetkę i zaczął energicznie wycierać nie istniejące plamy. I taką właśnie scenę zobaczył Higgins, gdy wszedł do pokoju, by oznajmić, że przybył sir Roderick Carstairs i chciałby się zobaczyć z jej wysokością.

Parę chwil później wszedł Roddy i kiwnął głową na Filberta, by mu nalał herbaty. Następnie zaczął zabawiać Aleksandrę „przepysznyymi szczegółami” swojej wczorajszej wizyty u Jordana.

Gdy był w połowie monologu, Aleksandra z jękiem uniosła się z fotela.

- Powiedziałeś mi wszystkie te rzeczy o mnie? Naprawdę?

- Nie patrz na mnie takim wzrokiem, jakbym właśnie wyrósł spod ziemi - odparł Roddy znudzonym tonem nalewając sobie mleka do herbaty. - Powiedziałem mu to wszystko tylko po to, żeby wiedział, iż byłaś gwiazdą sezonu. Gdy teraz dowie się, jaką idiotkę z siebie zrobiłaś po przybyciu do miasta, nie będzie tym nawet w połowie tak zachwycony, jak mógłby być. Była u mnie wczoraj Melania, żeby mi to zasugerować. Nie zastała mnie jednak, bo sam już wpadłem na ten pomysł i poszedłem do Hawka.

Ignorując jej zaskoczoną minę, wesoło mówił dalej:

- Poszedłem do niego również po to, by zobaczyć jego minę, gdy usłyszy rewelacje na twój temat. Chociaż, jak właśnie wyjaśniłem, nie był to główny powód mojej wizyty. Tak naprawdę - dodał upijając łyk z porcelanowej filiżanki i odstawiając ją na spodek - pójście wczoraj wieczorem na Mount Street było pierwszym szlachetnym gestem w moim życiu. Obawiam się, że jest to pierwsza oznaka słabości mojego charakteru, za co zresztą obwiniam ciebie.

- Mnie? - zapytała zdziwiona. - Cóż to za słabość charakteru?

- Szlachetność, moja droga. Kiedy patrzysz na mnie tymi wielkimi, pięknymi oczami, zawsze mam cudowne wrażenie, że widzisz we mnie coś lepszego i szlachetniejszego niż widzę ja sam, gdy patrzę w lustro. Wczoraj wieczorem poczułem potrzebę uczynienia czegoś lepszego i szlachetniejszego, niż wszystko, co robiłem do tej pory. Dlatego pospieszyłem do Hawka ze szczerym zamiarem ocalenia twojej dumy. Teraz, gdy myślę tym, wydaje mi się, że było to okropne.

Wyglądał na tak zdeglustowanego samym sobą, że Aleksandra, by ukryć uśmiech, pospiesznie uniosła do ust filiżankę.

- Niestety - mówił dalej - mój wspaniały gest prawdopodobnie poszedł na marne. Nie wiem, czy Jordan przykładał jakąkolwiek wagę do moich słów, mimo że robiłem, co mogłem przez dobrą godzinę.

- O, na pewno uważnie cię słuchał - wtrąciła kwaśno Aleksandra. - Dzisiaj rano przedstawił mi na piśmie listę moich występków i zażądał, żebym się do nich przyznała lub im zaprzeczyła.

Oczy Roddy'ego rozszerzyły się z zadowolenia.

- Naprawdę? Tak mi się wydawało, że mu nieźle zalazłem za skórę, ale z Hawkiem nigdy nic nie wiadomo. I co, zaprzeczyłaś tej liście, czy ją zaakceptowałaś?

Poruszona i zdenerwowana Aleksandra odstawiła swoją filiżankę. Zaczęła krążyć od sofy do okna i bez celu poprawiać spiętrzone na kanapie żółte poduszeczki.

- Zgodziłam się z nią, oczywiście.

Roddy poruszył się w swoim fotelu i z zainteresowaniem patrzył na jej profil.

- Wnioskuje z tego, że na nowo połączona para nie grucha jak gołąbeczki.

Gdy Aleksandra przecząco pokręciła głową dodał: - Sądzę, że zdajesz sobie sprawę, że wszyscy siedzą jak na szpilkach czekając, aż ponownie ulegniesz słynnemu urokowi Hawka. Już w tej chwili obstawiają jeden do czterech, że w dniu Goniczki Królowej będziesz znowu jego kochającą żoną.

Aleksandra gwałtownie odwróciła się do niego z gniewem i przerażeniem w oczach.

- O czym ty mówisz?

- O zakładach - treściwie wyjaśnił Roddy. - Stawiają cztery do jednego, że przed wyścigiem swoją szarfę zawiążesz na ramieniu Jordana. To bardzo pospolita rozrywka.

Aleksandra nie sądziła, że można czuć taki wstręt do ludzi, których prawie zaczęło się lubić.

- Ludzie zakładają się o coś takiego?! - wybuchnęła.

- Naturalnie. Jest taki zwyczaj w dniu Goniczki. Dama chcąc okazać sympatię wybranemu dżentelmenowi, który bierze udział w wyścigu, zawiązuje mu na ramieniu zdjętą z kapelusza szarfę. Ma to dodać jeźdźcowi otuchy i przynieść szczęście. Jest to jedna z nielicznych okazji do publicznego okazywania uczuć. Poza tym rozpamiętywanie, kto nosił czyje kolory, daje wspaniałą pretekst do pikantnych plotek. Jest to świetna rozrywka na długie zimowe wieczory. Tak jak powiedziałem, jest cztery do jednego na to, że swoją szarfę zawiążesz na ramieniu Jordana.

Aleksandra na chwilę zapomniała o swoim głównym zmartwieniu, gdyż uwagę jej zaprzętnął pewien mniej istotny szczegół.

- Na kogo ty stawiasz? - zapytała podejrzliwie.

- Ja jeszcze nie obstawiłem zakładu. Chciałem tu najpierw wpaść i wyczuć nastroje, zanim pojedę do White'a. - Wstał wycierając serwetką usta, szarmancko ucałował jej dłoń i wyzywająco zapytał: - Więc jak będzie, moja droga? Zamierzasz okazać swoje przywiązanie do małżonka dając mu siódmego września swoje kolory?

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła Aleksandra wzdrygając się na myśl, że miałyby publicznie okazać uczucie mężczyźnie, o którym wszyscy wiedzieli, że miał ją za nic.

- Czy jesteś tego pewna? Nie chciałbym stracić tysiąca funtów.

- Twoje pieniądze są bezpieczne - cierpko zapewniła Aleksandra siadając na kanapie i spoglądając na swoje dłonie. Roddy był już prawie przy drzwiach, gdy Aleksandra nagle wykrzyknęła jego imię i zerwała się, jakby poduszki, na których siedziała stanęły w ogniu. Śmiejąc się radośnie, ruszyła w stronę osłupiałego dżentelmena.

- Roddy jesteś genialny! Jesteś cudowny! Gdybym nie była mężatką, natychmiast bym ci się oświadczyła.

Roddy nic nie odpowiedział na ten komplement, patrzył tylko na nią podejrzliwie, choć z zaciekawieniem uniół jedną brew.

- Proszę, powiedz, że zrobisz coś dla mnie - nalegała słodko.

- Cóż takiego?

Aleksandra wciągnęła powietrze; nie była w stanie uwierzyć, że los zsyła jej tak idealne rozwiązanie sytuacji, zdałoby się, że bez wyjścia.

- Czy... czy mógłbyś obstawić w moim imieniu? Zrozumienie powoli zastąpiło komiczny szok, malujący się na jego twarzy i Roddy uśmiechnął się chytrze.

- To chyba mogę uczynić - zgodził się ze złośliwą radością. Czy masz odpowiednią sumę pieniędzy, żeby pokryć ewentualną przegraną?

- Nie mogę przegrać! - wykrzyknęła rozpaczliwie. - Jeżeli dobrze cię zrozumiałam, jedyne, co muszę zrobić, to przed Gonitwą Królowej nie przewiązać mojej szarfy Jordanowi?

- Zgadza się. Tylko tyle.

Ledwie będąc w stanie ukryć podniecenie, Aleksandra klasnęła w dłonie i błagalnie poszukała wzroku Roddy'ego.

- Proszę powiedz, że to dla mnie zrobisz. To dla mnie ważniejsze, niż przypuszczasz.

Roddy uśmiechnął się sardonicznie.

- Oczywiście, że to zrobię - odpowiedział patrząc na nią z całkiem nową aprobatą i szacunkiem. - Jak już bez wątpienia się domyśliłaś, Jordan i ja nigdy nie darzyliśmy się zbyt wielką miłością. - Ujrzawszy jej niepewny uśmiech, westchnął w głębi ducha nad jej naiwnością. - Gdyby twój mąż uczynił mi tę grzeczność i pozostał martwy oraz gdyby Tony nie miał męskiego dziedzica, to właśnie ja, albo moi potomkowie, przejąłbym tytuł Hawthorne. Widziałaś brata Tony'ego, Bertiego; to kruchy chłopiec, który przez całe swoje dwudziestoletnie życie balansuje na krawędzi życia i śmierci. Mówiono mi, że coś poszło źle przy jego porodzie.

Aleksandra, która nie wiedziała, że Roddy zajmuje tak wysoką pozycję na liście kandydatów do tytułu, powoli pokręciła głową.

- Wiedziałam, że jesteś z nami spokrewniony, to znaczy z Townsende'ami, ale myślałam, że to tylko dalekie pokrewieństwo, czwarta, czy piąta linia.

- Bo tak jest. Ale z wyjątkiem ojców Jordana i Tony'ego wszyscy w tym rodzie mieli wyjątkowego pecha i trafiały im się same córki. Zresztą tych też nie ma za wiele. Wydaje się, że mężczyźni w naszej rodzinie umierają dosyć młodo i nie jesteśmy zbyt sprawni w płodzeniu potomków, choć - dodał rozmyślnie, by ją zgorszyć - nie dlatego, byśmy nie próbowali.

- Obawiam się, że to wynik zbyt małej ilości świeżej krwi - zripostowała Aleksandra walcząc, aby nie ujawnić zakłopotania tak bezpośrednią wzmianką o uprawianiu miłości. - Tak samo jest u owczarków. Cała arystokracja potrzebuje świeżej krwi, inaczej lada chwila wszyscy jej przedstawiciele będą się drapać za uszami i linieć.

Roddy odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać:

- Niewychowany dzieciuch! - powiedział beztrasko. - Już myślałam, że się nauczyłaś zachowywać kamienną twarz, nawet gdy jesteś zgorszona, ale mnie jeszcze nie zwiedziesz. Ćwicz dalej.

Spoważniał.

- Wracając do interesów. Jak dużo zamierzasz postawić? Aleksandra przygryzła wargę, bojąc się urazić zbytnim skąpstwem uśmiechając się do niej wreszcie Fortunę.

Dwa tysiące funtów - zaczęła i przerwała, gdy pilnie nasłuchujący za plecami Roddy'ego Filbert gwałtownie zakasłał.

W jej oczach błyszczało rozbawienie, gdy spojrzała na Filberta, a potem ponownie na Roddy'ego i poprawiła się:

- Dwa tysiące siedemnaście funtów.

- Ehm... - ponownie dobiegło ze strony Filberta.

- Dwa tysiące - zaczęła jeszcze raz Aleksandra - siedemnaście funtów i dwa szylingi.

Roddy nie był głupcem, dlatego odwrócił się i badawczo przyjrzał się stojącemu za nim służącemu. Wiedział od Aleksandry, że był z nią od urodzenia.

- A wy nazywacie się...? - zapytał przeciągle patrząc na niego z rozbawieniem.

- Filbert, panie.

- Jak się domyślam, do ciebie należy te siedemnaście funtów i dwa szylingi.

- Tak jest, panie. Do mnie i Penrose'a.

- A któż to Penrose?

- To zastępca lokaja - grzecznie odpowiedział i zapominając się dodał gniewnie: - Albo raczej był nim do wczoraj, zanim jaśnie pan dzisiaj rano go nie wyrugował.

Roddy przybrał nieobecny wyraz twarzy.

- Jak cudownie - wymamrotał, po czym przypomniał sobie, gdzie jest, i oficjalnie zwrócił się do Aleksandry. - Nie sądzę, abyś była dziś wieczorem na balu u Lindworthych.

Aleksandra wahała się przez chwilę, po czym uśmiechnęła się szatańsko.

- Skoro mój mąż jest już umówiony dziś wieczorem, nie widzę powodu, dlaczego nie miałabym tam pójść.

Już niedługo za sprawą cudownego zrządzenia losu będzie miała wystarczającą sumę pieniędzy, aby żyć spokojnie w Morsham przez dziesięć lat. Po raz pierwszy w życiu doświadczyła przedsmaku niezależności, wolności. A była to cudowna świadomość. Słodkie, oszałamiające uczucie. Upajało jak wino.

- I jeszcze jedno Roddy. Jeżeli wciąż chcesz wypróbować swoje umiejętności we władaniu szpadą, sądzę, że jutrzejszy poranek to świetna pora. Zaproś, kogo chcesz. Zaproś cały świat! - gdy to mówiła, jej oczy błyszczały entuzjazmem i podnieceniem.

Po raz pierwszy Roddy wyglądał niepewnie.

- Nawet nasz drogi Tony, który pozwalał ci żyć tak, jak chciałaś, odmówił zgody na fechtowanie z którymkolwiek z nas. To nie jest mała rzecz, moja droga i jest wielce prawdopodobne, że twój mąż wpadnie we wściekłość, gdy się o tym dowie.

- Och, przepraszam cię, Roddy - powiedziała skruszona. - Nie chciałabym uczynić niczego, co mogłoby cię narazić na...

- Troszczyłem się o ciebie, moje drogie dziecko, a nie o siebie. Mi nic nie grozi. Hawk mnie nie wyzwie, jesteśmy obaj zbyt cywilizowani, by wdać się w publiczny pokaz naszych nieokiełzanych temperamentów, bo tak naprawdę tym właśnie jest pojedynek. Za to jestem pewien - dodał filozoficznie - że przy pierwszej nadarzającej się okazji, gdy będziemy sami, będzie próbował wypisać mi jednak swoje poglądy na twarzy. Ale nie lękaj się - dodał z przesadną nonszalancją - potrafię bronić swego i twego honoru za pomocą pięści. Wbrew temu, co można sądzić, pod tymi strojnymi szatami kryje się męczyzna.

Galanteryjnie musnął jej dłoń ustami.

- Będę cię wypatrywał na balu u Lindworthych dziś wieczorem.

Kiedy Roddy wyszedł, Aleksandra zaczęła się śmiać.

- Dzięki, dzięki, dzięki! - krzyczała patrząc w górę, do Boga, do opatrności, do zdobionego sufitu. Roddy Carstairs pokazał jej właśnie sposób na rozwiązanie pierwszej części problemu, którym był brak pieniędzy. Teraz musi się zająć drugim problemem. Jak zdążyła zauważyć, przez ostatnie dwa dni Jordan Townsende wymagał ślepego i natychmiastowego posłuszeństwa od całego otoczenia, również od żony. Nie był

przyzwyczajony do jakichkolwiek sprzeciwów, czy to ze strony mężczyzny, kobiety czy służby.

Aleksandra pomyślała radośnie, że w takim razie nieposłuszeństwo powinno zapewnić jej szybką drogę do wolności. Potrzebne było kilka natychmiastowych i bezczelnych oznak oporu; takich, które zburzyłyby jego spokój, drwiły z jego tyranii i co najważniejsze, wyraźnie uzmysłowiły, że bez niej będzie mu o wiele lepiej.

- Jego wysokości - powiedział bezceremonialnie Filbert - nie spodoba się ten zakład ani panienci wychodne dziś wieczorem. - Ze zmartwieniem zmarszczył czoło. - Podśluchiwałem i wiem, że tego paniencie zabronił.

Aleksandra roześmiała się i uściskała zatroskanego staruszka.

- Nigdy się nie dowie o zakładzie - powiedziała beztrąsko. - A jeżeli nie spodoba mi się, że wyszłam wbrew jego woli, zawsze może mnie odesłać do Morsham. Albo dać mi rozwód - dokończyła triumfalnie podchodząc do drzwi. Nucąc cicho jakąś wesołą melodyjkę, lekko przeszła hall i zaczęła wspinać się na schody. Za dwa miesiące, gdy odbierze wygraną, będzie mogła odejść od Jordana Townsende'a jako - według standardów Morsham - bogata kobieta. Równie rozkoszna była dla niej świadomość, że zarobi te pieniądze dzięki własnemu sprytowi, a Jordan nigdy nie dowie się, skąd zebrała fundusze.

Jordan stał w drzwiach gabinetu i właśnie zegnał się ze swoimi gośćmi. Spojrzał na nią, jak radośnie wchodzi po schodach. Na jego ustach zagościł słaby uśmiech. Uświadomił sobie, że Aleksandra ma bardzo ładny głos. A jej biodra kołyszą się tak zapraszająco. Bardzo zapraszająco...

* * *

Pewność siebie, która kwitła w niej całe popołudnie, sięgnęła zenitu, gdy Sandy stała przed toaletką i patrzyła na zegar na kominku. Półtorej godziny temu Jordan wszedł do swojej sypialni, która przylegała do jej pokoju. Wyraźnie słyszała, jak mówił do lokaja, że wychodzi do White'a. Dwadzieścia pięć minut temu wyszedł.

White był bardzo blisko od posiadłości Lindworthych. Aleksandra nie chciała ryzykować, że Jordan utknie gdzieś na dole. Chcąc uniknąć spotkania po drodze, dała mu aż nadto czasu, aby mógł dotrzeć do celu.

Wreszcie stwierdziła, że powinien już dotrzeć do klubu. Odwróciła się do pokojówki, Francuzki w średnim wieku, którą zatrudniła dla niej księżna.

- Jak wyglądam, Marie? - zapytała wiedząc, że nigdy nie wyglądała lepiej.

- Zaprze im pani dech w piersiach, wasza wysokość - odpowiedziała Marie uśmiechając się z uznaniem.

- Tego się właśnie obawiam - roześmiała się Aleksandra. Spojrzała na oszalamiającą jasnożółtą suknię z szyfonu; przymarszczona na ramionach, z małymi bufkami, i głębokim dekoltem w kształcie V podkreślała młodzieńczą linię jej piersi. Od wąskiej talii suknia spływała w dół obfitymi fałdami miękkiego jedwabiu. Dobrane kolorem do sukni długie rękawiczki sięgały za łokcie, a na smukłej szyi Sandy i w jej drobnych uszach połyskiwały diamenty. Lśniące włosy zebrała na szczycie głowy w diamentową siateczkę. Prostota fryzury wspaniale dopełniała obrazu i podkreślając jej młodość nadawała Sandy niezwykle wygląd.

Aleksandra wstając podniosła swoją torebkę i radośnie zwróciła się do Marie:

- Nie czekaj na mnie. Noc spędzę u przyjaciela. - Nie była to do końca prawda, ale nie zamierzała pozwolić, by Jordan Townsende ziścił swoje plany co do ich wspólnej nocy. Przynajmniej dzisiaj chciała temu zapobiec.

* * *

White, najbardziej ekskluzywny prywatny klub dla dżentelmenów, wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy Jordan po raz ostatni przekroczył jego szerokie drzwi. A jednak w momencie, gdy wszedł, wyczuł, że coś się tutaj zmieniło.

Wszystko wokół było niby takie samo: wygodne fotele dookoła niskich stołów, przy których wygodnie oparli mężczyźni w zależności od karty tracili lub zyskiwali fortuny. Ogromna księga, w której zapisywano zakłady - księga tak święta dla hazardzistów White'a jak Biblia dla chrześcijan - leżała na stałym miejscu. Jordan zauważył jednak, że dzisiaj tłoczyło się wokół niej o wiele więcej osób niż zwykle.

- Hawthorne! - powitał go chór radosnych głosów. Zbyt radosnych. Tłum ruszył w jego stronę.

- Jak dobrze, że wróciłeś, Hawk - witał go lord Hurly potrząsając jego dłonią.

- Cudownie znów cię widzieć - mówił kolejny z jego przyjaciół, a inni tłoczyli się dookoła witając go wylewnie. Jordan pomyślał, że nawet zbyt wylewnie.

- Napij się z nami - zaproponował lord Camden i bezceremonialnie chwytając kieliszek madery z rąk przechodzącego kelnera, wepchnął go Jordanowi do ręki.

Ze zdumionym uśmiechem Jordan oddał kieliszek kelnerowi i zażądał whisky. Potem przeprosił otaczających go towarzyszy i ruszył w stronę księgi.

- O jakie nonsensy się teraz zakładacie, koledzy? - zapytał. - Mam nadzieję, że już nie o wyścigi świń.

Sześciu mężczyzn zablokowało mu drogę, tłocząc się koło książki. Nagle wszyscy naraz zaczęli prowadzić ożywioną konwersację.

- Mamy ostatnio dziwną pogodę... Co musiałeś przejść... Opowiedz nam... Jak się czuje lord Anthony?... Czy z twoją babką wszystko w porządku?

Za plecami Jordana lord Camden pokręcił przecząco głową ukazując im bezcelowość tej żywej blokady i lojalna grupa współczujących mężów rozstała się.

- Moja babka czuje się świetnie, Hurly - mówił Jordan przechodząc obok nich. - Tony również.

Oparł rękę o oparcie fotela i lekko pochylając się do przodu zaczął przerzucać kartki wracając do przeszłości, tak jak wcześniej robił to ze starymi gazetami, chcąc odnaleźć się w świecie. W książce były zakładki na wszelkie tematy, od przewidywanej daty pierwszej burzy śnieżnej do wagi pierwszego dziecka starego Bascombe'a.

Jordan zauważył z rozbawieniem, że osiem miesięcy wcześniej młody lord Thorton założył się ze swoim przyjacielem hrabią Stanleyem o tysiąc funtów, że dwudziestego grudnia hrabia będzie leżał w łóżku z bólem brzucha. Dziewiętnastego grudnia założył się z nim o sto funtów, że nie zje on dwóch tuzinów jabłek na raz. Stanley wygrał ten zakład, ale następnego dnia przegrał tysiąc funtów. Jordan zaśmiał się i spoglądając na przyjaciół zauważył:

- Widzę, że Stanley jest tak samo dumny jak zawsze.

Było to tradycją, że starsze, bardziej doświadzone towarzystwo komentowało zakładki swoich młodszych kolegów. Ojcowie sześciu mężczyzn zgromadzonych przy księdze również się niegdyś przy niej gromadzili, tak samo jak i ich ojcowie. W przeszłości uwaga Jordana spowodowałaby lawinę podobnych historyjek o innych tego typu zakładach lub wypominanie jego własnych idiotycznych wpadek. Tym razem wywołała jedynie słabe uśmiechy i wokół zapadło podejrzanе milczenie.

Jordan spojrzał na nich zdziwiony i wrócił do przeglądania książki. Cały klub zamarł, nawet gracze przy stolikach przerwali grę, zdając się na coś czekać. Chwilę później Jordan miał wrażenie, że odkrył przyczynę ich wyczekiwania. Przez cały maj i czerwiec, strona po stronie były pokryte zakładami, którego wielbiciela - a były ich dziesiątki - Aleksandra wybierze za męża.

Zły, choć niezbyt zaskoczony, Jordan przewrócił kartkę i zobaczył zakładki, czy Aleksandra przywiąże mu szarfę w dzień Goniczki Królowej.

Przeoglądając zakładki ujrzał też, że choć we wszystkich był faworytem, na dole strony było już i kilka zakładów przeciwko niemu. Jordan zauważył nawet z goryczą, że wcześniej tego samego dnia Carstairs postawił przeciw niemu tysiąc funtów. Typowe!

Następny zakład był również przeciw niemu, duża i bardzo dziwna suma - 2017,30 funtów - gwarantowana przez Carstairsa, ale postawiona w imieniu ...

W tym momencie Jordana ogarnęła furia. Wyprostował się i spojrzał na swoich przyjaciół.

- Wybaczcie panowie - wycedził zabójczo słodkim głosem - ale właśnie sobie przypomniałem, że mam dzisiaj wieczorem inne zobowiązania. - Nie patrząc na nikogo więcej wyszedł z klubu.

Sześciu mężczyzn zgromadzonych dookoła książki popatrzyło na siebie w bezradnej konsternacji.

- Idzie do Carstairsa - powiedział lord Camden ponuro, a pozostali pokiwali smętnie głowami.

Jakże bardzo się mylili!

- Do domu - rzucił Jordan do stangreta wsiadając do powozu. Przez całą drogę do domu przy Upper Brook Street 3 w milczeniu zastanawiał się, w jaki sposób dać swojej hulaszce, nieposłusznej żonie tak potrzebną nauczkę, której na pewno nie zapomni.

Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, by mógł uderzyć kobietę, ale teraz miał ochotę wejść do sypialni Aleksandry, przełożyć ją przez kolano i bić, aż będzie już miała dosyć. Byłaby to najbardziej odpowiednia kara za tak głupi i dziecinny publiczny pokaz sprzeciwu!

A potem powinien rzucić ją na łóżko i skłonić do tego, do czego powołał ją Bóg!

Miał taki nastrój, że gotów był to uczynić, ale gdy tylko wszedł do domu, Higgins poinformował go, że Aleksandry „nie ma w domu”.

Jeszcze chwilę przedtem Jordan przysięgłby, że nie może już być bardziej wściekły. Ale to, że Aleksandra tak bezczelnie śmiała sprzeciwić się jego woli, zwłaszcza że wyraźnie zakazał jej wychodzić z domu, sprawiło, że zawrzała mu krew w żyłach.

- Sprowadź tu jej pokojówkę - zażądał tonem, który sprawił, że Higgins, aż przywarł do ściany, zanim wymknął się wypełnić żądanie swojego pana.

Pięć minut później, o dziesiątej trzydzieści, Jordan był już w drodze go Lindworthych.

* * *

W tym samym czasie lokaj Lindworthych zapowiadał głośno:

- Jej wysokość, księżna Hawthorne.

Niedbale ignorując odwracające się głowy i badawcze spojrzenia, Aleksandra z gracją zeszła po wielkich schodach, wspaniale ubrana i promieniejąca dobrym humorem.

Zarówno suknia, jak i nastrój pasowały do siebie idealnie - czuła się w nich wspaniale i niezależnie.

W połowie drogi na dół zaczęła rozglądać się po zatłoczonej sali balowej szukając wzrokiem Roddy'ego, Melanii lub księżnej babki. Najpierw zobaczyła właśnie ją, stojącą w kręgu starszych przyjaciół, i skierowała się w tamtą stronę. Wyglądała, jak kwitnące wcielenie młodości, jej oczy lśniły jasno jak diamenty, które miała na sobie. Od czasu do czasu przystawała, by uprzejmie kiwnąć znajomym głową.

- Dobry wieczór - przywitała się z księżną całując ją w pomarszczony policzek.

- Widzę, drogie dziecko, że jesteś w dobrym humorze - powiedziała księżna kiwając do niej głową i ściskając jej dłoń. - Cieszę się również - dodała - że Hawthorne posłuchał mojej rady i cofnął ten idiotyczny zakaz zabraniający ci wychodzić z domu.

Uśmiechając się szatańsko Aleksandra dygnęła z szacunkiem i z gracją unosząc głowę radośnie zaprzeczyła:

- Nie, proszę pani, wcale go nie cofnął.

- To znaczy...

- Dokładnie tak.

- Och!

Aleksandra знаła już opinię księżnej na temat powinności małżeńskich, dlatego jej mało entuzjastyczna reakcja na jej buntownicze zachowanie w niczym nie pogorszyła jej humoru. Tak naprawdę, to była w takim nastroju, że nic nie mogło jej go zepsuć. W chwilę później musiała jednak zmienić zdanie, gdy podbiegła do niej Melania wyglądając na mocno przestraszoną.

- Och Sandy, jak mogłaś zrobić coś takiego?! - wykrzyknęła zbyt zaaferowana, aby zauważyć stojącą obok księżną. - Nawet mój mąż powiedział, że będąc na miejscu Jordana chętnie skreśliłby ci kark. Przeciągnęłaś strunę, to przekracza wszelkie granice. Nie możesz tak postępować...

- O czym ty mówisz? - przerwała jej Aleksandra, czując, jak serce zaczyna bić jej coraz szybciej.

- Mówię o zakładzie, jaki w twoim imieniu zrobił u White'a Roddy!

- W moim imieniu!? - wykrzyknęła Aleksandra z przerażeniem pomieszany z niedowierzaniem. - Dobry Boże! Nie zrobiłby tego!

- Jaki zakład? - pytała ponaglająco księżna.

- Ależ on to zrobił! A wszyscy na tej sali o tym wiedzą!

- Dobry Boże! - powtórzyła Aleksandra słabo.

- Jaki zakład? - zapytała złowieszczo księżna.

Zbyt roztrzęsiona i zaszokowana, by jej odpowiedzieć, Aleksandra zostawiła to zadanie Melanii. Sama zebrała suknie i zaczęła się rozglądać za Roddym.

Zobaczyła go wreszcie i odciągnęła na bok, a w jej oczach czaiło się pragnienie mordy.

- Aleksandro, kochana, wyglądasz bardziej oszałamiająco... - zaczął i wyciągnął do niej dłoń, ale odepchnęła ją, świdrując go rozgniewanym, oskarżycielskim wzrokiem.

- Jak mogłeś zrobić mi coś takiego?! - wybuchnęła gorzko. - Jak mogłeś zapisać ten zakład w jakiejś księżce i podpisać go moim imieniem?!

Już po raz drugi, odkąd się poznali, Roddy stracił na chwilę panowanie nad swoim bezbarwnym wyrazem twarzy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał oburzony. - Zrobiłem to, o co sama mnie prosiłaś. Chciałaś zademonstrować wszystkim, że nie zamierzasz leć u stóp Hawka, a ja złożyłem twój zakład w najlepszym miejscu, by ujawnić twoje uczucia całemu światu. A nie było to proste - kontynuował poirytowany. - Tylko członkowie klubu mogą zapisywać swoje zakłady, dlatego musiałem napisać również moje imię obok twojego i zagwarantować...

- Chciałam, żebyś postawił za mnie pod swoim imieniem, a nie moim. Dlatego prosiłam, żebyś ty to zrobił! - wykrzyknęła Aleksandra z rozpaczą. - To miał być cichy, poufny, niepisany dzentelmeński zakład.

Roddy zmarszczył brwi, a gniew zastępował święte oburzenie.

- Nie bądź niemądra. Co miałabyś zyskać na takim „cichym, dzentelmeńskim zakładzie”?

- Pieniądze! - odpowiedziała załośnie.

- Pieniądze? - powtórzył tępo. - Zdecydowałaś się na ten zakład, bo chciałaś pieniędzy?

- Oczywiście - odpowiedziała naiwnie. - Dla jakiej innej przyczyny można się zakładać?

Roddy popatrzył na nią przez chwilę, jakby była przedstawicielką jakiejś kompletnie nieznanego mu rasy, po czym usłużnie ją poinformował:

- Niektórzy lubią po prostu wygrywać. Jesteś żoną jednego z najbogatszych ludzi w Europie. Dlaczego miałabyś potrzebować pieniędzy?

Pytanie, choć logiczne, wymagałoby ujawnienia powodów całkowicie intymnych, których Aleksandra ujawniać nie chciała.

- Nie mogę ci odpowiedzieć - powiedziała żałośnie - ale przepraszam, że cię obwinałam za to, co się stało.

Kiwnięciem głowy akceptując jej przeprosiny, Roddy zatrzymał przechodzącego kelnera. Wziął z tacy dwa kieliszki szampana i wręczył jeden Aleksandrze.

- Jak sądzisz - zapytała po chwili, nieświadoma nagłego poruszenia na sali - czy jest jakaś szansa, że Jordan nie dowie się o tym zakładzie?

Roddy, niewiele rzeczy nieświadom, rozejrzał się zaciekawiony, a potem idąc za spojrzeniami innych popatrzył na schody.

- Raczej nie - powiedział sucho i niedbałym ruchem głowy wskazał w tamtym kierunku akurat w tym momencie, gdy lokaj ogłaszał dźwięcznym głosem:

- Jego wysokość, księżę Hawthorne.

Przez tłum przebiegł szept pełen oczekiwania, a Aleksandra poderwała głowę patrząc rozszerzonymi ze strachu oczami na wysoką, ubraną na czarno postać, która ze złowieszczą pewnością siebie schodziła po schodach. Aleksandra była oddalona od schodów mniej niż o piętnaście metrów, ale gdy Jordan zbliżył się do ostatniego schodka, olbrzymie morze ludzi zgromadzonych na sali balowej ruszyło w jego stronę wielką falą i erupcja nagłych powitań zabrzmiała kakofonią dźwięków.

Był przynajmniej o pół głowy wyższy od pozostałych mężczyzn i Aleksandra widziała, jak lekko uśmiechnięty słuchał, co do niego mówili, podczas gdy jego oczy błędziły badawczo po sali, szukając tylko jej. Przerazona, jednym haustem opróżniła kieliszek i pusty oddała Roddy'emu, który natychmiast podał jej swój.

- Wypij jeszcze - powiedział głucho. - Będziesz tego potrzebować.

Aleksandra rozglądała się dookoła jak lis szukający nory, starannie unikając wzrokiem każdego kierunku, który mógłby ją niechcący wprowadzić w pole widzenia Hawka. Nie mogąc się ruszyć, przylgnęła do ściany i bezwiednie wychyliła kieliszek Roddy'ego. Akurat wtedy jej wzrok napotkał spojrzenie księżnej babki, która popatrzyła na nią dziwnie, po czym odwróciła się do Melanii i szybko coś jej powiedziała. Chwilę później Melania torowała sobie drogę w tłumie zbliżając się do Aleksandry i Roddy'ego.

- Twoja babka mówi - zaczęła pospiesznie, skoro tylko do nich dotarła - żeby się modlić, aby ktoś kogoś nie zamordował dzisiejszej nocy. Mówi też, że nie masz się co martwić o jego zachowanie tutaj, bo on dobrze wie, na co sobie może pozwolić.

- Mówiła coś jeszcze? - błagalnie zapytała Aleksandra rozpaczliwie czekając na jakiegokolwiek pocieszenie.

- Tak - opowiedziała Melania kiwając energicznie głową - żebym trzymała się ciebie jak przyklejona i że nie wolno mi opuszczać cię ani na chwilę „nieważne, co się będzie działo”.

- Dobry Boże! - wybuchnęła Aleksandra. - Myślałam, że powiedziała, że nie ma się o co martwić.

Roddy chrząknął.

- Być może Hawk nie wie jeszcze o twoim zakładzie, więc postaraj się nie wyglądać jak zaszczute zwierzę.

- Nie martwię się jedynie tym zakładem - ponuro powiedziała Aleksandra bacznie obserwując Jordana, który wreszcie uwolnił się od tłumu i wyraźnie szukał czegoś wzrokiem.
- Boję się, że odkryje, iż jestem...

Ktoś coś powiedział do Jordana, który nagle odwrócił głowę.

Jego wzrok prześliznął się po ścianie, przy której stała Aleksandra. I nagle ją ujrzał, stojącą obok Melanii... obok Roddy'ego. Drgnął, jak dźgnięty bagnetem, a jego oczy mierzyły w nią, jak dwie czarne lufy pistoletów.

- ...tutaj - dokończyła słabo Aleksandra, podczas gdy Jordan patrzył prosto na nią wzrokiem, który nie pozostawiał wątpliwości, że przy pierwszej nadarzającej się okazji podejdzie do niej.

- Wydaje mi się, że właśnie to odkrył - cierpko zażartował Roddy.

Aleksandra oderwała przerażone spojrzenie od Jordana i zaczęła rozglądać się za bezpieczną kryjówką, ale taką, aby nikt nie myślał, że się chowa. Zdecydowała szybko, że najbezpieczniejszym wyjściem będzie wmieszanie się w składający się z siedmiuset gości tłum, dopóki Jordan nie straci jej z oczu.

- Może zgubimy się trochę, moja droga? - zaproponował Roddy najwyraźniej dochodząc do podobnych wniosków.

Aleksandra pokiwała głową z lekką ulgą, ale pomysł wmieszania się w tłum stracił sens już w parę chwil później, gdy mijali lorda i lady Moseby stojących z lordem Northern przy jednej z lustrzanych ścian, które ciągnęły się przez całą szerokość sali.

Lady Moseby wyciągnęła dłoń i zatrzymała przechodzącą Aleksandrę.

- Słyszałam o twoim zakładzie - powiedziała tonem, w którym pobrzmiwał podziw.

Uprzejmy uśmiech na twarzy Aleksandry zamarł.

- To był tylko żart - wtrąciła Melania materializując się u boku Aleksandry zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami księżnej.

Patrząc z dezaprobatą na Aleksandrę, lord North powiedział sztywno:

- Ciekawe, czy Hawk uzna go za zabawny.

- Ja na pewno bym tego nie zaaprobował - ponuro poinformował Aleksandrę lord Moseby, a potem chwycił pod ramię swoją żonę. Kiwnął głową i z lordem Northem u boku odprowadził ją dalej od Aleksandry.

- Niech mnie diabli! - powiedział miękko Roddy spoglądając na sztywno wyprostowane plecy odchodzących. Po chwili namysłu przeniósł wzrok na zaskoczoną Aleksandrę i przyglądał się jej z wyrazem winy, złości i ironii jednocześnie.

- Obawiam się, że zapisując u White'a ten zakład, zrobiłem ci niedźwiedzią przysługę - powiedział. - Oczywiście, spodziewałem się oburzenia ze strony paru co bardziej pruderyjnych przedstawicieli mojej płci. Nie wziąłem niestety pod uwagę, że tak otwarty sprzeciw wobec męża może doprowadzić do furii innych żonatych mężczyzn.

Aleksandra ledwo go słuchała.

- Roddy - przerwała mu pospiesznie - to bardzo miłe z twojej strony, że jesteś przy mnie, ale jesteś raczej wysoki i...

- I byłoby ci łatwiej umknąć nie mając mnie u swego boku - domyślnie wpadł jej w słowo, a Aleksandra kiwnęła twierdząco głową. - W takim razie oddalam się.

- Dziękuję.

- Skoro przypadkowo jestem częściowo winny twojego problemu, to zrobię dla ciebie przynajmniej tyle, abyś mogła bezpiecznie się wymknąć. - Skłonił się krótko i udał w kierunku przeciwnym niż Aleksandra i Melania.

Pięć minut później Aleksandra stojąc bokiem do sali zaniepokojona zwróciła się do Melanii: - Widzisz go?

- Nie - odpowiedziała Melania rozejrzawszy się ukradkowo po zatłoczonej sali. - Nie ma go już przy schodach ani nigdzie na drodze do hallu.

- W takim razie wyjdę teraz - zdecydowała szybko Aleksandra całując Melanię w policzek. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Spotkamy się jutro, jeżeli będę mogła...

- Nie będziesz mogła - powiedziała żałośnie Melania. - Mój mąż uważa, że Londyn w moim stanie mi nie służy. Uparł się, żeby zabrać mnie na wieś i pozostawić tam do rozwiązania.

Perspektywa stawienia czoła najbliższej przyszłości bez Melanii u boku sprawiła, że Aleksandra poczuła nagłą rozpacz.

- Napiszę do ciebie - obiecała zastanawiając się, czy kiedykolwiek zobaczy ponownie swoją drogą przyjaciółkę. Odwróciła się i zaczęła torować sobie drogę do schodów. Za nią

Melania wykrzyknęła coś, ale ostrzeżenie zostało zagłuszone przez roześmiane, podniesione głosy i Aleksandra trzymając się blisko ściany szła dalej.

Nie zatrzymując się, odstawiła kieliszek na pobliską tacę i nagle krzyknęła czując, jak w jej ramię boleśnie wczepia się czyjaś dłoń obracając ją dookoła. Jednocześnie Jordan stanął na wprost niej skutecznie izolując ich oboje od tłumu rozbawionych gości. Oparł dłonie o ścianę za nią i w ten sposób uwięził ją, choć z zewnątrz wyglądał jak spokojny dżentelmen pograżony w intymnej konwersacji ze swoją damą.

- Aleksandro - zaczął ze złowieszczym spokojem, który przeczył dzikiej furii w jego iskrzących się oczach - na tej sali znajduje się około czterystu żonatych mężczyzn, z których większość wierzy, iż wyciągnięcie cię stąd na oczach wszystkich, a potem wbicie ci do głowy odrobiny rozsądku to mój obowiązek. Zresztą ja sam nie mogę się tego doczekać.

Ku jej przerażeniu sięgnął do tacy stojącej obok nich, wziął z niej kieliszek szampana i wręczył go jej dla podtrzymania pozorów przyjacielskiej pogawędki małżonków. Mówił jednak dalej takim samym groźnym tonem.

- Mimo że twój publiczny zakład i twój bezczelny opór wobec mojej wyraźnej woli zasługują na publiczny odwet, mam zamiar zaproponować ci dwa wyjścia - ciągnął jedwabistym głosem. - I chcę, żebyś bardzo uważnie ich wysłuchała.

Ku swemu rozdrażnieniu i zawstydzeniu Aleksandra była tak przerażona, że jej piersi wznosiły się tylko i opadały jak u oszalałego ze strachu ptaka. W odpowiedzi na jego słowa była w stanie tylko pokiwać twierdząco głową.

Niewzruszony jej wyraźnym przerażeniem Jordan kontynuował:

- Możesz wyjść ze mną teraz - spokojnie i z uśmiechem posłusznej żony albo krzycząc i kopiąc - nie sprawia mi to żadnej różnicy. W obu przypadkach, jeżeli teraz wyjdziemy, każdy na tej sali będzie wiedział, dlaczego cię stąd zabieram.

Kiedy przerwał, Aleksandra przełknęła nerwowo.

- Jaka jest druga możliwość? - zdołała wykrztusić.

- Aby ocalić twoją dumę - odpowiedział - jestem gotów wyjść z tobą na parkiet i spróbować udawać, że oboje uważamy ten zakład za mały, niewinny żarcik. Ale niezależnie, co wybierzesz - dodał złowieszczo - gdy wrócimy do domu, zamierzam się z tobą policzyć, czy to dla ciebie jasne?

Jego ostatnie słowa i niemal namacalna groźba fizycznej przemocy, jaka się w nich kryła, były wystarczająco okropne, by Aleksandra zgodziła się na wszystko, co opóźniłoby ich wyjście.

Gdzieś w wirze rozszalałych myśli dotarło do niej, że oferując jej szansę na ocalenie dumy, postępuje z nią o wiele bardziej troskliwie niż ona publicznie stawiając przeciw niemu pieniądze. Z drugiej strony nie mogła być mu z głębi serca wdzięczna za oszczędzenie jej publicznego upokorzenia, skoro jednocześnie obiecywał późniejsze, fizyczne maltretowanie w domowym zaciszu. Nadludzkim wysiłkiem woli zdołała uspokoić swój głos i przybrać maskę jako takiego spokoju.

- Myślę, że wolę zatańczyć.

Jordan patrzył na jej kochaną bladą twarz i mimowolnie czuł podziw dla jej odwagi. Ofiarował jej swoje ramię, na którym oparła drżącą dłoń.

W momencie kiedy Jordan odsunął się i odsłonił jej widok na salę, Aleksandra rozejrzała się dookoła i zauważyła, że ich małe *tete - a - tete* obserwowało wiele osób. Z dumą i godnością szła wolno u boku męża przez zastygły tłum, który rozstępował się przed nimi jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Aleksandra starała się kontrolować swoje oblicze, ale raz omal nie straciła spokojnego wyrazu twarzy, gdy na ich drodze stanęła Elżbieta Grangerfield, której podstarzały mąż niedawno zmarł. Konfrontacja z byłą kochanką jej męża była dla niej takim szokiem, że prawie upadła, chociaż Jordan i Elżbieta zdawali się być całkiem opanowani, gdy się witali.

- Witaj w domu, księżę - powiedziała Elżbieta niskim, zmysłowym głosem.

- Dziękuję - odpowiedział Jordan z uśmiechem i ucałował galanteryjnie jej dłoń.

Patrząc na nich Aleksandra czuła się tak, jakby ktoś dał jej w twarz. Cudem udało się jej zachować neutralnie spokojny wyraz twarzy, gdy szli dalej, ale kiedy wyszli na parkiet i Jordan chciał objąć ją w pasie, szarpnęła się do tyłu.

- Wolisz wyjść teraz? - zapytał jedwabistym głosem, podczas gdy pozostali tancerze zaczęli wirować.

Zbyt rozwścieczona, by zauważyć, że natychmiast kiedy weszli na parkiet, zaczęło śledzić ich sześćset zaciekawionych par oczu, niechętnie oparła mu dłoń na ramieniu. Wyraz jej twarzy aż nadto wyraźnie dawał jednak do zrozumienia, że kontakt z nim budzi w niej wstręt.

Jordan przyciągnął ją do siebie i włączyli, się w barwny krąg wirujących postaci.

- Jeżeli masz choć strzęp rozsądku lub jeżeli nauczyłaś się czegokolwiek na temat manier i zachowania - zwrócił się do niej zduszonym głosem - to zetrzyj z twarzy tę męczeńską minę i spróbuj wyglądać olśniewająco.

Ta pełna aroganckiej wyższości uwaga sprawiła, że Aleksandra zapragnęła nagle spoliczkować jego arystokratyczną twarz.

- Jak śmiesz uczyć mnie manier i obyczajności, kiedy właśnie przed chwilą szczebiotałeś ze swoją byłą kochanką mając żonę u boku!

- A co miałem zrobić? - zapytał Jordan krótko - Staranować ją? Stała idealnie na naszej drodze.

- Nie mogłeś mnie włączyć do rozmowy? - odparowała Aleksandra zbyt rozgniewana, by dostrzec, że to byłoby o wiele bardziej dla niej krępujące.

Wroga wymiana zdań pomiędzy księciem Hawthorne'em a jego buntowniczą małżonką nie uszła uwagi pozostałych uczestników balu. Tancerze wpadali na siebie zaabsorbowani próbami podsłuchiwania, muzycy kiwali się z boku na bok, aby jak najlepiej widzieć dyskutującą parę, wszystkie binokle ogniskowały się na tej jednej parze.

- Włączyć cię do rozmowy z kobietą, która ...? - zaskoczony Jordan w ostatniej chwili powstrzymał słowa, które cisnęły mu się na usta, ale natychmiast dopowiedziała je Aleksandra.

- ... która dzieliła z tobą łóżko? - syknęła.

- Ty również nie powinnaś uczyć mnie dobrych manier, madam. Twoje zachowanie w ciągu ostatnich tygodni dalekie było od tego, co przystoi mojej żonie!

- Moje zachowanie! Otóż chciałam cię poinformować - rzuciła kipiąc sarkazmem - że gdybym miała zachowywać się jak godna ciebie żona, powinnam uwodzić każdego mężczyznę na mojej drodze.

Jej wybuch tak go oszołomił, że Jordan przez chwilę poczuł, jak ogarnia go ślepa furia na to tak jawne zuchwalstwo. Jednocześnie uświadomił sobie jednak, że ona jest zazdrosna. Poprawiło mu to trochę humor i spróbował rozejrzeć się wokół. Natychmiast ujrzał, że połowa tancerzy zeszała z parkietu, by lepiej ich obserwować, natomiast pozostali otwarcie się im przyglądali.

Oderwał wzrok od sali i wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu skierowanym na czubek głowy Aleksandry.

- Uśmiechnij się do mnie, do diabła! Cała sala na nas patrzy.

- Na pewno tego nie zrobię! - oburzyła się irracjonalnie, ale udało się jej wygładzić rysy.

- Wciąż jestem zaręczona z twoim kuzynem!

Ta wymówka była tak głupia, że Jordan musiał siłą powstrzymać się od śmiechu.

- Doprawdy dziwny masz kodeks etyczny, moja kochana. Tak się składa, że w tej chwili jesteś moją żoną.

- Nie waz się mówić do mnie „moja kochana” i mógłbyś przynajmniej postawić się w pozycji Anthony'ego. Pomyśl, jakie to będzie dla niego upokarzające, gdy wszyscy pomyślą, że padłam ci prosto w ramiona. Czy nie czujesz żadnej lojalności w stosunku do swojego kuzyna?

- To bardzo trudny dylemat moralny - ironicznie zgodził się Jordan. - Ale w tym wypadku jestem lojalny tylko wobec siebie.

- Niech cię diabli!

Jordan patrzył na rozgniewaną piękność w swoich ramionach, ubraną w prowokacyjnie jasnożółtą suknię, na jej twarz jednocześnie delikatną i żywą z iskrzącymi się szmaragdowymi oczami i różanymi ustami. Nagle przypomniał sobie, kiedy ostatni raz widział ją w sukni tego koloru. Było to w ogrodzie jego babki, patrzyła na niebo i tłumaczyła mu miękko, rozmarzonym głosem: „Każda pora roku przynosi obietnicę, że pewnego dnia przytrafi mi się coś wspaniałego. Zimą ta obietnica spada ze śniegiem... Latem słyszę ją w grzmocie, gdy niebo przecina błyskawica... Najwyraźniej czuję ją teraz, na wiosnę, gdy wszystko jest zielone i czarne”...

Miała nadzieję, że stanie się coś wspaniałego, a jedyne, co los jej przyniósł, to czterodniowe małżeństwo, po którym nastąpiło piętnaście miesięcy żałoby i wiele rozwianych złudzeń co do życia, jakie wiódł, zanim została jego żoną.

Jego gniew gwałtownie opadł i gdy patrzył w te wspaniałe oczy serce skurczyło mu się boleśnie na myśl, że za jego sprawą znów miałyby się w nich pojawić łzy.

- Powiedz mi coś - poprosił miękko. - Czy wciąż uważasz, że mokra ziemia pachnie jak perfumy?

- Co? - zapytała podejrzliwie, patrząc na jego nagle wygładzone rysy, a jej czoło zmarszczyło się w zakłopotaniu. - A tak, pamiętam. Nie, już tak nie uważam - odpowiedziała pamiętając, że uważał ją za godną pożałowania. - Wydoroślałam.

- Widzę - odpowiedział Jordan z mieszaniną czułości i budzącego się pożądaniam.

Aleksandra spojrzała na jego łagodną, szlachetną twarz i szybko odwróciła wzrok, ale i jej złość zaczęła wygasać. Sumienie przypomniało jej, że publiczny zakład i wrogie zachowanie na parkiecie - gdy chciał ocalić jej dumę - były z jej strony niewybaczalnym błędem. Nie czując się już całkowicie jak strona skrzywdzona w tym konflikcie, przygryzła wargi i popatrzyła na niego.

- Rozejm? - zaproponował z niedbałym uśmiechem.

- Dopóki stąd nie wyjdziemy - zgodziła się natychmiast, a kiedy uśmiechnęła się do niego, dostrzegła w jego szarych oczach aprobatę.

- Co się stało ze szczeniakiem, którego ci kupiłem? - zapytał uśmiechając się szerzej.

- Henryk jest w Hawthorne. Aha, myliłeś się - dodała z chytrym uśmiechem - chłopiec nie kłamał, to naprawdę nie jest kundel.

- Duży? - zapytał Jordan. - Z łapami jak spodki? Aleksandra pokręciła przecząco głową.

- Jak talerze.

Jordan roześmiał się, a i ona znów się uśmiechnęła. Pary na parkiecie przestały się im przyglądać, binokle skierowano gdzie indziej, a rozmowy wznowiono. Kiedy taniec się skończył, Jordan ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku tłumu. Ich wyjście zostało opóźnione przez grupę przyjaciół Jordana, którzy tłoczyli się wokół witając go radośnie.

Aleksandra miała już gotowy plan ukrycia się przed nim, gdy wrócić do domu. Spodziewała się, że ją oddali, ale on spędził następne pół godziny na uprzejmych rozmowach z ludźmi, którzy do niego podchodzili. Przez cały czas jego dłoń przykrywała jej palce spoczywające mu na przedramieniu.

Nie mając wyboru, Aleksandra stała niechętnie u jego boku starając się wyglądać tak spokojnie, jakby towarzystwo Jordana znaczyło dla niej to samo, co towarzystwo Tony'ego.

Ale chociaż ona starała się traktować Jordana tak jak Tony'ego, zauważyła, że ludzie traktują go całkiem inaczej. Do Tony'ego wszyscy odnosili się serdecznie i z szacunkiem dla jego rangi, ale nigdy tak prawie bałwochwalczo jak do Jordana. Widząc, jak obwieszone biżuterią damy dygają przed nim, a elegancy dżentelmeni głęboko się kłaniają, zdała sobie sprawę, że o ile Tony tylko nosił tytuł, Jordan był jego uosobieniem.

On po prostu był Hawthorne'em, jakby się urodził do tej pozycji.

Stojąc u jego boku zaczęła się bać, że może przeceniła swoje możliwości manipulowania nim, aby pozwolił jej wrócić do Morsham, gdy będzie już miała pieniądze. Przebywając tak długo wśród towarzystwa błędnie myślała, że Jordan jest taki jak inni arystokraci, których poznała - ugładzeni, delikatni i grzeczni, a jednocześnie zbyt ugodowi. Spokojni.

Teraz, gdy widziała Jordana w rozmowach z innymi mężczyznami, zdała sobie żałośnie sprawę z tego, że pod tą cywilizowaną, gładką fasadą, kryje się zupełnie ktoś inny.

Jordan zwrócił się nagle ku niej i przemówił grzecznie, choć stanowczo.

- Jeżeli dasz mi słowo, że wrócisz prosto do domu, pozwolę ci teraz wyjść. Będzie to wyglądało tak, jakby każde z nas zamierzało postępować według własnych planów na wieczór. Ja wyjdę kwadrans po tobie.

Zdziwiona jego troską odetchnęła z niewypowiedzianą ulgą, bo to znacznie ułatwiło wprowadzenie jej planu w życie. Skinęła twierdząco głową i zaczęła odchodzić, ale na jej ramieniu zacisnęła się jego dłoń.

- Twoje słowo, Aleksandro - zażądał krótko.

- Daję ci moje słowo, że pójdę prosto do domu - powiedziała z olśniewającym uśmiechem zrodzonym z ulgi, po czym pospiesznie wyszła.

Jordan patrzył za nią ze zmrużonymi oczami, zastanawiając się, jaki jest powód tego podejrzenie wesołego uśmiechu i czy mądrze postąpił ufając jej. Nie tylko wiara w jej słowo pozwoliła mu zaproponować jej takie rozwiązanie, ale fakt, że nie mógł uwierzyć, że ponownie mu się sprzeciwi. Teraz знаła już granice, do których był zdolny się posunąć, by zapewnić sobie jej posłuszeństwo. Poza tym, pomyślał filozoficznie odwracając się do przyjaciół i znajomych, gdzie indziej mogłaby się udać, jeśli nie do domu? Nikt, nawet jego babka, nie ukryłby jej przed jej własnym mężem.

Nie tylko Jordan przyglądał się wyjściu Aleksandry, również wielu innych gości patrzyło pilnie, jak wychodzi. Byli to ci, którzy nie dali się zwieść wyraźnie harmonijnym rozstaniem małżonków.

- Hawk ma zamiar policzyć się z nią, jak tylko wróci do domu - zapewnił lord Ogilvie dużą grupę mężczyzn zgromadzonych dookoła niego. - Możecie być pewni, że ukarze ją tej nocy. A co więcej, na Gonitwie Królowej będzie nosił jej szarfę.

- Na pewno! - zgodził się młody sir Billowby.

- Oczywiście! - zawtórował hrabia Thurston.

- Bez wątpienia! - ogłosił donośnie lord Carleton.

Lady Carleton popatrzyła za księżną Hawthorne wchodzącą po schodach i śmiało sprzeciwiła się mężczyznom:

- Mam nadzieję, że się wszyscy mylicie. Hawthorne łamał serca w całej Anglii. Nadszedł czas, by teraz jakaś kobieta złamała i jego.

Młoda, nieśmiała żona sir Billowby'ego uniosła brodę i zawtórowała jej.

- Mam nadzieję, że odda swoją szarfę komuś innemu.

- Nie bądź śmieszna, Honorato - powiedział jej mąż. - Zamierzam postawić sto funtów, że da ją Hawkowi.

Obie panie popatrzyły na siebie, a potem na mężczyzn.

- Mój panie - poinformowała lady Honorata swojego zaszokowanego męża wyciągając z torebki 100 funtów - przyjmuję ten zakład.

- Ja również - dodała lady Carleton.

Do czasu, gdy Aleksandra wspięła się do swojego powozu, postawiono wystarczającą sumę pieniędzy, by napełnić skarbiec burmistrza Londynu na długie lata, a stawki osiągnęły 25 do 1 na korzyść Jordana. Tylko młode damy miały nadzieję, że Aleksandra będzie pierwszą kobietą, która oprze się księciu Hawthorne'owi.

ROZDZIAŁ 23

Od okien posesji przy Upper Brook Street odbijało się światło księżyca. Aleksandra odesłała stangreta i cicho wsunęła klucz w zamek. Uchyliła delikatnie drzwi i robiąc w nich tylko małą szparę zajrzała do ogromnego hallu. Zgodnie z jej oczekiwaniami, Higgins i reszta służby dawno już spali.

Wślizgnęła się do środka, zamknęła za sobą drzwi i na palcach ruszyła po schodach. Przystanęła przy drzwiach swojej sypialni, zastanawiając się, czy jej oddana pokojówka nie zdecydowała się czuwać wbrew jej wyraźnemu poleceniu. Zdecydowała się nie ryzykować otwarcia drzwi, by to sprawdzić, i ruszyła wzdłuż długiego hallu, po którego obu stronach rozmieszczone były pokoje gościnne. Na końcu korytarza widniały kolejne schody wiodące na następne piętro. Weszła po tych schodach, minęła korytarz i podeszła do ostatnich drzwi po prawej stronie. Po cichu przekręciła gałkę i wślizgnęła się do pustego, ciemnego pokoju, dawno temu zajmowanego przez rodzinną guwernantkę.

Uśmiechając się do siebie, dumna ze swojego sprytu, zdjęła rękawiczki i rzuciła je na mroczny mebel, który po bliższym przyjrzeniu zidentyfikowała jako niewielką komódkę. Nie złamała słowa, przyjechała prosto do domu.

Z tym że gdy jej mąż wejdzie dziś w nocy do jej sypialni, by ukarać ją, jej tam nie będzie.

Przebiegł ją zimny dreszcz, gdy pomyślała, jaki będzie wściekły. Jednak myśl, że miałyby dzisiaj w nocy znosić Bóg wie jaką karę, przyprawiała ją o mdłości.

Zdecydowała, że jutro weźmie sumę, jaką udało się uzyskać Penrose'owi za zegarek, i gdy tylko Jordan wyjdzie z domu, ona wyjedzie ze starymi służącymi z Londynu.

Zrzuciwszy suknię Aleksandra wyciągnęła się na wąskim łóżku i zamknęła oczy. Znużenie i zakłopotanie ogarnęły ją całą, gdy zaczęła zastanawiać się nad dzisiejszym zachowaniem Jordana. Myślała nad tym, jak to się stało, że mimo iż był tak morderczo zły, próbował oszczędzić jej publicznego wstydu. Nigdy go nie zrozumie. Jediną pewną rzeczą w całej tej historii był fakt, że schowała się przed własnym mężem w jego własnym domu. Ukryła się ze strachu przed tym samym mężczyzną, którego niegdyś zniknięcie sprawiło, że pragnęła umrzeć, aby być razem z nim.

Lord Camden przyjechał na bal tuż przed wyjściem Jordana tylko po to, by się przekonać, że Melania już wyszła. Uprzejmie powstrzymał się od zdziwienia, kiedy Jordan powiedział, że odesłał swój powóz godzinę wcześniej, ponieważ nie zamierzał wracać razem

z Aleksandrą. Lord Camden zaoferował, że podwiezie go do domu. Gdy wreszcie jego powóz stanął przy Upper Brook Street 3, Jordan wysiadł. Przez całą drogę myślał o Aleksandrze, czekającej teraz na niego w swoim pokoju. Nie zwrócił uwagi na samotnego jeźdźca, który krył się w cieniu domu po przeciwnej stronie ulicy, w kapeluszu nasuniętym mocno na twarz, choć podświadomość Jordana zarejestrowała fakt jego istnienia. Tak jakby wyczuwał niebezpieczeństwo, odwrócił się, aby pomachać Johnowi Camdenowi na pożegnanie i w tej samej sekundzie jego spojrzenie przeniosło się na szczupłą sylwetkę jeźdźca, który akurat uniósł rękę.

Jordan uchylił się w momencie, gdy pistolet wypalił. Potem przebiegł przez ulicę w daremnej próbie schwywania zabójcy, który już galopował lawirując między powozami powoli jadącymi przez Brook Street.

Edward Fawkes, krępy dżentelmen, specjalizował się w delikatnych sprawach elitarnych klientów, którzy z różnych przyczyn nie chcieli mieszać władz do swoich kłopotów. Gdy spojrzął na zegarek, była prawie pierwsza w nocy. Siedział naprzeciwko księcia Hawthorne'a, który wynajął go wczoraj, by zbadał dwie próby zabójstwa i odkrył, kto za nimi stoi.

- Moja żona i ja wyjeżdżamy rano do Hawthorne - mówił książę. - Zabójcy o wiele łatwiej byłoby zacząć się w uliczkach i alejach Londynu niż na wsi. Gdyby tylko moje życie było zagrożone, nie wyjeżdżałbym z miasta. Ale jeżeli za tymi próbami stoi mój kuzyn, to może obawiać się, że spłodzę potomka, dlatego moja żona również jest w niebezpieczeństwie.

Fawkes pokiwał głową.

- Na wsi moi ludzie będą w stanie zauważyć każdą obcą osobę, która pojawi się w majątku Hawthorne lub w miasteczku. Będziemy go mogli obserwować.

- Waszym głównym zadaniem jest opieka nad moją żoną - powiedział książę zwięźle. - Kiedy będziemy już w Hawthorne, wymyślę jakiś plan, by wykryć, kto stoi za tym spiskiem. Niech pan zaangażuje czterech ludzi, aby jechali jako straż przyboczna karety. Razem z moimi ludźmi będziemy mieli dwanaście osób eskorty.

- Czy to możliwe, że osoba, która do pana dziś strzelała, to pański kuzyn? - zapytał Edward Fawkes. - Mówił pan, że nie było go u White'a ani na balu u Lindworthych.

Jordan zafrasowany potarł kark.

- To nie był on. Jeździec był o wiele drobniejszej postury niż mój kuzyn. Co więcej, wcale nie jestem pewien, czy za tym wszystkim stoi mój kuzyn.

Jordan dopiero dzisiaj dowiedział się, że nie żyje stary Grangerfield. Do tej pory miał nadzieję, że to on był winny. W końcu pierwsza próba zamachu na jego życie, która nastąpiła

wtedy, gdy poznał Aleksandrę, miała miejsce dwa dni po tym, jak zranił Grangerfielda w pojedynku. Jednak po dzisiejszym zdarzeniu musiał odrzucić to przypuszczenie.

- Dwa najczęstsze motywy zbrodni to zemsta i chęć zysku - ostrożnie zasugerował Fawkes. - Pański kuzyn wiele by zyskał na pana śmierci, książę. Nawet więcej niż przedtem.

Jordan nie zapytał, co Fawkes ma na myśli, bo wiedział, że chodzi o Aleksandrę. Aleksandrę? - Jego twarz pobladła, gdy przypomniał sobie dziwnie znajomą, smukłą postać, która do niego strzelała - to mogła być kobieta.

- Przypomniał pan sobie coś ważnego? - zapytał szybko detektyw właściwie interpretując wyraz twarzy Jordana.

- Nie - uciął Jordan i wstał, pospiesznie kończąc spotkanie. Myśl, że Aleksandra próbowała go zabić, była zupełnie niedorzeczna. Absurdalna. Jednak słowa, które usłyszał od niej rano, teraz zaczęły pobrzmiwać mu w głowie: „Nieważne, ile mnie to będzie kosztować, ale uwolnię się od tego małżeństwa”.

- Jeszcze jedna rzecz, wasza wysokość - powiedział Fawkes zbierając się do wyjścia. - Czy istnieje taka możliwość, że osoba, która do pana strzelała dziś wieczorem i bandyta, którego zostawił pan na drodze przy Morsham ostatniej wiosny myśląc, że nie żyje, to ten sam człowiek? Mówił pan, że był skromnej postury.

Jordan poczuł niemal zawrót głowy z ulgi.

- Może tak być. Tak jak mówiłem, nie widziałem dzisiaj jego twarzy.

Kiedy Fawkes wyszedł, Jordan wspiął się po schodach do swojej sypialni. Zmęczony, zły i sfrustrowany, że jest celem jakiegoś nieznanego maniaka, odesłał zaspanego lokaja i zaczął ściągać koszulę. Jednak na myśl o Aleksandrze, śpiącej w sąsiednim pokoju senność go opuściła. Zwłaszcza gdy wyobraził sobie, jak budzi ją pocałunkiem.

Podszedł do drzwi łączących ich apartamenty, minął garderobę i wśliznął się do ciemnej sypialni. Przez okna przeświecał księżyc, a jego światło tworzyło fantastyczne wzory na idealnie gładkiej satynie pościeli. Aleksandra nie wróciła do domu.

Szybko wrócił do swojej sypialni i szarpnął dzwonek wzywając lokaja.

Pół godziny później cała rozespana służba stała przed nim w salonie odpowiadając na jego pytania. Przybyli wszyscy, z małym wyjątkiem Penrose'a, starego służącego Aleksandry. On też w tajemniczy sposób zniknął.

Po intensywnych przesłuchaniach jedynym pewnym faktem było to, że stangret widział, jak Aleksandra wchodzi po frontowych schodach i bezpiecznie dociera do drzwi. Po tem pomachała mu oddalając go, co jak potwierdzał, nigdy dotąd się nie zdarzyło.

- Możecie wracać do łóżek - Jordan odprawił wreszcie trzydziestu jeden służących.

Zatrzymał tylko jednego starszego mężczyznę w okularach, w którym rozpoznał drugiego służącego Aleksandry. Staruszek stał zaniepokojony i rozdrażniony.

Jordan podszedł do stolika, nalał sobie resztkę porto i pobieżnie zerkając na Filberta kazał mu przynieść kolejną butelkę. Sącząc powoli alkohol, zagłębił się w fotelu. Wyprostował nogi próbując opanować ogarniający go dziki strach. Nie mógł uwierzyć, że Aleksandrze stało się coś złego, a nie chciał do siebie dopuścić myśli, że jej nieobecność ma jakiś związek z dzisiejszą próbą zabójstwa.

Gdy zastanawiał się nad jej dziwnie radosnym uśmiechem, z jakim go pożegnała na balu, nabierał przekonania, że po prostu go oszukała. Przechytryła stangreta utwierdzając go w przekonaniu, że wróciła do domu. Zanim wyszła z balu, na pewno porozumiała się ze swoim kochankiem. Ten podążył za nią do domu i potem ją zabrał. Mogła też spróbować ukryć się u jego babki, rozmyślał, w miarę jak porto rozluźniało jego napięte nerwy.

- Przynieś butelkę tutaj - zażądał zerkając na pomarszczoną twarz starego służącego, na której malował się źle skrywany gniew. - Powiedz mi coś - po raz pierwszy w życiu zwrócił się do służącego w sprawie osobistej - czy ona zawsze taka była, twoja pani?

Stary lokaj zeszywniał nalewając księciu porto.

- Panienska Sandy... - zaczął, ale Jordan przerwał mu ostro.

- Mów o mojej żonie z właściwym szacunkiem. Jest księżną Hawthorne!

- I wiele dobrego jej to nie dało! - odparował rozjątrzony Filbert.

- Co dokładnie masz na myśli? - Jordan był kompletnie zaskoczony zuchwałością służącego.

- Mam na myśli to, co mówię! - uciął Filbert, odstawiając z trzaskiem butelkę. - To, że została księżną Hawthorne, nie dało jej nic, tylko złamane serce. Jest pan tak samo zły jak jej ojciec! Nie, jest pan jeszcze gorszy! On złamał jej tylko serce, a pan teraz próbuje złamać jej ducha.

Był już w połowie drogi do drzwi, gdy głos Jordana zabrzmiał za nim jak grzmot.

- Wracaj tu!

Filbert posłuchał, ale jego pokryte starczymi plamami dłonie zacisnęły się w pięści. Niechętnie patrzył na mężczyznę, który unieszczęśliwiał Aleksandrę od dnia, gdy się poznali.

- O czym ty, u diabła, mówisz? Filbert ze złością wysunął szczękę.

- Jeżeli myśli pan, że mu coś powiem, żeby to potem wykorzystał przeciw paniencie Sandy, to się pan grubo myli, wasza wielka łaskawość.

Jordan już otworzył usta, by kazać temu bezczelnemu starcowi zbierać manatki i wynosić się. Jednak bardziej niż satysfakcji pragnął wyjaśnienia, co też Filbert miał na myśli. Z trudem zachowując zimną krew Jordan powiedział spokojnie:

- Jeżeli masz do powiedzenia coś, co może złagodzić moje nastawienie do niej, lepiej powiedz to teraz.

Służący nadal stał bez słowa.

- Jestem teraz w takim nastroju - ostrzegł Jordan - że kiedy dostanę ją w swoje ręce, będzie żałowała, iż weszła mi w drogę.

Stary mężczyzna pobałdł i przełknął ślinę, ale nadal się nie odezwał. Wyczuwając, że Filbert mięknie, a same groźby nie zmuszą go do mówienia, Jordan nalał porto do szklanki i popchnął ją w kierunku starego służącego.

- Teraz, skoro najwyraźniej nieświadomie zraniłem twoją panią, może napijesz się i powiesz mi, dlaczego jestem taki jak jej ojciec. Co on zrobił?

Filbert popatrzył podejrzliwie najpierw na księcia, a potem na kieliszek. Po chwili powoli wyciągnął dłoń.

- Czy mogę usiąść, gdy będę pił?

- Oczywiście - odpowiedział Jordan zachowując kamienną twarz.

- Jej ojciec był najgorszym skunksem, jaki chodził po tym świecie - zaczął Filbert nieświadom, że brwi księcia ściągnęły się w gniewie na tę dodatkową zniewagę całej jego sfery. Filbert przerwał na chwilę, pociągnął spory łyk, po czym rozkaszał się spoglądając na zawartość kieliszka z wyraźnym obrzydzeniem.

- Dobry Boże - wycharczał - co to jest?!

- Porto. Specjalny rodzaj robiony wyłącznie dla mnie.

- Pewnie dlatego, że nikt inny tego nie chce - wywnioskował Filbert obojętnie. - Podły trunek.

- Twoją opinię podziela większość ludzi. Istotnie wydaje się, że jestem jedynym, któremu to smakuje. A teraz, cóż takiego zrobił jej ojciec?

- Czy ma pan może trochę piwa?

- Obawiam się, że nie.

- Whisky? - zapytał Filbert z nadzieją.

- Oczywiście, tam w kredensie. Nalej sobie.

Na wyciągnięcie całej historii z opornego służącego Jordan potrzebował dwóch godzin i sześciu szklanek whisky. Gdy Filbert kończył swoją opowieść, Jordan, który poczuł w pewnej chwili przemożną chęć, by przerzucić się na whisky i dorównać mu kroku, siedział

teraz oszołomiony w swoim fotelu, w koszuli do połowy rozpiętej i starał się zachować jasność myślenia.

- Pewnego dnia, sześć czy siedem tygodni po śmierci jej ojca - kończył Filbert - przed dom zajechał wytworny powóz. Wsiadła z niego piękna dama i jej jasnowłosa córka. Byłem przy tym, jak panienska Sandy otworzyła im drzwi i ta dama - która nie była prawdziwą damą - ogłosiła dumnie, że to ona jest żoną Lawrence'a, a ta panienska to ich córka.

Jordan odrzucił głowę.

- Był bigamistą?

- Właśnie. Powinien był pan widzieć awanturę między dwoma paniami Lawrence. Ale panienska Sandy pozostała spokojna. Patrzy tylko na tę blondyneczkę i mówi tym swoim słodkim głosem: „Jesteś bardzo ładna”. Blondynka nic nie odpowiedziała, tylko zadarła jeszcze wyżej nos. A potem ten bachor zauważył medalik w kształcie serca, jaki nosiła panienska Sandy na szyi. Ojciec dał jej go na urodziny i był on droższy dla niej od wszystkich skarbów świata - cały czas bała się, że go zgubi. Blondynka zapytała panienskę Sandy, czy ten medalik dał jej ojciec. Kiedy panienska potwierdziła, wyciągnęła taki sam, tyle że ze złota. „Mnie dał cenniejszy, bo ze złota”, powiedziała takim tonem, że miałem ochotę smagnąć ją po twarzy, „a twój to stara cyna”.

Filbert przerwał, żeby ponownie pociągnąć whisky i otarł usta.

- Panienska Sandy nie powiedziała ani słowa, tylko uniosła bródkę, tak jak to robi zawsze, gdy chce być dzielna. W jej oczach było jednak tyle bólu, że dorosły mężczyzna by się popłakał. Ja płakałem - przyznał Filbert otwarcie - poszedłem do swojego pokoju i płakałem jak dziecko.

Jordan poczuł w gardle dziwny ucisk. - I co dalej?

- Następnego poranka panienska Sandy zeszła na dół na śniadanie i uśmiechnęła się do mnie jak zawsze. Ale po raz pierwszy od czasu, jak jej go dał, nie miała na szyi medalika. Nigdy go już nie założyła.

- I uważasz, że ja jestem jak jej ojciec? - wycedził Jordan z wściekłością.

- A nie jest pan? - powiedział Filbert pogardliwie. - Za każdym razem, gdy się pan pojawi, łamie pan jej serce, a Penrose i ja musimy zbierać potem jego kawałki.

- O czym ty mówisz? - zapytał Jordan drżącą ręką dolewając sobie whisky. Filbert podsunął swoją pustą szklankę i Jordan posłusznie nalał i jemu.

- Mówię o tym, jak płakała, gdy powiedzieli jej o pana śmierci. Raz widziałem ją, jak stała przed pana portretem w tym wielkim domu na wsi. Spędzała tam całe godziny wpatrując się w pana. Była wtedy taka chudziutka, że można było przez nią patrzeć i wszystko

zobaczyć. Pokazała na pana i powiedziała roztrzęsionym głosem powstrzymując się od płaczu: „Patrz, Filbercie. Czy nie był piękny?” - Filbert przerwał, by parskać z niesmakiem, wyrażając w ten sposób swoją własną opinię na temat urody Jordana.

Po zaskakujących nowinach, że Aleksandrze najwyraźniej zależało na nim, skoro opłakiwała jego śmierć, Jordan puścił mimo uszu niezbyt pochlebną opinię służącego na swój temat.

- Mów dalej.

Oczy Filberta zwięzły się gniewnie, gdy kontynuował historię.

- Sprawiał pan, że się w pana zakochała, a potem przyjechała do Londynu i dowiedziała się, że nigdy nie zamierzał pan żyć z nią jak z żoną. Że ożenił się pan z nią tylko z litości. Że zamierzał odesłać ją pan do Devon, dokładnie tak jak to zrobił jej ojciec z matką.

- Wie o Devon? - zapytał oszołomiony Jordan.

- Wie o wszystkim. Lord Anthony musiał jej w końcu powiedzieć, bo jego wszyscy ładniutki przyjaciele z Londynu śmieli się z niej za to, że pana kochała. Wszyscy wiedzieli, co pan do niej czuł, bo mówił pan to swojej przyjaciółce, a ona wszystkim innym. Nazwał pan to małżeństwo „niedogodnością”. Sprowadził pan na panienkę Sandy wstyd i od nowa zaczęła płakać. Ale już jej pan nie zrani. Już ona teraz wie, jaki z pana kłamliwy łotr!

Wygłosiwszy to, co miał do powiedzenia, Filbert wstał, odstawił szklankę i wyprostował się z dumą.

- Powiedziałem to jej i powtórzę też panu. Powinna była pozwolić panu umrzeć tej nocy, kiedy pana znalazła w lesie.

Jordan patrzył, jak starszy mężczyzna dziarsko wychodzi. Zupełnie nie było po nim widać, że wypił tak niesamowitą ilość alkoholu.

Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w swoją pustą szklankę i powoli powód całkowitej zmiany uczuć Aleksandry wobec niego stawał się jasny. Krótka, ale obrazowa wzmianka o tym, z jakim bólem Aleksandra patrzyła na jego portret, sprawiła, że jego serce ścisnęło się. Wyobrażał sobie jej przyjazd do Londynu i całą miłość, z jaką go wspominała. A potem jeszcze ta jego bezmyślna, żartobliwa uwaga najwyraźniej rozpowszechniona przez Elizę.

Oparł głowę o fotel i zamknął oczy. Był pełen żalu, ale jednocześnie poczuł ulgę. Aleksandrze zależało na nim. Wyobrażenie, które pieścił o czarującej, niewinnej dziewczynie, nie było fałszywe. Nagle poczuł z tego powodu niewyobrażalną radość. Świadomość, że zranił ją tyle razy, na tak wiele sposobów, była paląca, ale nie poddawał się myśli, że zadane

rany są nie do naprawienia. Nie mógł jednak liczyć na to, że uwierzy wyjaśnieniu, jakie mógłby wymyślić. Czyny, a nie słowa mogły sprawić, że złoży swój oręż i znów go pokocha.

Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech, gdy zaczął obmyślać strategię działania.

Nie uśmiechał się jednak o dziewiątej rano, gdy służący powrócił z wiadomością, że Aleksandra na pewno nie spędziła tej nocy u jego babki. Nie uśmiechał się również pół godziny później, gdy przyszła do niego sama księżna i powiedziała mu, że wyłącznie on jest odpowiedzialny za ucieczkę Sandy. Potem wygłosiła wykład na temat jego zarozumiałstwa, a także braku wrażliwości i rozsądku.

Ubrana w suknię, którą miała na sobie poprzedniego wieczora, Aleksandra przyglądała zwichrzone włosy i wyrzała na korytarz. Potem cicho ruszyła wzdłuż hallu i na dół po schodach do swojego pokoju.

Jeżeli Jordan postępował tak jak przez ostatnie dwa dni, to był zamknięty w gabinecie z mężczyznami, którzy przychodzili do niego co rano w interesach. Rozważając, w jaki sposób mogliby wraz z Filbertem i Penrosem wydostać się nie zauważeni z domu, Sandy otworzyła garderobę. Była całkowicie pusta, poza jednym kostiumem podróżnym. Aleksandra rozejrzała się po pokoju i zauważyła, że z toaletki zniknęły wszystkie jej perfumy. Miała dziwne wrażenie, że pomyliła pokoje. W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła pokojówka, która na jej widok wrzasnęła nieludzkim głosem.

Zanim Aleksandra mogła ją zatrzymać, obróciła się na pięcie i pobiegła wzdłuż galerii.

- Jej wysokość wróciła! - krzyknęła z galerii do Higginsa. Aleksandrę przeszył dreszcz strachu. Właśnie przepadła jej ostatnia szansa na ucieczkę przez spotkanie z Jordanem. Nie liczyła na to, że uda się jej uniknąć konfrontacji z mężem, ale w głębi duszy miała iskierkę nadziei.

- Marie! - zawołała do pokojówki, która zbiegała już po schodach, aby ogłosić dobrą nowinę. - Gdzie jest książę? Sama do niego pójde.

- W gabinecie, jaśnie pani.

Mierzwiąc włosy Jordan chodził w kółko po olbrzymim, zavalonym książkami gabinecie jak tygrys w klatce i czekał na powrót Aleksandry. Uparcie odrzucał myśl, że stało się jej coś złego, choć nie mógł opanować strachu.

Przewidując, że Hawk wyładuje na niej cały swój gniew, gdy tylko ją zobaczy, Aleksandra weszła po cichu do gabinetu i starannie zamknęła za sobą drzwi, zanim przemówiła:

- Wydaje mi się, że chciałeś mnie widzieć.

Jordan drgnął, a jego uczucia zmieniały się od radości, przez ulgę, do furii, gdy patrzył na jej twarz świeżą jeszcze od snu, którego on tej nocy nie zaznał.

- Gdzie, u diabła, byłaś? - zapytał podchodząc do niej. - Przypomnij mi, żebyś nigdy więcej nie wierzył ci na słowo - dodał z sarkazmem.

Aleksandra powstrzymała tchórzliwy odruch, by się cofnąć.

- Dotrzymałam słowa, mój panie. Przyszłam prosto do domu i położyłam się spać.

Na jego napiętej twarzy drgnęły mięśnie.

- Nie kłam.

- Spałam w pokoju guwernantki - wyjaśniła spokojnie.

- Nie kazałeś mi przecież iść do mojego pokoju.

Jordan poczuł nagłą żądzę krwawego odwetu za tę wyraźną kpinę. Jednocześnie musiał z całej siły powstrzymać się od tego, by chwycić ją w ramiona i wybuchnąć śmiechem z powodu jej nieprawdopodobnego planu obrony. Cały czas była na gorze, śpiąc jak niemowlę, podczas gdy on denerwował się i pił na umór, przeżywając męki niepewności.

- Powiedz mi coś - powiedział z irytacją - zawsze taka byłaś?

- To znaczy? - zapytała podejrzliwie Aleksandra niepewna co do jego humoru.

- Zawsze burzyłaś spokój każdego, komu stanęłaś na drodze?

- Co masz na myśli?

- Powiem ci - powiedział przysuwając się jeszcze bardziej i zmuszając ją do cofania się krok po kroku. - W ciągu ostatnich dwunastu godzin grubiańsko opuściłem, moich przyjaciół u White'a, byłem zamieszany w publiczną kłótnię na parkiecie i zostałem zbesztany przez służącego, który potrafił wypić tyle, że ja bym już dawno leżał pod stołem. Musiałem wysłuchać wykładu mojej babki, która po raz pierwszy w życiu zapomniała się i uniosła głos tak, że można go było nazwać wrzaskiem. Czy wiesz - kończył ponuro, podczas gdy Aleksandra walczyła z uśmiechem - że wiodłem spokojne, ustabilizowane życie, zanim moje oczy na tobie spoczęły? Ale od tamtej chwili za każdym razem gdy się odwrócę, coś innego...

Przerwał, gdy do pokoju wpadł nie pukając Higgins z połami fraka powiewającymi za nim.

- Wasza wysokość - wydyszał - w hallu czeka konstabl który nalega na osobiste spotkanie z panem lub pana żoną.

Jordan rzucił Aleksandrze stanowcze spojrzenie, by została w gabinecie. Dwie minuty później wrócił, a na jego opalonej twarzy malowało się rozdrażnienie i zdziwienie.

- Czy coś się stało? - . odważyła się zapytać widząc, że nie bardzo wie, co powiedzieć.

- Niewiele - odpowiedział sucho. - Powiedziałbym, że po prostu jeszcze jedno drobne wydarzenie, które zdaje się być typowe dla dnia spędzonego z tobą.

- Jakie wydarzenie? - nalegała Aleksandra, świadoma że czynił ją odpowiedzialną za to, co się właśnie stało.

- Twój wierny stary lokaj został przyprowadzony do moich drzwi przez konstabla.

- Penrose?

- We własnej osobie.

- Ale co on zrobił?

- Co zrobił, moja droga? Poszedł wczoraj na Bond Street i został złapany na gorącym uczynku, jak próbował sprzedać mój zegarek. - Mówiąc to Jordan uniósł rękę, w dłoni trzymał złoty zegarek i łańcuszek jej dziadka.

- Próba bigamii, kradzież i hazard - podsumował Jordan.

z ironicznym uśmiechem. - Czy masz jakieś jeszcze plany na najbliższą przyszłość? Może wyłudzenie?

- To nie jest twój zegarek - Aleksandra patrzyła na zegarek, jej jedyną nadzieję na wolność. - Proszę, oddaj go mi. Należy do mnie.

Jordan zdziwiony zmarszczył brwi, ale wolno wyciągnął rękę z zegarkiem.

- Wydawało mi się, że dałaś mi go w prezencie.

- Dawałam go zupełnie komu innemu. Komuś, kto nie istnieje, bo sama go sobie wymyśliłam - nalegała Aleksandra z pełnym złości uporem wyciągając dłoń po pamiątkę. - Mój dziadek był człowiekiem szlachetnym, ciepłym, troskliwym i łagodnym. Jego zegarek powinien należeć do mężczyzny takiego jak on, a nie do ciebie.

- Rozumiem - odpowiedział cicho Jordan, a z jego twarzy zniknęły nagle jakiegokolwiek uczucia, kiedy wręczał jej zegarek.

- Dziękuję - powiedziała Aleksandra czując, że zraniła go odbierając ten prezent. Zdecydowała, że skoro nie miał serca, widocznie musiała zranić jego dumę.

- Gdzie jest Penrose? Muszę iść do straży i wszystko wyjaśnić.

- Jeżeli postąpił zgodnie z moimi instrukcjami, jest teraz w swoim pokoju - sucho powstrzymał ją Jordan. - Rozmyśla nad ósmym przykazaniem.

Aleksandra była przekonana, że jej zimnokrwisty, autokratyczny mąż pozwolił, by straże zabrały Penrose'a do więzienia. Spojrzała na niego zmieszana.

- To wszystko, co zrobiłeś? Odesłałeś go do jego pokoju?

- Nie powinienem chyba odesłać mojego prawie teścia do lochu, prawda? - odpowiedział Jordan.

Aleksandra patrzyła na niego oszołomiona jego niezwykłym nastrojem.

- Szczerze mówiąc, myślałam, że tak zrobięś.

- Tylko dlatego, że mnie nie znasz, Aleksandro - powiedział tonem, który brzmiał bardzo pojednawczo. - Jednak zamierzam to naprawić, zaczynając - przerwał patrząc na schodzących po schodach tragarzy obciążonych walizkami - za godzinę, gdy wyruszymy do Hawthorne.

Obejrzawszy się, Aleksandra zobaczyła swoje bagaże i gdy odwróciła się do niego, w jej oczach jarzył się bunt.

- Nigdzie nie jadę.

- Sądzę, że zgodzisz się na wyjazd, gdy wyjawię ci pewne okoliczności mojej decyzji. Najpierw chciałbym wiedzieć, dlaczego Penrose chciał sprzedać mój... zegarek twojego dziadka.

Aleksandra zawahała się, po czym uznała, że najlepszym wyjściem będzie milczenie.

- Najbardziej oczywista odpowiedź to ta, że potrzebowałaś pieniędzy - kontynuował pewnym tonem. - Mogę sobie wyobrazić tylko dwie możliwości. Otóż mogłaś porobić więcej skandalicznych zakładów przeciw mnie, czego ci zabroniłem. Szczerze mówiąc wątpię, czy to zrobiłaś. - Wyciągnął rękę powstrzymując gniewny sprzeciw Aleksandry wobec sugestii, że tak ochoczo zastosowała się do jego poleceń. - Odrzucam tę ewentualność nie z powodu mojego zakazu. Po prostu sądzą, że od wczoraj nie miałaś dość czasu, aby mi się ponownie sprzeciwić.

Jego uśmiech był tak niespodziewany i zaraźliwy, że Aleksandra musiała się siłą powstrzymać, aby nie odpowiedzieć tym samym.

- Dlatego - kończył - przypuszczam, że tak nagle potrzebowałaś pieniędzy z powodu, który przedstawiłaś mi dwa dni temu. Pragniesz mnie opuścić i żyć samodzielnie, prawda?

Mówił tonem tak wyrozumiałym, że Aleksandra porzuciła swój poprzedni zamiar i skinęła twierdząco głową.

- Tak jak myślałem. W takim razie pozwól, że zaoferuję ci spełnienie twojego pragnienia. Jednocześnie powinno to zadowolić twoją skłonność do hazardu. Czy mogę? - zapytał z galanterią idąc w stronę krzesła stojącego przed jego biurkiem.

- Proszę - zgodziła się Aleksandra siadając, podczas gdy on zasiadł za biurkiem.

Kiedy już wygodnie usiadła, Jordan zaczął przedstawiać swój pomysł.

- Dam ci wystarczającą sumę pieniędzy, abyś żyła w luksusie do końca swoich dni, jeżeli po trzech miesiącach nadal będziesz chciała mnie opuścić.

- Ja... nie całkiem rozumiem - powiedziała Aleksandra patrząc na niego pytająco.

- To całkiem proste. Przez trzy pełne miesiące będziesz najposłuszniejszą, kochającą żoną. Przez ten czas ja postaram się uczynić, powiedzmy, „akceptowalnym” przez ciebie tak, że nie będziesz chciała mnie już opuścić. Jeżeli mi się to nie uda, po trzech miesiącach będziesz mogła wyjechać. To takie proste.

- Nie! - wybuchnęła Aleksandra. Myśl, że Jordan będzie z rozmysłem czarował ją i uwodził wydała jej się potworna, a intymny wydźwięk słowa „kochająca” sprawił, że policzki zaczęły jej płonąć.

- Boisz się, że ulegniesz mojemu urokowi?

- Oczywiście, że nie - skłamała sztucznie.

- To dlaczego nie chcesz się zgodzić? Stawiam fortunę, że mogę sprawić, iż nie będziesz chciała mnie opuścić. Najwyraźniej boisz się przegranej, inaczej nie wahałabyś się przyjąć tego zakładu.

Tak zręcznie ukrył wyzwanie, że Aleksandra nie dostrzegła go, dopóki nie osiągnął celu.

- Ja... są jeszcze inne rzeczy do rozważenia - powiedziała z ociąganiem, zbyt zaskoczona, by wymyślić jakiś wykręt na poczekaniu.

- Ach, tak. Jest możliwość, że podczas wykonywania moich męzkowskich obowiązków mogę obdarzyć cię potomkiem, czy o to chodzi?

Aleksandra zaniemówiła na tak przerażającą, wcześniej nie do pomyślenia możliwość. Patrzyła na niego z płonącymi policzkami, jak bawił się przyciskiem do papierów.

- Zamierzam zrobić, co w mojej mocy, aby tak się stało - przyznał śmiało. - Co więcej - mówił dalej bawiąc się przyciskiem, tak jak bawił się jej przyszłością - twoja uległość w łóżku należy do warunków zakładu. Innymi słowy - zakończył uśmiechając się szeroko - jeżeli usłyszę choć jedno słowo protestu lub gdy nie będziesz ze mną współdziałać - przegrasz.

- Jesteś szalony - wybuchnęła Aleksandra zrywając się z fotela, ale jej oszalały umysł nie potrafił znaleźć lepszego sposobu na zakończenie tego nie chcianego małżeństwa.

- Muszę być - zgodził się bez urazy. - Trzy miesiące to niewiele. Teraz gdy o tym myślę, bardziej uczciwie byłoby zażądać pół roku.

- Trzy miesiące to aż nadto! - wykrzyknęła Aleksandra.

- Zgoda - powiedział gładko. - A więc trzy miesiące. Trzy miesiące małżeńskich rozkoszy, a w zamian, powiedzmy, pół miliona funtów?

Aleksandra zacisnęła trzęsące się dłonie i skryła je za plecami. Jej myśli wirowały jak szalone z radości i oburzenia. Pół miliona funtów... pół miliona funtów... Fortuna!

Jako zapłata za jej łóżkowe usługi.

Oferując jej pieniądze, redukował ją do poziomu swoich kochanek. Opłacał je, gdy już z nimi skończył.

- Nie myśl o tym w ten sposób - powiedział cicho widząc zmianę wyrazu jej wrażliwej twarzy i domyślając się jej przyczyny. - Jeżeli przegram ten zakład, potraktuj te pieniądze jako nagrodę za uratowanie mi życia.

Jej duma została nieco ułagodzona tymi słowami, ale Sandy wahała się jeszcze chwilę, po czym kiwnęła głową i powiedziała niewyraźnie:

- Pod wieloma względami jest to wysoce nietypowa propozycja...

- Nasze małżeństwo jest pod każdym względem wysoce nietypowe - przerwał Jordan sucho. - A teraz, czy musimy zawrzeć nasz zakład na piśmie, czy zaufamy sobie?

- Zaufamy!?! - powtórzyła Aleksandra pogardliwie. - Sam mi kiedyś powiedziałeś, że nie ufasz nikomu.

Powiedział jej to, gdy byli razem w łóżku, a ona poprosiła go, by jej zaufała. Powiedziała mu, że miłość bez zaufania nie przetrwa. Patrząc na niego wiedziała, że i on przypomina sobie tę rozmowę.

Wahał się, jak przed podjęciem ważnej decyzji. A potem powiedział łagodnie i uroczyście: - Ufam ci.

Te dwa cicho wypowiedziane słowa niosły tyle ukrytych znaczeń, że Aleksandra uczciwie musiała przyznać, że naprawdę tak myślał. Starła się ignorować ciepło w jego spokojnym spojrzeniu, ale nie mogła czuć do niego niechęci, gdy zachowywał się w ten niezwykle, prawie czuły sposób. Stwierdziła, że rozmawiając ze swoim tajemniczym mężem musi zachować spokój i rezerwę.

- Rozważę twoją propozycję.

- Zrób to - przynaglił ją z błyskiem rozbawienia na widok kolejnych służących z ich bagażami. - Czy wystarczą ci dwie minuty? - zapytał wskazując w stronę zatłoczonego korytarza.

- Co?!

- W ciągu godziny wyruszamy do Hawthorne. - Ale...

- Aleksandro - powiedział cicho - nie masz wyboru. Wyciągnął ręce i oparł na jej ramionach walcząc z nagłą pokusą przyciągnięcia jej do siebie i przypieczętowania wygranej.

Aleksandra wewnętrznie zeszywniała, ale wiedziała, że ma rację. Na pociechę przypomniała sobie słowa Roddy'ego: „Nie jesteśmy zbyt sprawni w płodzeniu potomków...”

- Dobrze - zgodziła się z ociąganiem.

I zaraz przypomniała sobie dalszy ciąg wypowiedzi Roddy'ego: „choć nie dlatego, że nie próbujemy...”

- Czerwienisz się - powiedział z rozbawieniem w oczach.

- Każda kobieta by się zaczerwieniła mając w perspektywie trzy miesiące...

- Nagiego splendoru w moich ramionach - usłużnie podpowiedział Jordan.

Posłała mu spojrzenie, które mogłoby zmiażdżyć skałę. Roześmiał się.

- Zastanów się, jakie ryzyko ja podejmuję. Przypuśćmy, że stracę głowę i stanę się niewolnikiem twojego cia... twojej urody - poprawił gładko nie tracąc dobrego humoru. - A wtedy ty odejdziesz, zabierając moje pieniądze i całą nadzieję na legalnego dziedzica.

- Nawet przez moment nie wierzy pan, że tak się stanie, czyż nie? - przerwała Aleksandra zgryźliwie.

- Nie.

Jego arogancka pewność siebie i pyszny uśmiech sprawiły, że odwróciła się na pięcie. Jordan złapał ją za rękę i obrócił do siebie. Kiedy się odezwał, jego głos był spokojny, ale władczy.

- Dopóki nie osiągniemy ugody... Zakład stoi, czy mam cię zabrać do Hawthorne pod strażą i bez żadnych warunków?

Wypowiedziane w ten sposób słowa nie zostawiały Aleksandrze wyboru. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy z nie ukrywaną niechęcią.

- Zakład stoi.

- I zgadzasz się na wszystkie warunki?

- Z niechęcią, wasza wysokość - odpowiedziała twardo. Wyrwała ramię z jego uścisku i ruszyła do drzwi.

- Jordan - powiedział do jej pleców. Aleksandra odwróciła się.

- Przepraszam?

- Mam na imię Jordan. Proszę, byś w przyszłości mówiła do mnie po imieniu.

- Wolałabym nie.

Uniół dłoń w udawanym przesadnym ostrzeżeniu.

- Kochanie, pamiętaj, że możesz przegrać zakład w czasie krótszym niż pięć minut. Zgodziłaś się być żoną kochającą i posłuszną. I nakazuję ci mówić do mnie po imieniu.

Jej oczy ciskały błyskawice, ale posłusznie skinęła głową.

- Jak sobie życzysz.

Kiedy wyszła z pokoju, Jordan z nieobecnym uśmiechem zaczął bawić się przyciskiem do papierów. Wyobrażał sobie rozkoszny pobyt na wsi ze swoją ładną - choć jeszcze niechętną - żoną.

ROZDZIAŁ 24

Ośmiu umundurowanych jeźdźców na wspaniałych rumakach z proporcami przedstawiającymi herb Hawthorne'ów jechało na czele kawalkady, w skład której wchodziła przepyszna karoca Jordana i trzy inne załadowane bagażami i służącymi. Na samym końcu jechało jeszcze ośmiu uzbrojonych jeźdźców. Przez cały dzień, kiedy jechali przez wsie i pola, na drogę wychodzili wieśniacy podziwiający powiewające proporce, błyszczące srebrne uzdy, jeźdźców w kasztanowo - złotych liberiach i lśniąca czarną karocę ze złotym herbem Hawthorne'ów na drzwiach.

Minęli bramę do posiadłości Tony'ego i Aleksandra poczuła tęsknotę za jego matką i młodszym bratem. Byli taką miłą rodziną, a ich dom był przytulny i gościnny, w przeciwieństwie do chłodnego majestatu Hawthorne.

Słaby, kapryśny uśmiech igrał w kącikach jej ust, gdy zbliżali się do Winslow, wioski położonej przy Hawthorne. Wszędzie, gdzie się pojawili, ich orszak wywoływał sensację. Nic jednak nie mogło równać się z tym, co zobaczyli w Winslow. Wszyscy mieszkańcy miasta wylegli na ulice i machali chustami witając swojego księcia w domu. Najwyraźniej posłano wiadomość, by przygotować służbę w Hawthorne na przyjęcie ich pana, i wieść o powrocie księcia dotarła do wioski.

Jakże inne było to barwne, radosne powitanie od sztucznej radości, z jaką rok temu witano Anthony'ego, gdy ci sami wieśniacy stali wzdłuż drogi w obowiązkowym hołdzie dla nowego księcia.

- Czy coś cię ucieszyło? - zapytał Jordan widząc jej uśmiech.

Aleksandra odwróciła się od okna i nieświadomie skierowała całą siłę swojego uśmiechu na niego.

- Uwielbiam parady - przyznała, śmiejąc się trochę przepraszająco. - Chyba wciąż drzemie we mnie dziecko.

Jordan, który dopiero co rozmyślał o podniecającej perspektywie obdarzenia jej swoim własnym dzieckiem i to być może nawet najbliższej nocy, z trudem pokonał napływ żądz, jaki wywołały w nim te słowa.

Po tym jak niechętnie zgodziła się na ich zakład, spodziewał się, że przez całą drogę będzie milczała obrażona. Jednak ku jego rosnącemu zdziwieniu, od chwili gdy opuścili Londyn, traktowała go z uprzejmą serdecznością, a nawet jakby z nieśmiałością.

Bezskutecznie próbował wymyślić jakiś powód jej nagłej zmiany humoru i w końcu otwarcie o to zapytał.

Zaskoczona Aleksandra oderwała wzrok od okna. Niepewnie popatrzyła na swoje dłonie, zanim podniosła na niego szmaragdowe oczy.

- Po głębszym zastanowieniu się nad tą sprawą - zaczęła - doszłam do wniosku, że zakład, jaki mi zaproponowałeś, jest bardziej niż uczciwy. Nie jest ani moją, ani twoją winą, że musieliśmy się pobrać, ani to, że do siebie nie pasujemy. Zaoferowałeś mi wyjście z sytuacji bez wyjścia, a to więcej niż prawdopodobnie zrobiłby jakikolwiek inny mężczyzna na twoim miejscu. Dlatego złe zachowanie wobec ciebie przez te najbliższe trzy miesiące byłoby z mojej strony grubiaństwem.

Zanim Jordan zdołał otrząsnąć się z szoku, jakim było odkrycie, że ona szczerze i głęboko wierzy w swoją wygraną, Aleksandra wyciągnęła z gracją dłoń.

- Przyjaźń? - zaproponowała.

Jordan uścisnął delikatnie wyciągniętą rękę.

- Przyjaźń - zgodził się i nawet mrugnięciem oka nie zdradził ani swojej urażonej dumy, ani swojego podziwu dla jej woli uczciwej walki.

- Jesteśmy w domu - powiedziała Aleksandra z uśmiechem, gdy zajechali przed masywne, inkrustowane żelazne wrota ozdobione herbem Hawthorne'ów.

- Tak, jesteśmy - potaknął, podczas gdy odzwierny pośpieszył, by otworzyć bramę.

Kawalkada ruszyła dalej gładką drogą i Jordan przyglądał się wspaniałości swojego domu. Nie czuł ani dumy z jego przepychu, ani ciepła z powrotu do domu. Hawthorne przypominało mu pustkę małżeństwa jego rodziców i jego własnego dzieciństwa.

- Mimo wszystkich wspaniałości, jakie widziałam przez cały zeszły rok, nadal uważam, że Hawthorne jest najprzepyszniejszą posiadłością w Anglii - Aleksandra westchnęła z radością, wodząc wzrokiem po tej ogromnej, eleganckiej budowli i spoglądając na porporzec łopocący na maszcie, który oznaczał, że księżę jest w domu.

- Moi przodkowie ucieszyliby się słysząc te słowa - sucho zauważył Jordan patrząc na swoją siedzibę w gasnącym świetle zmierzchu. - Wybudowano ją z zamiarem dorównania rezydencji królewskiej. Zaprojektowano tak, aby budziła szacunek i lęk.

- Nie lubisz jej? - zapytała Aleksandra.

- Nieszczególnie. Uważam, że jest przytłaczająca. Jestem właścicielem innych domów, które według mnie są nieskończenie bardziej zadowalające, choć nie tak dogodnie położone.

Patrzyła na niego zdziwiona.

- Są piękniejsze od Hawthorne?

- Bardziej przytulne.

- To prawda, Hawthorne mnie onieśmiela - przyznała Aleksandra. - Ten dom jest taki... cichy.

Cała służba składająca się z dwustu pokojówek, kucharzy i kuchcików, lokajów i służących niższej kategorii stała odświętnie wystrojona na schodach frontowych uśmiechając się do swojego pana, który zajechał kareta przed dom.

Jeden ze służących pośpieszył, by pomóc im wysiąść. Jordan jednak chwycił Aleksandrę w pól i postawił na ziemi.

- Witaj w domu - uśmiechnął się pieszczotliwie. - Nasze pokoje są już przygotowane i czeka na nas wspaniała kolacja.

- Jestem zbyt wyczerpana, by jeść - pośpiesznie odparła Aleksandra w nadziei, że uda jej się odwlec pewne sprawy do następnej nocy. - Chcę tylko wziąć gorącą kąpiel i natychmiast położyć się spać.

Wymówka była tyleż oczywista, co bezowocna.

- W takim razie oboje darujemy sobie kolację i pójdziemy prosto do łóżka - stwierdził Jordan spokojnie, ale stanowczo.

- Sądziłam, że pozwolisz mi przynajmniej na jedną noc odpoczynku po podróży.

- Żadnego wymigiwania się od spełnienia warunków zakładu, kochanie.

- Nie nazywaj mnie tak, panie - ostrzegła.

- Jordanie - poprawił.

- Idą - szepnął Gibbons do Smartha, z podnieceniem wyglądając przez ramię lokaja, który zasłaniał mu widok.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć minę panienki Aleksandry, teraz gdy pan wrócił - powiedział na głos to, nad czym zastanawiała się cała służba w Hawthorne. Wszyscy pamiętali jej wrzuszające przywiązanie do Jordana, gdy myślała, że nie żyje.

- Będzie szczęśliwa jak skowronek - zgodziła się pani Brimley, gosposia, wyciągając szyję.

- Będzie promieniała ze szczęścia, będzie rozjaśniona jak... - Gibbons przerwał nagle na widok Aleksandry, która przeszła chmurnie obok nich z wyrazem twarzy, który można by opisać jako głęboką irytację.

- Niech mnie - wysapał zakłopotany patrząc najpierw na Smartha, a potem na panią Brimley.

* * *

Aleksandra jadła w głuchym milczeniu siedząc naprzeciwko męża przy długim, oświetlonym świecami stole.

- Nie smakuje ci wino? - zapytał Jordan. Aleksandra wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu i brzęknęła łyżką o delikatną porcelanową miseczkę.

- Nie lubię porto, mój panie.

- Jordanie - przypomniał.

Aleksandra nie była w stanie wykrztusić jego imienia. Patrzyła na owoce w pucharku przed nią, a jej żołądek kurczył się, gdy myślała o tym, co czeka ją za niecałą godzinę.

- Prawie nic nie zjadłaś - stwierdził Jordan ciepłym głosem.

Nie mogąc znieść tego, co uznała za celowe próby oczarowania i rozbrojenia jej, potrząsnęła głową.

- Nie jestem bardzo głodna.

- W takim razie - zaczął odkładając serwetkę - może pójdziemy odpocząć, moja droga?

Służący podszedł do krzesła chcąc je odsunąć, ale Aleksandra chwyciła widelec.

- Sądzę, że mogę zjeść jeszcze trochę bażanta - powiedziała pośpiesznie.

Jordan ponownie położył serwetkę na kolanach, choć Sandy mogła przysiąc, że z trudem powstrzymuje śmiech.

By zyskać na czasie, Aleksandra dała prawdziwy pokaz krojąc bażanta na małe kawałeczki, a następnie żując każdy z nich, dopóki nie zmienił się w papkę. Kiedy ostatni z okruszków zniknął z jej talerza i odłożyła widelec, Jordan popatrzył na nią pytająco i zapytał, czy już skończyła.

Aleksandra z paniką spojrzała na najbliższego służącego.

- Ja... z chęcią spróbowałabym jeszcze tych przepysznych szparagów - powiedziała rozpaczliwie i tym razem nie było wątpliwości, że na wargach Jordana igrał uśmiech. Następnie spróbowała fasoli w sosie śmietankowym, dzika nadziewanego jabłkami, homara w cieście i na końcu jagód.

Kiedy prosiła o jagody, Jordan nawet nie próbował ukryć rozbawienia. Rozparł się wygodnie na krześle i patrzył, jak Sandy zmusza się do przełknięcia ostatniej jagody. Na jego twarzy widniał pełen satysfakcji uśmiech.

Starannie unikając jego wzroku, Aleksandrze udało się skończyć, choć jej żołądek zwijał się protestując przeciw takiej ilości jedzenia.

Jeszcze coś dla pokrzepienia, moja droga? - zasugerował ochoczo Jordan. - Może czekolady?

Wzmianka o deserze sprawiła, że Sandy wzdrygnęła się z obrzydzeniem i gwałtownie potrząsnęła głową.

- Befszytk w sosie winnym? Aleksandra przełknęła ślinę.

- Nie, dziękuję - wyszeptała.

- Może nosze - uśmiechnął się złośliwie - by zanieść cię na górę?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odłożył serwetkę, wstał i przeszedł dookoła stołu, by pomóc jej podnieść się z krzesła.

- Jeżeli dalej będziesz tyle jeść - droczył się z nią, gdy wchodzili po wysokich, stromych stopniach - niedługo staniesz się za gruba, żeby wejść po tych schodach. - Będę musiał zainstalować dźwig i sieć, aby wciągać cię na galerię.

W innych warunkach Aleksandra roześmiałaby się z tego dowcipu, ale dzisiaj napięcie i niepokój sprawiły, że straciła poczucie humoru. Zdała sobie sprawę, że próbował ją rozluźnić. Nie czuła jednak wdzięczności, ponieważ to za jego sprawą była tak spięta. Co więcej, irytowało ją to, że on w ogóle nie wydawał się zakłopotany tym, co mieli lada chwila zrobić. Potem przypomniała sobie o jego reputacji uwodziciela i stwierdziła, że dziwne byłoby, gdyby był zakłopotany tym, co robił setki razy z dziesiątkami kobiet.

Godzinę później Jordan otworzył drzwi łączące ich apartamenty i wszedł do jej sypialni. Zatrzymał się, patrząc z niedowierzaniem na jej łóżko. Baldachim był odsunięty, satynowa kapa zdjęta, ale w kremowej jedwabnej pościeli Aleksandry nie było.

Rozejrzał się dookoła gotów przeszukać każdy kąt i wszystkie zakamarki Hawthorne. Po chwili ją zobaczył. Stała po przeciwnej stronie ciemnego pokoju wyglądając przez okno w mrok nocy i obejmując się ramionami, jakby było jej zimno albo... jakby się bała. Ulga zastąpiła gniew, gdy ruszył w jej kierunku. Jego kroki tłumił gruby dywan. Jordan patrzył na nią z podziwem. Wyglądała jak wspaniały obraz. Jej włosy spływały falami na ramiona, a przez cienką satynową koszulę przeświecało w świetle świec różane ciało.

Kiedy stanął za nią, zobaczyła w oknie jego odbicie i drgnęła. Jordan wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach. W szmaragdowych oczach błysnął gniew, ale nie cofnęła się. Jej włosy były miękkie jak jedwab.

- A więc - zaczął patrząc z uśmiechem w jej rozgniewane oczy i wypowiadając na głos swoje myśli. - Mój mały wróbelek zamienił się w pięknego łabędzia.

- Puste komplementy od...

- Tylko szczere.

Zanim zdążyła zareagować, chwycił ją na rękę.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała, gdy ominął jej łóżko.

- Do mojego łóżka - wyszeptał jej w szyję. - Jest większe.

W dalekim kącie pokoju stał lichterz ze świecami, których blask nadawał ceniom fantastyczne kształty. Jordan wszedł na szeroki podest, na którym stało łóżko, i powoli posadził ją na pościeli. Czuł przyjemny dotyk jej jedwabistych nóg, które ocierały się o jego uda. Ale kiedy uniósł głowę, spojrzał w jej zielone oczy i usłyszał jej przyspieszony oddech, zdał sobie sprawę, że ona wcale nie jest gniewna. Była przerażona.

- Aleksandro? - zapytał łagodnie. Zauważył, że pod satyną koszuli zadrżała, gdy jej dotknął. - Ty drżysz. Boisz się?

Niezdolna do wypowiedzenia ani jednego słowa, patrzyła na tego wysokiego, onieśmielającego, potężnego mężczyznę, któremu za chwilę miała oddać swoje ciało. Pokiwała twierdząco głową.

Z łagodnym uśmiechem Jordan odgarnął jej włosy z czoła.

- Tym razem cię nie zranię, obiecuję.

- Nie o to chodzi! - wybuchnęła Aleksandra, gdy jego ręce ześlizgnęły się do wstążki na jej piersiach. Zaciśnęła dłonie na jego palcach. Jej głos był napięty i pospieszny, gdy próbowała zyskać na czasie.

- Nie rozumiesz! Nawet cię nie znam.

- Znasz mnie w najbardziej biblijnym znaczeniu tego słowa - droczył się miękko.

- Ale... minęło tyle czasu...

Jordan uniósł głowę i badawczo spojrzał jej w oczy.

- Tak...? - zapytał delikatnie czując dziwną ulgę. Sądząc po plotkach na jej temat i wiedząc, jak swobodna jest moralność kobiet jego własnej sfery, bał się mieć nawet nadzieję, że nie poznała innych mężczyzn. Zarazem bał się myśleć, że tak się stało. Ale zakłopotana niewinność w jej oczach, gdy skinęła twierdząco głową, była oczywista. Poczul w sercu ciepło spowodowane pewnością, że jego łagodna, piękna żona nadal należy całkowicie i wyłącznie do niego.

- Minęło zbyt wiele czasu dla nas obojga? - wyszeptał czule całując jej ucho.

- Proszę, przestań! - wykrzyknęła i Jordan uniósł głowę słysząc w jej głosie panikę. - Ja... się boję - przyznała i Jordan instynktownie wyczuł, jak wiele kosztowało to wyznanie tę odważną dziewczynę, która tak gwałtownie przeciwstawiała mu się przez ostatnie trzy dni.

Zbyt mądry, by śmiać się z jej lęków, spróbował sprawić, by ona się z nich śmiała.

- Ja też się troszkę boję - przyznał z czułym uśmiechem patrząc na jej zmienioną twarz.

- Ty? Dlaczego?

Jego głos był cichy i opiekuńczy, gdy powoli rozwiązywał tasiemkę jej koszuli odsłaniając dwie doskonałe półkule jej piersi.

- Tak jak powiedziałaś, minęło dużo czasu. Przeniósł spojrzenie z jej piersi na twarz i uśmiechnął się zsuwając koszulę z jej ramion.

- Być może zapomniałem, jak to się robi - powiedział z udawanym przerażeniem. - Kiedy już się jest w łóżku, nie ma kogo zapytać, co robić dalej, prawda? To znaczy, mógłbym przywołać Penrose'a i poprosić go o wskazówki. Musiałbym jednak wyrzeszczyć mu swoje pytania, żeby je usłyszał. To z kolei obudziłoby całą służbę, która przybiegłaby tu natychmiast sprawdzić, o co cały ten hałas...

Mimo strachu Aleksandra nie mogła powstrzymać śmiechu, który wzbierał w jej piersi. Prawie nie zauważyła, jak Jordan zsunął jej koszulę, która opadła u stóp łoża.

- Tak jest lepiej - miękko wyszeptał, z rozmysłem patrząc jej w oczy, a nie na przepiękne nagie ciało, gdy przyciągnął ją do siebie.

- Wiesz, uwielbiam, gdy się śmiejesz - mówił dalej starając się uwolnić ją od nieśmiałości i rozwiązując swój szlafrok. - Gdy się śmiejesz, twoje oczy jaśnieją - powiedział delikatnie pomagając jej się położyć i kładąc się przy niej.

Aleksandra patrzyła w jego fascynujące szare oczy, a on wsparty na łokciu wolną ręką pieścił jej brzuch i piersi, a potem nakrył wargami jej usta w długim, oszłamiającym pocałunku, który sprawił, że zaczęła płonąć.

Całował ją od nowa i od nowa, wciąż ją pieścił, kusząc i uwodząc, aż straciła kontrolę nad własnym ciałem i umysłem. Wzdychając bezradnie zwróciła się do niego oddając mu pocałunek z całą długo tłumioną tęsknotą. Jej usta zagarnęły zachłannie jego wargi, a język natychmiast wślizgnął się między nie. Wbiła palce w szorstkie włosy na jego karku, gdy przytrzymała jego usta przy swoich. Dzięki swojemu poddaniu zwyciężyła, bo tym razem Jordan jęknął bezradnie i zatracił się w pocałunku.

Otoczył ją rękami i przetoczył się na plecy pociągając ją za sobą. Jego ręce w pośpiechu pieściły jej jedwabiste ciało, nogi oplątywały jej nogi. Przytulił ją mocno, bez słów wyznając jej swoje pragnienie.

Gdzieś wśród rozgalopowanych myśli Jordan nakazał sobie zwolnienie tempa, ale jego ciało, wygłodzone od ponad roku, nie słuchało nakazów jego woli, zwłaszcza gdy Aleksandra całowała jego ucho pieszcząc je delikatnie językiem.

Ulegając żądzy nie do opanowania przewrócił ją na plecy.

- Przepraszam, najdroższa - wyszeptał - ale pragnę cię tak bardzo. - Jego oddech zamarł, gdy powoli wsuwał się w jej zapraszające ciepło, uważając, by jej nie zranić. Nagle przerwał, gdy odwróciła od niego twarz, a po jej długich rzęsach spłynęły dwie łzy.

- Aleksandro? - wyszeptał, jego ramiona i ręce napięły się z wysiłku, jakiego wymagało oparcie się żądzy. Uniósł się na przedramieniu i ująwszy w dłoń jej brodę obrócił jej twarz. - Otwórz oczy i spójrz na mnie - zażądał cicho.

Jej mokre od łez rzęsy uniosły się i patrzył teraz w jej błyszczące od łez szmaragdowe oczy.

- Czy sprawiam ci ból? - zapytał z niedowierzaniem. Aleksandra przełknęła ślinę i przecząco pokręciła głową walcząc z pragnieniem, by go zadowolić i błagać go o to, by kochał ją duszą i ciałem, tak jak tego pragnęła od chwili, gdy wziął ją w ramiona. I dlatego płakała. W ciągu kilku krótkich minut jego dotyk zburzył wszystkie bariery, jakie starannie budowała przeciw niemu. Obalił jej opór i sprawił, że stała się słaba, namiętna i zupełnie bezbronna.

- Najdroższa, co ci jest? - zapytał pochylając się i scałowując jej łzę z policzka. - Nie pragniesz mnie?

Ta pokorna, chłopięca niewinność i czułość tego pytania rozbroiła ją.

- Pragnę - wyszeptała patrząc mu w oczy i widząc w nich namiętność, którą starał się powstrzymać.

- Więc skąd te łzy?

- Ponieważ - odpowiedziała zbolalym głosem - ja nie chcę cię pragnąć.

Wyrwał mu się dźwięk, który był na wpół jękiem, na wpół śmiechem. Objął jej twarz dłońmi i pocałował ją. Jej biodra naprężyły się spazmatycznie i Jordan całkowicie stracił panowanie nad sobą.

- Tak bardzo cię pragnę - mruczał z czułością. Jego serce wezbrało radością, gdy poczuł, jak Sandy obejmuje go poddając się całkowicie jego burzliwemu pożądaniu.

Jej paznokcie wpiły się w jego napięte plecy, a Jordan pogrążył się w ekstazę, cicho szepcząc jej imię.

Kiedy położył się na boku, objął ją czekając, aż oddech mu się uspokoi, i patrzył na rozjaśnioną tylko świecami przestrzeń za łóżkiem. Czuł, jak wreszcie wraca mu rozsądek. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze - pytał własną żonę, czy na pewno go pragnie, jak mały chłopiec błagający o łaskę.

Nigdy w całym swoim życiu nie prosił o to żadnej kobiety. Po drugie - nigdy tak pośpiesznie nie zabrał do łóżka żadnej kobiety i nigdy nie zrobił tego tak szybko jak z Aleksandrą. Jego duma buntowała się przeciw takiemu brakowi opanowania.

Aleksandra przesunęła się na poduszkach, by lepiej widzieć jego twarz. Dostrzegła jego posępną minę, gdy patrzył prosto przed siebie pogrążony w myślach.

- Jesteś zły? - wyszeptała z niedowierzaniem i konsternacją.

Jordan spojrzał na nią i uśmiechnął się bez humoru.

- Na siebie, nie na ciebie.

- Dlaczego? - zapytała niewinna w swojej nagości, spojrzeniem szukając jego oczu.

- Ponieważ... - zaczął, ale potrząsnął głową i zamknął usta.

Ponieważ zbyt mocno cię pragnę - przyznał przed samym sobą. Ponieważ dziś w nocy straciłem panowanie nad sobą. Ponieważ sam dotyk twoich rąk sprawia, że szaleję z pożądania. Ponieważ możesz wprawić mnie w większy gniew niż ktokolwiek inny, a gdy już jestem w największej furii, potrafisz mnie rozśmieszyć. Ponieważ przed tobą jestem bezbronny. Miękki...

Nagle przypomniał sobie słowa swojego ojca: „Jordanie, nie możesz być miękki i jednocześnie być mężczyzną... Mężczyzna jest twardy, surowy i czujny... Mężczyzna nie potrzebuje ufać komukolwiek poza samym sobą... Kobiety dają nam rozkosz, ale my ich nie potrzebujemy... Mężczyzna nie potrzebuje nikogo...”

Jordan wyrzucił z myśli te wspomnienia i przypomniał sobie, jaką parodią małżeństwa był związek ich rodziców. Żałował teraz, że nie zabrał Aleksandry gdzie indziej. Wspomnienia, które budziło w nim Hawthorne, sprawiały, że stawał się szorstki.

Ciche, nieśmiałe słowa Aleksandry oderwały go od tych myśli.

- Mogę iść już do mojego pokoju? Widzę, że w jakiś sposób wprawiłam cię w niezadowolenie.

Niespodziewanie jego serce zamarło na myśl, że ona naprawdę tak uważa.

- Przeciwnie - uśmiechnął się, aby ukryć prawdę swoich słów - zadowolonaś mnie aż nadto.

Miała minę tak sceptyczną, że aż się roześmiał.

- Oczywiście w łóżku - wyjaśnił zadziornie uśmiechając się do niej. - Poza łóżkiem doprowadzasz mnie do pasji. Wydaje mi się, że jedynym rozwiązaniem - dodał czując nowy przypływ pożądania - jest nie wypuszczać cię z łóżka.

Pochylił nad nią głowę i znów zaczął ją całować. Stwierdził, że przesadził, analizując ich dzisiejszą noc. W końcu, od czasu gdy skończył czternaście lat, nigdy nie był bez kobiety

dłużej niż miesiąc, nie mówiąc już o całym roku. Nic dziwnego, że był tak rozpalony, tak podniecony...

Tym razem potrafił wstrzymać eksplozję swojej rozkoszy tak długo, aż z krzykiem osiągała ekstazę, ile razy i jak długo zechciał. Pod koniec zdecydował się dołączyć do niej, po czym długo leżeli wyczerpani w swoich ramionach.

Świt znaczył już niebo różem i purpurą, gdy kochał się z nią po raz ostatni i wreszcie znużony głęboko zasnął.

Aleksandra delikatnie uwolniła się z jego ramion obejmujących ją w talii i wysliznęła się z łóżka. Nie przyzwyczajona do tak intensywnego uprawiania miłości, czuła się słaba, obolała i słodko zmęczona, gdy szła dookoła łóżka, by podnieść swoją koszulę.

Włożyła ją i zawiązała tasiemkę. Potem zawahała się przez chwilę, patrząc na swojego męża. Jego ciemne włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze na nieskalanej bieli poduszki, a sen złagodził twarde rysy twarzy nadając mu prawie chłopięcy wygląd. Kołdra zsunęła się mu na biodra obnażając jego ramiona i piersi. Aleksandra zauważyła, że i one były opalone. Nie zauważyła tego w nocy, ale najwyraźniej, gdy płynął do Anglii, nie nosił koszuli. Po roku uwięzienia był również szczuplejszy. O wiele za szczupły.

Przesuwała swoje spojrzenie po nim delektując się swobodą, z jaką nareszcie mogła napawać się jego widokiem. Starając się oceniać go zupełnie bezstronnie musiała przyznać, że jest doskonały, naprawdę doskonały. Nie była tak całkiem naiwna i głupia, gdy kiedyś porównała go do Dawida Michała Anioła.

Nieświadoma czułości swego gestu Aleksandra pochyliła się i troskliwie nakryła go kołdrą, a potem wyprostowała się, stojąc jeszcze przez moment nad łóżem. Wspomnienie jego pytania „nie pragniesz mnie?” sprawiło, że ogarnął ją dreszcz czułości.

Rozmyślała o tym, jak ją kochał za pierwszym razem, z pośpiechem i pożądaniem, których nie potrafił ukryć, mimo całego swojego doświadczenia. Ten pierwszy raz był nawet lepszy od kolejnych, ponieważ tylko wtedy całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Wypełniło ją ciepło i radość, gdy przypomniła sobie jego bezradne przeprosiny: „przepraszam najdroższa, ale pragnę cię tak bardzo...”

Jak radośnie, cudownie się wtedy czuła, wiedząc, że chociaż on potrafił sprawić, żeby jej ciało stanęło w ogniu, ona również była w stanie go rozpalić.

Przez resztę nocy kochał się z nią jeszcze wiele razy, ale zawsze panował nad sobą, dotykając jej i całując z precyzją wirtuoza grającego na skrzypcach. Wiedziała, że było mu z nią dobrze, ale już nie z tak słodkim zapomnieniem jak za pierwszym razem.

A jednak z drugiej strony robił wszystko, by ona straciła kontrolę. Aleksandra nie była już jednak dzieckiem, które usychało z miłości po jednym pocałunku czy jednej nocy pełnej intensywnej miłości. Nie była tą naiwną dziewczyną o oczach jak gwiazdy. Wydorosła i stała się mądrzejsza.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę z niebezpiecznej fascynacji tą nieznaną dotąd, bardzo ludzką cechą charakteru swojego tajemniczego męża, po czym odwróciła się od śpiącego. Wracając do swojej sypialni delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 25

Aleksandra obudziła się późnym porankiem i poddała się zabiegom Marie, która szczotkowała jej włosy, aż zaczęły lśnić, a potem dyskutowała czy powinna włożyć muślinową suknię w kolorze lawendy, czy różową z falbankami.

Aleksandra chciała czym prędzej sprawdzić, jak po ostatniej nocy będzie ją traktował Jordan. Z trudem zmuszała się, by iść po schodach wolno i z godnością, i z udaną nonszalancją minęła jego gabinet. Przez otwarte drzwi zobaczyła, jak rozmawia z jednym ze swoich dzierżawców. Gdy przechodziła, uniósł głowę i ich oczy spotkały się. Skinął jej krótko głową na powitanie, ale z wyrazu jego twarzy domyśliła się, że z czegoś jest niezadowolony.

Skonsternowana tak zaskakującym zachowaniem, grzecznie oddała mu powitanie i poszła dalej do pokoju porannego. Śniadanie zjadła w kompletnej ciszy. Dookoła niej krzątali się Filbert i Penrose, wymieniając pełne niepokoju zmartwione spojrzenia.

Pomyślała, że najbliższe trzy miesiące miną jej szybciej, gdy będzie zajęta. Postanowiła odwiedzać rodziny wieśniaków i kontynuować lekcje czytania i pisania, które zaczęła przed wyjazdem do Londynu.

Zatrzymała się na chwilę w stajni, by pobawić się z Henrykiem, którego towarzyskiej naturze bardziej odpowiadała atmosfera pośpiechu w stajni niż niema pustka domu. Kiedy wróciła, było już późne popołudnie. Sandy, upojona wolnością, jaką dawała jej jazda po malowniczych drózkach, którymi pocięte były ziemie Jordana, spokojnym truchtem minęła dom i pojechała prosto do stajni.

Podbiegł do niej Smarth, a na jego twarzy malował się przesadnie radosny uśmiech. Najwyraźniej starał się przywrócić małżeńską harmonię między Aleksandrą i jej mężem, bo rozpoczął peany na cześć Jordana.

- Jego wysokość czeka tu na panią od ponad godziny. Chodzi w tę i z powrotem, widać trochę się niecierpliwi.

Zdziwiona i mile zaskoczona Aleksandra uśmiechnęła się do Jordana, który właśnie wchodził do stajni, ale jej uśmiech raptownie zgasł, gdy zobaczyła ponury wyraz jego twarzy.

- Nigdy nie wychodź z domu nie informując dokładnie, dokąd idziesz i kiedy zamierzasz wrócić - warknął chwytając ją brutalnie w talię i zsadzając z powozu. - Nie możesz opuszczać ziem należących do tej posiadłości bez eskorty. Olsen - wskazał na

potężnego, muskularnego mężczyznę, który bardziej przypominał niedźwiedzia niż człowieka - jest twoją osobistą ochroną.

Jego gniew zdawał się tak niesprawiedliwy, polecenia tak irracjonalne, a jego zachowanie tak różne od czułości, jakiej doświadczyła w nocy, że przez chwilę Aleksandra patrzyła na niego szeroko otworzywszy oczy w oszołomieniu, podczas gdy Smarth pospiesznie i mądrze uwolnił ich od swego towarzystwa.

- Skończyłeś? - ucięła, zamierzając zostawić go i pójść do domu.

- Nie - warknął Jordan, wyglądając bardziej gniewnie niż kiedykolwiek przedtem. - Jest jeszcze jedna rzecz: Nigdy więcej nie wyczołguj się z mojego łóżka w środku nocy jak portowa dziewczka szykująca się do dalszych łowów!

- Jak śmiesz?! - eksplodowała Aleksandra tak rozwścieczona, że zanim zdała sobie sprawę z tego co robi, uniosła rękę, by go spoliczkować. Jordan złapał ją za nadgarstek i ścisnął jej delikatne kości jak w żelaznym imadle. Jego oczy błyszczały jak dwa sople lodu i przez chwilę była pewna, że ją uderzy. Potem bez uprzedzenia puścił jej rękę i ruszył w stronę domu.

- Pani - rzekł łagodnie Smarth podchodząc do niej. - Pan Jordan musiał mieć dziś wyjątkowo zły dzień. Nigdy w całym życiu nie widziałem go w takim nastroju. - Pomarszczona twarz Smartha była zatroskana i zakłopotana, gdy patrzył za odchodzącym Jordanem.

W milczeniu Aleksandra odwróciła się do starego stajennego, a w jej oczach płonął coraz większy gniew, gdy mówił dalej.

- Ba, do dzisiaj w ogóle nie wiedziałem, że on ma taki temperament. Pomagałem mu wsiąść na jego pierwszego kucyka, znam go od dziecka i nie było dzielniejszego, odważniejszego...

- Och, proszę! - wybuchnęła Aleksandra. Nie była w stanie słuchać żadnej z cikliwych historyjek, które kiedyś tak bardzo się jej podobały. - Dostyc już kłamstw! Nie możesz sprawić, abym znów myślała, jaki to on jest wspaniały i elegancki. Teraz, gdy żyje, dokładnie widzę, jaki jest, zły, pozbawiony serca potwór!

- Nie, proszę pani, nie jest taki. Znam go od czasu, gdy był jeszcze chłopcem, tak jak znałem przedtem jego ojca...

- Jestem pewna, że jego ojciec też był potworem! - wykrzyknęła Aleksandra zbyt rozgniewana i rozżalona, aby zwrócić uwagę na to, co mówi. - Nie mam wątpliwości, że są tacy sami.

- Nie, jaśnie pani. Mówiąc tak, myli się pani bardziej niż ktokolwiek na świecie. Dlaczego tak pani mówi?

Otrzeźwiona tym gwałtownym protestem Aleksandra wzięła się w garść i słabo uśmiechnęła.

- Mój dziadek zawsze powtarzał, że jeśli chce się wiedzieć, jaki mężczyzna będzie w przyszłości, to trzeba poznać jego ojca.

- Jeśli chodzi o pana Jordana i jego ojca, pani dziadek się mylił - odpowiedział Smarth gwałtownie.

Aleksandrze przyszło do głowy, że Smarth mógłby być bezcennym źródłem informacji na temat Jordana. Musiałaby tylko przekonać go, by mówił nie lukrowaną prawdę. Zaraz jednak pomyślała, że nie chce nic wiedzieć na temat człowieka, który chwilowo jest jej mężem.

- Skoro nie mogę się poruszać bez strażnika, może podszedłbyś ze mną do płotu, żebym mogła popatrzeć na brykające żrebaki.

Smarth skinął twierdząco głową i gdy stali przy płocie, odezwał się nagle.

- Niech mi jaśnie pani wybaczy, ale nie powinna była pani zakładać się przeciw niemu.

- Skąd wiesz o zakładzie?

- Wszyscy o nim wiedzą. John, woźnica, dowiedział się o nim od pokojowca lorda Hacksona jeszcze tego samego wieczora, kiedy został zapisany u White'a.

- Rozumiem.

- To był duży błąd, że publicznie dała pani do zrozumienia, że nie dba o księcia i nigdy nie dbała. To, że księżę się tym mocno nie przejął, tylko świadczy o tym, jak mu na pani zależy. Ba, nawet mama panicza Jordana nie ważyłaby się zrobić takiej... - przerwał nagle, zaczerwieniony patrząc na czubki swoich butów.

- To nie miał być publiczny zakład - powiedziała Aleksandra i wykazując średnie, uprzejme zaciekawienie zapytała:

- A propos matki mojego męża, jaka ona była? Smarth zakłopotany przestąpił z nogi na nogę.

- Piękna, oczywiście. Lubiła przyjęcia, mieliśmy ich tu mnóstwo, wszystkie rodzaje...

- Wygląda na to, że była wesoła i urocza...

- O, nie! Nie była taka jak pani! - wybuchnął Smarth, a Aleksandra patrzyła na niego oniemiała, zaskoczona zarówno jego gwałtownością, jak i świadomością, że ma o niej tak

pochlebne zdanie. - Nigdy nie zważała na nikogo poniżej jej stanu ani nie zależało jej na nikim poza nią samą.

- Jakie to dziwne! Co masz przez to na myśli?

- Muszę wracać do pracy, jaśnie pani - powiedział żałośnie Smarth. - Kiedy tylko będzie chciała pani usłyszeć coś dobrego na temat jaśnie pana, niech pani przyjdzie do mnie. Na pewno coś sobie przypomnę.

Widząc, że dalsze nalegania byłyby daremne, Aleksandra pozwoliła mu odejść. Nie mogła jednak uwolnić się od ciekawości.

Pod pretekstem, że jej drzwi wymagają naoliwienia, wezwała do siebie Gibbonsa, służącego, który był tak samo oddany Jordanowi jak Smarth i tak jak on był kiedyś dla niej wspaniałym źródłem informacji. Tak jak Smarth bardzo ucieszył się na jej widok i gotów był rozpocząć opowieści o dzieciństwie Jordana, ale gdy tylko zapytała go o rodziców księcia, zeszytniał i pospiesznie pożegnał się pod pretekstem, że ma pilną robotę na dole.

Ubrana w kremową jedwabną suknię i z rozpuszczonymi włosami Aleksandra wyszła z pokoju o dziewiątej wieczorem, o porze wyznaczonej na kolację i powoli zeszła na dół. Teraz, gdy miała spotkać się z Jordanem po raz pierwszy od ich gniewnej konfrontacji przy stajniach, oburzenie i lekka obawa zaczynały brać górę nad jej ciekawością.

Gdy zmierzała w stronę jadalni, jak spod ziemi pojawił się Higgins i bezszelestnie otworzył drzwi do salonu. Aleksandra stanęła zakłopotana i zawahała się.

- Książę - widząc jej minę poinformował ją lokaj - zawsze pije szklaneczkę sherry przed kolacją.

Jordan spojrział na nią, gdy weszła do pokoju i podszedł do stolika, by nalać i jej sherry. Aleksandra przyglądała mu się w milczeniu. Musiała przyznać, że wyglądał pięknie w wiśniowym surducie ciasno opinającym ramiona i szarych spodniach podkreślających długie, smukłe nogi. Pojedynczy rubin zdobił białą, koronkową apaszkę kontrastującą z jego mocno opaloną twarzą. Bez słowa podał jej szklankę sherry.

Niepewna jego nastroju, Aleksandra podeszła do niego. Jednak już pierwsze słowa sprawiły, że miała ochotę chlusnąć mu zawartość szklanki w twarz.

- Jest w moim zwyczaju - poinformował ją tonem, jakim nauczyciel beszta niegrzecznego ucznia - wypicie szklaneczki sherry w salonie o ósmej trzydzieści i jedzenie kolacji o dziewiątej. W przyszłości proszę, byś towarzyszyła mi tutaj punktualnie o ósmej trzydzieści.

W jej oczach zawrzała gniew, ale udało jej się zapanować nad swoim głosem.

- Poinformowałeś mnie do tej pory, gdzie mogę spać, dokąd mogę iść, kto ma mi towarzyszyć i kiedy muszę jeść. Może będziesz łaskawy poinformować mnie, kiedy mogę oddychać.

Jordan zmarszczył brwi, odchylił głowę i westchnął ciężko. Gestem wyrażającym zakłopotanie i niepewność potarł kark, a potem opuścił rękę.

- Aleksandro - zaczął z poczuciem winy, jakby jego cierpliwość wystawiano na próbę.
- Miałem zamiar zacząć od przeprosin za to, jak cię potraktowałem w stajni. Wracając spóźniłaś się o godzinę i niepokoiłem się o ciebie. Nie chciałem zaczynać wieczora od reprimendy czy nakładania na ciebie jeszcze większej liczby reguł. Nie jestem potworem... - przerwał, gdy Higgins delikatnie zapukał do drzwi, po czym wniósł na tacce bilecik.

Nieco udobruchana jego przeprosinami Aleksandra usiadła w wyściełanym aksamitem krześle i zaczęła się rozglądać po ogromnym salonie. Spojrzała na bogato zdobione meble wyściełane ciemnowiśniową tapicerką, które przywodziły na myśl przytłaczający przepych. „Przytłaczający przepych” skarciła się w myśli. Najwidoczniej stosunek Jordana do jego domu zaczynał się jej udzielać.

Biorąc bilecik z tacki, Jordan usiadł naprzeciw niej i złamał pieczęć. Przeczytał szybko krótką notatkę, a wyraz jego twarzy zmieniał się od ciekawości, przez niewiarę do furii.

- To od Tony'ego - poinformował ją zimno, a jego szczęka zacisnęła się uwidaczniając wszystkie mięśnie twarzy. - Zdaje się, że Tony opuścił w środku sezonu Londyn i bawi teraz w swoim domu, niecałe trzy mile stąd.

Świadomość, że jej przyjaciel jest tak blisko, nappełniła Aleksandrę ciepłem. Jej twarz rozjaśniła się radośnie.

- Miałam wczoraj zamiar odwiedzić jego mamę i brata...

- Zabraniam ci tam iść - przerwał jej zimno. - Wyślę Tony'emu list, w którym wyjaśnię, że chcemy mieć najbliższe tygodnie wyłącznie dla siebie.

Widząc jej buńczuczny wyraz twarzy Jordan dodał ostrzejszym tonem:

- Aleksandro, czy ty mnie rozumiesz? Zabraniam ci tam iść.

Aleksandra wstała powoli, a za nią Jordan górując nad nią.

- Czy wiesz - wysyczała przez zaciśnięte zęby patrząc na niego w oszołomionym, cichym gniewie, jakby trafił tu wprost z domu wariatów - że jesteś kompletnie szalony?

Niespodziewanie uśmiechnął się nieznacznie, słysząc te gorzkie słowa.

- Bez wątplenia tak jest - przyznał. Nie był w stanie powiedzieć jej, że przyjazd Tony'ego do wiejskiej rezydencji praktycznie potwierdzał podejrzenia Fawkesa. Od tej chwili

i jej życie mogło być w niebezpieczeństwie, jako że mogła już nosić następnego dziedzica Hawthorne. - Ale i tak spodziewam się, że mnie posłuchasz - dorzucił z mocą.

Aleksandra otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, co sobie może zrobić ze swoimi poleceniami, lecz on uśmiechając się szerzej, położył jej palec na ustach.

- Zakład, Aleksandro. Obiecałaś być posłuszną żoną. Nie chciałaś przegrać gry tak szybko, prawda?

Aleksandra popatrzyła na niego z nie ukrywaną pogardą.

- Nie boję się przegranej. To ty już przegrałeś, mój panie.

Wciąż ze szklanką w dłoni podeszła do kominka i udawała, że z zainteresowaniem przygląda się delikatnej, czternastowiecznej wazie.

- Cóż to znaczy? - zapytał Jordan bezszelestnie do niej podchodząc.

Aleksandra omiotła palcem podstawę drogiej wazy.

- Twoja część zakładu to próba przekonania mnie, bym pragnęła z tobą zostać.

- I co?

- I - spojrzała na niego ponad ramieniem - przegrywasz.

Spodziewała się, że przyjmie te słowa z arogancką niedbałością. Zamiast tego położył jej dłoń na ramionach i odwrócił do siebie przodem.

- W takim razie - obiecał z uroczystym uśmiechem - muszę się lepiej starać, prawda?

Zaskoczona zarówno powagą, jak i czułością jego słów, Aleksandra pozwoliła mu się pocałować. Starła się zachować zimną krew, gdy obejmując i przyciągając ją do siebie pochylił głowę i zmiażdżył jej usta w pocałunku. Całował ją długo i namiętnie, jakby delektując się każdą sekundą dotyku jej ust.

Kiedy wreszcie później wypuścił ją z ramion, Aleksandra patrzyła na niego w niemym zdumieniu. Zastanawiała się, jak może być w jednej chwili tak bardzo czuły, a w następnej taki zimny i władczy. Jej głos był cichy i zamyślony, gdy wypowiedziała to, co jej właśnie przyszło do głowy.

- Naprawdę chciałabym cię zrozumieć.

- A czego nie rozumiesz? - zapytał, z góry znając odpowiedź.

- Chciałabym poznać prawdziwy powód twojego wybuchu dzisiaj w stajni.

Spodziewała się, że zbędzie ją kąśliwą uwagą lub machnięciem ręki, ale zadziwił ją.

- Tak naprawdę podałem ci prawdziwy powód - powiedział uczciwie.

- Co takiego?

- Kiedy zostawiłaś mnie w środku nocy, zraniłaś moją dumę - przyznał.

- Zraniłam twoją dumę - powtórzyła Aleksandra. - Dlatego nazwałeś mnie dziewczką?

Aleksandra nie zauważyła błysku rozbawienia w jego oku i dlatego zajęło jej chwilę, zanim zrozumiała, że naigrawa się z siebie samego, a nie z niej.

- Oczywiście, że tak - przyznał z przesadną powagą. - Na pewno nie przypuszczałaś, że inteligentny, dorosły mężczyzna, który toczył krwawe walki w dwóch wojnach będzie miał na tyle odwagi, by stanąć oko w oko z kobietą, i zwyczajnie zapyta ją cichym, rozsądnym tonem, dlaczego nie chciała spędzić z nim nocy.

- Dlaczego nie? - wykrzyknęła zdumiona, po czym zaniósła się głośnym śmiechem, gdy w pełni dotarły do niej jego słowa.

- Męskie ego - przyznał z lekkim uśmiechem. - Obawiam się, że aby je chronić, jesteśmy w stanie posunąć się do wszystkiego.

- Dziękuję ci - rzekła łagodnie Aleksandra - że powiedziałeś mi prawdę.

- To był główny powód mojego wybuchu. Ale muszę przyznać, że w tym domu jest coś, co zawsze wprawia mnie w fatalny humor.

- Ale przecież tu dorastałeś!

Jordan ujął ją pod ramię i skierował się do jadalni.

- Prawdopodobnie dlatego nie lubię tego domu.

- Co masz na myśli? - zapytała szybko.

Jordan uśmiechnął się do niej, ale pokręcił głową.

- Dawno temu, w ogrodzie mojej babki, zapytałaś mnie, co czuję i myślę. Staram się odpowiedzieć, ale nie jestem jeszcze zdolny do całkowitego obnażenia mojej duszy. Będziemy musieli nad tym popracować - droczył się z nią. - Ale pewnego dnia odpowiem na twoje pytanie.

Jordan „mocniej próbował stać się dla niej akceptowalnym” przez całą kolację i udawało mu się osiągnąć cel w druzgocącym sukcesie, który wywarł niszczący wpływ na spokój ducha Aleksandry.

Przypomniała sobie, że zaraz po ślubie również próbował ją zadowolić, ale było to nic w porównaniu z jego obecnymi wysiłkami. Przez dwie godziny posiłku zaatakował ją pełną siłą swojego uroku, oszałamiał uśmiechem i zabawiał skandalicznymi i prześmiesznymi ploteczkami o ludziach, których знаła w Londynie.

Potem zabrał ją do swojego łóżka i kochał się z nią z taką namiętnością i żarem, że powinni byli stać się jednym ciałem i duszą. A przez resztę nocy trzymał ją w ramionach.

Następnego poranka Aleksandra z koszem słodczy, o który poprosiła kucharkę, wspięła się do powozu zdecydowana odwiedzić Tony'ego, nawet gdyby miała otwarcie sprzeciwić się poleceniom Jordana. Usiłowała przekonać samą siebie, że nie zakochuje się w

Jordanie, że jest po prostu ciekawa, jacy byli jego rodzice, ale w głębi serca wiedziała, że to nie była całkiem prawda. Była o krok od miłości do niego i rozpaczliwie pragnęła zrozumieć tego tajemniczego, wymagającego mężczyznę, którego poślubiła. Tony był jedyną osobą, do której mogła się teraz zwrócić i uzyskać odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Poinformowała Olsena, swojego strażnika, że nie będzie potrzebowała jego towarzystwa w drodze do Wilkinsonów i ruszyła w stronę ich małej chatki. Kiedy zakończyła krótką wizytę, skierowała się prosto do domu Tony'ego. Kłusowała środkiem traktu, szczęśliwie nie zdając sobie sprawy z obecności Olsena, który podążał za nią w ukryciu i kiedy tylko było to możliwe, krył się za drzewami.

- Aleksandro! - wykrzyknął Tony, który uśmiechając się i wyciągając do niej rękę zbiegł po kilku stopniach do wąskiego, okolonego drzewami podjazdu. - Dostałem dziś rano list od Jordana i myślałem, że zamierza zatrzymać cię wyłącznie dla siebie przez najbliższe tygodnie.

- Nie wie, że tu jestem - powiedziała mocno go ściskając. - Przrzekasz, że dotrzymasz tajemnicy?

- Daję ci moje słowo - obiecał uroczyście. - Chodź przywitać się z moją matką i Bertiem. Będą szczęśliwi widząc cię tutaj. Nie pisną nawet słowa o twoich odwiedzinach - dodał widząc, że się waha.

- Gdy ich już odwiedzimy - szybko powiedziała Aleksandra - nie wyszedłbyś mnie odprowadzić? Chciałabym cię o coś zapytać.

- Oczywiście - zgodził się Tony.

Wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli do wejścia.

- Domyślam się, że wyjechałeś z Londynu z powodu plotek na temat tego wszystkiego.

- Częściowo tak, ale również dlatego, że umierałem z ciekawości, jak sobie radzisz. Jest jeszcze jeden powód - dodał z zagadkowym uśmiechem. - Sally Farnsworth przysłała mi wczoraj bilecik z prośbą o spotkanie.

Wzmianka o dziewczynie, o której Tony mówił kiedyś, że ją kochał, natychmiast poruszyła Aleksandrę.

- I co, poszedłeś? - zapytała bacznie przyglądając się jego przystojnej twarzy.

- Tak.

- I co jej powiedziałaś? Co ona zrobiła? - dopytywała się Sandy gorączkowo.

- Oświadczyła mi się - przyznał Tony kwaśno. Aleksandra roześmiała się z zadowoleniem.

- I...?

- Rozważam tę propozycję - droczył się. - Naprawdę. Przyjeżdża tu w przyszłym tygodniu. Chcę, żeby najpierw zobaczyła, co mam jej do zaoferowania, mój dom i rodzinę. No cóż, nie jestem już księciem. Kiedy nim byłem, nie uwierzyłbym, że może mnie pragnąć z jakichkolwiek innych powodów. Teraz wiem, że to nieprawda, a nie mam wiele do ofiarowania. Ale nie mów o tym mojej matce. Chcę jakoś delikatnie przygotować ją do wizyty Sally. Mama nie darzy jej zbytnim poważaniem i sympatią z powodu... tego, co się stało przedtem.

Aleksandra zgodziła się od razu i weszli do środka. • - Moja droga, jak dobrze cię widzieć! - wykrzyknęła lady Townsende miękkiem, radosnym głosem, gdy Tony wprowadził Aleksandrę do przytulnego saloniku. - Ale szok przeżyliśmy przez naszego drogiego Jordana, mam na myśli ten jego powrót z martwych.

Aleksandra przywitała się z nią serdecznie. Z troską zauważyła, jak blado i szczupło wyglądała siwowłosa matka Tony'ego. Najwyraźniej nagły powrót Jordana nadszarpnął jej delikatne zdrowie.

Krzążając się koło Aleksandry lady Townsende z nadzieją spojrzała na drzwi.

- Jordan nie przyjechał z tobą? - zapytała wyraźnie rozczarowana.

- Nie, ja... przepraszam. On...

- Nie ma wątpliwości, że jak zwykle pracuje jak szatan - powiedział szyderczo Bertie wstając z grymasem i mocno opierając się na lasce. - I zdecydowany na wszystko, by zatrzymać cię dla siebie i odnowić wasze małżeństwo po tak długiej nieobecności.

- Tak, pracuje bardzo ciężko - powiedziała Aleksandra wdzięczna Bertiemu za podsuniecie jej wymówki. Bertie był nieznacznie wyższy od Tony'ego, miał piaskowe włosy i orzechowe oczy. Chociaż także obdarzony był czarem Townsende'ów, nieustanny ból chromej nogi, który odczuwał od urodzenia, wywarł wpływ na rysy jego twarzy. Grymas bólu zastygł na stałe wokół ust nadając jego wyglądowi ponurość, która nie znajdowała potwierdzenia w jego wesołym usposobieniu.

- Chciał, by Aleksandra jeszcze nas nie odwiedzała, żeby jej później towarzyszyć - improwizował Tony dla swojej matki i brata. - Obiecałem, że nie zepsujemy wizyty Jordana i nie zdradzimy mu, że Aleksandra już nas odwiedziła.

- A jak się ma Jordan? - zapytała z troską lady Townsende.

Zakłopotana tym, że musiała kłamać, Aleksandra z ulgą opisywała przez dziesięć minut każdy szczegół pojmania i uwięzienia Jordana. Kiedy wreszcie skończyła odpowiadać

na wszystkie pełne troski pytania lady Townsende o jego zdrowie, Tony wstał i zaproponował Aleksandrze spacer po łące.

- Widzę po tych małych zmarszczkach na twoim prześlicznym czole, że coś cię trapi. Cóż to jest? - zapytał, gdy szli przez starannie przystrzyżony trawnik w stronę ogrodów.

- Nie jestem pewna - przyznała Aleksandra z poczuciem winy. - Odkąd Jordan zobaczył Hawthorne, jest jakiś inny. Wczoraj wieczorem powiedział mi, że dorastał tutaj i dlatego Hawthorne zawsze sprawia, że staje się ponury. Ale kiedy go zapytałam, dlaczego, nie odpowiedział mi. A przedtem Smarth mówił takie dziwne rzeczy o jego rodzicach... - mówiła dalej, po raz pierwszy od powrotu Jordana używając jego imienia. Odwróciła się nagle do Tony'ego.

- Jacy byli jego rodzice? Jego dzieciństwo?

Tony nadal się uśmiechał, ale wyglądał na zmieszanego.

- Czy prawda o tym ma dla ciebie takie duże znaczenie?

- Nie miałyby żadnego - wybuchła Aleksandra z rozpaczą - gdyby nie to, że każdy milknie, gdy pytam o jego rodziców.

- Kogo pytałaś?

- No, Gibbonsa i Smartha.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Tony zatrzymując się i spoglądając na nią z rozbawieniem i przerażeniem. - Uważaj, żeby cię nie złapał na tym Jordan. Zabrania poufałości ze służbą. To rodzinne tabu... chociaż nie w mojej gałęzi rodziny - dodał. - Mamy tylko sześciu służących, więc trudno traktować ich bezosobowo.

Tony przerwał na chwilę i przystanął, by zerwać różę w maleńkim ogrodzie. - Powinnaś o to wszystko zapytać Jordana.

- Nie powie mi. Dawno temu powiedziałam mu, że wolę prawdę od banałów. Wczoraj wieczorem, gdy zapytałam go, dlaczego nie lubi Hawthorne, odpowiedział, że próbuje nauczyć się wyrażać swoje myśli i uczucia, ale nie jest jeszcze w stanie całkowicie obnażyć swojej duszy. Powiedział, że będziemy musieli nad tym popracować - dodała ze słabym uśmiechem przypominając sobie jego przekorny ton. - Obiecał, że kiedyś odpowie na moje pytanie.

- Mój Boże! - wykrzyknął Tony patrząc na nią w zadziwieniu. - Jordan to powiedział? Musi mu na tobie o wiele bardziej zależeć, niż przypuszczałem. - Wetknął jej różę za ucho i połaskotał podbródek.

- To jest tajemnica, którą muszę rozwiązać - naciskała Aleksandra.

- Ponieważ się w nim zakochujesz?

- Ponieważ jestem przerażająco, niewiarygodnie ciekawa - wykręciła się, a kiedy Tony najwyraźniej odmawiał jej prośbie, westchnęła ciężko.

Tony zawahał się, a potem współczucie wzięło w nim górę.

- Dobrze, skoro to nie jest tylko ciekawość, postaram się odpowiedzieć na twoje pytania. Co chcesz wiedzieć?

Aleksandra wyciągnęła różę zza ucha i zamyślona kręciła ją w palcach.

- Po pierwsze, czy było coś dziwnego w Hawthorne, gdy dorastał? Jakie było jego dzieciństwo?

- Wśród szlacheckich rodzin - powoli zaczął Tony - przyjęte jest, że dziedzic otaczany jest ze strony rodziców szczególną opieką. W przypadku Jordana było to szczególnie przestrzegane, bo tak się stało, że był ich jedynym dzieckiem. Podczas gdy ja wspinałem się po drzewach i mogłem taplać się w błocie, od Jordana zawsze wymagano, aby pamiętał o swojej pozycji. Musiał być czysty, schludny, punktualny, poważny i w każdej chwili zdawać sobie sprawę ze swojej ważności. Jego ojciec i matka zgadzali się całkowicie co do jednej rzeczy, to znaczy co do przewagi swojego tytułu nad innymi. W przeciwieństwie do synów innych arystokratów, którym pozwalano bawić się z dziećmi, które mieszkały w ich posiadłościach - nawet jeśli to były dzieci służących - dla mojego wujostwa było niewyobrażalne, by Jordan kontaktował się z kimkolwiek stojącym niżej od niego. A skoro mali książęta i hrabowie należą do rzadkości, zwłaszcza w tej części kraju, dorastał w kompletnej samotności.

Tony przerwał na chwilę i patrząc na czubki drzew westchnął.

- Zastanawiałem się często, jak mógł znieść swoją samotność.

- Ale z pewnością rodzice Jordana nie uznawali twojego towarzystwa za niedopuszczalne.

- Nie, ale rzadko odwiedzałem Hawthorne, chyba że mojego wujostwa nie było. Nie mogłem znieść dusznej atmosfery tego domu; przyprawiała mnie o dreszcze. Poza tym mój wuj dał jasno do zrozumienia mnie i moim rodzicom, że moja obecność w Hawthorne nie jest pożądana. Mówili, że odrywam Jordana od nauki i zaprzętam go nieważnymi rzeczami. Gdy miał wolny czas, wolał przyjeżdżać tutaj, niż żeby ja jechał do Hawthorne, ponieważ uwielbiał moją matkę i lubił być z nami - kończył ze smutnym uśmiechem. - Kiedy miał osiem lat, chciał mi oddać swoje dziedzictwo za moją rodzinę. Zaproponował, że pozwoli mi zostać markizem, jeśli zamieszkać w Hawthorne.

- Nie tak wyobrażałam sobie jego życie - rzekła Aleksandra, gdy Tony zamilkł. - Kiedy byłam mała, myślałam, że to cudownie być bogatym.

Wspomniała swoje dzieciństwo; zabawy, w jakie grała, beztroskie, szalone lata, ciepło jej przyjaźni z Mary Ellen i jej rodziną. Poczuła ogromny smutek na wieść o tym wszystkim, czego pozbawione było dzieciństwo Jordana.

- Nie wszystkie dzieci arystokratów są wychowywane tak surowo.

- A jego rodzice, jacy dokładnie byli?

Patrzyła na niego z tak szczerą troską, że pogłaskała ją po ramieniu gestem pocieszenia i kapitulacji.

- Mówiąc krótko, matka Jordana była latawicą, której kolejne podboje stały się sławne szeroko poza tą okolicą. Nie wydawało się, by mój wuj się tym przejmował. Zdaje się, że postrzegał kobiety jako istoty słabe i amoralne, które nie potrafią panować nad namiętnościami, a przynajmniej tak mówił. Z drugiej strony był tak samo rozwiązły jak ona. Jeśli zaś chodzi o Jordana, w stosunku do niego zawsze był bardzo surowy. Nigdy nie pozwalał mu zapomnieć, że jest Townsende'em i następnym księciem Hawthorne'em. Upierał się, by Jordan był sprytniejszy, odważniejszy, bardziej dystyngowany i bardziej godny imienia Townsende'ów niż jakikolwiek Townsende przed nim. Im bardziej Jordan starał się mu dogodzić, tym bardziej wymagający się stawał. Jeżeli Jordanowi słabo szła lekcja, jego nauczyciel był upoważniony, by go bić, jeżeli nie pojawił się na kolacji równo z wybicciem godziny dziewiętej - ani o minutę wcześniej, ani o minutę później - nie mógł jeść aż do następnego wieczora. Kiedy miał osiem czy dziewięć lat, był już lepszym jeźdźcem niż większość dorosłych mężczyzn, ale była jedna przeszkoda, której rumak Jordana nie chciał przeskoczyć. Nie wiem, czy dlatego, że Jordan był zbyt mały, żeby go zmusić, czy dlatego, że być może sam się jej trochę bał. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Nikt z jeźdźców nie śmiał stawić czoła żywopłotowi, za którym płynął strumień, ale mój wuj podjechał do niego i wstrzymał całe polowanie. W obliczu nas wszystkich oskarżył Jordana o tchórzostwo. A potem zmusił go do pokonania żywopłotu.

- I pomyśleć - powiedziała Aleksandra głosem napiętym z bólu - że zawsze myślałam, że dzieci, których ojcowie mieszkają z nimi, mają więcej szczęścia niż ja. Czy on... pokonał tę przeszkodę?

- Trzy razy - sucho powiedział Tony. - Za czwartym jego koń poniósł i gdy Jordan leżał na ziemi, skoczył na niego i złamał mu rękę.

Aleksandra pobladła, ale Tony był tak pochłonięty swoją opowieścią, że tego nie zauważył.

- Oczywiście Jordan nie płakał. Nie pozwalano mu płakać, nawet gdy był małym chłopcem. Według mojego wuja łyzy były niemęskie. Miał bardzo sztywne pojęcie o tego typu rzeczach.

Aleksandra spojrzała w słońce hamując łyzy.

- Jakie pojęcie?

- Wierzył, że mężczyzna był prawdziwym mężczyzną tylko wtedy, gdy był twardy i samowystarczalny. Wychowywał Jordana, by też tak myślał. Wszystkie uczucia, które były oznaką miękkości, były niemęskie i dlatego obrzydliwe. Sentymentalizm był miękki - niemęski, tak jak miłość i szczerze uczucia. Wszystko, co obnażało słabość mężczyzny było niemęskie. Mój wuj sprzeciwiał się również wszelkiej frywolności, z wyjątkiem zabaw z płcią przeciwną, które uważał za typowo męskie. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widział go, jak się śmieje prawdziwym, szczerym śmiechem zrodzonym z radości, a nie sarkazmu. Jeśli o to chodzi, rzadko również widywałem śmiejącego się Jordana. Wszystko, co miało znaczenie dla mojego wuja, to praca i przewyższanie innych we wszystkim. Jak zapewne zauważyłaś, jest to raczej dziwne u arystokraty.

- Ja go rozśmieszam - powiedziała Aleksandra z mieszaniną dumy i smutku.

Tony uśmiechnął się.

- Ten twój uśmiech rozjaśniłby serce każdego mężczyzny.

- Nic dziwnego, że nie chciał rozmawiać o swoim dzieciństwie.

- Z determinacji mojego wuja, by Jordan był najlepszy we wszystkim, co robi, wynikło parę dobrych rzeczy.

- Jakich rzeczy? - niedowierzająco zapytała Aleksandra.

- Cóż, Jordan był zmuszony przodować w nauce i gdy poszliśmy na uniwersytet, tak wszystkich wyprzedzał, że musiał mieć indywidualne kursy na tematy, o których reszta nawet nie słyszała. Co więcej, najwyraźniej znalazł sposób, by zastosować to, czego się zdołał nauczyć, w praktyce. Kiedy umarł jego ojciec, Jordan miał tylko dwadzieścia lat. Razem z tytułem odziedziczył jedenaście posiadłości, ale skarbcze Townsende'ów nigdy nie były pełne, a Hawthorne było jedyną posiadłością utrzymaną jako tako. W ciągu trzech lat Jordan sprawił, że każdy z jego majątków kwitł, a on był na najlepszej drodze, by stać się jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Wcale nie małe osiągnięcie jak na dwudziestotrzylatka. Poza tym niewiele mógłbym ci o nim powiedzieć.

Niezmiernie wdzięczna Aleksandra uściskała mocno Tony'ego. Uśmiechnęła się do niego wciąż jeszcze drżąc z emocji i zaskoczenia.

- Dziękuję - powiedziała po prostu z wdzięcznością i zatroskana spojrziała w niebo. - Nie mogę zostać dłużej. Miało mnie nie być godzinę, a już minęło więcej czasu.

- Co się stanie, jak się spóźnisz? - zażartował Tony, ale wyglądał na zaniepokojonego.

- Zostanę przyłapana na nieposłuszeństwie. - I?

- I przegram mój zakład z Jordanem.

- Jaki zakład?

Aleksandra zaczęła wyjaśniać, ale czułość i lojalność wobec dumnego, choć tyranizującego ją męża, wzięła nad nią górę. Nie mogła zawstydić Jordana wobec jego kuzyna mówiąc, że zgodziła się przyjechać do Hawthorne tylko dlatego, że Jordan ją przekupił.

- To tylko taki głupi zakład - zakończyła, gdy Tony pomagał jej wsiąść do powozu.

* * *

Pogrążona w myślach Aleksandra ominęła służącego, który wybiegł z domu, aby wziąć od niej wodze, i pojechała prosto do stajni, które były położone na tyłach i z dala od rezydencji. W głowie tkwiła jej tragiczna opowieść Tony'ego o dzieciństwie Jordana budząc w sercu żal i współczucie. Rozumiała teraz postępowanie Jordana, które ją zadziwiało, gniewało i raniło. Zrozumiała przyczyny tej subtelnej zmiany, jaka w nim zaszła po przyjeździe do Hawthorne. I pomyśleć, że gdy była dziewczynką, rzeczywiście wierzyła, że do pełni szczęścia wystarczyło tylko, by mieszkali z nią oboje rodzice. Zdała sobie sprawę, że jej dziadek jak zwykle miał rację, kiedy powtarzał, że nikt nie jest całkiem taki, na jakiego wygląda.

Była tak zaabsorbowana swoimi myślami, że nie odezwała się do Smartha, kiedy podjechała pod stajnie, a on pospieszył, by pomóc jej wsiąść z powozu. Popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, a potem odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Smarth pomyślał, że jego pani patrzyła przez niego, jakby był niewidzialny, ponieważ zawiódł jej zaufanie i uczucia odmawiając rozmowy na temat pana.

- Pani! - wykrzyknął za nią z bólem i obawą.

Aleksandra odwróciła się i spojrziała na niego, ale w myślach wciąż widziała małego chłopca, któremu nigdy nie pozwolono być dzieckiem.

- Pani, proszę! - powiedział stajenny nieszczęśliwie. - Niech pani na mnie nie patrzy, jakbym ją zranił do żywego. - Ściszył głos i kiwnął w stronę płotu, przy którym brykały dwa źrebaki, parszające radośnie. - Jeżeli podejdzie pani ze mną do tego płotu, powiem pani coś, co chciała pani wiedzieć.

Z wysiłkiem Aleksandra skoncentrowała się na nieszczęśliwym służącym i zrobiła, o co prosił.

Smarth patrzył na konie i zastanawiał się, jak zacząć.

- Ja i Gibbons rozmawialiśmy o tym i zdecydowaliśmy, że ma pani prawo wiedzieć, dlaczego panicz jest taki, jaki jest. Zawsze był szorstkim mężczyzną, moja pani, ale z tego, co się dzieje między wami, może pani odnieść wrażenie, że jest twardy jak skała.

Aleksandra otworzyła usta, by powiedzieć zatroskanemu służącemu, że nie ma potrzeby, by zdradzał tajemnice swego pana. Jednak jego następne słowa ją powstrzymały.

- Zdecydowaliśmy się powiedzieć panience prawdę, bo z tego, co słyszeliśmy, panienka zamierza zostać w Hawthorne i być pana żoną nie dłużej niż trzy miesiące.

- Jak na wszystkie...? - wybuchła Aleksandra.

- Poczta pantoflowa, moja pani - wyznał Smarth z odrobiną dumy. - Śmiem powiedzieć, że Hawthorne ma najlepszą w całej Anglii. Cała służba w ciągu dwudziestu minut wie, co się stało, chyba że jedyne osoby, które coś wiedzą to pan Higgins czy pani Brimley, gosposia. Ich usta są ciasne jak szparka dzie... Nigdy nic nikomu nie mówią - poprawił się czerwieniejąc.

- Muszą być dla was ogromnie irytujący - powiedziała Aleksandra sucho, gdy jeszcze bardziej zaczerwienił się.

Przestąpił z nogi na nogę, włożył ręce do kieszeni, wyjął je i popatrzył na nią z konsternacją. Jego pomarszczona twarz stawała się coraz bardziej nieszczęśliwa.

- Chciała pani, cobym jej powiedział o rodzicach jaśnie pana i razem z Gibbonssem zgodziliśmy się, że nie nam się panience sprzeciwiać. Poza tym, panienki prawo znać prawdę.

I cichym, zakłopotanym tonem powiedział jej prawie dokładnie to samo, co wcześniej usłyszała od Tony'ego.

- I teraz, gdy panienka wie, jak tu było przez te wszystkie lata - kończył - ja i Gibbons mamy nadzieję, że panienka zostanie i wniesie trochę śmiechu do tego domu, tak jak wcześniej, gdy panienka tu była. Prawdziwego śmiechu, nie takiego, co rodzi się w ustach, ale takiego, co rodzi się w sercu, tak jak poprzednio. Panicz nigdy wcześniej nie słyszał niczego takiego w Hawthorne. Zrobiłoby mu to dużo dobrego, gdyby się do panienki śmiechu przyłączył.

Wszystko, czego Aleksandra się dowiedziała, przez resztę dnia wirowało jej w głowie jak w szalonym kalejdoskopie, zmieniało się, przybierało coraz to nowe kształty i wymiary jeszcze długo potem, kiedy Jordan czule ją objął i zasnął.

Świtało już, a ona wciąż nie spała patrząc w sufit. Wahala się, czy ma zrobić coś, co mogłoby uczynić ją ponownie wrażliwą na urok Jordana. Do tej pory jej celem było opuszczenie go i dlatego starannie kontrolowała wszystkie swoje emocje.

Odwróciła się plecami do Jordana, a on przez sen otoczył ją ramieniem i przytulił się do jej pleców, chowając twarz w jej włosy, a dłonią obejmując jej pierś, co sprawiło, że przez ciało Sandy przeszedł dreszcz rozkoszy.

Z rezygnacją zdała sobie sprawę, iż nie ma co udawać sama przed sobą, że go nie pragnie. Mimo że był libertynem, pozbawionym serca bawidamkiem i niechętnym mężem, pragnęła go. W bezpiecznej ciszy swego serca wreszcie chciała to przyznać... Zrozumiała, że Jordan jest kimś więcej niż tylko zepsutym, płytkim arystokratą.

Pragnęła jego miłości, zaufania, dzieci. Chciała sprawić, by dom ten zadźwięczał śmiechem i żeby Hawthorne było dla niego piękne. Chciała sprawić, by cały świat wydawał mu się piękny.

Tony, księżna babka i nawet Melania wierzyli, że może sprawić, by Jordan się w niej zakochał. Teraz wiedziała, że nie może się poddać nie próbując.

Nie wiedziała jednak, jak będzie żyła dalej, gdy jej się to nie uda.

ROZDZIAŁ 26

- Mój panie - wyszeptła następnego poranka.

Jordan otworzył jedno zaspane oko i zobaczył swoją żonę wyglądającą świeżo i rażno, gdy siedziała na jego łóżku.

- Dzień dobry - wymamrotał, a jego wzrok powędrował do głębokiego wycięcia w kształcie V w jej porannej sukni, które zachęcająco odsłaniało jej piękne ciało.

- Która godzina? - zapytał rozspanym głosem. Popatrzył w okno i zdał sobie sprawę, że niebo nie jest niebieskie, ale jeszcze szare i znaczone delikatnym różem.

W przeciwieństwie do Jordana Aleksandra chociaż nie spała całą noc, nie czuła niewyspania.

- Szósta - odpowiedziała radośnie.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknął. Przerażony tak wczesną godziną szybko zamknął oczy i zażądał wyjaśnienia, dlaczego obudziła go o świcie.

- Czy ktoś jest chory? - Nie.

- Ktoś umarł? - Nie.

Na jego ustach wykwitł słaby uśmiech, który złagodził rysy jego twarzy.

- Choroba albo śmierć są jedynymi powodami, by budzić porządnego człowieka tak rano. Wskakuj do łóżka.

Aleksandra roześmiała się na tę senną pokusę, ale pokręciła głową.

- Nie.

Mimo zamkniętych oczu i ogarniającej go senności Jordan dostrzegł niezwykle radosny uśmiech na twarzy swojej żony i także to, że jej biodro naciskało na jego udo. Uśmiechy Aleksandry zazwyczaj były pełne rezerwy i kiedy to tylko było możliwe, starannie unikała jego dotyku, chyba że się kochali.

Ciekawość, jaki jest powód jej miłego, ale niezwyklego zachowania sprawiła, że otworzył oczy i spojrzał na nią. Z włosami spływającymi na ramię i z tryskającą zdrowiem cerą wyglądała rozkosznie. Sprawiała przy tym wrażenie osoby, która coś knuje.

- I co? - zapytał lekko, powstrzymując nagłą ochotę, by wciągnąć ją do łóżka. - Jak widzisz, już nie śpię.

- Dobrze - powiedziała, kryjąc niepewność za diabelskim uśmiechem - ponieważ dzisiaj rano chciałabym zrobić coś szczególnego.

- O tej porze? - zaprotestował Jordan. - Co można zrobić o tej porze poza zaczajeniem się na trakcie, walnięciem niczego nieświadomego podróżnego w głowę i zabraniem jego sakwy. Tylko złodzieje i służący są o tej porze na nogach.

- Nie musimy wychodzić od razu - zaczęła się wycofywać Aleksandra tracąc odwagę i spodziewając się jego odmowy. - Ale o ile dobrze pamiętam, obiecałeś, że będziesz się starał, bym cię zaakceptowała.

- A co chcesz robić? - zapytał wzdychając ciężko i przypominając sobie w myśli, do jakich zazwyczaj rzeczy starały się go namówić kobiety.

- Zgadnij.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł do wioski kupić nowy kapelusik - rzucił bez entuzjazmu.

Pokręciła głową, a jej włosy opadły na lewe ramię i pierś.

- Chcesz pojechać na wczesną konną przejażdżkę, żeby zobaczyć wschód słońca i go namalować.

- Nie potrafię narysować nawet prostej linii - przyznała Aleksandra. Wciągnęła głęboko powietrze i zebrała całą swoją odwagę.

- Chcę iść na ryby - oznajmiła.

- Na ryby? - powtórzył Jordan patrząc na nią, jakby postradała rozum. - O tej porze chcesz, żebym poszedł z tobą na ryby?

Zanim odpowiedziała, zakopał się głębiej w pościel i zamknął oczy najwyraźniej odrzucając ten pomysł, ale gdy się odezwał, w jego głosie słychać było śmiech.

- Ale tylko pod warunkiem, że zabierzemy ze sobą jedzenie, które ocali nas od śmierci głodowej.

Zachęcona jego tonem kusił dalej.

- Wcale nie musiałbyś mnie uczyć właściwej techniki, bo wiem, jak się łowi ryby.

Otworzył jedno oko.

- A skąd wiesz, że ja wiem, jak to się robi? - zapytał z rozbawieniem.

- Jeżeli nie wiesz, to ci pokażę.

- Dziękuję, ale dam sobie sam radę - odpowiedział szorstko, patrząc na nią z zastanowieniem.

- Dobrze - ucieszyła się Aleksandra z ulgą. - To tak jak ja. Mogę sama robić wszystko, nawet zakładać robaka na haczyk...

- Wspaniale, w takim razie będziesz mogła zaopatrzyć i mój haczyk. Odmawiam budzenia bezbronnych robaków o tak barbarzyńskiej godzinie, a potem popełniania zbrodni przez torturowanie ich.

Jego humor był tak zaraźliwy, że Aleksandra roześmiała się wesoło. Wstała z łóżka i poprawiła pasek.

- Zajmę się przygotowaniami - powiedziała radośnie i ruszyła do swojej sypialni.

Opierając się z powrotem na poduszkach Jordan podziwiał nieświadomie uwodzicielskie kołysanie jej bioder, gdy odchodziła. Walczył z pokusą wciągnięcia jej do łóżka i spędzenia następnej godziny na rozkosznych i skutecznym płodzeniu dziedzica. Nie chciał iść na ryby i nie rozumiał, dlaczego ona chce. Był jednak pewny, że ma jakiś powód i był ciekaw jaki.

Gdy przejeżdżali przez wysokie wzniesienie, które zasłaniało z domu szeroki, rwący strumień, uświadomił sobie, że Aleksandra rzeczywiście „zajęła się przygotowaniami”.

Przywiązali konie do drzew u podnóża wzniesienia i ruszyli w dół strumienia, gdzie pod ogromnym dębem rozłożony był wielki niebieski koc.

- Co to jest? - zapytał wskazując na stojące obok koca dwa olbrzymie kosze i jeden mały.

- Śniadanie - odpowiedziała Aleksandra patrząc na niego z rozbawieniem. - I sądząc po ilości, pewnie też obiad. Najwyraźniej kucharz nie wierzy w twoje zdolności łowieckie.

- W każdym razie nie mogę poświęcić więcej jak godzinę na próbowanie.

Aleksandra przerwała rozkładanie wędek, a na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie.

- Godzinę?

- Mam dzisiaj do zrobienia tuzin rzeczy - odpowiedział. Pochylił się i wybrał jedną z wędek przyniesionych wcześniej przez służących. - Jestem bardzo zajęty, Aleksandro - dodał wyjaśniająco.

- Jesteś również bardzo bogaty - odpowiedziała próbując zgiąć swoją wędkę. - Dlaczego musisz ciągle tak ciężko pracować?

Zastanowił się przez chwilę i roześmiał się.

- Po to, żeby nadal być bardzo bogatym.

- Jeżeli za bogactwo trzeba zapłacić odpoczynkiem i radością życia, to według mnie jest to zbyt wygórowana cena - powiedziała przykucając i patrząc na niego.

Jordan zmarszczył brwi z namysłem i starał się przypomnieć sobie, który filozof był autorem tych słów.

- Kto to powiedział? Uśmiechnęła się zadziornie. - Ja.

Jordan pokręcił głową w niemym uznaniu dla jej bystrości. Potem założył robaka na haczyk i podszedł do brzegu. Usiadł obok ogromnego przewróconego drzewa z gałęziami zanurzonymi w wodzie i zarzucił wędkę.

- To nie jest najlepsze miejsce na największe sztuki - stwierdziła jego żona z wyższością, podchodząc do niego. - Potrzywasz mój kij?

- Myślałem, że powiedziałaś, że sama dasz sobie radę ze wszystkim - droczył się z nią i zauważył, że zdjęła buty i pończochy. Zanim zdał sobie sprawę, co zamierza zrobić, Aleksandra podkasała spódnicę ukazując parę szczupłych łydek, kształtnych kostek i drobne nagie stopy. Potem z gracją gazeli wdrapała się na szeroki pień leżącego drzewa.

- Dziękuję - powiedziała sięgając po wędkę.

Spodziewał się, że usiądzie teraz na pniu, ale ku jego zaskoczeniu i zaniepokojeniu ruszyła po grubej gałęzi zwieszającej się nad rwącą rzeką balansując jak akrobata.

- Wracaj! - ostro powiedział Jordan ze zdenerwowania podnosząc głos. - Możesz spaść!

- Pływam jak ryba - powiedziała uśmiechając się przez ramię, a potem usiadła. Bosonoga księżniczka, której kształtne nogi dyndały nad wodą i w której włosach błyszczało słońce.

- Łowią ryby od czasu, gdy byłam małą dziewczynką - rzuciła uprzejmym tonem zanurzając wędkę w wodzie. Jordan pokiwał głową.

- Penrose cię nauczył.

Uśmiechając się w duchu Jordan pomyślał, że dobrze ją nauczył, bo sięgnęła do koszyka z robakami i wyciągnawszy jednego, dzielnie nałożyła go na haczyk.

Najwyraźniej ich myśli podążały w jednym kierunku, ponieważ chwilę później uśmiechnęła się do niego.

- Cieszę się, że nie tak całkiem brzydzą cię robaki.

- Nigdy mnie nie brzydziły - zaprotestował ze śmiertelną powagą. - Nienawidzę jedynie tego dźwięku, jaki wydają, gdy się je nadziewa na haczyk. Normalnie zabijamy przedtem to, czego chcemy użyć na przynętę. Tak jest bardziej humanitarnie, nie sądzisz?

- Nie ma żadnego dźwięku! - zaprzeczyła Aleksandra żarliwie, ale wyglądała na tak pewnego siebie, że jej własna pewność troszkę zmaląa.

- Tylko ludzie obdarzeni wyjątkowym słuchem go wyczuwają - argumentował Jordan z kamienną twarzą.

- Penrose powiedział mi, że to ich nie boli - powiedziała skonsternowana.

- Penrose jest głuchy jak pień. Nie słyszy ich krzyku.

Aleksandra popatrzyła na wędkę z obrzydzeniem i przerażeniem. Jordan odwrócił twarz, by ukryć śmiech, ale trzęsące się ramiona zdradzały jego wesołość. Aleksandra w końcu to zauważyła. Za chwilę garść gałązek i liści uderzyła go w lewe ramię.

- Bestia - rzuciła rozkosznie ze swojego miejsca.

- Moja droga, głupiutka żono - odpowiedział uśmiechając się szatańsko i spokojnie otrzepywał się ze śmieci - gdybym tak jak ty tkwił nad wodą na czubku drzewa byłbym bardzo ostrożny i traktował męża z większym szacunkiem. - Aby zaprezentować, co miał na myśli wyciągnął dłoń i lekko zakołysał drzewem.

Jego pozbawiona moresu żona uniosła kształtne brwi.

- Mój drogi, głupiutki mężu - zaczęła miękko, a jej słowa sprawiły, że Jordan niespodziewanie poczuł ciepło - gdybyś wysadził mnie z mojego miejsca, popełniłbyś ogromny błąd. Naraziłbyś siebie samego na zmoknięcie.

- Siebie? - zdziwił się rozkoszując się ich przekomarzaniem się. - Dlaczego?

- Ponieważ - cicho, ale szczerze odpowiedziała - nie umiem pływać.

Jordan pobladł i zerwał się na równe nogi.

- Na litość boską - rozkazał jej ostro - nie ruszaj się nawet o milimetr! Woda jest tu wystarczająco głęboka, byś mogła utonąć i tak mulista, że pod jej powierzchnią nie dostrzegłbym cię. Siedz nieruchomo, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Ze zwinnością atlety podciągnął się na drzewo i zaczął iść w jej kierunku posuwając się po gałęzi, dopóki nie znalazła się w zasięgu jego ramion.

- Aleksandro - zaczął spokojnym tonem, dodając jej otuchy - jeżeli podejdziesz bliżej, pod moim ciężarem gałąź może się złamać lub zgiąć.

Zbliżył się do niej o parę centymetrów i pochylił się wyciągając rękę.

- Nie bój się. Chwyć tylko moją rękę.

Jordan z ulgą stwierdził, że choć raz nie oponowała. Złapała jego lewą dłoń, a drugą ręką dla równowagi chwyciła gałąź. Potem wyciągnęła ją do niego, a jego palce zacisnęły się mocno wokół jej nadgarstka.

- A teraz oprzyj stopy na gałęzi i wstań.

- Wolałabym nie! - krzyknęła.

Zdziwiony zmrużył oczy patrząc na jej roześmianą twarz, a ona ścisnęła mocniej jego nadgarstek.

- Wolałabym popływać, a ty nie?

- Nawet nie próbuj - ostrzegł ponuro Jordan nie mogąc uwolnić nadgarstka. Zgięty w pół, z uwięzionym ramieniem, był całkowicie zdany na jej łaskę i oboje o tym wiedzieli.

- Jeżeli nie potrafisz pływać, uratuję cię - zaoferowała się słodko.

- Aleksandro - zagroził miękko, ale złowieszczym tonem - jeżeli wrzucisz mnie do tej lodowatej wody, będziesz płynąć w przeciwnym kierunku, aby ocalić życie.

Mówił prawdę i ona o tym wiedziała.

- Tak, panie - zgodziła się posłusznie i uwolniła jego nadgarstek.

Jordan wyprostował się powoli i patrzył na nią z rozbawieniem i złością.

- Jesteś najbardziej skandaliczną... - przerwał nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Dziękuję - odpowiedziała radośnie. - Przewidywalność jest taka nudna, nie sądzisz? - zawołała za nim, gdy odwrócił się i miękko zeskoczył z pnia.

- Skąd mam to wiedzieć? - odparł z rozbawieniem prostując się na trawie i podnosząc wędkę. - Od chwili, gdy na ciebie spojrzałem, nie miałem nawet jednej przewidywalnej minuty.

Następne trzy godziny minęły błyskawicznie. Jordan musiał przyznać, że Aleksandra była nie tylko wybornym wędkarzem, ale również wspaniałym, dowcipnym kompanem.

- Patrz! - zawołała nagle, gdy wędka Jordana prawie się złamała, a on walczył, by ją utrzymać. - Ale to musi być sztuka!

Po pięciu minutach najbardziej podstępnych manewrów i zażartej batalii, żyłka nagle się zerwała. Sandy, która stała na drzewie, skąd obserwowała bezowocną walkę dopingującego, jęknęła i załamała z niesmakiem rękę.

- Straciłeś rybę!

- To nie była ryba - bronił się Jordan patrząc na nią w górę. - To był wieloryb z ogromnymi zębami.

- Tylko dlatego, że uciekł - zripostowała śmiejąc się. Zarówno jej śmiech, jak i entuzjazm były tak zaraźliwe, że Jordan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, chociaż starał się, by jego głos brzmiał surowo.

- Bardzo cię proszę, byś przestała pomniejszać mojego wieloryba i otworzyła te kosze. Umieram z głodu.

Odsunął się i patrzył z niemym uwielbieniem, jak szła po pochyłym pniu. Kiedy chciała podać mu wędkę i zeskoczyć, złapał ją w pasie i zestawiał. Poczuł, że zeszywniała, gdy jej dotknął, więc szybko ją puścił.

Radość, jaką sprawił mu ten poranek, zniknęła, gdy spróbował jej dotknąć. Usiadł naprzeciwko niej na kocu i oparty o drzewo przyglądał się jej w milczeniu, podczas gdy ona

rozpakowywała kosze z jedzeniem. Próbował odgadnąć, dlaczego nalegała na to wyjście. Najwyraźniej nie chciała, aby była to romantyczna schadzka.

- To był cudowny poranek - powiedziała Aleksandra patrząc na promienie słońca igrające na powierzchni wody.

Jordan podciągnął jedno kolano pod brodę i objął je ramieniem.

- Teraz, gdy skończyliśmy, spodziewam się, że powiesz mi, po co to wszystko - rzekł obojętnie.

Aleksandra oderwała wzrok od wody i spojrzała na niego.

- Co masz na myśli?

- Dlaczego chciałaś spędzić ze mną poranek w tak szczególny sposób?

Spodziewała się, że będzie go to zastanawiało, ale nie sądziła, że tak otwarcie zapyta i nie miała przygotowanej odpowiedzi.

- Chyba chciałam ci pokazać, jaki styl życia odpowiada mi najbardziej - odpowiedziała wzruszając ramionami.

Na jego twarzy pojawił się cyniczny uśmiech.

- I sądzisz, że teraz, gdy wiem, że nie jesteś wcale taką ugiadzoną, elegancką, młodą kobietą, na jaką wyglądasz, zatrzęsę się z obrzydzenia i odeślę cię do Morsham, czy tak?

Było to tak dalekie od prawdy, że Aleksandra wybuchnęła śmiechem.

- I za sto lat nie wymyśliłabym tak diabelskiego planu - odparła. - Obawiam się, że nie mam aż takiej inwencji. - Przez sekundę mogłaby przysiąc, że zobaczyła w jego szarych oczach ulgę i zapragnęła przywrócić beztroski nastrój, jaki towarzyszył im podczas łowienia ryb.

- Nie wierzysz mi, prawda?

- Nie jestem pewny.

- Czy kiedykolwiek zrobiłam coś, co sprawiło, że pomyślałeś, że jestem nieuczciwa?

- Twoja płęć nie słynie ani z prostolinijności, ani szczerości - odpowiedział cierpko.

- Czego winna musi leżeć po stronie mężczyzn - droczyła się leżąc na plecach. Założyła ręce na kark i patrzyła na pierzaste białe chmury statecznie płynące po błękitnym niebie. - Mężczyźni nie zniesliby tego, gdybyśmy byli prostolinijni i szczerzy.

- Naprawdę? - zdziwił się kwaśno, po czym wyciągnął się obok niej i oparł na łokciu.

Pokiwała głową i odwróciła się w jego stronę.

- Gdyby kobiety były prostolinijne i tępe, nie byłibyśmy w stanie przekonać was mężczyzn, że jesteście sprytniejsi, mądrzejsi i odważniejsi od nas. Prawda zaś jest taka, że

górujecie nad nami tylko brutalną siłą, niekiedy przydatną do podnoszenia ciężkich przedmiotów.

- Aleksandro - wyszeptał zbliżając usta do jej ust - strzeż się zadarcia z męskim ego. Zmusza go to do okazania swojej dominacji w sposób uznany od zawsze.

Jego głęboki głos i uwodzicielski błysk oczu sprawiły, że serce Aleksandry zaczęło walić jak młot. Marzyła, aby objąć go i przyciągnąć do siebie.

- Czy zadarłam z twoim ego? - Tak.

- Ponieważ powiedziałam, że kobiety są sprytniejsze, mądrzejsze i dzielniejsze niż mężczyźni?

- Nie - wyszeptał, a jego uśmiechnięte usta niemal dotykały jej. - Ponieważ złapałaś większą rybę niż ja.

Jej śmiech został stłumiony przez jego pocałunek. Czując całkowite oszołomienie i głęboką radość, Jordan po długim, namiętym pocałunku położył się obok niej. Popatrzyła na niego zdziwiona i trochę rozczarowana.

- Później - obiecał z leniwym uśmiechem, który sprawił, że zaczerwieniła się, a potem uśmiechnęła i odwróciła wzrok. Po chwili zdawało mu się, że zafascynowało ją coś na niebie.

- Na co patrzysz? - nie wytrzymał w końcu obserwujący ją Jordan.

- Na smoka - odpowiedziała. Ponieważ sprawiał wrażenie, że nic nie rozumie, uniosła rękę i wskazała na niebo. - O tam, ta chmura, co widzisz, gdy na nią patrzysz?

- Olbrzymią chmurę.

Aleksandra spojrzała na niego.

- Co jeszcze widzisz?

Przez moment obserwował w milczeniu niebo.

- Jeszcze pięć dużych chmur i trzy małe.

Ku jego zdziwieniu wybuchła śmiechem, przewróciła się na bok i pocałowała go z całej siły w usta. Kiedy spróbował ją przytrzymać i kochać się z nią, cofnęła się i nalegała na dalszą obserwację nieba.

- Czy jesteś całkowicie pozbawiony wyobraźni? - skarciła go miękko. - Popatrz na te chmury, na pewno chociaż jedna coś ci przypomina. Może to być coś szalonego albo rzeczywistego.

Poruszony jej insynuacją, że nie ma wyobraźni, Jordan zmrużył oczy i wpatrywał się intensywnie w chmury i wreszcie dostrzegł kształt, który rozpoznał. Daleko na niebie, po prawej stronie była chmura, która wyglądała identycznie jak... piersi! Akurat gdy to pomyślał, Aleksandra zapytała go, co widzi. Całe jego ciało zatrzęsło się z powstrzymywanego śmiechu.

- Myślę - powiedział pospiesznie. Spiesząc się, by wymyślić kształt do zaakceptowania, nagle go znalazł.

- Łabędzia - powiedział, a potem powtórzył niemal z przerażeniem - widzę łabędzia.

Jordan szybko zdał sobie sprawę, że studiowanie chmur było niespodziewanie przyjemnym zajęciem. Zwłaszcza gdy Aleksandra wsunęła swoją dłoń w jego, a jej ciało przylegało do jego. Jednak już kilka minut później jej rozpraszająca bliskość i zapach perfum stały się zbyt podniecające, by je znieść obojętnie. Oparł się na przedramieniu, a drugą ręką objął ją i powoli pocałował. Jej odpowiedź na jego pierwszy pocałunek była tak ciepła i chętna, że serce zaczęło mu topnieć. Oderwał swoje usta od jej warg i patrzył na jej ukochaną twarz czując w całym ciele ciepło i łagodność.

- Czy mówiłem ci już - wyszeptał poważnie - jak jesteś słodka?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją namiętnie.

* * *

Było już po południu, gdy wrócili do stajni, Nieświadoma zaciekawionych spojrzeń Smartha i ponad dwudziestu stajennych i innych służących, którzy byli najwyraźniej ciekawi, jak udała się poranna przejażdżka, Aleksandra oparła dłonie na szerokich ramionach Jordana uśmiechając się do niego, gdy uniósł ją, by pomóc jej zsiąść z konia.

- Dziękuję za uroczy dzień - powiedziała, gdy opuszczał ją na ziemię. - Bardzo proszę - odpowiedział, a jego dłonie wciąż otaczały jej talię trzymając ją tylko o centymetry od jego ciała.

- Chciałbyś to powtórzyć? - zapytał a myśląc o łowieniu ryb.

cze...Jordan uśmiechnął się szczerze i szeroko.

- Tak - potwierdził skwapliwie. - I jeszcze raz... i jeszcze...

Policzki Aleksandry zaczerwieniły się, ale w jej oczach zapaliły się wesołe iskierki.

- Oczywiście - powiedziała roześmiana, ale sędzę, że pozwolę ci wyolbrzymiać, gdy będziesz wszystkim o wielorybie, którego złowiłeś, ale ci uciekł.

Jordan odchylił głowę i roześmiał się na cały głos. Jego śmiech zabrzmiał echem po całej stajni, gdzie Smarth stał przy oknie obok jednego ze służących obserwując księcia i młodą księżną. - Mówiłem, że może to zrobić! - powiedział Smarth klepiąc swojego towarzysza i mrugając. - Mówiłem, że z nią będzie bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek dotąd.

Mrucząc radośnie, chwycił zgrzebło i zaczął czyścić najbliższego kasztanka.

Woznica John przerwał na chwilę czyszczenie srebrnej uzdy, aby popatrzeć na parę kochanków a potem powrócił do swojego zajęcia pogwizdując wesolutką melodyjkę.

Parobek odłożył widły i patrzył na księcia i księżną, a potem i on zaczął gwizdać sięgając po następną kupę siana.

Jordan ujął Aleksandrę pod ramię i ruszył z nią w stronę domu, a potem odwrócił się nagle, gdy stajnie zdawały zapełniać się wesołymi melodiami mruczonymi i gwizdanymi przez służących oddających się swoim zadaniom z niespodziewanym wigorem.

- Czy coś jest nie tak? - zapytała Aleksandra podążając za jego spojrzeniem.

Zdziwiony zmarszczył brwi, a potem wzruszył ramionami nie mogąc uchwycić tego, co zwróciło jego uwagę.

- Nie - powiedział ruszając w stronę domu. - Ale przeleniuchowałem prawie cały dzień i będę musiał dziś i jutro pracować dwa razy ciężiej, aby to nadrobić.

Rozczarowana, ale wciąż zdecydowana Aleksandra nie ustępowała.

- W takim razie nie będę starała się przeszkadzać ci namowami na inne rozprasające rozrywki - dopiero pojutrze.

- Jakie konkretnie rozprasające rozrywki masz na myśli? - zapytał uśmiechając się.

- Piknik.

- Sądzę, że na to mógłbym znaleźć czas.

* * *

- Proszę usiąść, Fawkes, zajmę się panem za parę minut - mówił później Jordan nie trując się nawet, aby podnieść wzrok znad listu od swojego współpracownika w Londynie.

Nie zrażony nieuprzejmością swojego klienta - którą właściwie przypisał zrozumiałemu rozgniewaniu księcia, że jest zmuszony korzystać z jego usług - detektyw, który występował w Hawthorne jako pomocnik dzierżawcy, usiadł po przeciwnej stronie masywnego biurka Jordana.

Wreszcie książkę odłożył papiery i oparł się wygodnie w fotelu.

- O co chodzi? - zapytał szorstko.

- Wasza wysokość - zaczął Fawkes - kiedy dawał mi pan wczoraj list do lorda Anthony'ego, czy nie powiedział mi pan, że poinstruował swoją żonę, aby go nie odwiedzała?

- Zgadza się.

- I jest pan pewny, że usłyszała i zrozumiała pana życzenie?

- Całkowicie.

- Czy było ono jasne? Jordan sapnął ze złością.

- Bez wątpienia.

Fawkes zmarszczył brwi zakłopotany i zatroskany, ale zaraz wygładził twarz.

- Wczoraj późnym popołudniem pańska żona udała się do stajni i poprosiła o powóz. Powiedziała Olsenowi, że nie potrzebuje jego usług, ponieważ jedzie tylko do chaty na terenie pana ziem. Tak jak ustaliliśmy, Olsen podążył za pana żoną pozostając w ukryciu, tak aby chronić ją, jednocześnie nie niepokojąc.

Fawkes przerwał na chwilę.

- Po krótkiej wizycie u jednego z wieśniaków, pańska żona udała się prosto do domu lorda Anthony'ego. W świetle tego, co zaszło, gdy tam przebywała, uznałem ten incydent za niepokojący i być może podejrzany.

Jordan zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby to być niepokojące? - powiedział szorstko. - Zignorowała moje polecenie, co jest moim problemem, nie pańskim. Nie jest to jednak powód, aby podejrzewać ją o... - Jordan przerwał nie będąc w stanie powiedzieć na głos tego słowa.

- Współdział? - podsunął cicho Fawkes. - Być może, przynajmniej na razie. Moi ludzie, którzy obserwowali dom lorda Anthony'ego, poinformowali mnie, że matka i brat lorda Anthony'ego byli w środku. Jednak pańska żona spędziła bardzo niewiele czasu odwiedzając ich. Po mniej więcej kwadransie wyszła z budynku w towarzystwie lorda Anthony'ego. Udali się do ogrodu niewidocznego z pałacu. Potem przeprowadzili prywatną rozmowę, której Olsen nie słyszał, ale sądząc z wyrazu ich twarzy i gestów, była ona bardzo zajmująca.

Detektyw przesunął wzrok z nieodgadnionej twarzy Jordana na ścianę.

- Kiedy byli w ogrodzie, obejmowali się i całowali. Dwa razy.

Ból, podejrzenie i wątpliwości przemknęły przez myśli Jordana, gdy wyobraził sobie Aleksandrę w ramionach Tony'ego, jego usta na jej, jego ręce na...

- Ale nie przez długi czas - powiedział Fawkes przerywając ciężką ciszę.

Jordan wciągnął powietrze i przymknął oczy. Kiedy przemówił, jego głos był spokojny, zimny i dźwięczał nieprzejednaną pewnością.

- Moja żona i kuzyn są spokrewnieni przez nasze małżeństwo. Co więcej, są przyjaciółmi. Aleksandra nie zdaje sobie sprawy, że mój kuzyn jest podejrzany o próby zamordowania mnie ani że i jej życiu może grozić niebezpieczeństwo z ręki tego samego mordercy. Bez wątpienia uznała, że mój zakaz odwiedzania kuzyna jest niesprawiedliwy i bezpodstawny, i wybrała nieposłuszeństwo wobec moich poleceń.

- Wasza wysokość, pańska żona bezczelnie ignoruje pana polecenia, a pan nie uważa tego za podejrzanego? Albo przynajmniej dziwne?

- Jest to doprowadzające do wściekłości, a nie podejrzanego - odpowiedział z kąśliwym sarkazmem. - I na pewno nie jest dziwne. Moja małżonka robiła wszystko, co tylko jej wpadło do głowy, od dzieciństwa. Jest to brzydki nawyk, który zamierzam wykorzenić, ale bynajmniej nie czyni z niej pożądanego towarzysza mordercy.

Fawkes zdał sobie sprawę, że dalsze argumentowanie jest bezcelowe i skinąwszy uprzejmie głową wstał. Gdy odwrócił się, by wyjść, powstrzymał go lodowaty głos jego pracodawcy.

- W przyszłości, Fawkes - rozkazał Jordan ostro - niech pan poinstruuje swoich ludzi, żeby trzymali się z daleka od mojej żony i mnie, gdy jesteśmy poza domem. Mają wypatrywać potencjalnego mordercy, a nie nas szpiegować.

- Szpiegować ... - oburzył się Fawkes. Jordan pokiwał sztywno głową.

- Dzisiaj, gdy wracaliśmy, widziałem wśród drzew dwóch pańskich ludzi. Przyglądali się mojej żonie, zamiast rozglądać się w poszukiwaniu mordercy. Proszę się ich pozbyć.

- Wasza wysokość, musiała zajść jakaś pomyłka. Moi ludzie są starannie szkoleni...

- Proszę się ich pozbyć!

- Jak pan sobie życzy - zgodził się z ukłonem.

- Poza tym może pan powiedzieć swoim ludziom, że gdy towarzyszę mojej żonie, mają trzymać się od nas z daleka. Jeżeli wykonują to, co do nich należy, powinniśmy bez obaw wędrować po moich gruntach. Nie poświęcę mojej prywatności ani nie dam się zamknąć na dzień i noc w domu. Kiedy jestem z moją żoną, sam się nią zajmę.

- Wasza wysokość - wykrzyknął Fawkes wyciągając ręce w geście pojednania - wiem z doświadczenia, że tego typu sytuacje są, łagodnie mówiąc, trudne, zwłaszcza dla człowieka o pańskiej pozycji. Ale zaniedbałbym moje obowiązki nie przypominając panu, że niespodziewany powrót lorda Anthony'ego czyni go głównym podejrzanym. Co więcej, moi ludzie próbują jedynie chronić pana żonę...

- Za co płacę wam fortunę! - przerwał mu zimno Jordan. - I dlatego możecie to do diabła robić tak, jak wam każę!

Fawkes, który przyzwyczajony był do niesprawiedliwych pretensji i żądań arystokratów, dla których pracował, zrezygnowany pokiwał głową.

- Spróbujemy, wasza wysokość.

- I nie zniosę żadnych więcej bezpodstawnych podejrzeń wobec mojej żony.

Fawkes uklonił się jeszcze raz i wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, nieugięta pewność zniknęła z pobladłej nagle twarzy Jordana. Wepchnął dłonie do kieszeni, oparł głowę o fotel i zamknął oczy. Starał się zapomnieć słowa, które wypowiedział Fawkes, ale waliły mu one w głowie jak tysiąc szalonych młotów.

„Niespodziewany powrót lorda Townsende'a czyni go głównym podejrzanym... Poszli na spacer i prowadzili ożywioną rozmowę... Obejmowali się i całowali... Wydaje mi się to podejrzanę...”

Niemy krzyk protestu wybuchł w mózgu Jordana, który pochylił się gwałtownie do przodu i potrząsał głową, aby wyrzucić z myśli słowa detektywa. To było szaleństwo! Wystarczająco trudno było stawić czoło myśli, że Tony, którego kochał jak brata, prawdopodobnie próbował go zabić. Nie zamierzał nawet przez chwilę pozwolić sobie myśleć, że również Aleksandra go zdradzała. Powiedział sobie z furją, że ta prostolinijna, czarująca piękność, która rano droczyła się i śmiała z nim, a potem tuliła go, gdy się kochali, nie miała potajemnych intymnych kontaktów z Tonym. Taki pomysł był absurdalny! Nieprzyzwoity!

 Nie uwierzy w to!

 Ponieważ nie mógłby znieść czegoś takiego!

Kiedy stawiał czoło prawdzie, westchnął ze złością. Od momentu, gdy pojawiła się w jego życiu, skradła jego serce. Jako dziewczyna bawiła go i oczarowała. Jako kobieta dawała mu rozkosz, doprowadzała do wściekłości, wabiła i intrygowała. Niezależnie, co robiła, jej uśmiech zawsze go ocieplał, jej dotyk wprawiał jego ciało we wrzenie, a śmiech wprawiał go w cudowny nastrój.

Nawet teraz oszalały z zazdrości i pełen wątpliwości uśmiechnął się przypominając sobie, jak wyglądała rano siedząc na pniu zwalonego drzewa z nagimi nogami zwisającymi nad wodą i słońcem igrającym we włosach.

W sukni balowej była elegancka i majestatyczna jak bogini; w łóżku - nieświadomie prowokacyjna jak egzotyczna uwodzicielka; a siedząc na kocu z gołymi podwiniętymi stopami nadal była w każdym calu księżną.

Bosonoga księżna. Jego bosonoga księżna, pomyślał zaborczo. Należała do niego prawem boskim i ludzkim.

Uniósł pióro i rzucił się w wir pracy wyrzucając z myśli wszystko inne. Ale po raz pierwszy w życiu nie był w stanie całkowicie oddać się pracy.

 Tak jak nie mógł zapomnieć, że Aleksandra go okłamała.

ROZDZIAŁ 27

Przez pojedyncze wysokie okno w pokoju, gdzie kiedyś Jordan pod groźbą różgi uczył się lekcji, przeświecało słońce. Aleksandra wsunęła niesforny kosmyk włosów w kok i przyglądała się grzbietom książek wypełniających niskie regały stojące wzdłuż ścian. Szukała elementarzy, które pomogłyby jej uczyć czytać dzieci, które już wkrótce zapełnią małą chatkę łowczego.

W jej oczach zabłysł podziw pomieszany z przerażeniem, gdy patrzyła na tytuły. Uświadomiła sobie, jak głęboka i szeroka musi być wiedza Jordana. Stały tu opasłe tomiska oprawione w skórę, które zawierały słowa Platona, Sokratesa, Plutarchosa oraz wielu innych filozofów, których imiona Aleksandra ledwo знаła. Były całe serie poświęcone architekturze, każdemu etapowi historii Europy oraz życiu i osiągnięciom wszystkich europejskich władców. Niektóre z książek były napisane po angielsku, inne po francusku, a jeszcze inne w starożytnej grece i łacinie. Do ulubionych przedmiotów Jordana musiała należeć matematyka, bowiem całe półki były zapełnione tomami w tej właśnie dziedzinie. Niektóre miały tytuły tak skomplikowane, że Aleksandra mogła się tylko domyślać, czego dotyczyły. Były tu książki geograficzne, książki o odkryciach, książki o kulturach starożytnych. Każdy temat, jaki omawiał z nią dziadek, był tutaj reprezentowany i to naprawdę szeroko.

Uśmiechając się lekko Aleksandra podeszła do ostatniego regału i na najniższej półce znalazła elementarze, których szukała. Z książkami pod jedną pachą i tabliczką pod drugą szła wolno przez pokój, czując jednocześnie wzruszenie i przygnębienie. To samo czuła ponad rok temu, gdy pierwszy raz weszła do tego nieprzyjaznego pokoju.

Zastanawiała się, jak on mógł wytrzymać w tym odludnym miejscu przez całe lata. Przypomniła sobie z czułością, że ona sama uczyła się w pełnym słońca pokoju lub na świeżym powietrzu. Uczył ją ukochany dziadek, który w wiedzy znajdował spokój i radość, i który zaszczepił w niej tę samą radość.

Zatrzymała się przy ławce stojącej przed katedrą. Popatrzyła na inicjały wyryte na ławce i czule przejechała po nich palcami. J.A.M.T.

Pierwszy raz, gdy widziała te inicjały, myślała, że Jordan nie żyje. Przypomniła sobie pustkę, jaką czuła wtedy i przez następne miesiące. Ale teraz, w tej chwili, był na dole i pracował w swoim gabinecie - żywy, pełen energii i przystojny. Nie leżał w zimnym grobie, lecz siedział za biurkiem, ubrany w śnieżnobiałą koszulę, która uwydatniała jego opaleniznę i

przylegała do muskularnych ramion, a wiśniowe bryczesy podkreślały jego długie, smukłe nogi.

Był żywy i zdrowy, i był tu z nią, tak jak kiedyś modliła się i marzyła. Zdała sobie sprawę, że Bóg wysłuchał jej modlitw i ta świadomość nappełniła ją ciepłem i wdzięcznością. Odesłał jej Jordana i nawet pomógł zrozumieć tego łagodnego, autokratycznego, czułego, genialnego i czasem cynicznego mężczyznę, którego kochała.

Zajęta swoimi myślami podeszła do drzwi, ale kiedy je otwierała, usłyszała trzask i odgłos czegoś toczącego się po drewnianej podłodze. Aleksandra odwróciła się i zaciekawiona patrzyła na podłogę. Potem zeszywniała przerażona i zszokowana na widok dużej, wypolerowanej różgi, której jakiś nieznany nauczyciel używał do karania Jordana.

Jej oczy zapłonęły gniewnie, gdy patrzyła na to szatańskie narzędzie i zapragnęła rozerwać tego nauczyciela na strzępy. Potem odwróciła się i z mocą zatrzasnęła za sobą drzwi. Kiedy w korytarzu mijała jakiegoś służącego, wetknęła mu różgę.

- Spal to - rozkazała krótko.

Jordan stojąc w oknie swojego gabinetu widział Aleksandrę idącą w stronę stajni z czymś, co wyglądało na pakiet książek pod pachą. Opanowało go niemal obezwładniające pragnienie, aby zawołać ją i zaproponować, że spędzi z nią ten dzień. Poczul się zaskoczony intensywnością tego uczucia. Naprawdę mu jej brakowało.

Dwie godziny później zakłopotany sekretarz księcia, Adams, który został wezwany na zwykłe popołudniowe dyktowanie, siedział trzymając pióro zanurzone w czerwonym atramencie i czekał na dalszy ciąg listu do sir George'a Bently'ego, który zaczął mu dyktować jego chlebobawca. W środku listu książę rzucający szybkie zdania zaczął zwalniać, aż w końcu pograżył się w kompletnym milczeniu; wyglądał nieobecny spojrzeniem przez okno.

Zakłopotany niespotykanymi dotąd przerwami w koncentracji księcia, które trwały całe popołudnie, Adams z wahaniem odchrząknął zastanawiając się, czy milczenie księcia nie oznacza, że on sam jest już wolny.

Jordan oderwał spojrzenie od niespotykanych formacji chmur, które obserwował, i zwrócił się do swojego sekretarza.

- Gdzie byliśmy?

- Dyktował mi książę list do sir George'a Bently'ego - odpowiedział Adams. - Zaczął pan właśnie instruować, jak zainwestować pieniądze z zysku po ostatniej podróży „Cytadeli”.

- Tak, rzeczywiście - potwierdził Jordan, a jego wzrok ponownie powędrował do okna. Chmura o kształcie rydwanu zaczęła się przeformowywać i przybierać kształt ogromnej

mewy. - Powiedz mu, aby przygotował „Mewę” eee... to znaczy „Walkirię” - poprawił się Jordan - do natychmiastowej podróży.

- „Walkirię”, wasza wysokość? - zdziwił się Adams. Księżę spojrzał niechętnie na jego zmieszaną twarz.

- Czy nie tak właśnie powiedziałem?

- Zgadza się, wasza wysokość. Ale parę zdań wcześniej instruował pan sir George'a, by przygotował „Cztery Wiatry”.

Adams patrzył zdziwiony na wyraz arystokratycznej twarzy swojego pryncypała, który można było opisać tylko jako zawstydzenie. W końcu księżę zmiął papiery.

- Na dzisiaj to by było wszystko, Adams. Będziemy kontynuować jak zwykle jutro po południu.

Adams zastanawiał się skrycie, coż to za znaczące i wyjątkowe wydarzenie sprawiło, że drugi raz w ciągu ośmiu lat księżę odwołał ich popołudniowe spotkanie; pierwszy raz był spowodowany pogrzebem jego wuja. Jednak jego pracodawca jeszcze nie skończył.

- Nie, jutro też nie.

Już w połowie drogi do drzwi Adams odwrócił się i patrzył zdumiony, jak nigdy w życiu tym dodatkowym odłożeniem ich zajęć.

- Jestem jutro zajęty - dodał księżę wyjaśniająco. - Jadę na piknik.

Walcząc ze sobą, by zachować spokój, Adams skinął głową i uklonił się. Potem odwrócił się i wpadł na krzesło.

Wmawiając sobie, że jest tylko przepracowany i za długo przebywał wśród ścian Jordan wyszedł z domu i ruszył do stajni. Ale kiedy na spotkanie mu wybiegł Smarth i zapytał, czy osiodłać konia, zmienił zdanie. Ruszył wolno ścieżką, która wiodła do stojącej na skraju lasu chaty jednego z jego łowczych, gdzie Aleksandra miała dziś uczyć.

Kilka minut później, gdy wchodził po schodkach do chaty, dobiegł go śpiew. Uśmiechnął się po chwili, gdy zdał sobie sprawę, że Aleksandra nie „marnowała czasu” na śpiewanie. Za pomocą wesołej piosenki, która nazywała wszystkie litery, uczyła dzieci alfabetu. Schował ręce do kieszeni i stał nie zauważony w drzwiach, słuchając jej uroczego głosu i wsłuchując się w niego z wewnętrznym zdziwieniem.

Na podłodze siedziały nie tylko dzieci w różnym wieku, ale także wielu dorosłych. Wszyscy pogrążeni byli w śpiewaniu. Po chwili zastanowienia rozpoznał dwie kobiety, które były żonami jego dzierżawców, i starszego mężczyznę, który był dziadkiem jego głównego zarządcy. Poza nimi nie znał nikogo i nie miał pojęcia, z czyimi rodzinami ich powiązać.

Oni jednak rozpoznali jego i piosenka zaczęła się rwać i cichnąć, gdy starsze dzieci przerywały śpiew i szturchały swoje młodsze rodzeństwo, aby i ono ucichło. Kilka metrów od niego siedziała Aleksandra, która przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się do swoich uczniów.

- Macie już dość na dzisiaj? - zapytała, fałszywie interpretując ich nagły brak uwagi. - W takim razie oto wasza myśl do zapamiętania na piątek: „wszyscy ludzie są równi”

- zacytowała i ruszyła do drzwi, aby pożegnać swoją klasę.

- Nie urodzenie nas różni, ale cnota - zderzyła się ramionami z Jordanem i obróciła się gwałtownie.

- Cóż za wspaniała rzecz - zażartował kwaśno Jordan ignorując pozostałe osoby w pokoju, które zaczęły gwałtownie wstawać i patrzyły przerażone. - Takimi cytatami zapoczątkujesz anarchię.

Odsunął się od drzwi i wieśniacy właściwie interpretując jego ruch jako odprawę pośpiesznie zaczęli wychodzić.

- Nie odezwali się do ciebie nawet jednym słowem - powiedziała Aleksandra patrząc skonsternowana, jak jej uczniowie, których zdążyła bardzo polubić, wymykają się chyłkiem i znikają wśród drzew za chatą.

- Ponieważ ja się do nich nie odezwałem - wyjaśnił Jordan niedbale.

- Dlaczego nie? - zapytała Aleksandra niepewnie, choć jej pomieszenie ustępowało już z wolną radością z jego niespodziewanego przyjścia.

- W przeciwieństwie do wielu posiadaczy ziemskich, nigdy nie byłem w zbyt poufanych stosunkach z moimi wieśniakami - odpowiedział.

W myślach zobaczyła małego samotnego chłopca, któremu zabraniano jakichkolwiek przyjacielskich kontaktów z pospółstwem. Gdy spojrzała na niego, jej oczy napełniły się czułością. Pragnąc dać mu całą swoją miłość, wsunęła mu dłoń pod ramię.

- Nie spodziewałam się zobaczyć cię dzisiaj po południu. Co cię tu sprowadza?

Tęsknota za tobą - pomyślał.

- Skończyłem dziś wcześniej pracę - skłamał na głos. Przykrył jej dłoń swoją i ruszyli po trawie w stronę pawilonu na najdalszym skraju jeziora.

- To moje ulubione miejsce w Hawthorne - wyjaśnił gładząc jedną z białych kolumn wspierających dach pawilonu. Włożył ręce do kieszeni i nieobecny wzrokiem patrzył na drzewa i jezioro nie zauważając kwiatów, które zasiała na polance.

- Myślę, że jeśliby dodać miesiące, które spędziłem w tym pawilonie jako chłopiec i młodzieniec, wyszłyby lata.

Podeksycytowana faktem, że ten przystojny, tajemniczy mężczyzna otwiera się w końcu przed nią, uśmiechnęła się do niego.

- To było również moje ulubione miejsce, gdy byłam poprzednio w Hawthorne. Co robiłeś, gdy tu przychodziłeś? - zapytała przypominając sobie żywe, beznadziejne marzenia o Jordanie, gdy siadywała na kolorowych poduszkach w pawilonie.

- Studiowałem - odpowiedział krótko. - Nie lubiłem mojego pokoju do nauki. Zresztą mojego nauczyciela też nie.

Jej uśmiech zbladł, gdy wyobraziła sobie przystojnego, opuszczonego chłopca, który był zmuszany przez ojca, by być najlepszym we wszystkim.

Jordan zobaczył w jej oczach czułość i uśmiechnął się nieświadomy powodów ocieplenia jej stosunku do niego.

- A co ty robiłaś, gdy tu przychodziłaś? - zapytał. Aleksandra zakłopotana wzruszyła ramionami.

- Głównie śniłam na jawie.

- O czym?

- O zwykłych rzeczach - odpowiedziała wymijająco i na szczęście nie musiała tego precyzować, gdyż Jordan utkwiał wzrok w jednym punkcie na polance.

- Co to jest? - zapytał i ruszył prosto w stronę marmurowej płyty. Zdziwiony przeczytał wyryte na niej proste słowa.

Jordan Matthew Addison Townsende

Urodzony 27 lipca 1786

Zmarł 16 kwietnia 1814

Gdy odwrócił się do Aleksandry, na jego twarzy malowało się niemal komiczne, udawane obrzydzenie.

- Anthony umieścił mnie tutaj, wśród tych krzaków? Czy według niego nie zasługiwałem na cmentarz rodzinny?

Aleksandra widząc taką reakcję Jordana na swoje epitafium wyryte w marmurze, zaśmiała się.

- Nie bój się, tam także jest twój pomnik. Ale myślałam... myśleliśmy, że jest to bardzo uroczne miejsce na... pamiątkę po tobie.

Czekała, co powie na kwiaty, których kiedyś tu nie było. Gdy zdawał się ich nie dostrzegać, postanowiła mu podpowiedzieć.

- Czy to miejsce nie wydaje ci się jakieś inne? Jordan rozejrzał się dookoła najwyraźniej nie dostrzegając uroku i piękna tego zakątka, który ona stworzyła.

- Nie, a coś się zmieniło?

Przewróciła oczami w komicznym niesmaku.

- Jak możesz nie dostrzegać tego ogrodu pełnego kwiatów?

- Kwiaty - powtórzył bez zainteresowania. - Tak, widzę je - dodał odwracając się od polanki.

- Naprawdę? - przekomarzała się Aleksandra z poważną miną. - No to powiedz mi bez odwracania się, jakiego koloru były kwiaty?

Jordan posłał jej kpiące spojrzenie i chwyciwszy ją za rękę ruszył do domu.

- Żółte? - strzelił po minucie.

- Różowe i białe.

- Byłem blisko - zażartował.

Ale w drodze do domu po raz pierwszy zauważył, że róże kwitnące przepyszenie dookoła domu są podzielone według kolorów i różowe skojarzyły mu się z jej ustami. Lekko zawstydzony tym sentymentalizmem, jaki w nim wzbudzała, popatrzył na jej przechyloną głowę. Następna myśl była jeszcze bardziej szokująco sentymentalna niż poprzednia. Za pięć dni wypadały jego urodziny i zastanawiał się, czy pamiętała o tym, gdy spoglądali na marmurową płytę.

W myślach zobaczył Aleksandrę budzącą go pocałunkiem i życzącą wszystkiego najlepszego. Wizja ta nappełniła go ciepłem. Nagle zapragnął, by zapamiętała tę datę i zrobiła coś drobnego, co świadczyłoby, że był dla niej ważny.

- Starzeję się - zauważył z udawaną nonszalancją.

- Mmmm - mruknęła niedbale Aleksandra, w myśli szlifując plan tak intrygujący i tak doskonały, że niemal nie mogła myśleć o nim przed wprowadzeniem go w życie.

Rozczarowany Jordan zdał sobie sprawę, że ani wiedziała, ani dbała, że niedługo są jego urodziny. Podpowiadając jej o nich, zachował się jak zakochany po uszy młokos, który błaga o choć jeden gest świadczący, że pani jego serca choć trochę na nim zależy.

Kiedy tylko weszli do hallu, Jordan zostawił ją i zaczął wzywać zarządcę, ale zatrzymał go głos Aleksandry.

- Mój panie - zawołała.

- Jordanie - poprawił krótko.

- Jordanie - zgodziła się uśmiechając się do niego w sposób, który natychmiast wyzwał w nim ochotę, by porwać ją w ramiona - czy nasz jutrzejszy piknik jest aktualny?

Jordan pokiwał głową twierdząco.

- Muszę jutro rano odbyć parę wizyt. Pani Little, żona łowczego, właśnie urodziła chłopczyka i muszę zanieść jej prezent. Poza tym są inne osoby do odwiedzenia - dodała wyjaśniająco. - Czy możemy się spotkać przy strumieniu?

- Dobrze.

Zły i zaniepokojony swoją rosnącą chęcią, by przez cały czas mieć ją przy sobie, Jordan celowo nie dołączył do niej przy kolacji i nie zabrał jej do swojego łóżka. Leżał bezsennie w pościeli i założywszy ręce na kark patrzył w sufit i walczył ze sobą, by nie pójść do jej pokoju. O świcie nadal nie spał - w myślach zdołał przebudować całą jej sypialnię. Szczodrze zdecydował, że powinna mieć taką samą jak on marmurową łazienkę i o wiele większą garderobę. Oczywiście, po tych przeróbkach nie pozostałoby miejsce na osobną sypialnię. Na jego ustach pojawił się słaby, ale pełen satysfakcji uśmiech i wreszcie zamknął oczy. Zdecydował wspaniałomyślnie, że pozwoli jej spać w swoim łóżku.

Dla nowoczesności żadne poświęcenie nie było zbyt wielkie.

ROZDZIAŁ 28

Aleksandra emanowała radością z powodu planów, które realizowała przez cały poranek. Gdy dojechała do polanki, zsiadła szybko z konia. Jordan czekał na nią na brzegu strumienia, odwrócony do niej tyłem i patrzył ponad wodą, najwyraźniej pogrążony w myślach. Nie czuła ani winy, ani troski z powodu swojej dzisiejszej potajemnej wizyty u Tony'ego, ponieważ wiedziała, że Jordan nie oponowałby, gdy jutro pozna jej powód.

Gdy szła do niego, jej kroki tłumiała aksamitna trawa. Wypełniały ją uczucia od radości, że go widzi, do niepewności jego nastroju po tym, jak nie jadł z nią kolacji i nie kochał się w nocy. Zdawała sobie sprawę, że jego stosunek do niej ochłódł, gdy wyszli z pawilonu. Wahała się, co robić, a potem zdała się na los. Kochała go i pragnęła nauczyć i jego miłości i radości.

Wprowadzając myśli w czyn podeszła do niego po cichu, wspięła się na palce i zasłoniła oczy dłońmi. Najwyraźniej słyszał, jak podchodziła, bo nawet nie drgnął.

- Spóźniłaś się - rzekł z uśmiechem, ponieważ nie opuściła rąk.

- Szybko powiedz mi, jakiego koloru są kwiaty na wzgórzu, na które patrzyłeś?

- Żółte - odparł prędko.

- Białe - westchnęła, odsłaniając mu oczy.

- Jeżeli zawsze będę mówił żółte - stwierdził filozoficznie, odwracając się do niej - to prędzej czy później zgadnę.

Aleksandra potrząsnęła głową z udawaną rozpaczą i ruszyła w stronę koca rozłożonego na brzegu.

- Jesteś najzimniejszym i najbardziej nieczułym mężczyzną, jakiego znam - rzuciła przez ramię.

- Ach tak? - zapytał chwytając ją za rękę i przyciągając do siebie. Jego oddech muskał jej włosy. - Czy naprawdę uważasz, że jestem zimny?

- Niedokładnie zimny - odpowiedziała z drzeniem. Bezwstydnie pragnęła potrząsnąć nim i zapytać, dlaczego nie chciał jej ostatniej nocy. Siłą tłumiąc nagłe pożądanie, szybko przyklekła i zaczęła wypakowywać jedzenie z koszyków.

- Jesteś głodna? - zapytał siadając obok niej.

- Umieram z głodu - skłamała wyczuwając, że w każdej chwili może ją pocałować i chciała panować nad swoimi emocjami, zanim to zrobi. Mogła żartować z nim, ale absolutnie niedopuszczalne byłoby, gdyby zobaczył, że jest gotowa osunąć się w jego ramiona, kiedy

tylko zdecyduje się ją pocałować; zwłaszcza po tym, jak ostatniej nocy kompletnie ją zignorował. Tak jakby jej życie zależało od symetrycznego ułożenia ich talerzy i kieliszków, pozostała na kolanach bokiem do niego.

Kiedy pochyliła się, by rozprostować śnieżnobiałe serwetki, Jordan wyciągnął dłoń i odgarnął niesforny lok, który opadł jej na policzek.

- Masz wspaniałe włosy - zamruczał aksamitnym głosem, który wprawił jej ciało w rozkoszne drżenie. - Lśnią w słońcu jak ciemny miód, a twoja skóra jest miękka jak brzoskwinia.

- Widzę, że nie tylko ja jestem głodna - odpowiedziała lekko Aleksandra ratując się humorem.

Roześmiał się na to stwierdzenie, ale nadal gładził palcem jej policzek, a potem nagie ramię.

- Czy żaden z moich wieśniaków nie oferował ci poczęstunku?

- Pani Scottsworth, ale w kuchni była jej siostra, pani Tilberry, więc odmówiłam. - Aleksandra zmarszczyła nos myśląc o ciętym języku pani Tilberry, która nawet w jej obecności bezlitośnie besztła swoją synową.

Jordan zacisnął dłoń na ramieniu Aleksandry odsuwając ją od serwetki, którą zdesperowana wyglądała, tak że nie miała wyboru, jak tylko na niego spojrzeć.

- A co robiła pani Tilberry w kuchni pani Scottsworth? - wymamrotał zbliżając usta do jej warg.

- Rzuciała uroki i machała chochlą nad kotłem.

- Rzuciała uro... - Jordan wybuchnął śmiechem i złapał ją za ramiona, a potem gładko przewrócił na plecy i pochylił się nad nią z jedną ręką za jej plecami.

- Jedyną czarownicą, która rzuca urok, w pobliżu jesteś ty - roześmiał się chrapliwie.

Zahipnotyzowana jego srebrnym spojrzeniem Aleksandra całą sobą pragnęła, by ją pocałował, ale jednocześnie złościło ją, że za każdym razem, gdy tylko chciał, tak łatwo ją podbijał. Kiedy nachylił się nad nią, odwróciła twarz tak, że ustami musnął tylko jej policzek. Nie zrażony tym Jordan całował jej policzek, a potem przesunął usta do jej ucha. Powoli zaczął pieścić je językiem i całe jej ciało wyprężyło się odruchowo pragnąc odpowiedzieć na pieszczotę.

- Jestem głodna - broniła się desperacko.

- Ja też - wyszeptał jej w ucho, a jej serce zaczęło walić jak młot. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Obejmij mnie.

- A może po obiedzie, kiedy będę silniejsza? - Aleksandra usiadła.

Zafascynowana patrzyła, jak jego usta złożyły się w krótkie, stanowcze polecenie.

- Teraz.

Aleksandra wciągnęła powietrze i wsparła ręce na jego ramionach. Bez udziału świadomości zaczęła go do siebie przyciągać i nagle przestała, gdy wpadła w panikę spowodowaną nagłym pożądaniem, jakie poczuła.

- Teraz - powtórzył głębokim głosem Jordan, a jego usta były o milimetry od jej ucha.

- Nie chciałbyś najpierw lampki wina?

- Teraz.

Z niemym jękiem rozpacz i poddania Aleksandra chwyciła go ręką za kark i przyciągnęła jego usta do swoich. Na początku pocałunek był delikatnym powitaniem kochanków, ale im dłużej się całowali, tym większe zaczęło ogarniać ich pożądanie, tym mocniej do siebie przylegali i szukali więcej. Język Jordana rozdzielił jej wargi i smakował, a potem wycofał się... i w obojgu pożądanie wybuchło z pełną mocą.

Rozpiął jej suknię i ściągnął koszulę obnażając jej piersi. Jego dłoń objęła jej pierś, a kciuk pieścił twardniejący od jego dotyku sutek. A potem powoli pochylił głowę i zaczął ją całować. Jego usta objęły jej sutek, a język pieścił go, dopóki Aleksandra nie zaczęła jęczeć z rozkoszy.

Kiedy wreszcie się rozebrał, wrzeli oboje. Tymczasem on oparł się na łokciu i patrzył na nią czule.

- Nigdy nie mam cię dość - wyszeptał boleśnie, patrząc na nią oczami, w których płonęło pożądanie.

Wreszcie Jordan dał jej to, czego oboje pragnęli. Nadal leżąc na boku, objął ją mocno i przyciągnął do siebie.

Poruszał się powoli i rytmicznie pragnąc jedynie dawać jej rozkosz, tak samo jak ona rozpaczliwie chciała go zaspokoić.

Kocham cię, myślał gorączkowo i kocham cię, jęczała jego dusza, gdy Aleksandra tuliła się do niego w spazmie rozkoszy. Kocham cię. Słowa te eksplodowały w nim, gdy oboje pograżyli się w ekstazie.

Potem leżał koło niej czując radość niemal nie do zniesienia i patrzył na białe chmury szybujące po niebie. Teraz we wszystkich widział kształty i znaczenia. Jego życie też nabrało kształtów i znaczenia.

Kiedy całą wieczność później Aleksandra wróciła do rzeczywistości, stwierdziła, że leży naga obok jego nagiego ciała. Jedną dłonią obejmował jej plecy, a drugą wczepił w jej włosy przyciskając jej głowę do swojej piersi. Z wysiłkiem uniosła głowę, otworzyła

ogromne szmaragdowe oczy i popatrzyła na niego. Zaczerwieniła się widząc spojrzenie jego szarych oczu i radosny uśmiech błąkający się w kącikach jego ust. Zachowała się jak szokująca latawica i zrobiła to w jasny dzień! Przytłoczona nagle świadomością, jak łatwo przełamał wszystkie jej opory, cofnęła się.

- Jestem głodna - powiedziała słabo.

- Kiedy będę silniejszy - obiecał, celowo źle pojmując, co chciała w ten sposób wyrazić.

- Chcę jeść!

- Ach, to - powiedział niedbale, ale wstał i uprzejmie odwrócił się plecami. Pozwolił jej ubrać się w prywatności, podczas gdy on też naciągał ubranie.

- Masz trawę we włosach - szepnął wyciągając długie źdźbła z jej miękkich kasztanowych włosów.

Zamiast odpowiedzieć mu uśmiechem lub żartem przygryzła wargę uciekając wzrokiem i zaczęła rozkładać obiad.

Jordan w końcu zrozumiał, że chciałaby przez chwilę побыć w samotności. Odszedł na brzeg strumienia, gdzie wsparty o drzewo spędził następne kilkanaście minut. Zauważył, że kwiaty na wzgórzu rzeczywiście były białe i tworzyły uroczy dywan na tle ciemnej zieleni.

Kiedy wrócił, Aleksandra trzymała w dłoni kryształową karafkę.

- Wypijesz lampkę wina? - zapytała z wyjątkową grzecznością, jakiej używają tylko zakłopotani ludzie. - To specjalny trunek... widzę po karafce.

Jordan nachylając się wyjął kieliszek z jej dłoni, odstawił go na bok i spojrzał jej prosto w oczy.

- Sandy - powiedział łagodnie - nie ma nic niemoralnego, nic wstydliwego i nic złego w tym, co przed chwilą robiliśmy.

Aleksandra przełknęła ślinę i spojrzała na niego zawstydzona.

- Ale jest środek dnia.

- Powiedziałem w stajni, że chcemy być tego popołudnia sami.

Zaczerwieniła się.

- Bez wątplenia wszyscy wiedzieli dlaczego. Jordan usiadł i objął ją opiekuńczo ramionami.

- Oczywiście, że tak. W końcu dzięki temu ma się dziedziców - uśmiechnął się do niej bez śladu zakłopotania.

Ku zdziwieniu Jordana Aleksandra schowała mu głowę na piersiach, a jej ramionami zaczął wstrząsać tłumiony śmiech.

- Powiedziałem coś śmiesznego? - zapytał opuszczając brodę i starając się zobaczyć jej twarz.

Jego koszula tłumiła nabrzmiały śmiechem głos.

- Nie. Myślałam tylko o tym, co mi kiedyś powiedziała Mary Ellen o tym, skąd się biorą dzieci. Było to tak dziwne i obrzydliwe, że jej nie uwierzyłam.

- A co ci powiedziała? - zapytał zaciekawiony Jordan. Podniosła roześmianą twarz.

- Prawdę - zdołała wykrztusić.

Teraz ich śmiech zabrzmiał głośno w całej dolinie podrywając ptaki z drzew.

- Czy wystarczy już porto, czy masz ochotę na więcej? Jordan sięgnął za siebie i podniósł pusty kieliszek, który stał na trawie.

- Nie, dziękuję - odpowiedział z leniwym uśmiechem. - Podobało mi się, jak na mnie czekałaś.

Aleksandra zdołała wytrzymać jego spojrzenie, gdy cicho przyznała:

- Ja też to lubię.

W powozie, w drodze powrotnej, Aleksandra nie mogła przestać myśleć o dzikiej namiętności, gdy się kochali, i czułości, jaka panowała między nimi przez resztę popołudnia. Dotykaj mnie - prosił - lubię, gdy mnie dotykasz. Czy to znaczyło, że chciał, by dotykała go, gdy się nie kochali, tak jak czasem nieliczne żony arystokratów muskały rękawy ich ubrań, gdy się do nich zwracały? Pomysł dobrowolnego dotknięcia go był szalenie atrakcyjny, ale jednocześnie bała się, że on przyjmie go jako dziecinny albo głupi.

Spojrzała na niego spod rzęs zastanawiając się, co zrobiłby, gdyby - bardzo zwyczajnie - oparła mu głowę na ramieniu. Ostatecznie, zawsze może udać na wpół śpiącą. Po chwili postanowiła wypróbować to w rzeczywistości. W łagodnie kołyszącym się powozie, z sercem walącym jak młot Aleksandra zmrużyła oczy i delikatnie oparła głowę o jego ramię. Po raz pierwszy w życiu dotknęła go dobrowolnie i z uczuciem. Natychmiast wyczuła po sposobie, w jaki Jordan zwrócił głowę w jej stronę, że jest jej gestem zdziwiony. Nie bardzo chyba wiedział, co ma o tym sądzić.

- Śpiąca? - zapytał.

Aleksandra już otworzyła usta, by ratować twarz przytakując mu, ale w tym momencie Jordan uniósł rękę i objął jej ramiona.

- Nie - odpowiedziała.

Poczuła, że lekko zeszywniał rozumiejąc, że w ten sposób mówi mu, że pragnie być blisko niego. Jej serce zabiło mocniej, gdy zastanawiała się, jaki będzie jego następny ruch.

Nie musiała długo czekać. Jordan przytulił dłoń do jej twarzy, po czym delikatnie zaczął muskać jej policzek i włosy.

Kiedy się ocknęła, powóz stał przed stajnią, a Jordan właśnie pomagał jej wysiąść. Ignorując zaciekawione spojrzenia służących Jordan postawił ją na ziemi i uśmiechnął się do niej.

- Zmęczyłem cię, najśłodsza? - zapytał, a potem uśmiechnął się widząc jej splonioną twarz.

Sandy wzięła go pod ramię i razem ruszyli w stronę domu, a za nimi stajenny zaczął fałszować mrużąc, inny zagwizdał, a Smarth zaczął śpiewać jakąś niebywale głupią piosenkę, której melodię Jordan rozpoznał. Odwrócił się i twardo spojrzął na swoich służących. Po chwili melodie zamarły. Smarth szybko złapał uzdę koni i poprowadził je do stajni, stajenny chwycił widły i energicznie wbił je w siano.

- Czy coś się stało? - zapytała Aleksandra.

- Chyba za dużo im płacę - zażartował, ale wyglądał na zaintrygowanego - są zbyt weseli.

- Przynajmniej zauważyli, że w powietrzu unosi się muzyka - wypomniała jego żona z zaraźliwym uśmiechem.

- Sprytne - roześmiał się głośno i szczerze, a potem jego śmiech zamarł, gdy spojrzął na jej piękną, ukochaną twarz i pomyślał „kocham cię”.

Słowa te wciąż brzmiały mu w głowie i prawie je z siebie wyrzucił w nagłej potrzebie wypowiedzenia ich na głos. Jordan zdawał sobie sprawę, że Aleksandra chce je usłyszeć.

Zdecydował, że powie jej to dziś wieczorem. Gdy będą w łóżku, powie jej te słowa, których jeszcze nigdy nikomu nie mówił. Zwolni ją z zakładu i uroczyście poprosi, aby z nim została. Wiedział, że ona pragnie z nim zostać, tak samo jak to, że ta czuła, urocza, bezpośrednia dziewczyna kocha go z całej duszy.

- O czym myślisz? - zapytała miękko.

- Powiem ci wieczorem - obiecał.

Objął ją w pasie przytulając mocno i wolno ruszyli do domu, dwoje kochanków po wspólnie spędzonym cudownym dniu, bez pośpiechu, zadowoleni, rozleniwieni.

Gdy mijali szeroki, obrośnięty różami łuk przy wejściu do ogrodów, Jordan uśmiechnął się do siebie i pokręcił głową, bowiem po raz pierwszy w życiu zauważył, że oplatające go róże są czerwone.

ROZDZIAŁ 29

Nie chcąc się rozstawać z Aleksandrą Jordan podążył za nią do jej sypialni.

- Czy dobrze się bawiłaś dzisiaj po południu? - zapytał. Czułość sprawiła, że jej szmaragdowe oczy zaśniły.

- Bardzo.

Pocałował ją, a potem, szukając pretekstu, by jeszcze nie wychodzić, podszedł do drzwi łączących ich pokoje. Gdy przechodził koło toaletki, zobaczył zegarek jej dziadka w aksamitnej kasetce i przystanął, by go obejrzeć.

- Czy masz jakiś portret swojego dziadka? - spytał podnosząc zegarek i obracając go w rękę.

- Nie. Ten zegarek mi go przypomina.

- Wyjątkowo ładny i dobrze zrobiony - zauważył.

- Bo on był wyjątkowym człowiekiem - odpowiedziała uprzejmym tonem, który przeczył tajemniczemu uśmiewowi w jej oczach, gdy patrzyła na jego profil.

Nieświadomy jej spojrzenia i uśmiewu Jordan patrzył na zegarek. Przypomnił sobie, że rok temu przyjął go w prezencie, jakby to mu się należało. Teraz pragnął go bardziej niż czegokolwiek innego w swoim życiu. Pragnął, by Aleksandra podarowała mu go jeszcze raz. Chciał, żeby znowu patrzyła na niego tak jak kiedyś, z uwielbieniem i miłością w oczach i żeby ten zegarek, który chciała ofiarować szlachetnemu człowiekowi, dała właśnie jemu.

- Dał go dziadkowi szkocki hrabia, który podziwiał wiedzę mojego dziadka - powiedziała miękko.

Jordan odłożył zegarek i odwrócił się. Odzyskanie jej zaufania może zabrać więcej czasu, ale kiedyś z pewnością uzna go za godnego zegarka. Z drugiej strony może zamierza dać mu go na urodziny, pomyślał uśmiewając się w duchu; oczywiście, jeśli zdawała sobie sprawę, że odbędzie się one za parę dni.

- Piękna robota - powtórzył. - Czas tak prędko ucieka. Zanim się człowiek obejrzy, mija następny rok - dodał znacząco. - Spotkamy się przed kolacją w salonie.

* * *

Jordan podszedł do lustra przyglądając się z bliska swojemu zarostowi. Był w doskonałym humorze, bo już za chwilę miał spotkać się z Aleksandrą. Uśmiewał się do odbicia swojego lokaja.

- Jak myślisz Mathison, czy ta twarz zepsuje apetyt damy? - zażartował.

Mathison, który cierpliwie trzymał czarną, idealnie skrojoną marynarkę czekając, aż jego pan wsunie ręce w rękawy, zamarł zaskoczony niespotykane familiarnym tonem tak zwykle oficjalnego chlebobawcy. Biedny lokaj dwa razy musiał odchrząknąć, zanim cokolwiek odpowiedział.

- Ośmielę się powiedzieć, że jej wysokość, sama będąc obdarzona wyrafinowanym smakiem, może tylko znaleźć przyjemność w pana wyglądzie.

Jordan uśmiechnął się z rozbawieniem przypominając sobie, jak jego „wyrafinowana” młoda żona siedziała na drzewie z wędką w garści.

- Powiedz mi coś, Mathison - powiedział wbijając się w marynarkę - jakie koloru są róże na łuku przy ogrodach?

Zamurowany nagłą zmianą tematu i samym pytaniem Mathison milczał przez chwilę.

- Róże, wasza wysokość? - powtórzył tępo. - Jakie róże?

- Potrzebujesz żony - roześmiał się Jordan klepiąc oszołomionego służącego po ramieniu jak równego sobie. - Jesteś jeszcze gorszy, niż ja byłem. Ja przynajmniej wiedziałem, że na łuku... - przerwał gwałtownie, gdy do pokoju zaczął dobijać się Higgins wykrzykując z zaferowaniem:

- Wasza wysokość, wasza wysokość!

Odsuwając Mathisona Jordan podszedł do drzwi i gniewnie je otworzył.

- Co, u diabła, się z tobą dzieje? - zapytał rozzłoszczony.

- Nordstrom, panie, pokojowiec - wysapał Higgins tak poruszony, że szarpnął Jordana za rękaw i wyciągnął go na korytarz. Zamknął za sobą drzwi, po czym mówił dalej.

- Od razu powiedziałem panu Fawkesowi, tak jak pan kazał, gdyby stało się coś niezwykłego. Pan Fawkes chce się z panem spotkać w gabinecie. Natychmiast. Powiedział, żebym nic nikomu nie mówił, więc tylko ja i Jean z kuchni wiemy, co się stało...

- Uspokój się! - rzucił poirytowany Jordan schodząc po wyłożonych czerwonym dywanem schodach.

- O co chodzi, Fawkes? - zażądał siadając za biurkiem i czekając, aż detektyw usiądzie naprzeciw niego.

- Zanim wyjaśnię - zaczął Fawkes powoli - muszę zadać panu pytanie, wasza wysokość. Wyjechał pan dzisiaj ze stajni powozem z koszem piknikowym. Kto panu wręczał karafkę z porto wyjętą z kosza?

- Porto? - powtórzył Jordan, nie przygotowany na rozmowę. - Moja żona podała mi pełny kieliszek.

W piwnych oczach detektywa pojawił się dziwny, smutny wyraz, ale zaraz znikł.

- Czy wypił pan choć trochę?

- Nie - odpowiedział Jordan. - Kieliszek się przewrócił, a porto wylało na trawę.

- Rozumiem. Pana żona też go oczywiście nie piła?

- Nie - krótko odparł Jordan. - Zdaję się być jedynym człowiekiem, którego żołądek jest w stanie znieść ten smak.

- Czy zanim dojechał pan do celu, zatrzymywał się pan gdzieś i zostawiał koszyk bez opieki? Może w stajniach? Albo w jakiejś chacie?

- Nigdzie - Jordan nie mógł już się doczekać spotkania z Aleksandrą. Był zły, gdyż ta rozmowa je odwlekała. - Co to, u diabła, znaczy? Myślałem, że chciał pan rozmawiać o tym Nordstromie.

- Nordstrom nie żyje - odpowiedział Fawkes bezbarwnie. - Został otruty. Podejrzałem, że taka jest przyczyna jego śmierci, gdy tylko wezwał mnie Higgins, a pan Danvers, miejscowy doktor, właśnie potwierdził tę hipotezę.

- Otruty? - powtórzył Jordan próbując sobie wyobrazić tak makabryczne wydarzenie we własnym domu. - Jak, na Boga, mógł się tu wydarzyć taki przypadek?

- Jedyne, co było w tym przypadkowe, to ofiara. Ta trucizna była przeznaczona dla waszej wysokości. Winię się za to, że nigdy nie brałem po uwagę, iż morderca może działać w pańskim domu. W pewnym sensie ja jestem winny śmierci pana służącego.

Co dziwne, pierwszą myślą Jordana było, że pomylił się co do Fawkesa. W przeciwieństwie do swojego wcześniejszego wrażenia teraz uwierzył, że detektywowi naprawdę zależało na ochronie tych, którym służył, a nie wyłącznie na zarobku. A potem uderzyło go, że naprawdę ktoś w jego własnym domu próbował go otruć i myśl ta była tak potworna, że trudno mu było w to uwierzyć.

- Co, na Boga, sprawia, że uważa pan, iż to, co mogło być okropnym wypadkiem, jest istotnie nieudaną próbą zamachu na moje życie? - zapytał gniewnie.

- Postaram się to streścić. Trucizna była w karafce z porto przygotowanej wraz z innymi rzeczami na piknik. Kosze piknikowe zostały po waszym powrocie rozpakowane w kuchni przez służącą o imieniu Jean. Był przy tym Higgins, który zauważył żdźbła trawy przyklejone od zewnątrz do karafki. Przyjrzał się karafce i doszedł do wniosku, że więcej trawy lub jakieś okruchy mogły dostać się do wnętrza, dlatego uznał, że nie nadaje się już ona do podania jej panu. Domyślam się - dodał przerywając na chwilę opowieść - że w Hawthorne panuje utrzymywany przez arystokrację zwyczaj, że nie wypite wino serwowane do posiłku przechodzi na prywatny użytek lokaja i może on zrobić z nim, co chce.

- Zgadza się - odpowiedział Jordan skupiony, z uwagą czekając na dalszy ciąg.

Fawkes pokiwał głową.

- Tak mi powiedziano, ale chciałem to potwierdzić. Tak więc zgodnie z tym zwyczajem wino to należało do Higginsa. On sam nie przepada za tym rodzajem porto, więc oddał je Nordstromowi, który wczoraj świętował to, że został dziadkiem. O czwartej po południu Nordstrom zabrał je do swojego pokoju. O siódmej znaleziono jego jeszcze ciepłe ciało, a obok butelkę porto. Pomywaczka powiedziała mi, że rano Nordstrom sam próbował tego trunku, aby sprawdzić czy się nie zepsuł, a następnie napełnił karafkę i umieścił ją w koszu. I to on zaniósł kosze do powozu. Higgins powiedział mi, że spieszył się pan z wyjazdem i za minutę czy dwie wyszedł pan za Nordstromem. Czy to prawda?

- Był tylko stajenny, który trzymał konie. Nie widziałem nikogo innego.

- Stajenny na pewno nie zatrzał porto - powiedział Fawkes z całkowitą pewnością - to mój człowiek. Rozwazałem, czy to nie Higgins, ale...

- Higgins?! - zdziwił się Jordan, a myśl, że to on mógłby być mordercą, sprawiła, że prawie się roześmiał.

- Tak, ale to nie Higgins - zapewnił Fawkes biorąc zdziwienie Jordana za podejrzenie.

- Higgins nie ma motywu. Poza tym nie ma odpowiedniej osobowości jak na mordercę. Sprawa Nordstroma wprawiała go w histerię, załamywał ręce i zachowywał się gorzej od pomywaczki. Musieliśmy zastosować sole trzeźwiące.

W innych okolicznościach Jordana rozbawiłoby wyobrażenie jego starego, niewzruszonego lokaja w histerii, ale w tej chwili nie było nawet śladu wesołości w jego chłodnych, szarych oczach.

- Również Nordstrom wyładowywał kosze i zaniósł je z powrotem do kuchni. Tak więc był jedynym człowiekiem, który dotykał karafki przed i po pikniku. I najwyraźniej nie on zatrzał wino. Jean, pomywaczka, zapewniła mnie, że nikt inny nie dotykał karafki.

- Więc kiedy dodano trucizny? - zapytał Jordan nieświadom, że za chwilę cały jego świat legnie w gruzach.

- Skoro wyeliminowaliśmy możliwość, że stało się to przed lub po pikniku - powiedział Fawkes cicho - oczywista odpowiedź brzmi, że stało się to podczas pikniku.

- To nonsens! - oburzył się Jordan. - Tam było tylko nas dwoje - moja żona i ja.

Fawkes uciekł wzrokiem.

- Dokładnie. A skoro pan tego nie zrobił, pozostaje tylko. .. pańska żona.

Reakcja Jordana była gwałtowna i straszna. Jego pięści walnęły o stół i zerwał się na równe nogi aż trzęsąc się z furii.

- Wynosić się! - warknął niskim, napiętym głosem. - I niech pan zabierze tych głupców, którzy dla pana pracują. Jeżeli nie wyniesie się pan z mojej ziemi w ciągu piętnastu minut, sam pana wyrzucę. A jeśli jeszcze raz wysunie pan jakieś absurdalne, bezpodstawne zarzuty przeciw mojej żonie, zamorduję pana gołymi rękami.

Fawkes wstał powoli, ale jeszcze nie skończył. Nie chcąc być w zasięgu ramion rozwścieczonego księcia, zanim zaczął mówić dalej, odsunął się pod drzwi.

- Żałuję, ale nie są to „bezpodstawne zarzuty”, wasza wysokość.

Uczucie niewyobrażalnego strachu przeleciało przez umysł Jordana, gdy przypomniał sobie Aleksandrę siedzącą z karafką w ręce, gdy wrócił z nad strumienia. „Czy napijesz się wina? To specjalny rodzaj porto”.

- Dzisiaj rano pana małżonka złożyła kolejną tajną wizytę pańskiemu kuzynowi.

Jordan potrząsnął głową, jakby chciał zaprzeczyć temu, co już zaczął podejrzewać jego rozum. Każdy nerw jego ciała przeszywała furia, szok i ból.

Fawkes właściwie odgadł oznaki przyzwolenia.

- Kiedy pan wrócił, pański kuzyn i żona byli po słowie. Czy nie zdziwiło pana, że kuzyn tak łatwo ją oddał?

Księżę powoli spojrział na niego, a w jego zimnych oczach był ból i wściekłość. Nic nie powiedział. Bez słowa podszedł do stolika, chwycił karafkę z brandy i gwałtownie wyciągnął korek. Nalał sobie brandy aż po krawędź szklanki i wypił w dwóch łykach.

- Czy pozwoli mi pan wyrazić moje przypuszczenie? - zapytał cicho stojący za nim Fawkes.

Jordan lekko skinął głową, ale nie odwrócił się.

- Morderstwo z premedytacją ma zawsze motyw, a w tym wypadku najbardziej prawdopodobnym jest prywatna korzyść. A że na pańskiej śmierci najwięcej zyskałby lord Townsende, naturalnie on jest głównym podejrzanym nawet bez dodatkowego dowodu.

- Jakiego dowodu?

- Dojdę do tego za chwilę. Ale najpierw proszę mi pozwolić powiedzieć, że według mnie dwaj bandyci, którzy napadli na pana ponad rok temu niedaleko Morsham nie chcieli ani pańskiego trzosa, ani okupu. Była to pierwsza próba zamordowania pana. Druga, to oczywiście napad w dokach. Do tej pory motywem działania lorda Townsende'a mogła być chęć zyskania pańskiego tytułu i majątku. Od tej chwili doszedł dodatkowy motyw.

Fawkes przerwał czekając na reakcję księcia, ale ten milczał, odwrócony plecami.

- Tym dodatkowym motywem stała się pańska żona, którą próbował poślubić i z którą nadal sekretnie się widuje. Skoro go odwiedza, przyjmuję, że i ona pragnie go poślubić. Nie

może jednak tego zrobić, dopóki pan żyje. Oznacza to, że lord Townsende ma współnika, czyli ją.

Fawkes wciągnął głośno powietrze.

- Od tej chwili muszę być brutalny, jeżeli mam bronić pańskiego życia.

Wysoki mężczyzna po drugiej stronie pokoju nadal milczał, a Fawkes właściwie zinterpretował jego niechęć.

- Bardzo dobrze. Zgodnie z plotkami, które słyszeli moi ludzie od pańskich służących, tej nocy w Londynie, gdy próbowano pana zabić, pana żona przestraszyła wszystkich, bo wróciła dopiero rano. Czy wie pan, gdzie była?

Jordan przełknął jeszcze trochę brandy.

- Mówi, że spała w wolnym pokoju guwernantki.

- Wasza wysokość, czy jest to możliwe, że jeździec, który do pana strzelał, to raczej kobieta, a nie mężczyzna?

- Moja żona jest wyśmienitym strzelcem - odpowiedział Jordan sarkastycznie. - Gdyby to ona strzelała, na pewno by nie chybiła.

- Było ciemno, a ona siedziała na koniu - wymamrotał Fawkes bardziej do siebie niż do Jordana. - Być może koń drgnął, gdy wystrzeliła. Chociaż nie skłaniałbym się do tego, że zrobiła to sama - to by było zbyt ryzykowne. W przeszłości wynajmowali ludzi, by pana zabić, ale teraz robią to na własną rękę. Stawia to pana w o wiele gorszym położeniu i czyni naszą pracę dziesięć razy trudniejszą. Chcę pana prosić, żeby udawał pan, że nic nie wiemy. Pozwólmy pańskiej żonie i kuzynowi myśleć, że nie wiemy o ich zamiarach. Poinstruowałem doktora Danversa, by powiedział, że Nordstrom umarł na serce. Gdy wypytywałem służbę kuchenną, bardzo uważałem, aby nie kłaść specjalnego nacisku na karafkę z winem. Nie mają powodu sądzić, że coś podejrzewamy. Jeżeli nadal będziemy tak postępować i zintensyfikujemy obserwację pana żony i lorda Townsende'a, powinniśmy odkryć jakąś przesłankę następnej próby. Wówczas będziemy w stanie złapać ich na gorącym uczynku - zakończył Fawkes. - Myślę, że mogą spróbować pana ponownie otruć, skoro sądzą, że jesteśmy niczego nieświadomi, ale być może nie. Jeżeli tak, na pewno nie zatrują nic, co również inni mogą jeść, ponieważ więcej niż jedna śmierć z pewnością obudziłaby podejrzania. Na przykład brandy, którą pan właśnie pije, jest dosyć bezpieczna, ponieważ jest serwowana gościom. Jednak ostrzegam pana przed jedzeniem lub piciem czegokolwiek, co daje panu żona, a czego mogła dotknąć nie będąc widziana przez pana. Jedyne, co możemy poza tym zrobić, to obserwować i czekać.

Skończywszy na tym Fawkes zamilkł czekając na reakcję, ale Jordan stał sztywny jak stal. Detektyw zawahał się, po czym ukłonił sztywnym plecocom księcia.

- Bardzo mi przykro, wasza wysokość - powiedział miękko i z żalem.

Tuż po tym, jak Fawkes zamknął za sobą drzwi, usłyszał dobiegający z gabinetu głośny brzęk i dźwięk rozpryskującego się szkła. Fawkes myśląc, że ktoś strzelał przez okno, wpadł z impetem do gabinetu i zatrzymał się nagle. Wspaniała kryształowozłota karafka, która kiedyś należała do francuskiego króla, leżała teraz rozbita w drobny mak kilka centymetrów od ściany. Księżę, który nie zdradzał śladu emocji przez całą rozmowę, opierał się rękami o kominek, a jego szerokie ramiona drżały z bólu i rozpacz.

* * *

Gdy Jordan wszedł do salonu, Aleksandra odwróciła się ku niemu, ubrana w jedwabną zieloną suknię. Jej radosny uśmiech zaczął jednak zanikać, gdy zobaczyła zaciśnięte szczęki swojego męża i zimny błysk w jego oczach.

- Jordanie, czy coś się stało?

Słyszac swoje łagodnie wymówione imię, Jordan mocno zacisnął zęby.

- Stało się? - powtórzył cynicznie, z obraźliwą otwartością lustrując jej ciało, od piersi, przez talię po biodra, a potem spojrzał jej w twarz. - Nic takiego nie widzę - odpowiedział z bolesną obojętnością.

Aleksandrze zaschło w ustach, a jej serce zaczęło walić jak młot, gdy z przerażeniem wyczuła, jak Jordan odsunął się od niej, jakby bliskość, czułość i radość, które ich łączyły nigdy nie istniały. Panika spowodowała, że chcąc odzyskać to, co ich łączyło, sięgnęła po karafkę sherry ze stołu. Jordan powiedział, że lubi, jak robi dla niego różne rzeczy i dlatego zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Napełniła mały kieliszek i podała go Jordanowi z uśmiechem.

- Napijesz się troszkę sherry?

Gdy patrzył na kieliszek w jego oczach płonęły dwa ognie, a nerw na policzku pulsował. Kiedy podniósł na nią wzrok, Aleksandra cofnęła się przerażona na widok niewytłumaczalnego okrucieństwa w jego oczach. Patrzył na nią uważnie biorąc od niej kieliszek.

- Dziękuję - powiedział, a po ułamku sekundy delikatne szkło prysnęło w jego dłoni.

Aleksandra krzyknęła i zaczęła rozglądać się za czymś, by wytrzeć sherry, zanim wsiąknie w delikatny turecki dywan.

- Nie trudź się - uciął Jordan chwytając ją za łokieć i brutalnie podnosząc. - To nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia? - zdziwiła się Aleksandra zakłopotana. - Ale...

- Nic nie ma znaczenia - powiedział miękko, ale bez emocji.

- Ale...

- Zaczynamy kolację, moja słodka?

Aleksandra opanowała rosnącą panikę i pokiwała głową. Gdy powiedział „moja słodka” brzmiało to niemal jak zniewaga.

- Nie, poczekaj! - wykrzyknęła, a potem dodała nieśmiało: - Mam coś, co chciałabym ci dać.

„Truciznę?” - pomyślał sarkastycznie, patrząc na nią.

- To - powiedziała wyciągając do niego rękę. Na jej otwartej dłoni leżał zegarek jej dziadka. Aleksandra podniosła na niego błyszczące oczy.

- Chcę, żebyś go miał - powiedziała niepewnie.

Przez krótką straszną chwilę myślała, że Jordan odmówi. Wziął go jednak i niedbale schował do kieszeni.

- Dziękuję - powiedział obojętnie. - Jeżeli przyjąć, że dokładnie pokazuje czas, już pół godziny temu powinniśmy byli rozpocząć kolację.

Gdyby dał jej w twarz, nie zraniłby jej tak mocno ani nie wprawił w taką konsternację. Odrętwiała wsunęła dłoń pod ramię, które jej zaoferował, i dała się zaprowadzić do jadalni.

Przez całą kolację próbowała bezskutecznie przekonać siebie samą, że zmiana jego stosunku do niej jest wytworem jej wyobraźni.

Gdy w nocy nie przyszedł do niej, by się z nią kochać, leżała bezsennie zastanawiając się, co zrobiła, że był jej tak niechętny.

Następnego dnia nie rozmawiał z nią wcale, tylko gdy to było nieuniknione podczas posiłków. Znosiła to cierpliwie, aż w końcu przelknęła dumę i spokojnie zapytała, co złego uczyniła.

Spojrzał na nią ze złością znad sterty papierów na biurku, gdy stała tak jak nerwowy petent z trzęsącymi się dłońmi schowanymi za plecami.

- Coś złego? - powtórzył zimno jak całkiem obcy człowiek. - Nie ma nic złego, poza twoim wyborem czasu, Aleksandro. Jak widzisz, Adams i ja pracujemy.

Aleksandra zachwiała się do głębi zakłopotana obecnością Adamsa, którego nie zauważyła, jak siedział przy małym stoliku przy oknie.

- Przepraszam, panie.

- W takim razie - skinął znacząco w stronę drzwi - czy mogłabyś...

Aleksandra zrozumiała tę niegrzeczną odpowiedź. Wyszła i nie próbowała z nim rozmawiać do wieczora, gdy usłyszała, jak wchodzi do sypialni. Zebrała całą swoją odwagę, założyła szlafrok, otworzyła drzwi łączące apartamenty i weszła.

Jordan zdejmował koszulę, gdy zobaczył jej odbicie w lustrze i odwrócił się gwałtownie.

- Tak, co się stało? - rzucił zimno.

- Jordanie, proszę! - wybuchła Aleksandra podchodząc do niego nieświadoma swojej uwodzicielskości z rozpuszczonymi włosami spływającymi na różową satynową suknię, która szeleściła z każdym jej krokiem. - Powiedz, co zrobiłam, że tak się gniewasz?

Jordan patrzył jej w oczy i walczył z pokusą, by udusić ją za jej zdradę, i z drugą - jeszcze silniejszą - by chwycić ją w ramiona i kochać się z nią. Żeby choć przez godzinę udawać, że nadal jest jego czarującą, bosonogą księżniczką. Chciał ją tulić i całować, przycisnąć mocno do siebie, wymazać ostatnie dni piekła. Tylko przez godzinę. Ale nie mógł, bo nie mógł wymazać okrutnego obrazu jej z Tonym, jak obejmują się i planują zabójstwo. Ani na godzinę, ani na minutę.

- Nie jestem zły, Aleksandro - powiedział bezbarwnie. - A teraz wyjdź. Gdy będę chciał twojego towarzystwa, dam ci znać.

- Rozumiem - wyszeptała i odwróciła się.

Gdy szła z powrotem do swojego łóżka, jej oczy zalewały łzy.

ROZDZIAŁ 30

Aleksandra patrzyła niewidzącym wzrokiem na haft, który trzymała w ręku. Jej palce nieruchomo ścisnęły igłę, a serce zdawało się ciemne i zimne jak niebo widoczne za oknami salonu. Przez trzy dni i trzy noce Jordan był dla niej jak obcy, zimny, nieznajomy mężczyzna, który patrzył na nią z lodowatym brakiem zainteresowania lub niechęcią w tych rzadkich chwilach, gdy w ogóle na nią patrzył. Sprawiało to wrażenie, jakby kto inny zamieszkał jego ciało - ktoś, kogo nie znała, ktoś, kto spoglądał czasem na nią tak szaleńczo, że drżała z grozy.

Nawet przyjazd wujka Monty'ego i jego hałaśliwa obecność nie poprawiły dusznej atmosfery Hawthorne. Przyjechał Aleksandrze na ratunek - jak wyjaśnił jej na osobności, gdy instalował się w swoich pokojach i krytycznie przyglądał krągłej pupie pokojówki, która szykowała jego łóżko. Słyszał ostatnio, że Hawthorne „wyglądało jak gniew Boga”, gdy dowiedział się o jej zakładzie spisany u White'a.

Rozpaczliwe próby wujka Monty'ego, by wciągnąć Jordana w przyjacielską pogawędkę, wywoływały tylko uprzejme, ale najkrótsze jak można odpowiedzi. Starania Aleksandry, by udawać, że jest to normalne, nie oszukały nikogo, nawet służby, że są szczęśliwą parą małżonków. Wszyscy, od lokaja Higginsa, do psa Henryka byli świadomi napiętej atmosfery, jaka panowała w domu.

W ciężkiej ciszy, która zapadła w salonie, głos wujka Monty'ego zabrzmiał jak wystrzał armatni. Aleksandra podskoczyła.

- Muszę powiedzieć, Hawthorne, że mamy świetną pogodę - powiedział i czekał z uniesionymi brwiami na odpowiedź, która mogłaby być wstępem do dalszej konwersacji.

Jordan uniósł wzrok znad książki, którą czytał.

- Zgadza się - odpowiedział.

- Ani trochę mokro - nie rezygnował wujek Monty, jego policzki czerwieniły się od wina.

- Wcale niemokro - zgodził się Jordan, tonem wypranym z emocji.

- Ciepło, dobra pogoda na zbiory - niezrażony ciągnął wujek Monty.

- Czyżby? - ton Jordana w uprzejmy sposób zniechęcał do dalszej rozmowy.

- YYY... dosyć - odparł wujek Monty i zagłębiając się głębiej w fotelu posłał Aleksandrze rozpaczliwe spojrzenie.

- Czy wiesz, która jest godzina? - zapytała zmęczona Aleksandra.

Jordan popatrzył na nią.

- Nie - odpowiedział z rozmyślnym okrucieństwem.

- Powinieneś sobie sprawić zegarek, Hawthorne - powiedział wujek Monty, jakby to był najbardziej odkrywczy pomysł na świecie. - To najlepsza rzecz, by być na czasie.

Aleksandra skryła twarz, by ukryć ból, jaki sprawił jej Jordan po raz drugi przyjmując zegarek jej dziadka, a potem go odkładając na bok.

- Jest jedenasta - poinformował wujek Monty wyciągając swój własny zegarek na łańcuszku. - Ja zawsze noszę zegarek - pochwalił się. - Nigdy nie trzeba zastanawiać się, która godzina. Cudowna rzecz taki zegarek - perorował. - Nie wiadomo, jak one działają.

Jordan zatrzasnął książkę.

- Owszem, można się dowiedzieć - rzekł sucho.

Wujek Monty, w którym zgasła nadzieja, że książkę da się wciągnąć w pasjonującą rozmowę na temat zegarmistrzostwa, znowu spojrzawszy desperacko na Aleksandrę, ale odpowiedzi udzielił mu sir Henryk. Olbrzymi owczarek angielski był całkowicie niedbały, jeśli chodzi o wykonywanie swoich obowiązków w pilnowaniu ludzi, natomiast niezwykle ochoczo ich pocieszał. Bardzo hojnie okazywał im swoje uczucia i zawsze starał się być pod ręką, gdyby ktoś potrzebował jego uwagi. Widząc nieszczęśliwą minę sir Montague'a, wstał ociężale z podłogi, potruczał do niego i dwoma niezwykle mokrymi machnięciami polizał jego dłonie.

- Faj! - krzyknął potomek rycerzy i poderwał się na równe nogi z większą energią niż przez ostatnie ćwierć wieku, po czym energicznie zaczął wycierać ośliniony grzbiet dłoni o spodnie.

- To zwierzę ma język jak mokra szmata!

Obrażony sir Henryk popatrzył z wyrzutem na swoją ofiarę i wróciwszy na swoje posłanie, zwałił się na nie z rezygnacją.

- Pozwolicie, że udam się na spoczynek - powiedziała Aleksandra nie mogąc znieść tej atmosfery ani chwili dłużej.

* * *

- Filbercie, czy w zagajniku wszystko jest przygotowane? - zapytała Aleksandra następnego popołudnia, gdy stary służący przyszedł do jej sypialni.

- Tak - odpowiedział cierpko. - Nie uważam, żeby mąż panienki zasługiwał na przyjęcie urodzinowe. Po tym, jak panienkę traktował, zasługuje raczej na potężnego kopa w tylną część ciała!

Aleksandra poprawiła wymykający się spod błękitnego kapelusika lok i nie podjęła dyskusji. Na pomysł urządzenia przyjęcia - niespodzianki z okazji urodzin Jordana wpadła, gdy wychodzili z pawilonu - najszcześniejszego dnia krótkiego okresu raju.

Po dniach sztywnej, niewytłumaczalnej niechęci Jordana jej twarz była blada, a oczy nieustannie błyszczały od łez. Serce bolało ją od ciągłego powstrzymywania łkań. W żaden sposób nie potrafiła sobie wytłumaczyć dziwnego zachowania Jordana. Im bardziej zbliżała się godzina niespodzianki, tym większą miała nadzieję, że gdy Jordan odkryje, co planowała z pomocą Tony'ego i Melanii, być może na powrót stanie się człowiekiem, z którym była szczęśliwa jeszcze parę dni temu, albo przynajmniej zdradzi jej, co go gryzie.

- Cała służba gada, jak on się do panienki odnosi - ze złością kontynuował Filbert. - Prawie się do panienki nie odzywa, zamyka się na całe dni i noce w gabinecie i nie spełnia swoich męzowskich ...

- Filbercie, proszę! - wykrzyknęła żałośnie Aleksandra. - Nie psuj mi tego dnia!

Przepraszająco, ale wciąż z niechęcią skierowaną przeciw mężczyźnie, który sprowadzał na Aleksandrę czarne chmury, Filbert powiedział:

- Nie muszę, on to zrobi najlepiej. Dziwię się, że w ogóle zgodził się iść z panienką do zagajnika, gdy mu panienka powiedziała, że chce mu coś pokazać.

- Ja też - powiedziała Aleksandra, która chciała się uśmiechnąć, ale zamiast tego zaintrygowana zmarszczyła brwi. Zobaczyła się z nim w gabinecie, gdy rozmawiał z Fawksem, nowym pomocnikiem zarządcy i spodziewała się, że będzie się musiała namęczyć, zanim namówi go na wyprawę powozem.

Na początku Jordan chciał protestować, ale potem spojrzał na zarządcę i zgodził się gwałtownie.

- Wszystko gotowe - zapewniał Jordana Fawkes w jego sypialni. - Moi ludzie ukryli się wśród drzew po drodze do zagajnika i wokół samego zagajnika. Czekają tam od trzech godzin - kwadrans po tym, jak pańska żona zaproponowała przejażdżkę. Poleciałem im, aby pozostali ukryci na swoich miejscach, dopóki zabójca lub zabójcy się nie ujawnią. Na razie nie mogą się ruszyć, by się nie ujawnić i nie mogą mi nic meldować. Bój jeden wie, dlaczego pana kuzyn wybrał zagajnik, a nie jakąś chatę lub inne ustronne miejsce.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - powiedział Jordan wkładając czystą koszulę. Przerwał na chwilę uświadamiając sobie, jak absurdalne jest to, że przebiera się, by ładnie wyglądać, podczas gdy jego żona zastawiła na niego pułapkę, żeby go zabić.

- To jest prawda - powiedział spokojnie Fawkes tonem doświadczonego żołnierza. - I to jest pułapka. Poznałem to po jej głosie i wyrazie oczu, gdy poprosiła pana o towarzyszenie jej. Była zdenerwowana i kłamała. Obserwowałem jej oczy. Oczy nie kłamią.

Jordan patrzył na detektywa ironicznie. Przypomnił sobie, jak promiennie niewinnie wydawały mu się kiedyś oczy Aleksandry.

- To bajka - powiedział bez szacunku. - Bajka, w którą kiedyś wierzyłem.

- Liścik od lorda Townsende'a, który przechwyciliśmy, nie jest bajką - przypomniał sucho Fawkes. - Są tak pewni, że nie znamy ich planów, iż stają się nieostrożni.

Na wspomnienie wiadomości od Tony'ego twarz Jordana przybrała wyraz obojętny jak kamienna maska. Zgodnie z instrukcjami Higgins przyniósł list od Tony'ego do Jordana, zanim zaniósł go do Aleksandry. Słowa te jeszcze dźwięczały mu w głowie:

„W zagajniku wszystko gotowe. Musisz go tam tylko zwabić”.

Godzinę temu, gdy czytał te słowa, ból prawie powalił go na kolana, ale teraz nie czuł już nic. Przekroczył już granicę cierpienia, nie czuł nawet strachu, że za chwilę stawi czoło swoim najbliższym, którzy chcieli go zabić. Teraz chciał jedynie mieć to wszystko za sobą i w jakiś sposób wyrzucić Aleksandrę ze swojego serca i myśli.

Ostatniej nocy leżał bezsennie aż do świtu, walcząc z głupią ochotą, by do niej pójść i przytulić ją, dać jej pieniądze i ostrzec, by uciekała. Niezależnie od tego, czy Tony'emu się dziś powiedzie czy nie, Fawkes miał wystarczająco dużo dowodów, aby oboje resztę życia spędzili w lochu. Wizja Aleksandry w łańcuchach, w przegniłej, pełnej szczurów celi była zbyt okropna, by ją znieść, nawet teraz, gdy znów miał być dla niej celem na otwartym polu.

Aleksandra czekała na niego w hallu. Wyglądała lekko i świeżo jak wiosna, w błękitnej muślinowej sukience, której długie rękawy i rąbek były ozdobione kremową szarfą. Odwróciła się i patrzyła na niego z radosnym uśmiechem. Jordan z furią pomyślał, że uśmiecha się, bo ma nadzieję, że się pozbędzie go dziś na dobre.

- Gotowy? - zapytała wesoło.

Bez słowa pokiwał głową i poszli do powozu, który czekał na nich na podjeździe.

Gdy powóz wyjeżdżał z alei i kierował się na otwartą drogę wśród pól, Aleksandra posłała Jordanowi spojrzenie spod w półprzymkniętych powiek. Mimo że był ostentacyjnie obojętny, widziała, jak nieustannie lustrował wzrokiem okoliczne drzewa, tak jakby czegoś wypatrywał.

Zaczęła się nawet zastanawiać, czy Jordan w jakiś sposób nie dowiedział się o niespodziance. Zaskoczenie Jordana na widok tego, co dla niego przygotowała, przekonało ją jednak, że o niczym nie wiedział.

- Co u...? - Jordan w zadziwieniu wciągnął powietrze widząc przed sobą kolorowe chorągiewki powiewające na wietrze i wszystkich swoich wieśniaków, z całymi rodzinami, ubranych odświętnie i uśmiechających się do niego. Po lewej stronie zobaczył Tony'ego, jego matkę i brata stojących razem ze starą księżną. Melania i John Camden przyjechali z Roddym Carstairssem i tuzinem innych londyńczyków. Po prawej stronie, na pospiesznie zbitym podwyższeniu, stały dwa podobne do tronów krzesła i sześć innych, mniej okazałych. Nad podwyższeniem rozpostarty był parasol chroniący je przed słońcem. Na jego szczycie powiewały proporce z herbem Hawthorne'a - sokołem o rozpostartych skrzydłach.

Powóz Jordana podjechał na środek pola, a czterej dobosze ogłosili przybycie księcia głośnym waleniem w bębny i okrzykami.

Jordan zatrzymał konie i odwrócił się gwałtownie do Aleksandry.

- Co to ma znaczyć? - zapytał.

Gdy spojrzała na niego, jej oczy pełne były miłości, niepewności i nadziei.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedziała czule.

Jordan popatrzył na nią, zacisnął szczękę i nic nie powiedział.

- To przyjęcie w stylu Morsham, tylko z większym rozmachem niż tamtejsze - wyjaśniła niepewnie. Kiedy nadal tylko na nią patrzył, położyła mu dłoń na ramieniu. - To rodzaj turnieju w połączeniu z jarmarkiem na cześć urodzin księcia. Dzięki temu książę może lepiej poznać swoich poddanych.

Jordan rozglądał się wśród tłumu z rozniewanym pomieszaniem. Zastanawiał się, czy cała ta maskarada była zorganizowana, aby zakamuflować morderstwo? Czy jego żona była aniołem czy diabolicą? Przekona się o tym, zanim dzień się skończy. Odwracając się, pomógł jej wysiąść z powozu.

- Co powinienem teraz zrobić?

- No, zobaczmy - powiedziała ze sztucznym ożywieniem. Odwróciła się, by ukryć, jak bardzo zraniła ją jego reakcja. - Czy widzisz trzodę w zagrodach?

Jordan rozejrzał się dookoła i zobaczył około dziesięciu małych zagród rozrzuconych po polu. - Tak.

- Zwierzęta należą do twoich wieśniaków. Musisz dobrze się przyjrzeć wszystkim sztukom i wybrać najlepszą, a potem wręczyć jej właścicielowi jedną z nagród, jakie kupiłam we wsi. Tam, gdzie ułożono liny, będzie turniej rycerski, a tam, gdzie tarcze - łuczniczy, a tam...

- Chyba już wiem, o co chodzi - przerwał jej krótko Jordan.

- Byłoby miło, gdybyś ty również wziął udział w jakimś konkursie - dodała jego żona wahając się, niepewna, w jakim stopniu jest skłonny mieszać się z pospółstwem.

- Dobrze - odparł i nie mówiąc nic więcej odprowadził ją do podwyższenia i tam zostawił.

Przywitał się ze znajomymi z Londynu, a potem z Tonym i lordem Camdenem nalali sobie piwa, którym już raczyli się wieśniacy i zaczęli chodzić po polu zatrzymując się na chwilę, aby popatrzeć na popisy czternastoletniego żonglera - amatora.

- Tak więc, moja droga - zwrócił się do niej Roddy Carstairs. - Czy jest już w tobie szaleńczo zakochany? Wygram dla nas nasze zakłady?

- Roddy, zachowuj się! - pogroziła mu Melania pojawiając się u boku Aleksandry.

- Proszę nie wspominać tego okropnego zakładu w mojej obecności! - ostrzegła stara księżna.

Chcąc być bliżej Jordana, Aleksandra zeszła ze swojego podwyższenia z Melanią u boku.

- Nie to, żebym była niezadowolona z jego obecności, ale co tu robi Roddy? I inni?

Melania roześmiała się.

- Pozostali przybyli z Roddym z jednego powodu. Bo on przyjechał. Nasza znajomość z Hawthorne'em sprawiła, że nagle staliśmy się bardzo popularni wśród ludzi, którzy w innych okolicznościach przez całe tygodnie nie postawiliby nogi na wsi. A jednak wczoraj przyjechali, nie mogąc się doczekać, by zobaczyć, jak stoją sprawy między tobą a księciem. Znasz Roddy'ego - stawia sobie za punkt honoru, by wiedzieć o każdej plotce, zanim ona jeszcze powstanie. Tak za tobą tęskniłam - dodała nagle obejmując ją z uczuciem, po czym odsunęła się i wpatrzyła pilnie w Aleksandrę. - Powiedz mi szczerze, jesteś z nim szczęśliwa?

- Ja... tak - skłamała.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła Melania tak rozradowana, że jej przewidywania się sprawdzają, iż Aleksandra nie miała serca wytłumaczyć jej, że jest żoną mężczyzny, którego humory prowadzą ją prostą drogą do szaleństwa. I milczała patrząc z bólem na Jordana, który z rękoma założonymi za plecami przechadzał się wśród uwięzionej w zagrodach trzody. Wyraz jego twarzy był odpowiednio poważny, gdy oceniał uczciwie najtłustszego indora, najbardziej obiecującą świnię, najlepiej wytresowanego psa i wręczał nagrody ich zaaferowanym właścicielom.

Do czasu, gdy słońce zaczęło znikać za horyzontem i zapalono pochodnie, zarówno plebs, jak i arystokraci byli w świetnych nastrojach, śmiejąc się i pijąc razem piwo, konkurując we wszystkich możliwych konkursach, od poważnych po najgłupsze. Jordan, lord

Camden, a nawet Roddy wzięli udział w konkursie strzeleckim, turnieju oraz pojedynkach. Z cichą dumą Aleksandra patrzyła, jak Jordan z rozmysłem spudłował przy ostatnim strzale, pozwalając wygrać trzynastoletniemu synowi jednego z wieśniaków.

- Nagroda należy się najlepszemu mężczyźnie - powiedział wręczając oszołomionemu chłopakowi złotego suwerena.

A potem całkowicie odrzucił pozory godności, przechodząc do wyścigów żółwi, sam wybierając z kosza żółwia i nalegając, aby jego przyjaciele zrobili to samo. Ani razu nie spojrzał jednak na Aleksandrę. Wyglądało to tak, jakby zmuszał się do tego wszystkiego tylko po to, by nie zawieść gości. Ramię w ramię z dziećmi trzech najznamienitszych arystokratów Londynu stał teraz na linii startowej. Krzykiem zagrzewał swoich faworytów do szybszego marszu i wydawał jęki zawodu, gdy żółwie odmawiały wysłuchania ich królewskich rozkazów i chowały się do skorup.

- Zawsze lubiłem żółwie tylko w zupie - zażartował Tony kuksając Johna Camdena w bok - ale przez chwilę mój żółw okazał pewną determinację. Założę się o funta, że twój dłużej będzie się chował w skorupie.

- Zgoda! - wykrzyknął bez wahania John i zaczął zachęcać swojego żółwia, by wyjął głowę ze skorupy.

Jordan obserwował ich z nieodgadzionym wyrazem twarzy, a potem podszedł do stołu, gdzie służące serwowały piwo.

- Co, u diabła, wstąpiło w twojego malowniczego kuzyna? - wypytywał Roddy Tony'ego. - Gdy fechtowaliście, sprawiał wrażenie, jakby chciał utoczyć twoją krew. Czy to możliwe, że jest nadal zazdrosny, bo Aleksandra prawie za ciebie wyszła?

Celowo nie spuszczać wzroku z żółwia Tony wzruszył ramionami.

- A skąd ci przyszło do głowy, że Hawk kiedykolwiek był zazdrosny?

- Mój drogi chłopcze, nie zapominaj, że byłem na balu u Lindsworthów tej nocy, gdy spadł między nas jak jastrząb i rozkazał Aleksandrze iść do domu.

- Przez ten wstrętny zakład, do którego złożenia ty ją nakłoniłeś - wypomniał mu Tony i ponownie skoncentrował całą uwagę na żółwiu.

Jordan wziął ze stołu szklankę piwa i stanął plecami do drzewa, z zastanowieniem patrząc na Aleksandrę, która rozglądała się nerwowo wśród tłumu najwyraźniej szukając jego. Wiedział, że obserwowała go przez cały wieczór. Tony też. Oboje wyglądali również przez cały wieczór za zakłopotanych, jakby spodziewali się, że to przyjęcie bardziej go ucieszy.

Spojrzał znowu na Aleksandrę i zobaczył, że śmieje się z czegoś, co powiedziała jego babka. Prawie słyszał ten melodyjny śmiech i mimo zapadającego zmierzchu wydawało mu

się, że widzi ten radosny błysk, jaki pojawiał się w jej oczach zawsze, gdy się śmiała. Jego żona. Morderczyni. Nawet, gdy to myślał, jego serce kurczyło się z bólu protestując, chociaż rozum nie mógł ignorować dowodów.

- Nie wierzę! - wyszeptał rozpaczliwie. Dziewczyna, która to wszystko przygotowała, nie mogła być jego morderczynią. Dziewczyna, która tuliła się do niego w nocy, droczyła przy strumieniu i nieśmiało podarowała największy skarb swego dziadka, nie mogła próbować go zabić.

- Wasza wysokość! - zatrzymał go pospieszny głos Fawkesa, gdy wyprostował się, by dołączyć do turnieju strzeleckiego, który stawał się coraz bardziej parodią, gdy zamroczeni piwem strzelcy usiłowali trafić w przyczepiony do drzewa cel. - Nalegam, aby pan jak najszybciej opuścił zabawę - wyszeptał Fawkes przysuwając się do Jordana.

- Niech pan nie będzie idiotą - warknął Jordan zmęczony Fawkesem i jego teoriami. - Znaczenie liściku mojego kuzyna jest oczywiste, zaplanowali we dwoje to przyjęcie i prawdopodobnie dlatego spotkali się w sekrecie.

- Nie czas teraz, by się o to spierać - ze złością powiedział Fawkes. - Za chwilę będzie ciemno, a moi ludzie to nie sowy. Nie widzą w ciemnościach. Wysłałem ich przodem, by ustawili się wokół trasy waszego powrotu do domu.

- Skoro już za późno, by dotrzeć do domu przy świetle dziennym, nie widzę różnicy, jeśli pozostanę tu jeszcze trochę.

- Nie mogę wziąć odpowiedzialności za to, co się stanie, jeśli natychmiast pan nie odjedzie - ostrzegł Fawkes, zanim odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Czy możesz sobie wyobrazić, że ci dorośli mężczyźni naprawdę zagrzewają do walki swoje żółwie? - zaśmiała się Melania przyglądając się swojemu mężowi i Tony'emu. - Chyba powinnam tam pójść i przypomnieć im o powadze, jaka przystoi ich wysokim pozycjom - powiedziała schodząc ostrożnie z podwyższenia. - Szczerze mówiąc, tak naprawdę to chcę zobaczyć, który wygra - przyznała mrugając do Aleksandry.

Aleksandra pokiwała głową z roztargnieniem i rozejrzała się wokół. Zatrzymała wzrok, gdy wśród tłumu radosnych twarzy, zobaczyła jedną, dziwnie znajomą, która wcale nie była radosna. Nagle, bez powodu przypomniała jej się ta noc, gdy poznała Jordana - beztroska tak jak dzisiaj - kiedy dwóch zbójców trzymało Jordana na muszce.

- Pani - spytała odwracając się do księżnej - kim jest ten mężczyzna w czarnej koszuli i czerwonej chuście zawiązanej wokół szyi?

Księżna podążyła za jej wzrokiem i wzruszyła ramionami.

- Jestem pewna, że nie mam najbledszego pojęcia, kim jest - odparła sztywno. - Widziałam dzisiaj więcej wieśniaków niż przez trzydzieści lat, gdy mieszkałam w Hawthorne. Nie zebym uważała twoje przyjęcie za zły pomysł - dodała niechętnie. - Ostatnio w Anglii zaszło wiele zmian. Choć ubolewam nad koniecznością podlizywania się tym, którzy nam służą, w obecnych czasach właściciel ziemski powinien być w dobrych stosunkach ze swoimi poddanymi. Tyle się słyszy o ich rosnących żądaniach i o tym, jak się buntują...

Aleksandra nie słuchała błędząc myślami i wracając myślą do tamtej nocy. Rozejrzała się nerwowo po polu szukając mężczyzny w czarnej koszuli, ale wydawało się, że zniknął. Kilka minut później zupełnie nieświadomie zaczęła sprawdzać, czy wszyscy, którzy byli jej drodzy, są w zasięgu wzroku. Wypatrywała Tony'ego i nie mogła go znaleźć. Potem poszukała wzrokiem Jordana i zobaczyła, jak stoi z dala oparty o drzewo, popija coś i przygląda się zabawom.

Zobaczył, że mu się przygląda i skinął lekko głową. Słodki, czuły uśmiech, jaki mu posłała, sprawił, że jego serce skurczyło się z bólu, niepewności i żalu. Uniósł szklankę w ironicznym toaście, po czym zamarł słysząc niewyraźnie znajomy głos w ciemności za sobą.

- W pana głowę wycelowany jest pistolet, milordzie, a drugi celuje w pańską żonę. Niech no pan tylko drgnie, a mój przyjaciel odstrzeli jej śliczną główkę. A teraz niech pan idzie w stronę mojego głosu, między drzewa.

Jordan powoli opuścił kufel. Czuł ulgę, nie strach, gdy odwrócił się w stronę głosu. Był przygotowany na konfrontację z nieznanym wrogiem, nie mógł się jej wręcz doczekać. Ani przez chwilę nie wierzył, aby Aleksandrze coś groziło, miało to tylko zapewnić jego posłuszeństwo.

Po dwóch krokach zagłębił się w ciemności lasu, a po kolejnym ujrzał lufę pistoletu.

- Dokąd idziemy? - zapytał cienia trzymającego broń.

- Do przytulnej chatki na końcu ścieżki. A teraz niech pan idzie przede mną.

Zesztywniały z napięcia, Jordan ominął bandytę i wkroczył na ścieżkę. W prawej dłoni wciąż trzymał ciężki kufel.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał ugodowo odwracając się trochę i unosząc prawą dłoń.

Przez mgnienie oka zbójca spojrział na tajemniczy przedmiot i to wystarczyło Jordanowi. Chlusnął zawartością kufła prosto w oczy oszołomionego przeciwnika, a potem uderzył go kuflem w szczękę i skroń z siłą, która posłała bandytę na kolana. Jordan chwycił porzucony na ziemi pistolet, po czym złapał bandytę za kark i postawił go na równe stopy.

- Do przodu, ty łotrze! Pójdziemy razem na ten spacer.

Bandyta zachwiał się, gdy Jordan posłał mu niecierpliwego kuksańca i pokuśtykał ścieżką. Jordan sięgnął do kieszeni po mały pistolecik, który nosił przy sobie od czasu powrotu do Anglii. Gdy go nie znalazł, pomyślał, że musiał wypaść mu, gdy pochylał się nad zbójcą. Zacieśnił więc żelazny chwyt na zdobycznej broni, po czym ruszył za napastnikiem.

Po pięciu minutach ukazał się koniec ścieżki i chata starego leśnika.

- Ilu jest w środku? - zapytał Jordan, choć chata była ciemna i nic nie świadczyło o tym, że w środku mógłby ktoś być.

- Nikogo nie ma - pospiesznie zapewnił przestępca i poczuł, jak zimna lufa wbija mu się w czaszkę. - Jeden albo dwóch. Nie wiem - poprawił się szybko.

Głos Jordana był zimny jak lód.

- Kiedy dojdziemy do drzwi powiedz, że mnie masz i żeby zapalili lampę. Powiesz coś innego, a rozwalę ci czaszkę. - Dla podkreślenia swoich słów naparł lufą mocniej na głowę bandyty.

- Jasne - wychrypiął ten i w pośpiechu, by uciec przed dotykiem pistoletu, ruszył w stronę domu.

- Mam go! - wykrzyknął z lekka przerażonym głosem kopiąc drzwi. - Zapalcie jakąś cholerną lampę, ciemno tu jak w kominie - dodał zgodnie z poleceniem stając w drzwiach.

Rozległ się trzask zapalanej zapalki, płomyk przysunął się do latarenki i rozbłysło światło. Jednym miękkim ruchem Jordan uderzył bandytę w głowę kolbą pistoletu i posłał go nieprzytomnego na podłogę, a potem wyprostował ramię wycelowując broń w oszołomioną postać za latarnią.

Twarz patrząca na niego zza światła sprawiła, że niemal ukląkł pod naporem szoku i bólu.

- Jordan! - wykrzyknęła dziko jego ciotka. Spojrzała w najdalszy kąt pokoju i Jordan odruchowo odwrócił się w tamtą stronę i wystrzelił. Z piersi drugiego najętego zabójcy trysnęła krew. Chwycił się za ranę, a z jego ręki wysunęła się bezużyteczna już broń.

Jordan rzucił na niego tylko krótkie spojrzenie, by upewnić się, że nie żyje, a potem odwrócił się i wpatrzył w kobietę, którą jeszcze chwilę temu kochał bardziej niż matkę... i nic nie czuł. Rosło w nim uczucie zimnej, nieczulej pustki, wypierając wszystkie emocje, pozbawiając go zdolności do uczuć - nawet gniewu.

- Dlaczego? - zapytał Jordan głosem wypranym z uczuć. Jego zimny, opanowany głos tak zdenerwował ciotkę, że zaczęła się jąkać.

- Chodzi ci... ci o to, dla... dlaczego chcieliś... śmy cię zabić?

Uderzyło go, że użyła liczby mnogiej. Miętko podszedł do martwego mężczyzny i wyjął pistolet z dłoni, a odłożył swój pusty. Z naładowanym pistoletem wycelowanym w kobietę, którą do tej pory kochał, podszedł do drzwi prowadzących do drugiego pokoju. Był pusty, a przecież jego ciotka użyła liczby mnogiej.

Po chwili olśniło go, na kogo prawdopodobnie czekała i w jego oczach pojawiła się wściekłość. Jego kuzyn i pewnie żona mieli tu najwyraźniej przyjść, by sprawdzić, czy tym razem na pewno go zabito.

Wrócił do głównego pokoju.

- Skoro najwyraźniej spodziewasz się posiłków, nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy usiedli i oboje poczekali - powiedział zimno.

Niepewność i strach błysnęły w jej oczach, gdy siadała na krzesło obok stołu. Jordan z przesadną kurtuazją poczekał, aż usiądzie, zanim sam usadowił się na stole i czekał z twarzą zwróconą w stronę drzwi.

- Teraz - zaczął jedwabistym głosem - przypuśćmy, że odpowiesz na parę pytań, krótko i szybko. Tamtej nocy koło Morsham to nie był zwykły napad, prawda?

- Ja... nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jordan popatrzył na znajomą twarz nieprzytomnego bandyty, który go wtedy napadł, a potem na swoją ciotkę. Bez słowa uniósł pistolet i wycelował w przerażoną kobietę.

- Chcę prawdy, madam.

- To nie był wypadek! - wykrzyknęła patrząc jak zahipnotyzowana w lufę.

Pistolet obniżył się.

- Dalej.

- Tak samo twoje uwięzienie. Chociaż nie miałeś być uwięziony, miałeś być martwy. Ale tak... tak trudno cię zabić! - dodała oskarżycielsko. - Zawsze miałeś diabelskie szczęście. Ty, ze swoimi tytułami, pieniędzmi, ze sprawnymi, zdrowymi nogami, podczas gdy biedny Bertie jest kaleką, a Tony wiecznym przegranym!

- Jakie to beztraskie z mojej strony - powiedział Jordan z gorzkim sarkazmem. - Dlaczego nie poprosiliście mnie o pieniądze? Wiesz, że dałbym wam, gdybym tylko miał pojęcie, że potrzebujecie. Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że zechcecie mnie zabić - dodał cierpko.

- Pani - Aleksandra rozpaczliwie zwróciła się do księżnej - czy widzisz gdzieś Jordana? Albo tego mężczyznę w czarnej koszuli i czerwonej chuście?

- Aleksandro, na litość boską! - zdenerwowała się starsza pani. - Dlaczego ciągle mnie męczysz i każesz wypatrywać jakichś ludzi. Hawthorne na pewno jest gdzieś tu w pobliżu. Jeszcze chwilę temu stał oparty o drzewo i popijał piwo.

Aleksandra przeprosiła i przez następne kilka minut starała się uspokoić, ale w końcu nie mogła powstrzymać ogarniającego ją niewytłumaczalnego strachu.

- Dokąd idziesz, kochanie? - zapytała księżna, gdy Aleksandra nagle wstała.

- Poszukać mojego męża - z pełnym winy uśmiechem przyznała Aleksandra. - Chyba boję się, że znowu zniknie tak jak rok temu, choć wiem, że to niemądre.

- To znaczy, że ci na nim zależy, drogie dziecko? - zapytała księżna czule.

Aleksandra pokiwała głową, zbyt zaniepokojona nieobecnością Jordana, by chronić dumę niejasną odpowiedzią. Rozglądała się idąc w kierunku miejsca, gdzie widziała go ostatnio. Nigdzie nie mogła dostrzec Tony'ego, ale zauważyła zbliżających się do niej Melanię i Johna Camdena.

- Wspaniałe przyjęcie, Aleksandro - stwierdził John z dziecięcym uśmiechem. - Nigdy nie bawiłem się tak dobrze na eleganckich przyjęciach w Londynie.

- Dziękuję. Nie widzieliście mojego męża? Albo Tony'ego?

- Nie przez ostatnie piętnaście minut. Mam ich poszukać?

- Tak, proszę - powiedziała Aleksandra nerwowo pocierając czoło. - Jestem dziś naprawdę w opłakanym stanie - dodała przepraszająco. - Ciągle coś sobie wyobrażam; wcześniej naprawdę wydawało mi się, że widzę obcego mężczyznę na drzewie. A teraz Jordan gdzieś zniknął.

John Camden uśmiechnął się do niej.

- Byliśmy razem jeszcze parę chwil temu - rzekł tonem, jakby uspokajał przestraszone dziecko. - Znajdę ich i przyślę do ciebie.

Aleksandra podziękowała i pośpieszyła do stołu, na którym serwowano piwo w ciężkich kuflach. Przechodząc obok pokiwała do jednej z pomocnic kuchennych i podeszła do drzewa, gdzie niedawno stał Jordan. Znów rozejrzała się dookoła i z wahaniem ruszyła w las wąską ścieżką. Mówiąc sobie, że jest niemądra i wyobraża sobie nie wiadomo co, zatrzymała się po kilku krokach nasłuchując uważnie, ale dźwięki skrzypiec i śmiech dochodzące zza drzew tłumiliły odgłosy lasu, a grube gałęzie nad głową odcinały resztki dziennego światła.

- Jordanie? - zawołała. Kiedy nie było odpowiedzi, przygryzła w zdenerwowaniu wargę i zmarszczyła brwi. Chcąc powrócić na polanę, odwróciła się i zamarła widząc metalowy kufel leżący na ziemi.

- O mój Boże - wyszeptła podnosząc ciężką szklanicę, a gdy ją odwróciła, wylało się z niej parę kropel piwa. Rozejrzała się gwałtownie dookoła z nadzieją, że zobaczy go leżącego gdzieś w pobliżu, powalonego zbyt dużą ilością alkoholu, tak jak to czasami się zdarzało wujkowi Monty'emu. Jednak zauważyła tylko błyszczący w trawie mały pistolet.

Schyliła się, by go podnieść, a wstając wpadła wprost na Anthony'ego.

- Tony! Dzięki Bogu to ty! - wykrzyknęła z ulgą.

- Co się, u diabła, dzieje! - powiedział z niepokojem chwytając ją za ramiona i pomagając wstać. - Camden mówi, że Jordan zniknął, a ty widziałaś mężczyznę kryjącego się wśród drzew.

- Znalazłam na ziemi kufel Jordana, a niedaleko ten pistolet - powiedziała Aleksandra głosem drżącym z przerażenia. - I sądzę, że mężczyzna, którego widziałam, to ten sam, który próbował zabić Jordana tej nocy, gdy się poznaliśmy.

- Wracaj na polanę i zostań w świetle! - wykrzyknął Tony ostro. Wyrwał jej pistolet i pobiegł ścieżką, znikając wśród drzew.

Aleksandra przeszła przez ogromny konar zagradzający ścieżkę i wróciła na polanę, bardziej jednak szukała pomocy niż bezpieczeństwa. Rozejrzała się pośpiesznie w poszukiwaniu Roddy'ego lub Johna Camdena. Nie dostrzegła żadnego z nich, więc podbiegła do jednego z wieśniaków, który przerwał na chwilę uczestnictwo w turnieju strzeleckim i szedł do stołu z piwem w takim samym radosnym nastroju jak reszta towarzystwa.

- Jaśnie pani! - wykrztusił mężczyzna ściągając pośpiesznie czapkę i kłaniając się w pas.

- Daj mi swoją broń! - zażądała Aleksandra bez tchu i nie czekając, aż oszołomiony wieśniak wykona jej polecenie, wyrwała mu strzelbę.

- Naładowana? - zapytała przez ramię wracając już do lasu.

- Tak, jaśnie pani.

* * *

Tony oddychający ciężko od długiego biegu przytknął ucho do drzwi nasłuchując odgłosów dochodzących ze środka. Nic nie usłyszał, więc spróbował je otworzyć. Gdy poczuł opór, cofnął się o dwa kroki i z rozpędem je wyważył. Pozbawiony równowagi, bowiem drzwi otworzyły się niespodziewanie łatwo, wpadł do pokoju i zatrzymał się otwierając w szoku usta. Jego matka siedziała sztywno wyprostowana na wprost wejścia. A obok niej siedział na stole Jordan. W rękę trzymał pistolet.

Pistolet był wycelowany prosto w głowę Tony'ego.

- Co to, u diabła, znaczy? - wykrzyknął Tony sapiąc. Przybycie Tony'ego rozwiało ostatnią, ulotną nadzieję, że jego żona i kuzyn nie zamierzali jednak zamordować go na tym przyjęciu. Głosem słodkim, choć niosącym śmiertelną groźbę, Jordan zwrócił się do Tony'ego.

- Witam na przyjęciu, kuzynie. Wierzę, że czekamy na jeszcze jednego gościa, aby nasze przyjęcie było pełne, prawda? Na moją żonę?

Zanim Tony odpowiedział, dodał:

- Nie niecierpliw się, na pewno przyjdzie cię szukać, przekonana, że zostałem unieszkodliwiony. Jestem tego pewien. - Jego głos zmienił się z jedwabiście słodkiego na ostry.

- Twoją kieszeń wypycha jakiś kształt i jest to niewątpliwie pistolet. Zdejmij frak i rzuć go na podłogę.

- Jordanie...

- Zrób to! - uciał Jordan, a Tony powoli go posłuchał. Kiedy Tony upuścił frak, Jordan przesunął lufę wskazując na krzesło stojące przy oknie.

- Siadaj! A jeśli drgniesz nawet o milimetr - ostrzegł z zabójczym spokojem - zabiję cię.

- Jesteś szalony - wyszeptał Anthony. - Musisz być zupełnie obłąkany. Jordanie, na litość boską, powiedz mi, co się tu u diabła dzieje?

- Zamknij się! - przerwał mu Jordan zamierając na dźwięk kroków na schodach. Bardziej niż na kogokolwiek innego był wściekły na dziewczynę, która była jego obsesją przez ponad rok. Podstępna kłamczucha, która potrafiła mu wmówić, że go kocha, mała dziewczka, która tuliła się do niego nocami i dawała mu swoje chętne ciało. Piękna, roześmiana, niezapomniana bosonoga księżniczka, która sprawiła, że strumień i kosz piknikowy obok przybrały dla niego wygląd raj. Z gniewem niemal nie do zniesienia pomyślał, że teraz ona jest o włos od tego, żeby wpaść w jego pułapkę.

Drzwi uchylły się zaledwie o kilka cali, a przez szparę błysnęły znajome kasztanowe loki, a potem ogromne zielone oczy, które rozszerzyły się z przerażenia, ujrzawszy broń, którą trzymał Jordan.

- Nie wstyź się, kochanie - powiedział zabójczym szeptem. - Wejdz. Czekaliśmy na ciebie.

Wzdychając z ulgą, Aleksandra otworzyła szeroko drzwi i pospieszyła w stronę Jordana. Po jej policzkach spływały łzy strachu i ulgi, gdy objęła go zapominając o strzelbie.

- Wiedziałałam, że to on, wiedziałałam...

Krzyknęła boleśnie zdziwiona, gdy Jordan schwycił ją za włosy i szarpnął do tyłu.

- Oczywiście, że wiedziałaś ty mała, oszukańcza dziewczko! - syknął jej prosto w twarz. Z rozmyślnym okrucieństwem szarpnął ją tak, że upadła uderzając biodrem o pistolet, który leżał na ziemi.

Przez chwilę Aleksandra po prostu patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczami, nie będąc w stanie zrozumieć, co się dzieje.

- Boisz się, kochanie? - zapytał cynicznie. - Słusznie, powinnaś. Tam, dokąd pójdziesz, nie będzie okien, pięknych sukienek ani mężczyzn poza paroma innymi więźniami, którzy będą używali twojego przepysznego ciała, dopóki ich nie znudzi. Miejmy nadzieję, że będą nim zainteresowani dłużej niż ja - dodał okrutnie. - Nie bądź taka zdziwiona - dodał, mylnie interpretując powód jej szoku - spałem z tobą, żeby podtrzymać pozory nic nie podejrzewającego małżonka, a nie dlatego, że cię pragnąłem - skłamał czując niepowstrzymaną chęć, aby zamordować ją za zdradę.

- Jordanie, dlaczego to robisz? - zapłakała, a potem cofnęła się przerażona widząc dziki błysk w jego oku, gdy wymówiła jego imię.

- Chcę odpowiedzi, nie pytań - rzucił Jordan. Oszacował, że zanim Fawkes odkryje, że zniknął i zorientuje się, że ostatnio widziano go, jak zmierzał w tym kierunku, minie jeszcze około dziesięciu minut i oparł się wygodnie o stół.

- Skoro i tak czekamy - zwrócił się do Tony'ego wskazując w jego stronę pistoletem - to może dostarczysz mi pewnych szczegółów. Co jeszcze zatruto w moim domu?

Tony przeniósł wzrok z pistoletu na kamienną twarz Jordana.

- Jesteś szalony, Jordanie.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, aby cię zabić - powiedział Jordan niedbale unosząc pistolet.

- Czekaj! - wykrzyknęła jego ciotka, rzucając rozpaczliwe spojrzenia na drzwi. - Nie rób nic Tony'emu. Nie może ci odpowiedzieć, bo nic nie wie o truciznie.

- I domyślam się, że moja żona też nic nie wie - przerwał Jordan szyderczo. - Czyż nie, kochana? - zapytał przesuwając lufę w stronę Aleksandry.

Aleksandra wstała kryjąc pistolet wśród sukien. Jej twarz pałała gniewem i niedowierzaniem.

- Myślisz, że próbowaliśmy cię otruć? - wykrztusiła patrząc na niego w osłupieniu.

- Wiem, że tak było - odpowiedział ciesząc się na widok gniewu, jaki zabłysł w jej oczach.

- Tak naprawdę - odezwał się od drzwi Bertie Townsende z pistoletem wymierzonym prosto w głowę Jordana - to się mylisz. Tak jak właśnie miała zamiar wyznać moja rozhisteryzowana matka, to ja jestem autorem tych wszystkich efektownych, choć przyznaję, jak dotąd nie uwieńczonych sukcesem, prób pozbawienia cię życia. Tony nie nadaje się na mordercę. Skoro to mnie przypadł rozum w rodzinie, bo przecież nie nogi, to ja zająłem się planowaniem i szczegółami. Wyglądasz na zdziwionego, kuzynie. Tak jak wszyscy, przyjąłeś za pewnik, że kaleka nie może stanowić dla nikogo skutecznego zagrożenia, czyż nie? Rzuć broń, Jordanie. I tak cię zabiję, ale jeżeli nie rzucisz teraz pistoletu, na twoich oczach zabiję twoją uroczą żonę.

Jordan zeszytniał, rzucił pistolet na podłogę i z wolna wstał, a Aleksandra natychmiast do niego przyłgnęła, tak jakby mylnie wierzyła, że będzie tu bezpieczna.

- Odsuń się! - warknął do niej Jordan, ale ona w widocznym przerażeniu chwyciła jego dłoń i ukradkiem wcisnęła do niej broń.

- Mnie też będziesz musiał zabić, Bertie - powiedział spokojnie Tony wstając i ruszając do przodu.

- Chyba tak - bez wahania zgodził się jego brat. - I tak zamierzałem to w końcu zrobić.

- Bertie! - wykrzyknęła ich matka - Nie! Nie tak planowaliśmy. ..

Aleksandra przeniosła wzrok na bandytę na podłodze. Zauważyła, że sięga pod frak Tony'ego, a za nim w drzwiach staje inny mężczyzna i wyciąga broń.

- Jordanie! - wykrzyknęła i nie widząc innego sposobu ochrony go przed trzema zabójcami rzuciła się, by osłonić go własnym ciałem akurat w momencie, gdy wypaliły pistolety.

Jordan automatycznie objął ją, gdy Bertie Townsende upadł zastrzelony przez Fawkesa stojącego w drzwiach. Bandyta na podłodze chwycił się za ramię zranione strzałem Jordana. Wszystko potoczyło się tak szybko, że Jordan dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Aleksandra zaczęła mu nagle strasznie ciążyć, niczym bezwładny worek, a nie żywa istota. Objął ją mocniej i uśmiechnął się blado. Pomyślał, że będą żartować z jej omdlenia, gdy się to wszystko wreszcie skończy. Zobaczył jednak coś, co sprawiło, że jego serce zamarło: jej głowa opadła bezwładnie na ramiona, a ze skroni wolnym strumyczkiem płynęła krew.

- Sprowadź doktora! - wykrzyknął do Tony'ego kładąc ją delikatnie na podłodze.

Serce biło mu ze strachu jak oszalałe. Ukląkł obok niej, zerwał z siebie koszulę i porwał ją na pasy bandażując ranę na jej głowie. Zanim dotarł do połowy, krew przesiąkła przez biel tkaniny, a twarz Aleksandry przybrała kolor popielatoszary.

- O mój Boże - wyszeptał. - O mój Boże!

W niezliczonych bitwach widział, jak ginęli żołnierze, i doskonale wiedział, jak wygląda śmiertelna rana, przed którą nie ma ratunku. I nawet wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że nie będzie żyła, przyciskał ją mocno do siebie. Tuląc ją do piersi, biegł jak szalony wzdłuż ścieżki, a w głowie tłukły mu się słowa: „Nie umieraj... nie umieraj... nie umieraj...”

Jego pierś falowała z wysiłku, gdy wypadł na pole dźwigając w ramionach bezwładny, ukochany ciężar. Nieświadom przerażenia na twarzach wieśniaków, złożył ją delikatnie w powozie, który najwyraźniej Tony kazał przyprowadzić do drzew.

Stara akuszerka spojrzała na zakrwawiony bandaż wokół głowy Aleksandry i na jej bladą twarz, a gdy Jordan okrążył powóz, by wspiąć się z drugiej strony, szybko poszukała jej pulsu. Kiedy odwróciła się z powrotem do wieśniaków, smutno potrząsnęła głową.

Ludzie, którym Aleksandra pomagała i z którymi się zaprzyjaźniła, patrzyli z miłością na jej nieruchomą postać. Kiedy Jordan odjechał, polanę wypełniły łkania. Niespełna dziesięć minut wcześniej miejsce to rozbrzmiewało śmiechem, który ona im podarowała.

ROZDZIAŁ 31

Spojrząwszy na twarz doktora Danversa wychodzącego z sypialni Aleksandry, Jordan pragnął krzyknąć z bólu i rozpacz.

- Przykro mi - powiedział cicho lekarz do zbolącej grupy czekającej na niego w hallu. - Nie mogłem już nic uczynić, by ją uratować. Kiedy tu dotarłem, było za późno, żeby jej pomóc.

Księżna przyłożyła chusteczkę do ust i łkając wtuliła się w ramiona Tony'ego, a Melania szukała oparcia w swoim mężu. John Camden uściśnął ramię Jordana, a potem zabrał zrozpaczoną żonę na dół, gdzie czekał Roddy Carstairs.

Doktor Danvers odwrócił się do Jordana.

- Może pan teraz do niej wejść i pożegnać się z nią, ale i tak nic nie usłyszysz. Jest w śpiączce. Za kilka minut - najwyżej godzin - odejdzie spokojnie. Nie będzie cierpiała, Jordanie, obiecuję - dodał łagodnie widząc żywy gniew na jego twarzy.

Jordan czuł jeszcze bolesny skurcz w gardle, gdy walcząc z gniewem skierowanym przeciw niewinnemu lekarzowi powoli wszedł do sypialni Aleksandry.

Wokół jej łóżka płonęły świece, a ona była niemal tak blada, jak prześcieradła, na których leżała. Oddech miała płytki, prawie niewyczuwalny.

Jordan czuł, że rozpacz dusi mu gardło. Usiadł koło niej i patrzył na jej ukochaną twarz, jakby chciał zapamiętać każdy jej rys. Z bólem pomyślał, że ma tak miękką skórę i rzęsy tak długie, że zdają się być jak czarne wachlarze na jej policzkach... Nie oddychała!

- Nie, nie umieraj! - wykrzyknął spazmatycznie, chwytając jej bezwładną dłoń i desperacko szukając pulsu. - Nie umieraj! - Wyczuł wreszcie jej puls, nierówny i słaby, i nagle nie mógł już przestać do niej mówić.

- Nie zostawiaj mnie, Sandy! - błagał, ściskając jej dłoń. - Boże, nie zostawiaj mnie! Są tysiące rzeczy, które chcę ci powiedzieć, tysiące miejsc, które chcę ci pokazać. Ale nie będę mógł, jeśli odejdiesz. Sandy, proszę, najdroższa... proszę, nie odchodź.

- Posłuchaj mnie - szeptał rozpaczliwie, irracjonalnie przekonany, że jeśli zrozumie, jak wiele dla niego znaczy, wtedy nie umrze. - Nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie, zanim wkroczyłaś w nie w swojej lśniącej zbroi. Moje życie było puste. Pozbawione barw. A potem ty mi się przytrafiłaś i nagle zaznałem uczuć, w których istnienie nie wierzyłem, i zobaczyłem rzeczy, których wcześniej nie widziałem. Nie wierzysz mi, najdroższa? Ale to prawda, mogę to udowodnić.

- Kwiaty na łące są niebieskie - wyszeptał łamiącym się głosem. - Te przy strumieniu są białe. A róże na łuku przy ogrodach są czerwone.

Uniósł jej dłoń i potarł nią swój policzek.

- Nie tylko to dostrzegłem. Polana przy pawilonie, tam gdzie jest moja tablica pamiątkowa, wygląda tak samo jak to miejsce, gdzie ponad rok temu się pojedynkowaliśmy. Och, najdroższa, muszę ci powiedzieć jeszcze coś: kocham cię, Aleksandro.

Łzy sprawiły, że jego głos się załamał i przeszedł w pełen bólu szept.

- Kocham cię, a jeśli umrzesz, już nigdy nie będę mógł ci tego powiedzieć.

Poniesiony gniewem i rozpaczą mocniej ścisnął jej dłoń i nagle z pochlebstw przeszedł do grózb.

- Aleksandro, ani się waż mnie teraz zostawić. Jak mnie teraz opuścisz, to tak huknę na Penrose'a, że od razu usłyszysz na te swoje głuche uszy i przepędzę go na cztery wiatry. Przysięgam, że tak zrobię. I to bez referencji. Słyszysz mnie? A prosto za nim wyrzucę Filberta. Znowu uczynię Elżbietę Grangerfield moją kochanką. Na pewno chętnie zajmie twoje miejsce, jako księżna Hawthorne.

Minuty przerodziły się w godzinę, a potem w następną, a Jordan bez przerwy mówił. Przechodził od pochlebstw do grózb, nie zdając sobie sprawy ze swoich słów, a gdy już zaczął tracić nadzieję, uciekł się do obietnic.

- Pomyśl o mojej nieśmiertelnej duszy, najdroższa. Jest cała czarna, a bez twojej pomocy nie poprawię się i na pewno wrócę do moich starych nawyków.

Czekał, nasłuchując, wpatrując się w nią i wciąż ściskając jej dłoń jakby w nadziei, że przeleje na nią swoją siłę. Potem nagle rozpacz i nadzieja, które sprawiły, że mówił do niej bez końca, zamarły. Do jego serca wkradła się rozpacz, a oczy wypełniły łzy. Jordan objął jej bezwładne ciało i tuląc jej policzek do swojego, łkał jak dziecko.

- Och, Sandy - płakał kołysząc ją jak niemowlę - jak mam żyć bez ciebie? Zabierz mnie ze sobą - wyszeptał. - Chcę umrzeć z tobą... - A potem nagle coś poczuł, jakby ciche tchnienie przy swojej twarzy.

Wstrzymał oddech i cofnął głowę. Szaleńczo wpatrywał się w jej twarz i łagodnie opuścił ją na poduszki.

- Sandy? - wyszeptał z bólem, pochylając się nad nią i już gdy myślał, że tylko mu się wydawało, blade wargi drgnęły próbując coś powiedzieć.

- Powiedz coś, kochana - błagał desperacko pochylając się nad nią blisko. - Powiedz mi coś...

Aleksandra przełknęła, a kiedy znowu spróbowała przemówić, jej słowa były tak słabe, że prawie niesłyszalne. - Co, najdroższa? - wypytywał szybko, niepewny, co mówiła.

Zaszepiała jeszcze raz, a potem jego oczy rozszerzyły się, gdy wreszcie zrozumiał. Patrzył na jej dłonie, które ścisnął, a potem jego ramiona zaczęły drżeć ze śmiechu. Po chwili jego śmiech zabrzmiał głośno w całym domu, aż księżna, doktor i Tony przybiegli do pokoju błędnie przyjmując, że rozpacz po stracie ukochanej pozbawiła Jordana zdrowych zmysłów.

- Tony - powiedział Jordan uśmiechając się i ściskając dłoń Aleksandry - moja żona uważa - zaczął, a jego ramionami znowu zaczął wstrząsać śmiech - że Elżbieta Grangerfield nie umie łowić ryb.

* * *

Gdy Jordan wszedł do jej sypialni przez drzwi łączące ich apartamenty, Aleksandra odwróciła głowę w jego stronę.

Od czasu, gdy ją zraniono, minęły dwie doby. Dwa dni i dwie noce była nieprzytomna i tylko chwilami odzyskiwała świadomość. Zawsze, gdy się budziła, on był przy jej łóżku, wytrwale pełniąc straż, a na jego twarzy wyraźnie malował się strach o nią.

Teraz, gdy była w pełni przytomna, chciała, by mówił do niej tak czule jak przez ostatnie dwa dni i patrzył na nią z taką miłością płonąca w oczach. Niestety tego poranka jego wygląd był bardzo zrównoważony, a twarz nieodgadniona. Tak nieodgadniona, że Aleksandra zaczęła się zastanawiać, czy czułość jego słów, gdy myślał, że umiera, tylko jej się nie przyśniła.

- Jak się czujesz? - zapytał, a w jego głosie brzmiała jedynie uprzejma troska, gdy stanął przy jej łóżku.

- Bardzo dobrze, dziękuję - odparła z równą uprzejmością. - Jestem tylko trochę zmęczona.

- Sądzę, że chciałabyś zadać mi parę pytań o to, co się stało dwa dni temu?

Jedyne, czego Aleksandra teraz pragnęła, to aby objął ją i powiedział, że ją kocha.

- Tak, oczywiście - przytaknęła, niepewna jego nastroju.

- Otóż, około półtora roku temu Bertie złapał jedną ze służących kuchennych, wieśniaczkę o imieniu Jean, jak kradła pieniądze z jego portfela. Przyznała się, że zamierzała dać je swoim braciom, którzy czekali na nią w lesie za domem. Bertie i jego matka mieli już w głowie plan, żeby mnie zabić, ale do tamtej pory nie mieli pojęcia, gdzie znaleźć kogoś, kto by to zrobił. Zamiast oskarżyć służącą, zmusili ją do podpisania oświadczenia, że przyznaje się do kradzieży. Bertie zapłacił jej braciom, by się mnie pozbyli tej nocy, gdy się

poznaliśmy. Zatrzymał wyznaczenie służącej, by zapewnić sobie jej milczenie i współpracę jej braci. Zrujnowałaś ich plan zjawiając się w tej swojej zbroi, ale jeden z braci - ten, którego postrzeliłem - zdołał się odczołgać do konia i uciec, gdy wiozłem cię do gospody. Bertie spróbował znowu cztery dni po naszym ślubie, ale tym razem dwaj wynajęci mężczyźni wzięli pieniądze i zamiast zabić mnie, podwoili swoją stawkę przekazując mnie łapaczom rekrutów. Jak to przyznała moja ciotka - powiedział cynicznie - trudno jest znaleźć dobrych ludzi, gdy się nie ma pieniędzy.

Schował ręce do kieszeni.

- Kiedy niedawno powróciłem z martwych, Bertie przypomniał służącej, że wciąż ma jej oświadczenie. Zaszantażował jej brata, by ponownie spróbował mnie zabić. Tym razem strzelał do mnie przy Brook Street - tej nocy, gdy spałaś w pokoju guwernantki.

Aleksandra patrzyła na niego zszokowana.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że ktoś wtedy do ciebie strzelał.

- Nie było powodu, by cię niepokoić - powiedział Jordan, a potem potrząsnął głową. - To nie jest całkiem prawda. Gdzieś w mózgu kołatała mi się myśl, że to ty mogłaś do mnie strzelać. Sądząc po sylwetce, mogłaś być tym strzelcem. Wcześniej, tego samego dnia powiedziałaś mi, że zrobisz wszystko, by uwolnić się od tego małżeństwa.

Aleksandra przygryzła wargę i odwróciła twarz, ale przedtem Jordan zauważył w jej oczach ból i nieme oskarżenie. Wepchnął więc ręce mocniej do kieszeni i mówił dalej.

- Trzy dni później, służący o nazwisku Nordstrom zmarł po wypiciu porto z karafki, którą mieliśmy na pikniku - tego samego porto, do którego wypicia tak mnie namawiałaś.

Popatrzyła na niego przerażona, a on mówił dalej:

- Fawkes nie jest pomocnikiem zarządcy, jest detektywem, którego ludzie zostali rozlokowani w Hawthorne, zanim tu przyjechaliśmy. Zbadał sprawę z porto i wyglądało na to, że byłaś jedyną osobą, która mogła je zatrąć.

- Ja? - wykrzyknęła. - Jak mogłeś coś takiego pomyśleć!

- Świadkiem Fawkesa była pomywaczka, która od półtora roku pracuje u nas nieregularnie, wtedy gdy jest potrzebna. Nazywa się Jean. To ona zatrąła porto, zgodnie z instrukcjami Bertiego. Chyba domyślasz się wszystkiego, co zaszło potem.

Aleksandra przełknęła z bólem.

- A więc oskarżyłeś mnie i osądziłeś na podstawie tak mętnych dowodów? Dlatego, że jestem mniej więcej takiego wzrostu jak ktoś, kto strzelał do ciebie przy Brook Street i dlatego, że pomywaczka powiedziała, że to ja na pewno zatrąlam twoje porto?

Jordan aż skulił się ze wstydu i poczucia winy.

- Oparłem to na tych dwóch przesłankach i na tym, że dwa razy Olsen śledził cię, gdy byłaś u Tony'ego. Wiedziałem, że spotykasz się z nim potajemnie, a to w połączeniu z resztą sprawiało, że dowody przeciw tobie wydawały się bardzo sensowne.

- Rozumiem - powiedziała bezbarwnie.

Jordan wiedział jednak, że tego nie rozumie. Albo rozumie zbyt dobrze, pomyślał ponuro. Na pewno rozumie, że całkowicie złamał obietnicę zaufania jej i wielokrotnie odrzucał miłość, którą mu ofiarowywała. Z goryczą powtarzał sobie również, że dwa razy ryzykowała dla niego swoje życie, a on w zamian dał jej niechęć i krzywdzące oskarżenia.

Jordan patrzył na jej ukochaną twarz. Zdawał sobie sprawę, że w pełni zasługuje na jej nienawiść i niechęć. Teraz, gdy jest już całkowicie świadoma jego prawdziwej bezduszości i głupoty, oczekiwał nawet, że wyrzuci go ze swojego życia.

Ponieważ Aleksandra nadal milczała, Jordan postanowił powiedzieć jej wszystko, co powinna wiedzieć.

- Zdaję sobie sprawę, że moje postępowanie względem ciebie jest niewybaczalne - zaczął, a jego głos wypełniał ją przerażeniem. - Naturalnie nie oczekuję, że po tym wszystkim nadal będziesz chciała pozostać moją żoną. Jak tylko wydobrzejesz na tyle, by się wyprowadzić, dam ci upoważnienie bankowe na pół miliona funtów. Jeżeli będziesz potrzebować więcej pieniędzy...

Przerwał i odchrząknął, jakby coś utkwilo mu w gardle.

- Jeżeli będziesz potrzebować więcej pieniędzy - mówił dalej głosem nabrzmiałym od emocji - wystarczy, że mi to powiesz. Wszystko, co mam, zawsze będzie należeć i do ciebie.

Aleksandra słuchała jego przemowy z mieszaniną czułości, gniewu i niedowierzania. Już miała mu odpowiedzieć, gdy znów odchrząknął, by coś dodać.

- Jest jeszcze coś, co chcę ci powiedzieć... Zanim wyjechaliśmy z Londynu, Filbert powiedział mi, jak się czułaś, gdy myślałaś, że nie żyję, i co się działo, gdy przyjechałaś do Londynu i wszystkie twoje złudzenia się rozwiały. Większość z tego, co słyszałaś, to prawda. Jednakże chciałbym, żebyś wiedziała, iż nie spałem z Elizą Grandeaux, gdy widziałem się z nią w Londynie.

Jordan przerwał i patrzył na nią zachłannie, jakby chcąc zapamiętać każdy rys jej twarzy, by wspominać ją przez te wszystkie puste lata, które go czekały. Patrzył na nią wiedząc, że jest ostatnią jego nadzieją i marzeniem, jakie hołubił w sercu. Teraz już wiedział, że Aleksandra jest samą dobrocią, łagodnością i zaufaniem. I miłością. Jest kwiatami rosnącymi na wzgórzach i śmiechem dźwięczącym w korytarzach.

Zmusił się, by skończyć swoją przemowę i jak najszybciej uwolnić ją od swojej obecności.

- Filbert powiedział mi również, co się stało po śmierci twojego ojca. Nie mogę wprawdzie wymazać z pamięci bólu, jaki ci zadał, ale chcę ofiarować ci to...

Wyciągnął dłoń i Aleksandra zobaczyła aksamitne etui. Wzięła je od niego i trzęsącymi się dłońmi rozwiązała tasiemkę.

Na białej satynie, na złotym misternym łańcuszku wisiał największy rubin, jaki kiedykolwiek widziała. Był oszlifowany w kształt serca. Obok niego leżał szmaragd w otoczeniu diamentów, również w kształcie serca, a dalej brylant.

Brylant był w kształcie łzy.

Aleksandra przygryzła wargę, by powstrzymać drżenie podbródka.

- Myślę - wyszeptała próbując się uśmiechnąć - że założę ten rubin w dniu Gonicy Królowej, wtedy, gdy zawiążę ci moją szarfę na rękawie...

Z krzykiem ulgi Jordan chwycił ją w ramiona.

- A teraz, kiedy powiedziałaś już te wszystkie rzeczy - szepnęła wiele minut później, gdy wreszcie ich usta się rozłączyły - czy mógłbyś powiedzieć „kocham cię”? Czekam na to, odkąd zaczęłaś mówić i...

- Kocham cię - przerwał ognisćie - kocham cię, kocham cię - szeptał miękko wtulając twarz w jej włosy. - Kocham cię - mruczał całując jej usta - kocham cię, kocham cię, kocham cię...

EPILOG

Zafascynowany Jordan patrzył na malutką twarz swojego synka, którego tulił w ramionach. Niepewny, co ma powiedzieć w takiej chwili, a nie chcąc zrezygnować z przyjemności trzymania go na rękach zdecydował, że najlepsza będzie ojcowska rada.

- Pewnego dnia, synku, wybierzesz sobie żonę, a że jest bardzo ważne, by wiedzieć, jak to zrobić, więc opowiem ci pewną historię. - Dawno, dawno temu był sobie arogancki, cyniczny mężczyzna. Nazwiemy go... - Jordan zawahał się z namysłem - nazwiemy go księżę Hawthorne.

Stojąca w drzwiach nie zauważona Aleksandra stłumiła śmiech.

- Mimo młodego wieku księżę uważał się za przegranego, gdyż nie widział nic dobrego w niczym i nikim, a już na pewno nie w sobie samym. A potem pewnej nocy napadli go zbójcy i gdy jego życie miał już spotkać marny koniec, na końskim grzbiecie przybył mu na ratunek rycerz w zardzewiałej zbroi. Z jego pomocą księżę pokonał bandytów, ale podczas starcia rycerz został ranny.

Przegrany księżę pośpieszył nieprzytomnemu rycerzowi z pomocą i ku swojemu zdziwieniu odkrył, że nie był to wcale mężczyzna, ale dama - drobniutka i urocza, z kręconymi włosami i najdłuższymi rzęsami, jakie kiedykolwiek widział. A kiedy otworzyła oczy, miały one kolor szmaragdów. Przegrany księżę z pustym sercem spojrział w jej oczy, a to, co zobaczył, odjęło mu dech w piersi... Niemowlę patrzyło na niego radośnie.

- Co zobaczył? - szeptem zapytała Aleksandra od drzwi. Jordan uniósł głowę, a wszystko, co miał w sercu, odbijało się w jego oczach.

Uroczyście i czule odpowiedział:

- Zobaczył... Coś wspaniałego.